476760

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

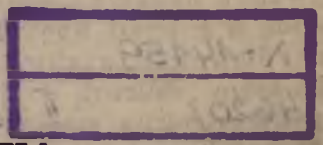
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1855.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LX.





WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ.

—

1855.

4620. 1855. 4
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 10 (22) września 1855 r.

Starszy Cenzor,
RADCA DWORU, **J. Papłoński.**

Biblioteka Sejmu Śląskiego
30,000/—
X-14159
4620/ II 4.
/1855

PÓŁNOCNO-WSCHODNIE WOŁOSKIE OSADY.

PRZEZ

J. T. L.

Widzieliśmy spuszczających się z Karpat Wołochów i osiadających po żłobinach górzystych wierzchowin Dniestru i Sanu; z kolei przychodzi nam iść za ich pracowitém tułactwem, na tę obszerną a żyzną płaszczyznę, nieoledwie czworokątną, po któréj biegną: Styr, Bug, Bełza, Huczwa, Prypeć, Turya, Wieprz; obszerne łąki trawne przez rozlewy wód, bramują koryta rzek; łąki i płaszczyzny gdzieniegdzie piaskiem i narzutowemi głazami zamulone. Na tamtéj stronie Bugu w Lubomlskiem, jeziora częste i obszerne; pod Saczkiem 8, po których „niewody wielkie chodzą"; na jeziorze w Kośniczach 8 toni, na jeziorze pod Świtażem 50. Przesadzona lub więcej umiarkowana obfitość wód tam upodla, tu użyźnia okolice. Pszenica na gruncie bełzkim wydawała plonu 6 ziarn, 3 na prawym brzegu Bugu, a w pobliżu źródeł Prypeci, we wsiach Świtażu, Hołownie i innych, dla piaszczystych i zapadłych gruntów, owsa nawet nie siano, jeno się bawiono leśném gospodarstwem.

Od wierzchowin Prypeci obszerne lasy ciągnęły się przez Lubomskie, a przekraczając Bug, łączyły się z lasami „Wołyńskim" i „Dobrymech" w Chełmskiem; rzeka Przybicz te lasy przebiega nie bardzo szerokie ale wdłuż mniéj więcéj dwie mile, gdzie większych bobrów z parę, mniejszych ze 6 na rok łowiono. Schodziły się te lasy z puszczami hrubieszowskiemi. „W mie-

ście grobla u stawu jest całkiem popsuta, mnogość wielka dziur przez myszy wodne i bobry porobionych tak, iż żadną miarą nie może tu być bezpieczna grobla; wypada inną usypać w miejscu sposobniejszém. Dalej Stoleńskie bory, bogate w zające i sarny (1), dotykając Buga na południe rozściełały się po rzeki Bełzę i Ratę. We wsi Sielcu poddani do 10 mniéj więcéj bobrów łowili, juxta successu fortunae in venando (2). Przy wsi Hubinie „gaj obfity w barcie, z ktorego ilość znaczna miodu dochodzi" (3); puszcza Krzechowska, buczyna, jesienina, dąb, odgranicza ziemię Bełzką od województwa ruskiego. W sieci lasów suto ziemię okrywających, na północy przemagała sosna, w średniéj, bełzkiej strefie dąb, ku południowi buczyna. Surowo nieco wyglądała ta północna strefa: iglastéj sosny czarniawa zieloność ponuro osłaniała wioski, zanurzone w piaskach równin; ku południowi dąb zabiera coraz większe przestrzenie, a jeszcze dalej jego potężne pnie okrywa gęstwina zarośli; las traci na surowéj powadze, wygrywa na stroju i ozdobności: wszędzie gaj i roszcze. Coraz częściéj pomiędzy budulcowém drzewem wystrzela biała kwiecista czereśnia, wonna grusza i jabłoń; kalina purpurowa, rannych kwiatów czeremszyna; klon latem zielony, czerwony w jesieni; lipa karmicielka rojów starych, młodych przytulisko.

Kraj bełzki zawżdy ulegał wielkim zniszczeniom: za czasów ks. ruskich, położony pomiędzy W. Ks. kijowskiém a mocną dzielnicą halicką, cierpiał od napadów to piérwszego to drugiej według tego, jak z którym z przeciwników sojusz zawierał. Z sąsiadem a sąsiadem daleko od niego potężniejszym, z książętami włodzimirskiemi miał ciągłe zajścia o graniczne miasta. Wsewołoż był przedmiotem domagań włodzimirskiego księztwa broniony przez bełzkie, ztąd ciągłe waśnie, do krwawych bojów i zniszczeń dochodzące; jeszcze bardziéj zagrożony został, kiedy Daniel posunął swe państwo ku Chełmowi; okolony i z północy i ze wschodu ciągle już miał nad sobą wiszące niebezpieczeństwo. Pamiętnym jest w podaniach ludu rok 1262, kiedy jednéj nocy w ziemi bełzkiéj, nieledwie jednocześnie, mie-

(1) R. 1548. (2) R. 1507. (3) Id.

szkania w perzynę obrócono, lud od bojarzyna do smerda uprowadzon wraz z wszelkim dobytkiem domowym, i dotąd lud nazywa złą tę noc, bo w nię niżli ocknęli się ze snu, już byli w niewoli, powiada szyderczo kronikarz wołyński (1).

Pod potężniejszą opiekę Polski przyjęta ziemia nieco się uspokoiła przez ciąg XV wieku; lecz z końcem a początkiem następnego poczęła ulegać napadom Tatarów. Idąc czarnym szlakiem od Dniepru, obchodząc źródła Styru i Bugu, Tatarzy właśnie w Buskim, w Szczurowicach i Łopacinie kosz swój zakładali, i ztąd między widły Bugu i Wisły, między Bug a Styr zagony zapuszczali. Po napadzie Tatarów r. 1499, niech nam wolno będzie towarzyszyć poborcy w jego przejazdach. Lubię te notatki: w swojéj krótkości są one dziwnie wymownemi; podobne owym po szpitalach wioszczyn krótkim kołdrom, które przerażają wyobraźnię zwiedzających, gdy ci z bladości nóg nieokrytych wnoszą o cierpieniu reszty ciała. „W Buskiém, używam słów poborcy (2): folwark Łopacin niedostateczny, ponieważ trzy wsie, mianowicie Mikołajów, Szczurowice i Lasków wraz z młynami spalone, inne zaś nie spalone, ale tak zniszczone, iż z całego klucza łopacińskiego tylko 6 pługów do orania wychodzi. Miasto Stojany spalone, wybrane i zupełnie puste, nietyle przez Tatarów, ile przez łotrostwo z Litwy. W Sokalskiém, miasto spalone wraz z dworem, młynem, w którym spalono 60 kłód żyta i pszenicy zmielonéj za rozkazaniem króla JM. do Lwowa. Wsie do Sokala należące: Pozdymierz, Radywon, Holhów, Skoromochy, Hylhów, Patarzyca, Chorobrów nie są spalone, ale ludzie wybrani i z wołami tak, iż ani jeden pług ze wsi nie wychodzi, a starosta swemi orze wołami. W Tysowieckiém, w mieście 40 domów spalono: w Klątwach wychodzi 7 pługów: „septem vel octo kmetones in toto Capitaneatu restant," czerpam wiadomość z innéj notatki. Daléj „W Horodelskiém, Wierzyce zupełnie spalone, inne wsie tak wybrane, iż tylko 5 pługów pozostało. W kluczu rzeczyckim ludzie wybrani, bydło zabrane, 10 pługów

(1) Półn. Sobr. Liet. III.
(2) Księga poborów województwa bełzkiego z r. 1507.

pozostało. W Bełzkiém, w mieście spalono 18 domów, w którém mieście ubostwa dostatecznie; w Mostach nikogo żyjącego; nietyle zniszczone przez Tatarów, ile przez wojsko na wyprawę ciągnące. Butyn ze szczętem spalone. Dworce annihilata. Hubn po Tatarach zupełnie puste. Z całego klucza bełzkiego do trzech folwarków: Czeblów, Chrobrów i Patarzyn 22 pługami orzą. Młyny spalone. W folwarku żadnym ozimin nie zasiewano. W Leżajskim Jedlna „zupełnie pusta;" w Krzeszowskim, Biscze „roku zeszłego przez Tatarów spalone;" w Kamionackim „Zelecz, Botatycze, spalone przez Tatarów;" Syelce (która następnie swe łąki pod trzody tułaczów Wołochów odda), Dernów, Czestynye „ze szczętem przez Wołochów spalone". Stolsko, Ilów „najprzód przez Wołochów spustoszone, a potém przez Tatarów spalone (1). Sawin miasto nie istnieje. Rubieszów nadzwyczaj zrujnowane, mieszkańcy nader nędzni; młyny 2 opróżnione, sadzawka czcza, 2 upusty ze szczętem zniszczone. Wsie w starostwie Rubieszowskiém: Czerniaczyn nader spustoszony, w którym tylko jest trzech ubogich ludzi; Miniany była wieś sług zamkowych, w niéj w owym czasie jest 4 ubogich służków i tylko jeden ma konia; Pobereżany, wieś nieledwie zupełnie pusta; Pudoreczi toż prawie zupełnie pusta (2). Wojsławice nadzwyczaj zrujnowane; tego roku spalona większa połowa. Pawłów, Kraśniczyn są nader nędzne; Turobin, Srebrzeszyn z powodu spustoszenia zażywają wolę. Krasnystaw ma wolę z powodu spalenia (3). Uhnów niedawno przedtém przez Tatarów zupełnie w popiół obrócone. Strzemilcz, miasto nędzne. Dobrotwór wielce przez Tatarów zniszczone, zostało w niém jedno trzy komory." W mieście Bełzie cztery cerkwie, z których jedna „nędzna", z drugiéj, Spaskiéj „pop zbiegł;" w Sokalu „pop zginął;" w Lubomskiém jeszcze więcéj jak inne i odległością i lasami zasłonięte: „Luboml monasterz pusty." Wiśniow, synagoga, pop caret; Zapole, cerkiew pusta. Połapy, pop miser. Oleszko, pop biedny nic nie ma. I tak jednobrzmiące po ca-

(1) Księga poborów województwa ruskiego z r. 1510.
(2) Regestr. de anno 1512.
(3) Księga poborów ziemi chełmskiéj z r. 1510.

łéj ziemi bełzkiéj i chełmskiéj, cerkwie „jedne spalone," od innych „pop zbiegł," w trzeciéj „umarł i nie zamieszczon," inne „zwaliły się od starości," lub „pop odjechał w drogę, lub odjechał i nie powraca." Jeszcze w r. 1531 zostawała synagoga, deserte" 48. W r. 1507 w województwie bełzkiém liczono wszystkiego wsi 345, z których spalonych (combuste) 95, pustych (deserte) 76, a razem spalonych i pustych 171; w powiecie krasnostawskim, stanowiącym południową część ziemi chełmskiéj, z liczby 84 wsi było spalonych 18, pustych 13; ziemiańskich, bez kmieci, gdzie jeno sami dziedzice zostali, 13; tylko wsi całych 35: tojest od roku 1499 do r. 1507, wniwecz obrócono połowę ludności i kraju.

I rzekomo całe wsie noszą cechę spustoszenia. Uhrowsko, dawne biskupie stołeczne miasto, teraz wioska o czterech łanach. Mieszkańcy Czeremna, słynnego słowiańskiego grodu, który krajowi od Bugu do Karpat swe imię nadał, teraz na 2 ćwiartkach pomieszczają się. Pod Zygmuntem I, kraj nieco swobodniéj odetchnął: jednakże znajdziemy i tu niepowodzenia. „Podczas zimy ogromne śniegi i zimno nieznośne" (1). „Urodzaj żyta prawie żadny i innego zboża także mały" (2). „W ziemi chełmskiéj kilkanaście cerkwi pustką" stały (3); popi „w powietrze pomarli;" z powodu posuchy taki był ogolny nieurodzaj, iż niektórzy zupełnie nie brali się do żęcia." Starosta użalił się nad nędzą poddanych i wziął od korca owsa z nich należnego, tylko po gr. 6 (4); zima sroga, przeto brak wody i ryb niedostatek." „Mniej kupców przejeżdżało przez zły rok czyli drogość" (5). „W komorze krasnostawskiéj z kupców, zwyczajnie na śśch Szymona i Judę do Lublina jadących, nic nie wybrano; przez powietrze nie było jarmarku w Lublinie; na ś. Michał w Bełżu powietrze" (6). W Lubomskiém, „pszenica tak wygryziona przez robactwo, iż z trzech kop wydawała zaledwie po korcu" (7). Z powodu napadu Tatarów i niepewności dróg, wiele z poddanych J. K. M. kupców i kramarzy od handlu wstrzymali się" (8); „pomiędzy ludźmi wielki niedostatek, drożyzna wszelkich rzeczy i żywności (9)";

(1) R. 1533—4. (2) 1541. (3) 1545. (4) 1545—6. (5) 1546. (6) 1547. (7) 1546. (8) 1549. (9) 1551.

„w miastach sąsiedzkich (Rubieszowa) powietrze grasowało (1).” „Podwóz soli niedostateczny przez niestateczność zimy” (2). „Luboml, miasto, 2 cerkwie, młyn o dwóch kołach spalone (3). Kładniow, Widzmicza, Przespa, Pieczykorów, mają wolę, ponieważ są zniesione przez ogień”, (4) „Lnczyce, Kmyeczice, są przez Bokijh ogniem spalone.” „Sokal ze szczętem spalon (5)” „Bełz zażywa wolę po pożarze (6).” W Hrubieszowskiém „szarańcza silną szkodę poczyniła jarzynie (7).” Od tego roku zaczęło się powietrze, trwające nieledwie ciągle do samego końca wieku. Pobór z r. 1573 okazał, iż w województwie bełzkiém mało przy któréj cerkwi pop nie umarł na powietrze: trzecia część karczem pustką stały przez wymarcie karczmarzów i obawę mieszkania po gościńcach. Z uporem nadzwyczajnym trzymało się koryt rzek unieruchomionych przez tamę i groblę po Huczwie, i Racie. W Horodleńskiém (8), we wsi Czarnowkach „dworzyszcz 3 spustoszało przez powietrze; we wsi Berczowiczach „na 13 dworzyszcz, 4 pustych”; w Chełmskiém, Krzywa-wola nie była rewidowana „dla podejrzanego powietrza, które na on czas w niéj było”; we wsi Ostrzycza „11 dworzyszcz pustych, za powietrzem”; w Sokalskiém wszyscy rybacy wymarli ponad Bugiem.” „Tysowieckie”, powiada wybierający ludzi pieszych na wyprawę do Moskwy: „wcale spustoszało za powietrzem; zostało pono łanów 16.” Po pokrowskich Tatarach (9), przy każdéj wsi jeden, dwa łany pusto leżą: niemal połowa zagrodników i komorników rozbiegła się: Szczurowice, Stojanów, „devastate” i kilkadziesiąt wsi ze szczętem zniesione w r. 1590; powietrze w tymże roku, powódź w Hrodle wszystkie browary zabrała.

W walce przeciwko tym dolegliwościom, nie zabrakło Rusi pomocy ze strony Polski.

Połączywszy się z Polską Ruś przedstawiła tamtéj świeże, żyzne, jałowe pole do działania. Narodowość polska, przez ciąg kilku stuleci męczona, kształcona, hartowana, rozdzierana wnętrznemi klęskami, podziałami, miałkiemi książętami, pomimo tego pomkniona ku

(1) R. 1552. (2) 1554. (3) 1535. (4) 1535. (5) 1536. (6) 1569. (7) Lustracya z r. 1570. (8) Id. (9) Księga poborów z r. 1570.

południowi, ku ruskim, żyznéj gleby ziemiom, spuściła się ku pysznemu plemieniu ruskiemu, jak dawniéj teutońskie plemiona ku Rzymowi, ażeby przynieść zapas nowego życia, ażeby zjednoczyć się i skuteczny stawić opór groźnemu wschodowi mahometańskiemu.

Cudne było to plemię, które wystawiwszy przedmurze przeciwko Zachodowi, podniosło się z starych lechickich grodów i poszło nowe zakładać przeciw Wschodowi twierdze.

Cudne, bo do swéj składni czysto, lechickiéj przyjęło tylko najświetniejsze wyniki rzymsko-teutońskiego świata. Téj uświetnionéj i zzamożniałéj narodowości lechickiéj powołaniem było rozciągnąć na kraj nowo przyłączony swoje rozliczne, płodne żywioły.

Założono biskupstwo, kościoły, klasztory katolickie; miasto obdarzone samodzielnym zarządem. Lecz musimy zostawić innym opisanie tych kroczeń katolicyzmu i polskiéj narodowości, ograniczając się opisaniem działań w zakresie ludności rolniczéj. Od czasu otworzenia się handlu zbożowego, kapitały przy jednoczesném rozwijaniu się wielkiéj uprawy, tylko w Wielkiéj i Małéjpolsce skupiać się mogły w pojedyncze ręce; południowe województwa przy ciągłych wojnach nie dopuszczały ani uprawy wielkiéj, ani potężnych zapasów pieniężnych. Ciekawem byłoby wyśledzenie postępowego zebrania się kapitału pochodzenia czystopolskiego od czasu założenia Kazimierzowskich śpichlerzy na Wiśle, nabycia Spiża i Siewierza, spłacenia za Bełz, nakoniec wpływu wywartego tymże kapitałem na losy reszty krajów: bo wzmagając się dążył on do działania poza granicami miejsca zrodzenia się. Piérwszém jego wyniesienia się miejscem była Ruś, gdzie wystąpił z powodzeniem, w szrankach z ciągłemi zniszczeniami tatarskiemi. To piérwsze wydatne wystąpienie kapitału polskiego, spotkawszy żyzne pola Rusi przy uwzględnieniu warunków małéj i średniéj uprawy, odsłania powabne obrazy pracy ludzkiéj, dziwnie ręką Boską błogosławionéj. Działalność kapitałów polskich na Rusi trwała do połowy XVI wieku. Od połowy XVI przeniesiono działania w Podolskie i Bracławskie, w XVII w Kijowskie, w połowie tegoż wieku Dniepr przekroczono. W XVII stuleciu kapitały cofnię-

te na prawy brzeg Dniepru, przez trzy ćwierci wieku wstrzymywane w oddaleniu od jego wód, na nowo zdążają w Kijowskie i ostatecznie zaludniają te pustynie. Zawód wypełniły na Rusi w XVI, pod kształtem dzierżawy i zastawy dóbr. Odrowążowie, a po nich królowa Bona, trzecią część Rusi w swoje ręce przenieśli. Górkowie z Wielkiejpolski trzymając Busk i Łopacin, dźwigali je raz po raz zpod popielisk najezdców. Tęczyńscy Jan i Andrzéj dzierżawili cały ciąg wschodni dóbr: Bełz, Chełm, Krasnystaw, Rubieszów i Luboml.

Kapitały polskie cztery cele sobie zamierzyły: wyrób lasów i spław do Gdańska; zamienienie leśnego gospodarstwa na rolnicze przez zakładanie wsi niemieckiego prawa; ulepszenie chowu bydła przez osadzanie Wołochów; podniesienie wielkiej uprawy dla przysporzenia produkcyi zboża.

Dotąd z lasów dwa tylko źródła dochodów miano: wkup dla żeru i sprzedaż na drwa. Do użytkowania z lasów kapitał udał się jednocześnie z wszczętym ruchem handlowym po odkryciu Ameryki; od r. 1545 z gorączkowym zapałem zajęto się wkoło Bugu handlem popiołów, wanczosu i klepek. Z Bełza spławiano popioły, w Hrubieszowie budowano komięgi, ale Luboml przechodził wszystkie. Tu w przeciągu 25 lat sprzedano 250 komięg, 30,000 klepek, 54,000 wanczosu i 14,000 łasztów popiołu (1). Na ten sposób wyrabiane lasy, wprędce zniszczały: w Lubomskiém „liasy, powiada lustracya, wszystkie spustoszone, tylko trochę na klepkie;" w Bełzkiém „tam ruda siła szkody czyni borom;" w Chełmskiém z dawnych lasów pozostała ledwo półmilowa przestrzeń (1564).

Niemieckiego prawa osady w ekonomicznym względzie odznaczały się swojém założeniem, biorąc za zasadę rolnictwo, bez względu na uboczne gałęzie leśnego gospodarstwa. One także nie omieszkały zaniechać dani, przeistaczając ją w dań pieniężną czyli czynsz. Zobaczmy, jakiemi kolejami zagładzały dawny feudalny

(1) Wanczosu od roboty sta, płacono na miejscu po fl. 3, a w Gdańsku sprzedawano po fl. 24; wyrób sta klepek na miejscu kosztował fl. 3, a w Gdańsku sprzedawano po fl. 30 (1564). Komięga kosztowała 30 fl. (1545), następnie 50 (1564); łaszt popiołu 6 fl. (1545), a 20 lat później fl. 34.

ustroj. Chełm był środkiem włości pogranicznéj. Dwie góry: Dziewicza i Woskreseńska, panują nad okolicznemi polami, łąkami i borami. Dziewicza na dwie podzielona przekopem, dźwigała na sobie mury górnego i dolnego zamku. Na Woskreseńskiéj stał monaster: byłoto miejsce spoczynku książąt; niższe piętra Dziewiczéj góry na sklepieniach wapiennego pokładu, miasto na sobie noszą. Na drodze ku Mazowszu, na prawo wysmukła Baszta, na drodze do Lublina w Stołpiu druga, ku Krasnemustawu a raczéj ku Krakowu trzecia; są to czatownie nad głównemi drogami, na których można było nieprzyjaciela się spodziewać. Lud rozpowiada, iż zamek, monaster i baszty, połączone były nitkami ze złota ciągnionego, po których urocza dziewica chodziła. W téj dziewicy, w tych złotych nitkach łatwo odgadnąć czujność i jednotę, właściwy charakter młodocianych feudalnych włości. A czyjeż serce w młodości nie było połączone złotemi niciami ze światem? Komuż głos uroczéj dziewicy nie dawał się słyszeć w nadobne dni rozkwitnięcia życia? Ręka Daniela króla, założyciela włości, wszystko tu ku surowym, koniecznym celom wojskowości zwróciła. Tenże cel przeznaczył i spokojnym wiejskim osadom. Wszyscy chłopi osobą swą na wojnę służą, składają dań a czynszu żadnego (1). Starosta odbierając dochód w kształcie dani, ma gumna zapełnione zbożem, kilku zaś wychodzców z zachodu podejmują się daninę kruszcową składać w kształcie czynszu. Starosta rad, iż każdorocznie będzie miał srebrem od chłopów, co dotąd odbierał martwym kapitałem: przywykły widzieć srebro w rękach jeno zamożniejszych kupców lub w kształcie

(1) „Dipułticze żadnego czynszu ani roboty; idą na wojnę. Strupin, Koczów, Krzewicze i Rozdziałów żadnego czynszu nie dają tylko 6 dni do roku koło pól robią, 2 dni żną, styrtę jednę siana składają, jednę tłokę do siana; paść muszą konie zamkowe i iść na wojnę; Żmudź i Dryszczów żadnego czynszu, żadnéj roboty, tylko z listami i na wojnę iść. Ochoża: są cieśle, nic zamkowi nie płacą i nie robią, stawią tylko budynki wszelkie; idą na wojnę gdy wyprawa, i naprawiają mosty przed wojskiem." Reg. Castr. Cn. 1510. Dotąd podróżny idący od katedry Wnieb. M. N. chełmskiéj za gajami zielonemi dębniaku, zdaleka w czerni tę ciesielską wieś upatruje, a na drodze wystawione powozy zgrabną ręką robione, udowodniają, iż żyją potomkowie zręczni jeszcze w rzemiośle, którym ich przodkowie królom, Danielowi i Władysławowi, posługę odprawiali.

naczyń, które jak nieruchomy kapitał przechowywały się w skarbcach. W Zabuzskich włościach, gdzie przez biedność okolicy nie można było odrazu całéj wsi czynszowéj osadzić, osadzano na wstępie po jednym, po dwóch chłopów o jednéj grzywnie czynszu; rzecz przedstawiano samym królom w Krakowie i kancelarya królewska wydawała przywiléj in extenso dla takiego o jednéj grzywnie osadzającego się. Na gruntach starostwa chełmskiego było ośm wsi roboczo-dannych; przybysze z Polski i Niemiec (same nazwy osadników Conradus, Albertus wskazują, iż są obcemi), zakładają dziesiątą wieś: odbiera ona nazwanie „Serebryszcze," ponieważ jest piérwszą, która podejmuje się srebrem należytość płacić „z dworzyszcza pół grzywny czynszu; orzą, przygotowują siano, tłókę odbywają dokąd jeno każą, nie są obowiązani do wojennéj posługi, nowy przeto porządek zwiastują. Na tychże zasadach osiadają wsie: Ruda, Isaicze, Stołp, Wygnańce, Krzywa wola, Wolajowicę, Strachosław; już i z liczby dziewięciu dawnych wsi: Żmudź i Dryszczów (1) wsie ciesielskie, podwodne, koniuskie, uwolniono od wojny a obowiązano do czynszów i robót (2). Tak chełmska feudalna włość przyjęła na swe grunta serebryszcze czyli czynsz. Konrad, Albert i ich potomkowie, rozszerzając zwolna rolnictwo na zasadzie czynszu, zagładzili zbrojną feudalną gminę, a wprędce i sami zagładzeni zostaną przez wielką uprawę.

Na wschodzie Bełzkie było ogniskiem wołoskiego prawa. Za rządów księcia Ziemowita, obok niemieckich osad, Jakób i Miczko Wołochowie, założyli wieś Lubicze w końcu XIV lub początku XV wieku, na wielkim gościńcu ze Lwowa do Lublina. R. 1422 w zamian za osadzoną wieś, odebrali na kniaztwo (Ducatum) były folwark książęcy w téjże wsi, z doliczeniem pieniędzy (3). R. 1424 we wsi Ruda, książę Ziemowit oddzielił część łąk i lasu, w obrębie których miano się rządzić prawem wołoskiém. Jeżeli przywiléj z 1374 jest najdawniejszą wzmianką o prawie wołoskiém w Polsce (4), to przywiléj dany dla Rudy jest najdawniejszy,

(1) R. 1545. (2) 1570. (3) Akt sądów refer. ks. 28.
(4) Metr. kor. ks. LXXI.

jaki dotąd w całości przechował się (1). Ta wieś w początku następnego wieku już dziedzictwem do familii Magierów, zapewnie wołoskiego pochodzenia, przeszła.

Trzecią z kolei czasu założenia była wieś Most, w zapadłych gruntach pomiędzy rzekami Błotnicą i Zeldec, w Ratę wpadającemi: „600 owiec, 2 karczmy 1 dworijsczye Valachorum." (2) Most został zniszczony ze szczętem przez Tatarów Olbrachtowskich, posada zamieniona w miasto Augustów. Lubicze już posiada „700 owiec i 3 łany" (3). W tych samych okolicach siedlą się Wołochowie w Tarnawatce, Wierzrachaniach (1508); w Wierzchracie „Wołoch posiada 80 owiec"; Rata, ziemiańska wieś Kozłowskiego, ma kniazia na pół łanie (1533) (4). Teniatyszcze „Wołochy mają 200 owiec" Miszko „300 owiec." Ruda Stanisława Magiera „300 owiec." Z wierzchowin błotnistych Raty i Bełzy rozeszli się, jak pracowite mrówki, na wierzchowinę Bugu i Styru. Nad Styrem w Buskiem, Szczurowice „200 owiec" (1508) (5). Nieznanów „w części Rusinów 3 łany, w części Wołochów 4½ łana" (1472) (6). Czanisz „w części Rusinów 3 łany i karczma, w części wołoskiéj 2 łany i 300 owiec." Opłocko, część Wołochów. 1½ łana; Ohladów w części Rusinów pół pięta łana i karczma, w części wołoskiej 500 owiec. W roku 1472, Rad Wołoch posiadał w Czaniszu 300 owiec: uznajemy w nim przywodzcę wszystkich tych drobnych buskich osad. Idąc biegiem Styru, w województwie już wołyńskiém: Tylewcze Wołochowie nadani zostali przez króla Zygmunta Igo

(1) Semovitus Dei Gratia etc. Quomodo in haereditate et infra limites villae Nrae Ruda vulgariter dictae, et intra ipsam villam Valachos locandos decrevimus sic et omnibus Valachis ibidem residere volentibus medietatem silvae ad usum ipsorum damus et asscribimus. Dantes et concedentes etiam dictis Valachis omnibus et singulis ibidem residere volentibus plenum Jus Valachorum prout caeteri Valachi in terris Nostris eodem Jure gaudent et utuntur, absolventes ipsos Valachos ibidem ab omnibus Juribus ruthenicalibus, ita ut de caetero eodem Jure Ruthenico non judicentur nec judicare aliquis ipsos Jure Ruthenico presumat, damus etiam et tenore praesentium asscribimus prata dictis Valachis ad eandem medietatem silvae spectantia in cujus rei testimonium etc. Datum in Bełsz Feria tertia post Ascensionem Domini Anno ejusdem millesimo quadringentesimo vicesimo quarto. Metr. kor. ks. XXXV. (2) R. 1472. (3) Anno Dom. 1472. d. Zbroschek Tryb. Bełz. Contr. Exact. (4) Księga poborów województwa bełzkiego z 1510 r. (5) Ks. Pob. W. Bełz. z r. 1533. (6) Ks. Pob. W. Bełz. z r. 1472.

księciu Teodorowi Czetwertyńskiemu (1532) (1); między widłami Ikwy a Styru w Morawicy ks. Wiśniowieckich, spotykamy Wołochów z 300 owcami (1572), a nad Styrem, już za Łuckiem, w Ołyckich dobrach ks. Radziwiłłów, oni także z 500 owcami (2).

Na pysznéj dolinie Bugu, od samych źródeł, gdzie jeszcze się daje utamować wiejską groblą, założyli wieś Rudę nad Bugiem i Jazienicą, Hrycz ojciec i Łukasz syn, kniaziowie, (1539). We wsi Sielcach nad Bugiem 12 gospodarzy i 280 owiec; w miasteczkach Dobrotwor i Kamionka, kilka dworzyszcz i kilkaset owiec (1543) (3); bo o ile na zachodzie stroniono od miast, o tyle na wschodzie rad był każdy znaleźć się blizko ścian zamków. Dalej nad Bugiem w Stolnie „Wołoch Tinko 200 owiec." W r. 1545 inwentarz wypisuje: „jest tu człowiek co owce chowa" (4); w r. 1565 już nieodróżniony od ciągłych gospodarzy. Stolno, otoczone wodami Bugu i dwóch jezior, wielce było sposobnem dla chowu bydła i koni: urząd starościński utrzymywał tu stado koni i kilkaset owiec. W Lubomskiém, w Bereszczu „200 owiec" (1510), Panas Walaschin 1 dworzyszcze" (1531) „tamże Wołochowie posiadają 300 owiec" (1538) (5), w Mosznem (Moszur) „Wołochowie posiadają 550 owiec." W Krasnostawskiém, w ziemiańskiéj wsi, Lipskiej woli: „Szeunia, Wołoch, 50 owiec" (1510); w dobrach Srebrzeszyńskich, w Grabowieckiém, we wsi Niemirów „Wołochowie 115 owiec" (1510); w Hrodleńskiém przy wsi Zabłocie, kilkaset głów owiec (1510); przy wsi Dubnie „140 owiec i 4 dworzyszcza (1538), potém 9 dworzyszcz (1564). Przed r. 1593 wieś przeniesiona na tamtę stronę stawu; na dawném miejscu założono miasto Dębno. W Chełmskiém, w ziemiańskiej wsi Łuków: „Ilowi Wołochi" (1510); w sosnowych borach Wereszczyńskich założono Wereszcze (1513) (6); Koszyn „3 Wołochów posiada 254 owiec." Koszyńska Wola, nad koszyńskiém jeziorem, obfitem w połowy linów i szczuk, a okolonem zewsząd żyznemi łąkami.

Przyłączymy tu resztę osad północnych, chociaż leżących poza granicami ziemi Bełzkiéj i Chełmskiéj:

(1) Metryk. Litews. ks. z r. 1532. (2) Ks. Pob. W. Wołyńskiego z r. 1572. (3) Inwentarz starostwa kamionackiego z 1544 r. (4) Inwent. staros. chełm. z r. 1545. (5) Księga poborów ziemi chełmskiej z r 1510, 1531 i 1538. (6) Metr. koron. ks. XXIX.

Kolno w Krzeszowskiem osadzone koło r. 1530 (1). Ożenna w Leżajskich lasach, w których zmienność meatów Sanu żyzne pastwiska sposobiła (2); Babicze i Różaniec, pośrod lasów Zamechskiego starostwa, nad rzeką Łybyną (3).

Dotąd wymienione wsie jedne zażywały pełnych praw wołoskich, inne tylko osadnicy z Wołochów zamieszkiwali. Na wzór tych i drugich, już mnogie wsie założone przez Rusinów, wołoskiego prawa zwyczaje przybierały, tojest w miejsce tywona, miały kniazia, i od bydła składały dziesięcinę. Do liczby tych ostatnich należą: w Bełzkiém Hrebienne i Pankow (założone r. 1546), Parkacz (1548), Kuliszkow (1553) na rzekach Racie i Swini; na gruntach wsi Sielce, Wola Dworzecka (1564) w lasach brzozowych, pomiędzy którą dębina i olszyna; nareszcie Rekliniec (1571) (4).

Że Wołochowie umiejętnie wybierali miejscowość, udowodniają to czynności następnych pokoleń; nieledwie wszędzie blizko ich wsi, lub na miejscu saméj wsi, miasto zakładano: wołoska osada, Mosty, przeistoczona w miasto Augustów; w Hrodleńskiém na miejscu ich dworzyszcz, we wsi Dubna, założono miasto Dębno; blizko Lubicza, niemal na samych gruntach wsi (1759) miasto Lubicza; blizko Stolna, miasto Opalin (1661); przy Teniatysku, miasto Potok (1789).

Powinności Lubicza tak opisują się (1508). „W téj wsi jest dostatecznie ludzi i dają względem podymnego gr. 44. Względem stacyi, kopę groszy. Względem wołu drugą kopę. Względem wieprza, trzecią kopę. Względem konia każdego roku kiedy strungę dają, dają kopę. Od każdéj sztuki bydła po półgroszku: kiedy więcéj mają, to więcéj dają, kiedy mniéj, to mniéj dają. Względem strungi dają 20ta owcę, co wynosi od 60 do 90 owiec. Mężowie wojnę służą z kniaziem. Wożą drzewo na oprawę zamku." Wereszcze spełniają listową posługę. Koszyn, przygotowuje kilka stogów siana, składa po półgroszka od bydła większego, szeląg od mniejszego i 20ta owcę. Owce sprzedawano lub na kuchnię obra-

(1) Księga metr. koron. CXVII: „villa vero Colna sedebit in jure Moldavico secundum Contractum quem fecerunt cum ipso Capitaneo, tenebuntur laborare in decursum anni octo dies." (2) Lustr. z r. 1564. (3) Inwent. staros. zamechskiego z r. 1569. (4) Lustr. z r. 1564, 1616, 1664 i 1789.

cano. R. 1565 „z Koszyna 12 owiec strungi, które zapędzono do Radomia, na kuchnię J.K.M." (1). Mógł zaiste Jagiellonid pochwalić się, gdy pieczywa na złocistych półmiskach obnoszono pomiędzy senatory i ziemskie posły, za dębowemi stołami siedzące, z owocu pieczołowitości jego wielkich przodków dla ludu.

Wołochowie tém odznaczali się, iż nie składali żadnego czynszu od ziemi, iż nie odprawiali żadnéj folwarcznéj roboty, lecz tylko opłacali od bydła i dwudzieszczyznę czyli strungę od owiec. Gdy innego prawa kmiecie, popi, młynarze składali wojenne (po gr. 12 z łanu), okupując posługę osobistą, Wołochowie wolni byli, ponieważ osobiście służyli na wojnie. Skupienie w gminę, pod sterem kniaziów, stanowiło ich wyższość przed ustrojem ruskim, a zachowanie spółek czyli dworzyszcz, wyższość przed niemieckim, w czém była razem i przyczyna ich powodzenia. Jedno i drugie nie było obce i wschodnim osadnikom. Wewnątrz ich osady podzielone były na mocne zasobne jednoty spółki; na zewnątrz w obec urzędu, drobnostkowe jednoty skupiały się w potężniejszą jednotę, gminę. Ten ustroj mógł należycie rozwinąć wewnątrz bogactwa przez pracę i obronić tę pracę od wszelkich przeciwnosci zewnętrznych: spółka dworzyszcze, były niby nasieniem dziwnéj rodzajności w żyzną ziemię rzuconem, a gmina niby szklaną osłoną, którą biegły ogrodnik w cieplarniach pierwiastki drogiéj rośliny ochrania.

Skupienie w gminę, po urządzeniu niezbędnych zasobów porządnego życia po wsiach, pozwoliło Wołochom zająć się ulubionemi im zatrudnieniami przemysłu: budowaniem młynów, foluszów i blechu. Na Racie wystawili piłę i wyrabiali deski. W Woli Dworzeckiéj „jest koło pilne, które sprawuje 2 pilije razem" (2); mieli blech dla bielenia płócien, hutę szklaną w Pańkowie; kamienna góra nad Lubiczem wznosząca się, pobudziła do wyrabiania młyńskich kamieni; poddani Wierzchraty użytkując z wapiennych pokładów okolicy, w kilkunastu piecach wypalali wapno. Wołochowie przyczynili się do zastosowania wody jako czynnika; ręczne żarny

(1) Regestr. de anno 1546.
(2) Inwentarz starostwa bełzkiego z r. 1571.

pomiędzy ludnością rolną dotychczas były najpowszechniejszemi. Bereszcze w Lubomskiém swoim kosztem wystawiło młyn na Bugu o 6 kołach i siodmém na folusz; prace podjęte dla zatamowania Bugu, dla uniknięcia szkód podczas wezbrania się rzeki, poruszanie odrazu sześciu kół i jednej stępy (1), obudzało podziwienie w chłopach okolicznych, przywykłych dotąd do ręcznych żarn lub samego określonego użytku wody, jako czynnika, z kołem o kilku łokciach średnicy. Niejeden chłop z Ratna i Lubomla, idąc ílisem w okolice, zdumiony przysłuchiwał się potężnemu turkotowi, posępność lasów przerywającemu, jak teraz wiejski mieszkaniec milcząc przypatruje się parowcowi poraz piérwszy na żelaznej kolei pędzącemu; żegnał się mniemając, że złego ducha odpędza; i poczęło krążyć mniemanie, które i dotąd istnieje, że zły duch pod młyńskiém kołem łożysko swe zakłada. Po wsiach w pomroku nocnym, kiedy po chatach światełka jedno po drugiém nikną, o czyją duszę nie odbił się dzwon, na dzwonnicy wiejskiej posępnie brzmiący, lub szeleszcząca woda, gdy z szumem spada z łotoka; tamten jako ciągły bogomodlca, ta jako wielka niewolnica, zastępująca pod sterem rozumu słabe ręce ludzkie. Im kraj zawdzięcza ulepszenie w budownictwie; w Woli Dworzeckiej wystawili śpichlerz taki, iż z okolic przyjeżdżano patrzéć, jakito przybysze „na włoski sposób" sklecili budynek. Naoczny świadek szczegółowo go opisuje: „nad stawem śpichlerz, niedawno zbudowany na standarach na łokicz zwisz od zyemye opierzony draniczamy dębowemy, spodek wsitek położony tarcziczamy, przy iedney stronie sąsieków 5 źrebistych. Sam wszitek śpichlerz pobithj gontamy, a szczithi tarcziczamy zabite po włosku." W Kamionackiem osiadło kilka dworzyszcz w Sielcu, i już zjawiła się piła, a w zamku „pistrina nova ex elegantibus roboribus constructa, atque Braxatorium" (1535).

Wszystkie dzielne pokolenia kochają się w fundacyach pobożnych, kochają się w kamiennych odlewach tęsknot życia. Idąc po téj drodze, Wołochowie przyłożyli się do fundacyi klasztoru XX. Bazyljanów przy Lu-

(1) R. 1510.

biczu, przez nadanie pól i łąk gromadzkich (1678). Nie jestże powinnością naszą streścić usługi przez Wołochów ludowi przyniesione?.. Im winniśmy na odzież sukno wołoskie (pannus Valachicus). Mało kto, a tém mniej chłop pomny, że to brunatne sukno, co zdobi plecy naszych włościan, zawdzięczamy Wołochom; iż ono najprzód zpod ich foluszów wyszło, a mnożąc się coraz po całej przestrzeni, stało się dostępniejszém dla ludu. Im także winni jesteśmy płótno lepszego gatunku, a osobliwie sztukę bielenia; polepszenie rasy owiec, sztukę ich chowu i rozmnażania; rozpowszechnienie czabańskich wieprzów, i poprawienie, odmiany miejscowéj przez krzyżowanie jéj z tamtą; poprawę rogatego bydła przez wprowadzone rasy węgierskie. Nareszcie, z nielicznemi na niemieckiém prawie wsiami, przeniesienie posiadanych ról na prawo zakupne (Empticiis).

Zasadę o zakupności roli kmiecéj, prawo wołoskie wraz z niemieckiém zatwierdziło. Zasada ta nie była obcą dawnemu zwyczajowemu prawu, ale wołoskie i niemieckie więcéj piśmienne, nie odmieniając w treści, opisało jéj zewnętrzną stronę: z zakresu zwyczaju, w zakres prawa pisanego wprowadziło. Dowodem, że prawo o zakupności roli nie wynikło z prawa wołoskiego i niemieckiego jest, iż w żadnym z przywilejów względem tych praw wydanych, częstokroć nader szczegółowych, nie znajduje się wzmianka o téj zasadzie, a zastosowanie zasady jest wszędzie w mocy. Przeto możemy z pewnością twierdzić, że wynagrodzenie kmieciowi za ulepszenia w roli i za budynki zawsze było obowiązującém, a wołoskie i niemieckie prawo opisało tylko warunki, sposób jak się miało odbywać. W królewszczyznach żaden kmieć nie mógł być ruszony bez przyzwolenia królewskiego i bez wynagrodzenia. Zasada ściśle przestrzegana w XVItym wieku, szczęśliwie zastępowała prawo własności ziemskiéj, zastrzeżone bezwzględnie na korzyść szlachty; przez nie unikano dwóch krańcowych ostateczności: dążenia do skupienia własności w małéj liczbie rąk, a przez to obrócenia reszty ludności w niewolników lub wyrobników, albo przeciwnie rozdrobnienia własności, przez co wszelka własność ziemska ginie pochłonięta własnością państwa. Dziesięcina w naturze od bydła,

wnet do niektórych innych gałęzi gospodarstwa rozciągnięta, wprowadzona przez wołoskie osady na Ruś z Węgier, gdzie kanoniczne prawo mocno kraj zagospodarowało, nie tyle co inne zwyczaje wołoskiego prawa zasługuje na pochwałę. Odmienienie zasady podatku po pewnych przeciągach czasu, dla utrzymania stosunku między podatkiem a przedmiotem od którego się on płaci, jest koniecznością. Dawne prawo miejscowe, wybierające powołowszczyznę, przypuszczało pięcio i siedmioletnie przedziały. Konstytucya z r. 1562 naznaczyła pięcio letni przeciąg dla odbywania lustracyi, a przeto i odmiany w zasadach do podatku służących. Wołoskie prawo wprowadzając dziesięcinę od bydła, i przypuszczając przez to samo rok roczną odmianę, każdoroczne obliczania produkcyi, i stosowny podział skarbu z producentem, mogło zniechęcać ostatniego; mogło niejaką drażliwość zrządzać to ciągłe wtrącanie się urzędu w gospodarstwo chłopskie. Mając niby na baczeniu ciągłe utrzymanie stosunku między podatkiem a produkcyą, na tę ostatnią ciążyła nieznośnie, podatkując zarówno pierwociny i zmężniałą produkcyą.

Pozostaje nam mówić nareszcie o początkach i wzroście wielkiéj uprawy, która ze wszystkich poprzednich środków najbardziéj przyłożyła się do podźwignięcia Rusi.

Wszystkie wsie, według tego jak, uiszczały się z powinności, rodzielały się na robocze (in servicio, serviles, servi, służkowie), danne (dacionariis) i czynszowe (in censu).

Robocze wsie, servi regales, jak one siebie nazywały, rościły sobie prawo być wolnemi od wszelkich poborów. Poborcy nie wiedzieli jak z niemi postępować; w księgi wpisywali: „wzbraniają się oddawania poborów; powiadają, iż nigdy przedtém nie dawali". Pomiędzy ludnością, nad którą teraz się zastanawiamy, roboczych wsi było 25 (1). We wsiach roboczych robili 6 dni na tydzień: od południa do wieczora, lub od

(1) W ziemi chełmskiéj: „Ochoża, Rozdziałów, Strupin, Wolajowce, Plisków, Sliepce, Krzywice, Żmodź, Dryszczów, Koczów, Zorawica, Siedliszcze, służą do zamku chełmskiego; Polhborce, Myeniany, do zameczku rubieszowskiego; Wielibiecz, Lipie, Piaski, obrócone do

rana do południa (1). Dawne wsie były dacionarii in castores, dacionarii in mellificiis, inne składały siano, owies, kuny, sokoły, krogulce, jaja, kury i kapłony. Lubomski jeden kmieć składał 7 sani do roku; chełmski 20 kłód soli na solenie ryb. W czynszowych, zmieniała się ilość czynszu: za piérwszego z Jagiellonów składano po 8 skotów szerokich groszy z łanu (1394) (2); za trzeciego po pół grzywny (1497) (3); po jednéj grzywnie za Zygmunta Iśo (1523) (4), po półtory za Zygmunta Augusta; za piérwszego wybieralnego króla po 2 i 2½ grzywny. W jednych starostwach wsie były więcéj danne, w innych więcéj czynszowe. Biedność i trudność kommunikacyi w Lubomskiem nie wydoływały czynszowi: dań miodu i owsa wynosiła tam summę fl. 800, a pieniężne opłaty (fumalium cum censu) tylko fl. 160 (5). W Bełzkiém dań (miód fl. 314, owsa fl. 130; strunga od Wołochów fl. 140) równoważyła się z czynszem; piérwszego wybierano fl. 515, drugiego fl. 590 (6); w Chełmskiém taż sama równowaga: czynsz fl. 190, dań fl. 150 (7); w Rubieszowskiém i Krasnostawskiém, nad samemi rzekami spławnemi położonych, summa czynszów przechodziła summę dani: dani fl. 30 i 66, czynszu fl. 282 i 237 (8). Dla osepu urzędnik ukazywał na polu chłopa obszar, na którym wysiał się korzec nasienia; wszystko co na tym obszarze rodziło się, należało do skarbu; w innych wsiach poddany składał tyle korcy osepu, ile korcy dla siebie zasiał. Dań miodową każdy gospodarz składał od dwóch do trzech rączek, lub po 2 gr. od leziwa.

posługi do zameczku krasnostawskiego." (Księgi poborów z. chełm. z roku 1533 i 1535). W ziemi Bełzkiéj Mikulin, Kłathwy, Husznica, służą do zameczku Thissowieckiego; do zamku bełzkiego Góra, Tusków, Nuzmy, Kulików; do innych zamków: Kładnyow, Wydzinica, Theylów." *Regestrum villarum quae in servicio residente* z r. 1535.

(1) Labores vero horum uno modo quo eis libuerit obire tenebuntur, aut tribus diebus integris septimanatim, aut singulis diebus in hebdomada per dimidios dies incipiendo tum mane ab ortu solis ad meridiem. Ks. assessor. koronnéj z r. 1566.

(2) Scultetia v. Lukowa in dist. Krzeszovien. Ks. metr. kor. XXIX.

(3) Venditio Scult. in Drohomisl. Ks. metr. kor. CV.

(4) Litterae Incolarum v. Camionka. Ks. met. kor. LXXVIII.

(5) Regestr. Capitaneati Lubomi. ab an. 1546 ad a. 1554.

(6) Regestr. C. Bels. ab an. 1544 ad a. 1551.

(7) Regestr. C. Chelm. de an. 1544 ad a. 1551.

(8) Regestr. CC. Crasnostav. et. Rubiesz. de an. 1545.

Przy oddawaniu osepu i dani miodowéj przez wsie, zachodziły ciągłe spory o miarę; mało połączone handlem nie czuły potrzeby sprowadzenia jéj do jednéj stopy. Każda włość, niemal każda wieś miała swoję miarę: inna była miara zamkowa, inna miejska, a inna na włości; w jedném miejscu dawali miarę wierzchowatą, w drugiém równą. W niektórych wsiach chełmskich, jedni chłopi dawali miarę lubomską, drudzy chełmską, inni lubaczowską. Konstytucya z r. 1565 a jeszcze bardziéj handel gdański zniewoliły do zaniechania miar dawnych (1).

Między osiadłą ludnością pomieszczali się hultaje: byli oni wolni od poborów, danin, czynszów i robocizn (2). Po włościach żyją ludzie należący do warstwy pośredniéj pomiędzy szlachtą a chłopami: w Krasnostawskiém zowią ich manami; w zabużańskich włościach bojarami, grodzanami. Lustratorowie w XVI-tym wieku z zadziwieniem natrafiają w jednéj wsi Lubomskiej na człowieka „co się mieni być Scartabellatus." W południowych okolicach są służkowie, których lud kniaziami także nazywa: potomkowie tatarskich jeńców.

Tu właśnie, na granicach Litwy i Polski, gdzie kończy się działanie Statutu Kazimierzowskiego, a poczyna się litewski, uderza nas różnica w stanie czeladzi dworskiej. Wdzięcznie nam spotkać czarną izbę

(1) Do zboża: korzec równy bełzki i wierzchowaty kamionacki podobne hrodelskiemu; hrodelski większy od chełmskiego miarką młyńską; maca rateńska podobna korcowi chełmskiemu; korzec krasnostawski równy 2 korcom lubelskim, a 3 lubelskich równały się 1 gdańskiemu, przeto 22½ korcy krasnostawskich równe były 45 lubelskim, równe 60 gdańskim, tojest: 1 łasztowi. Używano także miar przemyskich, samborskich, solskich i lubaczowskich. 100 kłód przemyskich wynosiło samborskich 163 i 1 wiertel (korzec); samborskich 68 kłod zawierały solskich 50, a samborskich 70 mieściły drohobyzkich 50. W Lisiaticzach kłoda ma 8 miarek, miarka 2 mace. Lubaczowski korzec ma 4 mace, a maca 4 korczyki.

Do miodu: w beczkę śledziówkę wchodzi 3 ćwierci *(quarta)* miary chełmskiej, a w ćwierć chełmską wchodzi 3 rączki *(manualia)*, a w rączkę wchodzi lipiecznicz 3; 2 rączki miary lubomskiej wchodzą w jednę rączkę miary chełmskiej; ćwierci hrodleńskich półtrzeci, robi jednę rączkę; w Łopacinie półtrzecia belecz uczyni jednę rączkę *non magis sub mensura*; 4 kuniki stryjskie uczynią 1 lubaczowski, a 32 kuników lubaczowskich stanowią 1 kłodę; w kłodzie 4 korce, w półmiarku 4 kuniki.

Zboże składano w brogi, do liczby 30 kop ściśle ograniczone; stogi czyli sterty do 40 kop; siana stog *(artonus)* kop 60 *(capecias)*.

(2) We wsi „Potarzynie, Choma, Kuzma, Sanko hołtagije, nihil tenent nihil dant." Regestr. C. Bełz. de an. 1508.

nad Bugiem oświeconą wyzwoleńczym promieniem z Watykanu spadającym; po polskich folwarkach czeladź wolna i najemna, w litewskich czeladnych izbach mieści się niewolna i zakupna. Nigdzie usposobienie moralne dwóch światów nie odbija się jaskrawiéj. Pod sterem dwornika i dworniczki w polskim folwarku, chowa się czeladź odbierająca sukno bieckie lub ćwikowskie; służebnéj kobiecie oprócz myta, dawano przysiewek w ogrodzie w konopiach i lnie; pastuch z przypłodu odbiera cielę. W Krzemienieckiém, w granicznym zamku, pod władztwem litewskiem zostającym, izba czeladna inny widok przedstawia: tu niewolnik i niewolnica, tak jak ich przedchrześciański wiek pojmował. Stare niezamężne dziewki, kobiety z dziećmi bez mężów, dzieci niemające ojców; pośród kilkunastu mężczyzn i kobiet zaledwie jedno stadło zamężne. Zdaje mi się że wyczytujemy cały stek nieszczęść niewolnictwa w tych krótkich spisach czeladzi litewskiéj (1).

Jeszcze jeden rodzaj ludzi, ostatki licznéj klassy skomrochów, bardów słowiańskich, ma zwrócić naszę uwagę. Bełzka ziemia wydała mnogich gęślarzy ludowej poezyi. Dwie wsie, jedna w Sokalskiém, druga w Grabowieckiém, dotąd noszą nazwisko Skomrochów. Jest podobieństwem, że Mitus, jedyny głośny pieśniarz, którego imię historya przechowała po Bojanie, był rodem z chełmskiej lub bełzkiej ziemi. Tu i owdzie po przedmieściach, po wsiach dopatrzyć możemy tych bardów ex professo ludowych. Przy ściśnieniu ludowego życia, świat urzędowy lekceważył ich, poczytywał za jedno z hultajami. W Busku (1507) „de hominibus ociosis, cytharides, ausculistarum alias olthaje"; w Starym Gródku „vagus alias musicus"; w Stojanowie „vagus alias duda;" w Hrubieszowie

(1) „Pawluk parobek, żona jego Doca, dzieci 2; żonka niewolnaja i doczka Barbara; żonka Jagnieszka i syn; Katerina stara i syn; dziewka Jagnuszka; parobek Piotr; żonka Jadwiga z dwie doczki i syn; dziewka Haluta." W innym folwarku, „Rykunia Olena, syn jéj Janko; żonka Barbusza, bardzo stara; syn u niéj Pratorik lath ma 17; żonka Katerina ma syna Szimka, ma lath 5; dziewka Hanna liath dorosła; dziewka Barbara lath iey 13; dziewka Magdalena; dziewka Marusza lat iey 15; dziewka Katarzynica lath 8; dziewka Barbarzyca lath iey 8; parobek Stusznik lath iemu 14; parobek Łukasz lath 18." Inwentarz starostwa krzemienieckiego z r. 1548.

„vagus dicto skrzypek.” Ich koczujące zwyczaje zrażały poborców i regularność rejestrów poborowych: zbierający powtórną ratę łanowego, nie znalazł skomrocha, z którego rzemiosła wziął w piérwszém półroczu g. 12, i dodaje „vagus alias duda pro hac vice aliunde transmigratus.” W 1578 zostawało w całéj ziemi bełzkiej 6 ausculistarum. Żalem jesteśmy przejęci na ten widok, bo gdzie kończy się pieśń, poczyna się zła myśl; bo tylko słodki dźwięk struny i głosu łagodzi bolesne drgania życia: w obozie Chmielnickiego żadnego gęślarza nigdy nie bywało. W początku następnego wieku, jeden z starostów więcéj uwzględniający potrzeby ludowe, widząc w Rohatynie (Rohatyn zdawna sławny był swemi skomrochami), kilkanaście familias musicorum, utworzył cech muzyczny, jedyny na Rusi, i tam naśladowce Bojana i Mitusa znaleźli przytułek pod opieką magdeburskiego prawa.

Początków wielkiej uprawy nietrudno odszukać. Król Władysław (w XV w.) nadając kanonikom kapituły chełmskiéj grunta, zaleca im założenie folwarków (praedium); ale właściwiej wielka polska uprawa, której towarzyszyć ma przymusowa robota i przytwierdzenie do ziemi, poczyna się od wzrostu handlu gdańskiego i odkrycia Ameryki.

W r. 1507 w Bełzkiém, na 348 wsi, było tylko 119 z których dziedzice płacili pobór czwartéj części czynszów, tojest, iż tylko trzecia część wsi nie miała folwarków, lecz zostawiona była drobnej uprawie. Za szlacheckiemi dobrami poszły i królewskie; do czego przyłożyli się bracia Tęczyńscy, którzy posiadając dobra w Polsce, świadomi byli z doświadczenia jak ogromne wydawało rezultaty folwarczne wielkie gospodarstwo, już powszechne w nadwiślu, w porównaniu z drobną uprawą, jeszcze wszechwładną nad Bugiem. Wynikiem szerzącej się tej dążności będzie następnie Statut Toruński z r. 1520, nakazujący poddanym odbywanie jednego dnia robocizny na tydzień, i to jest piérwsza urzędowa intronizacya wielkiej uprawy. We 25 lat późniéj, Bug okrywa się już komięgami, owocem wielkiej uprawy. Komięga brała do 20 łasztów popiołu, od 20 do 50 korcy zboża. Według wielkości wody, dzielono na trzy czę-

ści podróż: 100 łasztów odprawianych z Bełzkiego „z powodu wązkości łoża Bugu" na 5ciu komięgach, w Drohiczynie przeładowywano na 4ry. 10ciu ludzi na komięgę zaciągano do Serocka, a z Serocka połowa ich wracała, ponieważ dostateczna woda na Wiśle już nie wymagała tylu ludzi; oprócz tego do kilku komięg dawał się bednarz i kucharz; na 3 komięgi po 1 „czalownikowi", któremu powierzało się strzeżenie bezpieczeństwa komięg z boków (a lateribus); cały karawan był pod przewództwem „przednika." Gdy ruszały się z przystani komięgi, goniec pędził wprzód z listem królewskim dla oznajmienia, ażeby usuwano groble, mosty i tamy; na Wiśle godzono rotmanów, a w Gdańsku tragarzów. Wszystka czeladź była za najmem: łatwo było ją poznać we wsiach w świąteczne dni, po sukmanach z tak nazwanego lisowskiego sukna. Spławiane zboże i popiół, w Gdańsku oddawano na ręce Jana Kopa „factoris silvarum R. M. in Magno D. L." Z jednego Rubieszowskiego spławiano do 3,000 korcy zboża, niemniej i z innych starostw (1545). W następnych latach coraz zwiększa się produkcya. Dochód od zbóż folwarcznych stanowił ogół dochodu:

w r. 1545 w Rubieszowskiém	$^1/_2$,	a w r. 1564	$^2/_3$.
Krasnostawskiém	$^1/_6$	—	$^5/_7$.
Chełmskiém	$^1/_7$	—	$^2/_3$.

Chów bydła nie mógł iść w współzawodnictwo z uprawą rolną: ceny zbóż, jako przedmiotu zagranicznego odbytu, były stosunkowo korzystniejsze dla rolnika (łaszt zboża wart był w Krasnymstawie f. 12, a już w Toruniu f. 20, r. 1545), niżeli cena wełny, przedmiotu mającego tylko odbyt krajowy (1). Owca dwa razy strzyżona, dawała jeno na rok 1 gr. dochodu. Do tego mogły przyłożyć się jeszcze częste zarazy: w zabużskiéj włości zostało tylko 5 starych owiec i 3 jagnięta (1512), reszta powymierało; „skóry ich złożono w zamku." W Bełzkiém (1545) urzędnik sprzedał wszystkie owce „ponieważ u ludzi owce giną od zarazy"; w Lubomskiém „latosze owce wszystkie powyzdychali (1570)"; w Bełzkiém „wszitkie owce ludziom pozdychali, jeno u kilku zosta-

(1) Reg. teloneatum Chelm. et Belz. ab an. 1545 ad an. 1554. Wełna nie stała w liczbie artykułów handlu Rusi z Gdańskiem.

ło (1571)." Chów owiec przeto nigdy u Wołochów nie przybrał znacznych rozmiarów: w ziemi chełmskiéj (1538) posiadali jeno 1100 owiec, w ziemi bełzkiéj (1546) do 4000.

Pod naciskiem tych okoliczności, wołoskie osady przyjęły uczestnictwo w ruchu rolniczym; zaczęły one porzucać chów trzody, a udawać się do rolnictwa. Już poborca r. 1510 zapisuje jako rzecz niezwyczajną, iż w pewnéj wsi w Buskiém żyją Wołochy „agros colentes, oves non habentes." Mocni swemi przywilejami, pomimo trzymania pól, sądzili się być od ciężarów z nich wolnemi, obstawając przy uiszczaniu się tylko według litery przywilejów, tojest z samych trzód. Nie chciały one wiedzieć, iż nowe zasoby oddane im do użytkowania, równolegle i do nowych poborów je zobowiązywały. Niesłuszność ich widoczna, ale czy to nie tkliwy widok, iż drobna gmina na łąkach Bełzy i Raty pojmuje swoje prawa tak żywo? W czasach gwałtów i przemocy, ciemnoty i bezprawia, kilku kmieci spór toczą o literę przywilejów, często ledwie czytelną. O jednym z nich komisarze tak się wyrażają: „o powinnościach, dla startych z pergaminu słów wyczytać niepodobnych, non constat: to tylko można było wyczytać, że to jest jakaś prefektura de more kniaziów." I urząd niecierpliwie znosił, a jednakże prawość brała górę nad przeciwnemi dążeniami (1). Przytaczamy w całości dekret króla, który ostatecznie przeniósł wołoską osadę z chowu bydła na rolnictwo, ponieważ lepiéj niż nasze słowa to przejście opisze (2). „Ze wsi Wirzch Rachanie przybyli do nas skarżący się na Stanisława z Tenczyna, jako na starostę bełzkiego, iż narzuca im nowe powinności, gdy oni już odbywają powinności według prawa wołoskiego, którego zażywają, i że za to iż nie złożyli po 1 grzywnie niesłusznie od nich wymaganéj, niektórych z nich wrzucono do więzienia. Starosta tłu-

(1) Piła w Żurawicach na które tarcice rzezać mogą kiedyby potemu był mistrz y tramów dostatek, ale isz tam nie może więczei tramow zrzezać ile ich ludzie wedlie powinowaczstwa swego uprzywilejowanego wywiozą, to iest Lubiczanie.

(2) Metryka litewska, księga XL. „Wirzch Rachanie cum suo Capit." R. 1548.

maczył się, iż nie uczynił tego dowolnie, lecz na mocy kontraktu z niemi zawartego, ponieważ gdy roku przeszłego zesłani komisarze zawyrokowali byli, iż skarżący zobowiązani zostali zawsze odrabiać po 1 dniu na tydzień zwyczajem poddanych innych wsi, a to dlatego, iż nie samemu swojemu prawu wołoskiemu ulegają które zobowiązuje tylko do samego chowu stad i trzód i do płacenia ztąd pewnego dochodu, ale także posiadają dużo pól według tego, jak innych wsi poddani nasi: przeto z prawa się należy, ażeby zwyczajem innych wsi i ciężary ponosili. Dlatego gdy, chcąc okupić należący się od nich z przysądzenia dekretu komisarskiego dzień robocizny, ułożyli się z starostą, ażeby każden któren pola posiada, po 1 grzywnie pewnego czasu do skarbu składał, a pokilkakrotnie upomnieni w naznaczony czas zapłacić nie chcieli, musiano z niemi prawnie postąpić. Król postanawia: mają dawać po jednéj grzywnie lub robić po 1 dniu na tydzień, a już wtedy nie obowiązani do robót, które przedtym po kilka dni do folwarku Rzeczyckiego odbywali, jako też przy błocie czyli stawie, oprócz naglącéj potrzeby, a i natenczas dni mają im być zaliczone w miejsce tygodniowych; wolni też mają być od posługi wojennéj do któréj podziśdzień byli obowiązani; wolni także od posługi konnéj ku rozwożeniu listów, do czego teraz są obowiązani: mają jednakże i nadal dawać kopę groszy, którą przedtym wspólnie składali staroście, ażeby być przez niego przy prawie wołoskiém zostawionemi. Nie mają już składać czynszu czyli dani po półgroszku od roboczych wołów, jak zwykli dawać od reszty wołów i bydła. Ma być im wymierzono pola i łąki w ilości, w jakiéj je posiada reszta wsi niezażywająca wołoskiego prawa. Na budowanie zamku bełzkiego dwa drzewa obowiązani przywieźć."

Jeszcze w ciągu tego wieku reszta wsi uległa takiemuż przeistoczeniu. Lubicza w 1548 „ponieważ ci poddani dużo pola posiadają przeciw zwyczajowi wołoskiego prawa, które go tylko mało mieć pozwala"; lubomskie, przez dekret króla Stefana (1578), kamionackie w skutek pomiaru (1589) (1), a zniszczone przez Tata-

(1) Inwentarz starostwa kamionackiego z r. 1589.

rów po bitwie cecorskiéj, nie zostawiło ani potomka, ani pamięci o dawnych osadzcach Wołochach (1622) (1).

Równowadze utrzymywanéj przez Zygmunta I, i po części przez Zygmunta Augusta, pomiędzy wielką a małą i średnią uprawą, zawdzięcza kraj ogromny rozwój wewnętrznego życia, ludność i liczbę uprawnych gruntów. Były wojny, były powietrza, były powodzie, ale to wszystko bezsilne, kiedy mądre, umiarkowane rządy sterniczą krajowi. Pieniądz, owoc wielkiej uprawy, powracał na grunt i służył do zaopatrzenia potrzeb kraju (bo historyk, który ściśle badał dzieje ludu, który zazierał w chaty i stodoły, nie wierzy, ażeby mozolnie zapracowany pieniądz szafowano tylko na zbytki, jak lubi powtarzać gminne zaskarżenie); miasta i wsie, król, szlachta i chłopi podwajają czynność. Zamki: bełzki jeszcze Mazowszan ręką stawiany, chełmski murowany przez Buczackiego, wielkiego budowniczego za piérwszych Jagiellonów, przez czas i napady Tatarów gruzami leżały. Teraz dziedzińce zawalone stosami drzewa „oprawnego toporem," gliny do oblepiania murów, desek do pokrycia blofarków. Z rozkazu „młodego króla" (natenczas świętéj nadziei ludu), wymurowano zamek w Bełzu „w miejscu sposobném i pewném dla obrony;" w Hrubieszowie, ażeby przez skupienie sił obronę uczynić skuteczniejszą, „ma się wymurować w środku miasta dom z blofarkiem;" w Chełmie polecono staroście wystawić „w dolnym zamku dwie baszty na rogach ku monasterzowi;" krasnostawskim mieszczanom kilkakrotnie w drodze łaski dawano po 100 florenów na wzniesienie warowni miejskich. Postawiono dwa mosty na Bugu pod Dorochowskiem (2) i Stolnem, dla prędszego przeprawiania się uchodzących ludzi z dostatkiem, podczas nieprzyjaciela. Na murach dotąd stały jeszcze starożytne wyroby młodocianości sztuki pociskowéj. Teraz Jagiellońskie „fuglijarze, półtoraśnice, roszkopy, samostrzały, hewary, pasy z klikami, sulice żelazne, capalijny" zastąpiono przez wylane w Krakowie arkebuzy, rusznice, sporządzone na

(1) Inwentarz starostwa kamionackiego z r. 1628.
(2) Metr. koron. ks. X.

urząd w Ołomuńcu hakownice i falkonety, „o łożach i kołach dębowych z lasów J. K. M. Drzewo pomalowano na czarno, okowanie na czerwono," i pomiędzy zamki rozwieziono (1). Założono nowe miasta (Tarnogóra), inne nie zażywające jeszcze prawa niemieckiego, obdarzono niém (Stojanów), utworzono cechy, oznaczono czas jarmarków. Wszystkie miasta opatrzono dochodami na wystawienie ratuszów, utrzymanie murów i na utworzenie pewnych miejskich funduszów. Na ten przedmiot król zrzekł się dochodów z woskobojni, postrzygalni, wagi, jatek rzeźniczych, pomiernego, korcowego (2) i najważniejszego, od szynkowania wódki (3); inne konsumcyjne podatki jedne zmniejszone, drugie zupełnie zniesione; między innemi sól, któréj cena tak blizko obchodzi dobry byt ludu, uwolniono od powtórnego cła, od rozdrobionej sprzedaży. Zachowano składy w Chełmie i Krasnymstawie, lecz nakazano nie ścieśniać prasołom wywożenia niesprzedanéj na targu. Zalecono starostom naprawiać drogi i groble w miejscach według ukazania celnika, a szlachta obwieszczona ma być przez woźnego pod karą stracenia prawa pobierania grobelnego, gdzie takie jest, na nieposłusznych. Nie jedno miasto zawdzięcza najważniejsze swe prawa okoliczności wzięcia na siebie moszczenia poblizkich grobli (jakoto Tysowce); inne wsie, nawet miasta założono szczególnie w zamiarze uczynienia przejezdnemi niektórych miejsc błotnistych (jakoto Most Augustów). Nieoledwie przy wszystkich naszych wołoskich osadach istniały błotniste groble, a celnik ciągle się skarży, iż chłopi niedbale opłatę wybierają. Gdy zawrzał handel zbożowy ku zachodowi, z północy przywożono futra, ze wschodu oryentalne towary (4), z południa woły, z zachodu żelazo

(1) Sequitur adnot. quidquid infusionem tormentorum. 1545.

(2) Proventum nostrum korczowe dictum oppidi Crasnystaw a singulis curris per 1 obolo pro commodo conf. r. 1543. Pomiarne, vectigal, a singulis coris frumentorum quorumvis emptorum et comparatorum nobis pendere soliti, na rzecz miasta Bełz. 1547. Metr. lit. ks. XL.

(3) Bełz. 1516. Hrubieszów 1526. Lubom. 1541. Tyszowce 1542. Met. kor. ks. XXIX, CXIII. LXIII.

(4) In Chełm. hoc anno Turci mercatores antequam non soliti venerunt per vocationem Ostrowski per Chełm. et Bełz. ad Leopolim (1548). Notandum quod Camera Chełm. ad litteras MR. transmissus est libere absque solucione Telonei quidem Turca Muslahedin Mercator

i sól (1). Regulowano się jarmarkami w Lublinie na Zielone Świątki i św. Judy, w Krasnymstawie na św. Kiliana.

Urządzenie ekonomiczne zwróciło uwagę. Dotąd dozór nad dochodem z dóbr królewskich, odbieranie pieniędzy od dzierżawców, spisanie rejestrów powierzano chorążym lub wojskim ziemskim; dowiadywano się o źródłach dochodów jeno ze słów poddanych; częstokroć burgrabiowie rzewnie wyznawali, iż zgoła nie utrzymywali rachunków dziennych i pożytków wypadkowych (2). Teraz oddzielono zarząd dóbr królewskich: ustanowiono jeneralnego ekonoma na województwa ruskie, bełzkie i lubelskie (3) (1558). Każdemu staroście wydano ordynacyą, według któréj urzędnicy zamkowi i czeladź folwarczna ma odbierać wikt i myto. Rachunki mają się zamykać z 31^{m} grudnia; pod ten dzień mają starości wnosić intratę do skarbu; zakazano rozpoczynania nowych budynków bez dozwolenia królewskiego, oraz zakładania woli i wsi po lasach. Według potrzeby starano się naprawiać i przyczyniać obory, stajnie, śpichrze, młyny, (4) kuźnice, rudnie (w Bełzkiém), papiernie (w Busku 1578); podnoszono groble, okopywano

cum mercimoniis ex Moskovia in 70 curribus per equos 2 singulum trahentibus, quae merces erant recondite in vasis videlicet pelles sabellorum, mardures, vulpine et cutis iuchti, a quo provenere debuerant ad nimis f. 1000 (1550). In Lubom. Alexander Armenus ad literas R. M. demissis sine solucione Teloneis a rebus et mercanciis Moskoviam devectis et iterum et Moscovia et Turciam devectis (1551). Ad lit. R. M. Muschlaiedzin Turca Merc. evexit mercium cur. 25 equos 100 eundo Masoviam. Item in redeundo cum mercibus cur. 130 equi 130. Greczin. Babtista in terrarum Turcarum evexit. ad litteras R. M. mercium pro fl. 4000 (1554).

(1) Barones et Nobiles per eamdem Cameram Crasnys. in diversa loca ad vendendum sine solucione Telonei non habitis litteris MR. temere et violenter pellerunt boves. Pal. Lubl. 750. Pal. Sandom. 327. Capitaneus Crasnos. Bogusz 403. Capitaneus Sokal. boves 100 juvencas 150. Pro Coquina RM. 157. D. Komecpol. juvencas 21, Stan. Osmolski juvencas 21 (1550). P. Lubl. perpelit boves 450, panni currus 2, per equos 6, ferri curru 1, equis 0 (1554).

(2) Aliud molendinum Piskorzew cum duobus rothis Burgrabius cum molendinatoribus ignorabant dicere quid ex eis provenit ad annum. Quia nunquam conscribebant nec karbowalij. Regestr. Castr. Coninens. 1510.

(3) Metryka koron. ks. XCV.

(4) W lubomskim młyn koński w którym słody mielą (1510), król Zygmunt sprowadza 2 młyny z Czech. (Pro molendinis duobus ex Boemia adductis dedi in manus d. Sacz. f. 250. Regestra wydat. królew. ks. z r. 1537). W bełzkim „młocarnia na słupiecz." (1571), we wsi Torki zjawia się pierwszy młyn wietrzny (1578).

sadzawki, obszerny staw pod wsią Klątwami w Tysowieckim wykopano i utrzymywano pracą Wołochów z Tarnawatki i Wierzrachani (1). Wystawione dwory a gdzieniegdzie wyprowadzone z muru, stały się sposobniejszemi do zamieszkiwania przez króla podczas przejazdów, lub do przytułku znamienitym wychodźcom z Wołoch i Moskwy. W Stolnie i Nowosiołkach chowano stada: utrzymywano dla zawodu, w piérwszém stadnika jabłkowitego hiszpańskich koni, w drugiém klacze tureckie. Zachęcano doktorów do osiadania po miastach i wynagradzano tych, którzy nieśli lekarską pomoc: „szlachcie i mieszkańcom wszelkiego stanu, bogatym i biednym" (2). Cerkwie uposażono gruntami lub dawne przywrócono, zapewniono dożywocie godnym parochom i ich dzieciom, jeżeli okażą się sposobnemi. Mieszczanie krasnostawscy biorą się do murowania cerkwi i pozwolenie króla pozyskują; na wystawienie zaś szkoły ustępuje Zygmunt August miejsca, gdzie przedtém był dwór królewski.

Liczba wsi w dobrach szlacheckich powiększyła się o jednę trzecią; w dobrach królewskich w dwójnasób (3). W Bełzkiéj ziemi r. 1472 było 298 wsi; we czterdzieści lat późniéj, 345, a w r. 1580, 458. W ziemi chełmskiéj r. 1510 było piętnaście miast i 364 wsi; w trzydzieści lat późniéj 60 miast i 690 wsi.

Zanadto szybki postęp po drodze statutem toruńskim wskazanéj, tamowały i zwalniały najprzód opór poddanych, pomnych na dawne zwyczaje i przywileje, powtóre ogromna powaga jaką miał Zygmunt I, ostatni król co skupiał w swéj duszy wszystkie promienie polskiego słońca, co nie poczuł strasznéj choroby rozdwojenia narodu. Najpiérwsze zastosowanie toruńskiego

(1) Regestr starostwa tyssowieckiego z r. 1545.

(2) Jan Mniszek starosta krasnostawski, nadając plac w mieście Krasnymstawie famato et excellenti viro Henrico de Buschia, Chirurg. atque Civ. Crasn. Metryka koronna, ks. CXXIII.

(3) W Chełmskiém (1510) 9 wsi, teraz (1564) jest 25; w Lubomskiém było 14 (1510), potém 20 (1545), teraz 25 wsi; w Hrodle wsi 9 (1510), teraz 12; w bełzkiém było 18 wsi (1510), a teraz 30; w Hrubieszowskiém (1510) było poddanych 6 w czterech wsiach, z których jeden miał konia, a teraz (1564) liczy 256 kmieci łanowych i półłanowych w 16 wsiach; w bełzkiém województwie w r. 1472 liczono osiadłych łanów 1646; w r. 1533, 747 łanów, a w r. 1564, łanów 2256; w ziemi chełmskiéj w r. 1533 było łanów 757, a w r. 1573 (ostatni rok w którym zwiększyła się liczba łanów) było ich 2359.

statutu uczyniono w Chełmskiém za kanclerza K. Dębińskiego (1530); w Leżajskiém (1531); w Krasnystawskich wsiach Nyemienicze i Zazablonye (1550), obowiązując poddanych do dwóch dni robocizny na tydzień (1). Ale to zastosowanie statutu gdzieś w mieście pół polskiém, pół niemieckiém wydanego, mające przełamać i starożytne zwyczaje, i prawa przywilejami królewskiemi zapewnione, natrafiło na źle przygotowane usposobienie. Obcy przeszłości Rusi, poddani patrzyli z niedowiarstwem na źródło, z oburzeniem na skutki; przeto nigdzie nie przyjmowali potulnie: wszędzie jakby chcieli z ust samego króla potwierdzenie nowego prawa usłyszeć. Dotąd uznawano, iż król ze szlachtą stanowią prawa w przedmiotach politycznych. Statut toruński przybrał powagę prawodawczą w przedmiotach ekonomicznych, które dotychczas zostawiano prywatnym układom, i stanowił o nich bez wiedzy kmieci. Mandat zaś jeszcze z r. 1545 uznawał przeciwne zasady, bo mając na celu ulżenie podwodowéj służby, wzywa do narady przedstawicieli miast i wsi, „ponieważ zaocznie stanowić o nikim nie wypada" (2). Pobyt króla w Krasnymstawie r. 1558 powinien zwrócić naszę uwagę i chociaż szlachecki historyk owych czasów nie znalazł nic godnego do opowiedzenia, my wykażemy, iż od sejmu w Toruniu nie było ważniejszego dnia dla Rusinów. Jeżeli mało na nim zebrało się szlachty, to tłumnie zgromadzili się chłopi, ze wszystkich okolic Rusi (3).

Wśród niedawno jeszcze wyprowadzonych z kamienia murów piérwszego dnia miesiąca sierpnia, czarodziejskiego w tamtych okolicach, kiedy świeża woń topoli, dębów i lip przesiąka zlekka powietrze, stały gromady, każda oddzielnie, pośród dziedzińca. Dworzanie królewscy, przywykli biegać od krańca do krańca po kraju, poznawali i ukazywali dworowi, która gromada z którego kąta kraju przybyła. I bez téj znajomości, po budowie ciała, po rysach twarzy łatwo było rozróżnić nadbużskiego kmiecia, wprawionego w wiel-

(1) Metryka koronna, księga LXIX.
(2) Mandatum ad CCeos. Met. kor. ks. LXVIII.
(3) A w roku 1558 zjazd był w Krasnymstawie, ale się tam nie wiele zjechało było, zaczym król do Warszawy się ruszył. Dzieje w Koronie polskiéj Ł. Górnickiego.

ką uprawę, od kmiecia z górzystych okolic Sanu i Dniestru, zażywającego większéj swobody przy drobnéj uprawie; już zgniecione są plecy i czoło u piérwszego od robocizny, jak od ciężaru ołowianéj korony. W koszuli z konopnego włókna, łapciach lub grubych chodakach, okryty siermiężką białą: to chłop zza Prypeci; obok niego w strojnéj brunatnéj sukmanie poddany Bełzki, przy czerwonym pasie i kołpaku falendyszowym lazurowym. Haliczanin, przywykły bić się i kupczyć z Tatarem, przywdział koszulę jedwabną, bóty żółte tureckie, inderak siny, luński lub muchajerowy, z srebrnemi kolcami; górale znad Strwiążu odznaczają się lisiemi lub rysiemi kołpakami, kożuchami i cięgaturami węgierskiemi. Wśród ich milczącego tłumu łatwo odgadniesz po poważnéj postaci Demka, kniazia z Ustryk, co niemiłosiernie łotrzyków ściga i zacięcie obstaje przy prawach krain. U samych kamiennych podwoi, przy szablach w pochwach juchtowych, czekają na posłuchanie królewskie bojarzy z Lubomskiego w czerwonych żupanach, pas lity z jedwabiu i srebra, a czapka z ogonków marmurkowych. Nareszcie w kosztownych karazyowych ferezyach mieszczanie, którzy przybyli popierać sprawę swoich przedmieść, nieprawnie pociąganych do robocizn.

Ogólny głos poddanych obwiniał starostów, że wymagają pszenicy, owsa i miodu miarą niezwyczajną; że wybierają po jednym wole na każdy przyjazd starosty „względem pokłonu" i biorą runo od owiec; zmuszają do wożenia drzewa „bortniczego" nietylko na potrzebę starosty, ale i dla sąsiadów szlachty; zabraniają wyrabiania gontów, desek z lasów; wymagają opłaty od dziewek i wdów, większéj niż zwyczaj niesie w ziemi bełzkiéj (od piérwszych po gr. 12, od drugich po gr. 30); wzbraniają wożenia piwa i miodu, a szynki oddają w arendę tylko żydom. Że biciem srogiem ciemiężą, z urzędników sprawiedliwości nie czynią, a nadewszystko, iż nieznośną tygodniową robocizną dręczą i niszczą włości (1).

Miarkując skargi dekretami tego roku i kilku lat następnych, stacyą składaną przez poddanych, gdy zje-

(1) Akt. sąd. ass. 1558—62. ks. 14.

żdżał król do poblizkiego zamku, zamieniono na daninę stałą rok rocznie wybieraną. Na przyjazd króla, starosta miał dostarczać żywność po cenach wolnych, lub poprzednio w kontrakcie urzędowym oznaczonych. Stacye na starostę i urzędników, pod nazwą cześci, krasnych jaj, pokłonnego, poddanego, tylko wtedy przyjmowane być miały, gdy z dobréj woli poddani zechcą dwór uczcić.

Wsie zostające dotąd na feudalnéj posłudze, koniuskiéj, ciesielskiéj i podwodnéj, zostają obrócone w robocze. Na krasnostawskim zjeździe zastosowana robota tylko do wsi koniuskich przemyskich; a tę samą myśl we dwanaście lat późniéj, zastosowano i do chełmskich. Dekret z r. 1570 potwierdził układ zawarty pomiędzy starostą a wsiami Koczów, Strupin, Krzywice, Rozdziałów większy i mniejszy (koniuskie) i Dypułtyce (podwodna), i nakazał odbywanie trzech dni z pół łanu. Starosta (ażeby uczynić przeistoczenie powinności mniéj bolesnem) przyrzekł, iż roku bieżącego ograniczy się do dwóch dni na tydzień (1). We wsi Ochożéj (ciesielskiéj), wzięto grabieżem dwadzieścia sztuk bydła „ciężayąc ye przetho isz się na te robote dniową poddać nie chcieli," a gdy urzędnik dowodził „że cieśliów iuż do zamków nie potrzeba, isz większy pożytek będzie gdy do folwarku robić będą," zostało postanowiono „że iusz nie cieslamy a iusz rolnikami albo kmieciami być i powinności kmiece nieść mają," tojest cztery dni z łanu (2). Inne stany, które przemysł utworzył, bartnicy, rybołowy, strzelcy, młynarze dziedziczni, pociągnięci także do robocizn folwarcznych, a ich rzemiosła ustały lub bezpośrednio folwark z nich użytkował (3). Skutkiem tak przesadzonego skłonienia ludności do roli, musiał upaść wszelki przemysł; płótnami zarzucał Szląsk, sukno szło z Biecza, kożuchy z Moskwy i Krymu.

Wielka uprawa potrafiła skierować i wyrabianie napojów ku swemu bezpośredniemu użytkowaniu. Daw-

(1) Ak. sąd. ass. ks. 18.
(2) Ak. sąd. ass. ks. 14.
(3) W Krasnostawskiém ciągle wypada wycinać drzewo na budowanie komięg, ztąd niepokój barciom i one niszczeją (1546). W Bełzkiem jazy zakazano stawić dla thego że szkoda wielka była bo ribi ku wodzie idącz o ich jazy opierały się (1571). W Stolnie barci nowych przyczynić nie dopuszczają i barci ich na węgle rąbią (1631).

ny tryb rzeczy zmieniano powolnie (1). Na początku zastrzeżono, ażeby słody poddani brali tylko w młynach folwarcznych; cena nie miała przewyższać ceny w pobliższych miastach (2); następnie pozwolono wyrobu tylko podczas praźników, chrzcin, pogrzebu i wesela; nareszcie i w tych zdarzeniach ustanowiono opłatę, która coraz powiększana sprawiła naostatek przekonanie iż wygodniéj brać od arendarza napoje, niźli je samemu robić. Napój dla ludu przedmiot rozległego użytku, znaczną część zarobkowego grosza zużywał; dopokąd wyrób i jego sprzedaż w rękach ludu zostawały, kapitał odpowiedni, pomiędzy nim krążył; od czasu jak stopniowo przechodzić poczęły do rąk wielkiej uprawy, a od téj do żydów, obrotowy kapitał tę samą wędrówkę odbywał. Przez tę ewolucyą mały kapitał przeszedł do żydów, i w tém przyczyna następnego zubożenia ludności. Zaniechanie w średniéj uprawie browarów, pociągnęło zaniechanie tuczenia bydła: pokarm mięsny ograniczył się odtąd do jednéj wieprzowiny. Rzadsze używanie pokarmu mięsnego sprawiło, że organizm chłopów, przy ciągłych pracach w polu, stawał się coraz słabszym, a nadużywanie wódki konieczniejszem. Poseł turecki w XVIII wieku powiada: iż na Rusi poddany za najszczęśliwszego siebie poczytuje, gdy się mu zdarzy zjeść kawał mięsa, i takiego palcami wszędzie pokazywano. Skutki moralne były ważniejsze; poeta w którego łacińskich wierszach dosłyszyć się daje odgłos żalów ludu, rzewliwie opisuje, jakie opustoszenia wódka sprawiała. Ale wiersz mieszczanina lubelskiego, mógł nosić na sobie barwę poniekąd sztuczną: posłuchajmy rzewnego płaczu ojców familij ze wsi chełmskich, co rodzimem sercem przeczuwają następstwa wódki i ży-

(1) W Chełmskiém browarnego de v.v. Nowosiołki, Stolno, Siedliszcze, Ruda f. 10 accrt. g. 26 quia is proventus non est solidus. W rubieszowskiem de braxatoriis in Rubieszow et Diakonow f. 20. W Stolnie, w tym folwarku browar, w nim kocziel i pywne naczinie z niego płaczą od waru piwa kto warzi po gr. 2 (1545). We wsi Zamech, thamże człowiek jeden na then rok miał gorzałkę palić i ma dawacz annuatim jeśli się ossiedzi f. 3. W sokalskiem we wsi Skomorochy od wolnego palenia gorzałki ogółem dają f. 4 (1564). We wsi Siedliszcze biło thech korczem więcej za rewiziej, ale je wszithkie zegnano na robothę i uczinionо jednę korczmę kthorą nazwano nową (1570).

(2) Met. kor. ks. XCIII,XCV.

dów: „Przełożył nam Lugowski rządca starostwa chełmskiego, iż poddani ze wsi Żmudzi i Dryszczowa wielce żalą się, że cierpią stratę i niewygody, a też skażenia obyczajów pomiędzy dziećmi obojga płci, a to od uczęszczania do karczmy, któréj dzierżawę otrzymał żyd, zdzierca i nienawidzący chrześcian, i która postanowiona jest jakby na schadzkę i ucieczkę dla wszystkich bawiących się złodziejstwem: co uda się unieść z domu synowi potajemnie od ojca, słudze od gospodarza, tam znoszą; ztąd spółpijania, ztąd błazeństwa, gry, kostki a nareszcie i czarodziejstwa, od których cierpią. Żyd zaś wszystkiemu temu nietylko sprzyja, lecz jeszcze zachęca: przeto poddani proszą, ażeby karczmę publiczną usunąć, a wary piwa na potrzebę ich domową z kolei każdemu poddanemu tych wsi rozdawano było, obowiązując się dawać po 10 grzywien, które dotąd z karczmy nas dochodziły; za tą umową on stek wszystkiego złego i rozpusty z karczmy pochodzący, na zawszebyśmy umorzyli. My znajdując słuszném i poczciwém prośbę poddanych, a także upatrując, iż należy nam to uczynić z prawa i obowiązku, postanawiamy, iż nie ma odtąd nigdy być publicznéj karczmy, ale poddani sami z kolei każden, mają warzyć piwo i sprzedawać jedną ceną, każdemu kto tylko potrzebować będzie. Zabraniają się przytém gospodarzom w domach wszelkie niepotrzebne schadzki i rozpusty, też skażenie obyczajów dzieci, na co wszystko i na istnienie publicznéj karczmy uskarżali się." Lecz już w następnym roku żyd zwyciężył gromadę i do dzierżawy karczmy powrócił.

Pomiar wymagany przez wielką uprawę, z uporem robiony po włościach, od czasu zjazdu krasnostawskiego wszędzie zniósł spółki dworzyszcza. Dotąd spółki dworzyszcza były ogólne w Lubomskiém i Chełmskiém (1). W Bełzkiém utrzymały się po dwie, po trzy we wsi, i najczęściéj „tiun" był jeden z członków. Zda się

(1) We wsi Żmudzi: „Nicolaus et Macziek et Iwasik aream tenent; we wsi Dryszczowie: Nicolaus Czieślik 3 qrtas tenet et idem habet ibidem 3 ortulanos sibi spect. cens. et laborantes" (1512); we wsi Ochoża 40 ludzi na 7 dworzyszczach, posiadają pospołu młyn i stawek (1545). W kamionackiéj wołoskiej wsi Ruda, „Piotr Hliwa na całym dworzyszczu 7 groszy, bidła wielkiego 8, młodego 3, u komornika 3, drugiego wielkiego 3, małego bydła 2, u trzeciego 5, wielkiego 2, małego

jakbyśmy widzieli na nasze oczy, jak skromna powaga tiuna, woźnego, przedłuża z roku na rok istnienie dawnych zwyczajów (1). Niemniéj zachowały się w ziemiańskich wsiach: „Dawid Cmetho" (1510), we wsi Orchowiecz, dzierżawił całą wieś od szlachcica i wydoływał przy pomocy spółki. Ten sam Dawid nastręcza przykład, jak w połowie XVI wieku odbywało się uszlachcenie rolnika, jak dorabiano się własności ziemskiéj: w r. 1510 Dawid pisał się „kmieciem;" we dwadzieścia lat późniéj syn jego Iwan Dawidowicz był szlachcicem i współdziedzicem wsi (2). Jako ze smutkiem patrzymy się, gdy deszczów jesiennych woda zacieka, szerzy się pomiędzy pokładami ciosanego żółtego kamienia nadobnéj świątyni w Pestum, i oddziela zwolna kamyki, dopokąd nie obali ściany; z równymże smutkiem poglądamy na zwięzłe dworzyszcze jak przed rozwijającą się folwarczną robocizną rozpada się na cząstki i ginie ta potężna a skromna podwalina, która przeniosła na sobie ludność wiejską od X-go do XVI-go wieku, ustępując miejsca nowéj spółce folwarczno szlacheckiéj. Tamta czysto-ludowa, ojczyznę wzniosła na szczebel sławy i trwałości; szlachecko-folwarczna była tylko świadkiem zatracenia téj ojczyzny. Szlachecka zatraciła, co ludowa wiejska wzniosła. Nie bez gwałtu odbywało się członkowanie spółek; pod chłodną osłoną, w obojętnych słowach Lustracyi, łatwo zgadywać cały szereg przemocy, żalu i rozpaczy (3).

2" (1589). W hrodleńskiem, we wsi Dubnie spółka bartnicza „Tamże bartnik daje pospołu z zagrodniki, których jest zagrodników z bartnikiem w liczbie 13 po gr. 6 i spisnego, zagrodniczi po ½ g. a bartnik g. 1. Tho wszitko uczyni f. 2 g. 25". W Tysowieckiem we wsi Mikulinie „na czwarthunnasthim dworziszczu siedzą dwa człowieka za jednego kmiecia i tak dają jako jeden" (1564).

(1) We wsi Chlewczany: „Andrey, Iwanycz Markowicz, Hrin, Oleszko, Puchała, Mykitha, Maczko, Thynn. Isti omnes de area integra componunt" (1510).

(2) R. 1510: „Orzechowycz v. David Cmetho de medio laneo." 1533: „Orzechowiecz v. de sortib. Nobilium Paskowski Laurentij et Joannis Davidowicz de medio secundo laneo". Ks. poborów z. Chełm. z r. 1510, 1533.

(3) W Lubiczu: „Thu przedtym nie było folwarku: pp. Oleśniccy thim sposobem uczynili isz iako ludzie prawem wołoskiem siedzieli na dworziszczach, theraz ich na pomiernich pułłankach posadzono a z ostatku rol wykopanich gotowych, do tego nieco przikopawszi, uczinionо folwark." W Hrodleńskiem we wsi Luskow „pierwiey siedzieli po 2ch na jedném dworzyszczu, iusz theraz rozmierzono dworzyszcze na dwie części"; w Czarnie, „w którey wsy przedtym było kmieczi 5 bra-

Ażeby osiedlać włości, używano woli i załogi: za pomocą woli płonne przestrzenie wielkości niemal sporéj prowincyi, w orne pola przeistaczano. Na mozolnie wypracowanych łanach wyrabiał się mozolnie duch ludu bez wątłéj podwaliny załogi; jego wyłączny zasób, to czerstwy samoistny duch w ciele wybujałem od fizycznéj siły i zaufania w wszechmocności pracy. Wieś na woli nie była ścieśniona w pierwiastkach lichwą, którejby załoga wymagała; każdy w takiéj wsi zajmuje miejsce według zdatności; nie dopuszczon tam w koło gospodarzów ten, który ma usposobienie jeno na zagrodnika lub komornika; nie narzucają mu pary wołów, przeto tylko iż ma żonę i dzieci, a umysłu i woli nie ma więcéj nad to, ażeby być parobkiem; nie zniechęcają jednych, tojest pracowitych, ażeby podnieść na czas nieudolnych; z dobrego parobka nie robią nędznego gospodarza; dla okazania miłosierdzia jednemu, nie zadają ciosu innym, zmuszonym patrzyć na niezasłużony datek. Od czasu ścieśnienia wychodów (1) i stopniowego wyginienia wolnéj ludności, dwie tylko pozostawały drogi do przyczynienia nowych osadników: albo przez potajemne wykoczowanie od sąsiada (skrócony postęp sądowy i zaciętość szlachty czyniły nader niebezpiecznym ten sposób), lub przez oddzielenie synów od ojców, z pomiędzy swych chłopów. Przeto załoga jedna stała się odtąd podstawą chłopskich gospodarstw, a wiedzieć trzeba, iż poddaństwo niczém bardziéj szerzone nie było, jak przez załogę (2). Razem z załogą i poddaństwem wchodziło do chat zobojętnienie, lenistwo, brak przemysłu, zwątpienie o swoich siłach, i jeżeli możebnem jest oznaczenie godziny zrodzenia się pojedynczego uczucia, to powiemy: że wtenczas powstało to

czicy rodzonich, ktorzi dawali czinszu doroczniego ogułem f. 4 i miodu wiader 3, a zwano thij kmieczi Szokolnikamy. Za thichże przerzeczona dziedzina była wielka, która była pothim zarośla, wszakoż gdy ją dano p. Maczieiowskiemu na dziedzictwo, thedy był s tego Czarina zegnał ludzi, którzi bendącz spendzeni ossadzili się na surowem korzeniu w Woli Czarzinskiey (1564). Wieś Gielarowa: Inquilinos labores quotidianos Hortulanos ad labores insolitos 3 dierum in septimana coget: w. Staremiasto: Binam item solutionem census et alia onera a fratribus quibus post decessum parentum suorum bona divisa possidere exiger. (1566).

(1) W Lubomsk. Chełm. Rubiesz. Wychód nil receptum (1545).

(2) Między Instigat. koron. uczc. kątnikami starostwa Sulejows. a Joach. Amor. Tarnowskim. Protokuł Relł. kor. ks. 40.

powszechne: „matka ziemia zrodziła i matka ziemia przyjmie," uczucie, które między dwiema połowami metalowéj obrączki nie widzi dyamentu dziwnéj piękności który życiem zowią; który czy to skalać, czy to szlifowaniem przyozdobić, od człowieka zawisło. Gdyby owe wieki zostawiły dwa wizerunki, rozpoznalibyśmy chłopa z okresu woli, olbrzymiego destructor silvarum, od chłopa z okresu załogi.

Rozczłonkowanie dworzyszcz, przeto brak pewnych rękojmi, zbiednienie gospodarstw, przeto niemożność wydoływania ciężarom doraźnym, tryb nowy gospodarstwa dzień dziennie przez tygodniową robociznę mający do walczenia z lenistwem a nieraz i godnością człowieka: zmusić urzędy musiały do zamienienia łagodnych win pieniężnych (1) na względnie surowsze kary cielesne. Na początku wielkiéj uprawy starostowie wahali się w wyborze środków, któreby mogły zamienić pieniężne winy (1545—6) (2); Zygmunt August następnie

(1) W Kamionackim Pene de subditis we środę po Nawiedzeniu Panny Marij: Maciey Lech kowal z Dobrotwora za zmierszczizni g. 8. Jowko Cernykow id. gr. 4. Proczek z Dobrotworu id. gr. 12. Dymko z Wolicy id. gr. 5. Hricz z Kamyonki winii złodzieyskiey złotich 2. Popow syn z Dobrotwora id. gr. 24. Molko karczmarz id. gr. 14. Malarz id. gr. 20 We czwartek w dzień świętéj Anny Bilko co wierze wytrzasal gr. 5. Roziey guntarz id. gr. 8. Iwasko Volk co człowieka dzieckował przez urzędu gr. 15. Jan Volijniec krwawej winy gr. 7½ id. gr. 15, inny co człowieka zbił i skrwawił gr. 23½. Bucza co człowieka urwal gr. 10. Piwowar Marcin co się targnął na zamkowego służebnika gr. 30. It. co się targnął na służebnika, który nad robotami stał f. 5. Missiech co człowiekowi przemówił gr. 15. Timko słodownik zapowiedzi gr. 30. Hrinko bikowego f. 1 gr. 28. Marek co się wprzał w cudzego wieprza gr. 48. (1542). W niedz. Reminiscere Apost. z Bataticz zmyerszczyzny gr. 12. Thegosz dnia Vasil z Dobrotworu id. gr. 10. W poniedz. post letare Biegicy z Dobr. id. gr. 10. Olexyna s Kamyonki co niesprawne kopce miała gr. 15. Modlena s Kamyon. o niesprawn. kopiec gr. 15. We środę w wiliją s. Jacoba Ostasz. z Dobr. zmyer. gr. 12. Ihnath syn Kuticzow nieposł. f. 2. Josko Turczynowicz id. f. 1. We środę intra octas. Visit. M. Roman. s Kamion. byków. f. 1. Iwasko kowal Zapowiedzi f. 1 Morek z Sielca niep. gr. 13. Josko z Sielc. złodzieyskiei winy gr. 10. Andrusko Pokuczyna syn o włosy gr. 6. Kuźma z Sielc o czary gr. 7. Hrycz z Sielc. o włosy gr. 4. Marko Herycz zmyerszcz. gr. 4. Kunasz Andr. złodz. gr. 12. Jokuzyna z Sielca o sromothe gr. 12. Pawlik Naymith zmyer. gr. 4. w niedz. dzień ś. Małgorzaty Lewko Przecieka złodz. gr. 24. Adam z Dobrotw. krwawey winy gr. 9. Pop z Dobrotw. zapowiedzi f. 2. Thomko z Siel. nieposł. gr. 10. We środe post divis. Apostol. Lecz kowal z Dobr. sromot. winy. Iwan z Łanów nieposł. f. 1. W nyedz. po ś. Marcz. Demko z Dernowa zmyer. gr. 12. Domin. Secund. Adven. Mariaszka z Bataticz rozpustu gr 6. (1543).

(2) W Lubomskiém „pena judicialiter decreta cum charitate exegitur; w Krasnymstawskiém „pene nil receptum puniantur pro excessis laboribus," w Bełzkiém „penarum nihil a subditorum, loco penarum exigit ductionem ad Sarram."

zniósł winę nieposłuszną, a w razie tym karę pod dowolność starosty oddał (1548) (1). Na zjeździe Krasnostawskim pieniężne winy usunięto w wykroczeniach popełnionych przeciw powinności robotnéj, w którychto sprawach „już nadal mają się używać inne środki (2)" (1558). Po upłynięciu roku, starostom zabroniono wybieranie wszelkiego rodzaju win; mają tylko spisywać i przedstawiać do zatwierdzenia króla lub jeneralnego ekonoma (1559) (3). W gwałtownych porywach używane były przez urzędników czekany, bałty, obuch czekanowy, palcaty, korbacze (clavo, clavo ferreo, coestu, flagro, a powszechnie przyjęte są postronki kręcone, drutowane, toczone (funi torti); zakazywano później bicia siekierkami, kańczugami, kijmi. Jednę z komor dolnych po zamkach dla więzienia obracano na taras; po dworach miano kłody, gąsiory, kuny.

Też same potrzeby wielkiéj uprawy wymogły zmianę dawnego sądownictwa i drobnych organów władzy. Istniały jeden obok drugiego dwa światy: szlachecki i ludowy. Jak Sycylijczyk stąpa po lawie stężałéj na powierzchni, a wrzącéj i płynnéj w środku; tak szlachecki feodalny człowiek zajęty wojskowością, stąpał po powierzchni kraju mało dbając o to, co się dzieje we wnętrzach. Gminom zaś Rusinów znane były tylko wiecza (4), tiuny i dziesiątnicy. Urzędnicy ci nie bylito dziedziczni, nie przez gromadę wybierani, nie z ukazania urzędu (i niedziw, że ich stanowisko niepewne, bo strzegł zwyczaj nie prawo pisane). Przez półtora wieku czyniono zabiegi, ażeby gminom Rusinów nadać prawną osobistość w obec urzędu zamkowego i ziemskiego, ażeby uosobić w nich siłę kształcicielną, ażeby obda-

(1) List do S. Chełm. Abr. Drohiczańskiego: volumus ut non nisi de jure decretos poenas a subditis nostris exigat exceptis in obedientiae poenis f. t. pro ut justum consueverit contra rebelles et inobedientes animadvertet.

(2) W Leżajskiem komisarze postanowili, a colono qui inhabilem familiam miserit si equis aut curru laboraverit 6 gr. si vero pedestrem laborem praestiterit 3 gr. mulcta s. pena; Król: non exactione penae pecuniariae sed aliis remediis ad labores cogendi.

(3) Metr. kor. ks. XCV.

(4) Oleszyce i t. d. In disjudicandis injuriis subditorum nostrorum advocatum et scabinos adhibeat, actaque ad inherendas cognitas et decisas causas submonendarum perpetuarum inter eos litium gratia in castro retineat, et judicia solito colloquiorum alias wiecza temporibus congruis observet. Ak. Ass. Kor. ks. 18.

rzyć prawnym obrońcą, który byłby oraz i rozjemcą pomiędzy ludem a szlachtą. Piérwszym w téj mierze krokiem było ustanowienie wójtów na prawie Magdeburskiém, ale osadzenie wójtowstw było kosztowne: po ścisłych obliczeniach widzimy, iż dziedzic tracił szóstą część kapitału, gromada traciła nawsie, wygon i obszary; przeto w całéj ziemi bełzkiéj założono tylko 9 wójtowstw, w chełmskiéj 13 (1533—8). Jeżeli oni we względzie materyalnym byli niemożebnemi, tém bardziéj i we względzie moralnym, bo nigdzie nie zespolili swojego interesu z interesem chłopów, którzy na nich patrzyli jako na obcych, a tywona (w nowym ustroju podwójci czyli lentwojt) poczytywali jako jedynego sercowego przedstawiciela swojego. Sama surowość sądownictwa magdeburskiego (1) była zupełnie obcą łagodnemu starożytnemu sądownictwu Rusinów; przeglądaliśmy imiona nie jednego tysiąca gospodarzy rządzonych zwyczajowém prawem: przy jednym tylko dopisano, osądzon na karę śmierci (suspensus fuit). W tym względzie kniaziowie wołoscy, drudzy rozjemcy z porządku czasu, byli przyjemniejsi dla szlachty i dla ludu: ich sądownictwo umiarkowane zbliżało się do sądownictwa zwyczajowego. Kniaziowie nie czyhali na nawsie i pola gromadzkie; gdy wójt był nieprzyjacielem wiecz i sądził, iż je uosobia: kniaź przyjmował w nich uczestnictwo, wpływał na wyroki o tyle tylko, o ile słusznie mógł sobie rościć do tego prawo z powagi lat i godności. Wójt posiadał od 3 do 6 łanów, miał folwarki, karczmy i przymusową robociznę (2); kniaź przestawał na jednym łanie. (3) Wójt dążył do stania się panem nad go-

(1) Woyt we wsi Mającyno sądzić ma w granicach wsi małe i wielkie sprawy cywilne i kryminalne, zaprowadzić więzienia i szubienice, i według występku wymierzać karę czy członków ucięcie, czy karę smierci. 1437. Metr. kor. ks. XXXV.

(2) Scultetia in v. Sienicza in C. Crasnostaw. zapisuje na niey 600 f. incorporuie 3 l. in quib. hortulani resident, 4*tum* laneum desertum (1558). Taxat. wojtowstwa we w. Mającino, w S. Grabow. 6 laneos, piscina, 2 tabernas, braseatorium et braxatorium; każdy łan po 40 marc. Summa 600 marc. (1579) Met. kor. ks. XCI,CXIX.

(3) W woli Dworzeckiéj Kniaź Hrycz; w Hrebiennem Kniaź Sienko na całym dworzyszczu nic nie robi jeno ludziom zamiśla; w Wieprzowem jeziorze Kniaź ma 2. łany, w r. 1616, trzyma tylko 1, w r. 1661 już kniastwa nie ma; w Tarnawatce Kniasz aljas Tywon na łanie wolen względem posług (1661); w Pańkowie Kniasz alias Tywon (1574) „na jednym łanie na posłudze dworskiej" (1661); w Wierzchraniu „Kniasz alias Wathaman na ½ łanie na posłudze. W Kamionackim w Syelcu Iwasko Kniaże (1529), a w r. 1589 Kniastwo zaginęło.

spodarzami (1); kniaź dorabiał się tylko, ażeby być piérwszym pomiędzy sobie równemi; gdy wójt dążył zlać się ze szlachtą, kniaź skłaniał się do ludu. Synowie wójta młodość spędzali jako pokojowi, ekonomowie lub towarzysze w chorągwi; synowie kniaziów zaciągali się do chorągwi pieszych i wraz z wybraniecką piechotą składali plebejuszowski element siły zbrojnéj. Ta cecha umiarkowania powinnaby była zapewnić pomyślniejszą przyszłość, a pomimo to wszędzie widzimy przeciwnie: tu kniaztwa przez wykupno przeszły w ręce szlachty, tam kniaziowie zrównani z tywonami, a innym gdy porzucili zwyczaje wołoskiego prawa, zaprzeczono sądowéj i policyjnéj władzy. Gdy usiłowania ażeby utworzyć rozjemców z obcych elementów, okazały się bezowocnemi, Zygmunt I podjął się rozwijania rozjemczego elementu krajowego. Ustanawiał do rozsądzania nieporozumień zachodzących pomiędzy poddanemi a urzędem uprzywilejowanych przysiężnych (2) (1530), i nadawał w ruskiém prawie dziedziczne tywoństwa (1543). Już w końcu przeszłego wieku, tywonowie z pod Lwowa dzierżawią młyny, budują sadzawki, za mądre rządzenie odbierają urzędowe oświadczenia wdzięczności. W sporach granicznych pamięć ich obala stare na pozór kopce, a na dębach za ich ukazaniem wiarogodniejsze znaki wypalają. Przywodząc religijnemu ruchowi na wystawienie cerkiewki, wywożą piérwsze bale i piérwszy wóz wici do cmentarzowego płota; przed księgami ziemskiemi zeznają zawartą umowę z popami, pilnują ażeby podczas powietrza ściśle nieśli pomoc duchowną, a w potrzebie udają się do władyki ze skargami: wszystko to sposobi ich do przyjęcia nowych w towarzystwie obowiązków. Wszelkie podniesienie nowych pokładów ludności dziwnie raduje serce. W tę myśl Spytek z Tarnowa w Krzeszowskiém, Piotr Barzi we Lwowskiém zapewniali dożywocie

(1) Erectio et Concessio v. Kuliszkow B. Michowski (1555). Met. kor. ks. LXXXVII.

(2) Volumus ut in unaquaque villa nostra vir bonae fidei et conscientiae a colonis deligatur cum consensu Cap. qui in dies sub iuramento computet et adnotet in praesentia vicecapitanei qui restent laborandi quique sint laboribus absoluti dies, id quod etiam perpetuum duraturum volumus. Metr. kor. ks. CCXVII.

i dziedzictwo tywonom (1), ale zaniechano dalszego postępowania po téj drodze, czy to przez brak usposobienia w ludziach, czy wytrwałości w zwierzchniéj władzy. Przeto usiłowania ażeby nadać sądownictwu stałą zasadę, nietylko że na niczém spełzły, ale jeszcze przyłożyły się do zniesienia wiecz; odtąd już doraźność w czasie, postępie i samych organach sądownictwa. Zjazd krasnostawski, przed którym wytoczono krwawe narzekania na urzędników spadkobierców wiecz, wójtów, kniaziów, tywonów, tylko chwilową ulgę przyniósł.

Na krasnostawskim zjeździe, w miejsce dawnych półdni wprowadzone zostały całe dnie robocze. Mądry to był zwyczaj, który pociągał do ciężkiej folwarcznéj roboty tylko do południa lub od obiadu do zachodu słońca. Powątpiewamy, czy ci, którzy przekształcili dawny roboczy dzień w nowy, byli kiedy pod wieczór w chacie wieśniaka, który z pańszczyzny powraca: znużony, blady, niedołężnym krokiem wchodzi i milczy. Wszystko tu radośnie powinno gospodarza witać: i jego ręką ulepione ściany, i jego toporem uciosane ławki, i śnieżna owca co głowę wyciąga, i dziecko co do nóg się czepia. Wszystko to zwyczajnie odświeża siły człowieka jak ranna rosa; ale dla tego, co z pańszczyzny szesnastogodzinowéj powraca, jest nieme: temu i pokarm, i pieszczoty żony i uśmiech dzieci są obce; jak kloc upada na słomę, i tylko z porankiem poczyna żyć człowieka życiem. (2).

(1) Na wstawienie się Spytka z Tarnowa starosty krzeszowskiego, dajemy dożywotnie przełożeństwo czyli thivoństwo, pracowitemu Thomainowi we wsi Cherchowska Wola, uwalniamy od wszelkich czynszów, poborów uchwalonych i mogących być uchwalonemi, a to z przyczyny, iż ma sprowadzić i osadzić kmieci i nad niemi mieć opiekę czyli zarząd i t. d. (1543). Piotr Barzi z Błozwic S. Lwow. oznajmuje, że prac. Staszka Chwiedkowicza wedlie jego dobrego zachowania i przeciwko sobie abo urzędowi memu skłonnosczi y służb wiernych a statecznich na urzędzie, jego teraz y potim czinię doziwotnim Tiwonem w obudwu Solonkach i w Żirawcze, zachowując go w tichże wolnościach y powinnościach kłórich pierszi Tiwonowie użiwali, abo czo powinni bili, a jeśli szie zachowijwacz statecznie będzie, tedij Boże uchowai ieszliby tento Staszko umarł, sina iego któregokolwiek, ktoribij iedno na tho bijl godni, także Tiwonem do ziwota zachowam. Na czego dlia liepszei wiarij itd. (1566). Met. kor. ks. LVI,CVII.

(2) Significamus etc. Quod cum quererentur coram Nobis subditi Nostri villae Lopimik ad capitaneatum Crasnostaviensem pertinentis incolae de Gnoso Nicolao Bogusz Tribuno Lublinen. et Capitaneo Nro Crasnostaviensi se ab ipso ad labores singulis diebus praestandos adigi et astringi. Contra vero praefatus Capitaneus Noster negavit id

Coraz wzrastająca dążność zaniechania ubocznych gałęzi gospodarstwa i względne upodlenie wartości czynszów, nastręczyły wielkiéj uprawie chęć przekształcenia urocznych robót (łowów, kośby, powozów) na robociznę tygodniową przez dodanie na tydzień drugiego dnia do jednego naznaczonego poprzednio Statutem Toruńskim. Gdy już z tém od dwudziestu lat dawały się słyszeć wymagania wielkiej uprawy, na krasnostawskim zjeździe potwierdzono, ażeby odtąd poddani dwudniową na tydzień pańszczyznę odprawiali. Do Statutu Toruńskiego, wsie osiadające za przywilejami, powszechnie zobowiązywały się od 8 do 10 dni roboczych; po Statucie od 14 do 18, po zjeździe krasnostawskim do 104 (1579) (1).

I po zjeździe krasnostawskim skargi chłopów, jak łzy ze zbolałych oczu, padają na piersi królów: żalą się poddani z Łukowa, że ciążąc odebrano u nich sztuk bydła dwadzieścia i wszystkie płachty, a oni żadną miarą nie mogą wydołać i dawnym powozom i nowym robociznom (1569) (2). Domaszowscy poddani użalają się, że pociągani są do czterech dni na tydzień; chełmscy, że do sześciu (1570); nędzne a poczciwe Poleszuki z Lubomskiego „coraz częstszemi modlitwami nam doku-

quidem ita esse ut ipsi affirmabant, verum tamen si id faceret allegavit hunc morem in his terris ex antiqua consuetudine esse receptum quod singulis diebus in septimana subditi laborent idque confirmabat exemplo aliarum villarum circum circa adjacentium qui hujusmodi labores singulis diebus praestant. Nos audita ipsorum controversia decrevimus decernimusque praesentibus ipsos villae praefatae incolas in posterum duos tantummodo dies singulis septimanis quosvis labores per Capitaneum seu ipsius Vicecapitaneum designatos laborare, tenere et debere. Ita tamen, quod eosdem labores ab ipso ortu solis incipere, et ab eisdem in occasu usque solis desistere, more in terris Nostris Poloniae observato requie meridiana interjecta erunt astricti. Verum tamen quoniam ad colligendum seu rastris congregand. fenum necessario requirentur opportunae temporis et aëris commoditatem ita ut praedicta temporum designatio observari non possit. cum ad labores cum rastris tardius homines exeant, soepe etiam labor ante occasum solis propter varias tempestates, coeli intercipitur. In supplementum istius volumus et decernimus dictos villae supramemoratae incolas tempore aestatis dum fenum vel avena colligenda erit rastris quod non duos tantum sed tres dies in septimana laborare debebunt et tenebunt. Ad metenda vero sementa predialia ex una quaque domo duo homines cum falcibus exire debebunt et tenebuntur. Hac Nra sententia mediante. In cujus etc. Datum in Crasnistaw. feria quarta post festum Assumptionis gloriosae Virginis Marie. Anno Domini 1558.—Akt. sąd. ass ks. 11.

(1) Założenie woli Brzeźnickiej w Krzeszowskiem.—Met. kor. ks. CXIX. (2) Metr. kor. ks. CV.

czają", powiada król, „każdodziennemi już nareszcie, żaląc się, że są nieznośnemi robociznami obarczeni" (1578) (1).

Wyroki sądów assesorskich i referendarskich, złożyły nowy rodzaj prawa, prawo robotne. Dań miodową wolno na pieniądze okupować, nie ma się odbierać resztki miodu gdy dań składają, a także spisnego, chyba z dobréj woli. Do oddawania dani miodowéj miodem, nie będą przymuszani; kapłony, jaja i drobniejsze podatki nie powinny być pieniędzmi okupowane. Zboża, chmielu nie ma się przymuszać sprzedawać do dworu, lecz z dobréj woli. Piwo warzyć mają na praźniki i wesela z opowiedzeniem się dworowi; trzy macy na słód zalewając, zapłaciwszy do dworu gr. 6; jednak to piwo nie daléj nad 5 dni tylko u nich ma być, gdyż to jest prowent zamkowy. Drwa leżące na opał, na budowanie i poprawianie budynków las za opowiedzeniem się nie ma być bronion; kopać zaś lasów nie mają; jeździć do lasów mają tylko w pewne dnie i bez ognia; przędzy po 12 łokci z łanu; pomiar ma się odbywać kosztem dzierżawców; budynki w łany nie rachować; ryby wolno łowić w rzekach, lecz nie w stawach; z nowin czwarty snop i czwarta kopa zboża; podymnego po gr. 15 według dawnego zwyczaju; ze strony zaś dawania z każdéj wsi stacyjnéj jałowicy albo za nich po złp. 12, także wieprza karmnego albo złp. 6 należy staroście oddawać. Do młynów cudzych jeździć zabrania się; ręczne żarna, które podczas pomorków zagęściły się, mają być zniszczone. Tłók o strawie zwyczajnéj dzień na ozimine, dzień na jarzynę; względem szarwarków, gdy gwałtowna potrzeba bez dnia, a gdy nie ma gwałtownéj, za dzień. Do grobel, kiedy gwałtownie, bez dnia; jeśliby jednakże często, żeby domowéj roboty omieszkać miało, za dzień chodzić mają. Podwody nie daléj 7 mil (1569) a dla lubomskich nie daléj 15 mil (1637); do Lublina, do Krasnegostawu, do Wisły raz w rok i najwięcéj 2, kładąc na wozy wiele ich dobytki znieść mogły bez uciążenia. Ze strony pomniejszych podróży jako ze zbożem folwarkowym nie kupionym do miasteczek, na targ koleją bez dnia; do Warszawy i dziedzicznych dóbr nie po-

(1) Metr. kor. ks. CXXII.

winni; do Samboru po sól dwa razy do roku sprzężajem z włóki całéj jednym wozem. Mostowe i grobelne starosta ma zastępować; straż koleją nocną, dzienną za dzień. Zagrodnicy z zagród dobrych dwa dni w tydzień o swojej strawie; prząść i do niewodów o pańskiej strawie. Komornicy co tylko komorami mieszkają i gruntów żadnych i ogrodów nie trzymają, do tego ciężaru nie będą pociągani; jeśli się który dobrowolnie podejmie, trzeba mu albo nagrodzić i strawę dawać, albo jaką sztuką gruntu dobrego opatrzyć. Gdyby poddani nie odrobili z przyczyny świąt swe dni w jednym tygodniu, ma być odniesiono do drugiego; gdy daleko od folwarku, ma być wytrącono na 1 dzień za drogę do folwarku, a drugi gdy się z folwarku do domów wracać będą.

Sześćdziesiąt lat upłynęło od zjazdu krasnostawskiego, a wielka uprawa domagała się już do dodania trzeciego dnia na tydzień. W Lubomskiém tylko do czasu mającego się odbyć pomiaru pozwolono z łanu 3 dni (1596), a następnie już sądowym dekretem potwierdzono 3 dni jako stałą powinność (1637). W Chełmskiém pozwolono z łanu 4 dni na tydzień, a podczas lata 6 dni (1570); późniejszy zaś dekret zobowiązuje do 8 dni z łanu zimą i latem (1637) (1).

Niech się nikt nie dziwi, iż tak szczegółowo rocznikujemy dekreta, tyczące się kilku wsi, a to dlatego, że gdy sto lat cofniemy wstecz dla Zachodu, sto lat posuniemy naprzód dla Wschodu, a każda wieś na przestrzeni od Warty do Dniepru w naszém skromném piśmie znajdzie swe dzieje.

Niech się nikt nie dziwi, iż skrzętnie zapisujemy każdy dzień dodanéj robocizny, iż dostrzegamy godzinę, o któréj przychodzą na dworski łan, o któréj odchodzą, ile godzin odpoczynku w południe, ile mil powozu odprawiają, przez ile dni straż nocna zimą, a przez ile latem: wszystko to bowiem odbiło się o pomyślność ludu. Szesnasta wiosna dziewczynie téj minęła, a piersi już zwiędłe i zgniecione; piérwszem ledwo dzieckiem radują się usta téj kobiety, a już kalectwo ją dosięgło: robocizny żelazna ręka dotknęła i powabną młodość i najskrytsze tajniki przyrodzenia. Mniéj lub więcéj ni-

(1) Akt. sąd. ref. ks. 1,6.

tek w koszuli, mniéj lub więcéj długi kożuch, lata młode a lice zdradzające starość, ręce suche i piersi wązkie: już wiemy ile ten człowiek, ile jego ojciec, ile dziad robili na tydzień przymusowo, ile kar na ciele odnieśli, ile w ich życiu na straży przepędzonych nocy, ile ciemięztw, ile zabitych nadziei.

Wszędzie lata rozwoju robocizny gwałtem napiętnowano. W Lubomskiém starosta pożytki z lasów bez wiadomości czyni, komięgi buduje, poddani do brzegu muszą wozić, na dobytku szkody odnoszą. Bojarom narzucają zażynki, szarwarki, robotę zamkową. Więckowski pisarz prowentowy, z lada przyczyny nad wszelaką słuszność zwykł trapić, a to do takiego stopnia, iż sąd referendarski nakazał kommisarzom nie pierwéj wyjechać ze starostwa, aż będzie wydalony pisarz. Młynarze wsi Klonowa i Brąsowic zasłaniając się lustracyami, wzbraniali się odbywać czwarty dzień robocizn, do czego byli przymuszani gwałtem; przykazano ich bić i więzić, Grzyba pojmać i ręce mu do nóg wspak przywiązać i cały dzień tak trzymano. Żurawskiego, że piwa szynkować nie chciał, zbił (urzędnik) i kilka ran w głowie depcząc podkówkami zadał; szukając samych gospodarzy rozpędzał czeladź, stawy przez ojców ich wykopane spuszczać dla kuźnicy każe. Poddanym czułczyckim, będącym różnéj religii, słuchać nabożeństwa w święta łackie i ruskie zabraniano. Spustoszono 70 domów przez robociznę i bicia, pola na czwarty snop oddają i na stróży w miejsce dwóch po 8^{miu} ze wsi odprawują, barcie im wycinają, narzucają pieniędzy za żniwa po dwa grosze, zboża od poddanych biorą tanio: kiedy żyto było po złp. 4, z dworu płacono 2½ złotych. Glejt zgwałcon, udających się do Warszawy pokarano; już poddanych 8 od pobicia Kurka pomarło, którzy umierając tego Kurka pozywali. Zapobiegając „powiada dekret, ażeby ostatek poddanych, których już nie wiele jest za tak ciężkiém biciem i robociznami nie rozeszli się, z urzędu Kurek ma być złożony; pod surowemi karami poddanym zakazano, aby więcéj mu posłuszni nie byli. W starostwie chełmskiém w zimie wyganiano po czworgu, a lecie po ośmiorgu z domu i do dziedzicznych dóbr, niedziel kilka tam trzymając; sierpy, siekiery, woły do 2,000 złp. grabieżą u poddanych zabrano; tych którzy chodzili ze

skargą, rozkazał bić i jeden śmierć odniósł. Dowiedziawszy się iż u Smelika sąsiada są ich pieniądze, kazał go do więzienia wsadzić, o pieniądzach powiedzieć; w domu, w ziemi kopano, wożono związanego, i gdy odkrył, hajdukowi zarznąć przykazano. Poddani ze wsi Mołoczkowice skarżyli się na Zygmunta z Pleszowa Fredro, iż na despekt poddanych szubienicę we wsi stawić rozkazał, konia drewnianego wymyślił, na który żony poddanych sadzał i dotąd dręczy, póki która abo nie uciecze, abo się nie okupi. Tarnowski, wójt w Zawadach i Konarach „kiedy poddanego którego bije, prawa nasze (tak brzmi list królewski) za paskwile ma i czyni jakoby na confirmatiey tychże to praw, ale jednak na oczywistą obelgę i crimen laesae Majestatis Nostrae Regiae manifestum, nago tychże poddanych rozebrawszy, na grzbiecie ich kładzie, i po kilkadziesiąt albo kilkaset kijami i rózgami plag zadawać każe, od których razów Wojciech Łaski, jeden z tych, którzy po confirmatią praw do nas chodzili, prawie na śmierć leżał, i potym z tego bicia i piersi zgniecenia umarł.“ Urodzony Murzkowski Michał, wójt szczyrzecki (piszemy te imiona zkądinąd niegodne wstępowania na królewskie karty historyi, lecz niech i nasze pokolenie wié, iż jak pałac możnego i obóz hetmana, tak i izba czeladna ekonoma, są zarówno pod okiem historyi; iż późniéj lub wcześniéj promienie jéj rzucą na czyny jednych chwałę, na innych naganę i grozę), Aryanin, we wsiach Siemienówce i Chrosnéj, podczas wybierania chlebów w same nieznośne przechody wojska, Marcina Rola u słupa przywiązał, drągiem bił i strzelał do niego; Łazurka ciął w łopatkę szablą; Jurczaka kijem bić kazał, psami w gąsiorze osadzonego szczwał i szarpać dopuścił; sługę młynarskiego po tatarsku skrępowawszy palcatami siekł, aż omdlał, rosołem polewał, potym w kij związawszy na postronku zawiesił; żona młynarza przestraszona krzykami poroniła; do Kormagi strzelał kilkanaście razy (raz trafił, drugi raz nie spuściło), zbił go, od czego krwią plwał, i wprędce zmarł; Marcinowi Reginczakowi brodę wyszarpał. Walka stróża zadusił, udając jakoby to się stało od jakich zbójców; Piroga, starego człowieka, po tyrańsku związawszy, siekie-

rą kaleczył; podczas świąt zielonych do grobli wypędzał i darnie wozić kazał; czterech poddanych podczas świąt Wielkanocnych w sklepowéj ciemnicy więził, święconego przynieść nie pozwolił. Bałczona w więzieniu na Wielkanoc trzymał, w kij związawszy, na kole kręcił, na postronku wieszał, tak, że mu palce odmarzły. Pawła Piekarczyka spowiadającego się podczas świąt Wielkanocnych okrutnie zbił, skrwawił, nogami skopał; gdy się prosił: dla Boga! dziś komunikowałem, tém bardziéj onego kaleczył, iż ledwie o kiju do Szczerca uszedł, suknią wszystkę skrwawioną mając. Crucifix i przeciw processyi blasphemował, oknem patrząc, kapłana i poddanych łajał, mówiąc: „Ci dragani, źli synowie, głupstwo za sobą wodzą.” Tymże poddanym często mawiał: „Na tym Crucifixie, kędy chłopa zawieszono, będę was wieszał” (1).

Niektórzy gospodarze poświęcali się do podawania suplik królowi i do obrony w obec sądów; zawód wypełniali z wytrwałością, pomimo pogróżek, więzienia w turmie i narażenia życia. Imiona: Jacka Samulika z Hołowna, Ihnata Klimowicza, Sacza z Nudzisza, Iwana z Saczka więcéj zasługują na wspomnienie historyi, niźli z nad Dniepru pozornie wielcy ludzie. Pierwsi położywszy wiarę w prawo ojczyste, z wytrwałością go dochodzili; drudzy zwątpiwszy pokryli krwią i pożogami ziemię ojczystą.

Rozwój robocizny różnie działał na różnorodne pokłady ludności. Gospodarz z pokolenia „opatrznych”, przywykł sterniczyć spółkom, przez całe życie z pogodném czołem a surowém okiem i nieraz twardą ręką; rozkazy synom i licznéj czeladzi przywykł dawać, w młodości z nauki ojca zaprawiał rękę do pługa, z rąk ojca odbierał żonę, pod jego błogosławieństwo pierwszego narodzonego poddawał; a gdy przeznaczenie położyło ojca pod brzozą wiejskiego cmentarza, sam stawał się głową synów, pod starość zaś siedząc w kącie, gdzie świętości zawieszone, oparłszy się na kosturze, nieraz już ślepy, o pobielałych włosach, jak w szatach przedśmiertnych zachęcał słabszych, karcił nieposłusznych, a jeszcze więcéj rozmyślał i milczał. Dłoń

(1) Akt. sąd. reff. 1637—62.

już mało pomocna, ale powaga jego, jak łańcuch, utrzymywała jedność w dworzyszczu. Czcił króla jako przedstawiciela Boga na ziemi; raz do roku widywał pana starostę, witał go z gościńcem, a niższych urzędników za nic miał, bo złożywszy pobór i czynsz, odprawiwszy powóz przez czeladź, nie potrzebował ani sądów słuchać, ani zapomogi dopraszać się. Teraz sprowadzony z niezależnego poddzierżawcy, ledwie nie na wyrobnika, nie mógł przytłumić uczucia z ojców odziedziczonego; wolał raczéj na szwank wystawić życie i familią, niżeli znosić ciemięztwo na dziedzinie. Ubezpieczony w cześć dla dawnych zwyczajów, jak rycerz w żelazne płaty, oburzał się myślą o uległości folwarcznym robociznom i szedł na swobodę ukraińską (1). Najdzielniejsi wychodzili na Zaporoże, najzamożniejsi na Ukrainę i Podole; nieraz zadziwieni postrzegaliśmy, iż w nowo zakładającéj się wsi na Podolu, nie było jeszcze domów, lecz tylko naprędce splecione szałasy, a u chłopa po kilkadziesiąt talarów, odzież z aksamitu i sukna. Znikali w dawnych osadach ludzie, co w niezawisłości zrodzeni, niezawisłością żyć tylko mogli. Któż ich zastąpił? słabsze, biedniejsze warstwy ludności. Urzędy widząc opuszczone łany, podjęły się ze steku, z niedołężnych resztek ludności, utworzyć sobie osadę, któraby mniej przywykła do niezależności, okazała się więcéj potulną do robocizny. Wezwały one zagrodników, komorników, okruszyny lu-

(1) Dworzecka Wola, Lahowcze, Góra, Potharzyca, Thorki, Honjathin, Monasthir, Dalkow, Thuskow, Runczyn, Bozow od 17 łanów nie wnieśli poborów, ponieważ ludzie z nich zbiegli z powodu zobowiązania do robocizny do zamku bełzkiego, w których wsiach teraz zagrodników poosadzano, którzy robotę tę do zamku bełzkiego odbywają; pola zaś tych wsi na pożytek folwarków obrócono (1535). W Krasnystawskiem ziemiańska wieś Ostrów, pusta a było łanów 2; a dlatego pusta, iż kmiecie zbiegli. Wielibiecz, Piaski, Lipie są puste, ponieważ starosta obrócił je do posługi zamkowi krasnystawskiemu (1535). Babincze, Wierzbolewcze, Scholoniecz, Załuże, Pothok, wychodziło pierwiey 150 pługów, teraz thilko 25: dla wielkiej robothy i podatków syła ich uciekło (1534). Inw. S. Robat.—W Lubomskiém we wsi Skiby 6 kmieci wisziedziawszi wolą, precz wyszli; we wsi Wiśniow, ludzi odeszło nie mało; Połapy na 20 kmieci, ośmiu precz odeszli; we wsi Nudiszu było 2 dworzyszcza, z których dawano miodu 4 wiader i owsa kłód 2, teraz spustoszałe; we wsi Szaczko odkupując robotę dawali po f. 2, teraz obroczona na robotę (1570). Ale to potrzeba wiedzieć, iż po r. 1578, zawsze liczba pokazowała się łanów mniejsza dla rozmaitego spustoszenia poddanych i pobranie kmiecich ról na folwarki szlacheckie. Notatka w ks. wydatków skarbowych od r. 1526—1601.

dności do zastąpienia dawnej, zbiegłéj: utworzyły z ostatków téj, złączonych z tamtą, pokolenie robotne. Tę niemożność nagięcia dawnéj, a konieczność zastąpienia jej nową ludnością, zpomiędzy zagrodników i komorników wziętą, ogólnie wyznawano (1). Każdy zakładający się folwark tworzył półsecinę kozaków na Zaporożu i kilka domów dobudowywał w słobodach książąt Zbarażskich i Ostrogskich. Dla powstrzymania zbiegostwa, Nalewajko oświadczył gotowość zobowiązania się ucinać nos i uszy tym, którzyby do kozaków przystawali (1596). Opieranie się wielkiej uprawie coraz surowszą naturę przybierało, lecz dopiéro w połowie XVII wieku z poza kratek sądowych, z potajemnego zbiegostwa przedzierzgnęło się wotwarte powstanie.

Na widok panowania Jana Kazimierza, wraz z pustelnikiem znad Tyberyady powtórzymy: Orbis Romanus ruit. Powstanie Chmielnickiego, spotęgowany oddziaławczy ruch przeciw wprowadzaniu wielkiéj uprawy na Ukrainie, odezwało się pomiędzy ludnością chełmską i bełzką. Te same dolegliwości co tam i tu lud dręczyły; zapewne iż w sercu wrzały namiętności z równą mocą, a jeżeli wybuchy nie były tyle trwałe, to dlatego, iż bliżéj ogniska polskiego ludność nie miała czasu do urządzenia powstania i rozkiełznania swych namiętności. Miasta dały piérwszy przykład: mieszczanie chełmscy, przy zbliżaniu się kozaków, tłumnie naszli na zamek, splondrowali go, same księgi aktowe, na kilka łokci głębokości zakopane w lochach, odkopali. Niektóre, jak Uhnow, były postrachem dla przejeżdżających; urząd bez władzy, mieszczanienie sforni. Mieszczanie z wsiami z Podkamienia, zasłyszawszy iż szlachta i księża w Rozdolu w mieście i klasztorze Karmelitańskim zebrali się, publicznie obwoławszy, poszli, klasztor złupili a jednego z księży utopili. W Bełzkiém, poddani pod przewodnictwem kucharzy, woźniców, kowali, z kosami na prost nasadzonemi, hakownicami, z nadziakami, kijami, łukami, pojmali we wsi Kadłubisko, Korycińskiego, który się tam był in domum hospitalem ejusdem villae ukrył, okrutnie posiekali, sług kosami porznęli,

(1) W Hrodleńskiém, Wedrenicza składała pobór z dwóch łanów; natenczas osadzono zagrodników do posługi (1536).

żonę w dwóch miejscach kulami przeszyli, wołając: „pal, pal, rznij!" Rzeczycki powrócił do domu tusząc, iż się uspokoiło; przyjęli go popi i chłopi z pozorną potulnością, ale nocą naszli na dom; przez dwie mile ścigali szlachcica. Sam jeden bronił się uchodząc; dopadł do starego zamczyska, którego przez noc szturmem dobywano, a załoga on jeden; poległ rozsiekany. Pleb n Korytyński z wikarym, uchodząc powietrza, skrył się do lasu wsi Radzieckowa. Poddani otoczyli go z ogromnym hałasem, zarznęli wikarego, rzeczy podzielili, plebana obnażyli, męczyli różnemi sposobami, sprowadzili do domu plebańskiego, ażeby odkrył kryjówki i tam zamordowali. Chłopi z Zawieprzyc i Spyczyna, parocha z Kolechowic z bratem zamordowawszy, ciało pod koło młyńskie rzucili. W innéj wsi poddani z różnym orężem naszli na dom szlachcica, z którym mieli spór o łąki: na ziemi leżącego kolanami trzymali; siedzieli sobie na nim i tak długo go gnietli, dopókąd koni i wołów do sytu nie napaśli. Więcéj jak przez cztery godzin podnosili na postrach siekiery i berdysze, mówiąc: teraz ci zdrowie darujemy, ale tu więcéj nie bywaj i strzeż tych łąk, bo jeżeli cię potém zastaniemy, temi ciebie berdyszami rozsiekamy. Stolno i Zabuże, przy których na Bugu Zygmunt August urządził przewóz, przez co te dwie wsie w dostatek i zamożność wzrosły, korzystając z swego położenia, czatowały na księży, którzy z prawego brzegu przed niebezpieczeństwem uchodzili (dziesięć karczem miały wsie te w r. 1565: jedyny tego przykład w ziemi chełmskiéj). Ksiądz Parczowiusz, przeor konwentu łuckiego OO. Dominikanów, jadący w czterech wozach z organistą, zamordowany został, variis cruciatibus inflictis. Ci sami poddani między Stolnem a Orchowem zabili komendaryusza chełmskiego, Wojciecha Raczyńskiego. Chłopi lubomscy (a przypomnimy, iż Wołochowie mieszkali w Bereszczu i w Mosznem), rzucali się na swoich braci sąsiadów: zebrani kupami, podpasani parciem i słomą z różnym orężem i kijami osmalonemi, wyszukiwali miejsca błotniste, gdzie chłopi z dobytkiem pochowali się przed nieprzyjacielem, robili na nich obławy, zdzierali bóty i siermięgi, do kilkunastu gospodarzy zabili,

dymem okurzając, a broniących się z śpichlerzami i oborami w popiół obracali. Teniatyska i Wierzchrachata z kniaziem Wasiutą, gdy posłyszały o porażce pilawickiéj, skupiwszy się w dwóch tysiącach, naszły na miasto Lipsko i wsie pobliższe: „całe miasto spoliaverunt, a potém ludzi jednych okrutnym sposobem zabili, małe dzieci in partes alios lacera verunt, alios dissecarunt, virgines et matronas rapuerunt, sepulturas profanarunt, Ecclesias spoliaverunt."

Mało który z tych zbrodniarzy uszedł kary. Lubaczowskie wołoskie wsie wzięły na siebie skarcenie Wołochów bełzkich. Jednego poranku Basznia, z innemi, z piasczystych pagórków spuszcza się na łąki Wierzchrachaty: zboża w kopach, siano w stogach stojące, na swe wozy ładują, przetrząsają statki domowe, co lepsze zabierają; chłopów zmuszają postronkami kryć się po lasach i z tryumfem powracają, dumni iż rzekomo skarali zbrodnie sąsiadów, współzawodników. Względem innych powietrze, głód i Tatarzyn wyroki wymierzali. Nieraz wytoczona już sądownie sprawa, poniewolnie umorzona zostawała; bo na rejestrze obwinionych przypisano: ten powiesił się, inny oszalał, żona zadusiła, umarł w głód, umarł w powietrze, ścięty przez Tatarów.

Zmniejszona wszędzie liczba łanów, zarosłe brzozą i chwastem ogrody, chałupy jedne rozrzucone na opał dla przechodzących żołnierzy, drugie spalone przez Tatarzyna; pośrod spustoszenia kilka chat sterczy wpół zgorzałych. Najbystrzejszego oka gospodarz na mogile stoi pilnując, czy nie ciągnie Chmielnicki zpod Zamościa lub Węgrzy z Lublina, czy chorągwie polskie nie idą wybierać stacyą: wnet starcy, kobiety i dzieci biegną do lasu, ciągnąc za sobą wozy z żywnością, a we wsi zostaje albo starzec, którego same lata uczyniły nieczułym na obelgi i razy, albo chłop przez Boga umysłu pozbawiony; bo jeden pozwoli siebie skatować, a taboru nie odkryje, drugi rzeczywiście nic nie wié. Niektóre wsie porzuciły dawne siedliska i po lasach rozproszone powystawiały chałupy. W niektórych od kilkunastu lat nie siano zboża, a poddani tylko z ogrodów żyli. Wielka liczba imion wsi już tylko w starożytów

opowiadaniach istniała: ta zniesiona przez pokrowskich Tatarów, druga po cecorskiéj przegranéj, i „odtąd pusto leży"; tu był obóz wojska koronnego, owdzie skonfederowanego: po wschodach ciosanych w boleściach kraju, pamięć starca tylko sięgała przeszłości. Ażeby chłopów zniewolić do wyjawienia kryjówek i taborów, używano „koła" szczególnie u Tatarów. Naoczny świadek tak pisze: „W gospodzie na ziemi położywszy, coraz obuchami powtarzając razy, nogi postronkiem związawszy obie pospołu, aż do rąk postronkami na zadzie przyciągnęli, a jeszcze i wyżéj rąk przyciągali, że tylko na brzuchu czołgać się musiał. Jeszcze nie dosyć tyrańskwa, ale drągi między one powrozy wkręciwszy, z wielką męką ręce i nogi nawspak wniwecz pokręcili, kości w nim pogruchotali. Mało na tém: odpuściwszy drągi na koło wozowe osadzili, i na temże kole tak go wyciągnęli, że aż każdy członek w nim rozeznać było można; na którém wyciągnionego kilka godzin, przewróciwszy go aż górą oczyma trzymali; nazajutrz skrzypki na ręce, kajdany na nogi włożywszy, łańcuchem za szyję do słupa przykowali, i od 15 Novembris do 20go dzień i noc powtarzali; potém do wozu przykowali i z sobą uprowadzili." Jeden poddany naprowadziwszy na tabor szlachecki, rzekł: „kręćcie jeno jéj głowę kneblami a stryczkami, będzie powiadała gdzie co ma." Zmęczona szlachcianka opresyami i rózgami, wszystko pokazała. Każda pora roku zmieniała nieoledwie wojenne hasła, co włościan do lasów wypędzały. Szwedzki zaciąg wpada przy odgłosie „hir! hir! kozacki pędzi pod kołowrot: Mołojcy, byite! byite! a Tatarzyn grozi i niemowlęciu krymską niewolą przy wykrzyku hała! hała! Kupy poddanych przesuwały się ode wsi do wsi, głosząc: nie ma w ojczyznie praw, nie ma króla, nie ma szlachty; a inni nie masz teraz pana w Polsce: kto duższy, ten lepszy. Honor, czystość kobiét, tak skrzętnie bronione dawniéj przez dziedziców, że lada szlachcic Choitko, o późnéj godzinie wdziera się przez okno do chaty jakiéj żony chłopa nieobecnego; dziedzic od sądu do sądu prawuje się, aż do trybunału lubelskiego dochodzi, dopokąd nie pożyszcze dekretu skazującego na grzywnę brata szlachcica: a teraz przed klęskami ojczyzny rozpadły się chat ścia-

ny. Dziś na leżach chorągiew polska, jutro zaciężna niemiecka, a tam Szwed, Kozak, Siedmiogrodzanin, Tatarzyn; w téj wsi „u hajduka dworskiego zastawszy w domu żonę samę, zbili okrutnie aż jéj wielka choroba przypadła, aż na śmierć zamęczyli; u Miszka Hawryluka wzięto gwałtem białogłowę; gwałt jéj uczyniono niepoczciwy; gospodarz naratunek przybywszy, padał do nóg, prosił i nie mógł jéj ani datkiem, ani prośbami obronić: jeszcze się jemu samemu dobrze obuchami dostało." W innéj „białogłowy które dla strachu i bojaźni do lasów i błot pokryły się, tych szukając, znalazłszy co się im podobało z onemi czynili. Między któremi poddanemi jeden, na imię Lesko, widząc nad żoną uczynek nieprzystojny i despekt popełniony, i chcąc w takowym razie żonę swoję bronić, najeźdzca porwawszy się nagle do bandoletu, przyłożywszy poddanemu bandolet do piersi, strzelił i dłoń wskroś przestrzelił." Chorągwie nieprzyjacielskie i swoje odłączały żony od mężów i za sobą przymusem prowadziły. Dlaczegóż nie wyznamy, iż cnota kobiét wiejskich gwałtom opór stawiała; iż łapane, poniewierane, przy piérwszéj zręczności ukrywały się, do domu powracały z sercem przepełnioném rozpaczą? Nieraz chcąca ubiedz przed niecnotą, kulą przeszyta padała; innego razu do studni rzucały się, lub uchodząc przez płoty piersi raniły i śmierć znachodziły. Do tego stopnia cnotę kobiét wiejskich lekceważono, iż na kartach najpoważniejszéj sądowéj książki znajdujemy parodyą pozwu, ułożoną przez młódź palestrzańską, o zgwałcenie pracowitéj Trzenutki przez insolentes i vagabundos Łapinutka, Omknipiórko, Porwigrosik, Straszypiwko, Depcybłotko, Wyglądałko, Jewzowskie, a także Charamundus, Moczygębek i Soligąbka, Dorothowskie; żałować tylko przychodzi pokoleń, które się wychowały na łonie takich czasów. Po włościach znajdowano młodzieńców niechrzczonych; przy dwóch świecach, z których jednę do kościoła dają, drugą w karczmie zapalają, przy hucznem wypróżnianiu kuflów, obierając marszałka, sprzysięgają się na spalenie folwarku lub zasypanie stawu kamieniem i chróstem. Posypaniem odzieży proszkiem, niektóre kobiety zadawały okropne boleści a nawet śmierć. Wiadomo było w okolicy, iż Paraszka

Hłacholicha we wsi Przewłocznéj, podejmowała się przez nasłanie djabła zgładzić nieprzyjaciela każdemu, kto dawał 30 złp. i przyrzekał, iż grzech bierze na swoję duszę: zabobon ukrywał zbrodnię. Wykonawca woli Hłaholichy byłto tęgi umysłowo niedołężny chłop z tejże wsi. Drożyzna wszędzie ogromna; bydło odpadło przez mór, zabranie przez nieprzyjaciela lub wybieranie stacyi. Nieraz zdarzało się, iż po przenocowaniu chorągwi mającéj konie złą chorobą zarażone, kilkadziesiąt wiejskich nazajutrz padło. W Stolnie, gdzie mieszkańcy haniebnemi powodowali się namiętnościami, w r. 1616 było włók osiadłych 42, zostało 15; w Koszynie było włók 30, zostało 10; jedne pozarastały, inne pusto leżą; w Wereszczach było dworzyszcz 10, zostało 4½; Lubicza, najznaczniejsza z osad wołoskich, w r. 1627 miała 58 poddanych na tyluż dworzyszczach, teraz zostało dwóch poddanych i dwóch zagrodników; w Wierzchrachaniach z liczby 30 poddanych na 15 łanach, co przed wojną byli, zostało czterech na dwóch łanach, reszta leży pusto; Kuliszków, wcale spustoszała; w Pańkowie, z liczby czterech poddanych na 3½ łanach, zostało dwóch na trzeciéj ćwierci półłanku; było zagrodników 40, teraz czterech. W Parkaczy w r. 1616 było poddanych 16 na dworzyszczach, w r. 1627, 13, zostało teraz czterech poddanych na jedném dworzyszczu. Zagrodników było 4, komorników 5, pop, rybitwów 15, teraz nie masz nikogo; sama wieś przeniesiona z gościńca lwowskiego za rzekę Ratę: tylko cerkiew tam stoi, gdzie przedtém stary Parkacz bywał. W Buskiém, w Nieznanowie r. 1628 było 28 dworzyszcz, po spustoszeniu jedno dworzyszcze; w Czaniszu, w miejscu dawnych 18 zostało dwa; w Opłocku zostało tylko dwóch zagrodników; w Ohladowie bywało sześciu poddanych na trzech dworzyszczach i zagrodników 14, teraz poddanych trzech na 1½ dworzyszczu i trzech zagrodników: popa, młyna, stawu nie ma (1).

Wśród ogólnego upodlenia charakteru, kiedy gromady ze wsi do wsi przyciągały, podobne stadom szarych wilków podczas grudniowych wieczorów; kiedy na Bugu rybak uderzając wiosłem, oddalał skwapliwie

(1) Lustr. WW. Rusk. i Bełz. z r. 1662.

łódź od prawego brzegu, bo pomiędzy rzekomo obrońcami praw ludowych, łatwo natrafić na zbrodniarzy. Natenczas wysnuwały się charaktery świetne w swych skromnych na pozór czynach; nabożna przemyślność wynajdowała dla dziedziców, szlachty, kryjówki pomiędzy trzcinami wśród trzęsawiska i wierzbą zarosłego ostrowu; z nadchodzącym wieczorem dostarczała w łodzi dziennego pożywienia.Nieraz przymuszony do ukrywania się dziedzic, swój sprzęt w kosztownościach, srebrach, perłach chłopu powierzał; rzadki był przykład zdrady. Nie w jednéj rodzinie szlacheckiéj imię Marcina lub Pawła zbawiciela podczas kozaczyzny, pobożnie się przechowało; niektóre charaktery do heroizmu dochodziły. Franciszek Burtkowicz mieszczanin tuszyński wraz z synem niewolony do zaciągnięcia się pod chorągwie szwedzkie, „ogniem i żelazem męczony" odpowiadał „nie przystoi katolikowi z innowiercami przestawać." Ze wsi Ludzyn, Nestor Popowicz i Kalenik, postawieni do strzeżenia kóp na polu, dopóty bronili, dopóki zabici nie zostali.

Kilku miesięcy trzeba było, ażeby zaciągniona przez niecne nadzieje powłoka z oczu chłopów spadła. Wtedy z chimerycznych marzeń, przeszli w zobojętnienie. Nieraz nieprzyjacielski podjazd zastawał w karczmie przy niegodziwych ucztach, kilka cięć po łbach trunkiem odurzonych, ledwie niektórym wracały przytomność, a reszta w trawach poblizkiego stawu, w piecach cegielnych schronienia szukała; nieraz tam i śmierć znachodzili. Ostatnie lata zawieruszeń nie występują do działania; gdzieniegdzie przyciśnięci ubostwem, czynią wyprawę do śpichlerzy nad spławną rzeką lub zasadzają się na nieprzyjaciela i łupy odbierają, lub pod przewodnictwem dzielnego szlachcica bronią wstępu do wsi albo okopiska (1).

Zygmuntowska byłato boleść, która wycisnęła z ust Jana Kazimierza to słynne wraz z senatem przyrzeczenie przed obrazem Matki Najświętszéj we Lwowie. Ten czyn miał odgłos: lud, wywiedziony z stupieszałości świętemi słowami króla, udał się na drogę prawa, do sprawiedliwości monarchy, na drogę którejby nie powinien nigdy porzucać, bo innéj dla po-

(1) Wyroki tryb. lubels. ks. 291—334.

czciwego nie było. Posłuchajmy jednéj z tych próśb: (niech nas nikt nie oskarża, iż tak często przytaczamy słowa współczesnych; ustępy te są jakby wierne powiewy onych czasów, które za dotknięciem naszą dłonią, brzmią tamtych wieków dźwiękiem). „Najjaśniejszy Miłościwy Królu, Panie Nasz Miłościwy i Dobrodzieju Wielki! My ubodzy poddani Waszéj Królewskiéj Mości Majestatu wsi Moszczennéj, będąc przez nieprzyjaciela ogniem zniesieni i spustoszeni tak, żeśmy ni przyczem nie zostali, supplikujemy Majestatowi W. K. M. Pana naszego Miłościwego, którego po Panu Bogu mamy, uskarżając się na J. M. P. starostę i p. Pawłowicza sługę jego, o to, iż J. M. P. starosta nic nie dbając na nasze utrapienie wielkie i z gruntu wywrócenie, lubo nie mamy gdzie mieszkać, bo się po hetmańskich poddanych tułamy, dzień na dzień bez odpoczynku żadnego od świtania aż do zmierzchu na każdy tydzień do roboty pędzi, i te roboty które przedtem będąc nas soch 30, co robotę dniową odprawowali, a teraz nas zaledwie soch 3, chcąc tego aby tak grunta zasiane mieli jako przedtem bywało, odprawować bez żadnego baczenia niewoli. Chmiel, któregośmy nigdy nie dawali, na piwo gwałtem dawać sobie rozkazuje i gwałtem on wybiera. Tenże p. Pawłowicz wołów nam wziął naprzód 11, a potem 9, a gdyśmy chodzili do niego upominając się, strasznie dwóch zbił, że ich wpół umarłych do domu zaprowadzono, a co znowu kiedyśmy chcieli podać supplikę na niego do JPana starosty, obuchem nam groził i nie dopuścił nas do JMCi; tak wiele nam inszych krzywd czyni, których przed żalem i biedą wypowiedzieć nie możemy. Zmiłuj się, zmiłuj, Królu Panie i Dobrodzieju Miłościwy, miéj przynajmniéj W. K. Mość nad nami politowanie i miłosierdzie, a podaj miłościwą niewolnikom rękę, abyśmy w naszych krzywdach, przy spustoszeniu ostatniém mieli folgę, a my z dziatkami naszemi i żonami Boga prosić, nigdy za długo, dobre zdrowie i długoletnie panowanie W. K. M. nie przestaniemy, niegodziwi poddani ze wsi Moszczennéj".

Sądy referendarskie podwoiły czynność, chcącym prawować się dawały glejty, a dzierżawców i urzędników przekonanych o nadużycie, osądzano na wieżę i grzywny, odsądzano od dzierżawy.

Już w swojém miejscu wskazaliśmy datę, od któréj zdawał się nam zaczynać smutek, stanowiący tło charakteru ludu; następuje rok w którym poczęło się uczucie niedowiarstwa i niechęci ku szlachcie. Odtąd szlachta mogła powiedzieć: „Populus hic labiis me honorat; cor autem eorum longe est a me." W duszę ludu zapadło nasienie trucizny: żądza, zmienność, myśl o wyuzdanéj swobodzie, nienawiść prawa.

MOZAJKA

złożona z wiadomości starożytniczych, dziejów sztuki, ułamków biograficznych i t. d.

przez

Ambrożego Grabowskiego.

Na co tylko stać kogo, niechaj każdy daje:
Już ten grzeszyć zaczyna, kto działać przestaje.
Minasowicz.

Mądrość zatajona a skarb niewidziany, cóż za pożytek z obojga. *Eccles. XX. 31.*

Jeszcze przed nami leży mało dotąd uprawne pole skrzętnego zbierania drobnych wiadomości, mających posłużyć jako materyał do układu większego i całość jakąś tworzącego dzieła, o starożytnościach krajowych, dziejach dawnéj sztuki, o malarstwie, snycerstwie, rytownictwie i t. d. Księgi takiéj, którąby cały ten objęła obszar dotąd nam brakuje, chociaż do niéj wielkie już w pracach uczonych mężów, jak szan. Kraszewskiego, Rastawieckiego, Przezdzieckiego, Sobieszczańskiego, Podczaszyńskiego i innych zgromadzone są zasoby. Aby zaś podobne dzieło w zamożnéj zjawić się mogło postaci, nieuchronną jest potrzebą, abyśmy do tego połączonemi dążyli siłami, *junctis viribus.* Niech więc każdy, kto chętny, zbierze choćby drobne swoje wiadomości, i te do ogólnego zniesie ogniska, a wtedy iskry te świetnym błysną promieniem i wskażą potomnym, że i przodkowie nasi mimo przeszkód na rzecz sztuki obojętnemi nie byli.

Zanim kto dziełem takiém piśmiennictwo nasze uzupełni, potrzeba przyjść mu do tego z stosowną pomocą.... Ta też myśl wiodła mię, abym przyniósł tę trochę małych cegiełek do budowy gmachu, którego wzniesieniem ozdobić się ma przestrzeń mało jeszcze pod tym względem poznanéj naszéj przeszłości. To więc, co mi do rzeczy wyżéj wskazanéj, a nawet i w mniejszéj z nią styczności będącéj, zebrać zdarzyło się: bądźto w dawniejszych drukach, rękopismach, a wreszcie i w dziełach obcych nawiasowo o tém wspominających, przesyłam szan. redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, aby to w piśmie swém zamieścić zechciała.

Malarze.

Blechowski Marcin. Współczesny Jana Chr. Proszowskiego. Mówi o nim szan. Edw. Rastawiecki; do czego dodam, że i on wspólnie z tymże Proszowskim wezwany był do udzielenia świadectwa o dawności malowania wizerunku bł. Jana Kantego, potrzebnego do procesu jego kanonizacyi, jak o tém w dziele: *Congregatione Sacra Rituum etc.*, któremu wizerunkowi najmniéj 150 lat dawności przyznali.

Czajkowski Grzegorz Karmelita. P. Felix Łobeski w dodatku do Gazety Lwowskiéj r. 1853 nr. 41, 42, 43 i 46, przy opisie kościoła św. Michała we Lwowie, mówi o nim i pracach jego w ten sposób: „Obrazy olejne w ołtarzach są to częścią utwory starożytne, z których jeden bizantyński, inne znów w stylu przechodowym; częścią zaś są już przez to samo ważne, iż są utworami znakomitego krajowego malarza, a oraz zakonnika Karmelity tutejszego klasztoru, w Rzymie wykształcon ego artysty Grzegorza Czajkowskiego, o którym żadne dotąd trudniące się historyą sztuki nie wspomniały pisma: a który, jak to napis na jego własnym, tu się znajdującym portrecie, opiewa, był głośnym i za granicą, a po swym powrocie do kraju, i inne karmelitańskie klasztory w Galicyi, na Wołyniu i Litwie, wielomа doskonałemi obrazami napełnił."

W nr. 42 wymienione są niektóre Czajkowskiego obrazy w tym kościele, a ze wzmianki w nr. 43 mógł on malować portrety osób znakomitych, zmarłych w latach 1734 i 1755. Można ztąd powziąć domniemanie, że żył w połowie XVIII wieku.

Wyraźniejsza o nim wiadomość jest w nr. 46, mianowicie w napisie znajdującym się na jego portrecie, jakoto: *R. P. Gregorius Czajkowski Carmelita, A. R. O. Theologus, Medicus et Pictor, Romae artium horum electus: reverens, patriam perfectis imaginibus, fratrum ordinis sui in Conventibus Galiciae, Volhyniae ac Lithuaniae, unitam protunc Provinciam constituentibus, praesentemque sui ipsius propria manu ex speculo pietam, ornavit. Obiit in Conventu majori Leopoliensi A.* 1757. *Aetatis suae* 48, *religionis* 20 *annorum.* (Napis ten kto inny dołożył).

Czumthurn Paweł. Nie Tomtorn jak w dziele bar. Rastawieckiego. Malarz ten krak. trudnił się malowaniem olejno. W regestrach m. Krakowa w wieku XVI, zapisał Lonher pod r. 1587: „P. Tomaszowi Sławek dałem pożyczkę z skarbu publicznego grzyw. 2 gro. 24, których on użył na zapłatę malarzowi Pawłowi czum Thurn (tak), za odnowienie obrazów w izbie radzieckiéj, które on swoim kosztem chciał mieć odświeżone."

Obrazy te były to malowane na płótnie wizerunki królów polskich (mówiłem o nich w *Dawnych zabyt. krak. str.* 6), które zawieszone w sali posiedzeń rajców były aż do r. 1807 jéj ozdobą... Przebyły one zarówno z dolą kraju smutne koleje!... Ruszone z dawnéj posady sprzedane były w t. r. przez licytacyą i przeszły na własność prywatną. Późniéj nabył je Senat w. m. Krakowa r. 1822, i względem nich stanęła uchwała; lecz pod wpływem ówczesnych okoliczności do wykonania jéj przyjść nie mogło, którą tu dla pamiątki zamieszczę.

„*Reskrypt Senatu d.* 2 *lipca r.* 1822 *do nr.* 2355. Do wydanego d. 29 maja r. b. rozporządzenia, tyczącego się odnowienia sali obrad Senatu, oznajmia Senat dodatkowo urzędowi budowniczemu, iż życzy sobie, ażeby portrety królów polskich dawniéj w ratuszu zawieszone, a teraz w kancelaryi ekonomii miejskiéj złożone, w rzeczonéj sali umieszczonemi były: których odnowienie i oprawienie w stosowne ramy, ma wchodzić w wykaz kosztów, urzędowi budowniczemu polecony.

„Żeby zaś umieszczenie to wykonanem było w sposób celowi odpowiadający, senator znoszący się z komitetem ekonomicznym wezwie tenże imieniem Senatu, do zniesienia się w téj mierze z p. Michałem Stachowiczem, którego talent zapewnia najtrafniejsze myśli téj uskutecznienie, i zawarcia z nim umowy o odmalowanie sali obrad.

„Senat poleca ekonomowi miejskiemu, aby, gdy czynność ta przedsięwzięta zostanie, namienione portrety królów polskich na żądanie komitetowi ekonomicznemu wydał i t. d.” Wizerunki te oddane zostały do zbiorów szkoły malarskiéj przy Instytucie technicznym krak., i tam się znajdują, lecz sądzę potrzebną być tę uwagę, iż malowania te nie zdają się być z owéj dawnéj epoki, i zapewne gdy tamte władzy czasu uległy, kopie tychże sporządzono najpodobniéj że w wieku XVII.

Dombrowski. Żył w drugiéj połowie przeszłego wieku. Z prac jego znane mi są dwa małe obrazy olejne na płótnie. *a)* Lot z córkami. *b)* Samson i Dalila. Pod jednym z tychże imię malarza: *D. A. Dombrowski S. P. pinxit Crac.* 1770.

Tegoż przedmiotu obrazy, lecz większego rozmiaru, których powyższą zdają się być kopią, zdarzą się spotykać w domach krak., i pamiętne mi jest, żem je widział w trzech miejscach: a właściciel jednych utrzymywał, nie wiem czy na pewnéj zasadzie, że te które posiada są pędzla T. Konicza.

Klejnert. Malarz nadw. jednego z synów króla Jana III. Ojciec, jak wiadomo, był miłownikiem kunsztów i malarstwa, a przymiot ten odziedziczył jeden z synów jego. Dr. Nagler pisze o nim: Marek Fryderyk Klejnert, malarz norymbergski, był w służbie biskupa bambergskiego i wirzburgskiego, i królewicza Sobieskiego. Kilka jego obrazów były rytowane przez sławnych jako i mniéj znanych mistrzów... Umarł r. 1742 licząc lat 48. Portret jego w postaci siedzącego przed stalługą, rytował I. J. Hajd w rodzaju zwanym *schwarzkunst*, in folio.

Konicz Tadeusz. Że się w sztuce malarskiéj sposobił nakładem Andrzeja Załuskiego biskupa krak., i że był jego nadw. malarzem, okaże to wypis z kodycyllu do testamentu tego biskupa z d. 8 marca r. 1758, w którym poleca exekutorom braciom swym, Marcinowi i Józefowi Załuskim, obu biskupom, wykonanie woli swéj, a między innemi i to im poruczа: „Ołtarz św. Andrzeja, do którego JX. audytor obiecał ciało świętego, przystojnie z marmuru na miejscu destynowanym wystawią w katedrze.... Obraz zaś do niego p. Tadeusz malarz mój nadworny zrobi. Temuż JP. Tadeuszowi zalecam zrobienie obrazu św. Michała na Skałce, i drugiego do PP. św. Norberta przed pałacem biskupiem, według abryszku już przez niego zrobionego: wszakże roczną kapitulacyą po śmierci mojéj mieć będzie, i o moim koszcie nauczył się malarstwa. Życzę mu

przytém, żeby się nie puszczał Krakowa: tu chleb i protekcyą biskupów sukcesorów moich zawsze mieć będzie."

Testament ten ciekawy, ma wzmianki o dziełach sztuki, malowaniach, kosztownych apparatach i t. p. któremi na rzecz kościołów jako i rodzeństwa swego rozrządza. Mówi on tam pomiędzy innemi legatami; „Rajtszulę albo szkołę kawalerską, tak wielkim kosztem moim utworzoną w Warszawie, *unice* dla ćwiczenia młodych kawalerów dotąd utrzymywaną, i wszystkie konie, leguję konwiktowi pod dyrekcyą księży Schol. Piar. z obowiązkiem, aby takową i na potym utrzymywali i t. d."

Lexicki Fran. Bernardyn. Badania miłowników sztuki rozszerzają coraz wiadomość o pracach jego. Rytownik europejskiéj sławy, a ziomek nasz zacny Antoni Oleszczyński, zbogacił zbiorek mój prześliczną ryciną swéj pracy: wizerunkiem św. Franciszka trzymającego ukrzyżowanego Zbawiciela. U spodu ryciny jest ten podpis: *św. Franciszek Seraficki. Podług obrazu znajdującego się w kościele św. Michała PP. Bernardynek w Wilnie, malowanego przez Fr. Lexickiego, braciszka zakonu OO. Bernardynów około r.* 1664. *F. Ant. Oleszczyński Parisiae*, 1850.

Do płodów ręki jego należeć jeszcze ma obraz św. Antoniego w ołtarzu bocznym kościoła OO. Bernardynów krak., o którym jeszcze nikt nie wspomniał. W późniejszym zapewne czasie postać św. okryto sukienką metalową posrebrzaną, i tylko robotą malarską pozostało oblicze św. i boczne akcessorya. Mam wiadomość od znawcy i artysty, że na tym obrazie są dwie postacie: jedna w okryciu głowy nakształt tureckiego zawoju, druga w futrzanéj czapce spiczasto zakończonéj; a te dwie figury znajdują się powtórzone na obrazie św. Katarzyny w Nowymtargu, i na jednym z obrazów kalwaryjskich, tudzież na obrazie ścięcia św. Jana w szkole malarskiéj krak., co wskazówką być mogłoby, że to są utwory jednéj ręki.

Jak mozolną jest rzeczą poszukiwanie szczegółów do dziejów sztuk pięknych w kraju naszym, wiedzą to ci, którzy się badaniu temu oddawali. Żadnych prawie zasiłków nie dają pisma dawnych autorów naszych, a widocznego doznały zaniedbania prace Lexickiego znajdujące się na Kalwaryi (Zebrzydowskiego) pod Krakowem. Obrazy te malować kazał i zapewne koszt na to łożył Jan Zebrzydowski miecznik kor., a przecież chwalcą

jego pośmiertny O. Alexy Piotrkowczyk Bernardyn, w kazaniu pogrzebowém pod tyt. *Nagrobek pobożności chrześciańskiej, in 4-to w Krakowie* 1641, w ogólnych tylko wyrazach wspomniał o hojności jego na kościół kalwaryjski, niebacznością pomijając, iż mu fundacyą tych pięknych obrazów głównie przyznać należało, i w takich tylko wyrazach się odzywa: „Odjęłaś (mówi do śmierci) Województwu mądrego konsyliarza, zacnéj familiéj i żałosnym potomkom ozdobę, nam ubogim (Bernardynom) i miejscu temu patrona szczodrze dozornego..... Synowie S. Franciszka bracia moi! opłakujcie śmierć dobrodzieja swego, z którego szczodrobliwości wiele apparatów od bławatu, złota i srebra, zostało w kościołach waszych.“ Kończy tém: „Na ostatek, zmarły nietylko przykładem dobrym i sumptem, który dosyć pański łożył na ozdobę klasztorów różnych a osobliwie miejsc tych świętych, ale i zdrowia dla pożytku kościelnego nie żałował“.

Radwański Andrzéj. Mam to z ustnego wiarogodnego podania, że on malował w Jędrzejowie w czasie swojego tam zamieszkiwania kościół XX. Cystersów, ale to jego malowanie zakopcone i uszkodzone zostało przez pożar wnętrza kościelnego, i takowe na nowo powlekał kolorami malarz krak. Wojciech Gutowski, zmarły r. 1812... Prócz tego miał jeszcze Radwański ozdobić malowaniem i drugi tamże kościół parafialny, a to jego malowanie jeszcze podobno dotąd się utrzymuje.

Wolne chwile od większych zatrudnień, poświęcał Radwański pomniejszym kompozycyom do obrazów olejnych: posiadam kilka robót jego (szkiców), r. 1739 i r. 1741 w Tyńcu, a r. 1756 w Krakowie ołówkiem, tuszem i piórkiem, jako też kolorem niebieskim (monochromat) wykonanych.

Smuglewicz Franciszek. Według rysunku jego z czasów pobytu w Rzymie, wykonaną jest piękna rycina przedtytułowa do dzieła o budownictwie, (podobno przez Vignoli), a na jej ostatnim planie jest krajobraz z widokiem rozwalin i piramidy. Środek zajmuje popiersie, które Minerwa uwieńcza. Geniusz wskazuje muzie Historyi popiersie, a na podstawie pod temże jest ten napis: *Virtutem fovet, coronat ipsa Minerva.* Wysokość ryciny w świetle cali 9, szerokość cali 6. U dołu podpis: *Fran. Smuglewicz Polonus inv. et del. Carolus Antonini sculp.*

* * *

W dawnych czasach, malarze nietylko w samym obrębie murów miasta Krakowa, ale i na jego przedmieściach zamieszkiwali, jak n. p. na Biskupiu, teraz części Kleparza. Miała ta dzielnica osobnego wójta, a podlegała juryzdykcyi biskupów i kapituły krak. Osobne księgi wójtowskie obejmują imiona osiadających w wieku XVII na gruncie Biskupie zwanym, *in fundo Episcopali*, przyczém składali przysięgę na wierność i posłuszeństwo JO. książęciu Siewierza biskupowi krak., prześw. kapitule krak. i urzędowi wójtowskiemu. Przed tym urzędem toczył się r. 1608 taki spór: W sprawie między sławnymi cieślami, a z drugiéj strony Janem malarzem, we środę przed Bożem Ciałem, wysłuchawszy urząd wójtowski kontrowersiéj z obu stron, nakazał, aby cieśle wywiedli starsze malarze krakowskie. Wyznali malarze, że takowe świece dobrze są zrobione przez pozwanego, tylko poprawić koronek na górze i innych rzeczy, którcby były potrzebne. Urząd wójtowski nakazał, by cieśle oddali pieniądze p. Janowi malarzowi flor. 3., a 40 groszy zostawili przy sobie aż poprawi takowych świec. Strony obie dekret przyjęły.

W tychże aktach jurydyki Biskupia, wspomniany jest r. 1609 sławny pan Kasper malarz, mieszczanin (może Kurc) jako pozywający o dług mieszkańca Biskupia, i inny znowu, uczciwy Marcin malarz z Biskupia.

W tejże dzielnicy Krakowa mieszkał i rzeźbiarz, a był zawadiaka. R. 1604 oskarżony był przed wójtem o zelżywość wyrządzoną Wojciechowi Skrzydełko krawcowi, gdzie go piszą Alexander sniczar, także Alexander sniczer, albo sniczarz.

* * *

Miłownik malarstwa. Do poczetu lubowników sztuki w dawnych czasach, słusznie wejść powinno imię Piotra Gembickiego biskupa krak., o którym M. St. Temberski w panegiryku *Fascia lemniscata* i. t. d. takiemi przemawia słowy: „Czyliż nie on pałac biskupów krak. przez poprzedników mniéj kształtnie zbudowany, w piękny porządek wprawił, kosztownem malowaniem, marmurami i wszelkiego rodzaju ozdobami zapełnił?... nie tyle kwoli własnej wygodzie sposobiąc zamieszkanie, jak raczéj dla swoich z Bożego przeznaczenia przyjść mających następców“.

* * *

Dawne obrazy. Pismo: Przyjaciel Ludu, rok szósty, nr. 28 dało wiadomość o obrazach przedstawiających odsiecz Wie-

dnia przez króla Jana III r. 1683., a byłto bój, który rozstrzygnąć miał to dilemma: *aut sunt, aut non sunt.* Pisarzowi téj wiadomości nie był znany tegoż przedmiotu ogromny obraz olejny na płótnie, ręki niewiadomego malarza, który się znajduje na kurytarzu dolnym w klasztorze OO. Reformatów krak., nietyle zapewne rodzajem wypracowania, ile treścią swoją ważny. Zajmuje on wielkością swą całą przestrzeń ściany, lecz przez wilgotną atmosferę miejscową, znacznemu uległ zniszczeniu. Po jego kolistości zastosowanej do sklepienia, widzieć można, że był zamiarowo dla tego tu miejsca malowany. Podpis na nim jest taki: *Delineacya wiekopomnéj pamięci zwycięztwa z Turków, otrzymanego za powodem Naj. Pana Jana III, króla polskiego, z korzyścią wielką wojsk chrześciańskich i pociechą ludu d.* 12 *7bris r.* 1683. Prócz tego znajdują się literami i liczbami dane objaśnienia tak zdarzeń saméj bitwy, jako téż oznaczenie miejsc boju. Czyli zaś objaśnienia te są wiernem przedstawieniem rzeczy, osobne do tego studyum byłoby potrzebne.

* * *

Obraz Najśw. Panny Częstochowskiéj. Dodatkowo do rzeczy o tym obrazie w *Wiadom. starożytn. o Krakowie* str. 265, dołożę tu, że obraz ten doznawał czci i w innych miejscach ziemi naszéj. Oprócz Topolna, już w połowie XVII wieku znajdował się w Uchaniach w kościele OO. Paulinów w ziemi chełmskiéj. Mówi o tém ks. Lobżyński w kazaniu pod tyt. *Przenosiny tryumfalne etc.* 4to *r.* 1644. „A że i to przydam, iż sam przemalowany obraz naszéj Jasnogórskiéj Królowéj, który w Uchaniach w cudownem jest kochaniu, jakoby swém prawém po W. M. wyciąga, abyśmy téj naszéj powszechnéj dobrodziejki i na tamtém miejscu sługami i wiecznemi strażnikami zostawali“ (*str.* 10).

* * *

Do etnografii polskiéj. Niepotrzeba dowodzić, jak dla uprawiających sztuki piękne ważną byłoby pomocą, gdyby się zawiązało stowarzyszenie celem zebrania i ogłoszenia znajdujących się na nagrobkach w całéj Polsce ubiorów przeszłych czasów, na dawnych portretach w domach prywatnych, często w kościołach i klasztorach znajdujących się, do czego sam Kraków obfity dałby zasiłek. Zamiar ten powierzony biegłéj dłoni, przy

ułatwieniach daguerrotypii, fotografii i t. p., nie napotkałby wielkich przeszkód, a dobre chęci i wytrwanie doprowadziłyby go do pomyślnego wypadku.

Ktoby podobną pracę zamierzył, nie może pominąć uwagą wielkiego olejnego obrazu w kościele OO. Bernardynów na Stradomiu, naśladownictwo co do pomysłu obrazu Jana Holbeina, taniec śmierci (*Danse macabre*, *Todtentanz*), ale co do samego wykonania rzeczywiście malowanie oryginalne: tam bowiem widzimy ubiory nasze krajowe różnych stanów, jakoto: książęcia, dygnitarza, szlachcica, kupca, wieśniaka, żyda i innych. Ale najciekawszą częścią jest w środku obrazu koło taneczne w ubiorach kobiecych, w których niejeden szczegół teraźniejszy stroju damskiego upatrzyć można. Malowanie to niewątpliwie ręki malarza krak. odnieść się może do wieku XVII.

Drugiém z tegoż względu ważném malowaniem, ubiory mieszczan krakowskich z tegoż XVII wieku przedstawiającém, byłby obraz znajdujący się w jednéj z przystawek do murów kościoła Panny Maryi, z szkodą téj pięknéj świątyni przybudowanych, a mianowicie od strony północnéj. Środek obrazu zajmuje śmierć, a po bokach stoją parami mężczyzni i kobiety w dawnych ubiorach, z stosownym, jak i na poprzedniém malowaniu, czworowierszem. Niegdyś obraz ten zawieszony był w przedsionku głównego wejścia do téj świątyni, i jest w dolnéj części znacznie przez czas uszkodzony, lecz górna lepiéj jest zachowana.

* * *

Kiedy w ościennych krajach tak w dawnych jak i w nowszych dziejach przebrało się przedmiotów do tworzenia obrazów, sąsiedni Niemcy wkraczają na nowe dla siebie pole, szukając takowych w historyi naszéj do przeniesienia ich na płótno. Fr. Faber w dziele *Conversations-Lexicon f. bildende Kunts*, w tomie 3-cim str. 291 tę czyni o tém wzmiankę:

Monumenta nasze u obcych.

Monument Anny córki Kazimierza Jagiellończyka. Takowy znajduje się w kościele zamkowym w Szczecinie w Pomeranii, i jest oraz pomnikiem jéj małżonka i rodziny. Fr. Ku-

gler w dziele: *Kleine Schriften und Studien zur Kunstgeschichte etc. Stuttgard*, 1853, tom I. p. 816, taki opis jego podaje: „Rodzaj wypracowania jest taki sam, jak i w ołtarzu w kościele tymże. Rzeźbiony jest w drzewie, a rzeźba pokryta złoceniem i malowaniem; w całości objęty rodzajem ramy, którą kształcą bogate pilastry włoskiego stylu. Górną częścią jego jest wystawka przezroczysta, w któréj mieści się popiersie męzkie. Główną część stanowi krucyfix: po jednéj stronie klęczy książę Bogusław i trzech jego synów, Barnim, Jerzy i Kazimiérz, a po drugiéj stronie małżonka z trzema córkami: Anną, Elżbietą i Zofią. Figury cokolwiek mniejsze niż wzrost naturalny, w wypukłorzeźbie wprawdzie nie najwyborniejszéj, gdyż postawy ich są ociężałe, ale za to głowy odznaczają się szczególniejszym wyrazem, i całość we względzie historycznym znakomitéj jest wartości. Długi napis w łacińskich hexametrach naucza kogo przedstawiają te postaci, i zarazem wyjaśnia, że pomnik ten wystawił książę Barnim IX, co nastąpiło około połowy XVI wieku.

Przy téj sposobności nie zamilczę tu spostrzeżenia, jak mało są znane dzieje nasze nawet tym, którzy zawiadowstwo jakieś w muzeach sprawują. W München, stolicy Bawaryi, w długim kurytarzu wiodącym do skarbcu klejnotów koronnych, zawieszone są ściany portretami znakomitych osób, pomiędzy któremi dojrzałem portret damy w ubiorze poważnym z tym podpisem, który dosyć jest przytoczyć, aby błędność jego wykazać: *Anna Jagellonica, Vladislai Hungariae ac Bohemiae Regis filia, Ludovici Hungariae Bohemiaeque Regis soror, ac Haeres unica, Ferdinandi I. Austriaci uxor, fratri suo succedit* 1326. *Mortua Pragae* 1347.

Muzyka.

Że na dworze królów naszych muzyka obok zamiłowania w malarstwie i t. p. w słusznem była poważaniu, o któréj wyrzekł Klopstock: Muzyka nie same tylko zachwyca światy, ona i niebo zachwyca; a Blumenhagen z uniesieniem mówi: Muzyko!.. tyś przyjaciołką wszelkiego dobra, serafem przebaczenia.... Ty łagodzisz nienawiść i hamujesz mściwość... Tyś rószczką Mojżesza, która w pustynię życia nowe wprowadza radości: nie

dziw przeto, że tam należnych doznawała względów. Do już wiadomych imion muzyków królewskiego dworu przybywa jeszcze *Thomas Kamiński Musicus S. R. Maj.*, Zygmunta III.

I na przedmieściach krakowskich muzyka miała swoich zwolenników, i mieszkańcy jurydyki Biskupia posiadali narzędzia gędziebne, jak tego są ślady w aktach wójtowskich tego przedmieścia. R. 1609 przypozwał sławny Jan Kasprowicz o klawikord do urzędu wójtowskiego p. Marcina regalnika (robiący instrumenta, regały lub może organista). Pozwany nie przeczy i mówi, że ten klawikord mam u Kupika. Urząd wójtowski nakazał dekretem niniejszém do tygodnia zapłatę, albo regał. W kilka dni potém nastąpiło drugie stawiennictwo stron: „Stanąwszy p. Marcin Bocheńczyk przed urzędem moim wójtowskim, zapisał się i obligował oddać złotych półczwarta albo klawikort od dnia dzisiejszego za dwie niedziele, sławetnemu p. Joannesowi Casprowiczowi, co ma uczynić przez wszelakich trudności, pod takąż summą drugą wyżéj mianowaną".

Lutnia. R. t. skarżyła pani Janowa szlifierka na p. Marcina kuśnierza o lutnią, którą szacowała złoty jeden, mówiąc, żem w rękę dała panu Marcinowi. P. Marcin powiedział, żem ja lutni nie brał od niéj, alem przyszedł z niejakim Andryanim, która mu sama dała lutnią: ale jeśli śmie o to prawo czynić, ważę się szkody. Dekretem (mówi wójt) kazałem przysiądz pani Janowéj, jako właśnie w rękę dała lutnię p. Marcinowi. Kieli to uczyni, będzie powinien p. Marcin dać lutnię albo złoty w blizko przyszły piątek.

Ta pani Janowa stanęła w urzędzie, ale przysięgi odmówiła, a wójt od dalszego sporu Marcina uwolnił. (Sądzę potrzebą uczynić tu uwagę, że tą lutnią może były skrzypce, które wówczas tak nazywano).

* * *

W posiadaniu jednéj z rodzin krakowskich jest bardzo dawna wiolonczella, wewnątrz któréj wlepiona jest kartka z napisem Groblicz r. 1609., co zdaje się być nazwiskiem polskiego mistrza instrumentów muzycznych.

Rytownictwo.

Pełen szlachetnego zapału w zbieraniu utworów sztuki i zabytków starożytności krajowych, ś. p. Gwalbert Pawlikow-

ski, ogłosił jedyny dotąd traktat o téj gałęzi sztuki, mianowicie o rytownictwie, w spisie imion mężów, którzy się zawodowi temu poświęcali. Niesłuszną byłoby rzeczą czynić tu uwagę, że przedmiot ten należycie przez niego nie został wyczerpnięty, kiedy wiadomo, że do tego najmniejszego w piśmiennictwie naszém nie miał zasiłku, i pracował w rzeczy dotąd przez nikogo nie tkniętéj: należy raczéj przyznać mu *suum cuique*, że wykonał to, co siły pojedyńczego zdołały, i zostawił piękne zaczęcie badań dla przyszłych pracowników, które ogłosił w Czasopiśmie lwowskiém r. 1829 i r. 1830, w sposobie słownika. Nie można więc ubliżać pracy jego, że w niéj nie są pomieszczone imiona wszystkich rytowników naszych, których utwory mniéj lub więcéj szczęśliwe zdarza się widzieć, bo to niełatwo spotkać się ze wszystkiém, co po całym obszarze kraju jest rozrzucone. Lecz dozbierajmy to, co tam opuszczono, a wtedy złoży się całość, któréj nam brakuje. Czynię temu początek, szeregiem imion nieznanych ś. p. Pawlikowskiemu rytowników naszych, których prace lub sam posiadam, lub są mi znane, a późniéj ktoś może i prace ich wyliczy, i zalety jeżeli je mają oceni.

Baden, rytował w Krakowie.—Bacewicz Fran. Wacław.— Breliner. — A. Charzewska.— Czechowski J. — Czernicki.— Deliński Paweł.— Dłuski.— F. M. B.— Gebel Andrzéj.—Grabowski Józef.— Hadziewicz Rafał.— Hempel Jakób.— Hołoka A.— Hurczyn Perl A.— Józefowicz Fr. St.— Karęga.— Kluk Krzystof ks.— Kostrewicz.— Kozakiewicz Mat.— Królikowski Stan. zakonu św. Dominika.—Michałkiewicz nowego rodzaju plagiator.— Nowicki C. H.— Ostrowski Kazimiérz.—Perl Józef.— Poznański lub może Poznowski.— Radwański Andrzéj.— Radziwiłł książę Antoni.— Szczurowski Pro. Not. Apl.— Siemiński Lucyan.— Skowroński J. G. ksylograf.— Sławecki W.— Sławiński J.— Spindler Antoni.— Strzałkowski Konst.— Sylwiusz Szczepan.— Szmul Marc.— Taborski.— Węgrzynowicz Antoni Reformat.— Wyszkowski Piotr.— Wyszlowski, Wisłowski Jerzy.— Zborowski.— Żebrawski Teofil.

* * *

Gorczyn Jan Alexander, rytownik. Jest on niepospolitą postacią w rzeczach naszéj sztuki, i pomiędzy lepszemi rytownikami widoczne zabiera miejsce. Ś. p. Gw. Pawlikowski mówi o nim, że są rylca jego wizerunki, świętych portrety, wi-

doki miast; ale również często widzieć można ryciny jego w panegirykach, jak n. p. w panegiryku Jana Dziedzica pod tyt. *Rosae Broscianae*, rycina in folio, na której wyrażone jest u dołu: *Jo. Chry. Proszowski delin. Joan. Alex. Gorczyn Crac. caela.*

Znaczna liczba rycin jego nazwiskiem oznaczonych, wskazuje, że był użyciem rytowniczego narzędzia czynnie zajęty. Ważniejsze przecież od tych są prace jego piśmienne, w których on w niejednym rodzaju naukę swą objawia. Przy innych wiadomościach nie była mu obcą muzyka, gdyż bez jéj znajomości nie mógłby był puszczać się na pole teoryi, zwłaszcza, że wydał traktat pod tyt. *Tabulatura muzyki, abo zaprawa muzykalna, według której każdy gdy tylko A. B. C. znać będzie, może się bardzo prędko nauczyć śpiewać i na wszystkich instrumentach t. j. na skrzypcach i na klawikorcie i inszéj muzyce z nót grać i t. d. Z różnych autorów napisana dla pożytku młodzi przez Jana Alex. Gorczyna. W Krakowie, u Piątkowskiego* r. 1647 w 8ce, kartek 28 i tablic 4. Przypisane ks. Szymonowi Starowolskiemu.

W t. r. 1647 wydał: *Nowy sposób arytmetyki*, który przywodzi Siarczyński tom I, mylnie przyznając mu, że był rymopisem.

Do największych rzadkości bibliotecznych należy jego dziełko pod tyt. *Herby królestwa polskiego*, które wydał w Krakowie r. 1653 w 8ce. Oprócz tego przy nim też pozostaje zasługa, że on piérwszy rozpoczął u nas redagowanie porządnéj gazety, która pod tyt.: *Merkuryusz polski* wychodziła, r. 1661 (a może i wcześniéj) w Krakowie w kamienicy Szoberowskiéj na Wendecie (teraz mały rynek), ale już w połowie m. maja t. r. 1661 na nr. XXIX Merkuryusza, jest na końcu wyrażone: *W Warszawie przez Jana Alex. Gorczyna.* Obszerniejsza o téj gazecie wiadomość przez J. S. Bandkie, znajduje się w Rocznikach Tow. nauk krak. tom 4, z r. 1819.

Z rycin i pism jego jest dowód, że był osiedlony w Krakowie, a tylko może na krótki czas wydawania Merkuryusza przeniósł się do Warszawy: nakoniec wrócił on do rodzinnego gniazda, gdzie późnego dożył wieku, wcale niedoznając łask fortuny, pomimo nauki i przedsiębiorczego umysłu, ile że był pogrążony w długach i za nie więziony. W rękopiśmie bractwa męki Pańskiéj (spalonym r. 1850), był taki zapis: „R. 1684 d. 30

marca. Zgromadzono więźniów w ratuszu krakowskim w pańskiéj izbie, dokąd przybyło bractwo M. P. oraz ks. prałat Panny Maryi JX. Jerzy Januszowicz z processyą. Odbyło się nabożeństwo, na którém więźniowie komunią Ś. przyjęli. Dano im potém obiad u Hutmana, poczém uwalniano z regestru więźniów: z ślacheckiéj wieże jeden, z dłużnice kilku, a między temi Alex. Gorczyn M. Dru. K. Nie można wątpić, że ten zapis do niego się odnosi, a tylko nieuctwo pisarza bractwa, nie umiejącego odróżnić rytownika od drukarza, przyczyną było tego niewłaściwego oznaczenia.

Tegoż nazwiska na początku XVII wieku żył Piotr Gorczyn, którego pisma wierszem znane są w dziejach literatury naszéj.

Materyały do ikonoteki polskiéj.

Dotąd jeszcze nie zebrało się u nas na jakikolwiek spis rycin do Polski należących, a jest to *pium desiderium* każdego, komu przedmiot takowy miłém stał się zajęciem... Jestto wyłącznym obowiązkiem miłowników posiadających zbiory, aby każdy dla ułatwienia pracy zdawał w pismach sprawę o tego rodzaju przedmiotach, rycinach i t. p., a nie należy wątpić, iż się znajdzie ktoś w przyszłości, który wsparty temi pomocami, wyłom ten zapełni.

Nie wszystko też co do ikonoteki polskiéj należy, znajduje się w kraju; częściéj jeszcze zagraniczne zbiory obfitują w te rzadkości. Pracujący u nas na téj niwie, powinien przejrzeć stosowne do tego spisy, katalogi i t. p. i z nich czerpać to, czego u siebie nie znajdziem.

Świeżo wyszedł z druku tom I-szy dzieła niemieck. pod tyt. *Die K. K. Ambraser Sammlung, beschrieben von Edw. Sacken.* 8°. *Wien* 1855, w którém są wzmianki o portretach królów naszych jakie się tam znajdowały, o czém ta jest wiadomość: „W zamku Ambras w Tyrolu, (1) w zbiorze osobliwości i dzieł konsztu, rzeźb, malowań sławnych mistrzów, rękopisów, ksiąg i numizmatów, które tamże arcyksiążę Ferdynand rządca

(1) Teraz ten gabinet ambrazyjski znajduje się w pałacyku cesarskim w Belwederze w Wiedniu.

Tyrolu z wielkiém staraniem, znawstwem i niemałym kosztem nagromadził, mieściły się wizerunki ówczesnych panujących i wsławionych mężów. R. 1574 zwiedzał ten zamek i oglądał tamże się znajdujące utwory sztuki, zbrojownię i t. d. Karol Fryderyk książę Kliwii i Juliaku, w towarzystwie Winanda Pighiusza, który jadąc z rzeczonym książęciem do Włoch, podróż tę opisał, i w niéj wspomina o wizerunkach tamże widzianych, a między temi i portret naszego króla Zygmunta (zdaje się że ojca) w ubiorze futrzanym: *Auch betrachtete er* (książę Karol) *mit Lust den Koenig Sigmund von Pohlen im Pelzmantel.*

W bibliotece nadw. cesarskiéj w Wiedniu, znajduje się wspaniałe dzieło *(Prachtwerk)*, złożone z 125 rycin *in folio*, na miedzi rzniętych, któreto dzieło na rozkaz pomienionego wyżéj arcyksięcia Ferdynanda ułożył sekretarz jego Jakób Schrenk. Ryciny te przedstawiają najznakomitszych panujących i wodzów, których zbroje w Ambras zgromadzone były, a pod niektóremi wizerunkami są napisy, jak n. p. pod królem Stefanem Batorym:

Quod mihi non dederat veterum successus avorum,
Libera Sauromatum vota dedere decus.
Quod superest, regnum sic est virtute gerendum,
Ne possit quemquam poenituisse mei.

Dzieło to wyszło r. 1601 w Inspruku w Tyrolu, zaczęte jeszcze za życia arcyksiążęcia, który na śmiertelnéj już będąc złożony pościeli, polecił synowi swemu Karolowi dokończenie jego.

* * *

Inne dzieło również nowe: *Die Kupferstich-sammlung der K. K. Hof-Bibliothek in Wien, von Friedr. Bartsch etc.* 8°. *Wien* 1854, te wymienia ryciny do polskich należące:

A.) *Johann III. Sobieski Koenig von Polen.* Popiersie twarzą naprzod obrócone, ręka lewa na biodrze wsparta, kolczuga druciana *(Panzerhemd)*, na któréj skóra niedźwiedzia spięta na piersiach dwiema klamrami, drogiemi kamieniami nasadzonemi. Tło obrazu osłania firanka (kotara), z pod któréj po prawéj stronie widać koronę. U spodu podpis: *Serenissimus et potentissimus Princeps ac Dnus. Joannes IIItius Rex Poloniae, magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Livoniae, Smolentiae* (tak), i t. d. Po czém idą wiersze:

En caput hoc oculis merito spectabile cunctis,
Quod tam spectatum bellica fama facit.
Non etenim MAGNUM novere Poloni,
Imprimit et titulum pressa Vienna parem.

U dołu podpis: *Christophorus Lederwasch fecit Salisb. A.* 1683. Wysokość cali 11., szer. cali 7. Rycina ta jest arcyrzadką, badaczom sztuki jak A. Bartsch, Heller, Laborde i Weigel nieznaną: praca pełnego zasługi salcburgskiego malarza.

B.)—*Albert de Lasko Paladin* (tak) *von Sirad* (tak). Pół figury twarzą naprzód. Odcisk wspaniały. Wysokość cali 8, szer. c. 5.

C.)—*Drzeworyt.* Brama tryumfalna, *Ehrenpforte*, cesarza Maxymiliana I, z 92 sztuk nierównéj wielkości złożona. Wydanie drugie przez Rafała Hofhaltera *Skrzetuskiego* roku 1559.

Exemplarz całkowity, kolorowany, o którym Adam Bartsch w wstępie do wydania 3-go dzieła *Le peintre Graveur Vol.* 7 *p.* 151 tak mówi: Jedyny zupełny exemplarz znany, o którym dotąd mniemano że jest unikatem, jest ten, który się znajduje w bibliotece nadw. cesarskiéj. Jest on razem zebrany, rozpięty na płótnie i kolorowany. Druga ważniejsza korzyść, iż ten exemplarz posłużył do uzupełnienia 21 drzeworycin (*planches*), które były zaginęły. Exemplarz ten rozwiniony z kształtu wałkowatego i zdjęty z płótna, które było nadniszczone, składa się teraz z 41 sztuk prawie jednakiéj wielkości. Na drzeworycie napisowym w środku, znajduje się ten czterowierszowy podpis: *Gedruckt zu Wien in Osterreich bei dem Raphael Hofhalter auff Polnisch Skrzetuski genant M. D. LIX.*

Zbroje, pancerze polskie.

a.) W zbiorze ambrazyjskim (jak wyżéj) znajduje się zbroja króla Stefana Batorego, którą Edw. Sacken opisuje, lecz w przeniesieniu na polskie opisu tego zachodzi trudność, gdyż wyrazy techniczne niemieckie naszemi zastąpić się nie dadzą, i łatwiéj daleko byłoby opis ten zrobić z naocznego jéj widzenia. Mówi Sacken: Szyszak węgierski był powszechnie w Polsce używany. W części grzbietowéj téj zbroi jest olejną far-

bą dawny napis: *Kii* (znaczy *Kiinig* król) *Steff. auss. Polln.* Luckius w dziele: *Sylloge numismatum elegantiorum* r. 1620 daje medal króla Stefana Batorego, na którym jest wyobrażony w téj saméj zbroi.

b.) Zbroja hetmana i kanclerza w. kor. Jana Zamojskiego, przedstawia ją rycina dzieła Jakóba Schrenk (jak wyżéj), lubo Sacken powątpiewa, aby się ta kiedykolwiek w zamku Ambras znajdowała, bo jéj dawniejsze spisy zbioru tego nie wymieniają.

c.) Pancerz Mikołaja Radziwiłła, tym sposobem jest wspomniany: *Niklas III von Radzivil, Herzog zu Dubińsky und Biersche, genannt der Rothe,* J. Schrenk daje wizerunek jego na tablicy LXVII.

d.) Zbroja Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła książęcia na Ołyce i Nieświeżu, U Schrenka na tablicy LXX. Już ona jest zapisaną w inwentarzu r. 1596, Książę takową darował do Ambras może w czasie przejazdu do ziemi S. r. 1582.

e.) Zbroja Mikołaja IV na Ołyce, zwanego Czarny. U Schrenka na tablicy LXV.

Ludwisarze królów polskich.

R. 1550. *Melchior Bach, bombardarius Regius.*

R. 1566. Był posiadaczem domu na Biskupiu *Osualdus Balthner, Regius tormentorum fusor.* R. 1567, Maciéj Bleszyński wielkorządca zamku krak., imieniem królewskiém sprzedaje do króla należący dom *honesto Oswaldo Balthner de Norimberga* S. M. *Regiae servitori,* leżący *in vico episcopali,* za kwotę zł. pol. tysiąc.

Kule podługowate.

Nic nowego pod słońcem. W czasach obecnych wprowadzają w użycie jako nowy wynalazek w sztuce wojennéj kule stożkowate, jako przyspieszające większą liczbę ofiar Molochowi wojny. Lecz zdaje się, że wynalazek ten nie jest nowym pomysłem.

Gazeta krakowska r. 1823 Nr. 66 ogłosiła obszerne sprawozdanie ks. Jerzykowskiego plebana w Wrocimowicach, wy-

wołane mojém wezwaniem w Pszczółce Krakowskiéj, o wykopalisku podziemnych komnat i sklepów, zasypanego murowanego domu o ścianach malowanych, o którego niegdyś tu istnieniu żadnéj nie miano wiadomości. Znaleziono tam różne sprzęty żelazne rdzą przetrawione, szczątki broni siecznéj, kilka kolumn kamiennych i innych ozdób porządku koryntskiego, a wreszcie, jak piszący donosi: „petryfikacye, zęby i kości swojskich i dzikich zwierząt, tém szczególniejsze, iż się w nich znajdują kule podługowate ołowiane, nie okrągłe jak teraz używają; dwa małe pieniążki, na jednym z których orzeł polski, i wiele innych rzeczy drobnych, które ks. Jerzykowski w relacyi téj wypisuje.

* * *

Taż gazeta z r. 1824 Nr. 96, ogłosiła wiadomość mogącą posłużyć do poszukiwań starożytniczych, którą tu w całości daję: „Na wschód o milę drogi od Kielc ku Bodzentynowi, leży pagórek piaszczysty zwany Turka, w którym odkrywają różne starożytności, jakoto: ułamki sprzętów wojennych, pokruszone urny z popiołami, paciorki szklane, srebrne i miedziane zapinki, znaki wojenne i ozdoby rycerskie. Odkopano także halabardę z siekierami, które przerobiono na gospodarskie narzędzia i t. d.“ Wiadomość ta jeżeli jest prawdziwą, godną jest do odnowienia badań i poszukiwań tych archeologicznych skarbów, które tam znajdować się miały.

O posągu Światowida.

Starożytność posągu tego, znalezionego w korycie rzeki Zbrucz we wsi Kociubinczyki na Podolu galicyjskiém, a teraz znajdującego się w zbiorach Jagiellońskiego uniwersytetu, podawaną była w wątpienie, a nawet podnosiły się głosy, że mógł być tylko utworem fantazyi i t. d. Lecz nowe odkrycia stwierdzają autentyczność tego bożęcia (dawny wyraz) pogańskich Słowian, którego wizerunek niedawno w północnych stronach staréj Słowiańszczyzny znaleziony został, jak o tém pisze Fr. Kugler w dziele: *Kleine Schriften und Studien zur Kunstgeschichte etc. Stuttgard*, 1853., z którego ten streszczony wypis:

„Powszechne wzniecilo zajęcie znalezienie kamiennéj płaskorzeźby z wyobrażeniem Światowida (*Svantevitsbild*) niewy-

raźnéj wydatności i niezgrabnego wyrobu, która jest wprawiona w zewnętrzny mur kościoła w Altenkirchen na wyspie Rugii w Pomeranii. (Tam była świątynia tego bożyszcza w Arkonie). Przedstawia ta rzeźba postać męzką, trzymającą w ręku na piersiach wsparty wielki róg (*Trinkhorn*). Twarz wąsata, głowa okryta spiczastą czapką, a ubiorem jego szeroka suknia, z pod któréj małe niekształtne wystają nogi. Tablica ta kamienna, acz figura Światowida pionowo, stojąco jest wyrzeźbiona, błędnie wprawiona jest poziomo, jakoby leżąc, w mur bocznéj nawy tego kościoła, wewnątrz jakiegoś rodzaju małéj wystawki, którą w późniejszych czasach gotyckiego budowania zrobiono. Że ta rzeźba uprzedza czasy budowy tego kościoła, dowodzi tego ta okoliczność, iż skrajne części płyty kamiennéj murowaniem są zakryte".

Wprawdzie wizerunek ten różni się od posągu naszego Światowida, opisanego szczegółowo w Roczniku Tow. nauk. Krak. r. 1852, przecież to nie stanowi dowodu przeciwko prawdziwości jego; bo każda część obszernéj niegdyś Słowiańszczyzny, inaczéj go sobie wyobrażać mogła: atoli róg, to główne bożyszcza znamię na obu tych rzeźbach znajdujący się, wszelkie powątpiewanie usuwa.

* * *

Ślubny podarek królowéj polskiéj. W r. 1553, gdy król Zygmunt August zawierał małżeński związek z Katarzyną wdową Franciszka Gonzagi xięcia Mantuy, obdarzył książę pruski królewską narzeczoną klejnotem kupionym za złot. 900 (niemieckich), roboty Jerzego Schultess złotnika z Norymbergi. Inny takoż podarek, krzyż z dyamentami za złot. 200, otrzymał jeden z biskupów i inni królewscy dworzanie, jakoto: pierścionki i inne klejnoty w wartości zł. 327, co wszystko razem wyniosło przeszło złot. 1,400.

Było również w zwyczaju, iż królowę w czasie koronacyi obdarzali kosztownemi klejnotami, zaproszeni na tę uroczystość książęta. Gdy w r. 1550 nastąpić miała koronacya królowéj Barbary (Radziwiłłówny), wspomniany złotnik Schultess pisał do książęcia Alberta: „Dowiedziałem się, iż królowa polska jest przy nadziei, i w dniu jéj imienin ma się odbywać obrząd koronacyi, do czego tu w Norymbergu poczynione są zamówienia różnych kosztownych robót. Nie omieszkiwam prośby do W. X. Mci., domyślając się, że tego aktu koronacyi nie pominiesz

bez stosownego podarunku, i że odpowiedniego potrzebować będziesz klejnotu, aby W. X. Mość nabyciem takowego odemnie przed innymi zaszczycić mię raczył: jestem bowiem w podobne kosztowności należycie zaopatrzony, jakich w czasie wesela W. X. Mci z sobą nie miałem, a mianowicie jest jeden klejnot za złot. 1600, są i inne pomniejsze za zł. 800, 500, 400, a nawet niższéj wartości, których szacunek jest pewności niezawodnéj. Gdy W. X. Mość na ten obrządek udać się będziesz miał, życzę sobie, abym to co z kosztowności będzie potrzebne do Krakowa mógł przesłać." (Z dzieła Raumera *Historisches Taschenbuch*, tom 6-ty).

Do życiopismów znakomitych mężów.

Królowa Bona Sforzia. Ks. Bruno Osiecki w dziele: *Prymicie prac kazmodziejskich* i t. d. r. 1738, pisze: „Kiedy Bona królowa polska do swoich powracała krajów, Rzplita Wenecka osobliwą ją nad innych excypowała ceremonią, bo oprócz tego że nader piękną, ozdobną, bogatą wpośród Wenecyi przyjechała nawą; płeć wszystka białogłowska, któréj się pod inszy czas drogich szat i klejnotnych noszeń nie godzi używać, na powitanie jéj za dyspensą senatu, niepodobna wymówić jak strojno i bogato, z muzyką i inszemi wesela i tryumfów instrumentami, wyjechała (*str.* 307).

* * *

Brosciusz Jan. Uczony ten mąż trudnił się geometryą praktyczną, i pomierzał różne własności ziemskie, i niektóre takie prace w życiopisach jego są wyliczone. O. Arnolf Prężyna, w rękopiśmie biblioteki OO. Dominikanów krak. *Protocollum privilegiorum etc.* spalonym r. 1850 mówił: *Mappa villae et haereditatis istius* (wieś Jodłownik, niegdyś własność OO. Dominikanów w Galicyi) *confinium, limitum, et scopulorum cum vicinis villis, exacte conscripta et delineata per insignem Geometram R. D. Joannem Broscium Canonicum Cracoviensem.* Teraz taki dygnitarz nie jąłby się podobnéj pracy.

* * *

Bruti Jan Michał. Rodem Włoch, ale zamieszkiwał w Krakowie. Urodził się około r. 1516 w Wenecyi, pocho-

dząc z dawnych patrycyuszów téj republiki. W naukach kształcił się w akademii padewskiéj, i odbył podróże niemal po całéj Europie. Dziełem swém *Historiae Florentinae libri VIII.*, w Lugdunie r. 1562 wyszłém, in 4to, utwierdził sobie imię uczonego mężą. R. 1573 wezwany przez Stefana Batorego, przybył na dwór jego do Siedmiogrodu i był mile przyjęty. Miał sobie zlecone pisać dzieje Węgier i Siedmiogrodu jako dalszy ciąg Bonfiniego. Gdy Stefan Bat. na tron polski był obrany r. 1576, puścił się Bruti do Polski jako nadworny historyograf, i był z królem na wojnie pruskiéj (Gdańsk). Nakoniec osiadł w Krakowie, przeglądał miejscowe archiwa i zaopatrzył się w potrzebne dzieła. Po śmierci króla w r. 1586, przeniósł się do Wiednia w charakterze dziejopisa dworu cesarza Rudolfa II. Nakoniec opuścił Wiedeń i osiadł w Siedmiogrodzie, i tam umarł r. 1594.

Należał Bruti do najcelniejszych historyków swego wieku. Jakim on sposobem pojmował dzieje i swoje powołanie, okazał to w rozprawie swéj: *De Historiae laudibus, sive de certa via et ratione qua sunt rerum scriptores legendi. Cracoviae, A.* 1583.

Ciampi *Bibliografia critica* przywodzi trzy jego pisma, które wydał w Krakowie r. 1576 do r. 1582, ale powyższego nie cytuje. Pisał także życie Callimacha, umieszczone na początku *Historia Ladislai Hungariae Regis*, która wyszła z pióra tegoż Callimacha, i drukowaną była w Krakowie r. 1582. Jego także są *Epistolae. Cracoviae*, 1593, *w* 8ce. Wiele dzieł jego wyrażone są w wiadomości o nim w *Encyklopediae von Ersch und Gruber*, w tomie 13, zkąd te słów kilka o nim wyjęte.

* * *

Cecylia Renata królowa polska. Ks. Bruno Osiecki tak ją wychwala: „Królowę naszą Cecylią Renatę chwalą, że w każdy tydzień sobotę destynowała na to samo, aby szpitale pobliższe rezydencyi swojéj wizytowała, każdego w nich chorego, ubogiego i niedostatniego opatrywała, ulice miejskie i drogi wiosek objeżdżała, i każdego z opuszczonych Łazarzów po ulicach leżących cieszyła, ratowała, i jako komu potrzeba służyła: i dlatego kareta jéj z samych prawie okien zrobiona była, aby z każdéj strony i ona nędznych widzieć mogła ludzi, i oni do

królowéj wolny mieli przystęp... Jest co estymować w Monarchini takie miłosierdzie“ (*str.* 136.)

* * *

Dębołęcki. Dwóch było tego imienia znanych w piśmiennictwie naszém wieku XVII autorów: Andrzéj i Wojciech zakonnik franciszkański. Jeden z tychże napisał herbarz o którym zaledwo tylko doszła do nas wzmianka, bo zapewne w rękopismie zaginął. Lekko tylko natrącił o tém Wacław Warszycki w części trzeciéj w wstępie do Herbarza swego, *Summaryusz imion szlachty*, że herbarza Dembołęckiego mieć nie mógł.

* * *

Gawiński Jan sielanko-pisarz. Został po nim w rękopiśmie traktat o retoryce nigdzie nie wspomniany, którego tytuł: *Praxis copiae rerum ac verborum comparandae, in Schola Rethorices tradita. Scripta a me Joanne Gawiński A.* 1642 *in* 4°. Trudno dojść czyli jego własne dzieło, czy téż tylko kopia zrobiona jego ręką.

Karcan Jan drukarz wileński. Pochodzenia jego z Wieliczki te są pewne ślady. R. 1623, w sądzie komissarskim sześciu miast w Krakowie, toczył się spór w imieniu Jana Karczona (tak), który prowadził pełnomocnik jego Piotr Kmita, przeciwko Reginie Suskowicowéj, o spadek po Wojciechu Karczonie *Montibus Vielicensibus fossori*, który się jemu (Janowi) jako rodzonemu bratu Wojciecha należał. Karcan uczył się zapewne drukarstwa w Krakowie, a wcześnie już, bo około r. 1580 drukarnia jego w Wilnie czynną była.

* * *

Kmita Piotr wojewoda krak. Niesiecki w poczecie wojewodów kładzie rok jego śmierci 1551, co jest mylném, bo księga nr. 20 aktów radzieckich krak. str. 300, że *Die Dominica sexag. a.* 1553 *Jll. et M. Dnus Petrus Kmita Comes in Wisnicz, Palatinus et Capitaneus generalis Cracov. summus Regni Poloniae Marschaleus i t. d.*, z urzędu swego obecnym był na elekcyi rajców, rezydentów, i na uczcie obiadowéj danéj z tego powodu w ratuszu, na któréj znajdował

się król Zygmunt Aug. tudzież wielu biskupów, kasztelanów i innych urzędników krajowych i znakomitych gości postronnych.

Tenże herbopisarz w szeregu wojewodów krak. opuścił to nazwisko, chociaż je w tomie II, pod wyrazem Herburt wspomina: *Spect. ac Magn. Dnus Nicolaus Odnowski a Felsthin, Palatinus Crac. et terrarum Russiae Capitaneus*, który również na wyborze rajców, prezydentów zasiadał r. 1555, lecz tę godność krótko piastował, bo już r. 1556 Stanisław Tenczyński obecnym był z urzędu wojewody na elekcyi radziec prezydujących.

* * *

Kromer Marcin. Mąż wielkiéj nauki i niemniejszych w kraju zasług, który godność jaką piastował, wypracował poselstwami do postronnych monarchów. Że był pochodzenia mieszczańskiego, stan szlachecki zazdrosném nań patrzał okiem, nie uznając go być godnym wyższych kościelnych dostojeństw. Znali się na nauce jego mężowie uczeni. Dr. Stefan Micanus w liście z Poznania do Kromera r. 1565 pisze: *Rocossovium p. opportunitatem venuste alloquar. Amat te is quoque serio. Addidit me audiente coram aliquot Magnificis, haec que sequuntur:* Wyeracz nye wyem: yąmezy prostii żak: alye kto celogye Cromera, bedzye mądr. *(z rękopismu).*

Ks. Wal. Kuczborski w liście do Kromera z Krakowa d. 7 stycznia r. 1572 pisanym, załączył mu uchwałę (instrukcyą) sejmiku opatowskiego, w któréj to względem Kromera uradzone było: *Articul Opatowski* 19, o biskupstwo asperskie, aby ślachciczowi bylo dawano, y ta Coadjutoria aby była cassovana o Cromera, y na potim aby nie była, bo to expectativa. A iżby ten sam Cromer nie był tim biskupem, o czo ssię mocznie opponovacz y króla Imci prosicz, dla niebespieczeństwa którebi stąd na koronę przyiszcz moglo. (i dodał na końcu ks. Kuczborski: Chłopi ssaleni!).

* * *

Teleżyński Laurenty zak. św. Dominika. Urodził się r. 1743 jak to zanotował w rękopiśmie, które po nim zostało: *Adnotationes rerum in Provincia Poloniae S. Hiacinthi Ord. Praedicatorum ab a.* 1731. Był doktorem Pisma św. i promotorem różańcowym.

Po Bzowskim, Birkowskim, Mościckim, Sewerynie Żydku, a nareszcie po Ruszlu, Liejkowskim, głucha i długa panowała pustka w zakonie kaznodziejskim. Przerwał ją cokolwiek ks. Telężyński, który trzy małe wydał pisemką; a) *Epitaphia in Eccles. S. Trinitatis* i t. d. b) *Tractatus historicus de Caenobio Plocensi S. P. Dominici* r. 1790. c) Żywot błog. Bronisławy r. 1782. Wypracował on znacznéj wielkości dzieło w języku łacińskim; Dzieje zakonu Dominikanów w Polsce, którego rękopism spłonął w pożodze r. 1850, jak i powyższe.

SEBASTYAN KLONOWICZ.

I.

W koronnych panów dostojném gronie,
Zasiadł Batory na wzniosłym tronie.
Z bark mu szkarłatna nie spływa szata,
Ani korona nie lśni bogata
Wokoło śniadéj Stefana skroni;
Ni berła w szorstkiéj nie dzierży dłoni.
Wzrost króla mierny, oblicze smagłe,
I jeno ducha odbłyski nagłe
Co zapalają oko sokole,
I piętno chwały wryte na czole,
Siłą potężnie władnącą światem
Gną karki dumnych przed majestatem.
Choć wdział bekieszę miasto purpury,
A czapką nizką, z czaplemi pióry,
Zlekka przysłonił głowę maszczoną:
Niemniéj poważne cnych panów grono
Kornie przed królem głowę pochyla,
Bo wszem obecna w pamięci chwila,
Jak miecz Stefana ostry a długi,
Dobył z pod serca krwi pysznéj strugi,
Kiedy Zborowski pod ciosem kata
Mnogie swawoli okupił lata.

A nie raz piérwszy królewskie słowo
Mieczem nad śmiałków zabłysło głową:
Już złożył sprawę dziedzic na Wiźni,
Z niecnie przelanéj w mordach krwi bliźniéj;
Już Ościk zdradę opłacił srogo,
Owoż zuchwalce drżą zdjęci trwogą.
O! bo nie z kruchéj zlepione gliny
Ramię Stefana! Karci złe czyny,

Dumnych swawolę skraca przykładnie;
A kto na wilcze raz zęby wpadnie,
Niech pyszną głowę w prochu ukorzy,
I jedno wzywa pomocy Bożéj!

Po Samuela krwawéj przygodzie,
Król ostatecznie w lubelskim grodzie
Ma sprawę braci sądzić z senatem,
Gdy mściwy zamach głoszą przed światem.
Już na gdańskiego wzgląd kasztelana
Zwolnił w prawicy króla Stefana,
Srodze zamierzon w górę miecz kary;
Ale, gdy Krzysztof w pysze bez miary,
Do stóp królewskich zbliżyć się sroma,
I miasto kornie powrócić doma,
Skargami sieje bratnie Morawy:
Niech zbawion cześci, mienia i sławy,
Bezbożny żywot między obcemi
Wlecze banitą na cudzéj ziemi.

Wśród trybunału izby milczącej,
Pobożnéj pieśni dźwięk płynie drżący
Przez rozemknięte na ścież podwoje,
Zkąd świetne panów wyległy roje
W slad za poważną króla osobą;
Z onéj kaplicy, kędy przed dobą,
Pod wizerunkiem świętym Iwona
Pańska ofiara była spełniona.
Jeszcze w powietrzu drga „Święty Boże!"
A woń przepełnia gmachu przestworze.

A ponad tronem, z nad majestatu,
Krzyż wieczną prawdę wskazuje światu;
A pod nim słowa grzeszniki straszą:
„Ja sprawiedliwość osądzę waszą."

Tu zasiadł kanclerz przy króla boku;
Ogień tajemny tli w męża oku,
Włos mu bezładnie spływa na skronie,
Czerstwem rumieńcem lice nie płonie;
Barki pochylił, znać jak się srodze
Wpiły w nie twarde zwierzchnictwa wodze,
Jak stokroć ciężéj miecz, kary znamie,
Zacne starosty ugniata ramie.
Pięczęć kanclerską ujął w dłoń prawę,
W lewéj hetmańską dzierży buławę;
A krakowskiego cześć kasztelana
Zwiastuje krzesło przy boku pana.

Prymas Karnkowski siadł po prawicy,
Przy nim cny pasterz lwowskiej stolicy,
On Sulikowski z mądrości znany,
Srogi bicz Boży na Aryany.
Daléj dostojne pany orszakiem,
A każdy władzy ozdobion znakiem,
W krąg otoczyli tronu podnóże.
Chorąży wielki z proporcem w górze,
Mars alek laskę wzniósł już gotową,
Którą wyroku oznajmi słowo:
A miecznik trzyma miecz obosieczny:
I senatorów orszak stateczny
W półkole izbę okrąża całę.
Oblicza panów dziwnie wspaniałe!
Różne ich lata, zmienne przybory:
Ci w altenbasach w złociste wzory,
A owi w kryzach flamandzką modą,
Z długiemi włosy, z podciętą brodą,
W zdobnym strusiemi pióry birecie,
W kastylskim płaszczu na polskim grzbiecie.
Bo kto wśród obcych strawił wiek młochy,
Rad doma włoskie przywozi fochy,
Albo germańską obleka zbroję,
Lub od Flamandów przejmuje kroje;
Jedno po ojcach puścizną całą,
Serce jednaki krój zachowało.

Wśród tego kramu odbija dziarsko
Młodzież przybrana w szatę madziarską,
Zdobną bogato, w guzy, w pętlice,
I wąs z węgierska ocienia lice.
Za nic strój kusy: owóż dziś górą
Suta bekiesza i czaple pióro!

Krąg senatorów Tarło poczyna,
Za nim Piotr Czarny herbu Nowina;
Wraz z wojewodą kasztelan w parze,
Lubelskiej ziemi cni gospodarze,
Firlej starosta, z nimi grodowy,
Strzegą pospołu królewskiéj głowy.

Daléj zasiedli ławy pokryte,
Męże rycerskie a znamienite,
Co odpierali piersmi pohańce:
Łascy, Goślicey, Łaszcze, Szafrańce;
I mędrce w prawa ćwiczeni słowie,
Światli Myszkowscy a Herburtowie.

Niżéj marszałek, i deputaci
Na on trybunał od szlachty braci
Zesłani w stare mury Lublina,
U drzwi wojenna czuwa drużyna:
Szczękają zbroją stalną pancerni,
I Petyhorcy snują się wierni;
Szumią husarze sępiemi pióry,
W lwie i lamparcie odziani skóry.
Nie świeci na nich od złota gaza,
Lecz od rzemienia a od żelaza.

Wszystko gotowo. Wraz już narada
Toczyć się pocznie; każdy układa
Do ładu myśli zrojone w głowie,
By jak w zwierciadle odbił je w słowie.

A znana w Polsce wymowy sztuka
Przechodzi spadkiem z dziada na wnuka:
Już żak misterne zna jéj obroty.
Wszak słowo, tarczą szlacheckiéj cnoty,
Słowo, niezłomném czasów ogniwem,
Źródłem natchnienia świętém a żywem,
Siłą, co skały przesądu łamie,
I dzielnie zbroi do czynu ramie.

Przez drzwi roztwarte wkracza z powagą
Mąż okazały, z czaszką pół nagą,
Z sumiastym wąsem, w ciemnym żupanie,
Tureckim pasem okolon w stanie.
Jeszcze lat brzemię bark mu nie gniecie,
Znać jednak siła przygód na świecie
W brózdy poważne czoło zorała,
I włos już barwa aśnieża biała.
Pod brwią w łuk zgiętą, w źrenicy ciemnéj,
Głęboko płonie ogień tajemny;
Ogień, co w górę nad tęskną ziemię
Orle śpiewaków unosi plemie,
Co zdumionemu jawi ich oku
Nieznane cuda przez mgły obłoku:
Ramiona w lotne słoni im pierze,
Ducha w niezłomnéj ukrzepia wierze,
I niebieskiego siłą natchnienia,
Na ton zgodnego aniołów pienia
Nastraja wieszcze lutni ich tony!

Rozgłos na wszystkie obiega strony:
„Jan z Czarnolesia, śpiewak nasz boski,
Polski Horacy, wieszcz Kochanowski"!

W znak pozdrowienia, uniósł do góry
Batory czapkę z czaplemi pióry;
Powitał kanclerz skinieniem dłoni
Miłego druha, i każdy kłoni
Z powagą czoło przed mistrzem słowa.
Zna go dostojnych panów połowa,
A choć kto piewcy nie widział w oczy,
Któż nie zna jego pieśni uroczéj?
Jegoć przekładu pobożne rymy
Niosą ku niebu kadzideł dymy,
A przy ochocie, na widok dzbana,
Kto krotochwili nie wspomni Jana?
Kto myślą nie wnikł w zacisze owo,
Gdzie lipa szumi nad piewcy głową;
Zkąd kasztelana wygnał z prostotą
Wieszcz, co o marne nie stoi złoto,
Lecz karmi serce i umysł prawy
Błogą otuchą poczciwéj sławy.

Oblicze Jana zda się obrazem
Duszy śpiewaka: lśnią w niém zarazem
Zacnego serca ciche zalety,
I myśl podniosła mistrza-poety.
Jeno on uśmiech, co niegdyś mile
Jaśniał na ustach, gdy krotochwile
Prawił w swobodne uczty godziny,
Ku ucieszeniu bratniéj drużyny;
Jeno on uśmiech zastygł na wieki,
I dziwnie zżółkły martwe powieki.
Znać, łez je gorzkie spaliły zdroje,
Gdy śmierć wkroczyła w dworca podwoje,
I dwa zarazem podcięła kwiaty;
I jasną dolę, długiemi laty
Tak przyswojoną do strzechy staréj,
Na oddalone zwiała obszary.

Dziś nowe brzemię nowéj niedoli,
Do stóp monarszych przywodzi g'woli
Zacnego piewcę; gdy brat Doroty,
On Podwodowski, mąż pełen cnoty,
Króla Stefana wierny koniuszy,
Którego cenił wieszcz z całéj duszy,
W poselstwo wysłan w imieniu pana
W bramy Stambułu, przed tron Sułtana,
Legł bissurmańskiéj ofiarą zbrodni.
Niech więc odniosą karę wyrodni!
Niechaj na wieki ściga niesława
Tych, co zgwałcają narodów prawa;

Niech krwi niewiernéj opłacą strugi,
Tę krew na obce przelaną smugi.
Co znad Bosforu, z strony dalekiéj,
Milcząco bratniéj wzywa opieki.

Jan w oburzeniu, piérwszym zapale,
Głosi przed tronem zbyt słuszne żale;
A wskroś natchniony boleścią szczerą,
Jak on na forum rzymski Cycero
Z piersi zdrój czerpiąc złotéj wymowy,
By gromem miota dzielnemi słowy,
Porywa myśli, sercami włada!...

Lecz umilkł nagle: twarz martwo blada
Cała zabiega siną powłoką,
I krwią rozwarte zachodzi oko;
Krew na obliczu rozsadza żyły,
I Jan upada bez tchu i siły.
Strwożon Batory powstał na tronie,
Prymas z modlitwą wzniósł w górę dłonie,
Słynny Bukcella, Oczko uczony,
Dźwigają Jana z obojéj strony.
Lecz choć wróciły zmysły na chwilę,
Już chory ludzkiéj nie ufa sile,
Prymasa zgasłém przyzywa okiem,
Pierś trzykroć bije z żalem głębokim;
A patrząc w mękę bożego Syna,
Zabójcom brata mord przypomina,
I ducha skrzepia anielskim chlebem,
Ofiarą zemsty—pojednan z niebem!

W przyległéj izbie złożono Jana.
W kornéj modlitwie zgięli kolana
Prymas z pasterzem lwowskiéj stolicy,
Owczarni Pańskiéj wierni strażnicy.
Smutno, śmiertelne wieszcza wezgłowie
W krąg otoczyli radni panowie.
Lecz kto on młodzian, co z syna ocześcią
Tuli, głęboką zdjęty boleścią
Konającego głowę omdlałą?...
Radby weń życie tchnął piersią całą.
Kto on? w obliczu młodość lśni jeszcze,
W źrenicy drgają połyski wieszcze,
Lecz znać, niezłomna niedoli siła,
Sępiemi szpony w serce się wpiła.
Już srogie piętno zryła na czole,
I jad wszczepiła w oko sokole.

Kto on urodny a tkliwy młodzian,
Skromnie w falendysz czarny przyodzian?
Choć znak szlachectwa zdobi mu lica,
Z boku nie dzwoni ostra szablica;
Nie lśni na ręku pierścień bogaty,
A stan mieszczański zwiastują szaty.

Zkądże tak silna miłości władza
Łono młodziana bolem rozsadza?
Wszak mu nie krewny nasz wieszcz natchniony,
W staro-szlacheckiem gnieździe zrodzony?
O! bliscy oni, bo ducha prawo
Spaja ich cnotą, wiarą a sławą;
Obaj na żyznym wzrośli zagonie,
Co siadł od wieka na bożém łonie;
W wspólnym potoku krynicznéj wody
Obaj gasili żar piersi młodej;
Na wspólną niwę strząsali z rosy
Pióra, wzbijając lot pod niebiosy;
Nad jedną ziemią z morza do morza
Próli skrzydłami modre przestworza.
Równi miłością, w wierze jednacy,
Jak w roju ptastwa, dwaj króle ptacy,
Orły wylęgłe na Karpat grzbiecie,
Rodzinną pieśnię sieli po świecie;
A w onej pieśni, wieki brzmieć miała
Cnego narodu wielkość i chwała.
Toż braćmi duchem, choć różni stanem:
Jan z Czarnolasu z Sebastyanem!

Dziwnaż, że trwogi i żalu tyle
Czuje wieszcz młody w okropną chwilę,
Kiedy śmiertelna walka żywota,
Piersią poety krzepnącą miota.
Ale niedługo on bój się toczy:
Już bielmem martwe zachodzą oczy,
Ostatnie tchnienie wybiega z łona.
I z ducha piewcy spada zasłona,
Co krwią i kośćmi, tym prochem ziemi,
Ćmiła widnokrąg; że choć śmiałemi
Skrzydły, duch wkraczał w jasne przestworze,
Wiedzion natchnieniem na łono Boże:
Wszakże, w warunkach ziemskiego bytu
Nie zdołał wytrwać w pełni zachwytu,
I ledwie czasem w aniołów nucie,
Niebieskiéj doli zronił przeczucie.

Przymknął Klonowicz powieki Jana,
Ciche zasławszy modły do Pana.
Obecni trwożnie skłaniając głowy,
Przeszli podwoje izby sądowéj:
A wszyscy szczerze łzawi i smutni.

Zostali jeno dwaj bracia w lutni,
Obadwaj piękni—O! lecz inaczéj!....
Jeden już skończył pochód tułaczy
Przez najeżone żywota drogi;
Już wolen troski, bolu a trwogi,
On znojny oracz swojskiego łanu,
Snem nieprzespanym odpoczął w Panu.
Już blask żywota nie rozpromienia
Rysów wykutych niby z kamienia,
Na których wyrył czas, snycerz dzielny,
Myśli i uczuć ślad nieśmiertelny!

O! jakże inny lśni blask uroku
W Sebestyana promiennem oku!
Choć modrą barwę zdrój łez zamąca,
W młodzieńczéj piersi kipi krew wrząca.
A zdala burza grodowym chłodem
Już ponad czołem powiewa młodem,
I sprzeczne siły do walki budzi:
Nienawiść złego, z miłością ludzi.

Ale w téj dobie miłość zwycięża;
I u wezgłowia zgasłego męża
Ukląkł Sebastyan, chyląc ku ziemi
Głowę, nad zwłoki Jana martwemi....
—O! czyjeż—rzecze—odzierżą dłonie
Lutnię, coś na twém piastował łonie;
Na którą niby słoneczne blaski
Spływały z nieba promienie łaski!
Już niepowrotną zasłałeś drogą
W ślad za ojcami, twą duszę błogą;
Już śmierć na wieki zwarła twe oczy,
Już z nich po licu łza się nie stoczy;
Wiatr nie rozwieje twojéj otuchy,
Boś w nieśmiertelne policzon duchy.
Pokój ci wieczny! lecz gdy twe słowo
Ukołysane ciszą grobową
Zmilknie w narodzie: nie zwiędnąż z laty
Domowéj pieśni wschodzące kwiaty?
Czyż liść rozwinąć zdoła zielony,
Od matki ziemi pień podsieczony?

Może go robak stoczy przedwcześnie!
O! nie: twe wieszcze nie zamrą pieśnie!
Choćby pierś ludzka zaskrzepła lodem,
Słów twych rzeźwiącym wzgardziła miodem,
Wtórzyć je będą po wszystkie czasy
Nadwiślne pola, łąki i lasy!
Śpij więc swobodnie w twéj trumnie cichéj,
Choć pierś twą skryje proch ziemi lichy;
Ale nie zamknie on naród złoty,
Twéj nieśmiertelnéj chwały a cnoty!

Coraz to ciszéj głos wieszcza spada,
A barwa lica śmiertelnie blada
Zwiastuje duszy boleść głęboką.
Wlepił w zmarłego błękitne oko;
Nie mogąc wątku domotać słowy,
Łzami donucił pieśni grobowéj....

II.

Szumi Bystrzyca przezroczą falą.
Czegoż jéj nurty zcicha się żalą.
Myjąc pięknego grodu podnóże?
Zdawna przewiały wichry i burze,
Co wciąż roznosząc głownię niezgasłą,
Siały tu srogie zniszczenia hasło.
Już się dotliły pożarów łuny,
Zmilkli puhacze przygód zwiastuny,
Zbiegła już w lasy niedola stara,
Już tu nie wpadną dzicze Bajdara,
Ni Danielowe tłumy z Halicza,
Ani Jadźwingów ćma najezdnicza;
Bo bram grodowych archanioł strzeże,
Ognistym mieczem zgania grabieże,
I śnieżystemi otacza pióry,
Niby proporcem Lublina mury.
Jak w on czas, kiedy pod dębu cieniem,
Leszka wojennym owionął tchnieniem,
I pchnął z rycerstwem w ślad za pogany
Odbić niewiasty, starce, kapłany;
Które wraz z łupem, obmierzłe tłuszcze
Gnały za Narew w Podlasia puszcze.

Przebrzmiały burze, przeszły dni trwogi!..
Już wytępiona Jaćwież do nogi;

Z wrogich Haliczan wierne dziś druhy;
Już tajemniczo wśród nocy głuchéj
Wiatr nad Mendoga szumi mogiłą,
Kiejstuta ramię w proch się strawiło;
A rdza przegryzła żelazce one,
O dzikich pogan karki szczerbione.
Dziś poganina szukać daremno:
Już ponad nocą przesądu ciemną,
Słoneczny promień prawdy migocze;
Brzmi już miłości słowo urocze,
Co siłą cudu na czasów łonie,
Wieczne zawiści w sercach pochłonie,
I wciąż działając z wieka do wieka,
Jasno uskrzydli barki człowieka.

O! siłaż zbieży w strumieniu wody,
Zanim się ozwie pełna pieśń zgody,
Któréj przelotne ledwie brzmią dźwięki!
Wszak pod Jagiełłów dotknięciem ręki,
Już ona lutnia zadrżała Boża,
Gdy ozłociła miłości zorza
Błękit słoniący dwa bliźnie kraje.
Patrz u bram grodu, jak dłoń podaje
Cudnéj niewieście on król z kamienia,
A z Wawelskiego głębi sklepienia
Król August wolę głosi ostatnią,
Dwom ludom miłość zlecając bratnią,
Której niestartém zostają godłem
W wiek nieskończony Lublin z Horodłem.

Dziś nad Lublinem gwiazda lśni złota!
Wre gród potężną siłą żywota,
By w zbroje, w szare okuty mury.
Z nad bram wieżyce sterząc do góry
Ręką wielkiego dźwignione Piasta,
Gwarzą z chmurami o losach miasta:
Jak pod ich strażą zwolna wzrastała
Dzisiejsza grodu zacność a chwała;
Jak tu Jagiełło wjeżdżał z orszakiem,
A wiatr powiewał Pogoni znakiem;
Gdy u bram grodu dzwoniąc w oręże,
Chylili głowy koronni męże;
Jak po Grundwaldu słynnéj potrzebie
Korząc się Trójcy, co rządzi w niebie
Dolą narodów, wdzięcznością tknięty
Król wzniósł przybytek ku czci jej świętej;
Jak horodelskiéj mocą ustawy,
Tu z Kazimierzem zasiadła ławy

Obu narodów świetna drużyna;
Jak tam na zamku w murach Lublina,
Zygmunt, nim władnął państwem szerokiem,
Chowan pod czujném trzech mistrzów okiem,
Wzrastał w powagę, mądrość a siłę.
Toż pomnąc lata młodości miłe,
Rad potém zdobił gród swój kochany;
A w ślad za królem, i możne pany
Wznieśli tu dwórców wspaniałych siła,
Aż gwiazda w pełni miastu zalśniła,
Gdy cudem woli, po leciech wielu,
Niezłomny August dobiegł do celu,
I dwa niesforne dotąd narody
Złotém ogniwem zjednoczył zgody.
A jak warował prawo pieczęcią,
Tak serca szczerą zespolił chęcią,
By zgoda wnukom puścizną dana,
Przetrwała święta a niestargana.
I król na tronie zasiadł w purpurze,
Prawicą berło wznosząc ku górze,
W cnych Jagiellonów złotej koronie,
Zakon piastując Boży na łonie;
A młody lennik przed tronem pana
W znak czci na oba upadł kolana.
Za nim pomorska i pruska szlachta,
Chyli się kornie śladem Olbrachta,
Gdy z rąk królewskich proporzec bierze.
O! cudnież gwarzą grodowe wieże;
A tęsknym szumem przygwarza zdala
W wieńcu z zieleni Bystrzycy fala.
Czego się żalą czyste jéj wody,
Gdy brzask wiosennéj świeci pogody,
A gród wspaniały chroni dokoła
Płomiennem ostrzem miecz Archanioła?
Gdy w trzywiekowém sklepieniu fary
Skryty w ołtarzu pień dębu stary,
On Leszkowego świadek widzenia?
Tobieby wtórzyć słowicze pienia
Szczęśliwa rzeko!—gdy śpiewne roje
Weselą kwietne wybrzeża twoje;
Gdy kąpiąc falmi grodu podnoże,
Krzyże błyszczące widzisz na górze;
Słyszysz, jak niosą spiżowe dzwony
Na skrzydłach wiatru Panu pokłony;
Jako z krakowskiéj rankiem wieżycy
„Witaj jutrzenko"—pieją strażnicy
Przy biciu kotłów i trąb odgłosie!

A pieśń daleko bieży po rosie,
I ze snu mnogie rozbudza roje.
Bieży lud wierny w świątyń podwoje,
Zanim się pracy imie codziennej;
A tłum narodów różnoplemienny
Zalega wązkie miasta ulice.
Dziwne tu stroje—dziwniejsze lice:
Poważni Turcy, smagli Arabi,
Sprzedają towar z wschodnich jedwabi;
Tu na korabli przybywa kruchéj,
Za północnemi Breton kożuchy;
A z Syrakuzy, z Falernu wina,
Snadno napotkasz w kramach Lublina,
Gdzie Ormijanie, z żydy sprytnemi,
Gromadzą płody z trzech części ziemi.

Ledwie że zmilkły ku Maryi pienia,
Zwolna na modre wschodzi sklepienia
Słońce, radując światła potokiem
Ocknioną ziemię: jeszcze półmrokiem
Szaro owiane podnóże miasta,
Lecz coraz gwarniej życie w niém wzrasta.
W długą ulicę pośrodkiem grodu,
Moc się różnego zbiega narodu;
Tłumami z przedmieść, w zmieszanym gwarze,
Kielniami zbrojni ciągną mularze:
Znać do wspólnego zdążają celu.
Czyliż to nowa wieża Babelu,
On gmach, co groźne czoło do góry
Wychyla śmiało nad mgły i chmury,
Że tak zbiegają mnogie ćmy ludu,
Ku podźwignieniu onego cudu,
Snując się wkoło? Niemcy i Włosi,
Każdy ochoczo cegłę przynosi
Zwabion łuckiego złotem Bernarda;
I rośnie w górę wieżyca harda,
A zawieszeni w obłoku ptacy,
Patrzą ciekawie na postęp pracy:
Radzi, że znów im za dni niewiele,
Dłoń ludzka pyszne gniazdo uściele,
Kędy w gotyckich łuków zakręty,
Gniazda z drobnemi złożą pisklęty.

I jakież cele wzniosłego gmachu,
Co tak przejmuje grozą przestrachu
Oko, olbrzymim kształtów rozmiarem?
I bieży w górę jak gdyby czarem

Na jasnych skrzydłach niesiony wiary,
Wprost w lazurowe nieba obszary.
To bramę wznoszą syny Lojoli,
Mury klasztorne warując g'woli:
By nie dosięgły powiewy świata
Młodzi, karmionéj tu w ranne lata
Ziarnem nauki, zdrowo, po Bogu;
By się nie wdarły w głąb tego progu
Bluźniercze spory, wrzawy a zwady,
Co wstrząsły w gruncie miasta posady,
I dolatują jak gadzin syki,
W onéj milczącéj głąb bazyliki,
Kędy wielkiego duch Hozyusza
Poważnych ojców serca porusza;
By dążąc zcicha, wolno a stale,
Dzieło poczęte w żywym zapale
Spełniali w Panu!

Z wieży kościoła
Dzwon na poranne modlitwy woła.
Zgodnemi dźwięki wtórzą organy
Hymn ku Dziewicy Niepokalanej,
Co z gwiazd utkaną zdobna koroną,
Depcze stopami wężowe łono,
I jeno patrzeć jak głowę zetrze.
Pobożne głosy biją w powietrze
Wysoko—w górę; a na ich dźwięki
Tłum pracowników dokłada ręki,
By rychléj dzieło stanęło Boże.

A w Aryańskim na boku zborze,
Chórem brzmią pienia króla proroka.
Zbór on ocienia szara pomroka,
Bo klasztor wieżę wyciągnął śmiało,
I tarczę słońca ogarnął całą,
Że wszystkie blaski od niebios łona,
Odbiły złote krzyża ramiona,
Lśniące uroczo na gmachu szczycie.

Zdala w ulicy tuli się skrycie
Dworek modrzewi budowy staréj.
Ocienion w bujne klonu konary;
Ledwie przez liści zielone sploty
Wolno się promień przedziera złoty;
I jak gość miły a pożądany,
W komnatce białe raduje ściany.

I zawisł promień uroczém kołem
Nad męża wzniosłém a bladém czołem,

Co z głową tęskną na dłoni wspartą
Duma milcząco nad białą kartą,
Świeżo mnogiemi skreśloną zgłoski.

— Janie!—wyrzecze—mistrzu mój boski!
Przyjm te wyrwane ku twojéj chwale
Ze łzą boleści, z pod serca żale;
Niechaj uznają potomne wieki,
Że od zawiści marnéj daleki,
Jam uczcił ciebie szczerze a bratnio!
I pieśń miłości, może ostatnią,
Nad twą zroniłem chłodną mogiłą.
Może ostatnią: bo dziwną siłą
Pchany w żywota ciemne bezdroże,
Czuję, jak blednie to światło boże,
Co mi jaśniało wdzięcznie w oddali,
Gdy po wiślanéj żeglując fali,
Ścigałem w pełni wiosennéj krasy
Nadbrzeżne łąki, zielone lasy,
Ciemne ostrowy i nagie wzgórza,
I owe grody, których podnóża
Nurtuje Wisła bystremi wody.
Kiedym opiewał on naród młody,
Raźnych flisaków, co próżen trwogi,
Rzucając ciche domostwa progi,
Ufny w moc Pana, w pełnéj swobodzie,
Lipowe wiosła zanurza w wodzie,
I pcha swe szkuty po rzeki łonie
Ładowne zbożem, co na zagonie
W błogosławionym wyrosło kraju.
Kędy po Bogu pług w obyczaju,
Gdzie z nieba świeże spływają rosy,
Aby zasilić pszeniczne kłosy,
Zanim rosniosą na świat daleki
Dowód nad Polską Bożéj opieki.

A na te słowa, w oku śpiewaka
Taki blask odbił, i barwa taka
Skryła rumieńcem jagody hoże;
Jakby znów uczuł to tchnienie Boże,
W którém krzepkiego zasilał ducha,
Gdy wokół puszcza szumiała głucha,
Wtórząc poszmerem nad piewcy głową
Jego czarowne a wieszcze słowo;
Gdy sturamienne dęby i sosny
Gwarzyły zcicha on hymn radosny,
Który dziękczynnie zasyłał w niebo,
Wiedzion przemożną ducha potrzebą,

Na widok mnogich cudów Halicza,
Gdzie Bóg tak hojnie darów użycza,
Że człek tu niby w przedsionku nieba.
Bo ziemia matka daje kęs chleba,
I nad rzekami są wierzby stare,
Ma w czém pachole strugać fujarę,
A Bóg dał młodzi zręczność i siłę.
Owóż jéj pląsy wiewiórcze, miłe,
Gdy kmieć za pługiem stąpa schylony,
Młódź i w powietrzu znachodzi plony:
Na kołysanéj wiatrem jemiole,
Ćmy drobnych ptasząt łowi pachole,
Z dębów na dęby, niby przez czary
Po sękach zbiega ciemne konary,
Kędy go ciągnie ponęta słodka,
Gdy stare barcie w puszczy napotka.

I przed śpiewaka stanęły okiem
Lwowskie wieżyce złotym obłokiem,
I stary Kijów, on gród bogaty,
Co z łona chmury wydziera głowę,
Patrząc na modre fale Dnieprowe;
I on Kamieniec gród znamienity,
Wrosły na wieki w opok granity,
Nie człeka dłonią wykowan z głazu.
Lecz jak świat słowem stworzon od razu.
Toż go nie człowiek, lecz Pan co w niebie
Sam, skoro zechce w prochu zagrzebie.
I dziwna wieszcza otacza złuda,
Myśl niby znane odtwarza cuda,
Żywot mu zbiegły w pamięci płynie,
Jak srebrny potok w rajskiéj dolinie;
Z wiarą wyciąga oba ramiona,
Pragnąc świat Boży garnąć do łona,
Żarem nieznanym pierś młoda tleje.

—„O Janie!—rzecze—tyś mi nadzieję
Błogą tchnął z nieba. Jeszcze dźwięk złoty
Wybieży z onéj lutni sieroty,
Co pod twą ręką brzmiała tak cudnie;
Jeszcze żywota lśni mi południe,
I krzyż tak ramion nie zgniótł mi jeszcze,
Bym nie mógł wzlecieć w krainy wieszcze,
Gdzie w chmurach piją rosy wilgotne
Bystre sokoły i orły lotne!

„My wiecznie razem, o wielki Janie!
Póki serc ludzkich na ziemi stanie

Żyć będziem w pieśni, zaklęci społem
Złotego czasu czarownem kołem.
Choć naród wieki w znużeniu prześni,
Zbudzi go jeszcze dźwięk naszéj pieśni;
O! bo pieśń wieszczów nigdy nie kona,
Choć za plemiony, nowe plemiona
Kładą się do snu w dębowe truny,
Choć pleśń przegryza grobów całuny.
To, co wybiegło żywe a święte
Z piersi, w natchnienia chwili poczęte,
Tego na wieki śmierć nie pochłonie,
Chyba grób znajdzie w człowieka łonie!

„Idźmy więc razem, zespolmy duchy!
Ty mi śléj z nieba promień otuchy,
O! bo jéj dziwnie pierś moja łaknie,
Bo nad mą głową samotną, braknie
Téj cudnéj gwiazdy złotych promieni,
Co w życia twego jasnéj przestrzeni
Lśniła tak wiernie—śpiewaku boży!
Ciebie pod lipę brzask rannéj zorzy
Z cichego dworku przyzywał co dnia;
Tobie, anioła czysta pochodnia
Świeciła w gronie nadobnéj dziatwy;
Tyś z twą Dorotą plótł wieniec łatwy,
Z pól twych rodzinnych barwnego kwiatu;
Ty, służąc Bogu, sławie i światu,
Stóp nie krwawiłeś o krzemień twardy.
O! tyś ku ludziom nie zaznał wzgardy,
Jenoś miłował ród bratni szczerze,
Kołysał pieśnią, pokrzepiał w wierze.
Tyś z Dawidowéj harfy proroczéj
Umiał wydobyć on dźwięk uroczy,
Co wróży światu przybycie Pana,
I zmusza kornie paść na kolana.

„Do twojéj Janie serdecznéj pieśni
Wtór przygwarzali śpiewacy leśni;
Tobie szumiała dąbrowa blizka,
Tobie płonęły słupem ogniska,
W onę pogodną noc sobótkową,
Którą podało wiekom twe słowo;
Tobie kłos złoty rodziła niwa,
Plon twój doczekał bujnego żniwa,
A włos twój siwy doczekał cześci.
I gdyby nie te jęki boleści,
Te nad Urszulką zronione żale:
Łzyby twe oko nie znało wcale.

W twym Czarnolesiu wszystko ci brzmiało
Zgodą, miłością, cnotą a chwałą;
Ledwie żeś lutnią ujął do ręki,
Same w nią z nieba spływały dźwięki.
Twe wzniosłe czoło wiecznie dokoła
Chroniło skrzydło stróża anioła!
Innaż ma dola!... odmienne drogi!
Puste me ściany, samotne progi,
Domowy płomień jasny a ciepły
Nie grzeje piersi w tęsknocie skrzepłéj;
W krwi nie zdobyły pradziadów dłonie
Wieńców zaszczytnych na moje skronie,
Ni los mnie świetnie sposażył złotem:
Sam, w znoju czoła i z ducha potem
Szczebel po szczeblu dążę pod górę,
Piersmi przebijam tę czarną chmurę
Co ćmi widnokrąg przesądu mrokiem,
Idę z wniesioném do góry okiem,
Herb na méj tarczy:—prawda a wiara!.....
O! gorzka mego żywota czara!
Ale ją spełnię. A kiedyś Panie!
Przed tronem twoim gdy duch mój stanie,
Czyż go o klejnot zapytasz złoty?
Dość, gdy człek z drogi nie zboczył cnoty,
Gdy z twoją prawdą rytą na czole,
Uprawiał w znoju działań swych pole;
Gdy się nie zaparł podłemi czyny
Że rąk twych dziełem, zlepion z twéj gliny,
Żeś płomień własny tchnął w jego łono.
A gdy twém tchnieniem uszlachetnioną
Duszę, jak perłę chował dla nieba:
Czyż mu innego klejnotu trzeba
Przed sądem twoim Panie nad Pany?!
Wszak z boku Twego strumień przelany,
Małych i wielkich odkupił razem;
A myśl, że człowiek twoim obrazem,
Dosyć go z prochu wyzwala ziemi,
By się nie łudził mary zwodnemi,
Lecz szedł, gdzie wieniec chwały go czeka,
Gdy godnie spełnił zawód człowieka."

Zajękły z wieży spiżowe dzwony,
Padł na kolana wieszcz ukorzony,
I uniósł drżące ku niebu dłonie.
Cudnież mu męzkie oblicze płonie,
Jakby rad ściągnąć on promień boży,
Który Pan w łunie porannéj zorzy

Wybranym swoim wskazuje zdala.
Już myśl tajemna iskra zapala,
I z głębi piersi śpiewaka wiernéj
Wybuchnął w górę ogień ofierny;
A wieszcz po onym jasnym płomieniu
Zasyła niebu modły w milczeniu,
Aby przewalczył żywot wytrwale,
W sojuszu z prawdą, ku Pańskiéj chwale.

III.

W chłodnéj komnacie pusto a ciemno:
To świerszcz pogwiźnie w kącie tajemno,
To na wieżycy zakwilą sowy,
To wiatr przez szpary zadmie zimowy,
Co wraz z poświstem groźno przelata
Roznosząc chmury wzdłuż i wszerz świata.
Czasem przez grube z modrzewia ściany
Dobiegną krzyki zgrai pijanéj,
Co na rozpuście przy gędźby brzmieniu,
Noc, ku ludzkiemu trawi zgorszeniu.

Przy słabym blasku świecy jedynéj,
Samotnie liczy nocy godziny
Mąż pochylony z obliczem bladem.
Boleść wyryła niestartym śladem
Na wzniosłém czole tajemne zgłoski;
Już w oku przygasł on płomień Boski,
Który z jasnego wypływał ducha.
Dziś, ta źrenica wklęsła a sucha
Jaskrawo płonie! O! lecz odmienne
Złotego słońca promienie dzienne,
Od lśniących błysków, co ciemną nocą
Ognistym wężem w chmurach migocą,
Bijąc piorunem w pierś macierzystą!...

Czemużeś piewco, myśl twą przeczystą
U zatrutego napawał zdroju?
Co rzucać było dźwięki spokoju,
A srebrno-brzmiące lutni twéj struny
Oplatać wieńcem w gorzkie piołuny,
I śmiertelnemi przesycać jady?...
Co było szpetne poruszać gady?
Niechby pełzały w plugawém łożu!
Tobie po jasném było przestworzu

Prześcigać orłów swobodne loty,
I gonić promień jutrzenki złotéj;
Lub jako śpiewne w dąbrowach rzesze,
Pieśni ku ludzkiéj kwilić uciesze,
Alboli z pszczolnym rojem w zawody
Zbierać z ojczystych kwietników miody.
Nie tobie ziemię nowym pchać torem,
Nie tobie słowem, niby toporem
Rąbać odwieczne przesądów skały,
Razić tytanów karlemi strzały;
Z lutnią miast szabli, w zbroicy lichéj,
Budzić śpiącego szatana pychy,
Co w piersi wielkich drzymie swobodnie...
Nie tobie skryte ludzkości zbrodnie
Stawiać przed prawdy trybunał święty;
Nie tobie zgniłe poruszać męty,
Co się w narodu gnieżdżą już łonie,
Bo ciebie naprzód jad on ozionie:
Tobie zgnilizna wypali oczy,
I zrdzewi struny lutni proroczéj!....
Wszak orłu w locie nie starczy pierza,
Gdy zbyt zuchwale skrzydła rozszerza
I w ślady słońca zbyt chyżo goni.

Wieszcz oparł czoło na wyschłéj dłoni:
Włos, co je w krucze wieńczył kędziory,
Wypadł już z czaszki zżółkłéj a choréj;
Brew najeżona nad wklęsłém okiem
Słoni oblicze chmurnym pomrokiem:
Niby pargamin zżółkły jagody.
Na bladych ustach zgasł uśmiech młody,
Który stróż anioł zesłał był darem
Kiedyś dziecinie: dziś pod ciężarem
Trudu, zawodu, trosk i rozpaczy,
Szatan je śmiechem szyderstwa znaczy;
Śmiechem, co serce gorzéj łez boli.
W obliczu srogie piętno niedoli
Zryła bruzdami gorycz zjadliwa;
Niedbale szata nędzna odziewa
Wychudłe barki i pierś zapadłą;
A cała postać, jak to widziadło,
Co z grobu nocą zbiega na chwilę,
Jeszcze starzane w cmentarnym pyle,
Aby kres spełnić pokuty srogiéj,
Przenika dreszczem bolu a trwogi.
Znać iskra życia w piersi dogasa;
Niekiedy jeno przelotna krasa

Ogniem suchotnym na licu spłonie,
Gdy myśl wspomnienia poruszy w łonie.

Przy nędznéj świeczki połysku bladem,
Ręka wyschnięta goni za śladem
Zbudzonéj myśli, i gorączkowo
Ledwie poczęte nakreśla słowo.
O! jemu śpieszno, bo jeszcze tyle
Słów nie domówił, bo w pełnej sile
Gore płomieniem pierś rozogniona,
A ręka stygnie, a życie kona,
A pot strumieniem spływa po czole,
I skon zwiastują przedśmiertne bole.
A więc ze śmiercią spieszy w zawody,
Bo duchem dzielny, bo wolą młody;
Bo wié, że przestrzeń do celu blizka,
Może więc starczy w piersi ogniska,
Nim z niéj ostatnie słowo wypowie.
O! może zdoła w tym zakląć słowie
Wszystek ból serca, żal wszystek duszy,
I gmach szatański w niwecz rozkruszy,
Gdy słów piorunem z góry uderzy
W sam szczyt, w obłokach tonącej wieży.

Lecz dłoń zawiodła: wypadło pióro,
I cień zasępił czoło ponuro.
Zagasły w oku płomienie wieszcze,
Jeno grobowe zbiegają dreszcze
Stargane bolem śpiewaka łono:
Podniósł źrenicę w górę zamdloną,
I dłoń przycisnął spiekłą do czoła:
— O! Panie!—głosem skrzypłym zawoła—
Odwróć twą rękę zponad méj głowy,
Usuń na chwilę kamień grobowy,
W pierś mą spaloną spuść z nieba rosę;
Nim do mogiły krzyż mój doniosę,
Dozwól do kresu spełnić zadanie!
O trochę życia... błagam cię Panie!
Stwórco potężny, co z wiecznéj łaski
Światy w słoneczne odziewasz blaski;
Co płomień życia tchniesz w ziemskie twory,
Ja, proch stóp twoich, w pełni pokory
O iskrę życia śmiem błagać Ciebie,
Nim pierś tę chłodna ziemia zagrzebie:
Niech z niéj dosnuję on wątek marny,
Który cierpienia płomień ofiarny
Zamienił w małą okruchę złota
W długiém męczeństwie mego żywota;

Niech obleczony w słowa osłonę,
Złożę w narodu świętą skarbonę.
Może on owoc łez mych i pracy
W zbłąkane serca przyjmą rodacy;
Może gorące piersi méj tchnienie
Rozproszy mgliste przesądu cienie,
I prawda, w blasku promiennym spłynie
Po owéj wiernéj Tobie krainie,
Któréj przed laty cnotliwe syny,
Świat zdumiewali wielkiemi czyny,
A zacny żywot w szczerym zapale
G'woli czci Twojej kładli na szalę.
Oni przybytków Twoich strażnicy,
Z piersią okutą w twardéj zbroicy,
Trawili noce, spierając głowy
O rdzą zgryziony puklerz stalowy;
I z znojem czoła w pożarów dymie,
Krwią zdobywali zaszczytne imie.
Inaczéj Panie dziś w twym narodzie!
Siła tkwi mętów w skłóconéj wodzie,
Na rozhukanéj toni żywota
Wicher bezsilną korablą miota;
I nie ma komu stanąć przy sterze,
Bo synów barki gniotą pancerze
W których ojcowie radzi chadzali;
A ich przyłbice z hartownéj stali
Ranią młokosów muskane czoła.
Ręka ich szabli dźwignąć nie zdoła;
Jeno orlęta w puściźnie całej
Dziedziczą gniazda, które im słały
Dziadów zasługi mnogiemi laty!....
Dziś spożywają plon ich bogaty,
Słoniąc się dumnie cnoty ich tarczą.
A gdy do lotu skrzydła nie starczą,
By czoło w wawrzyn otoczyć nowy:
W szkarłat się stroją i w złotogłowy,
W sobole szuby, w cenne klejnoty,
Ku stumanieniu ludzkiéj prostoty!

O! noc nad nami zawisła głucha,
I straszno w głębi mojego ducha!
By na powierzchni gładkiéj źwierciadła
Snują się rojem czarne widziadła,
I z trwogą zwracam badawcze oko
W napół rozwartą otchłań głęboką,
Która niebawem w strutém swém łonie
Wiekowe ojców prace pochłonie!

Gdy wzrok obłędny braci mych łudzi,
Kwietnym kobiercem wdzięcznie się łudzi,
Co górą przepaść pozornie kryje;
Ja jeden widzę syczącą żmiję
Jak z urąganiem wyciąga głowę
Nad wonnych kwiatów sploty różowe.
Ja jeden myślą ścigam jéj ślady,
I w straszną przepaść wzrok ślę na zwiady.

O! jakaż zgroza przeraża oczy!
Widzę jak zwolna robactwo toczy
On pień, co dotąd cudnie zielony
Sięga w obłoki wierzchem korony;
Widzę, jak gorzkie skażenia ziarno,
Wicher dokoła w noc sieje czarną;
Jak chyżo zbiega stara prostota,
Zbytek w zamczysków kołacze wrota.
Wkraczają w progi cudze zwyczaje,
Strugą po stołach płyną tokaje;
Gardzą tą karmią wymyślne pany,
Któréj im starczą knieje i łany;
Bo stół magnacki różnić się musi
Piórmi bażantów, pawi i strusi;
Acz wino mózgi zarówno pęta
Panów i szlachtę mieniąc w bydlęta!

I z dymem idą grody i włości,
Gdzie w grobach ojców próchnieją kości;
A dobra panów świecą wspaniale,
Jak te jagody na stroméj skale,
Co się wysoko pną pod niebiosy,
A sycą szpaki, wróble i osy!
Gdy dziedzic ufny w posiadłość starą,
Ściga je tylko—okiem i wiarą.

Bóg wam nie na to kęs ziemi daje,
Byście próżniacze karmili zgraje,
Pod dach garnęli szarańczę lichę,
Co karmi waszą pochlebstwem pychę;
Byście w wiekowe zdobni zaszczyty,
Jak one żołny i pasożyty
Chłonęli pracę ubogich kmieci:
Wam dość, że słońce z nieba im świeci,
Tego, moc wasza spożyć nie zdoła!...
Lecz szpik ich kości, lecz pot ich czoła
Wyście wyssali sprośnemi usty.
Dość biesiadniczéj jednéj rozpusty,

By całoroczne schłonęła brogi!.
Co wam, że kmiecia dojmie głód srogi,
Choć zrósł nieborak z waszym zagonem,
Barki pod waszym ugina plonem,
Pilnuje pługa, sierpa i kosy?
Nie jemu rosną na niwie kłosy.
Wy spożywacie trud jego sami,
Niech on się karmi znojem i łzami!...

Nie tym szli torem starzy ojcowie!
Im próżnowanie, czarta wezgłowie,
Znaném nie było w paśmie żywota;
Do ich podwoi kmiotek sierota
W ciężkiéj niedoli kołatał śmiało,
A pan go duszą garnął wspaniałą,
Bo go miłował jak własne dziecie."

Tu głosu w piersi brakło poecie;
Rumieniec kraśniéj wybiegł na lice,
I tchu zaczerpnął, i wzniósł prawicę,
I w górę łzawe obrócił oczy,
Jak żeby ścigał wątek proroczy.

„O! w proch—zawoła—ukorzcie głowy!
Pan, grom nad wami trzyma gotowy!
Już czarny obłok nadciąga górą,
Cześć wasza spłonie, jak w ogniu pióro;
Duch wasz zwątleje, skarleją ciała,
Jak dzwon rozbity będzie wam brzmiała
Sława praojców bezsilnym dźwiękiem!....
Widma ich z mogił przybieżą z jękiem,
Pytając: gdzieście tak potyrali
Ich złote herby, tarcze ze stali?
Kędy ich sioła, grody i dworce,
Gdzie krwią przesiąkłe one proporce,
Które cenili wyżéj żywota?.....
Wy je tarzacie w otchłani błota!
Biadaż wam pany! drzyjcie od trwogi,
Olbrzymy ziemi, wy ziemskie bogi!
Wszak komu gniazda ściele Pan w górze,
Niech umié piersmi odpierać burze,
Bo wiatr go strąci z podstawy ślizkiéj;
Niech patrzy w niebo, kto niebios blizki,
A niech ród bratni wiedzie w swe ślady
Zacnemi czyny, mądremi rady.
Inaczéj Pan go przeklnie w dzień gniewu,
I uschnąć każe, jak niegdyś drzewu,

Co miast owocu, zdobne w liść gładki
Wyrodne ssało pierś ziemi matki.
Bo gnusność, człeka w próchno obraca,
I jedno ciała a ducha praca,
Jak po szczelinach pcha go ku Bogu!
A wy drzymiecie w złotym barłogu,
I chyba ze snu zbudzić was zdoła
On miecz zamierzon ręką anioła,
Gdy spadnie z góry na karki wasze!

„I wam przekleństwo chciwi Judasze,
Co drapieżnemi jak ryś pazury,
Bliźniego żywcem drzecie ze skóry;
Niecnie frymarcząc prawdą a cnotą,
Śmiécie szatańską waszą robotą
Naciągać słowo g'woli potrzebie;
Cobyście Boga sprzedali w niebie
Jak on Iskaryot; co z targów w targi
Włóczycie język i wprawne wargi,
To po Piotrkowie, to po Lublinie,
Topiąc sumienie w durzącém winie;
U których słońce choć świeci jaśnie,
W samo południe—by w noc zagaśnie;
Co pobratani z brudnemi żydy,
Ich popierając sprośne bezwstydy,
Prawem słonicie chytry ród węży,
Gdy srodze naród lichwą ciemięży:
Drżyjcie przed Pana niechybnym sądem!

„I wam przekleństwo! wam co nierządem
Burzycie zakon małżeństwa święty,
Płoche niawiasty! Co za ponęty
Goniąc z dnia na dzień, w grzesznéj ułudzie,
Szaty anioła tarzacie w brudzie;
A gasząc jasny płomień domowy,
Muskanem licem, gładkiemi słowy
Kupując poklask płochego świata,
Poczciwéj doli trwonicie lata.
Wy! raz stąpiwszy po ślizkiéj drodze,
Zwolna bezprawiom puszczacie wodze;
Aż złe szeroko roztworzy wrota,
Piętno na czołach zryje sromota;
Pójdzie na frymark młodość i krasa!..
Na wszelki bezrząd myśl się rozpasa:
I miast żon wiernych, matron rodziny,
Będą Heleny i Messaliny!
I złe pożarem pójdzie po świecie,
I nikt domowych wieńców nie splecie.

Stleją ogniska w chłodne popioły,
Ubiegną w niebo stróże anioły,
W tumanach dymu zgaśnie blask słońca,
Pomrok zapadnie z końca do końca,
I zstąpi na świat boleść a trwoga;
Aż człek w rozpaczy zaprze się Boga..."

Z zgrozą wieszcz uniósł ręce do góry,
Radby odeprzeć te czarne chmury,
Które przeczuwa widzeniem ducha.
Zabrzmiała gędźba: on milczy, słucha.
W przyległéj izbie, sprosna drużyna
Spełnia wrzaskliwie puhary wina,
Wtórząc bachantek wszeteczne pieśnie!
On zbladł jak mara; ścisnął boleśnie
Ręce i usta, a w drzwiach komnaty
Mignęła postać strojna w bławaty.
Niewiasta młoda stanęła w progu,
Cała starzana w świata barłogu,
Z bezwstydném licem, z płonącém okiem.

Powstał Sebastyan, zmierzył ją wzrokiem,
Wzrokiem, co niby przekleństwa słowo
Grozi piorunem nad grzeszną głową.

Pierzchła jak widmo, drżąca i blada;
On milczy, duma, i ręce składa,
I zcicha rzecze:—„Wola Twa Panie!
Krótki mój żywot.... wnet świt nastanie...
Tam!—poza grobem... po życia nocy!..
Jedno o Panie! użycz mi mocy,
Bym dni mych wątek stargany żalem
Dowlókł dopóty, aż z Juwenalem
Spółczesne zgrozy odchylę do dna!
Niech jak w źwierciadle zgraja wyrodna
Ujrzy w mém słowie serc własnych trądy,
Niecne bezwstydy, zbytki, nierządy!
Niech zanim wieczny mrok mnie otoczy,
Gryzącym jadem biuznę im w oczy:
Bo dziś—o Panie! przebrzmiały tony
Twojéj w miłości pieśni zrodzonej!
Od serc w lód skrzepłych, niby od zbroi,
Odpada Boski dźwięk lutni twojej!
Kto pieśń odtrąca szczerą a prostą,
Niechaj grzbiet pyszny nagnie pod chłostą;
Grotem szyderczym tknę go do kości.
O! ja was bracia chłoszczę z miłości!....

Chcę, byście w siebie spojrzawszy sami,
Grzechy swe żalu obmyli łzami;
A kornie, dumne zginając głowy,
Jęli się społem świętej budowy
Ku podźwignieniu przybytku Pana!
Chcę, by Chrystusa prawda poznana
Wsiąkła w krew waszę, odżyła w czynie,
A w blasku światła cień się rozpłynie,
I złe zatonie w prawdy powodzi.
A naród w Bogu znów się odrodzi
Starą prostotą, podaniem, wiarą,
I ukochaniem, i cnotą starą;
I niebo zmoże krnąbrne olbrzymy,
I wiatr rozniesie kadzideł dymy,
Które zapala ludzka prostota,
Ku czci znikomej pychy a złota.
Niech więc ma chłosta grzbiety wam rani,
O! bo was kocham bracia zbłąkani!"

I drżącą ręką pochwycił pióro,
I znikł on pomrok, co tak ponuro
By skrzydło sępie zawisł nad czołem.
Odblask natchnienia tęczowém kołem
Złoci oblicze; z pod rzęsy ciemnéj
Zalśnił przelotnie płomień tajemny;
I łzy dwie spadły na białą kartę,
Piętnując księgę w godło niestarte,
Z świętéj miłości czerpnięte zdroju.
Już nic nie mąci tego spokoju,
Co mocą łaski, by woda żywa,
Na głowę wieszcza natchnioną spływa.

Cisza w komnacie: zmilkł wiatr zimowy,
Spią na wieżycach złowieszcze sowy;
Pierzchła opodal chmura z zawieją.
Już czujne kury po trzykroć pieją
Zwiastując hasło rychłego świtu.
A wieszcz Bożego pełen zachwytu,
Z gorącém licem, z spłonionem okiem,
Wylewa z piersi wrzącym potokiem
To, co Pan z góry zsyła do ducha.
Niekiedy przerwie, czeka i słucha:
Głucho a pusto! On jednak słyszy
Hymn, który ziemia w poważnej ciszy
Zasyła Bogu—hymn dziękczynienia!
Dłoń coraz skorsza, a piersi tchnienia
Coraz to częstsze. Mocą zapału,
Znać duch panuje wyłącznie ciału;

A ręka niby narzędzie z gliny,
Z podniebnych wyżyn, w ziemskie dziedziny
Ściąga myśl Bożą, w słowo ją splata,
I rzuca jasną na pokarm świata!

Zajękły dzwony.. Trąby z wieżycy
Brzmią w pozdrowienie Bogarodzicy;
A uśnieżone mury Lublina
Wtórzą stokrotnie *Salve regina!*
Wieszcz pióro z drżącej wypuścił ręki,
Padł na kolana:—„O Panie! dzięki—
Zawołał głucho—zgaś iskrę marną!
Już wyrzuciłem z piersi mój ziarno:
Czas je rozwinie na Twym zagonie!"...
Złożył na piersi bezsilne dłonie,
Blednie w obliczu przelotna krasa,
W źrenicy sztuczny płomień dogasa,
Tchu braknie w łonie. Już chłód grobowy
Wkoło natchnionej powiewa głowy,
Pierś w lód ścinają przedśmiertne dreszcze,
Lecz serce bije... i cierpi jeszcze!

IV.

W szpitalu miejskim Świętego Ducha,
Bladym płomykiem kaganiec bucha
Na nagie ściany izdebki lichej;
A wśród wieczoru pogody cichej
Słychać niezwykły zgiełk ludu w mieście,
Głośne okrzyki, gwary niewieście
Zmieszane z płaczem trwożliwych dzieci.
Niekiedy płomień jasno zaświeci
W okno izdebki, przez drobne szyby;
O! biadaż miastu! gore bez chyby,
Lecz dzwon pożarny nie jęknął z wieżycy,
Nawet śmiech tłumu słychać w ulicy:
Czyż z Bożej plagi szydzić kto może?...

W izdebce złożon na twarde łoże,
Mąż w ostatecznej walce przed zgonem
Z licem pożółkłém, z okiem zamglonem
Krzyż Chrystusowy ciśnie do łona.
U stóp wybladła i ukorzona
Klęczy niewiasta, a mnich nad głową
Modlitwy Pańskiej powtarza słowo.

Chory, za mnichem usty sinemi
Mówi z pokorą:—„Wniebie, na ziemi
Bądź wola Twoja!" i pierś ze skruchą
Bije, niebieską wzmocnion otuchą;
A gdy rzekł:—„Winy odpuść nam Panie!"
Uniósł bezsilną dłoń nad posłanie
I wsparł na kornéj głowie niewieściej;
A jęk stłumionej wypadł boleści
Z piersi, wyrzutym przejętéj srodze.
I padła na twarz w bolu i trwodze,
Jakby przed Boga straszliwym sądem.
—O! jam niegodna! jam to bezrządem
Zgubiła Ciebie—głucho zawoła
W prochu starzany rwąc włos z nad czoła.
—Choć ty przebaczysz, Bóg nie przebaczy!—
I ziemię głową bije w rozpaczy,
Pragnąc łzy wszystkie wypłakać z łona;
Bo przed jéj okiem pękła zasłona,
Co niby tuman kłamliwéj złudy
Słoniła ziemskie nędze i brudy.

—„Powstań niewiasto!—mnich wyrzekł zwolna—
Pokora przebić niebiosa zdolna.
Wszak cudem łaski Pan Magdalenie
Rozjaśnił grube obłędów cienie,
Gdy skraju świętéj dotknęła szaty..
W łzach żalu płynie strumień bogaty
W którym człek z grzechu serce obmywa.
Powstań niewiasto!"....

Ona wpół żywa
Unosi głowę, i znów w pokorze
Tuląc twarz bladą w śmiertelne łoże,
Stygnące męża całuje nogi!
—„Ty mi przebaczasz! a jam w twe progi
Wniosła ohydę, wstyd i sromotę;
Jam w proch niewieścią zdeptała cnotę,
I na twą głowę ściągła niesławę;
Jam to zawiodła twe serce prawe.....
A wszak mu niegdyś byłam tak miłą!"

I ciężkie łkanie głos jéj stłumiło.
On ku niéj suchą wyciągnął rękę
Za łzy tak rzewne, w cichą podziękę.
I chwila w głuchém zbiegła milczeniu.
Nagle, na ciemném nieba sklepieniu
Jaskrawiéj płomień wybuchnął w górę,
Chórem zagrzmiały wrzaski ponure:

—„Niechaj w perzynę ginie! przepada!"
Niewiasta z ziemi zrywa się blada,
Dreszcz zgrozy przejął pierś jéj zbolałą,
Jak liść osiny drzy wątłe ciało.
Bieży ku oknu, zwiesza zasłonę;
Ale zapóźno: oko zamglone
Pomrokiem śmierci dostrzegło jeszcze
Jaskrawéj łuny blaski złowieszcze:
—Co tam za płomień?—strwożon zawoła,
A pot kroplami spływa mu z czoła;
Chce powstać z łoża, ale daremno!
Sił już niestaje .. w oku mu ciemno...
Wyciąga ręce obie ku żonie:
—Powiedz mi—pyta—miastoli płonie?!.....
Lecz ona milczy. On znowu mnicha
Pyta i bada, trwożliwie zcicha,
Bo głos zamiera w piersi pomału;
Już duch nie zdoła panować ciału:
On w wyższą, szerszą dąży dziedzinę,
Co mu poruszać rozbitą glinę!
A kapłan rzecze:—„Synu! w pokorze
Poddaj twą głowę pod sądy Boże,
I serce uzbrój niezłomną siłą,
Bo nim pod chłodną spoczniesz mogiłą,
Musisz do kropli wysączyć czarę..
Daremnie błędną goniłeś marę.
Patrz! tam na stosie pod ręką kata,
Sława twa synu—z dymem ulata!
Gasnąca iskra pod silnym ciosem
Roztlała nagle; wieszcz drżącym głosem
Wskroś bolem zdjęty:—„Panie!—zawoła—
To część krwi mojéj... pot mego czoła,
Owoc mych nocy, poczęty w trudzie,
Dokonan w bolu!... Biadaż wam ludzie!
Gdy pod serc waszych pleśnią grobową,
Żywe się prawdy nie ujmie słowo!
Gdy zanurzeni w bagnisku świata,
Rzucacie nędzni kamień w pierś brata,
Co się ośmielił wyznać w prostocie:
Że cześć szlachecka—w pracy a cnocie!...

„O! nie masz ciebie królu Batory,
Abyś twój naród błędny a chory
Skrzepił dzielnego tchnienia potęgą!
Abyś rozpostarł nad oną księgą
Królewskie ramię, kute z żelaza.
Ciężkaż pamięci twojéj obraza!

Bo na mém dziele ryte twe imie,
Wielki Stefanie! ulata w dymie!...”

Umilkł Sebastyan, i wlepił oczy
W szeroki płomień, w nocnéj omroczy
Lśniący złowieszczo, by krwawa zorza.
Niewiasta kornie klękła u łoża:
—„Nie trwoż się— rzecze—jam przechowała
Boskie twe księgi.... ledwie część mała
Poszła na pastwę z dymem pożaru!”

— „Świat dziś nie godzien twojego daru—
Zawoła kapłan—bo niedorosły
Do twojéj myśli czystéj a wzniosłéj;
Lecz nie trać wiary: przyjdzie czas tobie!
Złożąć potomni wieńce na grobie;
Bo nie zmarnieje siew prawdy bożéj:
Pan w piersi wiernych wiecznie ją mnoży.
Choć długie lata, słowo olbrzymie
W obłok zaklęte nad ziemią drzymie;
Gdy Pan naznaczy kres mu właściwy,
Rosą odwilży rodzinne niwy.
Przyjdzie w twe tropy śpiewak natchniony,
I zmilkłéj pieśni podejmie tony,
I myśl twą światu pełniéj wypowie,
I w każdym wieków następnych słowie
Część ducha twego życiem brzmieć będzie,
Wpleciona w wieszczów pieśni łabędzie.”

Gasnące oko błysło otuchą,
—„Dzięki ci ojcze!”—wymówił głucho,
I wybiegł uśmiech na usta błogi:
Znać grób w nim próżnéj nie budzi trwogi,
Bo duch już zbiega wyższe przestrzenie.
Zgasło ognisko, a nocne cienie
Znów okrążyły ziemię ponuro,
I błysnął księżyc owiany chmurą.
Już gród w milczeniu pogrążon cały.
Tu nagle dźwięki pieśni zabrzmiały
Młodych flisaków: wierna drużyna
Wita gościnne mury Lublina.
Zgodne ich pieśni płyną z oddali
Z rosą po czystéj Bystrzycy fali,
A wzniosłe wieże i świątyń szczyty,
O spiż i granit on dźwięk odbity
Niosą pod gwiazdy, wysoko, w górę.
I księżyc strząsa wełnistą chmurę

Co ćmiła jego srebrne odblaski,
I niby godło tajemne łaski,
Wieńcem promieni otacza wkoło
Wieszcza poważne a blade czoło.

— Wszak to pieśń moja! Dziękiż ci Boże!—
Wyrzecze zcicha, i ponad łoże
Unosi ręce w znak dziękczynienia.
Oblicze jego zwolna się zmienia;
Łza niby perła zwilża jagody,
Na usta wybiegł on uśmiech młody,
Co anioł zesłał dziecinie we śnie,
A zdala płyną flisarskie pieśnie:

„Dalejże flisaku, spiesz w *Bożą* godzinę,
Już blizko do kresu twéj drogi;
Wnet ojców powitasz i miłą rodzinę,
Domowe ognisko i progi.

I staniesz przed ojcem i starą macierzą,
W kierezyi i pasie z przysiekiem,
W magierce zuchwałéj: toć snadno uwierzą,
Że wracasz ze świata człowiekiem!

Gdyś Boga przyzywał w burzliwéj przygodzie,
Flisaku odważny i młody,
Pan dopchał bezpiecznie twą szkutę po wodzie,
Uchronił od wichrów i szkody.

Dalejże flisaku, śpiesz w Bożą godzinę,
Już blizko do kresu twéj drogi;
Wnet ojców powitasz i miłą rodzinę,
Domowe ognisko i progi."

. . . . . .

I przy podźwięku pieśni uroczéj
Wieczny mrok zapadł piewcy na oczy;
W piersi krew skrzepła — życie ustało,
Duch już swobodny a martwe ciało
Nie czuje chłodu, bolu, ni trudu.
A pieśń pobrzmiewa przez usta ludu:
Ta pieśń w narodu żywot wpleciona,
Którą on wysnuł z wrzącego łona,
Krąży nad wieszcza prochy martwemi
Jak wiekuiste podzwonne ziemi!....

EPILOG.

O wieszczy śpiewaku! i czemuż twe skronie
Boleśnie oplata kolczysty głóg?
Wszak tobie w czarownéj piękności osłonie
Bóg, ślady ukazał niebieskich dróg.

Wszak kiedy tłum depcze bezmyślnie i zcicha
Zielony a miękki murawy puch;
Pierś twoja natchniona płomienniéj oddycha,
W jaśniejsze przestworza twój sięga duch.

Wszak w złote twe usta Bóg wieszcze tchnął słowo,
Pod stopy twe rozsiał marzenia kwiat;
I gwiazdę ci zatlił promienną nad głową,
I loty orlemi pchnął w marzeń świat.

Nie na to, byś mącił niebieską pieśń zgody,
I wplatał w nią cierpki boleści ton,
I grobów całunem ćmił błękit pogody,
Przy gędźbie weselnéj zwiastując skon.

Byś kroplę piołunną w godowe puhary,
Zbłąkanym a słabym niebacznie lał;
Nie koił ich pieśnią nadziei i wiary,
Lecz w serca bił jadem zatrutych strzał.

O! wieszczu, gdyś dostrzegł proroczém twém okiem
Na niwach przyszłości wschodzący srom;
Tyś uniósł prawicę, i z bolem głębokim
Sciągnąłeś zuchwale z niebiosów grom.

Nie w twoję dłoń gromy, o piewco natchniony!
Wszak po te nie sięgał nasz wieszczy Jan;
Śpiewakom ku niebu pogodne słać tony,
A w grzesznych—pioruny niech ciska Pan!

Nie strzałą być pieśni, nie mieczem ze stali!
Maż lutnia z serc głębi dobywać krew?
O! niech je miłością, niech wiarą zapali,
Niech bole żywota skołysze śpiew.

Pieśń Jana spływała jak rosa majowa
Na kwietne wybrzeża rodzinnych strug;
Szły prosto w pierś bratnią pogodne jéj słowa,
Przyjęli ją ludzie, zażegnał Bóg.

I dzisiaj, gdy łono płomienne lutnisty
Od wieka strawiła mogilna pleśń;
Przepływa w spokoju po niwie ojczystéj
Z poszmerem dąbrowy odwieczna pieśń.

I twoje, poeto, flisowskie brzmią pienia
O łono wiślanych odbite wód;
Ich wdziękiem podziśdzień, wśród skwaru, znużenia,
Osładza nasz oryl poczciwy trud.

Bo w tchnieniu miłości pieśń jedno poczęta,
Swobodnie wypłynie nad czasów toń;
Pieśń jedno miłości, czarowna a święta,
W niezwiędły liść zwieńczy śpiewaka skroń.

Współcześni odparli twe groźne przestrogi,
Nie tknęła ich ostrych pocisków stal;
Niebaczni, puścili swe łodzie bez trwogi,
Pośrodkiem wzburzonych żywota fal.

Potomni zarówno zatarli twe pieśnie,
Gdy nowych lirników zaśpiewał rój;
Bo dla tych zapóźno, dla tamtych przedwcześnie
Brzmiał, piewco natchniony, głos wieszczy twój!

I tylko brat w pieśni, gdy stanie na grobie
Co serce twe wielkie na wieki skrył;
Przyklęknie z pokorą, i rzeknie: „cześć tobie,
Boś w walce nie szczędził młodzieńczych sił.

„Bo prawdę jedynie miłując a Boga,
Umiałeś na barkach krzyż stale nieść;
Choć stopy ciernista krwawiła ci droga,
Ty szedłeś nią wiernie:—cześć tobie, cześć!"

ZOSIA ŻYTKIEWICZÓWNA.

POWIASTKA UKRAIŃSKA

PRZEZ

Tadeusza Padalicę.

Use harazd, use harazd, ta za odno strassno,
Wyhladajut' hajdamaki iz za hory czasto.
Z pieśni gminnéj o kozaku Sawie.

Około 1758 roku żył w Mosznach szlachcic polski Onufry Żytkiewicz. Byłto szlachcic na owe czasy ciepły: handlował wołami, kupując je na okolicznych jarmarkach i potém pędząc na sprzedaż do Włodawy. Czerstwy, rumiany, o białych włosach i takimże zawiesistym wąsie. Gaduła, bywalec, i pomimo wiek podeszły, czynny i przedsiębierczy. Zawsze na wózku, zawsze na jarmarkach, z trzosem około bioder, karabelą u pasa i szwedzką o dużym zamku flintą, która towarzyszyła mu na wózku w podróżach. Szlachta, żydzi i chłopi znali go w całéj okolicy. Ciągle ocierając się o lud, mając nieustanną z nim styczność, zaczął on posługiwać się językiem ukraińskim, i w końcu tak doń przywykł, iż wyrażał się nim dobitniéj i łatwiéj, jak swoim; jeśli zaś zniewolony był czasem użyć polskiego, to go dopełniał przysłowiami i sentencyami wziętemi od ludu. Mieszkał on przedtém w Śmile, lecz gdy go okradziono kilka razy z pieniędzy w domu, a z bydła w polu, gdy nakoniec podczas jednego jarmarku przepadł mu jedynak jego Pawełek, chłopczyk lat dziesięciu: obrzydził sobie to miasto, nasadził mu czortów i biesów i przyjechał na mieszkanie do Moszen, gdzie miejscowy proboszcz był jego dalekim po żonie krewnym. Co do syna, gdy wszystkie poszukiwania zostały nadaremne, zgo-

dzono się na domysł, iż musiał się utopić przypadkowie w Taśminie. Stary wzdychał, stękał, ale boleść minęła, i po niejakim czasie znowu poszedł pracowity dziadora z wołami do Włodawy.

Staremu pozostała żona i prześliczna córeczka, imieniem Zosia. Po matce wzięła rysy twarzyczki, po ojcu czarne brwi i oczy, od Boga zdrowie, rumieniec i wesele. Rosła ta lubka szybko jak trzcina, a kwitła rozkosznie jak róża. Gruba tu była na owe czasy młodzież, nie pojmowała ceny wdzięków, a zdrowych dziewek po szlachcie, to na Ukrainie nie rzadkość. Ztém wszystkiém i w kościele i w gościnie zapatrywano się na Zosię, wielbiono ją, zapominano przy niéj słów w gębie; szeptano: „aj dziewczyna! jak łania, jak rybka!" Życie w Mosznach i dziś jest samotne, ciche, jednakie, a było jeszcze cichsze w tamte lata. Tu szumiały puszcze irdyńskie, a tam gdzieś w bezgranicze ciągnęły sięługi Dnieprowe; pasieki huczały od pszczół, futory i sady oblewały się każdéj wiosny kwieciem, a łąki woniały maciérzanką i czombrem. Z nadejściem zimy odmieniały się obrazki natury, ale serce dziewicze, młode, uzbierawszy marzeń letnich z ziemi i nieba, tuliło je w ciepłéj izdebce, przerabiając na pieśni i dumki, i jak pszczółka żyło własnym miodem. Podczas świąt odwiedzała Zosia sąsiadów, bawiła się z rówieśnicami i powracała z wesołém okiem, rozognioną twarzyczką i rozmarzoną piersią; a we dni powszednie, w długie grudniowe wieczory, otoczona gronem wiejskich dziewcząt, przędła z niemi lub szyła, słuchając ich bajek i pieśni. I według tychże pieśni, wyobraźnia jéj pisała swoje o przyszłości arabeski, maczała je w czarowne farby i naprowadzała jaskrawemi prążkami, jak ona sama przywykła o Wielkiejnocy kolorować pisanki.

O czémże inném marzyć mogło dziewczę młode jak Zosia, karmione według wyrażenia poety, „mlekiem dum i mleczem kwiecia", kołysane od kolebki rzewnemi piosnkami najpoetyczniejszéj naszéj ziemi? Osłoniły ją one jak niewidzialne istoty, jak opiekuńcze duchy, i strojąc główkę i pierś we wstążki i kwiatki, krasząc jagody, rozczesując długie warkocze, wpuszczały razem roje motylkowych marzeń do serca, wyrabiając w niém tę rzewność uczucia, tę potęgę miłości, które ją zaczarowały na istotne dziewczę Ukrainy.

Marząc ciągle o pięknych bohaterach bajek, o zaczarowanych królewnach, o siedmiogłowych żmijach, strachach, upiorach

i wiedmach, Zosia rozbudziła do pewnéj potęgi uczucie cudowności i przywidzeń, stała się dostępną najmniejszym wrażeniom i często miewała sny dziwne. Raz, było to na wiosnę, przyśniło się jéj, jakoby przyleciał na dziedziniec rodzicielskiego domku straszny żmij o siedmiu dużych głowach, niosąc na karku królewicza. Ten królewicz jakoby wyzwał przez okno jéj ojca i rozkazał mu wyprowadzić doń córkę. Kiedy wyszła przelękniona Zosia, zjawił się zkądsiś rycerz i bił się z królewiczem długo; żmije syczały i robiły się coraz czerwieńsze jakby je krwią kto ofarbował, a nakoniec stanęły w płomieniach. Od tego ognia, przywidziało się dziewczęciu, jakoby zajął się ich domek, a pożar tak piekł w lica, że wśród téj straszliwéj sceny porwało się dziéwczę ze snu, i zakrywając rękoma oczy, robiąc piersiami, krzyknęło przeraźliwie.

Przybiegli do łóżka rodzice, wniesiono świecę, uspokojono ją cokolwiek, ale wrażenie snu tak było przykre, iż nie mogła zasnąć do dnia białego. Ojciec nazywał te marzenia dzieciństwem, matka zaleciła zmówić nazajutrz koronkę do Przemienienia Pańskiego, a baba Ołena tłumaczyła sobie sen taki zupełnie inaczéj, i aż wtedy uspokoiła biédną Zosię, gdy ta ją zapewniła, że nie widziała wypadających zębów ani pokoszonego żyta.

Nazajutrz, że to była niedziela, udali się wszyscy do kościoła. Gdy Zosia klęcząc przed ołtarzem odmawiała koronkę, wtém dał się słyszéć od progu brzęk oręża i prawie jednocześnie weszli do środka kościoła dwaj nieznajomi mężczyzni. Jeden z nich byłto młody i ładny blondyn w mundurze kawaleryi narodowéj; drugi brunet, orlego nosa, żywych czarnych oczu, w sajetowym na futrze żupanie ze złocistemi pętlicami, i w granatowym kontuszu. Czapkę miał w ręku lamowaną sobolem, karabelę u boku zawieszoną na czerkieskim pasku, po wierzchu którego jaśniał pas złotolity. Tatarska burka leżała mu malowniczo na barkach. Byłto mężczyzna lat około czterdziestu, ale tak krzepki i muskularny, iż mógł ujść za hożego młodzieńca. Dwaj tacy goście w ustronném miasteczku, zwrócili na siebie powszechną uwagę. Już biegały domysły co są za jedni i czego tu przybyli, gdy po mszy, wraz z innemi udali się do domku proboszcza, i uprzedzając ciekawość przytomnych, zarekomendowali się: piérwszy porucznikiem Stanisławem Brzozowskim, drugi szlachcicem Wichrowskim.

Ale chociaż ci obadwa przybysze zjawili się jednocześnie w kościołku, byli wszakże zupełnie sobie nieznajomi: przybywali ze stron przeciwnych i przez prosty wypadek zeszli się jednocześnie. Brzozowski jechał z Kaniowa, dokąd był posłany od swéj zwierzchności z jakiémś poruczeniem, tyczącém się obrony linii pogranicznéj, a Wichrowski, jak powiadał, przybywał z za Dniepru, gdzie mieszka oddawna i handluje końmi. Opowiadał, że posiada na Czornobajowskich stepach liczne tabuny, i kilkadziesiąt wybranych koni prowadzi właśnie na sprzedaż do zamków pogranicznych. Źle mówił po polsku, mieszał w rozmowie wyrazy małoruskie i tłumaczył się, że odwykł od ojczystego języka mieszkając oddawna w głębi Małejrusi. Żytkiewicz, jak skoro dowiedział się, że młody towarzysz zowie się Brzozowskim, zbliżył się doń poufale, ujął oburącz blondynową głowę młodzieńca i kładąc pocałunek na czole, rzekł: „A *sobako* ty jedna! nie poznałbym cię za nic, takeś mi urosł i zmężniał." I zaraz pociągnął go za sobą do żony, któréj przypomniał, że to ten sam Stasio, który w Smile przed laty dziesięcią biegał z jego Pawełkiem po ogrodach i ulicach, syn starego Brzozowskiego mieszkającego dziś w Nadtaśmińskich lasach. Gdy młodzieniec zapytał starego o syna: gdzie jest teraz? Żytkiewicz wzruszony, pochwycił go za rękę, spojrzał mu w twarz kwitnącą rumieńcem i rzekł:—„Oj chłopcze! biéda! nie mam syna, nie mam pociechy na starość!"—i łzy mu zakręciły się w oczach.

— Ale masz za to córkę jak makówkę — rzekł ktoś z boku.

— To towar, mosanie,—odpowiedział Żytkiewicz.

A Zosia zarumieniła się jak koral i nie trzeba było już objaśniać młodzieńca, kto była ta nadobna dziewczyna. Przyznał w duchu młody towarzysz, że piękniejszéj nad nią nie widział jeszcze między Ukrainkami. Kiedy po chwili podniosła spuszczone oczy, i spojrzała, na niego, te oczy jak mówią u nas na Ukrainie, *zaprzepaściły* na wieki młodzieńca. Ale w tejże chwili wzrok obcy, silny, ognisty, jak téj siedmiogłowéj żmii, która biédne dziéwczę dręczyła we śnie, oparł się o jej lica i jakby je polał ukropem. Zosia mimowolnie spojrzała na stronę i spotkała się ze wzrokiem nieznajomego...

Towarzystwo u proboszcza składało się z gubernatora klucza Moszniańskiego, Izydora Kwiatkowskiego, Lacha suchego, wysokiego, od paraliżu trzymającego zawsze głowę przechyloną

ku prawemu ramieniu, i jego żony, otyłej kobiety, nabrzękłéj twarzy, osadzonéj kilkoma brodawkami; z leśniczego Piotra Poletyło, szlachcica krępego w szaraczkowym kubraku i skórą podszytych hajdawerach, z kapszukiem tytoniu uczepionym do guzika u piersi i króciutką fajeczką, którą nosił zawsze w kieszeni. Daléj z Benedykta Szulca, rachmistrza, olbrzymiego wzrostu mężczyzny, jąkały, z przysłowiem: „krótko mówiąc w krótkości funt tego—o!", i nakoniec z małego, zwinnego człowieka Stanisława Broniszewskiego, służącego niegdyś w Korsuńskiéj milicyi, trzymającego się prosto, pijącego ile wlezie, i łgarza co się zowie. Mieszkał on teraz w Mosznach w dożywotnim dworku, miał wózek i parę szkap, któremi ciągle po kolei objeżdżał sąsiadów, rozwoził ukłony i babskie plotki, prezenta z zający i kuropatw, dostarczał drożdży na Wielkanocne święta; słynął nadto jako zawołany lekarz, nadawał malcom nazwiska i uczył ich mustry.

Po gawędce i śniadaniu, gubernator odjeżdżając zaprosił wszystkich do siebie na obiad; naturalnie iż w tej liczbie byli Brzozowski i Wichrowski. Pomieszkanie gubernatora różniło się tylko większością rozmiarów od zwyczajnych szlacheckich domów. Byłto dom duży, pokryty słomianą strzechą, a z obudwu stron miał odrębne budynki przeznaczone na piekarnią, spichlerze, wozownie, stajnie i t. p. Wszystko to opasywał częstokoł, a u wrót, na podobieństwo strażniczych wieżyczek przy zamkach, widniał chruściany szałasz, zkąd stróż wyłaził na czworakach, gdy trzeba było dla przyjeżdżających otwierać wrota. Przez drogę stał budynek inny, opasany wysokim ostrokołem, przeznaczony dla aresztantów. Wkrótce zaczęły tarabunić bryczki i wózki, i komnaty gubernatorskiego domu zapełniły się gośćmi. Młody Brzozowski i Wichrowski wjechali konno: porucznik z szeregowcem, a Wichrowski z kozakiem; ale chociaż koń Brzozowskiego był piękny i rzęd na nim strojny, wszakże nie mógł iść w porównanie z arabskiéj krwi rumakiem Wichrowskiego, ani z rzędem jego świecącym od srébra. Z początku towarzystwo kobiét szczebiotało samo w gościnnéj izbie, a mężczyzni oddzielne sformowali koło; ale po obiedzie zmieszały się one z sobą, a różne zabawy i pogadanki spoufaliły młodzież. Już miał zręczność młody Brzozowski kilka razy przemówić do Zosi, dziewczyna odważyła się przemówić słówek parę do niego, i jak to między młodzieżą bywa zawsze, lada

wesoła myśl, lada uśmiech zbliża je z sobą: zaznajomili się ściśléj i po chwili już się trzepiocą, i śmieją, i gwarzą jakby się znali od roku. Biédny nasz porucznik ani się domyślał w jakie się plątał sieci: zaglądał w te ładne czarne oczy, ucałował razy kilka białą rączkę, brał gitarę i śpiewał dla niej ukraińskie dumki, myślał nawet czasem, że już zranił serduszko dziewczęcia, a nie mógł poznać jeszcze jak sam został zraniony, jak go będzie prześladować wszędzie ta czarno-brewka, jak mu potém spać nie da i zwichnie te marzenia o wojnie i sławie, do jakich jedynie wzdychał dotąd. Wichrowski przeciwnie, zostawał przez cały czas ponury, mało-mówny, zawsze z kąta izby wpatrywał się w Zosię i aż się mienił ze złości widząc jej swobodę i przyjazne spojrzenia, jakiemi obdarzała Brzozowskiego. Był on rubaszny, nawet gburowaty w towarzystwie, a teraz jakby oniemiał lub zgłupiał. Podczas obiadu pił dużo, a wieczorem już mu skrzyły się oczy i gorzały lica. Na zapytanie odcinał tak grubo, iż te kozackie popisywania się w obec kobiét, zwróciły uwagę przytomnych. Zmilczono mu raz, drugi, trzeci, ale gdy gęba nie czuła hamulca, rządca przechylając swoim zwyczajem głowę ku ramieniowi, rzekł doń pocichu:—„Panie Wichrowski! u was w Kozaczyznie może to i uchodzi, ale u nas proszę być grzeczniejszym i uszanować dom w którym jesteś."

Wichrowski zmarszczył brwi, spojrzał przenikliwie na rządcę, i jakby opomniawszy się, zaczął chodzić z kąta w kąt po izbie, zamotując na palec długie swe czarne wąsy i nie odzywając się do nikogo.

— A to jakaś małoruska świnia! —rzekł Żytkiewicz do Broniszewskiego półgłosem—*kruto zamiszenyj!*

— Wartoby go nauczyć jak się powinien znajdować w cudzym domu —odpowiedział zcicha Broniszewski.

— Funt tego, o!—dodał rachmistrz—z sukni pan, z gęby kuchta! Jabym go tu prędko nauczył chodzić po linijce.

Gdy takie czyniono uwagi, tymczasem Wichrowski stanąwszy na progu izby zawinął ręce, i wpatrzył się nieruchomie w jakiś przedmiot znajdujący się w drugim pokoju. Tym przedmiotem jego wytężonéj uwagi była Zosia, która w tę chwilę odosobniwszy się od towarzystwa kobiét, siedziała sama jedna wprost przeciwko drzwi w których stał Wichrowski. Czy marzyła o czémś, czy zatęskniła do czego: dość, że rączki złożyła na kolanach, przechyliła główkę, spuściła oczy i była jak

owa lilia wodna nad szklaną powierzchnią spokojnego stawu. Wichrowski patrzał na nią jak w tęcze, ale nagle potém potarł czoło, obrócił się do mężczyzn i rzekł szukając oczyma Żytkiewicza:—*krot' joho matir, harnu doczku majesz!*

Żytkiewicz hamując oburzenie, odcedził z flegmą nie patrząc na Wichrowskiego:

— *Ne dla psa kowbasa, ne dla kota sało..*

— Słuchajno Lasze!—rzekł Wichrowski siadając obok i biorąc się w boki.—Ot niedługo myśląc, po kozacku, przyślę do ciebie swatów: czy wydasz swoją czarnobrewkę? W złocie i srebrze wodzić ją będę, a tobie gębę zasypię czerwieńcami. Tylkoż wydaj a nie dmij się tatu, bo...

I zamilkł jakby się opamiętał.

Żytkiewicz powstał, wziął tabakierkę i pstrzykając palcem po niéj, rzekł pomału, ale wzruszony:—Bo co.... zięciu?...

Tymczasem szlachta ostąpiła ich dokoła w milczeniu.

— Bo... nic, teściu—odciął Wichrowski.—Pojadę drugiéj szukać między Lachami, a tobie zaśpiewam na wyjezdném:

Czort by paryw, waszu matir, z takimi batkami,
Ne dajete doczok za miż—lubit' że ich sami!

— A ja tobie odśpiewam—rzekł Żytkiewicz:

Po durnomu żenychawsia,
Jed'-że durniu, z widkil wziawsia;
Chot' ty briażczysz kapszukom,
Ałe smerdysz mużykom.

Szlachta w śmiech, a Wichrowski porwał się z miejsca i pełen złości mówił bijąc kułakami o stół:

— Obaczymy! obaczymy Lasze, czy tak będzie!

— A jakże może być inaczéj?— odezwał się rządca.

— Bo się Waszeci roi? Funt tego! o!—dodał rachmistrz.

— Nie masz hamulca w gębie! — krzyczał Broniszewski— zalałeś ślépie i pleciesz jak na mękach. Fe! wstydź się asan, to nie po szlachecku. Żebyś się tak popisał w Korsuniu, toby koledzy moi dobrze ci natarli uszu.

Wichrowski stojąc w obec tak hałasującego towarzystwa, mierzył tego, to owego przeszywającym wzrokiem, w miarę jak który powstawał nań zawzięciéj. Żyły mu na czole nabrzękły, wargi trzęsły się, oblicze przybierało wyraz okropny... Możeby bójką skończyła się ta scena, gdyby rozważniejszy od innych Żytkiewicz nie wmówił, ażeby zaprzestano kłótni, i że pijanemu

należy dać pokój. Szlachta więc rozsadowiła się po kątach izby, a za stołem pozostał sam Wichrowski, sapiący, gniewny, ale milczący. Po chwili powstał z miejsca, i zbliżywszy się do rządcy, wziął go za rękę i rzekł:

— No, wybacz mi gospodarzu! ta czartowska nalewka zakręciła mi głowę... Dobra nalewka, nie ma co mówić! ale już przeszło.—A obracając się do gości dodał:—Nie dmijcie się Lachy, nie gniewajcie się: gościa złém słowem nie wyprowadzają z domu, bo mówią, że może wrócić djabłem, a kto wié jak się stanie? A ty stary, nie dróż się ze swojém kurczęciem, bo pieszczone najczęściéj szulak chwyta.

Rządca odezwał się:

— My panie bracie nikogo złém słowem nie wyprowadzamy z domu, a tém bardziéj gościa; tylkoż żądamy, ażeby gość uszanował dom w którym się znajduje. Waszmość takie nam prawiłeś rzeczy, które przystałyby ledwie jakiemuś hajdamace, co to z łotrami podobnemi sobie, przepędził gdzieś w burzanach jak zwierzę, całe życie.

— Dam ja tobie hajdamaków, pokrecona ty głowo!—mruknął pod nosem Wichrowski; lecz przybierając wnet spokojność, dodał głośniéj.—Może i tak: wasza chata, wasza prawda! Ja prosty kozak zrosłem w stepach.... Che, che! po waszemu nie umiem, dalibóg nie umiem! Na kułaki, a, to co innego! Z kim zechcecie, choć zaraz...—I tak mówiąc kołysał głową, patrząc ciągle w ziemię.

Na zrobione wezwanie wyrwał się Broniszewski:

— U nas Waszmość nie znajdziesz takich rycerzy, co się biją na kułaki i buławy; ale jeśli łaska przejechać się za Hulajpole, to tam możesz spędzić ochotę.

— Musiałeś Waszmość zaprobować téj juszki, kiedy ci tak w pamięci, odciął Wichrowski.

— O! nasiekłem jak kapusty, tego łajdactwa! Jak pojedziesz, zapytaj Mamaja.

— Któż to ten Mamaj, proszę Waszmości?

— Hajdamaka, który szuka postronka, bo szubienica gotowa. Miałem go już bestyą raz w ręku, ale mi się wymknął.

Na te słowa Wichrowski podniósł głowę, wytrzeszczył oczy i z niewyrażoną mocą wlepił je w oblicze Broniszewskiego. Tak patrzał chwilę, jakby coś chciał przypomnieć z téj twarzy, ale potém roześmiał się i rzekł:

— Jakże to było? proszę nam opowiedzieć, bo to rzecz ciekawa.

— Hm... jak było? zwyczajnie jak ze złodziejami. Czy to z niemi można stoczyć rycerską walkę? Jak zaskoczysz w stajni lub w karczmie, to i dobrze. Dwa lata temu, napadliśmy ich w karczmie pod Olszaną, jak grabili żydów. Nas było dwudziestu, a ich pewnie dwa razy więcéj. Kazałem ostąpić karczmę, a sam we drzwi. Zaraz poznałem tego watażkę. Wąsata psiawiara, plecy jak u kata i nóż w ręku; siedział pośród izby na kufrze. Ja go cap za czuprynę i krzyczę: „Dajcie tu powrozów!" Hultajstwo w nogi, nasi we drzwi i tu powstało takie zamieszanie, że ani szablą, ani strzelbą nic począć nie można. „Puść mnie dziadeczku! puść hołubeczku!" prosi się szelma, ale to zupełnie jak chłop pod rózgami „póki życia, mówi, nie będę." A potém jak czyrknie raptem nożem i odciął czuprynę przy saméj mojéj ręce, schwycił mi z głowy kaszkiet, nałożył na swoją, i jak drapnął, tak ani sposobu... Całéj mojéj wygranéj, żem złapał kilkunastu hultajów i Mamajowi dałem w papę...

Z dzikiém, nieopisaném wrażeniem słuchał Wichrowski Broniszewskiego, i jak gadzina to się ściągał, to rozszerzał cały; lecz na ostatnie słowa porwał się jakby go kto polał ukropem, i uderzywszy kułakiem o stół, krzyknął:

— Łżesz biesów synu! tam ciebie nie było, i taka parszywa ręka jak twoja, jeszcze nie doczekała bić Mamaja po pyskach!

I pierś jego wzdęła się od gniewu, lica gorzały, zdało się że urósł we dwoje. Broniszewski najeżył się jak kot przed brytanem, dobył pałasza i krzyczał:

— Ty mi śmiész zadawać kłamstwo, przybłędo, jakiś tam chamie, tabunniku! ja ciebie nauczę!

Szulc, Żytkiewicz i Poletyło poskoczyli przed Broniszewskiego i krzyczeli przez stół do Wichrowskiego:

— Opamiętaj się szalony człowieku, bo dalipan nie wyjdziesz ztąd cało! — A rządca uciekł do alkierza i wystawiwszy głowę przeze drzwi, piszczał:— Uspokójcie ich, pogódźcie! a to kara boska z tym człowiekiem!—Przestraszone kobiety zamknęły drzwi od swego pokoju: słowem wszczął się powszechny rozruch, a Wichrowski nie zważając już na nic, mając za sobą ścianę a przed sobą stół, stał groźny jak chmura i krzyczał tłukąc kułakiem po stole:—Ja jego zadławię jak kurczę! On, bił Mamaja po pyskach? co tobie roi się?

— Ale zkąd ci przyszło bronić tego hajdamakę?—pytali razem wszyscy.—Co to brat twój, czy swat, czy przyjaciel?

— Co wam do tego!—krzyczał Wichrowski;—ale on łże! on tam nie był!

— Jakże ty wiész że nie był?—krzyknęli zdziwieni i spojrzeli po sobie, a dziwny domysł przebiegł im po głowach.

— Jużciż wiem, kiedy mówię! Tam był towarzysz Czachurski; ale to jego trzymał Mamaj za łeb, nie on Mamaja, i Czachurski palnął go w bok rękojeścią od szabli. Ależ Czachurski to był dąb nie człowiek. Złamawszy szablę, porwał jednego hajdamakę i walił nim po głowach jak kijem... A to, żal się Boże! taka gnida i on mógł bić Mamaja? Toż Mamaj w jednéj ręce zdusiłby cię tak, że nie pozostałoby żadnéj całéj kosteczki!—I żylasta pięść jego zwinęła się konwulsyjnie na stole.

Wichrowski mówił z tak silném przekonaniem, iż Broniszewski zmieszał się i na wyświecone fakta odpowiadał dość tępo. Ci co go bronili przed chwilą, umilkli, zapewne pod wpływem rycerskiego honoru, gardzącego tchórzem i kłamcą. Żytkiewicz odezwał się:

— Panie towarzyszu! mów: czy prawda to czy kłamstwo, bo my za prawdę gotowi cię bronić do upadłego, ale za kłamstwo, wybaczaj.

— Idź waść tamtędy!—rzekł Szulc wpychając go do kobiecéj izby;—nie o tém mówić trzeba teraz, funt tego, o!—Broniszewski niby się opierał, ale wreszcie uległ namowom i ciągle odgrażając się na Wichrowskiego, wyszedł z izby. Z zadrzwi słychać jeszcze było, jak stukał kułakiem o odźwierek i wołał:—Ja nauczę tego hebesa: nie ujdzie on rąk moich! jutro na pałasze, szelma jestem!

Tymczasem pozostali przystąpili do Wichrowskiego i otoczywszy stół dokoła, zapytali:

— Zostaw waszmość spory; zgadzamy się zresztą że masz słuszność i Broniszewski zmyśla; ale powiédzno nam, kto ty sam jesteś, co tak dobrze znasz Mamaja.

Wichrowski błysnął jak wilk oczyma i rzekł:

— Kto jestem? ług mój ojciec, a sicz moja matka! Ja ten, który nalatuje jak piorun, a niknie jak błyskawica!—I zaledwie to wymówił, oparł na stół żylaste pięści, wyskoczył nań w okamgnieniu, dał sążnistego susa ponad głowy przytomnych i wypadł z izby.

Wszystko to było dziełem jednéj chwili. Rządca wyskoczył z alkierza i biegając pomiędzy osłupiałemi widzami téj sceny, wołał:—Gwałtu! gwałtu! to był Mamaj! sam Mamaj! a my go wypuściliśmy!

Broniszewski wypadł ze drzwi drugich od kobiét i machając szerpetyną, krzyczał:

— Gdzie ten hajdamaka! ja go nauczę moresu.... Czemu mi wtedy nie pozwoliliście płatnąć go przez łeb. Ot i macie teraz!

— Co tu robić?— mówili wszyscy.

—Zapewne on jeszcze jest w karczmie, posłać tam kozaków, jeszcze go schwycą.

— Nie samych kozaków—rzekł Żytkiewicz—idźmy wraz z nimi. Kozaków on zwiedzie lub zbije: ale broń zabierzmy z sobą.

I wnet wszyscy wpadli do alkierza, gdzie na ćwiekach wisiały rusznicę i pistolety. Każdy uzbroił się i nabrał ładunków w kieszenie, a Broniszewski wypadł piérwszy i krzyczał otwarłszy drzwi do sieni: —„Hej, kozaki! ludc! warta!"

Nagle rozległ się wystrzał i Broniszewski hrymnął o ziemię, trafiony kulą w piersi, a w tejże chwili, jak woda na zerwane upusty, buchnął tłum ludzi we drzwi, w okamgnieniu napełniając izbę. Straszna to była tłuszcza! Lica ich ogorzałe, wzrok dziki i szukający mordów. Odzież rozmaita: jedni byli w koszulach i zasmolonych szarawarach, drudzy w żupanach, ci znowu w siermięgach, ten bez czapki z zakręconą za ucho czupryną, ów z szeroko rozwartą pazuchą, świecił porosłą piersią; wielu boso, inni w safianowych bótach, ale w podartéj koszuli, z któréj wisiały szmaty i obrzydliwą wykrywały nagość. Niektórzy mieli kontusze z wylotami zawieszone na zupełnie nagiém ciele, a ponad głowami tego straszliwego tłumu widniało kilka kozackich z oseledcami czapek i jeżył się las strzelb, pałaszy, włóczni i kijów. Szlachta zaledwie miała czas wpaść do alkierza i zamknąć drzwi za sobą. Przez drzwi drugie wciągniono kobiety, które krzyczały w niebogłosy, załamywały ręce i mdlały co moment. Byłto chaos trudny do opisania. Najśmielsi potracili głowy i nie wiedzieli co począć. Jeden Żytkiewicz jakby wyolbrzymiał i huknął:

— Bracia! zatarasować drzwi i bronić się do ostatniego! Przedajmy drogo życie nasze i naszych—tu wskazał ręką na ko-

biety i wzrok jego padł na Zosię, bladą, drżącą, z rozplecioną kosą, która przy ogólnym popłochu schwyciwszy ze ściany obraz, padła na kolana, tuliła go do ust i krzyczała nie swoim głosem: „Ratuj nas Matko Najświętsza!".....

Żytkiewiczowi łzy bryznęły z oczu. „Chamy!" ryknął on aż zadrżały szyby u okien i zabrzęczał pałasz od konwulsyjnego ściśnienia rękojeści. I jakby nadludzką ożywiony siłą, porywał komody, stoły, kanapy i parł je ku drzwiom. A tymczasem z drugiéj strony podważone silnemi barkami drzwi zaczynały pękać we wrzeciądzach i lada chwilę miał nastąpić wyłom. Jego męztwo ożywiło wszystkich. Nie strach, nie rozpacz, ale niema zajadłość ścisnęła ich usta. Szulc wytężył szerokie ramiona i opierał się jak mógł parciu z przeciwnéj strony. Wspierał go najenergiczniéj Brzozowski. Kilka palców wychyliło się przez szparę i Brzozowski zgniótł je na miazgę kułakiem; kilka włóczni wytknięto i połamał je w kawałki. Ryknęła rozjadła tłuszcza i połowa jéj wypadła na podwórze. Widocznem było, że postanowiono wedrzeć się przez okna. Żytkiewicz rozkazał wnet kobietom pousiadać w kątach, mężczyzn rozstawił przy oknach z pałaszami i zagasił świecę.

Zaledwie od kilku uderzeń z brzękiem wyleciały szyby i kilka rąk oplotło ramy, gdy silne cięcia pałasza odbiły je i pokaleczeni zbójcy osunęli się na ziemię. W ślad za tém zaczęto strzelać do okien, ciskać włócznie, buławy, nawet kloce. Poletyło wypatrzywszy chwilę, wysuwał garłacza i zmierzywszy gdzie najgęściéj kupił się motłoch, kaleczył go grankulkami. Toż robił Żytkiewicz, a strzał jego zawsze był trafny, gdy kule hajdamaków grzęzły w ściany, nie raniąc nikogo. Dotąd nie mogli poznać oblężeni czy był i gdzie Mamaj, ale gdy attak do okien pozostawał bez skutku, gdy wściekła banda po każdym odporze wyła przekleństwy i groźbą, i już krzyczano, ażeby dom podpalić: nagle zagrzmiał donośny głos watażki:

— Baby biesowe! pięciu Lachów nie możecie dostać rękoma! — I stanąwszy na szczeblu od drabiny znajdującéj się tuż przy oknie, krzyknął:— Lachy! poddajcie się, bo jeśli dostanę was siłą, wyrznę co do duszy, baby nie zostawię na rozpłód!

Po tłuszczy jakby kto powiał milczeniem, tak była ciekawą odpowiedzi. Już młody Brzozowski porwał gwintówkę i biegł odpowiedzieć wystrzałem, gdy Żytkiewicz zatrzymał go za rękę

i wychyliwszy ubieloną starością głowę, odezwał się w ukraińskim języku:

— Panie Mamaju i wy siromy hołtiapaki, a czy pozwolicie wnieść słowo wam do uszu?

— Mów—rzekł Mamaj.—Mów! krzyknęła tłuszcza.

— Ale *cur* nie strzelać aż skończę. Usłuchacie méj rady, dobrze; a nie, jak sobie chcecie.

— Mów, nie będziem strzelać—wołali hajdamaki.

Żytkiewicz natenczas wgramolił się najspokojniéj na okno, dobył rożek z tabaką, wysypał dobrą szczyptę na paznokieć, wciągnął ją uroczyście do nosa i rzekł:

— Ot, teraz można przystąpić i do rozmowy. Jak tam będzie to będzie, a będzie tak, jak Pan Bóg da! Wszak prawda panowie mołodcy? Może ja wywalę języka pod obuchem, a może wy nakiwacie piętami i nam i Mosznom i załopoczecie na bagna i błota, zkąd was wyrzygnęła dzisiaj nieczysta siła. Grzeszni jesteśmy ludzie i jeden tylko Pan Bóg wié jak będzie: otóż tymczasem *spasybi* wam i za tę jednę łaskę.

— Za jaką?—zapytało kilku.

— A ot, żem choć raz jeden niuchnął za waszém pozwoleniem tabaki. Mnie staremu, niuch jeden, to jak wam golnąć kwartę wódki. A z czuba aż ciecze... Ale nie o to tu chodzi. Powiedzcie mi panowie mołodcy, jakiego wy djabła chcecie od nas? Czego drzecie się w okna, z przeproszeniem, jak wściekłe koty? Pomyślałbym że chcecie wódki, ależ wam oczy przecie nie wylazły i widzicie sami, że to nie karczma? Pomyślałbym jeszcze że pieniędzy? ależ sami wiecie dobrze, że co było w skarbcu, toście już zabrali, a przy nas djabeł nic ma ani grosza. Jak was czart wyniesie ztąd jak przyniósł, a biesów żyd nie poborguje, to nie będzie za co kupić ani czarki... Żebym tu zaraz nie wiem kim został po trzykroć, jeśli w tém co mówię, choć na makowe ziarno jest fałszu? I lazą z przeproszeniem, jak te durne owieczki przez przełaz, co to byle jedna skoczyła, za nią wszyscy; a niestało wam oleju pomyśleć: i dla jakiego ja czarta doprawdy drę się na ścianę, jakby najadłszy się blekotu? Tu *kruty ne werty, a nihde prawdy dity!* Przyszliście nie w goście, ale po pieniądze i odzież, bo u was djabli mają i tego i drugiego. A wszakże widzę jak jesteście postrojeni, mnie przecie nie powyłaziły... u tego kat ma czapki, u tamtego butów, a inny jeśliby zdjął koszulę, zjadłby djabła, czyby ją potrafił

wdziać napowrót... Bierzcież tedy sobie to wszystko, bo, jak powiadają, wasza siła, wasza prawda; taj z Bogiem, a nas nie turbujcie.

— Za co wy nas kaleczycie?—odezwał się jeden.

— A żebyś się ty oprażył, wraży synu!—rzekł Żytkiewicz— jakiż ty durny! Czegóż chcesz jeszcze: żebyś lazł w okno po moją głowę a ja ciebie podsadził? A cobyś ty sam robił na mojém miejscu? Ludzie dobrzy i wy gromado, sądźcie sami tę sprawę. Ja z wami gwarzę, a tymczasem krwią u mnie zalewa się serce. Czyż widzieliście kiedy człowieka, któryby swoich nie bronił ruchomości? Była u nas chudobka, była odzież, było kilka groszy majątku: gorzko a ciężko pracował człowiek przez całe życie, nim zebrał się na tę lichotę... Ileżto on nie dospał nocy, jak się pobijał, jeździł, dbał o wszystko! Niechaj, myślał sobie, przydbam, będzie za czém spocząć na starość, żeby nie chodzić z torbą, i będzie może z czego dać wyprawę dzieciom, ażeby nie puścić je między ludzi boso i goło, i żeby nie mówiły złe języki; „wypędził własne dziecko jak psa z podwórza....." I oto taki siroma uzbierał sobie co mógł przy pomocy boskiéj, aż tu Bóg za jego grzechy nasyła nań złych ludzi, którzy mu jednéj godziny zabierają to wszystko.... I zostaje mu tylko jedno dziecko, jego szczęście, jego cała radość i pociecha w tém życiu... Ale zły człowiek chce mu wydrzéć i ten skarb ostatni, bez którego onby sam żyć nie zechciał. Dla złego człowieka, na co mu moje dziecko, krew moja? A dla mnie, to cała pociecha i całe dziś szczęście!... I czegoż tu dziwować się, że on je broni, że zastawia je sobą, jak ta biédna kaczka w oczerecie, co to wylatuje i wabi strzelca i sama nadstawia życie własne, ażeby go tylko odwabić od dzieci. Ot taka to panowie mołodcy dola teraz i nasza! Nie łajcie nas, że bronim się, bo my tém spełniamy zakon Boży; a choć położymy tu głowy nasze, to Bóg miłosierny zgotuje nam żywot wieczny na tamtym świecie.

I stary zasłoniwszy twarz ręką, zaszlochał. Mamaj spuścił głowę i milczał, a tłum już nie odpowiedział groźbami, ale szeptał o czémś pomiędzy sobą. Jeden nawet z bandy, chłopiec w sile wieku, przystojny, barczysty, wysłuchawszy z uwagą Żytkiewicza, zarzucił na ramię janczarkę i rzekł:

— Do ładu ty mówisz stary, jak pop czyta z książki, Bóg z tobą!

— Oj, sokole mój! nie czytam ja z książki ani z głowy— rzekł Żytkiewicz — ale to tak serce mówi przezemnie. Jak by-

łem w twoim wieku, tom ani wiedział o tém, co dziś zawsze stoi mi na myśli! I parobek ze mnie był nie aby jaki; lecz biéda mię zmogła, smutek mię dziś wysuszył! Pobijałem się jeszcze jako tako, ale gdy mi Bóg odebrał syna, co gdzieś jak do wody wpadł w Smile lat temu 13, od tego czasu zupełnie opuściłem ręce. Teraz jestem jak klacz, co u tutejszego diaka: *szczo ubjesz, to ujedesz.* Dalibóg panowie mołodcy, ot tak nieraz oczorcieje życie, że jakby nie żonka i nie dziecko, tobym jeszcze dziś ruszył na Zaporoże. Ale ba! doli koniem nie objedziesz, to urznę czasem *z horia* ośmuchę, skrzepię serce, taj leżę wybałuszywszy oczy, nim przejdzie *zła planeta.*

Żytkiewicz znał doskonale ukraiński język i lud, do którego przemawiał. Jego otwartość, jego żarciki puszczane w obec położenia w jakiém się znajdował, trafiały do przekonania tłuszczy i zmiękczały ich serca.

— Biesów jego czartów Lach — mówili — dobrze, dobrze się bije a jeszcze lepiéj mówi. Panie Mamaju, zostawmy ich, niechaj im *dit'ko*!

Ale wtém przybyła nowa zgraja, która zmieniła stan rzeczy. Byli to więźniowie wypuszczeni przez hajdamaków z kordegardy, którzy uzbroiwszy się w drągi, ziejąc zemstą, biegli rozliczyć się, jak mówili, z rządcą.

— A gdzie ten krzywogłówka, psiawiara! krzyczeli, co nas wodzi jak psów w łańcuchach! Wydawajcieno nam jego i jego żonkę, co to narzuca naszym babom motki! Nie doczekasz więcéj! A no panie Żytkiewiczu, ciągnijno ich tutaj!

Żytkiewicz podtenczas z krwią najzimniejszą zażywał tabakę i milczał, a gdy uspokoił się motłoch, odezwał się:

— *Zdrowi buły! słychom słychaty, w wiczy wydaty; czy po woli, czy po newoli?*

— *Po newoli* Lasze! dawaj nam rządcę — krzyknął jakiś oberwaniec podsuwając się najbliżéj.

— Ouwa! jakiś ty prędki!

— Wydawj psiawiaro, bo i tobie dostanie się!

— A durniu ty, durniu! — rzekł Żytkiewicz — nie umiész odezwać się do ludzi, a chcesz im rozkazywać. Na biédęż przyszło Mamajowi, kiedy takie swinopasy robią przy nim co zechcą! Czy wy jego, panie Mamaju, doprawdy zrobili watażką?

— Czort wié zkąd się nabrała ta hołota?—rzekł Mamaj.

— A widzisz! odparł Żytkiewicz—ot i wyszło na moje, że ci brak piątéj klepki w głowie. Cóż ty tu za fanaberya, żebyś rozkazywał? Co ty masz do rządcy? powiédz piérwéj, a potém jak gromada osądzi, to i wydam.

— A za co on nas trzymał w kajdanach, za co nas siekł rózgami?

— *Na seło duryty* Hryciu niebože! Ot jakbyś tak zaczął *brechać* przed nimi, a mnie tu nie było, pomyśleliby, że prawda i zgubiliby człowieka Bóg wié za co. A za co to on ciebie okuł, *hołubczyku*? Boś ukradł u popa krowę i sprzedał ją w Czerkasach jak swoję. A za co to on dał tobie przed karczmą pięćdziesiąt? Boś otworzył bez klucza monasterski młynek, i jak mielnik pozabierałeś rozmiar, któryś potém przepił u żyda na Majdanówce.

— Ona na żony nasze ponarzucała duże talki! — wrzeszczeli inni.

— Łżecie ludzie dobrzy! niech to was nie obraża, że tak mówię—odparł Żytkiewicz.—A żeby i tak było, to któż za nitkę gubi duszę? A jak wy przepijecie ostatnią koszulę w szynku, to nic? a jak wam każą naprząść zbytni poczynek, to zaraz do noża? A czyż to u nas tylko przędą talki i robią płótna?—to na całym świecie! Nie za nas stało, nie za nas przestanie! Bo, jak to mówią, *wowk dere kozu, a koza łozu, a łozu czort.* Ty *wraży* synu cudze widzisz pod lasem, a swego nie widzisz pod nosem. Jak dopadłeś bułławy, a widzisz że za plecyma jest pomoc, to ty zuch; a tego nie pamiętasz, jak ciebie żydzi bili w Międzyrzecu na jarmarku? Co ty za kozak? Takich ja dostanę siedmiu za jednę cébulę!

— Czy doprawdy bito cię Hryćku na jarmarku?—zapytali niektórzy z bandy Mamaja. Hryćko poskrobał się w głowę i rzekł zakłopotany:—Biłem i ja ich dobrze...

— Owa! — odezwał się jakiś brodaty hajdamaka — to brzydko! W naszém towarzystwie, jeszcze Bóg uchował, takich onuczek nie ma.

— Ale to jeszcze pół biédy: to gorsza panowie mołodcy, że on jadł prosięcinę w *Pilipówkę*.—Na to wyznanie powstał szmer powszechny.—Kto? on? nie pościł w Pilipówkę? Ach ty heretyku jeden! łacinniku! — I w téjże chwili posypały się nań rzęsiste kułaki. Hryćko widząc, że to nie przelewki, kopnął

się z całéj siły i znikł w wiśniowym sadzie, który tuż był przy domie.

Wtenczas powstał Mamaj, rozesłał bandę po okolicznych domach, rozkazując im pakować zdobycz na konie i wozy; i po chwili, gdy z całéj téj zgrai nie pozostało ani duszy, rzekł do Żytkiewicza:

— A co Lasze? wyłgałeś się przed moimi chłopcami, teraz mnie wysłuchaj.

— I owszem—odparł Żytkiewicz—byleś z dobrém szedł słowem.

— Jak tam sobie uważasz: ze złém czy z dobrém—odpowiedział Mamaj—oddaj mi swą dziéwkę.

— Oj, hoj!—westchnął Żytkiewicz—nic z tego nie będzie!

— A ja mówię że będzie—rzekł rozbójnik i pogroził kułakiem.

— Dalibóg nie dam!

— Ej pożałujesz!

— Ha! *raz maty rodyła, raz umiraty!* Pierwéj mnie zamordujesz Mamaju, a potém już jak tam da Pan Bóg!... Ale żebym ja, póki żyw, oddał dobrowolnie moje jedyne dziecko hajdamace, zaprzepaścił jego młodość: nie, tego nie będzie!— dodał z oburzeniem—dalibóg tak nie będzie Mamaju! Czyż ty myślisz, że jabym sam temu mojemu dziecku nie odciął pierwéj u proga głowy, niżbym je miał wydać na grzéch taki?....

— A ja ci powiadam—rzekł Mamaj—że i ciebie djabli nie wezmą i twoja dziéwka taki będzie moją! Obaczysz, biesów Lasze! Wspomnisz moje słowo!—I grożąc mu pięścią, odchodził.

Żytkiewicz patrzał nań w milczeniu, łzy mu zakręciły się w oczach i odezwał się:

— Ej Mamaju, opamiętaj się! opamiętaj się póki czas jeszcze! Czyż ty myślisz, że ta krew niewinna, którą przelewasz, nie woła tam o pomstę do Boga? Nie Bóg to ci dał prawo wydzierania życia, któregoś nie dał, ale czart ciągnie cię od zbrodni na zbrodnię.

Mamaj zatrzymał się, pomyślał chwilę i rzekł:

— Późno już Lasze! to darmo! Trzeba takiego jak ty durnia, żeby to mówił, a ja byłbym drugim, żebym cię posłuchał. Ale wiész co: zamieniajmy się?

— Czém?—odrzekł zdziwiony Żytkiewicz.

— Ja ci oddam syna twego, jeśli mi dasz córkę...

— Matko niebieska!—krzyknął Żytkiewicz załamując ręce.—Mój syn u ciebie! o Boże! o Boże! za co mię tak karzesz?— I pochwyciwszy twarz w dłonie, zwiesił głowę na piersi i w głos zaszlochał. Smutnyto był płacz starca: z tych chrypłych łkań dobywała się zbolała dusza, a oczy jakby krwią nie łzami ciec miały. Nagle odjął dłonie, przetarł oczy i szukając wzrokiem postaci Mamaja, krzyczał doń rozpaczliwym głosem:

— Mamaju, serce, hołubczyku! wróć się, dobij mnie, zrób mi tę ostatnią przysługę, a Bóg ci przebaczy!..

Mamaj widział tę boleść starca i ze ścieśnionemi ustami, nawiesiwszy czarne, rzęsne brwi nad oczy, patrzał w niego jak w tęczę. Potém znikł nagle w cieniach nocy, jak przepada zły duch zaprowadziwszy w obłęd podróżnika.

Tymczasem dzieło rabunku i zniszczenia w szerokie wybuchnęło rozmiary. Rozsypane bandy bez oporu napadały na domy, grabiły je, a gdzieby najmniejszy stawiono opór, dołączały mordy. Że w owe czasy był na Ukrainie powszechny zwyczaj zakopywania pieniędzy, więc mało kto z zamożniejszych mieszkańców nie uległ męczarniom, któremi zmuszano ich do wykrycia skarbów. Tłuszcza bezbożna nie przepuściła cerkwiom nawet: słowem w przeciągu kilku godzin, domy były ograbione, mieszkańcy wygnani, a krzyki, płacz, jęki po całém rozlegały się mieście. Przebudzeni wieśniacy biegli na rynek, skupiali się w tłumy, i z przerażeniem śledzili za zbójcami; a pomimo że zbiegło się ich dużo, nikt nie odważył się stawić im opór, zasłonić ginących... Kilka palących się karczem oświecało jaskrawą łuną ten obraz, którego połowa niemniéj straszliwa pogrążona była w cieniach nocy.

Zabrane rzeczy i pieniądze znoszono ze wszech stron na rynek i składano na wozy. Już cały ten obóz gotów był ruszyć z miejsca, gdy na spienionym koniu zleciał Mamaj. Straszny on był jak burzliwa chmura: skinął ręką uzbrojoną w nahaj, i wnetże cały szereg wozów pociągnął drogą ku Dnieprowi. Lecz nie wszyscy hajdamacy stanęli w gotowości do wyjścia: za pogorzeliskami zrabowanych domów i karczem, wielu z tych hultai ucztowali w najlepsze, bili się między sobą lub zabawiali męczeniem żydziąt. Przebiegł tamtędy watażka i nahajem pędził ich przed sobą do obozu. Gdy nakoniec rynek pozostał pustym i tylko snuł się tłum ludu gwarzącego głucho pomiędzy sobą, nagle wpadł do środka ich Mamaj, i osadziwszy konia, tak odezwał się:

— Ludzie dobrzy! dziękuję wam za ugoszczenie! Teraz, spodziewam się, popamiętacie ruski miesiąc Mamaja! Dobrze wam tak wraże syny! Myśleliście już, że za Smiłą nie znajdę was nigdy, że was obroni milicya i gubernator? Pokłońcie się odemnie tym durniom i powiédzcie, że będę u nich znowu w goście. Dam ja wam nie tak jeszcze!... Chodzicie co roku po sól, po rybę, handlujecie z siczą, zarabiacie u nas pieniądze i mierzycie czapkami karbowańce, a żaden szelma nie zajrzał do mnie choćby ze zwyczaju, z ralcem i palanicą? Cóż to: nie słyszeliście nigdy w stepach o Mamaju? czyż nie wiedzieliście kto panuje nad Ingułem i Suhakleją, że ani jednéj parowicy nie przepuściłbym jeślibym zechciał? Ale gdzie tam! wiecie wy dobrze wszystko, ale myśleliście: co nam ten watażka? Mamy świadectwo od gubernatora do koszowego i naczelników serbskich i ani go znać chcemy!... Ja was nauczę biesowe dzieci!—dodał potrząsając nahajem nad tłumem.—Kramarze! świnopasy! lichwiarze! pijawki chrzczonego ludu! wy do niczego! Umiecie tylko przystroić się w nowy żupan, w safianowe buty, siwą barankową czapkę nasunąć na ośle uszy, w monista i dukacze poubierać swe baby, i tak chodzić po ucztach, po bankietach! A parobcy? — dodał, przedrzeźniając ich ruchy,—wielki jak dąb, a jak noc, każdy głupi! Jé szelma za czterech, a w robocie wyręcza się najmytem. Na wieczornicę do Horpyny, na doświtki do Paraski, to gotów! Do pazuchy wić drogę, a do siczy żaden psiawiara ani uchem nie mrugnie. A jak się upije to szczenie, to zaraz czapkę na bakier i krzyczy: ja kozak! Zaporożec! Jaki ty durniu Zaporożec? ty na podeszwę nie zdałbyś się dla Zaporożca! Onucza a nie kozak!

Wszystko to Mamaj mówił grzmiącym głosem, który do martwéj bezwładności przyprowadził słuchaczy. Pozdejmowano czapki i słuchano go w zupełném uciszeniu, a na kim zatrzymywał się groźny wzrok watażki, ten zbladł jak ściana.

— Słuchajcież co wam powiem—dodał po chwili—nie pogardzajcie Koszem i poznawajcie się z nami, bo niech nie będę Mamajem, jeśli was na szydło i rzemyk nie sprowadzę! A kto prawdziwy kozak, w kim gra krew mołojca, kto chce zarobić na sławę kozaczeńka nie tu za piecem i nie przed babami, ale tam, u nas, za Tilihułem: ten niech zaraz po św. Jerzym rusza do nas! Cóż lepiéj czy gęsi pasać na lewadzie, albo w piecach palić u żydów, czy służyć w koszu?—I nie czekając odpowiedzi, skręcił konia na miejscu, zaciął go nahajem i ruszył z kopyta.

Opowiem teraz jakim sposobem dokonany został ów napad. Mamaj przypłynął do przystani Sokirnéj na bajdakach. Tam w zaroślach dnieprowego ługu skrył statki, a sam w kilka koni przybył wśród białego dnia do Moszen. Stanąwszy w karczmie na rynku, opowiedział się ciekawemu żydowstwu, że jest szlachcicem Wichrowskim i prowadzi na sprzedaż kilkadziesiąt koni do Korsunia, Łysianki i Hulajpola. Kozakom zaś swoim rozkazał zahulać wieczorem przed karczmą i spoić straż miejscową. O zmroku przez bagna Olchowczyka mieli podstąpić skrycie resztujący kozacy, i następnie nasamprzód otoczyć dom rządcy właśnie w tę samą porę, gdy Mamaj tam znajdować się będzie. Stało się zupełnie tak jak rozporządził Mamaj, i gdy ten pokłóciwszy się z Broniszewskim, wypadł do sieni, już banda jego otoczyła dom i czeladź była powiązaną co do duszy.

Nazajutrz po opisanym napadzie, kiedy mieszkańcy po dniu obejrzeli dzieło zniszczenia, Moszny przedstawiały ruinę i pustkowie. Dotlewały jeszcze karczmy i domy, leżały na gruzach trupy, ściany świeciły pobitemi oknami, na rynku i po obejściach walały się domowe sprzęty, wyły psy, i załamując ręce, łkając przeraźliwie, wałęsały się kobiety. Biédny proboszcz padł pod nożem zbójców, a dom Żytkiewicza, jak wiele innych, świecił ruderą i pustkowiem.

Cóż działo się z Zosią? Biédna dziewczyna, co jeszcze wczoraj pogodném czołem, wesołém okiem zachwycała wszystkich, po okropnéj nocy zapadła w gorączkę i leżała w domu rządcy ze spalonemi usty, obłąkanym wzrokiem, płomienną twarzą. I pozostałe kobiety były albo chore, albo tak opadłe na siłach, tak zmieszane wypadkiem, iż wzajemnéj pomocy nieść nie mogły. Żytkiewicz tak dotąd przytomny, odważny, od otrzymania okropnéj wiadomości o synie z ust Mamaja, chodził jak nie swój, był jak zwarzony. Poletyło osiodłał konia i udał się do Czerkas z wiadomością o zdarzonym napadzie, i z prośbą o pomoc; rządca bojaźliwie wyglądał przez okna, obawiając się wyjść na miasto, i Szulc tylko z Brzozowskim krzątali się przytomniéj.

Tymczasem Moszny z każdym dniem oczyszczały się z ruder i pogorzelisk. Ludzie jak mrówki zaczęli się krzątać na zburzoném mrowisku, lepić domki, znosić sprzęty, chować pobitych. Nastąpiły dnie pogodne i ciepłe. Trawy, zieloność, kwiecie pokryły wszystko, i Moszny znów wyglądały jak wianek

z łona lasów. Każdy dzień dopełniał lub odmieniał cudne obrazki natury. Naleciały ptaki, drzewa zakwitły i pooblewały jakby mlekiem rozdoły, gdzie były sady. Ukraina rosła ku słońcu, stroiła się jak dziewczę do ślubu. Wszystko powoli wchodziło w dawne karby: pogorzeliska odbudowały się, Kwiatkiewicz ujął sprężyście naruszoną władzę, Poletyło samowładnie panował nad lasem, Szulc po dawnemu zaprowadzał rejestra i rachunki: jednego tylko brakło Broniszewskiego, i jeden jego domek stał dotąd opuszczony, zrujnowany, z oknami zabitemi deskami i rozłamanym płotem. Ale gdy tak wszyscy pod wpływem wiosny powracali do dawnego życia i zatrudnień, jeden tylko Żytkiewicz, uwielbiany, podziwiany od wszystkich, nie podzielał ogólnéj spokojności: był zawsze milczący i zamyślony. Wyjeżdżał on razy kilka konno z Brzozowskim, dokąd? nie wiadomo. Potém wyjechał młody Brzozowski i nie wrócił, a nareszcie, jednéj nocy znikł i Żytkiewicz z żoną i córką. Dokąd wyjechał?—nikt w Mosznach nie wiedział. Stary bywalec znał dobrze przebiegłość hajdamaków i przewidywał, że Mamaj nie chcąc wydzierać gwałtem córki z objęć ojca, wykraść ją postanowił. Dla watażki mającego taką władzę, środki i szpiegów, nic nad to nie było łatwiejszego. Owoż zabezpieczając się od nowego wypadku, Żytkiewicz zemknął, ale tak, że o ucieczce jego nikt nie wiedział, ani mógł powziąć żadnego śladu.

Ale nas interesują losy téj ładnéj dziewczynki, o ślicznych jéj, pełnych wyrazu i uczucia oczach, o zachwycającym rysunku twarzyczki, o giętkich formach jéj postaci, jakby przeznaczonéj być emblemą powoju. Mieliśmy niedawno sposobność powziąć ideę z wnuczki, tak dziś kwitnącéj jak ona kwitła niegdyś, a więc śledźmy ją bodajby przez najczarniejsze bory, bodajby nas jak rusałka miała gdzieś zaprowadzić w topiele. Cóż postanowił stary? Oto razu jednego późno już wieczorem, gdy Moszny spały i tylko w sadach zalewały się śpiewem słowiki, i tylko księżyc bawił się z chmurami na szczycie błękitu, niby rycerz, to rozwijając, to znowu zwijając fałdy płaszcza, to spuszczając, to podnosząc przyłbicę; Żytkiewicz rozkazał żonie i córce przebrać się po chłopsku, sam narzucił na ramiona świtę, na uszy nacisnął kozacką czapkę, zaprzągł do wózka parę koni i wyjechał z niemi precz z miasteczka. Jechał najprzód przez bory na monasterski młynek który na Irdyniu, potém przebierał

się manowcami przez step Ruskopolański, i jeszcze świtać nie zaczęło, gdy zbliżył się do pisarskiéj grobli na Taśminie. Tu droga stała się nierówną, pełną wybojów: pozsiadali więc wszyscy i szli piechotą. Przebywszy groblę, skierowali się na prawo i już świtem przejechali Hulajgród, a ztamtąd znowu zawrócili na lewo i zagłębili się w lasy, po ledwo udeptanéj drożynie. Przez cały czas téj nocnéj podróży nigdzie żywéj nie spotkali duszy. Żytkiewicz był milczący, staruszka szeptała pacierze, a Zosia w świtce, w białéj wyszywanéj koszuli, ze wstążkami trzepoczącemi się u głowy i monistami na szyi, z wyrazem ciekawości w oczach i zachwyceniem w piersi, wpatrywała się w obrazki nocnéj natury, przeglądała z trwogą tajemną milczące przydrożne sosny, słuchała z zajęciem szelestu traw i kwiecia pod kołami toczącego się wózka, to znowu zadumana bujała po gwiaździstém niebie. A że to młodéj główce jak Zosia, tysiąc zawsze marzy się obrazków: to nieraz dziwiąc się swemu przeistoczeniu, opierała bródkę na łonie i przypatrując się rysunkowi własnego biustu, myślała: żebym téż ja ot w tym ubiorze pokazała się kiedy u rządcy?... oto byłoby śmiechu!... Ciocia zarazby krzyknęła: fe! chłopka aspanna!... rozpusta! jak mamę kocham rozpusta!... A Szulc zarazby w koperczaki!... Ale doprawdy, że w tych wstążkach musi mnie być do twarzy?... Moja Hanna jakby mię obaczyła teraz, jak mamcie kocham nie poznałaby!... Ot tak przeszłaby bliziutko i przywitała się jak z cudzą.... Ażebym to ja poszła na ulicę?.... parobcy hurmem za dziewczyną: zkąd ona? z Kumejek... Moja cioteczna siostra.... przyszła w goście na święta.... Aj Hanno hołubko! uciekajmy ztąd, bo jak dowié się mama!... Idę sobie i śpiewam... Hrycia? nie, nie Hrycia—śpiewam sobie.... *oj tam na hori, tam stojały malari, malowały, rysowały, biłe łyczko minił*... aż tu brzęk, brzęk... kto idzie? (roześmiała się i zakryła twarz rączką?) Hanno, duszko, ja schowam się za ciebie.... Jak się masz Hanno? *Zdorowi buły!*—a czy pan w domu? w domu. A panna? w domu.... Aj.... a to co za dziewczyna z tobą?—moja cioteczna siostra... Handzia?... nie, nie Handzia; Marusia.... tak lepiéj.... Aj.... patrzy mi się w oczy i chce zatrzymać się: umrę jak tylko dotknie się.... Paniczu! het—odczepcie się!... Kto to był Hanno duszko? Alboż panna nie zna: oto ładnie! Brzozowski.....

Te swawolne marzenia rozkołysały młodą główkę do tego stopnia, iż doprawdy przywidziało się dziewczęciu, że ją spotkał młody Brzozowski; zaczerwieniła się więc jak pons, a oczy ledwie nie bryznęły łzami... Lecz jakież było jéj zdziwienie, gdy odsłaniając twarzyczkę zakrytą obiema rączkami, postrzegła istotnie Brzozowskiego przed sobą!...

Zkądże się tu wziął Brzozowski? zapytacie. Stary Żytkiewicz długo przemyśliwał nad tém, gdzieby skryć Zosię? Na Wołyń odwozić jéj nie chciał: to zadaleko ciągnąć się z kobietami. Do miasta któregokolwiek z pogranicznych równie nie zgadzał się, będąc tego przekonania, że zabezpieczając dziewczynę od hajdamaków, narazi ją na wiele innych niebezpieczeństw, nie tak może strasznych, lecz niemniéj opłakanych w skutkach. W ogólności Żytkiewicz nie podzielał zdania tych rodziców, którzy dorosłe córeczki rozwożą po bankietach, jarmarkach i odpustach, ażeby do wszystkich przechodzących wyszczerzały ząbki. Stary rozumiał, że jak zabrzęczy trzosem, to chłopcy Bóg wié zkąd jak dobre gończaki, zwietrzą zdobycz; a jak obaczą Zosię, to wybredzać nie będą, bo także nie mniéj warta jak złoto. Więc przypomniał sobie starego Brzozowskiego, który już od lat kilkunastu mieszka samotny w nadtaśmińskim futorze, znał jego pustelniczą ustroń i wiedział, że tam tylko zaglądają ptaki i hodują się pszczoły, a nikt z ludzi drogi do jego futoru nawet nie zna. Otóż postanowił na czas jakiś tam odwieźć babę swoję i córkę, a że z myśli swéj zwierzył się młodemu towarzyszowi, którego pokochał jak syna, wiemy tedy teraz zkąd tak wypadło, iż wśród tych głuchych lasów spotkała Zosia Brzozowskiego.

Żeby Zosia tak zamarzyła gdzieś samotna i potém nagle jak w téj chwili zjawił się przed nią Brzozowski, to już nie wiém doprawdy, czyby nie zgorzała od zmieszania i wstydu; szczęściem pomogła jéj obecność rodziców, i nim się on powitał a rozmówił z niemi, ona tymczasem miała czas ochłonąć cokolwiek i zebrać rozproszone myśli. Więc oboje Żytkiewiczostwo i Zosia pozsiadali z wózka i już szli razem do futoru. Ale cóż to się działo z biednym chłopcem, ile razy spojrzał na Zosię!.. Jakże ona ładną była w jego oczach w tym ukraińskim ubiorze! Ile razy zbliżał się do niéj i zaczynał rozmowę, tylekroć zapominał się do tego stopnia, że już Zosia postrzegła to zmieszanie i śmiać się z niego zaczęła serdecznie. Przyszli nakoniec do

futora. Było to ogród duży na pochyłości góry, otoczony jak murem, zieloną ścianą lasu. Biała, długa chata, pokryta trzciną, stała przy wjeździe; w głębi widniały liczne szeregi ulów, a bzy, róże i kalina rozkwitały przed oknami dokoła. Od progu chaty rozbiegały się dwa sznureczki udeptanych ścieżek: jedna ginęła pod konarami drzew owocowych w głębi sadu; druga u dołu w łozach, którędy chodzono do krynicy. Jak się ta ustroń podobała dziewczynie! Jak tu wszędzie było ładnie, a cicho i czysto, i zielono: niby domek przystrojony umyślnie na Zielone Święta! Jak tylko zaszczekały psy, zaraz wyszedł stary Brzozowski, zupełnie jak pasiecznik ukraiński, o białych włosach, długiéj brodzie, w płóciennéj koszuli, przetykanéj dokoła pazuchy czerwoną nicią, i powitawszy gości, zaprowadził ich do świetlicy.

Oboje Żytkiewiczostwo znali oddawna starego Brzozowskiego, lecz nie w tym stanie jak dzisiaj. Był on rodem z Wielkopolski, pochodził z zamożnéj familii i młodość swą przepędził w Warszawie, gdzie lat kilkanaście służył wojskowo towarzyszem znaku pancernego. Ale gdy król częściéj przesiadywał w Dreznie jak w Warszawie, a minister Brühl wichrzył Polską i ujadał się z panami; Brzozowski zniechęcił Warszawę i pragnąc czynniejsze prowadzić życie, prosił o zaliczenie go do pocztu komenderującego się na Ukrainę, chociaż z regestru kolej na niego nie wypadała. Tu wałęsał się po okolicznych miastach, a choć mu po dawnemu było przykro, przynajmniéj kontent był z tego, że marsze i wojna urozmaicały mu życie. A gdy następowała zima, zwykle zjeżdżał do Smiły i tu z leśniczym szlachcicem Bujalskim, zawołanym myśliwym, całe dni przepędzał na łowach. Ten Bujalski był to dziwacznego charakteru człowiek: dobry, rozsądny, przyjacielski, ale to póki trzeźwy. Jeden Brzozowski miał nad nim przewagę, lecz i ten nie mogąc znosić dłużéj brzydkich skutków nałogu przyjaciela, które od niejakiego czasu, bez żadnéj widocznéj przyczyny, przybrały niebezpieczny charakter: przeniósł się nakoniec na mieszkanie do osobnego domu. A miał Bujalski w domu swym siostrzenicę Jadwisię, sierotę, dziewczynę natenczas lat ośmnastu, którą wychował od dzieciństwa, ubogą, potulną ale ładną. Otóż razu jednego, podczas nocy, stuka ktoś do okiennic Brzozowskiego i woła o ratunek. Byłato owa sierota, któréj jak

tylko otworzył drzwi Brzozowski, wpadła do izby zmieniona, blada, zalewając się łzami, w podartéj odzieży z rozpuszczonemi włosy. Brzozowski domyślał się zaraz, że Bujalski musiał się upić i swoim zwyczajem awanturuje w domu; ale jakże został zdziwiony, gdy biedna dziewczyna upadła mu do nóg błagając, ażeby ją zasłonił od napaści wuja, który oddawna goreje ku niéj występną miłością, i pijany zagraża śmiercią jeśli się opierać będzie dłużéj. Jeszcze nie skończyła wyznania, gdy wtém otwarły się drzwi gwałtownie, i Bujalski z obłąkaném wzrokiem, z fuzyą w ręku wpadł do izby. Postrzegłszy dziewczynę leżącą u stóp Brzozowskiego, przywidziało się nieszczęśliwemu, że on jest jego rywalem, i zemsta wściekła zaślepiła w nim przytomność do reszty... Na szczęście wystrzał był chybny, ale Bujalski padł bez zmysłów na ziemię i od tego czasu stracił już je nazawsze. W cierpieniach szaleństwa żył jeszcze blizko roku, a biédne dziéwczę pozostało nakoniec samo jedno na świecie, bez opieki i sposobu do życia. Od tego wypadku, który tak dziwnie wplątał się w losy Brzozowskiego, datują się i jego cierpienia. Nie poczuwając się bynajmniéj do winy, nie kochając nigdy miłością kochanka biednéj sieroty, nie mógł on wszakże patrzeć bez współczucia na jéj obecne położenie i postanowił zająć się jéj losem. Kupił więc dla niéj dworek w Smile, ogłosił ile daje posagu, i starał się, by ją wydać za mąż. Zamiarom tego szlachetnego człowieka odpowiadało jedynie życzenie najszczersze uszczęśliwienia sieroty, ale ludzie nie tak sądzili o tém. Urosły baśni oniesławiające dziewczynę. Mówiono, że ta chytra istota służyła za przedmiot miłości dla obydwóch, że oszukiwała ich kolejno, i że w skutek wykrycia miłosnych jéj stosunków z Brzozowskim, nastąpiła nakoniec owa okropna scena w domu Brzozowskiego, która razem zgotowała opłakaną śmierć leśniczego. Tyloma zbrodniami splamiono czoło niewinnéj Jadwisi, że opieka Brzozowskiego nietylko jéj pomódz nie mogła, ale owszem utwierdzała wszystkich w powszechnie powziętém mniemaniu. Jeden tylko Brzozowski nie wiedział o niczém i dziwił się, czemu nikt z okolicznéj szlachty nie stara się o jéj rękę?

Zdarzyło się, iż Brzozowski dla interesów familijnych wyjechał do Polski. Sierota żegnała go ze łzami, prosiła, żeby o niéj nie zapomniał: on, który jedyną pociechą, jedyném jéj szczęściem pozostał dziś na świecie. Tęskno było Brzozow-

skiemu gdy opuszczał Ukrainę i piérwszy raz uczuł, jak był przywiązany do sieroty. Ale gdy znalazł się w kole familijném nie mógł nie postrzedz, że go wszyscy krewni powitali zimno. Jakież było jego zdziwienie, gdy nakoniec w ogólném ich zebraniu zaczęto mu wymawiać, że rzuca zakałę na ród ich dotąd nieposzlakowany w cnotach, zawiązawszy występne stosunki z jakąś tam rozpustnicą.... Brzozowski o ile szlachetny, o tyle był popędliwy i zrażający się. Na oskarżenie, które go przejęło najżywszém oburzeniem, wybuchnął gniewem, zbeształ wszystkich, zerwał ostatecznie z familią i ani chcąc więcéj mówić z nikim, sprzedał swoje dobra i wyjechał napowrót na Ukrainę. Ale i tu nie mógł spotykać obojętnie ludzi, którzy tak podle targnęli się na jego i sieroty sławę. Widział zawiązaną na wieki jéj przyszłość, widział niestartą plamę, którą naznaczono niewinnie dziewczyny czoło, i to go bolało najbardziéj. Skutkiem téj walki wewnętrznéj było ostateczne odosobnienie się od świata i pogarda ludzi. Nakoniec rzekł sobie: sprawdzę ich potwarz, ale uszczęśliwię sierotę, i ten czyn powróci mi szczęście i spokój, których już nie znajdę na świecie!... Pójdźmy oniesławiona, biédna dziewczyno przed ołtarz Boga, gdzie zaprzysięgę ci miłość o którą mię posądzili ludzie!..

Wnet po ślubie, Brzozowski kupił wioskę w Bohusławszczyźnie, i przeniósł się do niéj na mieszkanie. Jak to zwykle bywa z sądem ludzkim, znaleźli się potém tacy, którzy zaprzeczyli rozsianym plotkom i dawali to poznać Brzozowskiemu w nadziei, że pogodzi się ze światem; ale on tak się czuł szczęśliwym w swém odosobnieniu, tak był spokojny na duszy i zadowolniony ze szlachetnego czynu, że ani chciał słyszéć o tém. Po piętnastu latach umarła mu żona, a pozostał syn. Stary oddał go do szkół, potém do wojska, a sam znudziwszy się światem do reszty, odprzedał wioskę, i oto już rok piąty mieszka w tym pustelniczym futorze, gdzie go poznaliśmy dzisiaj.

Życie starego Brzozowskiego było wiadomém i Zosi z opowiadania ojca. Z podwójném więc zajęciem patrzała ona na pustelnika i jego siedzibę, po któréj oprowadzał ją młody Brzozowski. Jakże ona tego pamiętnego dnia była wesołą i szczęśliwą! jakże została uradowaną dowiedziawszy się, że z matką pozostanie tu na miesiąc, gdy tymczasem ojciec, w towarzystwie młodego Brzozowskiego, pojadą gdzieś w stepy, na Zaporoże, szukać syna. Jeszcześ to Zosia, pamiętna przestróg ciotki

i mamy, choć kochała młodego towarzysza, to w tak wielkim sekrecie, że bodaj czy rąbek własnéj jéj sukienki drżąc od wzruszenia na piersi, wiedział o tém; ale od czasu jak ojciec pokochał go wyraźnie, jak zaczęła przy niéj chwalić go mama, jak nakoniec przyjechali na futor do starego i tu dowiedziała się Zosia, że Stanisław postanowił koniecznie towarzyszyć jéj ojcu, pomimo jego oporu i namowy żeby pozostał w domu, i widziała choć sekretnie, jak ojcu jej łzy zakręciły się w oczach, i jak on ucałował go serdecznie w głowę: to już pomyślała sobie w duchu: czemużbym ja nie miała dać poznać temu biédnemu chłopczynie, że go także kocham? I czułe jéj serduszko tak się użaliło nad nim, że ledwie nie zapłakała, myśląc: jaki téż-to on biédny, i co to on przezemnie wycierpiéć musiał!...

A gdy rozeszli się do snu, po tym dniu, jednym z najszczęśliwszych w ich życiu, Zosia poddała się marzeniom, i, uręczam was, przemarzyła to wszystko, co nasz Bohdan podsłuchał przy krosienkach. Tak samo jechał do niéj wojak, tak brzęczał ostrogą i szablą, tak się kłaniał, tak całował różyczkę we włosach... tak mu jéj broniła ona, aż obudzała się z tych marzeń z sercem, które zaczynało bić silnie jak z przestrachu albo po swawoli... A on? on marzył znowu po swojemu: to całował rączkę dziewczyny, to leżał u nóg ojca, to muskał wąsik, i oblicze przybierało dumny wyraz ciotecznego pana Paska.

Jeśli na wieki świat mi zawiąże,
To się nasrożę,
Dmuchnę mu pod nos: ej mości książę!
I w Zaporoże...

Nazajutrz, gdy się Stanisław ze starym Żytkiewiczem wybierali w drogę, Zosia była smutną i miała zapłakane oczy. Dobrze, że choć ojciec jedzie także, myślała w duchu; a to, jak mamę kocham, umarłabym ze wstydu, jeśliby poznano że płakałam!—Kogo żal pannie?—Jużciż tatka! a to byłaby biéda!—Kogo żal pannie?—Stasia!... a czuję, że płakałabym tak samo jak teraz... Gdy tak sobie dumała w izdebce, a starzy krzątali się w obejściu, wszedł Stanisław; a że biédny chłopiec niemniej się dręczył, bo kochał tak Zosię, że omal mu nie rozpadało się serce: więc oboje znalazłszy się sami, zmieszali się tém bardziéj, i ani słowa przemówić do siebie nie mogli.

— Kiedyż pan Stanisław wyjeżdża? — zapytała nakoniec Zosia.

— Wieczorem, panno Zofio.

— Dokądże to jedziecie?

— Do siczy Zaporozkiéj.

— Nie uwierzysz panie Stanisławie, jak jestem niespokojną o was... Ten straszny rozbójnik ciągle mi staje na myśli. Opiekuj się tam panie Stanisławie moim tatkiem... tylko i sam bądź ostrożny.

— Daje słowo pannie Zofii, że w razie potrzeby życie moje położę za niego.

— Ach na miłość Boską! na co pan Stanisław tak się zaklina strasznie! Ja wierzę zupełnie; ale grzéch wspominać takie słowa.

— Nie grzéch panno Zofio, bo w takiéj podróży może się zdarzyć wszystko. Ale przypuszczając, że mię zabiją, że gdzieś zginę w tych hajdamackich stepach, to i cóż potém?—dodał patrząc na spuszczone oczy Zosi—trzy kukułki nie przylecą nawet na moję mogiłę, jak śpiewają chłopi w dumce, bo nie mam ani matki, ani siostrzyczki, ani kochanki...

Zosia spojrzała na Brzozowskiego oczami całemi we łzach, i nie mogąc owładnąć wzruszeniem, spuściła je prędko ku ziemi, a łzy ciche kapały na robotę, którą trzymała w ręce.

— Panna Zofia płacze—rzekł zmieszany Stanisław.

Na to zapytanie biédna dziewczyna już nie mogła pokonać siebie i zakrywając chustką lice, zapłakała i rzekła:

— Bo téż pan Stanisław, jak mamę kocham, Bóg wié co plecie! Wstydź się pan—dodała, tupnąwszy nóżką. I płakała szczerze i dąsała się, i nakoniec śmiać się zaczęła, choć łzy były w oczach.

— O, serce moje! o droga Zosiu moja!—rzekł Stanisław klękając u jéj kolan i całując jéj rączkę.

— Co? co? serce? panie Stanisławie, co pan wygaduje?—krzyknęła opomniawszy się dziewczyna.

Ale nasz rycerz już był pod wpływem uczuć, i całując rączkę, mówił jak bez pamięci:

— Serce, kryszeczko! gwiazdko, słonko moje, koralu mój, kalineczko czerwona moja! nie gniewaj się na mnie...

Zosia drżała jak listek.

— Wstydź sie pan, szeptała, wstydź się pan: idź pan sobie, idź na miłość Boga!

— O nie, nie pójdę, aż powié mi panna Zofia, czy mię kocha?

— Ale ja tego panu Stanisławowi nie powiem nigdy; i co to panu przyszło do głowy?

— Czemu?

— Oto pięknie! I pan Stanisław mię pyta: czemu? bo się zawstydzę—I mówiąc to trzymała dłoń na oczach:

— O Zosiu! żebyś ty wiedziała co ja cierpię, to nie byłabyś tak okrutną!

Dziewczyna odjęła dłoń od oczu i spojrzała na Stanisława wzrokiem, który zdawał się badać głębię jego uczuć. Nie był to już wzrok trzpiocący się ani wstydliwy, ale głęboka rzewność i zaduma patrzały z pod dużych, czarnych jéj rzęsów.

— Panie Stanisławie—rzekła po chwili tonem łagodnym, pewnym, przegartując na czole jego włosy, — powiédz mi, otwarcie, szczerze, *zaboż* się przedemną: czy doprawdy mię kochasz? czy tylko chcesz zgubić biédną dziewczynę? I co ja tobie zrobiłam złego?

— Zosiu! niech mię Bóg ciężko skarze, niech jutra nie doczekam, jeśli...

— Cicho serce—szepnęła Zosia i zawisła na jego ramieniu ponsowa jak jabłuszko.—Stasiu mój drogi, ja ciebie kocham nad życie...

Będziemyż powtarzać wszystkie wrażenia tego czystego, dziewiczego serca? Zaczernimy je tylko atramentem, wcielimy w martwe zgłoski i z obrazu pełnego ognia i życia, wyjdzie parodia. Wyobraźcie sobie moi kochani czytelnicy, tę dziewczynę tak śliczną, jak ja ją wyobraziłem sobie; wyobraźcie to uczucie tak silném i świętém, jak być powinno; nadajcie i Zosi i temu uczuciu imiona swoich kochanek i chwile własnych wzruszeń; otoczcie je wiosną i samotnością, i dokończcie ten ustęp mojego opowiadania sami.

Będęż wam powtarzał, iż Zosi i Stanisławowi od téj chwili świat przemienił się w oczach, że nie poznawali ani ścian izdebki, ani futoru; że serca ich grały jakąś nieziemską harmonią, i że nie przypuszczali, ażeby byli ludzie szczęśliwsi od nich. Zrozumié to każdy kto kochał, ale kto kochał nie po dzisiejszemu, nie tą zimną miłością na jaką patrzymy w salonach, ale tą czystą, ognistą, może śmieszną dla obojętnego widza, lecz drogą dla poety i prostego serca.

Nakoniec po kilku sekretnych pożegnaniach kochanków, których wam opowiadać nie myślę, ze względu, że i przy najlep-

szém wtajemniczeniu się w owe momenta, by najdrobniejsza cząstka z owych przyjemności dla naszego użytku oddzielić się nie da, i że moglibyśmy, kochani czytelnicy, wyjść jak ów bajkarz, u którego na każdéj uczcie po brodzie ciecze, a nigdy w gębie nic nie ma,—wyruszyli: Żytkiewicz i młody Brzozowski w przeznaczoną drogę. A że w podróży przez stepy w owe czasy, niebezpieczno było występować strojno, więc zwykły swój ubiór zamienili na kozacki. Przywdzieli żupany i barankowe czapki, flinty pozawieszali przez ramię, ponarzucali tatarskie burki, a do troków uwiązali torby z prowizyą.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

WYSTAWA POWSZECHNA.

IV.

Wystawa przemysłowa: wyroby wełniane, materye lugduńskie, szale indyjskie.—Wystawa sztuk pięknych: Eugeniusz Delacroix.—Wiadomości literackie.

Jak przeważnie wpływa Paryż na przemysł krajowy, a mianowicie na fabryki tkanin wełnianych i bawełnianych, rozsianych po całéj Francyi: przekonać się można na wystawie, porównywając z sobą rozmaite produkta tych fabryk. Różnica pomiędzy temi co towary swoje wyprzedają w stolicy, a temi, co je pozbywają na miejscu, lub takowe za granicę wysyłają, jest tak ogromna, że trudno uwierzyć, iż tak jedne jak drugie w tymże samym kraju robione były. Wszystkie fabryki pracujące dla Paryża prześcigają się w corazto nowych wynalazkach; niewidzialny a nielitościwy bicz rywalizacyi pogania je na drodze postępu bez najmniejszej przerwy ani wytchnienia. Przeciwnie, fabryki z ustaloną na prowincyi klientelą pogrążone są w zupełnéj stagnacyi. Przywykłe od wieków chodzić jak koń w deptaku w ciasném kole staréj rutyny, na nowe wynalazki, na postęp swego kunsztu patrzą z niedowierzaniem chłopa polskiego.

Zkąd pochodzi ruchliwość piérwszych a odrętwiałość drugich?—łatwo odgadnąć. Ścisły, choć nieujętny węzeł łączy kupców z fabrykantami; gust nabywców

mocno wpływa na rodzaj produktu. Jeżeli nabywca nie jest wymagający, również zasklepiony w odwiecznych przywyknieniach, po cóż fabrykant miałby porzucać utartą drogę i mozolnie nową sobie torować? Po co miałby ryzykować kapitały na niepewne doświadczenia: jeżeli stary towar odchodzi, po co stwarzać nowy?

Inaczéj rzecz się ma w stosunkach ze stolicą. Elegancki, ruchliwy i zmienny jak kokietka Paryż, inaczéj traktuje swoich fabrykantów: czego dziś szukał, tego jutro nie kupi; za czém dziś szalał, na to jutro nie spojrzy; co mu się dziś piękne wydawało, jutro wyda się brzydkie: nowość, nowość, i jeszcze raz nowość, oto jego wieczne pragnienie, oto wiecznie uciekający cel jego, za którym biegnie noc i dzień bez wypoczynku, ciągnąc za sobą zgraje zadyszanych fabrykantów, którzy patrząc mu ciągle w oczy, jak drogo-płatny sługa swemu kapryśnemu panu, stara się odgadywać jego życzenia.

W ogóle fabryki południowe tkanin francuzkich w wielkiém są zaniedbaniu i stagnacyi, do czego w części może i klimat się przyczynia. Północne, że bliższe stolicy, niezmiernie są ruchliwe i przedsiębiorcze. Pod tym względem na piérwszém miejscu postawić należy ogromną fabrykę sukna w Elbeuf, która że biegnie w ślad za modą, że produkuje nadzwyczaj wiele złych i dobrych, ale rozmaitych materyj, corazto nowym sposobem robionych: w kilkanaście lat nabrała daleko większéj wziętości od sławnych i klassycznych, że tak powiem, fabryk Sedanu, które od 200 lat same tylko doskonałe czarne sukna produkują. Cożkolwiekbądź, niestała moda francuzka po częstych zboczeniach powraca jednak zawsze do swych odwiecznych fabryk czarnego sukna, których drogie, ale piękne produkta, zdaleka od innych rozpoznać można.

Jeden z fabrykantów tamtejszych, pan Montagniac, który odstępując od uświęconego dwoma wiekami zwyczaju, pozwolił sobie wyrabiać fantastyczne materye z wełny, wystawił dziwne tkaniny wybornie naśladujące futra rozmaitych zwierząt. Mianowicie téż z koziéj wełny robione czarne i białe niedźwiedzie tak doskonale naśladują sierć tych zwierząt, że najbieglejsze oko w błąd wprowadzić mogą. Tkaniny takie użyte na odzież

zimową wielkie oddadzą posługi. Aksamity wełniane, równie miękkie jak z jedwabiu, a daleko od nich trwalsze, także z tejże fabryki na wystawę nadesłane, będą niezmiernie poszukiwane na ubiory męzkie. Nowy ten wyrób zupełnie różny od tak zwanego Utrechckiego aksamitu, używanego na pokrycie mebli, w dotknięciu nawet trudno od prawdziwego odróżnić; nadto tę ma wielką nad jedwabnym aksamitem wyższość, że jest daleko tańszy i wcale się nie wygniata.

Fabryki Sedanu nie wyrabiają tańszego sukna nad 14 franków metr, najwyższa zaś jego cena nie przechodzi 40 franków. Ceny produktów fabryk tegoż miasta zniżyły się niezmiernie w przeciągu ostatnich lat trzydziestu. Też same gatunki, które za restauracyi sprzedawano po 70 do 80 franków metr, dziś spadły na 28 lub 30. Przed dwudziestą laty sprzedawano jeszcze po 30 fr. toż samo sukno, którego dziś dostanie po 22.

Mimo że znaczne zniżenie ceny produktu świadczy o szybkim postępie fabrykacyi, przecież sukna francuzkie są najdroższe ze wszystkich, jakie wyrabiają na świecie: nawet droższe od angielskich. Najtańsze zaś ze wszystkich są w ogóle niemieckie, a w szczególe austryackie.

Przyczyna drogości francuzkiego sukna, któremu co do farby i połysku należy się pierwszeństwo, nie leży w różnicy zapłaty robotnika francuzkiego a niemieckiego, jak to mniemają powszechnie. Prawda, że tutaj wyrobnik daleko oświeceńszy niż inny, mający liczniejsze potrzeby, daleko wyżéj jest płatny niż w innych krajach: jednak z porównania płacy francuzkiego i niemieckiego robotnika nie można oznaczyć różnicy ceny wyrobów jednego i drugiego kraju. Potrzeba najprzód wiedzieć, czy Sas, Czech lub Szlązak, za daleko niższą zapłatę produkuje tyle co Francuz. Otóż rzeczą jest pewną, że nie. Francuz dwa razy drożéj zapłacony robi dwa razy tyle, co na jedno wychodzi: zatém przyczyny różnicy cen wyrobu gdzieindziéj szukać trzeba. Leży ona zapewne w większéj produkcyi wełny krajowéj, oraz w łatwości jaką mają fabrykanci niemieccy zaopatrywania się w materyał pierwotny. Żaden kraj nie produkuje obficiej stosownéj na zwyczajne sukna wełny jak Morawy,

Węgry i Szląsk. Prócz summy za jaką nabywa wełnę, fabrykant niemiecki nie ma żadnych innych opłat; zwykłe koszta przewozu i komory nie podwyższają tam ceny produktu. We Francyi rzecz się ma inaczéj: wełna krajowa nie wystarcza na potrzeby konsumcyi, zatém fabrykanci z zagranicy sprowadzać ją muszą, opłacając cła 22 od sta. Ta wielka opłata od wprowadzenia wełny jest rzeczywistą przyczyną różnicy ceny sukna francuzkiego i niemieckiego, która bynajmniej nie jest usprawiedliwiona różnicą gatunku; przeciwnie, dowiedzione jest, że niemieckie sukno wprawdzie mniéj piękne, trwa przecież daleko dłużéj, przez co przeznaczeniu swemu odpowiada lepiéj.

Obok niezmiernie licznéj wystawy francuzkiego sukna nadesłanego z Sedanu, Elbeuf, Louviers, Vire, Lisieux, Abbeville i t. d., oraz z niemieckich i belgijskich fabryk, niemniéj liczny zbiór innych tkanin wełnianych, jakoto: flaneli, merynosów, tybetu, damasów, kamlotów, pruneli i rozmaitych tym podobnych materyj ochrzczonych nieprzeliczoną massą nazwisk, zapełnia dolne galerye pałacu. Możnaby tomy napisać o téj gałęzi przemysłu rozmaitych narodów, tak bogato reprezentowanéj na wystawie powszechnéj; ale zważywszy, że ta podróż po warsztatowym labiryncie tylko specyalnych ludzi zająć może, ograniczam się na ogólnych spostrzeżeniach.

Reims ze wszystkich miast francuzkich najwięcéj posiadające tkackich warsztatów, na których rocznie wyrabia za 75 do 80 milionów towarów, zaćmiło wszystkie inne pięknością swoich tkanin wełnianych, a mianowicie merynosów i flaneli. Gatunek tych ostatnich tak jest wyborny, tak mięsisty i miękki, że nawet w Anglii wielki znajduje odbyt. Angielskie flanele z miasta Rochdale, leżącego w okolicy Manchestru, wyłącznie zajętego fabrykacyą tego towaru, nie mogą iść w porównanie z flanelą francuzką.

Z samego miasta Reims pięćdziesięciu exponentów przysłało swoje produkta na wystawę. Konsumcya tkanin wełnianych jest ogromna, stosunkowo do innych przedmiotów do odzienia służących: obrachowano, że we Francyi przy niezmiernie rozpowszechnionych maszynach parowych, używają do samego tylko przyrządzania wełny dla maszyn 150,000 ludzi.

Po mieście Reims najliczniejsze wyroby wełniane nadesłały dwa królewskie i zarazem fabryczne miasta: Versailles i Saint-Denis. Po nich angielskie fabryki z Bradford, Trowbridge, Halifax, Rochdale. Glazgow i Dublin wyroby swoje wełniane, bawełniane i lniane w niezmierzone okiem uszykowały szeregi. Nie zatrzymując się atoli przy nich, bo nie zasługują na szczególną uwagę, przechodzę do tkanin jedwabnych francuzkich i zagranicznych, które szczegółowo obejrzeć warto, jak niemniéj próbki surowego jedwabiu w motkach, świadczące o stopniach udoskonalenia chowu jedwabników w rozmaitych częściach świata.

Zbiór tych ostatnich jest nader liczny na wystawie. Chcąc dokładnie wykazać postęp przemysłu jedwabnego, zgromadzono nietylko już wyrobione z niego materye, ale tenże produkt w pierwotnéj formie i wszystkie przemiany jego, zanim do ostatecznéj dojdzie transformacyi. Najprzód więc widzimy kokony czyli kłębki przędzy jedwabnéj takie, jak je osnuwa gąsienica; następnie z tejże pełli nici zmotane z kilku lub kilkunastu kłębków razem wziętych, w miarę żądanéj grubości jedwabiu. Po jedwabiu surowym koloru zwykle słomianego, a czasem białego, następują motki ufarbowane na różne kolory; po nich dopiéro ogromny zbiór tkanin z tychże nici wyrobionych, świadczący o ważności téj gałęzi przemysłu, mnogości rąk które zajmuje, oraz ruchu, jaki nadaje kapitałom krajowym począwszy od skromnéj zagrody, gdzie wieśniaczka z dziećmi zatrudnia się chowem jedwabników, aż do wspaniałych sklepów pierwszych stolic starego i nowego świata, sprzedających przepyszne materye, które wymyśla gust dobry, a poszukuje moda.

Piętnaście narodów przysłało na wystawę produkta jedwabne pierwotne lub przerobione. Główniejsze, spisując je wedle liczby exponentów, są: Francya, Austrya, Szwajcarya, Prusy, Anglia, Piemont, Toskania, Hiszpania, Grecya, państwo papiezkie i t. d.

Jedénastu tak zwanych Mulinerów, tojest ludzi trudniących się wychowywaniem jedwabników i motaniem przędzy, z ośmiu departamentów Francyi wystawiło swoje kokony; dwadzieścia i trzy departamenta, z których główniejsze: Drôme, Ardèche, Vaucluse, Loi-

re, i Basses Alpes, nadesłało przędze jedwabne. Piérwszy prócz próbek zwyczajnego zbioru rocznego, wystawił zbiór drugi w tymże otrzymany roku, którego prządki żywione były liśćmi powtórnie odrosłemi na oberwanéj dla piérwszego chowu morwie. To powtórne żniwo jedwabiu, o które usilnie stara się Francya, jako o sposób podwojenia swojéj produkcyi, bardzo szczęśliwie powiodło się na południu, i tam zapewne z wielkim pożytkiem hodowane będzie. Pokazało się, że powtórne obrywanie liści nie szkodzi drzewu, jak to mniemano z początku, oraz że gąsienice jesienne przędą niemniéj dobry jedwab', jak wiosenne.

Wystawione motki jedwabiu naturalnego zadziwiają rozmaitością gatunku: każdy z nich na właściwe sobie przeznaczony jest tkaniny.

Przędza jedwabników zwanych bombyx, żywiących się tylko morwowemi liśćmi, odznacza się pomiędzy wszystkiemi połyskiem i miękkością. Jest jéj dwa gatunki: biała i żółta. Ten ostatni dzieli się na liczne ciemniejsze i jaśniejsze odcienia wedle rassy jedwabników, która, ze swéj strony, zależy znów od gatunku morwowego liścia. Jedwabniki żywiące się liściem białéj morwy dają białą przędzę najprzedniejszego gatunku. W Azyi ten rodzaj jedwabnika powszechnie żyje w stanie natury, a mieszkańcy tamtejsi nie mają innego z nim kłopotu, prócz zbierania mnogich kłębków jedwabnéj przędzy, którą tylko angielskie fabryki otrzymują z Chin i Indyi.

Inny rodzaj bombyxa rozmnożony we Włoszech i południowéj Francyi, żywiony liśćmi dębu i wiązu, produkuje przędzę rudą bez połysku; inny znów gatunek bombyx cynthia, żyjący sałatą oraz wierzbowemi liśćmi i dziką cykoryą, jeszcze pośledniejszą od powyższéj wydaje przędzę, jak o tém świadczą liczne nadesłane z Turynu próbki. Dowiedzioną jest rzeczą, że hodowanie tego ostatniego jedwabnika z powodu małéj i złéj jego produkcyi, nie opłaci się wcale; zostawiono go przeto w stanie natury, tylko tyle z produkcyi jego korzystając, ile jéj sam bez pomocy ludzkiéj i nakładu wyda. Taki jest rezultat nadziei ogromnych zysków, jakie przemysłowcy pokładali w tym nowym rodzaju

jedwabnika, który miał cenę jedwabiu z bawełną porównać.

Zawiedzione oczekiwania nowe spowodowały zabiegi. Dzisiaj tutejsi hodownicy jedwabników starają się aklimatyzować indyjskiego jedwabnika Mylitta, który w ojczyznie na dębie żyje i snuje nader piękną przędzę: czy będzie mógł przywyknąć do zimnego stosunkowo klimatu Francyi?—doświadczenie pokaże.

Są także na wystawie wielkie kokony przędzione przez tak zwane olbrzymie jedwabniki na górze Libanu. Kłębki te są wielkości kurzego jaja, jedwab na nich nadzwyczaj miękki koloru słomianego. Jedwab pomarańczowy chiński, jak niemniéj nadesłany przez kompanią francuzką trudniącą się chowem jedwabników w okolicach Beyrutu, i zasilającą fabryki lionskie, zadziwiają swym połyskiem i elastycznością. Ze wszystkich jednak najpiękniejszy wydał nam się jedwab dziewiczy syryjski śnieżnéj białości, błyszczący jak srebro, a miękki jak puch łabędzi.

Próbki przędzy nadesłane z różnych stron Francyi, świadczą o znakomitém ulepszeniu produktu, skutkiem mądrego wychowywania jedwabników, oraz sztucznego krzyżowania ich rassy, przez co hodownicy tutejsi doszli do najrozmaitszych gatunków pelli. Mianowicie téż uderza wyborne przędzenie i przyrządzanie takowéj, zanim do warsztatów przejdzie.

Roczny zbiór jedwabiu we Francyi wynosi około 5,000,000 funt. których wartość dochodzi do 140,000,000 franków. Powyższa ilość jedwabiu nie wystarcza fabrykom francuzkim: zazwyczaj ze Wschodu, Indyi, Hiszpanii, Włoch, a mianowicie Piemontu sprowadzają jeszcze jedwabiu najmniéj za 60,000,000 franków. Wartość więc roczna produktu piérwotnego, z którego fabryki jedwabne francuzkie wyrabiają materye, dochodzi 200,000,000 franków.

Materye lugduńskie rozłożone na przestrzeni 600 metrów kwadratowych, odznaczają się od innych nietylko bogactwem, miękkością i połyskiem, ale nadto gustem, jaki układowi ich przewodniczył, co w ogólnym poglądzie na tego rodzaju wystawę znaczy bardzo wiele, i przyczynia się więcéj, niżby sądzić można, do podniesienia piękności wyrobu. Każda sztuka materyi spa-

dająca z góry, ułożona w fałdy ostro-załamane lub szerokie, wedle tego jak korzystniéj się prezentuje, nietylko w największéj zgodzie z sąsiadką swą pozostaje, ale nadto sztuczną kombinacyą kolorów, jéj dodaje albo sobie od niéj pożycza blasku. Ktoby nie znał rzadkiéj w téj sztuce biegłości kupców paryzkich, którzy za ogromnemi szybami swych sklepów urządzają co dzień nowego kształtu jedwabne kaskady, łamiące się we wszystkie tęczy kolory ku zwabieniu olśnionego przechodnia, sądziłby, że walna rada artystów, a mianowicie malarzy przezydowała rozłożeniu lyońskich produktów. Nietylko kolory następują po sobie zgodnie jak jednym rzutem pędzla zlawowane pole, ale nadto gatunki materyj wspomagają się wzajemnie. Zbytni blask i sztywność złotéj lub srebrnéj lamy łagodzą miękkie a niebłyszczące fałdy różno-kolorowych aksamitów, ciężkość adamaszków tak mięsistych lub tak gęsto złotem przetykanych, że o własnéj stoją mocy, uwydatniają waporyczne gazowe i krepowe draperye. Blask starożytnéj mory, co jak wiosłem mącona woda w tysiączne rozbiega się kręgi, podnosi swą jednością zwierciadlana powierzchnia gładkich atłasów; bogate brokary, gros-de-naple, mantyny, kitajki, gros-de-toury, floranse, damasy, fulary, słowem wszystkie materye milionem nazwisk przezwane, począwszy od czarnych aż do jasnych i białych odcieni, stanowią dokładną gammę kolorów, o jakich tylko zamarzyć można.

Jestto wystawa tak świetna i dobrana, że ją nietylko kobiety jak motyle do kwiatów zbiegające się do tych wyrobów, które ich wdzięki podwyższać mają, ale i mężczyzna nie znający się nawet na przemyśle ani na elegancyi, podziwiać będzie przez długie godziny.

Nigdzie pomiędzy milionem jedwabnych materyj błyszczących wkoło, nie znajdzie deseni równie wdzięcznych, a zarazem z geometryczną narysowanych dokładnością, nigdzie rachunek i fantazya nie godzą się z sobą lepiéj, ani wyżéj nie są rozwinięte, jak w lugduńskich fabrykatach.

Przyczynia się do tego niemało specyalne wykształcenie wrodzonego gustu, jakie odbierają tamtejsi rysownicy. Jest w Lugdunie szkoła sztuk pięknych, zwana powszechnie szkołą świętego Piotra, od gmachu, który

był niegdyś klasztorem zakonników tego imienia, a później na szkołę obrócony został. Gmach ten bardzo obszerny podzielony na sale, mieści muzeum malarstwa, rzeźby, muzeum historyi naturalnéj, akademią, izbę handlową, bibliotekę, szkołę rysunku i t. d. Sienie gmachu zajmują starożytności, urny, wazony, kamienne płyty z napisami, wielka liczba rzeźbionych marmurów: słowem jestto rzeczywista szkoła sztuk pięknych. Każdy młodzieniec sposobiący się na rysownika do fabryk lionskich musi przejść porządkiem wszystkie klassy téj szkoły. Odbiera on tam naukę praktyczną i artystyczną zarazem; resztę dopełniają wrodzone zdolności i poczucie piękna, spływające obficie na każdego mieszkańca tych okolic z łona niewyczerpanéj w bogactwie i wdzięku matki przyrody.

Lion u ścieku dwóch rzek i na dwóch górach zbudowany, na wschód widzi wyraźnie piętrzące się Alpy, na zachód malowniczy Izeron i górę Złotą; od północy i południa otacza go długie pasmo wzgórków zasianych ogrodami, z których wyzierają szczyty rozkosznych willi. W całéj Francyi nie ma piękniéj położonego miasta. Mieszkańcy jego tchnący już południowém poczuciem piękności natury, nie są obojętni na jéj powaby; wokoło miasta napotkasz zawsze tłumy spacerujących, okoliczne góry, krzaczki, laski i ogrody, nieustannie napełniają malarze, poeci, rysownicy, poza murami miasta szukający natchnienia. Ci ostatni mianowicie umieją korzystać z wzorów, jakie im stawia natura. Żaden kwiat osobliwszego kształtu, żadna gałąź niezwykła, żadna tuberoza rosnąca w bujnéj trawie, ani wdzięcznie w girlandy powiązane wiotkie powoje, nie ujdą baczności ich oka, a przeniesione wiernie na papiér służą za wzory na szale, materye, lub dywany. Każdy prawie z uczniów szkoły sztuk pięknych ma album kwiatów, zbogacany codziennie jakiémś nowém w górach odkryciem. Taka książka zawierająca zbiór leśnych, polnych, łącznych i ogrodowych kwiatów, jest dla młodego rysownika niewyczerpaném źródłem natchnienia.

Powyższe szczegóły świadczące o rzadkiém zbrataniu się handlu z artystycznością w tym szczęśliwym zakątku pięknéj Francyi, tłumaczą dostatecznie, czemu lionskie materye nie mają sobie równych na świecie,

czemu żadne inne miasto w tymże kraju i pod tymże rządem, nie może mu wyrównać, nie mając szczęśliwych warunków, w jakie sama natura uposażyła Lion i jego mieszkańców.

Oprócz materyj w sztukach, Lion nadesłał bardzo wiele w fabryce już na rozmaite ubiory przeznaczonych tkanin; pomiędzy niemi zauważaliśmy w pawilonie dwóch najznakomitszych fabrykantów, pp. Schulz i Beraud, przepyszne ornaty, kapy, baldachimy, jak niemniéj bogaty dobór sukni damskich, z których jedna orzechowa z mory starożytnéj, druga różowa w aksamitny tegoż koloru deseń niezrównanéj są piękności. Także suknię z modnéj teraz materyi w szerokie pasy, jeden aksamitny, drugi mat jedwabny, zalecają się oryginalnością i bogactwem.

Zadziwił nas także swym przepychem płaszcz cesarzowéj ze złotéj lamy, a przerabiany bukietami z ponsowego aksamitu; dalej materya niebieska w białe kraty służące za ramy dla niebieskich aksamitnych deseni. Obok niéj druga fiołkowa haftowana w czarne i ciemno-fiołkowe girlandy, prześliczna: suknia gros-de-tourowa niebieska z garniturem wyrobionym z czarnych aksamitnych koronek jest arcydziełem sztuki tkackiéj: trzeba bardzo blizko przystąpić, żeby się przekonać, że te aksamitne koronki nie są prawdziwe, osobno przyszywane. Inna suknia z białego gros de-touru w tenże sposób różowemi aksamitnemi ubrana wolantami, niemniéj jest piękna. Inna znowu cała z liści zielonych wszelkich odcieni, wygląda jak świeży krzaczek, którego kwiatem będzie wyglądająca u góry różowa twarzyczka. Patrząc na tę suknię mimowolna bierze obawa, żeby w nią niełądna nie ubrała się kobieta: intencya robotnika-artysty tak ją wyraźnie dla pięknéj przeznaczyła!

W pawilonie pp. Champagne i Rougier widzimy inne cuda. Suknia najwięcéj uderzająca jest biała gros-de-tourova w złote pasy, na których wyrobione szlaki z pączków różanych, stokroci i niezapominajek. Jestto materya przypominająca zuchwałym zbytkiem kolacye pani Du Barry. Rzecz dziwna, jak wyraźnie kolor, deseń i gatunek sukni, pomijając krój nawet, mówi o jéj przeznaczeniu, i wskazując niejako charakter istoty, co się w nią ma ubrać, takie tylko, a nie inne do siebie

przywabia. Suknia pana Champagne wabi oczy; każdy ją uważa i przyznaje że piękna, jednak założyćby się można, że prócz w Paryżu nigdzieby nie znalazła nabywcy: tak wyraźnie na ozdobę paryzkiego pół-świata przeznaczoną była.

Tenże fabrykant wystawił bogaty zbiór atłasów gładkich haftowanych złotem i srebrem; także złote mieniące z czarném materye, w czarne bukiety: bardzo piękne, mianowicie w mocno oświeconym salonie. Biała gros-de-tourowa suknia, posypana aksamitnemi kwiatami en relief, naśladującemi naturę z najdokładniejszą akuratnością,, wydała nam się najgustowniejszą w tym pawilonie.

Wielu fabrykantów lugduńskich jednemu tylko gatunkowi materyi się poświęcają: i tak, pan Millon wystawił same mory, Gondre materye haftowane, Tresca same fulary, Boix czarne adamaszki, Giraud mantyny, Desq atłasy. Bouvard wystawił obicia, pomiędzy któremi portret Washingtona, wrobiony w materyą sposobem deseniowym. Jestto rzecz bardzo piękna w swoim rodzaju, robotnik tego dzieła zwie się Mathevon, i jest najsławniejszym tkaczem lugduńskim.

Pan Silo wystawił drukowane gazy; sposób ich fabrykacyi świeżo w Lionie wynaleziony został. Jestto tkanka bardzo lekka, balowa, przy świetle piękny czyni efekt. Lepszego atoli smaku wydają nam się chińskie krepy, łączące z lekkością dziwną miąsistość, która białe tego rodzaju wyroby do łabędziego puchu, a różowe do łona najświeższéj róży podobnemi czyni.

Tak zwane syryjskie adamaszki, które pierwotnie tylko w tym kraju robione, następnie fabrykowane były na wielką skale we Florencyi, Siennie i Lucce, dzisiaj prawie wyłącznie do Lionu się przeniosły. Fabryka ich w tém mieście wzrastająca codziennie pod przywództwem pana Lemire, przysłała na wystawę bardzo świetne adamaszki, oraz piękne aksamity.

Obok nich bracia Boyriven wystawili materye do wybijania powozów: jestto rodzaj adamaszku na tle srebrném lub ponsowém. Tkanina ta nadzwyczaj mocna, odpowiada zupełnie przeznaczeniu.

W pawilonie pod napisem Brosse et Companie widzimy zgromadzone najpiękniejsze z wystawionych

aksamity gładkie. Pochodzą one z fabryki założonéj w 1848 roku przez stowarzyszenie robotników. Tak zwani aksamitniki rozsiani po wsiach w departamencie Rhône, zawiązali się w towarzystwo przemysłowe pod przewodnictwem pana Brosse, któremu każdy z nich złożył drobną summkę, owoc swéj zabiegliwości i pracy. Prócz tego każdy z nich wedle obyczaju tamecznego miał warsztat własny, który przyniósł z sobą do spółki. Za złożone pieniądze zakupiono jedwabiu i wzięto się czynnie do roboty.

Z początku szło opornie; stowarzyszenie miało wiele trudności do pokonania, do zwalczenia licznych a zasobnych nieprzyjaciół; ale w końcu wytrwałością przełamawszy wszystkie przeszkody, dzisiaj w kwitnącym znajduje się stanie, i jak każda z wielkich tamtejszych fabryk odbiera mnóstwo obstalunków z całego świata. Główną przyczyną powodzenia niniejszego zakładu jest nieposzlakowana prawość i obrotność jego przewodnika pana Brosse, który z największą skrupulatnością zyski fabryczne pomiędzy stowarzyszonych rozdziela, i z rzadką zabiegliwością nad pomnożeniem takowych pracuje.

Wystawa wyrobów jedwabnych nadesłanych z Nimes i Avignonu, chociaż daleko uboższa od lionskiéj, jeszcze do bardzo pięknych się liczy. Cecha jéj jest odrębna, już zupełnie południowa. Ciemnych kolorów nie widać wcale; czarne albo jaskrawe. Niema tu zmierzchu: noc, albo wszystkie kolory oświeconéj równikowém słońcem natury. Deseń w ogóle dziwny, razi zbytnią gwałtownością barwy, oczy nasze do półcienia przywykłe. Na bladych, melancholicznych i powolnych mieszkankach północy, takie materye zapewne niewłaściwieby się wydały, nadto brutalnie odbijając od uduchownionéj ich formy; ale dla Włoszki, lub Hiszpanki z iskrzącemi oczyma i żółtą jak cytryna cerą, żaden ubiór nie może być stosowniejszy, jak te słoneczne tkaniny. To też fabryki na ostatecznym południowym krańcu Francyi położone, pracują wyłącznie prawie dla południa. Produkta ich zazwyczaj odpływają morzem, i rozchodzą się głównie po Hiszpanii i Portugalii.

Wedle zeszłorocznego obrachowania, Francya posiada 140,000 warsztatów trudniących się wyłącznie

tkaniem jedwabnych materyj. Sam Lion zabiera połowę téj cyfry; 30,000 warsztatów pracuje w fabrykach Saint-Etienne i okolicach jego. Nimes i Avignon liczą tylko 10,000 warsztatów tkackich; 30,000 jest rozsianych w okolicach Paryża, w Pikardyi, Normandyi, Alzacyi i Moselli.

Saint-Etienne i Saint-Chamond trudniące się prawie wyłącznie robieniem wstążek, powiewne płody swoje wystawiły obok lionskich produktów. Niepodobna opisać rozmaitości téj motylczéj wystawy, która zda się za lada powiewem wiatru uleci. Są tu rzeczy zapewne bardzo ładne, jednakowoż bez dyskussyi ustąpić muszą pierwszeństwa takimże wyrobom szwajcarskim. Począwszy od wązkich ćwierć-calowych, aż do na pół łokcia szerokich, zgromadzono w francuzkim zbiorze wszelkiego gatunku i koloru wstążki, robione w ręcznych i parowych warsztatach. Piérwsze wyrabiają kobiety w górach leżących nad Loirą. Wstążki te są najpiękniejsze i najdroższe z francuzkich; jednakowoż kobiety których są dziełem, zarabiają zaledwie 8 do 10ciu sous dziennie. Cały więc niemal zysk z ich sprzedaży idzie na korzyść fabrykantów: biédne robotnice za całodzienną pracę, którą tak pięknie wykonywają, zarabiają zaledwie na nędzną strawę. Taka niesprawiedliwość dla biédnych góralek tém więcéj uderza i boli, że trudniące się robotą koronek niewiasty więcéj niż trzy razy tyle zarabiają, chociaż robota ich nie jest ani cięższa, ani zmudniejsza.

W pawilonie Collarda i Maygra, piérwszych fabrykantów wstążek z Saint Etienne, zebrano najznakomitsze wyroby; odznaczają się one pięknością deseniu i żywością kolorów. Pan Maygr na dowód doskonałości do jakiéj swój kunszt doprowadził, wystawił wyrobiony w gazie portret księcia Orleanu; ten majstersztyk kosztował dwa lata mozolnéj pracy.

Po wystawie jedwabi francuzkich, angielskie piérwsze zajmują miejsce: żaden z innych narodów nie dorównywa im doskonałością, a gdyby Anglicy mieli gust francuzki, nawet Francyą oddawnaby w tym przemyśle wyprzedzili. Już na wystawie londyńskiéj przekonani o swém pierwszeństwie fabrykanci francuzkich materyj, mocno zakłopotani i zdziwieni byli pięknością wyrobów

angielskich; na wystawie tegorocznéj Francuzi jednozgodnie przyznać im musieli, że wyższość tutejszych materyj li tylko na rysunku deseni się zasadza: ale co do gatunku, taniości, udoskonalenia sposobów fabrykacyi, angielskie wyroby jedwabne stoją najwyżéj.

Powodem tak wielkiego a szybkiego postępu tego produktu w Anglii jest niezawodnie transformacya taryfy celnéj. Skoro w roku 1824 Huskisson zniósł system prohibicyjny, Anglia, Szkocya i Irlandya liczyła 24.000 warsztatów tkackich jedwabnych; w pięć lat późniéj liczba ich wynosiła już do 50,000; dzisiaj doszła do 100,000. a co największa, że nietylko ilość fabrykatu urosła, ale gatunek jego ulepszył się niezmiernie.

Z wystawionych teraz tkanin jedwabnych angielskich zalecają się przepyszne adamaszki na meble i obicia, haftowane złotem w herby Wielkiej Brytanii; pochodzą one z fabryki londyńskiéj pana Keith. Pod względem bogactwa wspaniały ten wyrób przeznaczony na ozdobę królewskich pokoi, nie ma sobie równego na wystawie. PP. Campbell, Harrison i Lloyd wystawili ogromny zbiór materyj tanich i w dobrym gatunku, ale deseń takowych niegustowny sprawia, że na oko miłego nie czynią wrażenia, mianowicie też po obejrzeniu francuzkich.

Wyroby jedwabne szwajcarskie idą zaraz po angielskich; największe fabryki takowych znajdują się w Zurich i jego okolicy. Fabryki te zupełnie na sposób francuzki urządzone, sprowadzające z Francyi wzory i ludzi specyalnie w tém rzemiośle wykształconych, nieustannie rywalizują z Francyą na targach zagranicznych, gdzie skutkiem swéj taniości wyroby ich często przekładane bywają nad piękniejsze, ale droższe materye francuzkie.

Od czasu wystawy londyńskiej ta gałąź przemysłu szwajcarskiego nadspodziewanie postąpiła. Tkaniny jedwabne przysłane z Zurich i Bâle, na piérwszy rzut oka dorównywają francuzkim, w użyciu dopiéro o ich niższości przekonać się można; jedwab' w nich mniéj dobrze przygotowany mszy się i przeciéra, a kolory prędko płowieją.

Cóżkolwiekbądź, jeżeli zważymy, że ten mały kraik nie produkuje ani żelaza, ani jedwabiu, ani węgla,

ani nawet dostatecznej ilości zboża na wyżywienie swoich mieszkańców, musimy przyznać, że szybki wzrost przemysłu jego potrójnie podziwiać należy. Kwitnący stan handlu swego Szwajcarya zawdzięcza jedynie wolności, z jaką mu się prawa krajowe krzewić dozwalają, znosząc wszelkie opłaty od przywozu. Liczba warsztatów tkackich jedwabnych w Szwajcaryi dochodzi 35,000; razem produkują one rocznie towarów blizko za 65 milionów franków, nie rachując w to wstążek, w których robieniu, jak wiadomo, żaden kraj nie dorównywa Szwajcaryi.

Największa tkarnia wstążek znajduje się w Bâle, gdzie przed dwustu laty założona została przez wygnanego z ojczyzny w czasach zatargów religijnych Francuza, który w kraju pracował we fabryce wstążek jako prosty wyrobnik, a dostawszy się za granicę, częścią z potrzeby, częścią że tam zdolności jego mniéj znalazły niż we Francyi rywali, znalazł pomoc i ogromny założył warsztat. Z téjto fabryki, która oddawna zmieniła właściciela, nadesłano wstążki najpiękniejsze ze wszystkich, jakie na wystawie widzimy. Między nimi słyną powszechnie wstążki gładkie mantynowe w przewybornym gatunku. Te wstążki bez porównania lepsze od francuzkich, mają jeszcze tę nad niemi wyższość, że są o 15% tańsze. Dlatego nawet po opłaceniu znacznego cła, korzystnie pozbywane bywają we Francyi.

Jedwabie niemieckie nader licznie na wystawie reprezentowane, gasną zupełnie przy francuzkich. Prusy oprócz tkanek jedwabnych, wystawiły jedwab surowy w motkach, produkt jedwabników wychowywanych w Berlinie. W nadesłanych atoli materyach są tylko próbki robione z krajowego jedwabiu; jedwab używany po wielkich fabrykach pruskich, sprowadzany bywa zwyczajnie w kokonach z Indyi, Włoch, a mianowicie z Piemontu, przyrządzany zaś dla warsztatów przez miejscowych robotników.

Daleko lepsze od berlińskich, a najlepsze z niemieckich tkanin jedwabnych, nadesłały Prusy Nadreńskie. Materye z Lobberich, Wiersen, Gladbach, Elberfeldu i Krefeld pokazują się często na jarmarkach francuzkich i skwapliwie dla swéj taniości rozkupywane bywają.

Austryaccy fabrykanci, na których Francuzi skarżą się że im wykradają wzory deseni na materye, przekupując ich rysowników, jakby na oczyszczenie się z tego zarzutu, nadesłali bardzo mizerne płody, przy tutejszych jak bawełna wyglądające. Jeżeli austryaccy przedsiębiorcy wystawą swoją całkowicie zmyli zarzut charakter ich plamiący, to z drugiéj strony bardzo mizerne dali o przemyśle swoim wyobrażenie. Dlaczego zwieźli właśnie największą ilość produktów nie wytrzymujących porównania z francuzkiemi, a zaniedbali wystawić tych, które godnie mogłyby stawić czoło tutejszym: jestto zagadka, któréj rozwiązania chyba w grubéj nieświadomości rzeczy szukać należy.

Wyroby jedwabne sardyńskie świadczą o nowém rozbudzeniu się niegdyś kwitnących i słynnych fabryk tego kraju. Ciż sami fabrykanci, którzy w kryształowym pałacu zaszczytne podostawali nagrody, przysłali tą razą jeszcze doskonalsze wyroby; mianowicie też ich materye mieniące i różnokolorowe aksamity, zwracają uwagę znawców.

Indye, które pod wpływem angielskim wysoko rozwinęły swój przemysł, nadesłały na wystawę nader piękne i oryginalne tkaniny. Widzim tam prześliczne kaszemirowe suknie damskie, haftowane jedwabiami i złotem, szale jedwabne zaszywane w najbogatsze desenie, także całe sztuki materyi tak bogatych i odrębnego zupełnie smaku, iż niezawodnie będą obfitą kopalnią pomysłów dla wszystkich europejskich fabrykantów, nie wyłączając nawet lionskich, którzy chętnie korzystać z nich będą, bo swoich rysowników bardzo drogo płacić muszą.

Wspomniawszy wzory, nadmienić tu muszę o tekturze drewnianéj, która na przyszłość ma być używana zamiast papieru na formy deseni. Oddawna przemyśliwano po fabrykach, czém zastąpić tekturę zwyczajną, w któréj wycinają à j o u r mające się wyrabiać na materyach desenie, najprzód z powodu drogości tego materyału (w samych lionskich fabrykach tektura na wzory kosztuje rocznie dziesięć milionów franków), powtóre, że papiér zmaczany kurczy się lub wyciąga, ztąd częste bywają usterki w robocie i strata czasu, która także na miliony rachuje się w fabry-

kach. Na ten cel przeznaczona tektura drewniana, któréj fabrykę założono świeżo w Saint-Denis, prócz że daleko tańsza, ma jeszcze tę wielką korzyść, że z największą dokładnością oddaje formę żądanych deseni. Izba handlowa liońska, któréj próbki tego nowego wyrobu przesłano do osądzenia, wyprobowawszy takowe, uznała jednozgodnie, że tektura drewniana nader korzystnie zastąpi papiér, i niezwłocznie w użycie wprowadzoną zostanie.

Ale wróćmy do wystawy indyjskiéj. Najświetniejsze tutaj są szale. Wiadomo, że Indyanie piérwsi słynęli w téj sztuce, i długo sami jedni celowali w niéj na świecie. Dzisiejszy przemysł europejski chociaż wyprzedził ich daleko pod względem udoskonalenia środków fabrykacyi, za czém poszło zniżenie ceny produktu i wielkie takowego rozpowszechnienie, to pod względem doskonałości roboty nietylko nie przeszedł, ale może nie dorównał Indyanom.

Szale w europejskich fabrykach robią się na warsztatach nie innym sposobem, jak wszystkie tkaniny wełniane lub jedwabne; w Indyach szalowy postaw rozciągają jak kanwę na krosnach i z ogromną pracą wyrabiają na nim desenie sposobem, jakim robią we Francyi gobeliny, tojest przesuwając pomiędzy włóknem postawu, różnokolorowemi jedwabiami nawinięte łódki. Często robią tylko maleńkie kwadraciki osobno wypracowane z niepojętą cierpliwością, i z nich składają szal ogromny. Nadto, prócz że materyał indyjski, wełna i jedwab, są daleko lepsze od naszych, krajowcy umieją je prząść w ręku doskonaléj niż wszystkie angielskie i francuzkie maszyny. Używają także na postaw rodzaj przędzy kosmatéj miękkiéj jak puch, któréj przyrządzanie stanowi osobną naukę im tylko znaną; ztąd niezrównana miękkość i aksamitność tych szali najdroższych i najpiękniejszych na świecie.

Dobór ich na wystawie jest okazały. Niektóre z czystego złota utkane palą się w świetle jak indyjskie słońce, inne wełniane lub jedwabne, błyszczą pełnią kolorów, przed których blaskiem, jak przed indyjską przyrodą mruży się oko mieszkańca północy, wydziedziczonego przez swą macochę naturę od wszystkich cudów stworzenia. Blask indyjskiego nieba mocno odbity na

płodach przemysłu tego kraju, zdaleka widne rzuca promienie: śmiało rzec można, że indyjska wystawa jest jednym z najświetniejszych dyamentów w przepysznéj koronie wystawy powszechnéj.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

IV.

DELACROIX.

„Najpiękniejsze w tém rzemiośle jest to, co się wypowiedzieć nie da" powiada Delacroix kończąc swój długi traktat o malarstwie w liście do pani Sand, świeżo ogłoszonym w jéj pamiętnikach. Prawdę tych słów znakomitego malarza, która głównie do jego sposobu malowania się stosuje, czujemy mocno mając opisywać pełne ruchu i energii dzieła jego, tak żywe i kolorowe, że o nich rzeczywiście martwe słowo wyobrażenia nie da; tak przeważne duchem, że opis ich formy może być tylko bladém odbiciem draperyi, w którą wielki artysta myśl swoję owinął.

W obrazach pana Delacroix ładność zawsze ustępuje miejsca wielkości, a surowa sztuka wyklucza wszelką kokieteryą i przymilenie. Typy jego są surowe, miło im spojrzéć oko w oko: unoszą one widza poza sfery w których żyje. Bogowie, wojownicy, mędrcy i poeci, słowem wszystkie te wielkie allegoryczne lub historyczne postaci, jakie zwykł malować, zdumiewają potężną strukturą, lub olimpijską powagą. Patrząc na nie, zapomina się o nędznych modelach dzisiejszych artystów, które poznajemy w każdym nieomal nowym obrazie pod pożyczaną odzieżą, siłącą się napróżno ich przeobrazić. Jeżeli Delacroix z żywych malował wzorów, musiał zapewne przymrużać oczy, żeby ich w rzeczywistém nie ujrzéć świetle.

A jednak typy jego są prawdziwe, chociaż idealizowane. Prawdziwe są jak te wizerunki, które nam kreśli wyobraźnia skoro w niéj szukamy wcielonego bóstwa poezyi, lub bohaterskiéj postaci starożytnego wojownika. Są to ludzie, ale ludzie niezwykli, nie tacy, jakimi

ich pojmują umysły powszednie. Figury te żyją, ale tém życiem wielkiém lub strasznem, którém sam tylko geniusz natchnąć je potrafi.

Nie mówię o kolorycie pana Delacroix. On sam chyba miałby prawo i umiejętność wypowiedzieć tę stronę swojéj sztuki, w któréj najzawziętsi nawet nieprzyjaciele nie znaleźli mu nic do zarzucenia; ale mówić o kolorach w malarstwie jest toż samo, co chciéć muzykę wypowiedzieć słowami. Czy podobna opisać Requiem Mozarta? Można słuchając je napisać piękny poemat, ale będzie to poemat, nie tłumaczenie. Sztuki nie tłumaczą się jedne przez drugie. Wszystkie są ścisłym węzłem powiązane z sobą, ale nie mówią jednym językiem; szukają się, łączą i zapładniają wzajemnie, ale każda siebie tylko wyraża. Niemniéj jak idealna potęga i siła, uderza w utworach pana Delacroix wyborna zgoda przedmiotu z celem, i harmonia między częściami. Rzekłbyś, że artysta nosi w sobie samym jakiś świat odrębny, z którego czerpie wzory: jego niebo i drzewa, ludzie i szaty, konie i jeźdzcy, morza i okręty powiązane taką jednolitością stylu, tak zrosłe z sobą, że oderwane na nic nie przydałyby się.

Weźmy piérwszą lepszą figurę pana Delacroix i przenieśmy ją w myśli na jaki inny obraz: niezawodnie wyda się dziwna lub niepodobna, bo pozbawiona będzie właściwéj sobie atmosfery.

Prócz wybornéj harmonii i kolorytu, w którym dorównywa weneckim i antwerpskim mistrzom, Delacroix ma jeszcze rzadki talent oddawania ruchu: ludzie na obrazach jego chodzą, gestykulują, biegają: zdaje się że płótno zaledwie ich utrzymać może, że z ram lada chwila wyskoczą; nieruchoma linia konturowa nie przybija ich do tła, zdają się malowane po obu stronach i mogące się odwrócić jak zechcą. Figury pana Delacroix nie zajęte wcale widzami, ale własną rolą, jak aktorowie angielscy często się tyłem do publiczności odwracają i patrzą na tych z któremi rozmawiają, nie zważając bynajmniéj na to, co przyjęte.

Jeżeli do powyższych zalet dodamy jeszcze ów odrębny sposób malowania, ów sui generis po którym z drugiéj jeszcze sali utwory Delacroix rozpoznać można: każdy zapewne przyzna, że słuszne jest uwielbienie,

które do obrazów mistrza coraz to nowe przyciąga tłumy.

Pomiędzy wystawionemi obrazami pana Delacroix dwa tylko są nowe: Polowanie na lwa i Dwóch Foscarich; wszystkie inne oprócz Tassa w więzieniu wystawiane były poprzednio: że jednak nie każdemu zapewne z czytelników naszych znane, wymienimy je porządkiem jakim tworzone były, tém więcéj, że dawniejsze dzieła tego malarza piękniejsze nam się wydają od ostatnich.

Piérwszy swój obraz: Łódź Danta, Delacroix malował jeszcze w roku 1822. Chociaż był wtedy bardzo młody, już cały geniusz jego przebija w tém płótnie. Dante z Wirgiliuszem na łodzi przepływają jezioro otaczające piekielne miasto utrapienia. Potępieńcy czepiają się brzegów wątłego statku, chcąc go zatopić; Dante poznaje pomiędzy niemi Florenczyków.

Na ciemném tle po którém rude przeciągają dymy, rysują się dwie figury wyniosłe: Dante w czerwonym kapturze i Wirgiliusz w niebieskim płaszczu. Piérwszy z przestrachem jaki w każdéj strofie piekła swego wyraża, tuli się do przewodnika; Wirgiliusz od dwunastu wieków przyzwyczajony do piekielnéj grozy, spokojnie patrzy na fatalne postaci, co wściekłym zębem rwą brzegi łodzi, lub pochwyciwszy ją w trupie ramiona, usiłują wciągnąć za sobą w otchłanie. Czartowski przewoźnik Flegias zajęty sterem, silném wiosłem drogę sobie toruje pośród wód martwych i zamdlonego piekielną pożogą powietrza, od którego sine grupy potępieńców i poważne dwóch poetów postaci, odstają z mistrzowską prawdą. W głębi naszkicowane żelazne wały fortecy, któréj straszliwa broni Gorgona.

Obraz ten, ozdoba galeryi luxemburskiéj, jest jeżeli nie najpiękniejszy, to niezawodnie jeden z najpiękniejszych, jakie wymalował Delacroix.

Następny utwór jego le massacre de Scio, straszny i krwawy, mniéj nam się podoba z powodu koloru nieba, które jakby szafranem zaprawne nadto razi niepodobieństwem. Na nagim wzgórku wyblakłym od gorąca, stosy trupów słonecznym żarem palone zdają się zionąć zarazę z ran swoich. Zdala widna pożoga świadczy, że tam niszczyciele dokonywają strasznego

dzieła zagłady. Na piérwszym planie dziecko ssie zastygłą pierś matki; po drugiéj stronie młoda jakaś niewiasta z rozpaczą obejmuje młodego mężczyznę, konającego w konwulsyjnych rzutach. Daléj Turek na siwym koniu uprowadza broniącą się młodą Greczynkę, przywiązaną do siodła powrozem. Wkoło gdzie spojrzysz, stosy trupów.

Tę scenę fatalną malarz oddał bez żadnéj nad widzami litości: nie oszczędził im ani jednego jęku, ani jednéj konwulsyi. Jestto utwór prawdziwie wściekły, na którego rezkiełznaną romantyczność nastawano w swoim czasie zażarcie. Dzisiaj Massacre de Scio do dzieł klassycznych policzony, Francuzi uważają powszechnie za perłę luxemburskiéj galeryi.

Dwudziesty ósmy lipca jest jedyny obraz, w którym Delacroix nowoczesną scenę i nowoczesne przedstawia ubiory. Mocno uderzony ówczesnemi wypadkami, artysta ogromną prawdę przelał w ten półrzeczywisty, pół-allegoryczny utwór. Kobieta przedstawiająca wolność, z obnażoną szyją, w frygijskiéj czapce, z strzelbą w jednéj a chorągwią w drugiéj ręce, stoi na barykadzie i zwołuje lud do bitwy. Postać ta dziwi nieco swą fantastycznością pośród otaczającéj ją prawdy.

Przed nią ulicznik trzymający w każdéj ręce pistolet, ustrojony w ogromną ładownicę poległego żołnierza, która mu aż za kolana spada, idzie naprzód z powagą Leonidasa. Wyborna to figura ten gamen paryzki: prawdziwe ziarnko bohatera, jeżeli na dobrą padnie rolę. Wokoło cisną się ludzie zbrojni, zwyczajni aktorowie występujący w paryzkiéj ruchawce. Ten oto człowiek w podartym fraku i połamanym kapeluszu, należy do klassy rozpustnych i niespokojnych próżniaków: rad z okazyi, chce albo umrzéć, albo wypłynąć na wierzch. Tu robotnik w bluzie z wiarą i zapałem rzuca się w odmęt. Ten drugi śmiertelnie ranny, czołga się aby skonać u nóg wielbionéj bogini. Na piérwszym planie leżą polegli. W głębi zaciemnionéj dymem, gdzieniegdzie błyszczy bagnet, lub wyziera jaka walcząca grupa.

Wprowadzenie do tego obrazu figury allegorycznéj aczkolwiek rażące na pozór, ma swoję dobrą stronę:

nadaje ona myśl całéj téj scenie, która bez tego byłaby tylko ustępem z wojny domowéj.

Po Dantejskiéj łodzi najwięcéj zapewne uderzy lubowników morskich widoków, samotna barka bez żagli ni steru, niosąca Don Juana i rozbitków zatopionego okrętu, na którym od brzegów rodzinnych odpłynęli. Kto zna ten piękny ustęp z poematu Lorda Bayrona, zdziwi się, nie znalazłszy na obrazie pana Delacroix gładkiego jak zwierciadło morza i nieba „nieubłaganego szafiru" które w poemacie przez ironiczny kontrast dorzucają okropności téj scenie. Pieniące się bałwany i chmurny horyzont nie są zapewne wiernem tłumaczeniem poematu, ale inaczéj być nie mogło: nowy przykład, że sztuki nie mówią jednym językiem. Tęż samą myśl innemi środkami wyraża poezya, innemi musi oddawać malarstwo. Błękitne niebo i spokojne morze, nie uplastyczniłyby niebezpieczeństwa tak wyraźnie, jak te chmury złowrogiéj barwy i te spienione bałwany, miotające drobną łodzią zgubioną gdzieś na przestrzeniach oceanu, na któréj zgłodniałe rozbitki spoglądają po sobie jak spragnione żeru dzikie bydlęta, i ciągną na losy, którego zpomiędzy siebie zjeść mają. Malarz inaczéj się wyraził niż poeta, ale w sile dorównywa mu zupełnie. Żaden pędzel nie przedstawił straszniéj i prawdziwiéj okropnego losu rozbitków... Twarze ich wychudłe, obłąkane oczy, rysy na których głód i pragnienie wszelki wyraz człowieczeństwa zatarły, dreszczem przejmują widza.

W téj wodzie przezroczysto-zielonéj, co nieustannie liże i ślini brzegi łodzi, jak wąż zanim połknie swą zdobycz, słychać nieomal pluskanie żarłocznych rekinów, czyhających na trupy.... Z tych chmur ciężkich, gwałtownymi gnanych wiatrem, co jak śmierci anioły biegną nizko, maczając w morzu czarne skrzydła, dolatuje jakby grzmot głuchy, zwykły poprzednik gromów.

Trzymając się mniéj więcéj porządku w jakim tworzone były dzieła pana Delacroix, po Chrystusie w ogrodzie Oliwnym nieco oschłym i sztywnym, dlatego pewnie chwalonym przez nieprzyjaciół malarza, po Justynianie dyktującym swój kodex, bez żadnéj wybitnéj cechy, dochodzimy do obrazu przedstawiającego śmierć doży Marino Faliera. Ciało doży,

któremu kat odciął głowę, leży u nóg oprawcy powalone na wielkich schodach pałacu Duków. Scena ta na piérwszym planie narysowana ukrywa się w półcieniu; światło padające przez gotyckie okno skupia się całe na zgromadzonych licznie patrycyuszach, z góry schodów przypatrujących się egzekucyi.

Ogromne schody pałacowe z historyczną odmalowane dokładnością, nie są też same, które teraz włoskie czyczerony podróżnym jako rusztowanie Faliera pokazują. Pan Delacroix zbierając szczegóły do obrazu swego, dowiedział się z archiwów miejscowych, że schody na których ścięto dożę, od niepamiętnych czasów nie istnieją, i takowe tylko z podania złożył. Te, które teraz pokazują, zbudowane były daleko późniéj; od dwóch zdobiących je posągów dłuta Sansovina, przedstawiających Marsa i Neptuna, nazwane zostały schodami Olbrzymów.

Śmierć Faliera zalecająca się pięknością kolorytu, bogactwem strojów, i historyczną dokładnością, mogłaby godnie figurować pomiędzy utworami najsławniejszych mistrzów weneckich.

Tasso w więzieniu, własność Alexandra Dumasa, nie był dotąd na żadnéj wystawie. Jest on ze wszystkich obrazów Delacroix najstaranniéj wykończony. Ci, co zarzucają mu (może słusznie) nadto gwałtowną szorstkość, z jaką figury swoje rzuca na płótno, z Tassa zupełnie mogą być zadowoleni. Nieszczęśliwy poeta siedzi zadumany pośród obłąkanych. Nie zważając na ich bezrozumne rozmowy, ani szalone wykrzykniki, zdaje się jakoby badał siebie samego, jakoby zadawał sobie pytanie: czy rzeczywiście jest waryatem, jak twierdzą ludzie? Czy owa siła co mózg mu rozsadza jest natchnieniem z nieba zesłaném, czy też bezrozumnym szałem, dziełem krwi lub choréj wyobraźni?

Milczenie poety niecierpliwi waryatów; jeden z nich rudobrody, w podartém odzieniu, istne uosobienie obłąkania, grozi mu pięścią; inni waryaci skaczą około piewcy Jerozolimy wyzwolonéj, wprzężonego w ich koło przemożną siłą nienawiści. Szlachetne czoło wieszcza, na którém błyszczy świetna pochodnia geniuszu, wśród szalonych towarzyszy, z podwójną wybija potęgą.

Daléj więzień Chillonu ciężkim łańcuchem przykuty do wilgotnych murów odwiecznéj wieżycy, rwie się

do konającego brata, nie mogąc go dosięgnąć. Następnie widzimy Hamleta. Mały ten, ale pełen wyrazu obrazek, przedstawia królewicza duńskiego z czaszką Yoryka w ręku, owego wesołego błazna, który kiedyś bawił go dowcipem, a teraz patrzy nań pustą źrenicą, jakby się uśmiechając ironicznym uśmiechem śmierci. Obok niego dwóch grabarzy kopie grób dla Ofelii. Grunt cmentarny skalisty i jałowy, obłoki szare rozpięte jak niedoperze na ciemném niebie, tu i owdzie dzikie chwasty, lub nieboszczyków wygrzebane kości: wszystko dowodzi głębokiego przejęcia się czarnym dramatem Szekspira, oraz zupełnego wniknienia w intencyą poety.

W pożegnaniu Romea z Julią malarz może nadto poświęcił formę dla uczucia: jestto szkic raczéj nie obraz, ale właśnie dlatego że nie wszystko wyraża, patrzący rad go w duszy swojéj wykończa. Jestto owa chwila, w któréj kochankowie blaskiem różowéj zorzy poranka na balkon wywołani, trwożni, pytają jedno drugiego, czyto jeszcze słowik, czy już skowronek śpiewa?... i w długim, tęsknym uścisku żegnają siebie, wraz z jedyném ubiegłém szczęściem.

Drugie, takichże rozmiarów płótno, ale staranniéj wykończone, przedstawia Juliettę budzącą się z letargu w grobach przodków, w których niezadługo twardym snem śmierci zaśnie na wieki.

Daléj widzimy ustęp z Fausta: Śmierć Walentego. Pośród ciemnéj ulicy starożytnego miasta niemieckiego, brat Małgorzaty leży śmiertelnie ranny; z trudnością podniosłszy głowę, konający przeklina siostrę, która załamując ręce z rozpaczą, stoi przy nim jak biały duch obłąkany nad straszną przepaścią, która go za chwilę ma pochłonąć. Tłum ludzi otacza umierającego żołnierza i słucha klątwy jego: Mefistofeles chowając zakrwawione żelazo do pochwy, uprowadza szybko Fausta na strome schody ulicy.

Podróż po Afryce silne i trwałe wywarła wrażenie na pana Delacroix; nie został jednak muzułmanem na resztę życia jak Ducamps, który po powrocie ze Wschodu nic już innego prócz Egiptu i Azyi nie maluje. Umysł ruchliwy, imaginacya ogromna, uchroniła p. Delacroix od ciasnego zasklepienia się w jednéj sferze. Wschodni haschich na chwilę go tylko odurzył, a pustynia

nie zdołała przyciśnionego swą wielkością wędrowca, powoli lotnym zasypać piaskiem. Delacroix ze Wschodu przywiózł tylko, co przywieźć był powinien: kilka bardzo pięknych obrazów.

Kobiety algierskie, Konwulsyoniści Tangerscy (sekta fanatyczna aissausów, których religia zasadza się na dręczeniu ciała, biciu, gryzieniu i kaleczeniu się), Polowanie na lwa, a mianowicie Arabska rodzina i Żydowskie wesele stanowią jakby osobną galeryą pomiędzy dziełami p. Delacroix.

Żydowskie wesele widzimy zgromadzone na podwórzu przykrytém improwizowanym z gałęzi dachem, które w gorących krajach, a głównie w Hiszpanii i Afryce służy zwykle za salę balową. Podwórze to napełnia tłum ludzi zupełnie odrębnéj i właściwéj sobie powierzchowności. Żaden z nich nie ma nic europejskiego w ruchu; wschodnie bowiem narody niemniéj ruchem jak ubiorem różnią się od nas, co pochodzi z obszernego stroju, który dozwalając ciału daleko wolniejszych ruchów, pozwala wyrabiać się członkom. Przyzwyczajenie podwijania nóg pod siebie, ustawiczne schylanie się do modlitwy, oblewania wodą, lub zdejmowania obuwia, jeżdżenie na koniu w krótkich strzemionach prawie klęczący, nadaje im właściwe wyłamanie stawów, do którego ciała nasze nigdyby się nagiąć nie mogły. Baczne zauważanie téj strony fizycznéj mieszkańców Wschodu, najpierw uderza w Żydowskiém weselu: muzykanci siedzą w kuczki pod murem, tancerze przeginając się w skokach tworzą najdziwaczniejsze figury, dla nas niepodobne do naśladowania.

Żydów od Arabów rozpoznasz po wzroku wymownym a niespokojnym, jakim spoglądają po sobie, lub po zgiętéj postawie nadającéj im cechę fałszywéj pokory. Całe zgromadzenie mieści się w cieniu, gdzieniegdzie tylko padający przez dach prostopadły promień światła, lub bielejące jak kreda zdaleka widne tarasy, świadczą, że tam upał doskwiera ognisty, że słońce oczy temu wypali, któryby na świat pokazał głowę.

Arabska rodzina tchnie miłym spokojem. Na gniadego rumaka Beduin posadził małego synka. Dzieciak uszczęśliwiony, zaledwie nożętami objąć grzbiet

konia mogący, stara się utrzymać równowagę, a w złym razie rachuje na ręce ojcowskie. Radość dziecka, poważne zadowolenie ojca, niepokój matki, co z pod muru patrzy na jedynaka, wreszcie uległość konia idącego ostrożnie jakby obawę matki podzielał, nader przyjemnie są oddane.

Polowanie na lwa niemiły czyni efekt w téj wschodniéj galeryi. Niepojęta jakaś gmatwanina lwa, strzelców, jeźdźców i koni, jednę niepodobną do rozwikłania tworząc bryłę, czyni obraz zupełnie niezrozumiały. Przypuściwszy, że ta wściekła walka z królem pustyni, zdaleka tak się wydawać może, że człowiek, koń i zwierzę splątane z sobą zażartym bojem, stanowią jakby jedno wijące się w konwulsyach ciało: to w takim razie malować téj chwili niepodobna, bo nikt jéj na płótnie nie zrozumié. Tenże sam dramat o jednę sekundę późniéj odmalowany, rozwiązany śmiercią zwierza lub śmiercią człowieka, byłby już zupełnie zrozumiały dla oka. Zbytnia miłość ruchu tą razą widocznie zadaleko uniosła pana Delacroix.

Po wschodnich widokach rozpoczyna się nowy szereg obrazów, których wzory artysta czerpał wyłącznie z dziejów starożytnych, oddając je atoli sposobem wolnym jak Szekspir swego Cezara, Koryolana, lub Kleopatrę. Jestto może najwznioślejsza faza talentu pana Delacroix. Przedstawiając greckie czy rzymskie postacie, nie koloruje on posągów, jak to czynią inni pod pozorem stylu: Delacroix wskrzesza je, i wraz z życiem wlewa w nie namiętność. Filozoficznie twierdząc, że człowiek zawsze jednaki, że starożytne pół-bogi nie czerwieńszą od nas krew mieli w żyłach, zostawia erudycyą archeologom, a sam z żywego ciała stawia też same grupy, które inni artyści tylko z marmuru przerabiać się ważyli.

Wściekła Medea oddana jest z mocą i kolorytem, jakiegoby się sam Rubens nie powstydził. Żmijowy wyraz jéj twarzy i te ręce naprężone od złości, jakiemi dwoje swych nagich przestraszonych dzieci niesie jak wilczyca porywająca jagnięta, nieopisanéj są siły. Płaczące dzieci nie rozumieją o co chodzi, ale przeczuwając niebezpieczeństwo siłą się wydobyć z pod tłoczącéj je ręki, w któréj błyszczy sztylet. Różowe ich ciałka podnoszą trupią cerę sino-żółtego ciała matki; wkoło widać kamienie i dzikie zielska, pośród których ukryta

przed pogonią Jazona Medea, ma spełnić straszną zbrodnię. Jestto obraz przepyszny, równie wysoki pod względem kolorytu jak kompozycyi.

Daléj widzimy Sprawiedliwość Trajana. Treść tego obrazu nastręczyła artyście jedna strofa Danta, w któréj tenże opowiada, jak pokrzywdzona wdowa rzuca się pod konia monarchy i wstrzymuje pochód jego, a on jéj słucha łaskawie. Powyższy obraz niezmiernie jest chwalony pod względem kolorytu.

Umierającego Marka-Aureliusza przedstawił Delacroix na wezgłowiu pośród grona filozofów, którym porucza pieczę nad synem swoim. Oblicze sprawiedliwego monarchy tchnie głębokim spokojem; na twarzach otaczających go starców maluje się boleść i powstrzymane rozczulenie. Sam tylko młody Kommod w płaszczu purpurowym odwraca głowę, i jakby znudzony słucha przestróg ojcowskich. Nizkie czoło jego, grube rysy a kark potężny, zapowiadają już waryackiego rozpustnika, pod którego berłem świat srodze odpokutował kilka lat szczęścia, doznanego pod panowaniem Marka.

Wzięcie Konstantynopola, ogromny obraz, przywieziony z galeryi wersalskiéj, wielu uważa za najpiękniejszy utwór pana Delacroix. Do wziętego Carogrodu wjeżdżają zwycięzkie zastępy Francuzów; na ich czele Bodouin, hrabia Flandryi na przepysznym koniu jedzie stępo. Nieszczęśliwe rodziny cisną się do stóp wodza błagając go o litość: wdali widać niebieską zatokę morską, okoloną wspaniałemi pałacami. Przezroczyste powietrze owiewa zbrojne roty krzyżowców, a całe miasto tonie w złotym słonecznym blasku.

W tym obrazie malarz starał się przedewszystkiém oddać piękność architektury i świetne ubiory. Rzecz sama nie ma dramatycznego węzła; miasto główną grą rolę; powietrze, morze, góry widne zdaleka, odciągają zupełnie uwagę od osób, które chociaż pięknie narysowane, nie mają przecież tego uroku, jaki wyobraźnia nasza zwykła nadawać oswobodzicielom grobu Chrystusa.

Nadzwyczaj dramatyczny jest ostatni obraz pana Delacroix: Dwaj Foskari. W wielkiéj sali w pałacu Duków, doża Franciszek Foskari siedzi na tronie i słucha wyroku, którym radą dziesięciu skazuje syna jego

na wieczne wygnanie, za tajemne stosunki z zagranicznemi monarchami, niechętnemi rzeczypospolitéj. Jakób Foskari jak chusta w męczarniach wybladły, żegna ojca wymownym gestem, a żonie daje do pocałowania ręce połamane w torturach. Patrycyusze i straże zapełniają salę; na lewo przez odemknięte drzwi, o które oparty stoi kat, widać narzędzia tortur rozłożone w przyległym pokoju.

Twarz doży złamana bolem, pałająca zemstą przeciw radzie dziesięciu, wypędzającéj z ojczyzny za lada podejrzenie jedynego syna, wzrok jego w którym maluje się wyraźna walka obowiązku z miłością ojcowską, tak wyniośle są oddane, iż od nich z trudnością oderwane oczy, nie mają już ochoty podziwiać dalszych szczegółów obrazu, także po mistrzowsku narysowanych.

Ostatni ten utwór pana Delacroix nie wskazuje żadnéj zmiany w jego sposobie malowania. Znać w nim zawsze tęż samą niepodległość i samoistność, która od lat trzydziestu towarzysząc mu w artystycznym zawodzie, uwolniła od sztywnéj systematyczności i narzucanych teoryi.

Kończąc to długie wyliczenie świetnych utworów pana Delacroix, dodać należy, że galerya pałacu wystawy nie gromadzi wszystkich dzieł jego; że kto nie widział fresków zdobiących salę tronową w pałacu deputowanych, bibliotekę izby parów, sufitu galeryi Apollina i wielu innych arcydzieł malowanych na murze, w których geniusz artysty dowolnie na obszernym buja przestworze, temu większa połowa talentu tego mistrza zakryta.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

Wyszedł piérwszy tom Historyi Politycznéj Stanów Zjednoczonych Ameryki przez Edwarda Laboulaye; autor zapowiada ich trzy. Piérwszy zawiera historyą osad od roku 1620 do 1761. Drugi tom będzie obejmował historyą rewolucyi od 1761 do 1787; trzeci historyą wprowadzenia konstytucyi od 1787 do 1789 roku, w którym Ameryka ostatecznie się urządziła. Będzie to dzieło bardzo znakomite; piérwszy tom świadczy o wielkiéj biegłości autora w nauce prawodawstwa; pogląd jego wysoki.

W przedmowie powiada pan Laboulaye, że historya osad była koniecznie do całości dzieła potrzebna. Bez wskazania dokładnego pochodzenia kolonij angielskich, bez nakreślenia ogólnego rozwoju ich konstytucyi, ustaw, które im były wspólne, jak niemniéj tych, które wyjątkowo posiadały, niepodobna było wytłumaczyć przyczyny, jakie spowodowały rewolucyą i połączyły te trzynaście osad w jednę potęgę, która się oparła Anglii.

W trudném rozwikłaniu dziejów 13tu kolonij, pan Laboulaye trzymał się skazówek, jakie mu podało szczegółowe dzieło o Ameryce pana Bancroft. Uwaga nasuwająca się po przeczytaniu nauczającéj książki pana Laboulaye jest, że w Amerykanach więcéj rozum, niż szczęśliwe warunki wyjątkowego położenia podziwiać należy; że wszystko na tym świecie, mianowicie téż w polityce, od postępowania zależy: słowem, że rozsądek jest najwyższym kierownikiem interesów ludzkich.

— Michelet wydał drugi tom historyi francuzkiéj z XVI wieku, pod tytułem la Reforme; piérwszy zatytułował: La Renaissance. Obadwa te tomy do najznakomitszych dzieł tego autora się liczą.

— Lamartine zaczął drukować w fejletonie dziennika La Presse: Historyą Cezara. Dotąd wyszło zaledwie kilka kartek; zalecają się one niezrównaną pięknością stylu, oraz godnym Cezarów poglądem na rzeczy.

— W Theâtre-Français grywają teraz pięcio-aktowy dramat Kotzebuego: Mizantropia i Skrucha, przełożony na francuzki język przez Gerarda de Nerval. Genialny ten młodzieniec, który w kwiecie wieku przeciął pasmo dni swoich, zostawiając niezatarty żal we wszystkich sercach, które szlachetną duszę jego i wzniosły umysł ocenić umieli, był zapewne jedyny pomiędzy Francuzami zdolny wniknąć w myśl niemieckiego pisarza. To téż tłumaczenie to jest bardzo znakomite, ale daleko lepiéj w czytaniu niż na scenie się wydaje, skutkiem tego zapewne, że aktorowie francuzcy nie są zdolni przejąć się duchem germańskim, którego wcale nie rozumieją.

KRONIKA LITERACKA.

Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku, przedstawiony w dzienniku podróży królewicza Władysława, syna Zygmunta IIIgo do Niemiec, Austryi, Belgii, Szwajcaryi i Włoch w r. 1624—1625. *Skreślony przez Stefana Paca pis. i refer. lit. star. preneńskiego, towarzyszącego królewiczowi w téj podróży. Z rękopismu wydał J. K. Plebański. Wrocław. Nakładem Zygmunta Schlettera.* 1854. W 8-ce, str. VI i 171.

Pan Plebański, nowy pracownik na polu dziejów ojczystych, który na piérwszy raz dał nam materyał nie tak wielkiéj ważności dla dziejów samego narodu, ale zawsze bardzo ciekawy, zasługuje zawsze na wdzięczność. Jest to dyaryusz podróży królewicza Władysława po Europie, w r. 1624 i 5, spisany przez referendarza litewskiego Stefana Paca, który zakończył swój polityczny zawód jako podkanclerzy litewski, (umarł 17 listopada 1640). Rękopism znalazł pan Plebański w bibliotece królewskiéj w Berlinie, i zdaje się, że sam oryginał, co naturalnie wartość pomnika znacznie podnosi. Pac w podróży, widać, utrzymywał dyaryusz, potém dopiéro przyjechawszy do domu zredagował go w latach późniejszych, a przynajmniej poprawiał, bo są wstawki w texcie, które o późniejszéj redakcyi wyraźnie świadczą.

Rękopism Paca znał Kobierzycki, bo w dziele „Historia Vladislai principis", są prawie dowody, że czerpał z naszego dyaryusza. To jednakże nic a nic interesu nie odejmuje obrazowi wydanemu przez p. Plebańskiego. Mało tutaj o Polsce, więcéj nieco o stosunkach panów polskich, towarzyszach podróży królewicza, ale ciągle nowe widoki, nowi ludzie, nowe kraje i ziemie. Dlatego rozumiemy przyczynę, dlaczego pan Plebański zmienił tytuł dany przez autora, bo tytuł być musiał; nazwał swoje wydanie Obrazem dworów Europejskich na początku XVII wieku. W istocie jestto obraz dworów, a więc dla historyi pol-

skiéj o tyle mieć może wartości, o ile pokazuje usposobienia tych dworów w danéj chwili dla Polski, o ile rozjaśnia historyą osób towarzyszących królewiczowi w podróży. Jestto zresztą w każdym razie ważny pomnik obyczajowy wieku i ztąd ważność jego dla historyi.

Władysław oddawna miał ochotę podróżować po Europie. Wiele słyszał o krajach obcych, ale żadnych nie widział, prócz Rossyi; żadnéj zagranicy nie oglądał, a miał już lat przeszło dwadzieścia dziewięć: póki były wojny, wojował, teraz próżnować się znudziło. Ale walne przeszkody zwalczały w królewiczu tę chęć: macocha zdaje się że intrygowała. Władysław umiał ująć za serce ojca, i chętkę swoję do podróży złożył na ślub: w czasie wyprawy Chocimskiéj, w niebezpiecznéj chorobie ślubował jechać do Loretu. Król namyślał się i wahał, wreszcie puścił to na zdanie senatu, w którym prymas książę arcybiskup Gębicki, stanowczo przeciw żądaniom królewicza wystąpił z powodu, że nie chciał nadziei państwa narażać na niepewne drogi, na trudy i niebezpieczeństwa przejażdżek, a Rzplitę na ciągłą tęsknotę. Upadł więc projekt i dopiéro we dwa lata go wznowiono. Władysław wtenczas już poważne instancye wnosił do ojca; prosił za nim arcyksiążę Karol biskup wrocławski, z którym królewicz żył jak najpoufaléj, prosił sam cesarz. Cesarz dowodził: że wypadało aby się królewicz dał poznać krewnym i znajomym po Europie. Pisała i arcyksiężna infantka hiszpańska, gubernatorka Niderlandów. Robiono Władysławowi jakies nadzieje i widoki świetnego małżeństwa. Wtedy król Zygmunt ustąpił i zaczęła się ta podróż, którą Pac opisuje. Wskazano Władysławowi główne kierunki téj wędrówki: miał odwiedzić biskupa wrocławskiego w Nissie, potém cesarza, potém arcyksięcia Leopolda, potém księcia bawarskiego, Niderlandy i Włochy; Francyą i Hiszpanią wyraźnie polecono królewiczowi ominąć. Są historyczne odrazy: do Francyi odraza nieraz się i w późniejszych czasach odezwała.

Pac jest wstrzemięźliwy i trzyma język za zębami: ostrożnie bardzo wydaje się z czémś tajemniejszém, waży każde swoje słówko w tym względzie. Dlatego nie wypowiedział całéj prawdy i ledwie tylko napomyka, że króla skusiła do téj odwlekanéj podróży i ta uwaga, że będzie to z pożytkiem i przyczynieniem fortuny królewicza samego; (stron. 31). Inni świadkowie téj epoki nietyle są delikatni i wstrzemięźliwi. Bawiło wtedy w Carogrodzie poselstwo angielskie, które baczne bardzo zwracało oczy na dwór warszawski, i dowiadywało się o wszystkiém, co się u króla Zygmunta dzieje. Była to epoka traktatu zawartego przez sławnego księcia Zbaraskiego po wojnie chocimskiéj, po licznych zwycięztwach polskich; było to w czasie, kiedy czajki kozactwa ruskiego w rozmaitych kierunkach prze-

rzynały morze Czarne i hałasowały pod samym Konstantynopolem. Był czas jakiś, że Rzplita imponowała Turcyi. Otóż pan Roe i pan Wake czuwają i donoszą rządowi swojemu o każdym fakcie głośniejszym z Polski, o każdéj drobnostce z dworu polskiego: oni nam w części roztwierają tajemnice podróży królewicza. Roe pisze w depeszy z dnia 26 listopada 1624, że Władysław podróż przedsięwziął dla zaślubienia cesarzownéj lub królewny hiszpańskiéj. Łatwoby to małżeństwo królewiczowi przyszło, bo któżby za niego córki nie wydał? Ale znalazły się jednak przeszkody. Przeszkody te stawiała pasierbowi macocha Konstancya austryacka. Zazdrościła Władysławowi sławy i stanowiska jakie już zajął, dla syna swego ulubionego, którego na tronie polskim po ojcu chciała osadzić, dla Jana Kazimierza. Dlatego nie chciała, żeby Władysław nowe stosunki i znajomości zawierał w Europie, dlatego nie sprzyjała jego uprojektowanemu małżeństwu: w oczy chciała, by się królewicz żenił z córką cesarską, a za oczy pisała do cesarza, żeby robił trudności, nawet do Rzymu trafiła z prośbą, żeby papież odmówił dyspensy królewiczowi, dla blizkiego pokrewieństwa. Władysław zdręczony, nie kontent sam z siebie, rad się był chociaż na chwilę wydarł z tego piekła, w jakiém go osadziły intrygi macochy. I rzeczywiście musiało tam wielkie być rozdrażnienie umysłów, kiedy na tém właśnie Betlem Gabor opierał swoje nadzieje względem korony polskiéj. Gabor rozumował bardzo logicznie. Władysława zgubi macocha, myślał, a Janowi Kazimierzowi nic to nie przysporzy widoków; bo gdzież Polacy mogą Jana Kazimierza niewieściucha, przełożyć nad rycerskiego Władysława? Inni krolewicze pozostawali księżmi albo przeznaczeni do stanu duchownego; więc są dla obcego książęcia nadzieje, które potrzeba skłonić ku sobie. I w tym celu działał i szeroko napiął sieci, nie bez najpewniejszych widoków pomyślności. Depesze panów Roe i Wake są wydrukowane w 5 tomie Zbioru pamiętników o dawnéj Polsce (piérwsze wydanie str. 448 i daléj).

Roe już po wyjeździe królewicza z Warszawy, donosił swemu rządowi, że nie wie naprawdę, jakie są zamiary królewicza. To rzecz pewna, że wyłącznego celu tam nie było. Jechał probując szczęścia, pokazać się światu. I świat rzeczywiście zajmował się wiele jego osobą. Książę młody, czynny, bardzo odważny, wielce kochany od panów polskich, którzy w nim upatrywali nadzieje dla Rzplitej; książę którego historya już tyle rozgłosu miała po Europie, dzieckiem obrany na władzcę udzielnego państwa, potém zwycięża pod Chocimem: wódz wyprawy pod Moskwą, lat 30 jeszcze nie miał, a miał wiele sławy. Panowie nasi zazdrośni o wpływ Austryi, a królewicza przyjaciele, odradzali mu małżeństwo z cesarzówną, bo nie było księżniczki w Europie, którejby nie dostał, gdyby po nią rękę wyciągnął. Do-

wodów tutaj mamy tysiące w dyaryuszu Paca. Wszędzie najświetniejsze na jego przyjęcie czyniono przygotowania. Nim wyjechał, już wszyscy wiedzieli o projektach podróży; a kiedy już wyjechał, dniem i nocą na królewicza czekali, wysilali się na przyjęcie jakiego był godzien książę waleczny, postrach wrogów chrześciaństwa.

Ciekawe są szczegóły, jakiemi drogami królewicz werbował swój dwór podróżny. Książę kanclerz litewski Radziwiłł przyjął starszeństwo nad orszakiem, Pac go zastępował; i jeden i drugi niechętnie jechali, ulegali tylko życzeniom królewskim: jeden i drugi znali już Europę, i te kraje mianowicie, przez które miał teraz przejeżdżać Władysław. Radziwiłł miał swoje sprawy, Pacowi żona była na złężeniu. Wreszcie wybrano orszak. Niegromadno jednak wyjechał królewicz, dla uniknienia kosztów, i dlatego, że chciał zachować ścisłe incognito, bo nie lubił żadnych parad, żadnych wystąpień, jako mąż rycerski, przywykły do życia obozowego, a jechał dla własnéj, nie dla cudzéj przyjemności. W całym orszaku miał tylko dwóch dyssydentów (Denhoff i Rozen).

Wyjazd z Warszawy nastąpił 17 maja 1624 r. Królewicz lubił niespodzianki, więc lubo po drodze stawały na niego czaty od książąt i królów, zawsze te czaty omylał, wpadał nagle jak piorun: prawda, że przez zdradę przewodników niezawsze mu się to udawało. Tak do Nissy wpadł nagle do arcyksięcia biskupa wrocławskiego Karola: z początku myślano w mieście, że to jaki podjazd Gaborowy. Szlązk podczas przejazdu królewicza miał jeszcze wcale polskie wejrzenie. Nazwiska miast, wsi, obywateli, ziemian, były czysto polskie. Po wioskach siedziała szlachta polska nazwiskiem, polska pewnie jeszcze duchem. Byli jeszcze magnaci na Szlązku swojscy, miejscowi, pokazujący, że życie narodowe w téj oderwanéj od ojczyzny prowincyi, jeszcze tlało. Pan Pruszkowski dostatkiem przechodził kilku książąt szlązkich, którzy już na obywateli przechodzili, jak na Rusi niegdyś udzielni np. kniaziowie Ostrogscy. Pruszkowski ochotnie podejmował w domu swoim królewicza. Do ożywienia polskiego życia na Szlązku i to jeszcze się przyczyniało, że w początku trzydziesto-letniéj wojny, prawie ciągle tam plądrowali nasi Lisowczykowie, i teraz w czasie przejazdu królewicza było ich tam pełno, chcieli nawet gdzie po drodze spotkać Władysława i arcyksięcia Karola: piérwszego, żeby łacno przebaczenia dostąpili u Rplitéj, która tylko co przeciw nim surowe napisała konstytucye; drugiego, żeby zapłaty swéj u cesarza doszli (str. 18).

Bawiąc się w niespodzianki tak dalece, że nawet poprzyjaźnili się we Wrocławiu królewicz i Denhoff z jakimsiś kapitanem Szlązakiem, który strasznie był z niemi bez ceremonii, zjechał

orszak polski niespodzianie kardynała Dietrichsteina w Mikułowie (Nikolsburg w Morawii) i cesarza pod Wiedniem. W stolicy serdecznie przyjęty, bawił dłużéj cokolwiek, bo zachorował, a do tego arcyksiążęta zjechali się tłumnie, poznać królewicza. W chorobie brał dary, bo taka etykieta była na dworze niemieckim, że nawet odwiedzający chorego, zawsze coś w upominku mu przynosili. W Austryi królewicz zrzucił polską suknię a przebrał się po niemiecku, i teraz dopiéro każdy go poznał, bo wszyscy wprzód wiedzieli, że nadzwyczaj do cesarza samego i do arcyksięcia Leopolda był podobny (o tém podobieństwie stronnica 31 i 79).

Gdybyśmy chcieli daléj iść za królewiczem w podróży po Europie, musielibyśmy albo dyaryusz Paca przepisywać, albo się ciągle powtarzać. Na główne jednak ustępy jego pochodu wskazujemy.

Dosyć powiedzieć, że najserdeczniejsze przyjęcie wszędzie po drodze spotykało mały orszak polski: to dowód, jak jeszcze wielkiego szacunku podówczas Rplita doznawała pomiędzy narodami. To zacny arcybiskup salzburski (stron. 30, 32); to poczciwy i zacny książę Müncheński staruszek (stron. 37—41) silili się jak mogli, żeby uczcić naszego Władysława. W Kolonii od niejakiego czasu podwojone biło życie. I samo miasto i książę elektor, według wyrażenia staropolskiego, sforcowali się dla królewicza; miasto z elektorem kłóciło się, arcybiskup przywłaszczał sobie nad niém władzę, któréj miasto nie uznawało. Ztąd na wyścigi do królewicza lecieli, miasto i elektor: każde chciało ufetować, przyjąć gościa. Gdyby królewicz przyjął od miasta gościnność, elektor byłby skompromitowany; gdyby od elektora, miasto. Władysław pośrednią wybrał drogę: płynął do Kolonii Renem, więc przez figle po kilku statkach rozrzucił swój orszak, i kiedy spiskowi zgrabnie się znaleźli, jakby kontrabandą dostał się w sam środek Kolonii. Tłumy ogromne obległy jego hotel, zgiełk, zbiegowisko było po ulicach: każdy tak chciał widzieć znakomitego książęcia! Raduje uczucie polskie ta serdeczność ludu kolońskiego (stron. 47—52); królewicz umiał się kręcić, samozwańców rozesłał po mieście, a gdy lud szukał wszędzie jego, on tymczasem obejrzał kościoły i osobliwości, wreszcie wymknął się z Kolonii podziękowawszy i miastu i kommisarzom elektorskim, i kazawszy swemu szafarzowi, co był winien za postój w gospodzie, zapłacić.

Osobnym ustępem w téj epopei był przejazd królewicza przez Belgią. Arcyksiężna infantka przeszła wszystkich serdecznością i wystawnością. Już w Kolonii układała się z Władysławem o ceremoniał przyjęcia, i pomimo najusilniejszych nastawań nic a nic nie wskórała. Królewicz chciał wjechać do Bruxelli incognito. Ale niebezpieczna była droga przez Bel-

gią od Holendrów: ztąd co chwila nowy przystaw, nowy orszak po drodze spotykał Władysława; wreszcie niecierpliwi książęta i grandowie hiszpańscy, zabiegali mu drogę. Książę d'Aumale wychodźca francuzki, przez zbytek szacunku dla królewicza i niecierpliwości zobaczenia go prędzéj, siadł nawet gwałtem mu do karety. 6 września królewicz wjechał do Bruxelli. Sześć niedziel tutaj spędził na samych uroczystościach (wyjechał w dalszą podróż 14 października). Odbył przez ten czas wycieczkę do obozu hiszpańskiego nad granicę, gdzie grzmiało niebezpieczeństwo z powodu wojny z Maurycym Orańskim; oglądał przekopy, wojska, które mu przedstawiał sławny generał Spinola.

Kilka szczegółów charakterystycznych znowu tego pobytu królewicza w Bruxelli, nie może ujść uwagi czytelnika. Uderza wyższością cywilizacyi ówczesnéj polskiej nad hiszpańską; charakter szlachecki, otwarty narodu wyrobił się, czyściejsze pojęcie i zasady u nas, lepsze pojmowanie życia, piękniejsze uczucie dumy i godności narodowéj. Nasi szczycili się sobą i swemi wolnościami; Hiszpanie nadymali się arystokracyą i głupotą. Chociaż Pac i Radziwiłł nie ustępowali pewnie ani starożytnością rodu, ani bogactwami, ani związkami najdumniejszym panom hiszpańskim, jednak co za różnica jednych od drugich! Nasi osobistą zasługą, a tamci tytułami się pysznią, jakby już wszystkie rozumy pojedli, jak gdyby przy dostojności rodu, człowiek mógł już być bezkarnie ograniczonym, niedołężnym, nawet nikczemnym. Śmiesznemi wydali się ci grandowie hiszpańscy Pacowi. „Miał swe w tém dobre konsyderacye królewicz Jegomość, powiada w jedném miejscu Pac, że się nie chciał z temi panami grandami ceremoniować, którzy się wysoko noszą al pari udzielnym książętom i synom królewskim, a nie masz nic, jedno próżny wiatr, którym ich król hiszpański nadyma, chcąc ich tém przyciągnąć do oddawania wiernego poddaństwa, temi próżnemi tytułami zatrzymywając ich w posłuszeństwie. Nie udało się tedy temu, który jest samą rzeczą grando di Polonia, stowarzyszać się, a tém mniéj konkurować z temi pany grandi di Hispania" (stron. 61). Doskonała antyteza! markotni byli grandowie z królewicza, mianowicie z tego, że im nie kazał czapki włożyć w obecności swojéj, bo „król hiszpański, kiedy ich grandami czyni mówi im: covred vos, tojest nakryjcie głowę" (stron. 64). Innego dnia kiedy królewicz z infantą siedział w pokoju, fraucymer go wszystek „witał pojedynkiem, chodząc do niego i klękając przed nim na kolana, jak przed Bogiem jakim, a to jest rewerencya, którą Hiszpanie czynią panom swym" (stron. 65). Śliczny powód do żartów Pacowi z cudzoziemskich zwyczajów.

Wprzejeździe przez Belgią i księztwo Luxemburgskie królewicz przypomniał sobie Polskę. Jest to wprawdzie nasz

domysł, ale nie fakt podany przez Paca, uzasadniony tém przecież, że tutaj wszędzie po drodze widzieli nasi wędrownicy wioski i karczmy ladajakie, a w gospodach zimno, dymno, i chłodno; czasy nie zmieniły się odtąd. I dziś wjeżdżających do Belgii ze strony Niemiec uderza sielskość obrazów, ubóstwo nasze, chałupki wiejskie słomą pokryte, czego wcale od Odry aż po Ren nie widać (porównać nasz artykuł: „Tegoczesna podróż pana Maciejowskiego, w Dzienniku Warszawskim 1853 grud. i 1854 styczeń). Nie omyliliśmy się: Pac przypomina sobie ojczyznę nad Renem: „jużto księstwo Luxemburgskie, powiada, gospody w niém nasze własne, polskie''... (stron. 77).

Przejdziemy do Włoch. Królewicz nasz i tutaj był celem owacyi. Chciał zachować incognito, chociaż Pac nie był za tém, i postawił Wład. na swojém; ale mu to się niezawsze udawało. Gubernator np. Medyolanu Hiszpan hiszpanissimus (str. 93) aż klękał przed królewiczem, żeby pozwolił się wspaniale przyjmować. Chciał stawać królewicz po karczmach i zawsze go ktoś wydał. W Genui trafił nawet na jakiegoś szalbierza Włocha, który nazywał się konsulem, protektorem cudzoziemców wszystkich, jakoto: Anglików, Niemców a mianowicie Polaków (str. 100). Włochy w ogóle oddawna przysposabiały się na przyjęcie znakomitego królewicza: Urban VIII powitał go listem, w którym jasno wyłożone są przyczyny tego zajęcia, jakie królewicz podróżą swoją wzbudził po Europie (stron. 118). W państwie rzymskiém wszystkie honory robił Władysławowi kardynał protektor Polski de Torres (str. 121—2). Na posłuchaniu papież poznał Paca, bo kiedy był jeszcze legatem w Bononii, bawił i Pac tam wtedy, i kortezyował mu, tojest służył (stron. 123). Kardynałowie o Polaków w ogóle nie dbają, mówi nasz autor, ale mimo to rozpływali się w grzecznościach dla królewicza; przed jego przyjazdem narady trwały w Rzymie o sposobach, jak go przyjąć dostojnie. Różne były zdania; Władysław teraz dla ukarania dumy kardynałów oświadczył im, żeby sobie nie zadawali niewczasu wizytami u niego, gdyż czasu mało ma, a przyjechał do Rzymu gwoli nabożeństwa; królewicz więc przestawał tylko z dwoma kardynałami, tojest z synowcem i z bratem papieża. Urban VIII mianował umyślnie Władysława kanonikiem świętego Piotra, żeby mógł widzieć św. Weronikę (relikwie); kanonicy gniewali się troszkę na to, mówiąc: że królewicz zamała figura do tego; że po Karolu V nikomu papieże ieszcze tej łaski nie czynili. Na to papież odparł „że kto tyle bitew wygrał przeciwko poganom jak królewicz, nie jest wcale mniejszym od Karola V''. I Władysław kanonikiem będąc, włożył komżę, wszedł do kaplicy św. Weroniki, wziął ją w ręce, wyszedł na ganek, z którego w Wielkie Piątki zwykle relikwie te ludowi pokazywano; „toż uczynił trzykroć benedykcyą dając; myśmy na

dole z drugiemi patrzali na to, powiada Pac, bo z nas żaden ani Karolem V nie był, ani tak wiele bitew jak królewic z poganami nie wygrał" (str. 129). Naturalnie potém królewicz rezygnował kanonią. Papież dał mu potém poświęconą przez siebie czapkę i miecz ze zwykłemi ceremoniałami, jedno bez assystencyi kardynałów, bo o to królewicz prosił (stron. 135).

W orszaku królewicza dwaj dyssydenci w Rzymie u papieża niebardzo byli na miejscu. Są tu też ciekawe a charakterystyczne o nich anegdotki (stronnica 123, 137).

We Florencyi z powrotem do Polski, ciągle musiał królewicz bywać na komedyach. Grano tam między innemi sztukę „Ruggiero i Alcyna", którą wytłumaczył potém na polskie Jagodyński, na pamiątkę pobytu królewicza we Florencyi. W. książę ustanowił wtedy nową fundacyą rycerską, którą Geraldą przezwano (str. 141—4). Geraldi był to szlachcic włoski zasłużony osobiście Zygmuntowi III: dla niegoto stanęła ta fundacya. Ale milsze królewiczowi było zdarzenie, kiedy książę na jego prośbę udarował wolnością „8-miu Ruśniaków naszych, powiada Pac, którzy między więźniami na galerach byli w Liwurnie, właśnie w tym czasie, kiedy królewicz tę nadmorską fortecę zwiedzał" (stron. 144). Szczegółu charakterystycznego nie pominiem. We Florencyi przy królewiczu odbywała się gra piłek, połączona z bitwą na kułaki i pięści. Musiało coś być wielkiego w tej grze, kiedy panowie florenccy prosili naszych, żeby téj gry do Polski nie zaprowadzali.

W Wenecyi najświetniejszą na cześć królewicza wyprawiono regatę (stron. 161). Bawiący podówczas w Wenecyi jako poseł czy rezydent angielski, Wake, pod dniem 18 marca 1625 donosi swemu rządowi, o przybyciu królewicza do tego miasta, i szerszy nieco daje opis przyjęcia, jakie w Wenecyi zgotowano Władysławowi; widać, że polecenie było dane wszędzie ajentom angielskim, ażeby mieli na widoku osobę królewicza. Anglia wyraźnie się niepokoiła tą podróżą. Wake pisze, że królewicz wydawał się w Wenecyi smutnym, że go żadne przygotowania uroczystości nie bawiły, co niemało zmartwiło szlachtę wenecką, która nie szczędziła wcale zabiegów ku temu, żeby królewiczowi okazać uszanowanie swoje i radość (J. U. N. Zbiór pamiętników T. V, stron. 452).

Zaledwie napomknęliśmy tutaj o uroczystościach, których celem był królewicz polski, ależ to dosyć, żeby przekonać, jak dalece Polskę, jak osobiście Władysława szanowano. Piękne to były czasy sławy i potęgi narodowéj, jeszcze nie nachylonéj do upadku.

W Wiedniu z powrotem królewicz zajął się szczerze sprawą brata swego Karola Ferdynanda, względem biskupstwa wro-

cławskiego. Szczegóły które tutaj podaje Pac są nowe i ciekawe, bo świadczą o resztkach wpływu polskiego na Szlązku.

Powróciwszy z Neapolu, w Rzymie 17 stycz. dowiedział się Władysław o śmierci arcyksięcia Karola, która nastąpiła w Hiszpanii 28 grud. „z nieszanowania znać i z niepomiernego jedzenia i picia trunków mocniejszych, co tam jest śmiertelne“ (str. 135). Biskupstwo wrocławskie obiecane po nim królewiczowi polskiemu. Dojeżdżając do Wiednia, spotkał Władysław po drodze Przerębskiego kasztelana sieradzkiego, który tylko co przyjechał w poselstwie do cesarza z żalami ze śmierci arcyksięcia i z doniesieniami też o śmierci królewnéj siostry Zygmunta III. Ale głównie (tamto wszystko było pozorne) z prośbami o biskupstwo wrocławskie. Koadjutorem arcyksięcia był już wprawdzie od niejakiego czasu królewicz, ale że „instrumentum to coadjutorii nie z tym dozorem i dokładem jako potrzeba było sprawowane było“ (stron. 165), ztąd kapituła wrocławska zadawała instrumentowi niepewność, domagając się wolnéj elekcyi, chcąc jednego z siebie wynieść na biskupstwo. Dużo było i o to kłopotu, ale królewicz w Rzymie jeszcze zabezpieczył się; nadrobił z papieżem, tak, że na wszystkie niepewności i obawy kapituły, mógł zwycięzko odpowiedzieć. Zresztą cesarz, który ciągle z wielką grzecznością był dla Władysława, oświadczał się za dawnemi układami, a Zygmunt naglił. Takiéj przemocy oporu stawić nie mogła kapituła. 4 kwietnia stanął królewicz w Wiedniu. Opuszczali go tutaj Polacy, przodem książę Radziwiłł odjechał, zleciwszy rządy swe przy królewiczu panu sieradzkiemu, zanim Żółkiewski starosta kałuski pospieszył. Chciał i Pac ich naśladować, ale niebardzo mu się godziło królewicza odbiegać. 18 grudnia dopiéro Władysław wyjechał z Wiednia, jak najserdeczniéj przyjmowany przez cesarza i cesarzową. Na Szlązku ledwo co nie umarł w drodze z konwulsyi, które go nagle napadły. W Nissie dla sprawy brata zatrzymał się cokolwiek. 26 kwietnia nie było już tutaj tego serdecznego przyjęcia, jakiego doznał przed półrokiem; nowy pałac od arcyksięcia biskupa zbudowany, kanonicy wrocławscy opanowali. Ztémwszystkiém Władysław postanowił w Nissie czekać na konie i wozy z Polski, a tymczasem brał lekarstwo i łowami się bawił. W dwa dni po przybyciu do Nissy odebrał wiadomość z Wrocławia. Długo spierali się kanonicy, wreszcie ulękli się, królewicz polski miał za sobą prawo, a do tego gromady Lisowczyków po granicy polskiej wieszały się; nie cieszyła téż ich bytność królewicza. Zlękli się o siebie, o Wrocław, o cały Szlązk. Jednomyślnie więc brata Władysławowego obrali biskupem. Zaraz do Władysława do Nissy słali, żeby za to Lisowczyków od granicy odsunął: to największy strach był. Wdzięcznato była królewiczowi nowina, ile, żenie spodziewał się zwycięztwa bez walki,

a wiedział co kanonicy odpisali Zygmuntowi ojcu, z czém posłali do cesarza i Rzymu, jak opierali się na prawie swém; jak aż do gardła chcieli bronić wolnej elekcyi. Sprawa Boża to była. Więc królewiczowi w Nissie zdało się zaraz wyprawić kogo do kapituły wrocławskiej, wdzięcznie przyjąć elekcyą brata, wszystko pożądane po nim i po wszystkiéj Rzplitéj obiecywać, swoje téż chęci szczególnie ofiarować, a ludzi swawolnych polskich od Szlązka wstrzymać. Pac pojechał z tém poselstwem. Publicznie odprawiał je w kapitule, i odpowiedź otrzymał pełną podziękowań i poddania się. Więc 2 maja opuścił Nissę pan sieradzki, rządy Pacowi zdawszy; więc 8go pan Kazanowski starosta kokenhauski przyprowadził konie i wozy; więc 11go wyjechał królewic z Nissy, stanął 22 maja w Warszawie, przyjęty z największą radością od króla, królowéj i braci.

Królewicza Władysława widzim w téj podróży wesołym, lubiącym niespodzianki, grzecznym, uprzejmym. Byłto rycerski, prosty, szlachetny, otwarty charakter. Nie lubił żadnych wystawności, zgiełku i parad. Niedumny, nic sobie nie robił z pochlebstw, z tytułów, z grzeczności, jakiemi go obsypywano. Wszędzie mu wyrządzano honory, mimo prośb, mimo obietnic. Śmiertelny wróg etykiety, miał w sobie wiele z tych cech, któreto stanowią typ szlachcica polskiego. Byłto więc nie pan, nie magnat na cudzoziemską stopę, był to prawdziwy królewicz polski. Musieli go téż serdecznie kochać młodzi jego towarzysze podróży téj i spraw rycerskich. Światły, znał się na sztukach pięknych. W Antwerpii oglądał pracownie różnych malarzów, a mianowicie Rubensa; podziwiał malowidła kościelne i w ogóle budowę kościołów (stron. 67.) W Bononii zwiedzał pracownię drugiego artysty Guido Reniego, który przy nim nawet malował „z wielką politessą i prędkością“ (stron. 116), a muzyki co się królewicz nasłuchał! Przeszłością swoją, powierzchownością, obejściem się, światłem, mógł królewicz w istocie oczarować spółczesnych. Rzeczywiście mało mu równych było książąt w Europie. I dlatego podróż ta, którą Pac opisał, wiele po sobie, po różnych krajach zostawiła wspomnień.

Głęboki znawca historyi narodowéj i trafny o niéj sędzia, który w Dzienniku Warszawskim (1855 kwiecień) pisał o książce pana Plebańskiego, wytknął głowne jéj zalety i wady, i zachęcał pracowników do obrobienia téj ciekawéj podróży, krytycznie i porównawczo. Nie mamy co dodać do jego uwag, tak są trafne, prawdziwe; ale kiedyśmy tyle o saméj podroży i dyaryuszu jej napisali, słów kilka nie będzie nikomu od rzeczy o samym jej autorze. Charakter Paca interesuje historyą. Był później podkanclerzym i wielki wpływ wywierał na sprawy narodowe. Charakterystyka tego człowieka stanu, którą w prywatnéj korrespondencyi skreśla nam autor artykułu w Dzienniku Warszawskim, jako dopełnienie samego artykułu, nic nie pozostawia

do życzenia. Dajemy ją tutaj dosłownie, gdyż w Dzienniku już być drukowaną nie mogła.

„Stefan Pac, natenczas pisarz W. ks. lit., mowi bezimienny a zdolny spostrzegacz dziejów narodowych, w orszaku królewicza po Stanisławie Radziwille był drugim z rzędu, co do znaczenia i powagi, równie jak książę kanclerz, człowiek młody, bywały i dobrze uczony, ale od niego wolniejszy w obyczajach i wierze. Do rzeczy więcéj zajmujących, należą postrzeżenia własne autora i te szczegóły, z których o nim samym cośkolwiek wnieść można; zapiszę ich kilka zasługujących na uwagę.

„We Wrocławiu królewicz znajomi się za stołem z jakimciś Szlązakiem; jako żołnierz z żołnierzem uczynił z nim przyjaźń, zkąd przyszło do dalszéj konfidencyi i do odwiedzin pewnéj nadobnéj wdowy w klasztorze (Obraz str. 15 i 16). Pac mówi o tém bez żadnej wstecznéj myśli, którąby go mogła w tém postępowaniu urazić; tak samo i o gospodyni pod złotym gryfem w Lincu, któréj przepłacili za to, że była młoda i gładka (tamże kar. 27 i 28), na co nasi nabożniszkowie nie patrzali, dodaje, odnosząc to, jak mi się widzi, do Radziwiłła. Podoba mu się zwyczaj w Baden, gdzie się kobiety (panny nawet) z mężczyznami kąpią pospołu, ale powiada, podobnoby się tém nasze święcice gorszyły (tamże kar. 26). Daléj żartuje z pustelnika, który uciekł z ogrojca ks. arcybiskupa salzburskiego, chociaż mu podostatkiem żywności i dobrego wina dodawano, a z delicii i dewocii grę słów układa (tamże kar. 33). W ciągu podróży mówiąc o jednym noclegu, przeziera w tym rodzaju myśl jeszcze mniéj skromna (tamże kar. 164). Tańcuje u kanoniczek niwelskich (tamże kar. 75), pije wino u zakonnic św. Daniela (tamże kar. 161); a kiedy Wenetowie zagrozili galerami i wypędzili z miasta Kapucyna, który ich strofował o przyjmowanie królewicza z zapomnieniem wielkiego postu (tamże karta 162) nie widać ze słów autora, aby im o ten brak pobożnego skrupułu bynajmniej przyganiał.

„Podobnych rysów znalazłoby się więcéj, ale są i takie, które im wyraźnie zdają się zaprzeczać. Wpływ dworu, któremu służył, pieczęć swoję i na umyśle Paca odcisnął. W Alzacyi, kraju wesołym, smutno mu, że mało katolików (tamże k. 81). Przyczyna świętego Władysława ratuje pakunki od grabieży (tamże kar. 86). a odświeżenie krwi świętego Januarego, jestto jeden cud, jaki w życiu swém widział (tamże k. 132); to też książę Radziwiłł, wspominając o jego śmierci, nazywa go mężem gorliwością wiary pałającym (Pamiętniki pod rokiem 1640, listopad).

„Wiara polityczna autora jest mniéj wątpliwą: jestto szlachcic rzeczypospolitéj, która się w możnowładztwo przeradzać zaczęła. Grandów hiszpańskich nadętemi próżnym wia-

trem być mieni (Obraz k. 61); podług niego kardynałowie wysoko się noszą (tamże k. 114), bo cóż oni dbają o Polaki (tamże k. 123), dodaje z niechęcią. O Szwajcarach mówi, że im wszystko uchodzi favore ebertatis (czytaj libertatis dla sensu), które to chłopstwo, wybiwszy panów sobie uzurpowało (tamże k. 86). W drodze, mówi daléj, minęliśmy pomnik ich piérwszéj rebellii, o któréj historya bajce podobna; łacno jéj zkąd inąd zasiądz ja pisać nie będę (tamże k. 87). Nie przypadła mu do smaku gra niemiecka z rozdawaniem urzędów dla mieszaniny, w któréj dostawało się panom być woźnicami, masztalerzami i t. p. (tamże k. 81) i niebardzo się przyznawał do Paców w Florencii, gdzie się szlachectwo bardzo z kupiectwem przymieszało (tamże k. 142).

„Dziennik Paca jest dziełem dobréj wiary, i nie myślał go pewnie wydawać; kiedy królewicz odmówił stanąć w Monte Cavallo, uważa to być błędem, ale ten (prawi) niech przejdzie z innemi błędami (tamże k. 123), pochlebiać przeto nie miał zamiaru, a kiedy trochę niżéj o przewagach Władysławowych nad pogany nadmienia (tamże k. 129); sam sposób wyrażenia żartobliwego pokroju tłumaczy jasno, co o tém sam u siebie rozumiał".

Piszemy się na te wszystkie wywody i wnioski, ale jednak do tych rysów dodamy kilka innych, których może nie zauważał szanowny nasz korrespondent.

Że Pac był satyrykiem, to zaraz widać. Jeżeli przymawiał królewiczowi, Radziwiłłowi i kardynałom i rycerstwu polskiemu za wyprawę pruską (str. 72), przymawiał i w ogólności Polakom, gdy narzekał, że u nas kuchnie większe niż dom, i że wszystkie intraty idą na brzuch (stron. 102). Rozmowny bardzo nie był, umiał się trzymać na ostrożności, często mówił pół gębkiem, w podróż się wybrał przez uczucie powinności dla króla, gdy go oto prosił; to znowu szlachetnie z jego strony, bo nawet żonę rzucił. Notował sobie dyaryusz podróży dla pamiątki gdzie był i co widział, ale nie myślał o sławie literackiéj; rzeczywiście zostawił bogaty materyał, z którego już korzystał Kobierzycki i Wassenberg. Materyał to obyczajowy, doskonały, rzadki. W opisy miejscowości Pac się nie wdaje, bo mówi tylko o przygodach podróży, zresztą tłumaczy się zawsze, że są księgi z opisami, więc i tutaj z gadulią się nie popisuje. Co zaś do jego wiary, szczególcharakterystyczny jest o księdzu Dominiku karmelicie, który miał o sobie opinią świątobliwości „i znać cuda czyni" powtarza Pac (str. 129), ale zaraz zwyczajem swoim żartuje i przytacza anegdotę, że cesarzowa niebardzo dowierza ojcu Dominikowi, bo dwa razy jéj obiecywał syna, ale napróżno. Pac nie widział krwi ś. Jana Chrzciciela w Neapolu, ale za to widział jak się inna krew ś. Januaryusza spiekła i twarda jak kamień, rozpuszczać poczęła. Pac troszkę filozof, troszkę racyonalista,

powiada jednak przy tém zdarzeniu „jam nigdy na świecie cudu nie widział żadnego, jedno ten" (str. 135). Z największym szacunkiem mówi wszędzie o papieżu, i żartuje z Denhoffa, który raz na obiedzie w Rzymie musiał klękać przed Urbanem VIII. Kilka razy Pac, ojca św. w nogę z pobożnością całuje; Urban mu prawi komplementa, cieszy się, że Pac pochodził z familii florenckiej, „a jam też nie zapierał" (stron. 138 143). Chociaż Pacowie florenccy naówczas kupcami byli, ale to nie psuło ich szlachectwa, jak wszystkiéj szlachty florenckiéj; więc zawsze nasz Stefan mógłby się szczycić związkami rodzinnemi z Florencyą, ile, że Paćowie emulowali niegdyś długo z Medyceuszami: nie robi tego przecież, nie sprzeciwia się, kiedy mu o tém mówią, ale prawie tym związkom rodzinnym nie wierzy, nie dlatego, jak sądzim, że to kupcy dzisiaj, jak utrzymuje autor artykułu w Dzienniku Warszawskim. Przeszłość Paców florenckich za świetną była, żeby się jéj wyrzekać miał jaki pan dumny. My więc w tém zapieraniu się naszego Paca widzim dowód nowy, jego niepospolitego rozsądku i jasnego widzenia rzeczy, iż nie gonił nigdy za cieniem.

D. 19 maja 1855 r. *Julian Bartoszewicz.*

ROZMAITOŚCI.

Słówko o przyczynach upadku miast w dawnéj Polsce.

Stan miast naszych za czasów Piastowskich, a poniekąd i za czasów Jagiellońskich jeszcze, był bardzo kwitnący. Świadczy o tém nietylko historya, ale nadto i wiele innych niemylnych dowodów, jakoto: przywileje odnoszące się do założenia lub rozszerzenia rękodzielni i fabryk; szczątki bruków ciągnących się długim promieniem wokoło niektórych, dzisiaj lichych miasteczek; daléj, zwaliska zamków i murów otaczających niegdyś miasta; znachodzone tu i owdzie ślady urządzeń dotyczących porządków miejskich, jako: utrzymania bruków, dróg, mostów, wodociągów, grobel; wreszcie częste wzmianki o istniejących niegdy w wielu miastach woskowniach, tartakach, młynach, cegielniach i t. p.: słowem, wszystko przekonywa, że stan miast naszych był dawniéj wcale odmiennym od tego, w jakim się one znajdowały w wieku XVII i XVIII.

Chylenie się miast do upadku następowało zwolna, długim lat ciągiem, a następowało skutkiem wielu nieprzyjaznych okoliczności; zbadać je bliżéj i wykazać, zadaniem jest właśnie niniejszego pisma.

Wiadomo, że miasta polskie były albo królewskie, albo duchowne, albo szlacheckie. Z tych pierwsze jako najdawniejsze, służyły dla innych pod względem organizacyi niejako za wzór.

Miasta królewskie początkowo całkiem wolne, przypuszczone były do udziału w obradach krajowych, i krom własnéj jurysdykcyi, zależały jeno od najwyższych magistratur sądowych. Miasta duchowne i szlacheckie, jakkolwiek podlegały zwierzchnictwu swych właścicieli, miały sobie jednak po wielkiéj części nadane prawo magdeburskie, które ich zasłaniało od

wszelkiego rodzaju nadużyć i prywatnéj przewagi. Kiedy atoli nastał w Polsce rząd elekcyjny, a szlachta przyjęła władzę prawodawczą, sądową i wykonawczą, i tym sposobem stała się wyłącznym uprzywilejowanym stanem w państwie, garnąc w siebie poniekąd i duchowieństwo, jako po większéj części także ze szlachty złożone: wtedy interes pojedynczych właścicieli jął brać górę nad dobrem ogółu, i począł się ucisk miast.

Wprawdzie królowie troskliwi o byt i pomyślność miast, potwierdzali nadane im dawniéj przywileje posiadania własnego sądownictwa i odnoszenia się dopiéro w drugiéj instancyi do wyższych władz krajowych; potwierdzenia te jednak mało już mogły skutkować, gdyż mieszczanie coraz to bardziéj tracili na znaczeniu, a podpadali wpływowi i supremacyi szlachty. Starostowie w miastach królewskich, a dziedzice w miastach prywatnych, umieli sobie coraz więcéj przywłaszczać władzy, jużto wpływając na obiór urzędników miejskich, którzy bez ich potwierdzenia obowiązków swych sprawować nie mogli, jużto nie dopuszczając apellacyi i rozstrzygając sami zaszłe spory; jużto w razie poniesienia sprawy przed sądy wyższe, kaptując sobie sędziów będących także szlachtą i po większéj części miast właścicielami, a więc niebardzo za mieszczanami obstających; już wreszcie w przypadku wygranéj mieszczan, tamując exekucyą zapadłych wyroków.

Obok tego zaprowadzone różnego rodzaju opłaty, szkodliwie oddziaływały na stan przemysłu, ubożąc i tak już niezamożnych mieszkańców miasteczek. Nie było prawie procederu albo rzemiosła, któregoby w tém lub owém mieście, krom podatków, danin kościelnych i składek cechowych, nie obciążono nadto jakiemi opłatami starościńskiemi lub dominialnemi.

I tak naprzykład: rzeźnicy w Kaliszu musieli płacić od rzezi złp. 1000, a rzeźnicy w Stawiszynie złp. 600 rocznie, na rzecz miejscowych starostów. W Słupcy piwowarowie wnosili do dworu złp. 1000 rocznie. W Kole, starostowie pobierali dość znaczne opłaty od szewców. W Krotoszynie każdy rzemieślnik opłacał do dworu złp. 8 rocznie, a mydlarze złp. 60 rocznie; a prócz tego dominium ciągnęło zyski z monopolu przedaży wina i śledzi, co i w wielu innych miastach, jak: w Raczkowic, Pleszewie i t. p. miało miejsce. W Jutroszynie, każdy kramarz płacił dworowi złp. 16 rocznie. We wszystkich zaś prawie miastach kunczący solą wnosić musieli roczną opłatę do dworu albo starostom.

Nader téż dotkliwie uczuć się dało miastom uszczuplenie lub odjęcie im niektórych dochodów, co lubo na pozór nie zdawało się w szczególności ukrzywdzać pojedynczych mieszkańców, w skutkach jednak okazało się być bardzo uciążliwém, bo zwaliło na karb ich opędzanie potrzeb miejskich, zaspokajanych

dawniéj z owych upadłych dochodów, i pozbawiło miasta możności zaprowadzania nowych porządków i ulepszeń, a nawet należytego utrzymania tych, jakie już piérwéj istniały. Niektóre dochody uszczuplone zostały miastom w skutek uchwał sejmowych, jak naprzykład w skutek uchwały, dozwalającej szlachcie dostawiać i przeprowadzać swoje produkta bez opłaty myta grobelnego, mostowego, brukowego; co naturalnie zrządzało znaczny uszczerbek w funduszach miejskich.

Czytając dawne przywileje lokacyjne, dziwić się zaiste należy, jak dalece miasta ogołocone później zostały z służących im praw i dochodów; i jak umiano przywłaszczenia te utrwalić, jużto wniesieniem ich do lustracyi, jużto zyskaniem przysądzających dekretów, albo drogą przymusowych układów. Mówimy przymusowych, bo trudno przecież przypuścić, ażeby miasta zrzekać się miały dobrowolnie swoich praw i dochodów, bez otrzymania odpowiedniego wynagrodzenia, i brać jeszcze na siebie przywiązane do nich ciężary. A jednakowoż że się tak działo w istocie, objaśni kilka następujących przykładów.

Miasto Kalisz posiadało od niepamiętnych czasów własne młyny, do których starostowie wielkopolscy urościli sobie późniéj prawo, i takowe im téż uchwałą z r. 1616 przysądzone zostały, z tém atoli zastrzeżeniem, iż młyny te pozostaną nadal w wieczystém posiadaniu miasta, za opłatą rocznego czynszu złp. 1700 na rzecz starostw. Nie poprzestając na tém wszakże, nie omieszkali następnie starostowie tak pokierować sprawę, iż wbrew powyższemu zastrzeżeniu, ustanowiony z młynów czynsz roczny, czyto skutkiem zmiany wartości i stopy monetarnéj, czy z innych powodów, uległ kilkokrotnemu podwyższeniu. Ostatni zaś starosta, Kazimiérz Nałęcz Raczyński, dokazał wreszcie tego, że w r. 1786 miasto Kalisz zobowiązało się nietylko opłacać czynsz w ilości rocznéj złp. 5500, ale nadto ponosić w znacznéj części podatek kwarty do intrat starościńskich przywiązany; co wszystko po wliczeniu nawet dochodu z młynów, czyniącego zaledwie tyle, co i sam czynsz wynosił, przymnożyło miastu kilka tysięcy rocznego wydatku prócz kosztów, jakie utrzymanie i reparacyą młynów za sobą pociągały.

Miasto Koło miało sobie przywilejami zapewnione prawo poboru myta mostowego, i otrzymywania z lasów starościńskich bezpłatnie drzewa na reparacyę mostu potrzebnego. Tymczasem wbrew temu przywilejowi, uchwałą sejmową z r. 1768, prawo poboru myta powyższego przyznano miejscowemu staroście, wkładając nań obowiązek utrzymywania swym kosztem mostu. Wszelako nawet i temu ostatniemu obowiązkowi nie stało się zadość, i miasto niedosyć że postradało dochód z mostu, ale

nadto musiało go jeszcze własnym kosztem utrzymywać i naprawiać.

Miasto Krotoszyn posiadało z mocy przywileju własną cegielnię, którą sobie następnie dominium nie wiedzieć z jakiego tytułu przywłaszczyło.

Śledząc daléj przyczyny upadku miast, do rzędu ich zaliczyć także można uszczuplenie dochodów konsumpcyjnych, spowodowane tém, iż niemal we wszystkich wsiach w pobliżu miast leżących, praktykowała się rzeź bydła; przez co rzeźnicy miejscy, jako obciążeni opłatami, nie mogąc wytrzymać konkurencyi, bardzo wiele szkodowali: albowiem mieszkańcy zamiast coby u nich mięso kupować, kupowali je po wsiach gdzie było tańsze. Podobnież i prawo propinacyjne służące miastom, uległo późniéj naruszeniu. Pominąwszy bowiem przywilej milowego, zapewniony niegdy wielu miastom, jak naprzykład Wieluniowi, Zagurowu i t. p., a uchwałą sejmową następnie uchylony; to prócz tego, główny uszczerbek propinacyi miejskiéj zrządzały karczmy szlacheckie coraz gęściéj tuż przy miastach stawiane. W karczmach tych sprzedawano piwo i wódkę taniéj niż w mieście, bo szlachta mając własne zboże, drzewo i pańszczyznę, a przytém nie ponosząc czopowego i zyskowego, mniejszym też kosztem mogła browary i gorzelnie swe urządzać. Cała gawiedź miejska biegła hulać w poblizkich karczmach szlacheckich, a mieszczanie pozbawieni odbytu, obarczeni ciężarem opłat, ujrzeli się z czasem w smutnéj konieczności zamykania swych browarów i gorzelni, marnowania własnego mienia.

Z miastami prywatnemi jeszcze gorzéj się stało: tym bowiem prawo propinacyi z mocy uchwały sejmowéj z r. 1775 całkiem odjęto, przelewając takowe na korzyść dziedziców. O ile skutkiem tego mieszczanie ucierpieli, łatwo sobie wyobrazić. Zabudowania i aparaty browarne i gorzelane, albo za bezcen przyszło im spieniężyć, albo zniszczeniu zostawić.

Śród takich okoliczności musiał naturalnie i przemysł doznać stagnacyi, zwłaszcza, że się ku takowemu naród nasz nigdy nie garnął zbytecznie, zostawiając raczéj obcym przybyszom otwarte pole działania, a miłując nad wszystko ziemię i powołanie rolnicze. To też i mieszczan polski rzadko bawił się rzemiosłem lub handlem, a żył głównie z pracy około roli; w znaczniejszych zaś miasteczkach rachował najwięcéj na dochód z domostw najmowanych szlachcie, zjeżdżającéj licznie na sejmiki, sądy, odpusty, jarmarki. Do tego stanu rzeczy przywiodło wprawdzie głównie to, że przemysł i handel miast naszych w samych niemal początkach swego rozwoju zachwiany został, skutkiem nadzwyczajnego napływu żydów, którzy prześladowani i wygnani nawet ze wszystkich prawie krajów zachodniéj Europy, znajdując w jednéj tylko Polsce przytułek i tolerancyą, co-

raz liczniéj tu osiadali. Wynalazek wexli obmyślony przy końcu XV wieku przez żydów, i przez długi czas im samym tylko znany, posłużył im dzielnie do zmonopolizowania w swym ręku całego ruchu handlowego. Stan mieszczański nie mogąc przenieść cisnącéj go rywalizacyi, usunięty od handlu, chwiał się, upadał; aż wreszcie znikł niemal całkiem, strącony do rzędu gminu, albo przeobrażony w klassę rolniczą. Żydzi obcy mową, religią, zwyczajami, zawistni chrześciaństwu, kładnący pieniądz jedynym celem swoich zabiegów, stłumili żywioł mieszczański, nie posiadając sami bynajmniéj przymiotów, ażeby go mogli godnie zastąpić.

Odtąd wprawdzie namnożyło się miasteczek, bo zamożniejsza szlachta prześcigała się w przemienianiu swych wiosek na miasta, osiedlając je skwapliwie przybywającemi żydami; ale właśnie samo to zbyteczne namnożenie miasteczek, bez względu na potrzeby kraju i jego ludności, sprawiło: że miasteczka nasze górowały raczéj ilością a nie jakością; i że nie mając już prawie żadnego odbytu, wadziły jedne drugim i grzęzły coraz bardziéj w biédzie, zaniedbaniu i opuszczeniu.

Klęski wojenne dokonały reszty. Zniszczenia mieczem i ogniem przez Szwedów zrządzone, przywiodły do ruiny prawie wszystkie nasze miasta. Późniejsze zaś wypadki nie były zaiste tego rodzaju, ażeby je mogły były z upadku podźwignąć.

Odezwa redakcyi Roczników Gospodarstwa Krajowego do Obywateli ziemian (*).

Na doroczném św. Jańskiem r. b. posiedzeniu, odbytém, jak zwykle, pod przewodnictwem JW. Gubernatora Cywilnego gubernii warszawskiéj, zebrani akcyonaryusze, właściciele Roczników Gospodarstwa Krajowego, jednomyślnie przyjmując projekt jednego z pomiędzy siebie, upoważnili redakcyą do następującego ogłoszenia:

Zważywszy, że jak każdy człowiek przez cały ciąg życia uczyć się powinien, tak w szczególności w kraju rolniczym, rolnik, aby powołaniu swemu odpowiedział, w usiłowaniach postępowych zalegać nie może; rolnictwo bowiem, w ostatnich zwłaszcza czasach, silnie, znakomitym rozwojem nauk przyro-

(*) Odezwę niniejszą najchętniéj redakcya Biblioteki Warszawskiéj zamieszcza w swem piśmie; uważa bowiem, że doprowadzenie do celu tak pięknego pomysłu, zbawienne dla kraju naszego zapewni owoce. *P. R.*

dzonych poparte, stało się umiejętnością, wymagającą wielu specyalnych, tak teoretycznych, jako i praktycznych wiadomości.

Zważywszy, że sama teorya rolnicza, jako z natury swéj ogólna. lubo podaje nam zasady na doświadczeniu oparte, nie jest wszakże zdolną przewidzieć rozlicznych względów, z okoliczności miejsca i czasu wypływających; — głównie zaś praktyki rolniczéj zadaniem jest, trafne i umiejętne stosowanie zasad teoryi do klimatu, gatunku ziemi, potrzeb i usposobienia mieszkańców, oraz wszelkich innych okoliczności, których należyte uwzględnienie, rolnikowi możliwe maximum zysku zapewnia.

Zważywszy, że kraj nasz, opiekuńczym Wysokiego rządu rozporządzeniom, już oddawna zawdzięczając istnienie Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie, z którego corocznie znaczna liczba usposobionych rolników na Królestwo się rozchodzi, posiada pośród siebie wielu ziemian, zdolnych i gotowych śledzić ciągłe dalsze postępy nauk rolniczych, a tém samém korzystnie wpływać na wzrost własnego naszego rolnictwa.

Zważywszy, że do zaprowadzenia ulepszonego gospodarstwa, dobry praktyczny przykład najskuteczniéj rolników zachęcać jest mocen, a pojedyncze usiłowania, któremi w téj mierze kraj nasz szczycić się może, wyjątkowe tylko i w nader ograniczonym zakresie skutki przynoszą: należałoby więc te rozstrzelone usiłowania, w pojedynczych miejscowościach jaśniejące, w jedno zebrać ognisko, któreby, jak pochodnia, przyświecając postępowi rolnictwa całego kraju, prawdziwie było dla niego praktycznym gospodarstwa wzorem.

Zważywszy nareszcie, że aby taki wzór gospodarstwa odpowiedział powyższym użyteczności publicznéj warunkom, powinien być jawnym, zostawać poza sferą indywidualnych względów i nie być ścieśnionym warunkami nieoznaczonego czasu istnienia; to wszystko mówimy, zważywszy, niniejszém projektuje się:

Zawiązanie Spółki rolniczéj, bezimiennéj, na lat 40, z kapitałem mniej więcéj 45,000 rsr. mającym się zebrać z rozsprzedaży odpowiedniéj liczby akcyi, każda po rsr. 30; — a to w celu założenia i prowadzenia w blizkości Warszawy, na odpowiednią skalę, gospodarstwa wzorowego, oraz odbywania stosownych prób i doświadczeń, pod kierunkiem Zarządu, złożonego z osób, najpraktyczniéj z istotnemi potrzebami krajowego gospodarstwa obeznanych, a do których wyboru i wyznaczenia, sami akcyonaryusze powołanemi będą.

Skoro redakcya zyska pewność zebrania połowy wspomnianego tu kapitału, tojest kwoty 22,500 rsr, już poczyta się

za upoważnioną do przedstawienia spółki pod zatwierdzenie Wysokiego Rządu; a następnie samymże akcyonaryuszom nie omieszka przełożyć dalszego rozwinięcia myśli zasadniczych projektu, który niniejszą odezwą w treści podaje.

Dla doprowadzenia tegó zamiaru do skutku, szanowni Ziemianie, myśl powyższego projektu podzielający, raczą redakcyi Roczników Gospodarstwa Krajowego, do dalszego użytku, nadsyłać podpisane przez siebie deklaracye.

Warszawa, dnia 28 sierpnia, 1860 r.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Glin (Aluminium). Professor Dumas przedłożył 20 czerwca r. b. Akademii umiejętności paryzkiej w imieniu p. H. S. C. Deville, piérwsze okazy glinu, wyrobionego przez tego chemika kosztem cesarza, w zakładzie wyrobów chemicznych towarzystwa z Javel. Metal tą razą przedstawiony nie stanowi tak jak dawniéj cienkich blaszek, ale jest w kształcie walców w liczbie około 12, długich blizko na 30 centymetrów, a szerokich 3 do 4 centymetrów. P. Dumas zrobił uwagę, że pomiędzy własnościami odznaczającemi ten metal stopiony, nie uważano dotąd jednéj, tojest dźwięczności; dla przekonania zaś o niéj, zawiesił jeden z walców na sznurku, a uderzając go, wydobył dźwięk najwyraźniejszy metaliczny. Co się tyczy sposobu otrzymywania tego piérwiastku, w następnych słowach p. Deville go opisuje:

„Otrzymywanie pod względem przemysłowym materyałów, które podług mnie były potrzebne do utworzenia glinu, tojest chlorku glinu i sodu; zdaje mi się być rzeczą rozwiązaną, wyjąwszy chyba zmiany aparatów z postępem fabrykacyi na wielką skalę“.

„Chlorek glinu wyrabia się przez działanie chloru na mieszaninę glinki i smoły z węgla kamiennego, poprzednio wspólnie wypalonych w retorcie zwyczajnéj, jakiéj się używa do otrzymywania gazu. Z doświadczeń moich okazało się, że chlor działa na warstwy mieszaniny grube na 1 do 2 najwięcéj decymetrów. Zgęszczanie chlorku uskutecznia się w izbie murowanéj, wyłożonéj wewnątrz kaflami fajansowemi. Tym sposobem otrzymany chlorek glinu przedstawiony Akademii, był w postaci ciała zbitego, znacznie ciężki, i składał się z kryształków barwy

żółto-siarkowéj. Chlorek ten mało zawierał żelaza, ale przy otrzymaniu glinu, w zupełności się oczyszczał, ponieważ jego para przechodziła przez rozpalone żelazo w cieple około 400°. Półtoro-chlorek żelaza, równie lotny jak chlorek glinu, zmienia się w zetknięciu z żelazem w chlorek piérwszy, i staje się względnie mówiąc, nielotnym. Para chlorku glinu wychodzi z przyrządu, i tworzy kryształy bezkolorowe i przezroczyste".

„Sod zaś otrzymuje się dzisiaj w wielkich i małych naczyniach z nadzwyczajną łatwością, i to zapewne w cieple blizkiém topiącego się srebra, bo rzeczywiście walce do powyższego celu użyte nie były nawet tak ogrzewane, jak tego potrzeba przy wydobywaniu cynku".

„Już dzisiaj nie przepędzam powtórnie sodu, ale odrazu otrzymuję czysty".

„Oddziaływanie chlorku glinu na sód, uskutecznia się w rurkach metalowych, ale ani ich kształt, ani téż sposób postępowania nie odpowiadają przemysłowości, i dlatego przy tej robocie otrzymany wydatek, może być powiększony: spodziewam się, że okoliczność powyższa wkrótce zostanie przezemnie usuniętą".

W takiém położeniu rzeczy, każdy zapytać się może, czy jest nadzieja, że glin otrzymywany będzie po cenie, któraby pozwalała zastosować go do rzeczywistych użytków: ponieważ cena dzisiejsza jest jeszcze wysoka. Zapytany w tym celu p. Dumas przez jednego z członków Akademii, odpowiedział, że tego spodziewać się należy, gdyż sód, którego kilogram kosztował 1000 franków w tych czasach gdy zaczęto robić próby dla wydobycia glinu, może być dziś otrzymany za 10 franków kilogram. Co się tyczy chlorku glinu, tego kilogram kosztuje franków 1 i 25 centymów. Ponieważ zaś potrzeba 3 kilogramów sodu, do otrzymania 1 kilograma glinu, cena więc dwóch piérwszych materyałów koniecznych dla wydobycia 1 kilograma glinu, wynosi tylko 31 franków i 25 centymów. W rachunek ten nie wchodzą koszta inne otrzymywania, oprócz materyałów piérwotnych, które jakkolwiek dziś dosyć znaczne, z czasem obniżone być mogą (Treść z pisma *L'Institut*).

* *Fałszowanie olejów.* Do wykrycia zafałszowań olejów, liczne podawano środki połączone z rozmaitemi niedogodnościami; następny sposób zalecany przez p. Mailho zasługuje na uwagę, jakkolwiek tylko służy do wyśledzenia bytności oleju z nasion roślin krzyżowych w innych olejach, jak np. lnianym, orzechowym, makowym i t. p. Dotychczas chemia do powyższego celu nie podała żadnego czułego środka; p. M. przedsięwziąwszy mnóstwo dochodzeń z olejem lnianym, przypuściwszy że do niego dodano innego oleju, przekonał się, że olej z roślin krzyżowych za dolaniem do powyżéj dochodzonego alkali gry-

zącego, wydziela z siebie małą ilość siarki, przez którą naczynie srebrne, służące do doświadczenia, zostanie zczernione. Powtarzając daléj powyższe dochodzenia z olejami i roztworem potażu gryzącego zupełnie czystym; przekonał się stanowczo, że olej roślin krzyżowych ustępuje alkaliom taką ilość siarki, iż siarczyk alkaliczny ztąd powstały, doskonale da się oznaczyć odczynnikami zwyczajnemi, tojest solami ołowianemi, srebrnemi i t. d. można zaś z nim bez zmiany gotować oleje innych roślin, jakoto lniany, makowy i t. p., a żadne oddziaływanie nie okaże bytności siarki. P. Mailho każe więc następnie postępować dla wykrycia w oleju danym, oleju roślin krzyżowych, np. rzepakowego. Gotuje się w parowniczce porcelanowéj 25 do 30 gramów oleju danego do dochodzenia, z roztworem z 2 gram potażu gryzącego czystego, rozpuszczonego w 20 gramach wody, przepędzonéj. Po kilku minutach gotowania, wlewa się wszystko na cedzidło poprzednio zwilgocone, a woda alkaliczna wyciekająca, po zanurzeniu w niéj papierka zmaczanego w octanie ołowiu, lub saletranie srebra, okaże czyli w niéj znajduje się siarka. Gdyby zamiast parowniczki porcelanowéj, do gotowania oleju z alkali, użyto naczynia srebrnego, nastąpiłoby widoczne zafarbowanie go na czarno. Tym sposobem mowi p. M. można rozpoznać jednę setną oleju z roślin krzyżowych, we wszystkich innych gatunkach olejów. *(L'Institut z r. b.).*

J. B.a...

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1854.

78. Chata za wsią. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. 3 tomy. 16ka. Petersburg i Mohilew. Nakład B. M. Wolffa (druk Jaworskiego w Warszawie). Tom I. r. 1854. Str. 138. II, 1854. Str. 198. III. 1855. Str. 254. i w każdym kart 2. Rub. sr. 3.

79. Nomenklatura architektoniczna czyli słowomiennik cieśliczych polskich wyrazów. Wydanie powtórne, przez Karola Podczaszyńskiego prof. Arch. w b. Uniw. Wileń. 8ka. Warszawa. 1854. (nakład autora) druk J. Jaworskiego. Napisów i przedmowy str. VIII i 154. Spisu wyrazów str. XXXV.

80. Obrona Sokołowa. Śpiew bohaterski w IX pieśniach. Przez Alexandra Morgenbessera. 8ka. Lwów, 1854. Nakład H. W. Kallenbacha, (druk E. Winiarza). Kart 2 i str. 151. Kop. 80.

81. Powieści domowe: *(na okładce dodano* przez autora Bigosu hultajskiego). Seria (y) druga, tom drugi. 12ka. Wilno. 1854. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart 2 i str. 125.

82. Reszty rękopismu Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska, deputata z powiatu Lelowskiego na koło rycerskie za króla Michała Korybuta, a pierwej towarzysza pancernego. 1656—1688. Z egzemplarza w Cesar. Publ. bibliot. w Petersburgu znajdującego się, spisane i wydane w r. 1843 przez Stanisława Augusta Lachowicza. (Nowe przejrzane z 6 rycinami wydanie). 8ka. Wilno. 1854. Nakład i druk T. Glücksberga. Napisów, przypis. przedmowy i rejestru kart 4. i str. 398.

83. Szkice historyczne. Skreślił Karol Szajnocha. (z ryciną). 8ka. Lwów. 1854. Nakład Karola Wilda (druk P. Pillera). Kart 4 i str. 282. Omyłek karta 1. Rsr. 2.

84. Znajda. Powieść Józefa Dzierzkowskiego. 8ka. Lwów. 1854. Nakład H. W. Kallenbacha. (druk E. Winiarza). Kart 2 i str. 192. Rsr. 1 kop. 20.

1855.

30. Dwie siostry (.) Obrazek z powszechnego życia nakreślił A. (Antoni) Nowosielski. 2 tomy. 12ka. Kijów i Wilno. 1855. Nakład i druk J. Zawadzkiego (w drukarni Uniwersytetu św. Włodzimierza). Tom I napis. i przypis. Wł. Syrokomli kart 3 i str. 250, II, 332 i rejestru karta 1.

31. Elżbieta Drużbacka. Powieść z końca XVII wieku Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj. 16ka. Warszawa. 1855. (Nakład Ig. Klukowskiego i Rafalskiego), druk Gazety Codziennej. Napisów kart 2, wstępu str. XXI i 245. Kop. 90.

32. Historyczne-statystyczne opisy miast starożytnych w ziemi Sandomierskiéj leżących. Z dodaniem powieści z rzeczywistych wydarzeń pod tytułem: Pustelnik w iłżyckiej puszczy przez Jana Nepomucena Chądzyńskigo. Dzieło ozdobione trzema mappami i rycinami. 3 tomy. 8ka. Warszawa. 1855. Nakład F. Blumenthal (druk S. Orgelbranda). Tom I str. 226. II. 203. III, 182. Rub. sr. 3 k. 60.

33. Katalog duplikatów biblioteki książąt Radziwiłłów niegdyś w Królikarni, oraz innych książek w różnych językach, wystawionych na sprzedaż publiczną w dniu 2 lipca 1855 roku i dni następnych za pośrednictwem księgarni Zygmunta Szteblera w Warszawie... 8ka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codziennej. Kart 2 i str. 24.

34. Katalog książek polskich znajdujących się w księgarni Henryka Natansona w Warszawie. Krakowskie-Przedmieście 442. N. 5. 16ka. Warszawa. 1855. Druk Gazety Codziennéj. Karta 1 i str. 27.

35 Państwo młodzi. Kawałek powieści Józefa Augusta Skałki. Z godłem:

Szczęśliwy, czyja duszа nadzieją spowita,
A nadzieja z miłości i wiary wykwita!
(z poematu, Ducky, A. S.)

2 tomy. 12ka. Kijów. 1855. W drukarni Uniwersytetu świętego Włodzimierza. Tom I, napisów kart 2, przypis. studentom kijowskiego i moskiewskiego uniwersyt., przedmowy kart 2. i str. 236, II. str. 215.

36. Pierwsze zasady sztuki położniczej, które do potrzeb początkujących w téj umiejętności kobiet zastosował, a dla łatwiejszéj nauki przez pytania i odpowiedzi ułożył Julian Albin Moszyński Doktor Medycyny..... z 9 tablicami figur na miedzi rytych. 12ka. Wilno. 1855. Nakładem Rubena Rafałowicza (druk M. Zymelowicza). Str. 280.

37. Powieści poetyczne Seweryny z Żochowskich Pruszakowej. 4 tomy we 2ch. 16ka. Warszawa. 1855. Nakład W. Rafalskiego (druk J. Jaworskiego). Tom I: Dwa dwory, kart 2 i str. 102. Tom II: Zagroda wiejska, str. 146. Tom III, str. 114. Tom IV, str. 108.

38. Powieści ludu i dumy Alexandra Grozy. (2 tomy w jednym). 16ka. Warszawa. 1855. (Nakład Ig. Klukowskiego i W. Rafalskiego), druk Gazety Codziennéj. Tom 1, kart 2 i str. 195. T. II. kart 2 i str. 136. Rsr. 1 kop. 20.

39. Rotmistrz bez roty. Powieść przez Aleksandra Niewiarowskiego. 3 tomy. 12ka. Warszawa. 1855. Nakład G. L. Glücksberga (druk Jaworskiego). Tom I str. 195. II, 203, III. 242, i w każdym kart napisowych 2. Rub. sr. 3.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Wyszły w Berlinie u Schlesingera dzieła pośmiertne Szopena, wydane podług oryginalnych rękopismów za upoważnieniem rodziny, przez Juliusza Fontannę. Zawierają następne dotąd nieznane utwory Szopena. Nr. 1. Fantaisie impromptue. 2) Cztery mazurki. 3) Cztery mazurki. 4) Dwa walce. 5) Trzy walce. 6) Trzy polonezy. 7) Nocturne: Marche funèbre; Trois ecossaises. 8) Rondo na dwa fortepiany. Dzieło to ozdobione jest portretem kompozytora z oryginału A. Scheffera, z facsim. Szopena. Nadto pierwsze dwie stronnice poświęcone są życiorysowi zmarłego, w języku niemieckim i francuzkim, przez Fontannę. Z niego się w końcu dowiadujemy, że wkrótce ogłoszonych zostanie 16 melodyj Szopena, dotąd zupełnie nieznanych.

— Zakład litograficzny M. Fajansa przygotowywa najdokładniejszy rysunek wnętrza całéj kaplicy Częstochowskiéj z ołtarzem, w którym jest obraz cudowny Matki Boskiéj.

— Powieść Miss Cummig: The street-lamps-ligter: (latarnik) głośną w świecie literackim, tłumaczy p. Seweryna Pruszakowa; przekład ten ma być umieszczonym w jednem pism peryodycznych naszych.

— Znany badacz Alexander Przezdziecki wynalazł nowe szczegóły do życiorysu Jana Chryzostoma Paska. Obszerniejsze sprawozdanie przyrzekł podać do naszego pisma.

— Nakładem księgarni Bernsteina, wyjdzie w końcu r. b. Książka do nabożeństwa dla kobiet ks. Dunina, w poprawnéj i powiększonéj edycyi, a nadto ozdobnéj. Tytuł chromolitografowany i staloryt Matki Boskiéj dołączone zostaną.

— Historyi powszechnéj kościoła Jana Alzoga w przekładzie pani Belejowskiéj, wyszedł tom IV, i obejmuje okres do czasu Reformacyi (1517).

— Henryk hr. Rzewuski przygotował do druku w 3 tomach rękopism: „Pamiętniki Michałowskiego", które co do wartości swojéj, mają stanąć obok Soplicy i Listopada.

— Nauczyciel rysunków w gimnazyum gubernialném w Suwałkach, Aloizy Mysiorowicz, zamierza wydać Przegląd Augustowski. Przygotowane do litografii widoki mieszczą: ulicę Warszawską w Suwałkach, Suwałki od strony Warszawy, i zamek Dospuda.

— Wiktoryn Zieliński znany z wydanych dawniéj poezyj, ułożył wypisy z poetów polskich od Jana Kochanowskiego do Syrokomli, i zamierza je wydać jako książkę pożyteczną dla naszéj młodzieży.

— Dwaj nasi młodzi chemicy pp. Adam Wiślicki i Stanisław Loewenhard, zajęli się ułożeniem bardzo ważnego dzieła, p. n. „Wykład chemii organicznéj", z jéj zastosowaniami. Ważna to praca, gdyż ta część nauki chemii u nas prawie zupełnie nietknięta, zastosowania zaś jéj są bez wątpienia bardzo obszerne: piwowarstwo bowiem, gorzelnictwo, cukrownictwo, farbiarstwo, i t. p. użyteczne fabrykacye, opierają się na zasadach chemii organicznéj. Pierwszy tom téj pracy już jest na ukończeniu; składają go: wstęp szczegółowo obrobiony; opis materyj roślinnych ogólnych, fermentacya winna, cztéry grupy alkoholowe. Zastosowania mają być umieszczone na końcu każdego tomu w osobnych zeszytach, tak, iż tym sposobem utworzą całość oddzielną. Pragnąć należy, aby znalazł się nakładca na tego rodzaju dzieło: gdyż przynieść może zarówno znakomite korzyści tak dla księgarza, jak i dla nauki.

Lwów. Karol Szajnocha skończył w druku tom 2: „Jadwigi i Jagiełły": tom 3ci i ostatni oddał pod prasę. Dwa te tomy równocześnie mają się ukazać w handlu księgarskim. Znakomity ten historyk, którego prace zwracają uwagę każdego pracownika na polu literackiem, zaczął teraz rok 36 życia.

Tom 1szy Rysu dziejów narodu polskiego przez Henryka Szmitta, kończący się na Krzywoustym, wyszedł tu od dość dawnego już czasu z druku. Tom drugi idzie pod prasę. — Wykład popularny sztuki malowania farbami wodnemi z pism Jerzego Barrot, przełożony przez Karola Balickiego wyszedł z druku nakładem Wojciecha Mańieckiego, który wydaje zarazem historyą Ormian przez księdza Sadoka Barącza napisaną.

— Dyrekcya zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie, przy ukończeniu piérwszego tomu Słownika języka polskiego S. B. Lindego w drugiém wydaniu, poprawném i pomnożoném, następne wydała ogłoszenie, które tu dosłownie zamieszczamy: „Wielka użyteczność tego najlepszego dotąd i najznakomitszego polskiego słownika, spowodowała Zakład narodowy imienia Ossolińskich do zajęcia się wydaniem jego powtórném: piérwsze bowiem, przed 40 laty uskutecznione, wyszło już oddawna z handlu, a z powodu wysokiéj ceny swojéj niełatwo było dostępne. Główny tedy cel, jaki wydaniem niniejszém osiągnąć sobie zamierzono, jest dzieła tego upowszechnienie. Obok tego atoli zamiaru, starano się oraz według możności, aby wydanie to było poprawniejsze i zupełniejsze od piérwszego. W téj mierze użytkowano z Lindego rękopismów, tak tych, które rodzina autora świeżo Zakładowi darowała, jako téż z notat jego w bibliotece Zakładowéj dawniéj już znajdujących się; porównywano téż w wielu miejscach przykłady w Słowniku tym przytaczane, z dziełami samemi, i według nich takowe prostowano; nakoniec ilekroć się okazało, że autor wyraz jaki albo źle objaśnił, albo go zgoła bez objaśnienia zostawił, w takim razie starano się obok słów autora dodać między nawiasem sprostowanie lub objaśnienie, odznaczając takowe dobitnie od właściwego textu Lindego. Z dyalektów pobratymczych zwrócono szczególną uwagę na język starosłowiański czyli cerkiewny. Ponieważ Linde wyrazy jego mieszał częstokroć z staroruskiemi i rossyjskiemi, a tak jedne jako i drugie czcionkami grażdańskiemi drukował; w wydaniu przeto niniejszém użyto różnicy, jaka między głoskami kirylskiemi a grażdańskiemi zachodzi, do ostrzeżenia

czytelnika przed usterkami: tylko więc słowa właściwie cerkiewne drukowano kiryliką, zaś staroruskie i rossyjskie słowa, przez autora mylnie za cerkiewne podane, drukowano pismem grażdańskiem. Tym sposobem nienaruszając w niczem organizmu i właściwości dzieła Lindego, sprostowano w tem wydaniu niemało jego myłek, i nastręczono obfitszy materyał dla przyszłego polskiego słownikarza.

Pisownia Lindego zmieniona została na tę, jaką podała Deputacya Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, w dziele swojém: Rozprawy i wnioski o ortografii. Warszawa, 1830. Koniecznem następstwem téj zmiany było inaksze uszykowanie bardzo wielu wyrazów, co też ściśle dopełnić starano się.

Całe dzieło w sześciu ogromnych tomach w 4ce, na pięknym, czerpanym papierze, czcionkami wyraźnemi drukowane, kosztować będzie 20 złr. m. k. Dla zabezpieczenia się atoli od strat przez zdefektowanie dzieła wyniknąć mogących, rozkłada się powyższa cena na pojedyncze tomy w następujący sposób:

Tom I., który właśnie prasę opuścił, obejmujący 102 arkusze druku, z tablicą litografowaną powinowactwa głosek, kosztuje 6 złr. 40 kr. m. k. (Rsr. 4).

Każdy z tomów następnych, począwszy od 2go aż do 5go włącznie, przedawać się będzie po 3 złr. 20 kr. m. k. (rsr. 2). Ostatni zaś tom rozdany zostanie bezpłatnie wszystkim tym, którzy tom pierwszy w Zakładzie Ossolińskich kupią; dlatego też lista dokładna osób w Zakładzie dzieło to kupujących będzie starannie zrobiona, i przy drugim, tudzież następnych tomach, wydrukowana.

Z powodu bezprzykładnie nizkiéj ceny dzieła, która przy najlepszym nawet jego odbyciu, zaledwie sam czysty nakład wrócić może po długich latach Zakładowi, nie może tenże ustępować żadnych rabatów pp. księgarzom; dla ułatwienia jednak hurtowego odbytu, daje tym, którzyby większą ilość nabyć chcieli, dziesiąty procent. Ktokolwiek tedy kupi za gotowe pieniądze 10 egzemplarzy, otrzymuje jedenasty daremnie.

Przedaje się w samym Zakładzie zwykle od 9 godziny zrana, do 2 po południu. Osoby na wsi mieszkające, mogą się zgłosić listami frankowanemi do dyrekcyi Zakładu, a po otrzymaniu należytości, egzemplarze posłane im będą pocztą, na ich koszt, który wynosi tylko 5 kr. m. k. od mili, dodanych do 10 kr. m. k. na wszelką odległość.

W pierwszym tomie oprócz poprawek ze sprawdzania textu wynikłych, i usunienia myłek w wykazie źródeł przez autora popełnionych, dodane zostały sprostowania lub nowe objaśnienia przy wielu głoskach i wyrazach.

Tom drugi znacznie już w druku postąpił; o wyjściu jego, równie jak i każdego z dalszych tomów, uwiadomiona będzie publiczność przez dzienniki."

Lwów. (Wyjątek z listu) „Publiczność lwowska zawdzięczając starania, jakie dla sceny i literatury polskiéj łożył zmarły niedawno Jan Nepomucen Kamiński, zamyśla wybić mu medal, około czego krząta się Wiktor hr. Baworowski.—Alexander Batowski, wielki znawca rękopismów polskiej historyi, przygotował do druku trzy tomy in folio Tynecyanów. Szkoda, że tego nie czyni ze swemi obszernemi studyami nad rokoszem Zebrzydowskiego, któreby wielu pracującym w tym ciekawym ustępie dziejów naszych wielce przydatne były.—Literatura zrekrutowała w klasztorze Dominikanów nowego zwolennika: ks. Sadok Barącz wydał w tych czasach trzy pisma: Pamiątki o Żółkwi; różne materyały historyczne, wyjęte z archiwum magistratu lwowskiego i rzecz o Ormianach w Polsce. Jest to pilny zbieracz, lecz niestety słabego zdrowia, który sławę uczoności, dawniéj domową Karmelitom, teraz swemu zakonowi windykuje."

— Dowiadujemy się, że w Lignicy na Szlązku, dwa kamienne posągi przedstawiające bożków pogańskich, o których istnieniu wspomina

kronikarz szlązki Tebeziusz, dotąd się dochowały. Zostały wmurowane w jednej ścianie gmachu, służącego na zebrania stanów prowincyi.

Kraje Słowiańskie. W Lublanie za staraniem Antoniego Wolfa: drukuje się wielki słownik słowiański, który na wydanie tego dzieła 15000 zr. m. k. przeznaczył. W Skalicy, Jan Cówerdoń Dr. medycyny wydaje niemiecki przekład: „Córka sławy" J. Kollara.—Dnia 28 październ. r. z. było w teatrze w Zagrzebiu pierwsze przedstawienie w języku serbskim dwuaktowego dramatu p. n.: „Gospodar i rob." Publiczność to przedstawienie w narodowym języku przyjęła z wielkim zapałem.

Poznań. „Tytus hr. Działyński przygotowywa do wydania: zbiór pieczęci polskich tak urzędowych jak i prywatnych od najdawniejszych czasów.—Księgarz Żupański wykończa w druku nowe wydanie poezyi K. Miaskowskiego. Dziwna rzecz! że mamy kilkorakie edycye późniejszych pisarzy, a o dawniejszych jak Kochowski, Grochowski, Twardowski i w. i. dotąd nie pomyślano. Zbiór taki dawnych poetów stanowiłby piękny oddział biblioteki podręcznej."

— W 13 zeszytach zacznie wychodzić z dniem 1 b. m. i r. dzieło p. n. „Kościoły Warszawskie rzymsko-katolickie. opisane pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Wizerunki kościołów z celniejszemi nagrobkami rytowane na drzewie i wydane przez Michała Starkmana." Zeszyt piérwszy obejmuje opis kościoła katedralnego św. Jana z drzeworytami cztérech nagrobków: Małachowskiego Woronicza, ostatnich książąt mazowieckich i braci Wolskich; i opis kościoła Panny Maryi z dwoma nagrobkami: Jagodowicza i Mateusza Zachniewicza.

— Nakładem księgarza Lesmana wyszedł z druku Słownik niemiecko-polski, ułożony podług najlepszych i najnowszych źródeł, przez Henryka Liebkind. Autor tego słownika niejedną pracą przysłużył się piśmiennictwu naszemu. Przekład Obrazu historyi powszechnej Levi Alvaresa odznacza się czystością języka i jasnością. Tłumacz sprostował ważne błędy oryginału, tyczące się dziejów polskich, i obszerniéj takowe wyłożył, trzymając się najlepszych źródeł i planu samego dzieła. Przygotował drugi słownik polsko-niemiecki, który wkrótce pod prasę drukarską pójdzie. Wydawca ustanowił niesłychanie nizką cenę wspomnianego słownika, bo za tom złożony ze str. 766 ścisłego druku, tylko kop. 75 czyli złp. 5.

— Obraz dramatyczny w 4 aktach Deinhardstejna p. n. „Jan Sachs czyli szewc poeta," pełen życia i kolorytu dawnych czasów, przełożony został z niemieckiego. Znanym jest cech w Niemczech owych Mejstersängrów, co się poświęcali poezyi. Rządząc się wszakże pedantycznemi przepisami, miał więcéj na celu formę, aniżeli prawdziwą poezyą: cech ich przez to zamiast zbawiennie wpływać na sztuki piękne, zamieniał takowe niemal w rzemiosło, i byłby się przyczynił do upadku poezyi i muzyki w Niemczech, gdyby się nie był pojawił Hans Sachs (Jan Sachs), właśnie bohater tego dramatu. Urodził się w Norymberdze 1494 i umarł tamże w r. 1576. Obdarzony niepospolitemi zdolnościami Hans Sachs,, szewc z professyi, będąc jednak członkiem Mejstersängrów, zrzucił nałożone przez poprzedników jego jarzmo czczych form, krępujących zapał i natchnienie: jemu winna poezya niemiecka swe odrodzenie. Przekład o którym piszemy ściśle zastosowany do oryginału, dokonany naprzemiany to wierszem rymowym, to miarowym, odznacza się wielkim wdziękiem, naturalnością, i wybornym językiem. Tłumaczem jest p. Borys Halpert, a jego przekład, który wkrótce na scenie naszéj ujrzymy, okaże, że potrafił doścignąć dzielnością języka, potoczystością i wdziękiem tłumaczenia nieodżałowanego ś. p. J. D. Minasowicza.



Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Sierpień, 1855.

Sierpień 1855. Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser watoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1		749.06	749.93	750.13	750.68	+ 15°.5	+ 20°.3	+ 23°.2	+ 17°.5	68.0	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
2		750.61	751.39	751.16	751.75	18.2	23.5	26.9	20.4	66.2	lek. pochm.	napoł pog.	pr. pogodny	pogodny	—	—	Z.	PnZ.		
3		751.78	751.00	749.52	748.51	18.5	26.3	29.5	23.2	69.8	pr. pogodny	lek. poch.	pr. pogodny	pr. pogodny	Pd.	PdW.	Z.	—		
4	☾.	747.25	746.63	745.78	746.56	20.4	27.8	29.2	21.0	68.5	pr. pogodny	pogodny	lek. pochm.	napół pog.	Pd.	Z.	Z.	—		
5		746.53	746.15	744.80	745.65	16.8	16.7	20.9	17.5	91.0	deszcz	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnW.	Pn.	Pn.	31.0	
6		747.34	748.70	750.92	752.14	15.7	18.9	20.5	12.3	74.5	pochmurny	pochmurny	napół pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.	0.8	
7		752.48	752.51	752.17	751.75	11.5	17.1	19.6	13.3	70.0	pogodny	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
8		751.47	751.00	750.04	750.24	12.3	19.0	23.3	15.8	68.5	pogodny	pogodny	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
9		750.74	750.55	749.80	750.34	14.9	21.5	24.0	17.3	66.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
10		750.29	750.49	750.41	751.80	17.4	23.7	27.8	20.6	68.3	pr. pogodny	smugi	napół pog.	pr. pochm.	PdW.	PdW.	W.	PdW.		
11		753.46	754.22	753.75	754.38	17.9	20.7	23.3	19.4	79.0	lek. zamat.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	1.2	
12	☽.	753.56	753.22	751.54	750.75	17.8	22.0	20.9	22.6	77.2	lek. zamat.	pochmurny	pr. pogodny	pr. pochm.	Pn.	PnW.	W.	PnW.	1.6	
13		749.14	748.55	747.41	747.08	19.3	26.4	29.3	21.6	60.8	smugi	pogodny	pr. pogodny	pr. pochm.	PnW.	W.	PdW.	PnZ.		
14		745.28	745.43	746.35	746.18	17.4	19.8	15.2	13.5	86.7	pochmurny	pochmurny	deszcz	pr. pogod.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	4.8	
15		745.16	744.40	744.08	744.64	13.1	15.2	16.2	12.4	83.0	pogodny	pr. pochm.	pr. pochm.	pr. pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.	6.1	
16		745.54	745.78	746.97	749.14	12.9	14.8	16.1	11.2	84.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	Z.	Z.	PnZ.	Z.	16.6	
17		750.35	751.16	751.22	752.19	11.6	10.6	16.1	10.2	81.2	pochmurny	pr. pochm.	napół pog.	napół pog.	Z.	PnZ.	Z.	Z.	2.0	
18		753.59	754.86	754.48	754.99	9.2	13.9	16.9	11.1	85.0	lek. pochm.	lek. pochm.	napół pog.	pogodny	PnZ.	—	PdZ.	Z.	3.2	
19		756.58	757.36	756.73	756.81	9.4	16.6	20.4	14.0	75.5	pog. lek. m.	pogodny	napół pog.	pogodny	—	PnZ.	PnZ.	W.		
20	☽.	755.88	754.78	752.65	751.79	11.0	19.1	22.9	17.4	69.5	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	PdW.	Pd.	PdW.	Pd.		
21		750.98	750.70	748.49	746.92	15.5	21.4	23.2	19.6	70.0	napół. pog.	napół pog.	napół pog.	napół pog.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		
22		748.62	749.42	749.84	750.44	15.1	18.4	21.0	13.9	69.3	lek. poch.	pr. pochm.	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
23		751.07	751.51	751.86	752.30	13.8	17.5	19.8	12.4	68.0	pochmurny	lek. pochm	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
24		751.73	751.43	750.41	752.31	13.0	21.0	22.7	16.5	71.2	pr. pochm.	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	—	—	Pn.	—		
25		754.72	755.74	754.98	754.80	12.9	18.3	22.6	15.4	71.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	W.	—	—		
26		752.79	752.98	750.57	750.71	14.6	16.8	23.7	17.7	86.8	pochmurny	deszcz	pochmurny	lek. pochm.	PdW.	Pd.	PdW.	PdZ.	11.6	
27	☾.	752.11	753.54	753.73	754.48	16.0	18.5	20.4	14.6	76.2	lek. pochm.	lek. pochm.	lek. zamat.	pogodny	Pn.	Pn.	Z.	PnZ.		
28		755.91	756.35	755.13	755.56	11.5	15.7	19.9	14.3	68.8	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	PnW.	Pn.	—	—		
29		756.40	756 88	756.46	757.09	11.4	17.4	20.7	13.9	70.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	W.	—		
30		758.18	758 55	757 89	758.21	9.9	16.5	20.3	12.3	75.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PdW.	—	—		
31		757.86	757.72	756.43	755.93	10.3	17.9	18.2	13.9	73.2	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	—	—	PnW.	—		
śre.		751.499	751.707	751.152	751.488	+14°.35	+19°.14	+22°.06	+16°.03	74.0									78.9	

	m.		c.	l.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.461		27	9.119	
Najwyżej barometr dochodził d. 30 o g. 10 r.	758.55		28	0.264	
Najniżej — — d. 15 o g. 4 w.	744.08		27	5.847	
Średnia zmiana dzienna barometru	2.299			1.019	
Największa zmiana dzienna barometru d. 5—6 o g. 10 wiecz.	6.49			2.877	
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	1.973			0.875	
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	749.488		27	8.244	
Średnia temperatura sierpnia wynosi:	+ 17°.89	C.	+	14°.31	R.
i ta jest niższa o	0.19	„		0.15	„
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	+ 18.08	„	+	14.46	„
Największe ciepło było d. 12 o g. 4 w.	29.9	„		23.92	„
Najmniejsze — d. 18, o g. 6 r.	9.2	„		7.36	„
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.343	„		1.875	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 13—14 o g. 4 wiecz.	14.1	„		11.28	„

Termometrograf wskazał:
Maximum: +25°.1 R. d. 3 po połud.
Minimum: + 6°.4 „ d. 18 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 74.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11.28 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest prawie równa normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 78.9 mil. czyli 34.30 lin. par.; ilość ta wody jest o 0.36 lin. par. większa od normalnej.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 10, pochmurnych 11.
— deszczu 10 (d. 5, 6, 11, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 26).
— mgły 1 (d. 19).
— grzmotów 3 (d. 5, 11, 26).
— błyskawic bez grzmotów 7 (d. 3, 4, 5, 10, 11, 12, 26).

Wiatr panujący: zachodni, częste były północno-zachodnie.

Sierpień r. b. był pogodny i dość suchy, w pierwszych trzynastu dniach (wyjąwszy trzy dni: 6, 7, 8) był nader gorący, w następnych ośmnastu chłodny, osobliwie w nocy i z rana; w ogóle o jedne czwartą stopnia R. chłodniejszy niż [illegible]. Najcieplejsze dni były: d. 2, 3, 4, 10, 11, 12, 13; najchłodniejsze d. 6, 7, [illegible], 16, 17, 18, 19, 23, 28, 29, 30, 31. Pod względem stanu nieba, wilgotności powietrza i wody spadłej z deszczu, miesiąc ten zbliżał się do stanu średniego. Albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 7.0 : 13.1 : 10.9; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 10 : 10 : 11 co pokazuje że stan nieba w sierpniu, zbliżał się do stanu średniego.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Pośmiertna cześć oddawana zasłudze, jest jedną z najgodniejszych jéj nagród. Mąż o którym mówić mamy, do téj czci niezaprzeczone nabył prawo, żywotem pełnym cnót obywatelskich i pracami naukowemi, które imię jego chlubnie potomności przekazały. Hołd winny pamięci Konstantego Tyzenhauza, złożył dawny i stały przyjaciel jego czcigodny Dr. Adamowicz b. Prof. Uniw. wileńskiego, a wiadomość o życiu i pismach zmarłego, skreślona pełném wdzięku piórem, którą umieścił w jednym z biuletynów Imperatorskiego towarzystwa badaczów natury w Moskwie (1), oddawna zwiastowała tę dotkliwą stratę uczonym obcym stowarzyszeniom. Życiorys Tyzenhauza był już wprawdzie ogłoszony w Gazecie Warszawskiéj z r. 1853; sądząc jednak, że żywot tego męża tak ściśle wiązący się z historyą nauk przyrodzonych u nas, najwłaściwsze znajdzie miejsce w Bibliotece Warszawskiéj, tudzież powodowany potrzebą serca, łączyły mnie z nim bowiem zamiłowanie wspólnie ulubionéj nauki i wdzięczność za względy, któremi mnie zaszczycał: mam zaszczyt przesłać szanownéj redakcyi Biblioteki Warszawskiéj z upoważnienia autora, przekład biograficznéj wiadomości o Tyzenhauzie.

Gustaw Belke.

(1) *Notice sur le Comte Constantin Tyzenhauz* w *Bulletin de la Société Impériale des Naturalistes de Moscou* 1853. N. IV, p. 517—529. Towarzystwo badaczów natury w Moskwie, ma stosunki ze wszystkiemi uczonemi stowarzyszeniami Europy a nawet Ameryki; rozsyła im prace swoje i wzajemnie odbiera wydane przez nie pisma.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH

KONSTANTEGO TYZENHAUZA.

Czterdzieści lat upłynęło od pamiętnéj burzy politycznéj 1812 r., kiedy wirem jéj uniesiony młodzieniec znakomitego rodu, opuszczał w Wilnie rodziców i ojczyste progi, dążąc w liczbie innych współziomków za bledniejącą już wówczas gwiazdą oręża Francyi.

Szlachetne i miłe rysy oblicza, piękne błękitne oczy, bujnemi okolone brwiami; spojrzenie żywe i pełne wyrazu, w którém obok wdzięku rzewności przebijała się dusza ognista; postać wyniosła i okazała, ozdobiona mundurem granatowym z białemi wyłogami: taką była odznaczająca się powierzchowność tego młodego oficera.

Stanął on pod chorągwiami świeżo utworzonéj wówczas piechoty litewskiéj (16 paździer. 1812) jako dowódzca 19go jéj pułku. Losy wielkiéj armii zaprowadziły go następnie do Sedanu, gdzie go znów widzimy szefem 3 kompanii gwardyi honorowéj polskiéj, a późniéj już pułkownikiem wojsk księstwa warszawskiego, walczącego mężnie w szeregach księcia Poniatowskiego, w pamiętnéj trzydniowéj bitwie pod Lipskiem.

Tym młodym wojownikiem był hrabia Konstanty Tyzenhauz, syn szefa gwardyi litewskiéj Ignacego hr. Tyzenhauza i Maryi z Przezdzieckich córki podkanclerzego w. ks. litewskiego.

Pełne poświęcania się męztwo, sprężystość w działaniach, zamiłowanie porządku, ścisłe pełnienie obowiązków służby, bezstronność w wymierzaniu sprawiedliwości, hojność dla swego pułku w którym służył, jedynie dla miłości sławy, bez wszelkiéj pensyi; zjednały mu imię ojca żołnierzy i order legii honorowéj, odebrany za pośrednictwem księcia Bassano, 10 sierpnia 1813 r. W 6 miesięcy późniéj, spełniwszy w Charleville w styczniu 1814 r. kilka ważnych zleceń danych mu

przez generała Dąbrowskiego, pułkownik Tyzenhauz otrzymał uwolnienie od służby i osiadł w Klermoncie; ztamtąd zaś, korzystając z amnestyi wspaniałomyślnie udzielonéj Polakom przez cesarza Alexandra, udał się do dóbr swoich w Litwie.

Stanąwszy zaledwo na ojczystéj ziemi, młody hrabia wnet powrócił do dawnych, a tyle mu ulubionych zatrudnień: pałasz i szlify zamienił na książki i pióra, na ołówki i wiolonczelę.

Lecz odtąd głównym celem prac jego były nauki przyrodzone, a następnie stał się jednym z najznakomitszych krajowych naturalistów. Oddając się im z całém poświęceniem i zupełném zaprzaniem siebie, jak przystało na prawdziwie uczonego męża, imię swe po raz drugi zapisał chlubnie w dziejach sztuk pięknych i nauk Litwy. Przed nim bowiem, stryj jego podskarbi litewski Antoni Tyzenhauz, Colbert swojego kraju, którego stał się godnym współzawodnikiem w wielkich przymiotach umysłu, wsławił się już był założeniem w 1775 r. akademii medycyny ludzkiéj i weterynarnéj w Grodnie, do zarządu któréj, wezwał wówczas z Lugdunu nieśmiertelnego Giliberta.

Hrabia Konstanty Tyzenhauz pobierał początkowe nauki w Warszawie, później kształcił się w uniwersytecie wileńskim, gdzie z rzadkiém zamiłowaniem słuchał kursów nauk fizycznych (1). Wtenczasto właśnie objawił się w nim szczęśliwy i nigdy niezmienny smak do nauk przyrodzonych, których wiernym zwolennikiem wytrwał do ostatnich chwil życia, unikając zgiełku i zabaw wielkiego świata, pomimo, że go do nich wzywały wysokie położenie towarzyskie i wielkie bogactwa które posiadał. Majątek był owszem dla Tyzenhauza obfitym zasobem środków, za pomocą których mógł rozprzestrzeniać pole swych badań i doskonalić się w nauce, gwoli pałającéj w nim szlachetnéj żądzy umiejętności i sztuk pięknych. Temuto szczęśliwemu zjednoczeniu rzadkich darów i obfitych zasobów materyalnych, pałac jego w Postawach winien bogate mu-

(1) W tym starożytnym uniwersytecie wykładali wówczas medycynę Piotr i Józef Frankowie, matematykę Langsdorf, literaturę starożytną Groddeck, chemią Jędrzéj Śniadecki a historyą naturalną ks. Jundziłł pijar, następca Giliberta i Forst era.

zea, które go zdobią. Jako gorliwy naturalista, Tyzenhauz zostawił jeden z najważniejszych zbiorów przedmiotów historyi naturalnéj w Polsce, osobliwie pod względem ornitologii.

Sam pięknie rysując i gruntownie znając sztukę malarską, wzbogacił salę swego mieszkania 300 przeszło malowidłami wysokiej wartości pędzla znakomitych mistrzów, które wybrał, i nabył w czasie swych podróży za granicą. Nakoniec jako literat, w licznéj bibliotece zgromadził wszystkie arcydzieła dawnego i nowożytnego piśmiennictwa, archiwa familijne od roku 1260. dziwnie piękny zbiór wizerunków i rycin, a szczególniéj najkosztowniejszych tablic historyi naturalnéj ptaków, począwszy od Gesnera, Aldrowandego, Raja, Pallasa, aż do Buffona, Demurs'a i świetnego Audubona, które studyował z zapałem niewypowiedzianym, robiąc nad niemi często własne uwagi. Ze wszystkich gałęzi historyi naturalnéj najwięcéj miał upodobania w ornitologii i uprawiał ją z największém powodzeniem, do czego mu dzielnie dopomagał dar rysowania, w którym się ćwiczył od dzieciństwa, a później doskonalił pod sterem Norblina i Orłowskiego w Warszawie, a Rustema w Wilnie. Swiadczą o tém zamiłowaniu przeszło 100 kolorowanych wizerunków ptaków litewskich wielkości naturalnéj, znalezionych w tekach jego i godnych wyjścia na widok publiczny; tudzież gabinet zawierający około 3,000 ptaków wszystkich części świata, przez niego samego lub pod okiem jego jak najstaranniéj wypchanych, i ułożonych według systematu Temmincka; nakoniec, zupełny zbiór rycin jaj wszystkich ptaków Litwy i Noworossyi, świeżo wydany w Paryżu. Nawet krótki przeciąg czasu poświęcony zawodowi wojskowemu, nie zaniedbał obrócić na korzyść ornitologii; będąc bowiem w Paryżu, starał się nauczyć nowego wówczas sposobu wypychania ptaków przez gardło, za pomocą lnianych pakuł, i nie omieszkał udzielić go potém (1) znakomitemu Bojanusowi professorowi weterynaryi i anatomii porównawczéj w Wilnie, który przewodniczył (1822—24)

(1) Odtąd wszystkie przedmioty przybywające do muzeum ornitologicznego w uniwersytecie wileńskim, urządzano według téj metody aż do czasów Brunnera, który wypychanie uczynił prawdziwie sztuką plastyczną.

reorganizacyi muzeum zoologicznego tamtejszego uniwersytetu.

Badając pilnie i z największém zamiłowaniem tajniki natury, Tyzenhauz nie przestawał na prostéj zasłudze umiejętnego i niezmordowanego zbieracza. Obdarzony nadzwyczajną pamięcią, umysłem bystrym i badawczym, zawsze umiał pochwycić i zastosować na korzyść ulubionéj nauki odkrycia, które mu nastręczały jego wycieczki i spostrzeżenia zoologiczne; dziwną posiadał téż zdolność determinowania mnóstwa znajdowanych przedmiotów, objaśniania natrafianych w nich wątpliwości, tudzież oceniania wartości naukowéj, jaką przywiązywali do nich uczeni Europy, pod sąd których poddawał swoje badania.

To téż wiadomości i prace jego zoologiczne same zjednały mu prawo do sławy, o którą się ubiegał.

Znalazłszy w lasach dóbr swoich postawskich sowę łapońską, Tyzenhauz nadał jéj nazwę sowy mszarnéj (Strix microphthalmos), opis zaś jéj i wizerunek przesłał Towarzystwu przyjaciół nauk w Warszawie, którego członkiem mianowany został w 1830 r.

Wielkie dzieło jego w języku polskim „Ornitologia powszechna", tudzież znajomość sztuki lekarskiéj, zjednały mu tenże zaszczyt w wileńskiéj akademii medycznéj i w towarzystwie lekarskiém tegoż miasta (1839 i 1848).

Współdziałaniem swojém dopomagając stowarzyszeniu istniejącemu w Paryżu, celem przyczynienia się do postępu zoologii i wydawania przeglądu zoologicznego, został członkiem towarzystwa Kiuwierowego (Societé Cuvierienne) 1843 r. We dwa lata późniéj towarzystwo naturalistów w Rydze, zaszczyciło go takimże tytułem za uczone spostrzeżenia nad deszczem owadzim (Mittheilungen über einen Insekten-Regen), a towarzystwo rolnicze lwowskie (1847) za rozprawę „o gąsienicach zbożom szkodliwych."

Jako członek honorowy towarzystwa naturalistów w Dreznie, wysłał w 1851 r. dla muzeum historyi naturalnéj téj stolicy, całkiem prawie zniszczonego przez pożar rewolucyi majowéj, sto ptaków litewskich pięknie wypchanych. Nakoniec, towarzystwa naukowe kra-

kowskie i berlińskie imię jego również w poczet swych członków wpisały.

Przepędzając w ten sposób większą część życia na wsi, w swéj pracowni i bibliotece, Tyzenhauz utrzymywał ciągłe stosunki z uczonymi Europy, odznaczając się już jako autor (1), już jako korrespondent sumienny i zajmujący, już nakoniec jako hojny mecenas kilku uczonych, których dzieła o historyi naturalnéj winne są swe wyjście na świat jedynie jego szczodrobliwości. Wdzięczni autorowie poświęcali téż niekiedy imieniowi Tyzenhauza, nowe swoje odkrycia (2).

Oprócz tych stosunków niejako obowiązkowych, Tyzenhauz miał równie korrespondencyę literacką z muzeami brytańskiém i cesarskiém w Wiedniu; z pp. de Laterre podróżującym po Kalifornii, z E. Varreaux, Lichtensteinem, Reichenbachem, Grube, Eichwaldem i Heckelem w Wiedniu (ostatniego z nich pragnął widzieć jeszcze na trzy dni przed śmiercią); tudzież z wielu innymi znakomitymi uczonymi. Pisywał zaś do nich w języku francuzkim, niemieckim i włoskim, które posiadał tak dobrze jak język ojczysty. Ta biegłość w językach bardzo mu była przydatną w częstych jego podróżach (3) które przedsiębrał zawsze w celach naukowych i artystycznych, starając się śledzić postęp nauki, a także zbogacać swoje zbiory ornitologiczne i malarskie. Ostatnia jego podróż w 1851 r. była zwróconą do Odessy (4).

(1) Zobacz przegląd prac jego literackich na końcu tego życiorysu umieszczony.

(2) Przykładem tego są: Owad dwuskrzydły z familii pszczółkowatych znaleziony pod Wilnem, *Tyzenhauzia vespiformis* (Analecta Entom. Gorski), rośliny, *Potamogeton* i *Chara Tyzenhauzii* Gor., dotąd nie ogłoszone.

„Ostatnim już podobno, lecz niemniéj znakomitym dowodem szczodrobliwości jego, jest wspaniałomyślna pomoc okazana darem tysiąca rubli na wydanie przekładu *Historyi nauk przyrodzonych*, które wraz z Drm. Alexandrem Kremerem otrzymaliśmy. Lecz ta praca nasza, przypisana dostojnemu hrabiemu, dopiéro po jego zgonie ukazać się mogła! *(Przyp. tłum.)*.

(3) T. był w Wiedniu 1829, w Warszawie 1840 w Dreznie, Lipsku i Berlinie 1842, w Wiedniu, Medyolanie i Wenecyi 1844 r. i t. d.

(4) Jadąc do Odessy wstępował do Kamieńca i był w domu moim 20 czerwca 1851 r., gdzie mi zostawił kilka pięknych okazów zwierząt ssących. Najniepomyślniejszym zbiegiem okoliczności, w tym właśnie czasie śpieszyłem do Postaw, aby go odwiedzić i poznać osobiście, nie wiedząc jaka przyjemność i szczęście spotkać mnie miały, gdyby się listy nasze nie były rozminęły. Na uczczenie pamiątki pobytu jego w Kamieńcu, przypisałem mu przekład rozbioru dzieł Jerzego Cuvier'a,

Lecz wiek podeszły i niepomyślny stan zdrowia nie pozwoliły mu już wówczas zająć się poszukiwaniami, które sobie zamierzył w téj wycieczce uczynić. Niezrażając się jednak żadném niepowodzeniem, obmyślił przy téj zręczności potrzebne środki do przyszłéj w te strony wyprawy zoologicznéj. Nieszczęściem, rok 1852 nie był dlań pomyślniejszym od zeszłego, widział się więc zmuszonym, przewodnictwo téj wyprawy zdać na p. Skindera, konserwatora swoich muzeów. Otrzymał z niéj 500 ptaków i 300 jaj bardzo rzadkich, zebranych w Bessarabii i Krymie. Lecz była to już ostatnia naukowa podróż, wykonana pod sterem i opieką uczonego hrabiego.

Jeżeli dotąd w tém pobieżném opowiadaniu staraliśmy się skreślić wizerunek Tyzenhauza, głównie jako żołnierza i naturalisty, to nie dlatego bynajmniéj, aby życie jego i charakter nie przedstawiały nam z innéj strony i pod innemi względami szczegółów godnych pamięci. Tyzenhauz posiadał zadziwiającą zdolność nabywania najróżnorodniejszych wiadomości, i odznaczał się świetnie prawością charakteru. Najgorliwiéj pełniąc obowiązki swego powołania, znajdował uprzyjemnienie chwil pracowitego życia w zasobach szczęśliwych przymiotów ciała i umysłu, któremi nieba hojnie go obdarzyły. Muzyka i malarstwo były mu tarczą od owych ponurych usposobień duszy, którym podlegają zwykle uczeni, zajmujący się bez przerwy i wyłącznie pracami umysłowemi. Pięknym udarowany głosem, grywał téż na kilku instrumentach, szczególniéj zaś na ulu-

wydany w Wilnie u Zawadzkiego tegoż roku, pod napisem: „*Jerzy Cuvier i jego prace*," on zaś przysłać mi raczył wizerunek swój z własnoręcznym podpisem. Drogi upominek, dowód względów i życzliwości nigdy niezapomnianego męża! O podróży zaś odeskiéj, w liście do mnie z dnia 25 lipca 1851 r. tak pisze Tyzenhauz: „Projekt podróży mojéj w złą godzinę pomyślany, wszędzie mi stawi przeciwność i zawód: pana w Kamieńcu nie zastałem, w Odessie spodziewałem się poznać Nordmana, lecz ten od lat dwóch przeniósł się do Helsingforsu.... Nieznośne upały nie pozwalają mi odbyć pożądaną podróż po Krymie; tu codzień doświadczamy niemniéj jak + 26 do 27° ciepła w cieniu, a przeszło 50° na słońcu; w nocy zaś minimum 20—22°. Mieszkańcowi północy, wiekiem zwątlonemu na siłach, trudno jest wytrzymać pod dachem, a cóż dopiero w otwartém polu zapuszczać się w badania. Piękna to rzecz step, a jakie na nim nieprzebrane bogactwa przyrody? z tych jednak nie wiele skorzystać mogłem bo niemając obeznanego z miejscowością przewodnika, wiele się traci czasu.....
(Przyp. tłum.).

bionéj mu wiolonczeli. Biegle władał pędzlem, i oprócz widoków które zdejmował wodnemi farbami, umiał pochwycić z pamięci i rysować ołówkiem, a niekiedy odrazu piórem, wizerunki znajomych sobie osób, zaprawiając je czasem odcieniem niewinnéj a dowcipnéj satyry.

Oddany po większéj części pracom naukowym i prowadząc życie samotne, aby zapobiedz mogącemu ztąd wyniknąć osłabieniu sił fizycznych, szukał rozrywki w łowach. Często, jednak z ofiarą wytropionego zwierza, polowanie kończyło się na zajmujących poszukiwaniach zoologicznych i botanicznych, lub też na zdjęciu pięknego jakiego widoku. Z takiéjto raz wycieczki przywiózł szkic bardzo pocieszny, wyobrażający z najtrafniejszém podobieństwem, myśliwego—malarza, całkiem zajętego rysunkiem, podczas gdy lis niecnota nie postrzeżony, podsuwa się do niego, i wyciąga mu ukradkiem z torby zapas wędliny. Niemniéj jednak dzielnie zażywał broni jak umiał władać ołówkiem: dowodem tego ogromne niedźwiedzie i wilki poległe z jego ręki, których wypchane skóry, część jego muzeum składają.

Skoro przeminął czas łowów i rozjechali się myśliwi, między którymi widziano często wielu zaproszonych przyjaciół, wnet pałac postawski, stawał się znów cichą i samotną siedzibą nauk. Antypatycznie nie lubił Tyzenhauz szumnych zabaw i wystawy wielkiego świata, równie jak zniewieściałych salonowych towarzystw. Przepych i wystawę cenił tylko w rzeczach nauki i zdolnościach umysłu; tylko ludzie uczeni i utalentowani, z którymi wszędzie starał się zabierać stosunki, towarzystwo jego składali. Prostota obyczajów, jednostajność umysłu, słodycz charakteru, czyniły go przystępnym i miłym; w potrzebie okazywał nieugiętą moc woli, wzywającym pomocy jego nie odmawiał opieki. Szczęście nie robiło go wyniosłym, ani też nieszczęście trwożliwym; niepomyślne koleje życia znosił z godnością i z poddaniem się religijném. Takim zaś obdarzony był hartem duszy i umysłu, że w dni kilka po uratowaniu go zaledwo od napływu krwi na mózg, widzieliśmy jak niecierpliwie powracał do swych naukowych zatrudnień, zajmując się czytaniem w berlińskich Archiwach historyi naturalnéj, sprawozdania p. Hartlau-

ba o postępie ornitologii, tudzież nowo wydanych dzieł księcia Karola Bonapartego (1).

Do tych wszystkich przymiotów umysłu i serca łączył zalety dobrego obywatela, i równie mądrego jak szczodrobliwego pana. Wysokie zdolności, których dał dowody jako członek komissyi sądowéj edukacyinéj litewskiéj i kurator gimnazyum mińskiego (1839—41), tudzież członek zarządu więzień w Dziśnie i Kownie (1834); umiał Tyzenhauz obracać na korzyść obszernych dóbr swoich, a usiłowania jego w tym względzie, uwieńczone zostały najpomyślniejszym skutkiem. Włości jego zaludnione dwudziestu tysiącami mieszkańców, wybornie urządzone i utrzymane, stały się wzorem dla całéj okolicy. Postawy słynęły kiedyś z pięknego stada koni. W Rakiszkach, których Tyzenhauz w młodości swéj jeszcze, ułożył uczone opisania statystyczne i fizyczne, uprawa lnów, doprowadzoną została do stopnia takiéj doskonałości, że ich wziętość dała poznać imię Tyzenhauza handlowym miastom Anglii. Niepospolity i pełen smaku budowniczy, Tyzenhauz, według własnego planu wzniósł piękny dom w Rakiszkach; obznajomiony z rzemiosłami wszelkiego rodzaju i z mechaniką, szczególniéj w jéj zastosowaniu do rolnictwa, sam nawet niekiedy wynajdował nowe kombinacye machin; jemu też powiat dobra jego obejmujący, winien wprowadzenie niektórych nowych narzędzi i machin rolniczych. Naostatek, obeznany z nauką lekarską i weterynaryą, nie będąc nigdy zwolennikiem szkodliwych metod specyfików powszechnych, udzielał rad zbawiennych mieszkańcom całéj okolicy i włościanom swoim, którzy się do niego o pomoc udawali.

Wiek podeszły nie zmienił bynajmniéj wyrazu niepospolitéj mądrości i męzkiego wdzięku szanownych

(1) O wyzdrowieniu i zajęciach swoich w tym czasie, pisał do mnie T. w liście z dnia 14 lutego 1850 r. „Przyjazna jego troskliwość o zdrowie moje, wzajemne wzbudza we we mnie uczucie sympatyi a razem i wdzięczności. Owoż na żądanie pospieszam z odpowiedzią abym mu doniósł, że chwała Bogu stan mego zdrowia codziennie się polepsza, siły acz zwolna się krzepią; a nawet pozwalam sobie z umiarkowaniem rozkoszy naukowych, bo właśnie w tych dniach otrzymałem ostatnie poszyty: *The genera of Birds G. R Gray'a*, i potrochu przeglądam to olbrzymiéj pracy ornitologiczne dzieło." Z jakąż radością czytałem wówczas ten list T. nie przeczuwając, że tak prędko skon jego opłakiwać mi przyjdzie! (*Przypis. tłum.*).

rysów jego oblicza, pociągających do siebie każdego, kto go ujrzał. Lata wszelako nadwątliły mocne jego zdrowie; i ostatnie miesiące życia były dla niego pasmem dotkliwych cierpień. Często, złożony chorobą w swém krześle, już tylko za pomocą szczęśliwéj i żywéj jeszcze pamięci, gonił myślą za przedmiotami, które tak lubił w ciągu długiego naukowego zawodu. Filozof do ostatniéj chwili, pomimo trapiących go boleści zdołał zachować pogodę umysłu, oddając się głębokim rozmyślaniom. Nie bez żywego żalu spoglądał na swoje książki, paletrę i wiolonczelę, jako na dawne towarzyszki, które miał wkrótce opuścić na zawsze. Jeszcze na dni kilkanaście przed śmiercią, widząc jednego ze swych przyjaciół przejętego głęboką boleścią na widok jego cierpień, znalazł dość siły, aby dla rozerwania go zagrać na fortepianie, jednę z ulubionych melodyj, wtórując wdzięcznym swym głosem. Lecz byłto śpiew łabędzia, śpiew pożegnania!

Pomimo życia wstrzemięźliwego i czynnego, uparta choroba, oddawna podkopywać zaczęła silną jego budowę. Kilka długich i dotkliwych przystępów podagry i częste cierpienia dychawicy, uderzyły wreszcie na płuca. Napływ krwi do mózgu, o którym mówiliśmy, pogorszył ten stan zatrważający, i Tyzenhauz, skutkiem wynikłéj ztąd puchliny wodnéj zakończył żywot chwalebny 28 (16) marca 1853 r. otrzymawszy pomoce religii, o udzielenie których sam prosił.

Urodzony w dobrach swoich Żołudku pod Grodnem 22 maja (3 czerwca) 1786 r. Konstanty Tyzenhauz, oddał Bogu ostatnie westchnienie na rękach dzieci swoich w Postawach, by się połączyć z cieniami małżonki i pierworodnego syna, co go do grobu poprzedzili. Miał lat zaledwo 67.—Pokój jego duszy!

Wyliczenie prac literackich Tyzenhauza, drukiem ogłoszonych i pozostałych w rękopismach.

1. Rozprawa o *Sowie mszarnéj* znalezionéj w Litwie (rękopis polski) 1830, z 1 tablicą kolorową, znajdującą się teraz w bibl. ces. w Petersburgu. Revue et Mag. Zool. 1851. p. 57. Archiv für

Naturgeschichte v. Troschel. Berlin 1852, p. 18. Tyzenhauz odsyłał jaja téj lapońskiéj sowy p. Gray znakomitemu naturaliście londyńskiemu, który zrazu wziął je był za należące do gatunku amerykańskiego *Syrnium cinereum*. Sowa lapońska z lasów postawskich, nazwana przez Tyzenhauza po polsku *sową mszarną*, jest według niego młodą sową brodatą (S. barbata) Pallasa. W wyżéj pomienionych pismach peryodycznych, T. dowodzi różnic zachodzących między gatunkami *Strix laponica* Retziusza i *Strix cinerea* Gmelina Ameryki północnéj.

2. Ogólne postrzeżenia o gąsienicach zasiewom szkodliwych, mianowicie *komorzycy* (Tipula). W Warszawie 1838 r. w Tygodniku Rolniczo-technologicznym Kurowskiego Nr. 41. Już w 1823 r. Mielżyński ogłosił w języku francuzkim w Genewie rozprawę o szkodliwych liszkach.

3. Wiadomość o niektórych rybach Litewskich, umieszczona w Zoologii Kumelskiego i Gorskiego. Wilno 8-ka u Glücksberga 1837, str. 843.

4. Artykuły monograficzne z podpisem autora o niektórych ptakach, umieszczone w czterech początkowych tomach *Encyklopedyi powszechnéj* polskiéj, która zaczęła była wychodzić w Wilnie u Glücksberga w 1838 r. 8-ka.

5. *Zasady Ornitologii* tom 1. w 8-ce większéj; po polsku, w Wilnie 1841, z tablicą barw i pięcią tablicami zootomicznemi. W tém dziele zawiera się historya literatury, taxonomia, glossologia i terminologia ornitologiczna polska. Ostatnia jest najznakomitszą częścią jego. Rozbiór w Tygodniku Petersburskim 1844 r. Nr. 23. Ob. Bibl. Warsz. 1842. III, 677.

6. O motylu znalezionym w Postawach na oleandrze, zwanym *Sphinx nerii* (Deilephila?). Rękopis posłany do Berlina dla umieszczenia w pismie peryodycznem: *Zeitschrift der Naturforschenden Gesellschafft 1842.*

7. *Ornitologia powszechna*, w 8-ce, w 3 tomach po polsku. W Wilnie 1843—46. Dzieło nader ważne i jedyne w języku polskim. Dwa początkowe tomy wymagają dopełnień z powodu pomnażających się codzień odkryć (1); te dopełnienia już po części przygotowane przez autora, oczekują godnego wydawcy. Rozbiory dzieła tego mamy w Tygod. Petersb. 1844, N. 23: w Bibliotece Warszawskiéj 1846. maj. Revue Zoologique 1845 nr. 8 p. 295. T. 3-ci jest najzupełniejszy i odpowiada postępowi nauki, pisał go bowiem autor po zwiedzeniu muzeów zagranicznych.

8. Notice sur le *Myoxus dryas* reconnue comme une espèce européenne, suivie de quelques observations sur le loir d'Europe en

(1) Życzeniem ś. p. hr. Tyzenhauza było, abym się zajął uporządkowaniem dodatków przygotowanych przez niego do ornitologii powszechnéj. Przeszkody, których usunąć dotąd nie mogłem, a mianowicie odległość miejsca mego mieszkania od Postaw, nie pozwoliły mi odpowiedzieć tak zaszczytnemu wezwaniu. *(Przypis. tłum.)*.

état de domesticité. Wyciąg z Revue et Magaz. de Zoologie, Huillet 1850. N. 7 p. 13, Paris.

Zobacz równie w Bibliot. Warszaw., kwiecień 1848. N. 88 str. 158—167, o *koszatkach w lasach litewskich.* Rozprawa bardzo zajmująca (Myoxus nitela et muscardinus, ob. Belke Mast. III, 326).

9. Sur une pluie d'insectes en Lithuanie. Revue zool. 1849. Bibliothèque universelle de Génève Novembre 1849. Frorieps Tagesbericht, 1850. N. 35. Toż samo po niemiecku w *Correspondenzblatt* wydawanym w Rydze 1849. N. 12, i oddzielnie pod napisem: *Mittheilungen ueber einen in Wilnaischen Gouvernement beobachteten Insekten-Regen* 1850. p. 1—7, z tablicą wyobrażającą owad *omomiłka* (Telephorus fuscus Degeer). Biblioteka Warsz. 1849, kwiecień, II, 189 i dodatek tamże III. p. 188: *o dżdżu owadzim.*

10. O mannie spadłéj w Litwie pod Smorgoniami w 1846 r. Rozbiór chemiczny p. Seetzen w Rydze, wskazuje w niéj amydon ze śladem kwasu benzoicznego. Tygodnik Petersburski. 1846. Kuryer Wileński, 1846, nr. 44. Gazeta Gubernialna Wileńska po rossyjsku. 1847. Niektórzy uważają to za rodzaj krochmalu deszczem zaniesiony i zmieniony w swoich własnościach.

11. Wiadomość o Rubensie, w Bibliotece Warszawskiéj zeszyt 91, str. 183. Jest tam wzmianka o testamencie Van-Dycka i Van-Eycka. Porównaj zeszyt 88, str. 193.

12. Catalogus avium et mammalium quae habitant in regionibus Europae, positis inter gradum 46—57 lat. sept. et 35—55 longit. a Ferro.

Spis ptaków i zwierząt ssących mieszkających w Europie między 46—57 szer. pół. i 35—55 długości geogr. In folio po łacinie; litografowany w Rydze, 1848. Wyliczono w nim nazwy 320 gatunków ptastwa.

13. Dostrzeżenia ornitologiczne. Sąto tablice porównawcze, czyli spostrzeżenia w ciągu lat 10 nad wędrówkami ptastwa, robione w Postawach. Biblioteka Warszawska 1844, IV. 162. Tyzenhauz w tym samym przedmiocie miał korrespondencyą z professorem Keslerem w Kijowie, i hrabią Adamem Platerem w Krasławiu.

14. Sur les aigles d'Europe, ou remarques sur quelques oiseaux de proie en Europe en reponse à Schlegel, auteur de la revue critique des oiseaux en Europe. Revue Zoologique 1847.

15. Sur la coloration du Canard, tamże 1847 r

16. Planches ovologiques coloriées. Paris, 8-ka. 1850—53, avec la dénomination polonaise et latine.

Tablice owologiczne kolorowane (mogące służyć za atlas do dzieła Temincka); zeszytów 1—8, z 73 tablicami jaj kolorowanych, ptaków litewskich. Tablica 1 przedstawia ogólne kształty jaj. Wydanie to pod sterem p. Guerin-Méneville, dotąd nie jest jeszcze ukończone.

17. Ruines du chateau etc. Zwaliska zamku Kokenhauzen w Inflantach, należącego do kawalerów mieczowych z rodziny

Tyzenhauzów, rysowane z natury 1849, litograf. w Paryżu, wydanie Wilczyńskiego, fol. max.

Inny widok tegoż zamku, bardzo szczegółowy, dotąd nie wydany, pozostaje wraz z wielu innemi w album Tyzenhauza. Jest to praca artystyczna.

18. Sur la propagation du Pyrrhula erythrina (O mnożeniu się *gila dziwoni*). Revue Zool. 1851. Ten gil karminowy, gnieździ się na wiosnę pod Wilnem.

19. Observations sur la faune ornithologique des provinces de la Nouvelle Russie. Postrzeżenia nad fauną ornitologiczną prowincyj nowo-rossyjskich, położonych nad brzegami morza Czarnego, 1853 (w rękopismie francuzkim).

Postrzeżenia te ściągają się do obyczajów *sępów płowego i szarego* (V. fulvus et cinereus). Następnie T. radzi ustanowić nowy rodzaj *Clanga* o trzech gatunkach *C. naevia* (F. maculatus Gmel.): *C. fasciata* i *C. macrodactyla* (v. d. Muhle); tudzież opisuje niektóre sokoły, sowy, dzierzby, muchołowki, kruki; a także mówi o kawkach (C. monedula) bardzo pospolitych w Bessarabii; nakoniec gatunki: *Pastor roseus*, *Glareola Pallasii*, *Phaenicopterus antiquorum* etc. Ogółem są tam postrzeżenia nad 200 gatunkami ptaków.

ZOSIA ŻYTKIEWICZÓWNA.

POWIASTKA UKRAIŃSKA

PRZEZ

Tadeusza Padalicę.

(Dokończenie).

Tak jechali przez Medwedówkę, Subotowo, Czehryn, a trzeciego dnia już byli w stepach. Przejechawszy Nową Serbią, skierowali się ku ujściom Bazawluka, i już stepami kudackiéj pałanki jechali do saméj siczy. Zaporoże siedziało wówczas koszem przy rzece Podpilnéj. Podczas podróży nie spotkał ich żaden wypadek, a chociaż spotykali tu i owdzie wałęsających się burłaków, to opowiadając się Małorusinami, żadnéj nie spotkali przeszkody. Nie mieli wprawdzie przewodników ani *piernacza*, ale téż uboga ich odzież i liche szkapy nie nęciły nikogo na zdobycz. Zatrzymawszy się u wrót siczowych, nazwanych basztą, postrzegli nasi podróżni kozaka stojącego na straży ze spisą w ręku, a przed szałasem tuż przy wrotach siedziało jeszcze kilku z fajkami w ustach. Żytkiewicz zatrzymał się we wrotach i uchyliwszy czapki, rzekł:—*Zdorow* kozacze!

— *Zdorow!*— odpowiedział strażnik mierząc ich spokojném okiem.

— A gdzie wasz ataman basztowy?

— A tobie on na co?

— Żeby się opowiedzieć.

Kozak za całą odpowiedź spojrzał na siedzących przy szałasu, i jeden z tych, otyły, pleczysty kozak, leżący na wojłoku

przed drzwiami, w dobrze już wytartym żupanie, z ogoloną głową, na któréj czerniała wijąca się jak pręga, czupryna, odezwał się, nie podnosząc z miejsca:

— *Oś win*-no, mów czego ci trzeba?

Żytkiewicz zsiadł z konia, oddał go Stanisławowi, a sam przystępując do atamana i powitawszy go rzekł:

— A co, panie atamanie, jakby wasza łaska, kazać mię przeprowadzić do pana pisarza koszowego?

— A tyż co za ptaszek?—zapytał ataman.

— At, tak sobie, siroma, taj hody!—rzekł Żytkiewicz.—Jak jadę, nie pytam o drogę; a przyjadę, zajeżdżam wprost we wrota; jak zamierzę się, to i uderzę; jak piję, to leję w gardło nie na brodę; na konia siadam od lewéj strony i w dzień lepiéj widzę, jak w nocy.

— *Tiu tiu! nawiżeny!*—rzekł śmiejąc się ataman.— To jakiś gębaty wyrodek. No, więc czegoż ci trzeba?

— Co za dziwo!—odparł Żytkiewicz:—Czy wy blekotu najedliście się, czy co? Zaprowadźcie mię do pana pisarza koszowego.

— A na co on tobie?

— Ja to wiem na co.

— A nam nie powiész?

— Ot, tak, jak nie powiem!—rzekł Żytkiewicz.—Nie mam coś ochoty, a przytém gardło mi zaschło od wiatru i trzeba je pierwéj odwilżyć *sywuchą*.

— Jaremo!—zowołał ataman do kozaka siedzącego opodal z fajeczką—odprowadź ich do pisarza, taj niechaj im *didko!*

Od wrót zaczynały się zabudowania siczy. Było plac duży, obstawiony dokoła budynkami różnéj wielkości i szałasami z tarcic, trzciny lub wojłoków. Każdy z tych większych budynków był miejscem zgromadzenia się kozaków, gdy dla ogólnych narad wezwani bywali z pałanek. Ile kureni, tyle było domów. W szałasach zaś pomniejszych sprzedawano smołę, chléb, rzemień, rybę, wódkę i inne drobiazgi. W środku placu stała wysoka chorągiew z wyobrażeniem orła, a przy niéj chodził szyldwach obok ustawionych szeregiem kotłów, za pomocą których zwoływano zebranych kozaków dla narad lub wysłuchania rozkazów hetmańskich. Wnet za kureniami stały domki starszyzny kozackiéj proste, niewielkie, różniące się od innych okiennicami pomalowanemi w rozmaite kolory. Gdy na-

si podróżni zatrzymali się przed jednym z takowych, który był mieszkaniem pisarza Artemy, przeprowadzający ich kozak zdjął czapkę, położył ją na ziemi w progu, a sam wszedł do środka. Po chwili wyjrzał przeze drzwi, kiwnął palcem na Żytkiewicza, a gdy ten wszedł do izby, tam go spotkał nizki, krępy, o zawiesistym wąsie staruszek, w granatowym żupanie, litym opasany pasem.

— *Zdorow buw*, panie pisarzu!—rzekł Żytkiewicz, oddając pokłon i kładąc palanicę na stole.

— *Zdorow buw!*—odrzekł pisarz.— A co nam powiecie?

— Wszystko dobre.

— A po dobrém.

— Znowu dobre.

— Kto jesteś?

— Ja jestem szlachcic polski Onufry Żytkiewicz, jadę ze Śmilańszczyzny, a po co? to powié szczegółowiéj ten oto papiér—rzekł, dostając z za pazuchy pakiet i wręczając go pisarzowi.

— Szlachcic? a, więc proszę waszmości siadać—odrzekł pisarz po polsku.—To od gubernatora śmilańskiego—dodał, przeczytawszy adres.—Znamy się z nim; cóż on, zdrów?

— Zdrów, i kazał się kłaniać panu pisarzowi najuniżeniéj.

— Dziękujemy. Jakiż macie interes?

— Przeczytajcie, to się dowiecie.

— Waszmość nie znasz zapewne ustaw naszych: w przeciwnym razie wiedziałbyś, iż żaden papiér nie może być czytany przezemnie samego. Odniosę go do pana koszowego, tam przeczytamy i zrobimy, jak powié rada nasza.

Nie wiedziałem tego i przepraszam— odrzekł Żytkiewicz. —Jaki już porządek macie przepisany, według tego postąpicie. Wy to już wiecie, a mnie do tego *zaś*. Moja rzecz zanieść prośbę i oddać pokłon.—Nareszcie rozpowiedział szczegółowie, że przyjechał odszukać tu syna, bo, jak się dowiedział od Mamaja, ma on się znajdować na siczy; a w końcu dodał—Panie pisarzu Artemy Bazylewiczu! Jak to powiadają: *kruty, werty, a nihde prawdy dity*. Wiemy przecie, choć nie mieszkamy z wami, że wasz tu rozum rządzi wszystkiém, i że bez waszéj rady nic się nie robi. Dopomóżcie mi, a ojcem rodzonym nazywać was będę!—I to rzekłszy pokłonił się mu znowu i wydobywszy zwitek karbowańców z zanadrza, położył go na stole.

Pisarz potarł czuba i zaczął rozpytywać się o szczegółach najmniejszych towarzyszących napadowi Mamaja na Moszny; a gdy się Żytkiewicz wyspowiadał ze wszystkiego, rzekł nareszcie zdziwiony:

— I to już wszystko?

— A wszystko, więcéj nie wiém — odpowiedział Żytkiewicz.

— Ouwa! panie bracie, troszkę trudna sprawa. U nas 38 kureni, a każdy gdzieś w stepach lub na ostrowach, a chłopcy albo przy tabunach, albo zajmują się rybołostwem: więc prędzéj odszukasz igłę w wozie siana, jak syna, nie wiedząc w którym on liczy się kureniu.

— Wiem to dobrze—panie Artemi Bazylewiczu—rzekł Żytkiewicz—że jak przyjdzie na mój głupi rozum, to nie dojdę ładu w niczém; ale wy bądźcie mi jak ojciec i radźcie.

Pisarz znowu potarł czuba: — Obaczymy, obaczymy!— rzekł, i namotując wąsy na palec, kazał sobie powtórzyć znowu szczegóły mogące rzucić pewne światło na rozwikłanie tajemnicy.—Już to prawdę mówiąc między nami—dodał nakoniec cicho, mybyśmy go odszukali i w susléj norze: ale nasi kurenni atamani jak gadziny sykają nam w oczy za to, że Kozaków wydajemy z kosza. Idźcież sobie z Bogiem i przenocujcie tu w którymkolwiek kureniu albo u znajomego, jeśli macie, tylkoż nic nie mówcie po co przyjechaliście, a jutro rano stawcie się przed koszowym.

Żytkiewicz dopytał się do znanego sobie kozaka Proskurki, który kiedyś w Smile handlował smołą, a teraz osiadł w siczy i założył kram drobiazgów, i przenocowawszy u niego, rano nazajutrz stawił się przed koszowym.

Mieszkanie koszowego nie różniło się niczém z powierzchowności od domów innéj starszyzny, wyjąwszy świetlicy, która przyozdobiona była w obrazy i kobierce. Przed stajnią stało kilkanaście osiodłanych koni, uwiązanych do pik, wetkniętych w ziemię, i tyluż Kozaków w rozmaitych położeniach siedzieli lub leżeli przy nich. Przed samemi zaś drzwiami koszowego domu, jakiś podeszłego wieku Kozak w żółtych butach, bez zwierzchniéj odzieży, umywał się parskając silnie w dłonie, na które mu Tatarczuk lał wodę z ogromnego kufla.

— *Zdorow* kozacze! — rzekł Żytkiewicz — a czy doma *batko?*

Stary Kozak łupnął oczyma i ocierając wąsy, zapytał:

— A czego ci trzeba?

— Interes mam do pana koszowego. Powiédźcie, że chcę się z nim widzieć.

— A ty zkąd?

— Ze Smiły.

— Aaa.... zaczekaj trochę stary — powiedział Kozak ocierając się ręcznikiem i huknął do stajennych Kozaków:

— Hej, kozaki! a poproście tu pana wojskowego sędziego, pana pisarza i assaułę.

I to powiedziawszy wszedł do izby, a gdy po chwili Żytkiewicza wezwano do środka, postrzegł on nie bez zdziwienia, iż Kozak z którym rozmawiał przede drzwiami, byłto sam koszowy ataman, który już siedział na ławie za stołem, w żupanie, podpasany bogatym polskim pasem.

Żytkiewicz, znajomy obrzędów powitania, nasamprzód przeżegnał się ku obrazom, następnie położył palanicę na stole i rzekł:

— *Zdorow buw* panie atamanie! kłaniam się wam z chlebem i solą!

— *Spasybi*, z wami zdrowemi — odpowiedział koszowy. — Siadajcież. — Gdy Żytkiewicz chciał opowiedzieć interes w którym przybył, koszowy mu przerwał, mówiąc:

— Opowiecie nam wszystkim, jak zbierze się starszyzna na radę. — A tymczasem rozpytywał o gubernatorze śmilańskim, i napadzie Mamaja.

— Ja wiem, rzekł nakoniec, że pan Dobrzański musi tam psy wieszać na nas za tych przeklętych hajdamaków; ale żeby mi tak Pan Bóg pozwolił doczekać jutra jak prawdę mówię, że my ich tu ciągle karzem za te napady. Ale cóż poradzicie? Nie ma, jak to powiadają, rodu bez wyrodu. Kozaków u nas dużo, a między nimi są takie szalone głowy, że jak im nie ma zabawki z Tatarami, to ich czart ciągnie na rabunek.

Wtém wszedł sędzia, wojskowy pisarz i assauła. Powitawszy się z koszowym i pokłoniwszy się Żytkiewiczowi, zasiedli oni ławę, i koszowy wręczając list gubernatorski pisarzowi, zapytał:

— A co tam panie Artemi Bazylewiczu pisze do nas pan gubernator śmilański.

Pisarz rozwinął papiér i cały list przeczytał.

— Cóż zrobimy panowie bracia? — rzekł znowu koszowy.

I tu zaczęły się różne rady i uwagi, z których mógł wnioskować Żytkiewicz, że koszowy trzymał się na uboczu w miarę jak sędzia i assauła starali się przekonać Żytkiewicza, iż odszukanie syna jego jest dziś niepodobieństwem. Postrzegł nawet Żytkiewicz, iż assauła nieprzyjaznem okiem poglądał zawsze na niego, i w końcu nawet rozkrzyczał się na pogranicznych gubernatorów polskich, że ich zasyłają rekwizycyami, i ztąd tylko wywołują na nich oburzenie Kozaków. — Co my winni, wołał, że nam ciągle nie dajecie spokoju? Już nieraz odpowiadaliśmy wam, że hajdamaki nie należą do nas. Jak ich wieszacie i na pale wbijacie po drogach, to nie pytacie nas, czy można? A jak okradną kogo z Lachów, albo spalą karczmę, to zaraz z rekwizycyą do nas. Cóż to, czy kosz nasz pokrywa ich, czy targuje z nimi na grosz jeden? Niedawno pan Suchodolski z Łysianki pisał do nas, żebyśmy mu powrócili pokradzioną u niego bieliznę! Alboż to kosz przechowuje co oni nakradną? A potém Kozacy nasi krzyczą na nas, że wydajemy swoich i przetrząsamy ich pałanki. I w tém np. zdarzeniu: gdzież my znajdziemy twego syna? Czy jeden u nas kureń? czy tylko dziesiątek Kozaków? Że Mamaj powiedział, to już ma być prawdą, już trzeba przetrząść stepy od Kałmiusu aż do Bugu. Co to za napaść taka!

Sędzia dodał: — Pan gubernator grzecznie pisze, ale krzywdzi nas zawsze, bo liczy nas za jedno z Mamajem. Jeśli ten hajdamaka powiedział, że wié o twoim synie, to jeszcze nie dowód, żebyśmy także wiedzieli o nim.

I wszyscy rozdąsali się, ponachmurzali czoła, skarżyli się na gubernatorów i łajali hajdamaków. Już Żytkiewicz chciał wypowiedzieć im słowa prawdy, widząc, jak zły obrót bierze jego prośba i klął w duchu pisarza, że siedzi jakby wody nabrał do gęby, gdy wtém po uciszeniu się chwilowém, rzekł pisarz:

— Panowie bracia, wszystko to prawda co mówicie i nie może nam być przyjemnie, że nas w Polsce posądzają o jedno z łotrami, którzy żyją krzywdą cudzą. Wszakże trzeba być sprawiedliwym, a wtedy przyznamy, że cała wina spadnie na hajdamaków. Za cóż oni w Polsce publicznie na rynkach nazywają

siebie Zaporożcami? Za cóż Mamaj namawia lud na Zaporoże? Czy kosz upoważnił go do tego? My wiémy że nie, ale jakże mogą o tém wiedzieć w Polsce? A jeśli będziem jeszcze odprawiać z niczém tych, którzy naszéj proszą opieki, nie sprawdzimyż tém domysłów, że trzymamy z złodziejami za jedno? Ale prośba pana Żytkiewicza jeszcze ważniejszéj treści. On nie przychodzi do nas z wymówkami, nie chce odbierać kozackiego dobytku: on, biédny *siroma*, prosi nas ze łzami, ażebyśmy mu pomogli wynaleźć jego syna. On szuka go *serdeczny*, wszędzie, gdzie coś o nim zasłyszy, i niech mu powiedzą, że syn jego w niewoli krymskiéj, on i tam poniesie starą głowę, bodajby sam miał nie powrócić więcéj. Za cóż my jego, panowie bracia, krzywdzić będziem? Za cóż go wypchniemy z niczém, ażeby za progiem płakał na nas krwawemi łzami? Będzież to po bożemu, po chrześciańsku? A jeśliby i odszukał syna, czyż to on z naszego towarzystwa pójdzie na szubienicę? Czy zgubimy przez to czyj żywot? Bynajmniéj! Pocieszymy na starość tego starego, że do końca życia modlić się za nas będzie.

To odezwanie się pisarza wpłynęło stanowczo na zdanie rady. Koszowy nasamprzód odezwał się:

— Ehe, ehe, tak będzie do ładu, po bożemu; trzeba pomódz staremu. Jeśli syn pana Żytkiewicza jest u nas, to on pewnie w szczerbinowskim kureniu. Napiszcież panie pisarzu do kurennego atamana, żeby rozpytał się starych Kozaków o tym Laszku, i jeśli się znajdzie, niech go przyśle natychmiast do kosza. A wy tymczasem panie Żytkiewiczu, zabawcie u nas w siczy do jutra.

Ze łzami w oczach dziękował stary za ich pomoc, a najbardziéj pisarzowi. Wnet posłano Kozaka z rozkazem do szczerbinowskiego atamana, a gdy nazajutrz stawił się przed koszowym Żytkiewicz, ten go spotkał temi słowy:

— No, panie Żytkiewicz, zguba twoja odszukała się, ale nowa zdarzyła się *karluczka*. Nie będziesz ty podobno miał z niego pociechy. Puścił się on na ladaco. Pisze kurenny, że właśnie przed dwoma dniami złapał dwóch Zaporożców, którzy przed rokiem jeszcze bez pozwolenia wyszli z pałanki, i jak zeznali, grabili w Polsce z bandą Mamaja. Otóż panie Żytkiewiczu, jeden z tych hultajów nazywa się Paweł Lach, ma znak rodzimy na prawem ręku, zupełnie taki o jakim zaświadcza nam pan Dobrzański, i według zeznania starych Kozaków, istotnie

był przyprowadzony przez kramarza zaporożskiego Kuźmę Rosomachę, ze Smiły. Tu on go ochrzcił i trzymał do lat 18 przy tabunach w kałmiuskiéj pałance, a przed dwoma laty wpisał do rejestru szczerbinowskich Kozaków.

— Cóż teraz będzie?—zapytał blady i drżący starzec.

— Ha, co rada powié mój hołubczyku!—odpowiedział koszowy.—A działo się to na dziedzińcu przed domem koszowego. Wkrótce przyszli znowu ciż sami ze starszyzny i szeregiem usiedli na przyzbie. Żytkiewicz usiadł opodal i ukrywszy twarz w obie dłonie, ledwie mógł powstrzymać się od płaczu. Wtém stawiono przed starszyzną zbiegów. Byli to dwaj silnéj budowy Kozacy, ogorzali, zarośli, z wyrazem twarzy dzikim, o długich czuprynach, boso, i za całą odzież mieli brudne, całe w szmatach szarawary i koszule. Ręce im były związane na tył, a końce od powrozów trzymali strażnicy, stojący obok nich z pikami i nahajkami.

Koszowy zapytał:

— Który z was Paweł Lach?

— Ja—odpowiedział jeden i spojrzał z podełba na koszowego.

— A czego ty *bratiku* uciekł z kurenia?

— Ot, tak, uciekł taj hody!—burknął więzień.

— A gdzie ciebie *didko* nosił?

— Już gdzie nosił, to nosił; a teraz mnie tam nie ma gdzie byłem.

— O, *suczyj symu*! jaż ciebie nauczę! A co panowie bracia—dodał zwracając się do sędziego i innych—jak wy sądzicie?

I po chwili narady odbytéj półgłosem, gdy sprawdziły się badania o tożsamości więźnia, koszowy rzekł:

— Panie Żytkiewicz, przystąpcie tu bliżéj: znalazła się twoja zguba, bierz sobie jego *k' czortu*! Choć on wasz syn, ale nie warto było jechać po niego tak daleko. Dajże mu pamiętnego i od siebie i od nas. A no, zbliż się *bratiku*,—dodał zwracając się do więźnia.—Widzisz tego Lacha, to twój ojciec. Pokłońże się jemu i het precz z siczy, żeby tu i kruk nie zaniósł twoich kości, bo jeśli wpadniesz drugi raz w nasze ręce, to źle będzie.

Biédny Żytkiewicz spodziewał się, iż w téj przynajmniéj chwili obudzone uczucia synowskie i widok ojca, wzruszą w niém serce, i padnie mu do nóg ze łzami, żebrząc przeba-

czenia, obiecując poprawę; ale więzień nie ruszał się z miejsca i bezdusznem okiem strzelał po wszystkich, jak złapany suseł.

— Durniu, ty, durniu!—odezwał się koszowy;—pokłoń-że się ojcu, wszak to twój ojciec!

— Kto? ten Lach?—zapytał zimno hajdamaka.

— Ten sam, Żytkiewicz.

— Niechaj jemu czart!—burknął więzień.

Na te słowa oburzyli się wszyscy, i koszowy błysnął gniewném okiem.

— Ou wa, bratiku, to ty taki? myż ciebie nauczymy i posłusznego oddamy w ojcowskie ręce.

Wnet powstali wszyscy i zabierając laski, mówili do koszowego:—Bywajcie zdrowi, wielmożny panie!—A koszowy odpowiadał:—Bywajcie zdrowi, a nie zapominajcie o nas.—Pisarz odchodząc wziął za rękę Żytkiewicza i pociągnąwszy za sobą, szepnął:

— Chodźcie do mnie panie Żytkiewicz! Nam tu nie ma czego pozostawać dłużéj; da mu ład nasz ataman. A wy panie assauło, przyślijcie potém tego Laszka do mnie.—Żytkiewicz zgryziony, sam nie wiedząc co robi, powlekł się za pisarzem.

Jak skoro oddalili się wszyscy, koszowy huknął:

— Stróże! a nokijów!—Na ten rozkaz stanęło kilku oprawców, a każdy z pękiem prętów łozowych. Koszowy rzekł:

— A teraz połóż się bratku: my tu ciebie nauczymy, jak to ty powinien słuchać starszych i szanować ojca.

— Wola wasza—odrzekł hajdamaka, i ponaglony przez Kozaków, położył się na ziemi. Stróże usiedli po dwóch na głowie i nogach, a dwaj inni zaczęli go smagać prętami. Paweł oparł się na łokciach i zacisnąwszy zęby, zniósł cierpliwie 50 kijów, nie wydawszy najmniejszego jęku.

— A co, będziesz teraz posłuszny?—zapytał ataman.

— Nie będę; wola wasza!—A, taki ty? dajcież mu jeszcze. Po 25, zapytał znowu:—A będziesz?—Nie będę!—A no jeszcze chłopcy zadajcie mu żaru, tylko dobrego. Gdy wyliczono 100, plecy więźnia pokryły się krwią, oblicze zaczęło blednąć i rzekł:

— Poczekajcie, nie bijcie! zmiłuj się bat'ku atamanie, tateczku mój, hołubczyku....

— A będziesz szanować starszych?

— Będę....

— I słuchać ojca?

— Będę....

— Ot tak należało z początku, wraży synu!—rzekł koszowy.—Teraz odprowadźcie go do Lacha, oddajcie mu na ręce i powiédzcie panu pisarzowi, ażeby wziął kwit, że go oddano z kosza.

Gdy stanęli przed mieszkaniem pisarza, Żytkiewicz siedział właśnie na przyźbie z głową spuszczoną, smutny, zamyślony. Kozacy opowiedzieli się przed nim i stary spojrzawszy na zbójecką postać syna, załamał ręce i łzy mu potoczyły się gradem.

— O synu mój!—zawołał boleśnie—takiejżeto spodziewałem się z ciebie pociechy!

— Milcz tatu—burknął hajdamaka—będę już słuchał, tylko mi nie ćwiarkaj nad uszami i powiédz, niech mię nie trzymają jak psa na smyczy.

Tak dzikie obejście się hajdamaki w obec rozrzewniających cierpień starca, wzruszyło straż nawet.

— Pokłoń się ojcu, ucałuj mu rękę—szeptali Kozacy ponaglając go szturchańcami.

Paweł oglądał się, potém zbliżył się do Żytkiewicza i cmoknął go w rękę; ale w tym ruchu i powitaniu nie było śladu synowskiego uczucia.

— A co tatu—rzekł po chwili—może pojedziemy?

— Dobrze, pojedziemy—odrzekł machinalnie stary i wlepiwszy weń wzrok rozpaczliwy, znowu załamał ręce i zapłakał.—O synu mój!—zawołał—jakże ty zaprzepaściłeś swą młodość! Wyrosłeś jak dzikie bydlę bez wiary, bez serca. I tuż są ludzie, mój synu, co pamiętają o Bogu i chodzą do cerkwi. Czemuż ich nie naśladowałeś? Czemu nie mówiłeś pacierza i nie żyłeś uczciwie? Alboż myślisz, że Bóg pozwala rznąć ludzi i zabierać im ich krwawicę? alboż nie odpowiész za każdą kroplę łez i krwi na strasznym sądzie Jego? I cóż ztąd, że cię znalazłem i zabiorę z sobą? Ja nie hajdamaka, mój synu, i życie u nas nie hajdamackie. My modlitwą a pracą dorabiamy się kawałka chleba, a nie krzywdą ludzką. Jakże ja ciebie pokażę teraz między ludźmi? jakże pochwalę się tobą?... Widzisz teraz na sobie mój synu, że krzywdą ludzką nie bogaci się człowiek. Rozbijałeś i kradłeś, a nie mogłeś pokryć przed światem brzydkiéj nagości ciała swego, i tylko duszę zaprzepaściłeś na wieki!..

Paweł milcząc wysłuchał słów ojca, zérkał tylko jak wilk, lub z podełba patrzał na Żytkiewicza. Stary wpatrzył się w to ogorzałe oblicze i jakby czekał, jakby prosił o łzę z tych kamiennych oczu, coby mu odwilżyła piersi; lecz oprócz zimnéj obojętności i bezdusznéj jakiejś głupoty, nie dostrzegł w niéj żadnego wzruszenia.

— I jakże synu będzie?—rzekł z westchnieniem.

— Pojedziemy—odbąknął hajdamaka—a jeśli masz Lasze pieniądze, to kup mi konia i siodło, bo u mnie, do czarta, nie ma ani grosza!

— Lasze—powtórzył Żytkiewicz z boleścią.—Czyż nie masz w swém sercu drugiego dla mnie nazwiska?

— Zapomniałem... niech mię djabli wezmą, zapomniałem. Wybaczajcie tatu! Tylko nie chmurzcie się, i dajcie choć grzywnę na gorzałkę. Biesowe syny tak mię wyparzyli, że świerzbią całe plecy.

Stary Żytkiewicz o mało nie skonał z rozpaczy i nie wiedział co począć. Serce się wzdrygało na samą myśl, że takiego łotra przywiezie do domu i pokaże matce jakiego ma syna, i córce jakiego ma brata!.. Jego zwierzęca dzikość i zupełna zatwardziałość uczuć robiły mu słabą nadzieję, ażeby je można było choćby w późniejszym czasie oświecić i uszlachetnić. I Stanisław nie wiedział jak ma radzić. Bolał więc w milczeniu patrząc na cierpienia ojca, a przewidując może okropniejsze... Pisarz kiwał głową i mówił:—Szkoda panie Żytkiewicz! nie będziesz miał z niego pociechy: nie przyswoisz tego wilczka, bo on już zaprawił się na ścierwie.

Ale nie było nad czém rozmyślać długo, i Żytkiewicz zmartwiony musiał zabrać z sobą odszukanego syna. Kupił dlań konia z rzędem, sprawił przyzwoitszą odzież, i nazajutrz, opatrzony świadectwem koszowego, wyjechał z siczy. Przez cały dzień piérwszy i następny, Paweł zdawał się być posłuszny, chociaż był ponury i milczący. Niechętnie jechał razem, lecz albo wyprzedzał Żytkiewicza i Stanisława, albo zostawał w tyle. Przed wieczorem zatrzymali się nasi podróżni przy jednéj ziemlance w stepie, żeby dać wytchnąć koniom. Paweł poskrobał głowę i rzekł:

— Tatu! daj mnie pieniędzy.

— Na co?

— Kupię wódki.

— Wypij sobie czarkę, ale więcéj nie trzeba.

— Co czarka? głupstwo! — mruknął Paweł — nie chcę i ust paskudzić! — I gniewny usiadł na przyźbie. Ojciec udał że nie zważa na gniéw jego, i wytchnąwszy chwilkę, puścił się ze Stanisławem w dalszą drogę. Paweł zaczął przesiodływać konia i pozostał. Ile razy obejrzeli się, widzieli że Paweł stał przed szynkiem. Ale wkrótce i Paweł i ziemlanka znikli im z oczu; następował zmrok, a Pawła nie było. Co tu począć? Wracać po niego? — daleko. Zostawić? — nie wypada. Postanowili więc zatrzymać się na nocleg w jarze, do którego przybyli. Już późno przyleciał Paweł na zziajanéj szkapie, hajdamackie wyśpiewując dumy. Zapytany o przyczynę opóźnienia się, odbąknął hardo, nasadził biesów i czartów, i miotając się z koniem, okładając go nahajem, do późnéj nocy spać im nie dał. Gdy podczas rozmowy zbliżył się do Żytkiewicza, wódkę mu z ust czuć było, i biédny ojciec przekonał się wkrótce, że Paweł był pijany. Nic mu wszakże nie powiedział, ale nazajutrz postrzegł na nim czapkę starą i wytartą zamiast nowéj, którą mu sprawił w siczy. Wtenczas wymówił mu zamianę, lecz Paweł nie tłumacząc się, przyzostał się znowu, i zasępiony jechał opodal za niemi przez dzień cały. Ale jakkolwiekbądź, jechali już bez przygody, i trzeciego dnia stanęli na popas w ziemlance pod lasem Czutą. Byłto las duży, leżący już w granicach Nowéj Serbii, zkąd mil dziesięć najwięcéj było im do Smiły. Stary, ślepy na jedno oko Serb, szynkował gorzałką i był jedyną żyjącą tu istotą. Izba do któréj weszli nasi podróżni była nizka, ciemna, bez zédla i stołu. Wiązka siana rzucona w jednym jéj kącie, stanowiła łoże szynkarza. Żytkiewicz znający dobrze niebezpieczeństwo miejsc tutejszych, chciał wyminąć tę karczmę i popasać nad brzegiem Ingułu; ale Paweł uparł się, i tłumacząc, że koń jego zmęczony, pozostał. Jednooki Serb zaczął się przypatrywać po wszystkich, ale najciekawsze spojrzenia ciskał na Pawła. Chrząkał, kaszlał, krzątał się tu i owdzie, a tymczasem otarł się niby niechcąc o niego, i bąknął kilka niezrozumiałych wyrazów, na które Paweł równie nieznanemi odbełkotał. Po chwili Serb wyszedł na podwórze, natknął czapkę na tykę i podniósłszy do góry, jakby machał nią na kogoś. Wtém od lasu pokazali się jacyś trzej ludzie, weszli do izby, poukładali się na sianie, dobyli z kieszeń lulki na króciutkich cybuszkach,

i zapaliwszy je śledzili w milczeniu za każdym ruchem podróżnych. Potém zaczęli rozmawiać z szynkarzem po serbsku czy mołdawsku, wychodzili po kolei na podwórze, opatrywali konie naszych podróżnych i powracając znowu kładli się na sianie. Paweł nie mieszał się do ich rozmowy, ale w tak niezręczny sposób udawał że ich nie zna, iż postępowaniem swojém tém bardziéj sprawdzał podejrzenia. Żytkiewicz więc mrugnął na Stanisława, i gdy obadwa wyszli do sieni, rzekł mu:

— To jacyś podejrzani szelmy.

— To hajdamaki—odpowiedział Stanisław.—Trzeba nam mieć się na ostrożności. A Pawełek, zdaje mi się, zna się z nimi doskonale?

— Bóg wié co mówisz!—odrzekł Żytkiewicz.—Przecież nie rozmawia z nimi.

Tymczasem Stanisław przyłożył oko do szpary we drzwi, i po chwili skinął na Żytkiewicza ażeby się zbliżył, i widzieli obydwa, jak Paweł korzystając z ich nieobecności wychylał czarkę po czarce podawane mu przez owych włóczęgów, i jak im opowiadał o czémś prędko i pocichu; a nakoniec położył palec na ustach, jakby nakazując wszystkim głębokie milczenie.

Żytkiewicz zamyślił się i osnuwszy w myśli jakiś projekt, powrócił do izby niby wesoły, wdał się w gawędę z włóczęgami, rozpytywał ich o drogę, wymówił się niby niechcąc którędy ma jechać, gdzie nocować zamierza, i nie tracąc czasu, puścił się w drogę. Paweł przedtém ponury i małomówny, stał się teraz rozmowny i wesoły; ale gdy ubiegli mil parę, Żytkiewicz wstrzymał się nagle na rozdrożu i patrząc pilnie w oczy Pawełkowi, rzekł:—Rozmyśliłem się synu, już nie pojadę prosto, ale weźmiem się na lewo, na Cybulów.

Pawełek zmierzył ojca dużemi oczyma, i zaczął wmawiać że to zwrot niepotrzebny; że tamte szlaki pełne są hajdamaków, i Czuta dla podróżnych nigdy nie była bezpieczną odkąd Mamaj przesiadywać tam zaczął. Ale gdy widział, że stary namówić się nie daje, pogroził jakby na pewno, dodając, że o grożącém im niebezpieczeństwie dowiedział się od owych hultajów, którzy byli w karczemce.

Żytkiewicz kiwał głową, pokręcał wąsa i z udanym śmiechem, jakby lekceważąc te strachy, rzekł:—Co będzie, to będzie; a będzie tak, jak Pan Bóg da! Wstydź się synu bać się jak dziecko: takiżto z ciebie i Kozak! Nie piérwszyto raz będę

z nimi krzesał szablę, a wy także nie ułamki, Bogu dzięki. Takich jak my, trzech zuchów, opędzim się od dziesięciu i jeszcze nakarbujem im plecy.—Poczém zaciął konia i puścił się ze Stanisławem przyspieszonym kłusem. Zdziwiony Paweł stał długo na rozdrożu, nareszcie splunął i rzekł:—Ot biesowe Lachy! ale to jak czart ich napadł...

— Gdzież ty tatu nocować myślisz?—zapytał, dognawszy Żytkiewicza.

— Na ziemi przeciwko nieba.

Paweł jakby domyślając się, iż obudził nieufność względem siebie, spojrzał w oczy Żytkiewiczowi i rzekł:—Ty może tatu myślisz, że zmówiłem się uciec z hajdamakami, albo co? Ot żebym poczerniał jak ta ziemia, żebym jutra nie doczekał, żeby mię krzyż święty pobił, jeśli mam jaką złą dumkę w sercu. A wszakże gdybym chciał uciec, tobym uciekł kiedy zechcę, jak wyspicie, albo jak zostałem się w karczmie.

Ale Żytkiewicz oświadczył, że nigdy go nie podejrzywał o ucieczkę, a tymczasem szłapał w raz powziętym kierunku. Tak ubiegli stepami mil ze dwie, i o zachodzie stanęli nad Ingułem. Przeciwko nich widniał *Las Czarny*, z prawéj strony *Czuta*, a na jarze zieleniały ługi, długie taśmy oczeretów i tu i owdzie przebłyskały stawy. Żytkiewicz skierował się bez drogi w jar głęboki, i o kilkaset sążni od rzeki, w kotlinie pokrytéj burzanem, zatrzymał się na nocleg.

Gdy rozsiodłano konie i przyszła pora ich napojenia, Paweł zebrał je wszystkie i chciał prowadzić do Ingułu; ale Żytkiewicz powiedział:—Zostań synu przy siodłach, bo ja je napoję ze Stanisławem.—Paweł już nie powstrzymał się w gniewie, zaczął wymawiać, że mu nie ufają, że go mają za wroga, że on pomandruje gdzie oczy poniosą, jeśli tak ojciec postępować z nim będzie. Nareszcie usiadł po tatarsku na ziemi, zapalił fajkę i milczał.

Ale gdy go zostawiono samego, nagle mu oczy zaiskrzyły się jak węgle, podniósł głowę, i w sprężystym susie, jak zwierzę, skoczył do siodła Żytkiewicza. Wydobył z sakiew flaszkę z gorzałką, drugą z własnéj kieszeni, przekroił bochenek chleba, wydrążył jednę połowę z miękiny, i za pomocą tego prostego narzędzia, przelał gorzałkę swoję do flaszy Żytkiewicza a tamtę do swojéj. Poczém znowu usiadł na stronie, i przez cały wieczór nie odezwał się ani słówkiem: nie wstał do czarki

i wieczerzy, ale podesławszy derę, nakrył się burką i zachrapał. Żytkiewicz tymczasem odmówił pacierz, Stanisław popętał konie, puścił je na paszę, i wkrótce obydwa zasnęli snem twardym.

Gdy Żytkiewicz obudził się nazajutrz, już słońce świeciło nad głową, i południowemi promieniami paliło go niemiłosiernie. Porwał się więc na nogi przerażony, i żegnając się, krzyknął:

— Jezus, Marya! czyż to doprawdy już południe? Cóż to się stało, żem spał tak twardo i długo?

Budzi więc Stanisława, ale dobudzić się nie może. Bieży do Pawła, ale nie ma Pawła ani koni. Ogląda się dokoła i widzi, że nie ma burek ani siodeł. Szuka na piersi skórzanego *hamańca*, gdzie miał pieniądze, ale i tego nie znajduje. Poznaje nareszcie, że Paweł okradł ich ledwie nie do koszuli.

Natenczas Żytkiewicz wzniósł oczy zalane łzami i zawołał.

— O Boże! jakże mię srodze karzesz! Syn mię własny okradł, a czemuż nie zabił!

Potém padł na ziemię i płakał jak dziecko.

Jego łkania obudziły Stanisława, który niemniejszą przejęty został boleścią, poznając co zaszło. Widocznie Paweł podsunął im zręcznie wódkę zaprawną usypiającém zielem, jakowy sposób był często praktykowany przez hajdamaków. Stanisław cieszył jak mógł starego, ale Żytkiewicz wciąż płakał i mówił:

— Oj, daj mi pokój chłopcze! nie ma już dla mnie pociechy w tém życiu! U ludzi dzieci są pociechą na starość: u mnie syn mój, syn jedyny, wyrodek, hajdamaka!

Gdy się spłakał stary i łzy ulżyły boleści, nagle potém powstał, jakby się opamiętał i rzekł mocnym głosem:

— No Stasiu, dokozakowaliśmy się, nie ma co mówić! Jedźmy teraz na ojcowskich koniach.—Przeżegnał się.—Boże! w imię Twoje! Błogosław nas Panie. A ty, synu—dodał grzmiącym głosem obracając się ku stepom i podnosząc rękę, jakby przemawiał do pustyni—oby cię Bóg tak zasmucił, jak ty mnie zasmuciłeś! Oby cię odepchnął od swego łona, i występna głowa twoja nigdzie nie znalazła spokoju! Nie mam syna! nie mam! i oby ci Bóg też same słowa powtórzył na strasznym sądzie swoim! No, chodźmy teraz Stasiu, chodźmy!—dodał.—Teraz mi lżéj na sercu: teraz nie mam syna i nie boję się rozboju...

I oblicze jego przybrało wyraz zupełnéj obojętności. Stanisław tak był przerażony tą chwilą, iż słowa rzec nie śmiał.

Stary nałożył fajkę, jedyny sprzęt jaki mu pozostał w kieszeni, skrzesał ognia, zapalił ją i brnąc przez burzany, zaczął obojętną o czémś rozmowę, jakby żaden nie spotkał ich przypadek.

Nie będziemy powtarzali szczegółowie, jaką boleścią przejęci zostali wszyscy w futorze Brzozowskiego, gdy im Żytkiewicz i Stanisław opowiedzieli szczegółowie wypadki swéj podróży; nie będziemy téż opisywać tych chwil szczęśliwych, których potém kosztowali kochankowie osłonieni wiosną, lasami i samotnością. Domyślicie się zapewne, że Stanisław nie mógł znieść dłużéj nad dni kilka niepewności co do wyroku o jego losie; i upatrzywszy chwilę, padł do nóg rodziców Zosi, prosząc ze łzami o jéj rękę. Stary Żytkiewicz tak go pokochał, iż wysłuchawszy prośbę, przywołał córkę i oddając mu ją, powiedział ze łzami:

— Wiém, że się kochacie, moje dzieci. Oddaję ci Stasiu mój jedyny skarb, jaki mi pozostał na świecie. Kochaj i żałuj ją chłopcze, bo to poczciwe dziecko;.. a ja już stary, jak tam da Pan Bóg, dohyrlam do grobu sam jeden....

— Zastąpię ci syna, najdroższy ojcze—wołał Stanisław— i nie opuścim cię do śmierci!

— Dziękuję ci Stasiu! dziękuję!—mówił drżącym głosem Żytkiewicz.—Durz mię chłopcze, durz mię starego czasem, jak mi się zrobi ciężko na sercu... a Bóg ci zapłaci za twą dobroć!

Po kilku tygodniach odbył się ślub młodéj pary w śmiłańskim kościołku, i oboje wyjechali wkrótce na mieszkanie do Humania, gdzie obowiązki służbowe powoływały młodego Brzozowskiego. Staruszkowie obliczywszy swe szlacheckie fortunki, i zapewniwszy się, że w połączeniu posiadają piękną sumkę, za którą mogą otrzymać na zastawném prawie wioskę z humańskiego klucza, zaczęli o to instancyonować u Potockiego, i magnat ten posiadający je secinami w jednéj z najżyzniejszych okolic Ukrainy, ustąpił jednę z nich na imię Stanisława Brzozowskiego. Tam się przenieśli na mieszkanie młodzi Brzozowscy i przestali już nawet myśleć o Mamaju, przekonani, że zapomniał o pogróżce, którą mu spełnić nie było łatwo, zwłaszcza w Humańszczyznie, gdzie milicya czujnie strzegła granic; gdy wtém razu jednego, przed rocznym humańskim jarmarkiem na ś. Piotra, odebrał Brzozowski list przez umyślnego, od namiestnika narodowéj kawaleryi Witosławskiego, zawiadamiający go, że Mamaj podzieliwszy swą szajkę na małe bandy, wałęsa się z nimi po

okolicznych lasach, i że jednę taką bandę posunął do Teplickich lasów, zkąd zapewne pociągnie na Granów. Żądał więc, ażeby mieć się na ostrożności i uzbroić Kozaków. Brzozowski natychmiast uzbroił 24 ludzi, porozstawiał straże przy kołowrotach, i często podczas nocy, z kilkunastą Kozakami dosiadłszy koni, wałęsał się po okolicznych szlakach. Powracając raz do domu z takiéj wycieczki, postrzegł przy blasku księżyca, iż postać jakaś zamajaczała przed nim na drodze, i wskoczyła w żyto rosnące bujnie po obudwu jéj stronach. Skoczono w tamte strony, i wytropiono chłopca lat 16, w którym, ku wielkiemu zadziwieniu Brzozowskiego, poznał on Ołeksę, własnego stajennego. Na zapytanie co tu robi? zkąd idzie? i czego się kryje? zmieszał się kozaczek, drżał cały, ale odprowadzony do domu i wzięty na ścisłe badania, wyznał: że był w lesie u Pilipona, który téj wiosny zakupił wszystkie sady leśne u Brzozowskiego; że on mu przyrzekł dać jesienią kilka worków jabłek, jeśli mu będzie donosił co się u pana robi w domu, i kiedy wyjedzie na jarmark do Humania; że nareszcie widział tam kilkunastu nie tutejszych ludzi, którzy go rozpytywali się szczegółowie o zabudowaniach, o zamkach, o izbach w których sypiają państwo, i gdzie stoją kufry; i że ciż ludzie namawiali go, ażeby uciekł od stajni, przyrzekając zaprowadzić go na Zaporoże, gdzie, jak mówili, będzie chodził w safianowych butach i nosił pełne kieszenie rubli. W końcu dodał, że tych nieznajomych nie widział nigdy dniem, ale że zawsze schodzili się oni z lasu na wieczerzę do Pilipona, i kładli się spać w szałasu.

Powziąwszy taką wiadomość Brzozowski, nie tracąc ani chwili zebrał swoich Kozaków: uzbroił ich w fuzye i spisy, i puścił się drogą ku lasowi. Nie dojechawszy do wskazanego sadu, o jakie kilka sążni kazał wszystkim pozsiadać z koni, zostawić je w jarze na ustroniu, a sam z Kozakami pieszo, w największéj cichości podchodził do futoru. Ale należało jeszcze zabezpieczyć się od psów, których tu trzymał Pilipon dla straży, i kozak Brzozowskiego, doświadczony Omelko, użył na nie tego sposobu, jakiego używają hajdamacy. Podkradłszy się naprzód zwołał je po nazwiskach, i każdemu cisnął kłębek wału pokrytego łojem. Kłębki te uwięzły im w pyskach, i już ani szczekać ani od nich uwolnić się nie mogły. A wtém podstąpili Kozacy, przeleźli przez płoty i otoczyli szałas. Huknął natenczas Brzozowski, ażeby się pod-

dali, i spłoszeni hajdamacy, po chwilowém borykaniu się z Kozakami, bez najmniejszego krwi rozlewu, bez żadnego wystrzału, powiązani zostali co do nogi.

Owocem téj szczęśliwéj wyprawy było dwunastu hajdamaków, licząc już w to i watażkę ich *Sycza*, tak nazwanego od uderzającego podobieństwa oblicza jego do głowy puszczyka. Brzozowski wnet ich pod mocną strażą odesłał do Humania, gdzie wyznali pod rózgami, że są z bandy Mamaja, i spodziewali się co dnia jego przybycia, ażeby napaść i ograbić dom Brzozowskiego. Ale wieść o ich pojmaniu rozniosła się wnet po okolicy, i Mamaj nie pokazał się w tych stronach. Po badaniu, którém, jak wiadomo, komendant i pułkownik humańskiéj milicyi Gorzewski, nie zabawiał się długo, wszyscy zostali wywieszani; a porucznik kawaleryi narodowéj Wydżga, tropił tymczasem z oddziałem swoim uchodzącego Mamaja, omal go nie pojmawszy na granicy. Wszakże straże rossyjskie zawiadomione o kierunku ucieczki owego rozbójnika, dośledziły go znowu aż przy Bohu, i tu, jak powiadają, schwytanym został na wyspie Mihei.

Dziwném zrządzeniem losu, stary Żytkiewicz już podczas jesieni wałęsając się po granicznych jarmarkach, był w Bohopolu tego samego dnia, kiedy rossyjski oficer pojmanego Mamaja, jako poddanego polskiego oddawał namiestnikowi Witosławskiemu, stojącemu nad granicą obozem. Osądzono go na pal, i gdy prowadzono na stracenie, spotkał się z nim oko w oko Żytkiewicz. Poznał go rozbójnik natychmiast i zawołał:

— Bywaj zdrów Lasze! ot, teraz już nie bój się, nie odbiorę ci dziewki. Przeklęte Lachy tropili mię całą jesień jak lisa. No, widać przyszedł czas odwetu. Doli, jak to powiadają, koniem nie objedziesz. Napatroszyłem ja i ich do woli, popamiętają czas jakiś Mamaja! Tyś tęgi Lach, *krot' twoju mater!* pamiętasz jak broniłeś się w Mosznach? Dajże lulki, choć raz smoknąć przed śmiercią...

Żytkiewicz podał mu fajkę, którą trzymał w ustach i rzekł:

— Przeżegnaj się Mamaju, a pożałuj za grzechy! Ej! zgubiłeś mi syna, Mamaju, bodajby ci Bóg nie pamiętał tego na strasznym sądzie swoim!

— Wiém, wiém wszystko—przerwał Mamaj z uśmiechem, przymrużając jedno oko.—Zuch, dalibóg zuch! Zaleje on wam za skórę sadła, obaczycie. A silny psiawiara jak niedźwiedź.

Kłaniaj się odemnie dziéwce swojéj:... hoża z biesa Laszka! Nie uszłaby ona rąk moich, żeby nie te paciorki—dodał potrząsając kajdanami.

Żytkiewicz zatrzymał się jak wryty pod wpływem zdziwienia, widząc taką spokojność zbrodniarza, który za chwilę miał wyzionąć ducha w najboleśniejszych męczarniach; a tymczasem więzień oddalał się i wołał:

— Bądź zdrów Lasze! żegnaj panie Żytkiewicz!

Po straceniu Mamaja, Ukraina na czas jakiś odetchnęła od grabieży, pożog i mordów. Młodzi Brzozowscy mieszkali zawsze w swojéj wiosce pod Humaniem; stary Żytkiewicz nie mógł się odzwyczaić od czynnego życia, i do późnéj starości zajmował się handlem koni i bydła. Stary Brzozowski nie chciał za nic zostawić swego futoru i pasieki, i żył tam do późnéj starości, odwiedzany corocznie przez syna, synowę i Żytkiewicza. Co zaś do syna Żytkiewicza, ten hajdamacząc ciągle, należał późniéj do Koliszczyzny i zginął nakoniec pod toporem kata.

WYCIECZKA ARCHEOLOGICZNA

PO GUBERNII WILEŃSKIEJ,

PRZEZ

Jana ze Śliwina.

I.

Długo zarzucano u nas, że kraju własnego nie znamy, że chętniéj wędrujemy za granicą i czytamy opisy państw obcych, a ziemi rodzinnéj nie zgłębiamy i nie opisujemy. Dziś, ten zarzut, dzięki nadzwyczajnemu prądowi, jaki się objawił w ostatnich czasach dla głębszego zbadania każdego niemal zakątka dawnéj Polski i Litwy, nie może już mieć miejsca. Wszakże archeologia nasza, a szczególnie etnografia bardzo jeszcze ubogie. Sądzę więc, że i kilka słów powiedzianych w tych gałęziach nie mogą być bez owocu. Co roku zwiedzam jakąkolwiek część kraju naszego w celu zgromadzenia materyałów etnograficznych i archeologicznych, a każda przejażdżka powiększa mój zapał do podobnych badań: każdy krok bowiem tyle ciekawych nastręcza podań, tyle uroku w rzewnéj poezyi ludu naszego!.. Pozwólcież, niech się podzielę z wami wrażeniami świeżo odbytéj wycieczki po gubernii wileńskiéj.

Na początku lipca ruszyłem starym połockim traktem ku Michaliszkom. Połocki gościniec należał do głównych w Litwie, i szedł na Michaliszki, Swir, Głembokie, do Połocka, a ztamtąd do Moskwy i Kijowa. Po-

łockim gościńcem przybyła do Wilna Wielka księżna Helena córka Jana III Bazylewicza W. ks. moskiewskiego, małżonka króla Alexandra; taż droga pamiętna sławnym pochodem Batorego na Połock. W Wilnie, rogatka przez którą wyjeżdża się na tę drogę i dziś nosi nazwę Połockiéj. Gościniec ten dotychczas dobrze utrzymany, z wygodnemi karczmami, znacznie skraca drogę dla tych, którzy unikając pocztowego gościńca na Oszmianę, Mołodeczno i Wilejkę, dążą swoimi lub najętemi końmi prywatną drogą.

Zaraz za rogatkami otwiera się panorama pięknych widoków, któremi słyną okolice Wilna; na lewo góry, lasy, piękne zarośla, daléj poetyczne Równe Pole, na prawo zachwycające Popławy. Ożywioną i urozmaiconą drogą zbliżamy się do papierni Pusłowskiego, niedawno odbudowanéj po pożarze. Należy ona do najlepszych tego rodzaju zakładów w Litwie. Położona nad rzeką Wilejką, odznacza się przytém czarowną pozycyą.

Daléj majątek Mickuny z dziwnie urozmaiconą okolicą, własność obywatela Pillera: ma 17 chat, młyn, tartak, browar piwny, kościołek filialny pod wezwaniem św. Jana; potém Ławaryszską puszczą, niegdyś bardzo znaczną, przez skarbowe miasteczko Ławaryszki z 10 chatami i karczmą, w którém kościół fundacyi Anny z Rudominów Pacowéj podkanclerzyny Lit. w r. 1642. Puszcza Ławaryszska za czasów pogańskich była poświęcona wężom, których wybierano ztąd i utrzymywano po domach, jako bóstwa domowe. I dziś jeszcze mnóstwo ich w lesie i po domach włościańskich. Lud nie zabija je, poi mlekiem i jako świętych uważa. Mijając porządne karczmy Wiłojkiszki, Lipki i Słobodkę, zkąd na prawo prowadzi droga do Wornian, zbliżamy się ku Michaliszkom. Tu miejscowość znacznie się zmienia: zaczyna się płaszczyzna, a oko przywykłe do ciągłych gór i pagórków, męczy się chcąc przedrzéć widnokrąg równin. Miasteczko Michaliszki niegdyś własność hr. Brzostowskiego, nad rzeką Wilią, zawiera w sobie 50 domów, ma piękny kościołek z cmentarzem i szpitalem, żydowską bożnicę, browar, dom zajezdny i 8 szynków. Kościół Michaliszki pod wezwaniem św. Michała, fundowany przez Cypryana Pawła Brzostowskiego w r. 1615, odnowiony w r. 1820 przez miejscowe-

go proboszcza ks. Józefa de Bloka. Wewnątrz kościół ozdobiony mistrzowską gipsaturą roboty Penzy, rodem z Florencyi, w r. 1620. Ztąd przez prom na Wilii idzie daléj trakt połocki, na prawo zaś drożyna do Dobrowlan, dokąd właśnie dążyłem. Przejechałem wieś Markuny z 31 chat złożoną, należącą do majątku Czech Jana Kotwicza, nad rzeką Wilią pięknie położoną. O pół mili ztąd, czarowne miejsce. Po obu stronach Wilii las; przerzynają go łany, niewielkie wzgórza, i wśród tego wszystkiego rzeczka Oszmianka łączy się z Wilią. Daléj przejechawszy mimo pięknego majątku Palestyny p. Xawerego Kotwicza, mającego służyć za wzór dobrego gospodarskiego urządzenia, przez las, przeprawiwszy się przez prom na Wilii w Rymszyninach, przybywamy do Dobrowlan. Już w lesie napotykamy ślady pobożności właścicieli, bo wszędzie krzyże, otoczone palisadą, osadzone w półkole drzewkami. Daléj zbliżając się ku domowi, po bokach szerokiéj drogi widzimy wygodne ławy: sądziłem kamienne, a jak poźniej pokazało się drewniane, ale bardzo zręcznie przez miejscowych rzemieślników pod dziki skalisty kamień podprowadzone. Dwa szerokie kanały otaczają pałac i zabudowania gospodarskie, łącząc się z obszernem jeziorem poza ogrodem. Piękny kamienny most i brama gotycka prowadzą na dziedziniec. Tu z przyjemnością postrzegamy gustowne, nawet bogate zabudowania gospodarskie, z których każde ozdobione piękną gotycką bramką, w wybornym i gustownym stylu; lecz oto, mimo klombów, kwiatów, topoli, zarośli, jesteśmy pod pawilonem nader gustownie ubranym w kwiaty—przed pałacem. Pałac murowany o trzech piętrach wcale niezłéj architektury.

Dobrowlany nazywały się dawniéj Dubrowa, a otrzymały dzisiejszą nazwę w poźniejszych czasach od wyrazów podobno Dobra-Wola. Jeden bowiem z naszych poetów widząc dobrą wolę właściciela w ulepszeniu bytu wieśniaków, dał tę nazwę, powszechnie przyjętą, a z czasem i na urzędowną zamienioną. Dubrowa, czyli Dubrowlany w roku 1527 należały do Lwa Iwanowicza Roski Borejszy; późniéj widzimy je własnością po kolei Stabrowskich, Żabińskich, Podbipiętych, Unichowskich, w roku zaś 1685 przeszły do Jakóba na

Skrzynnie hrabiego Dunina, którego córka Barbara wyszła za Pawła Karola księcia Sanguszkę w r. 1719, i przyniosła mu w posagu ten majątek. W roku 1774 przeszedł w posiadanie Abramowiczów, od których w r. 1818 kupił Adam hrabia Günther von Heidelsheim, wraz z żoną swoją Alexandrą, urodzoną hrabianką Tyzenhauz. Rodzina Güntherów pochodzi z Palatynatu. Graf Michał Günther von Heidelsheim po świetnéj wyprawie na Turków i zwycięztwie pod Wiedniem, jako pułkownik przeszedł do wojska Jana III i przeniósł się do Litwy. Niniejsze świetne urządzenie Dobrowlan, wzniesienie z byłych ruin zamku, podobno Sanguszkowskiego, pięknego pałacu, a co najważniejsza, założenie w nim gotyckiej kapliczki z archeologicznym zbiorem, winniśmy przed rokiem zmarłemu ś. p. Adamowi hr. Günther, gorliwemu zbieraczowi pamiątek wszelkiego rodzaju, zacnemu obywatelowi i najszlachetniejszemu opiekunowi swoich włościan, których potrafił okrzesać, ulepszyć ich byt, nauczyć rozmaitych rzemiosł i przywiązać do siebie. Po śmierci jego Dobrowlany przeszły na własność córki jego Matyldy Buczyńskiéj, pani pobożnéj, umiącéj oceniać piękne cele swojego ojca, i z wzorową troskliwością usiłującéj zastąpić jego miejsce dla włościan.

Kaplica Dobrowlańska umieszczoną jest na dole w samym pałacu. Fundowana i poświęcona pod wezwaniem św. krzyża przez XX. Missyonarzy: Józefa Kuzmickiego i Franciszka Zambrzeckiego 23 lipca 1828 roku. Wspaniałe gotyckie podwoje prowadzą do kaplicy. Ołtarz urządzono na wzór grobowca króla Kazimierza, a nad nim krzyż duży z drzewa hebanowego, obity bronzem wyzłacanym, wewnątrz zaś na błękitnéj materyi za szkłem relikwie SS. umieszczone. Cała kaplica w 25 miejscach ozdobiona starożytną zbroją i innemi pamiątkami, starannie zgromadzonemi przez ś. p. Adama hr. Günthera. Strzały, siekierki, ładownice, buzdygany, czekany, kirysy, przyłbice, bardysze, hallabardy, zbroje, porządnie ugruppowane, ciekawy i wspaniały przedstawiają widok. Dziś zbiór ten nie jest w zupełności, albowiem do 200 sztuk ręcznéj i palnéj broni, jakoto: szpad, pałaszów, pik, pistoletów, puginałów, kindżałów, karabel, kordelasów, fuzyj, przewieziono czasowie do Dyne-

burga. Była tam broń polska, francuzka, turecka, Templaryuszów, janczarki, puginał japoński, pistolet generała Bielaka i t. d. Z obecnie znajdujących się pamiątek, szczególnie zwracają na siebie uwagę: włócznie fugowane z ostrzem żelaza, lance z poprzeczkami, kilka tarcz, z których jedna z herbem Sobieskich, druga Güntherów, 3 pełne zbroje rycerskie, z których dwie stojące, a jedna leżąca. Jedna z nich krzyżacka, bardzo ciekawa; ma kaszkiet z hełmem i przyłbicą, naszyjnik, karacenę, części pokrywające plecy i biodra, wszystko w karpią łuskę, naramiennik i rękawice, zbroja na nogi od bioder, w ręku miecz krzyżacki i tarcza, a na niéj krzyż. Buława polska na drzewcu sandałowym osadzona, srebrem i złotem nabijana, pochodzi od rodziny Wołodkowiczów. Munsztuk na Turkach zdobyty z tejże rodziny pochodzący; druga buława polska 20 cali długa, z rękojeścią z kości słoniowéj, gałką fugowaną i skówką stalową złotem w deseń grubo narobioną. Kolczuga tatarska, z kołnierzem klamrami złoconemi spinana, cała gwiazdkami upstrzona, kamieniami nasadzona na piersiach koło przerznięcia do wkładania, i ozdobiona półksiężycem, w którym profil męzkiéj twarzy oprawiony. Zbroi piersiowych do 40, lecz z tych tylko 12 zasługują na uwagę. Piękny takoż zbiór pamiątek z r. 1812 z Berezyny, składający się z kul, krzyżów i broni rozmaitéj. Z kurhanów wydobytych rzeczy niewiele. Znalazłem tu ciekawy spis osób ręką ś. p. Adama hr. Güntera sporządzony, którzy darami swoimi kaplicę wzbogacili. Między innemi są tu imiona Izabelli ks. Czartoryskiéj, Karola hr. Przezdzieckiego, Augusta hr. Brzostowskiego, Konstantego hr. Platera, Józefa hr. Korwina Kossakowskiego, Jana Gwalberta Rudominy, Napoleona Mirskiego, Stanisława Chomińskiego, Mikołaja Abramowicza, Edwarda hr. Mostowskiego, Adama hr. Chreptowicza, Ignacego i Dominika Chodźków i wielu innych.

O wiorst 4 od Dobrowlan położony drugi majątek ś. p. Adama hr. Günthera, Newstaniszki, z kościołem parafialnym, pierwiastkowie założonym w roku 1497 przez Bohdana Andrzejewicza, odnowionym przez księdza Wojciecha Kolczyńskiego w r. 1749, a w ostatnich czasach restaurowany przez miejscowych proboszczy: najprzód

ks. Antoniego Kuczewskiego kanonika inflanckiego, a późniéj ks. Felixa Skaliszewskiego. Kościół obszerny, drewniany, bardzo porządnie utrzymany. Z podziału majątek ten dostał się drugiéj córce A. hr. G. znanéj w świecie literackim autorki w Imie Boże, Daléj w Swiat i wielu innych poezyj, nacechowanych prawdziwym talentem i najszlachetniejszą dążnością, Gabryelli księżny Puzyninéj. O ćwierć wiorsty od kościoła założyła ona swoję nową rezydencyą, wybudowała niewielki domek drewniany i nazwała to miejsce Potulinem. Nie można było znaleźć stosowniejszego nazwania. Prawdziwie, tak tu potulnie, tak dobrze: malutkie izdebki oddychają taką prostotą, a cóż tu kwiatów, drzew starych, książek, rycin, oprawnych w księgi nader ciekawych korrespondencyj z najznakomitszemi naszemi autorami. A wszędzie prostota, pokój, najmiléj łączą się z gościnnością i szczerotą gospodarzy i prawdziwie otulają człowieka.

Trafiłem do Newstoniszek na rzewną uroczystość. Dziełko ś. p. ks. Nowińskiego o św. Izydorze oraczu, patronie chłopków, znalazło tu odgłos i zrodziło myśl wprowadzenia do kościoła uroczystości św. Izydora. Jakoż Tadeusz książę Puzyna z małżonką swoją Gabryellą, i pani M. Buczyńska uzyskawszy pozwolenie, wznieśli tu ołtarz zupełnie zastosowany do okoliczności. Ołtarz cały z drzewa, wsparty na snopach żytnich, po mistrzowsku wyrzniętych przez miejscowego rzeźbiarza, ozdobiony po obu stronach grabiami, kosami, siekierkami, łopatami i mnóstwem innych narzędzi rolniczych. Obraz św. Izydora pięknie wykończony przez młodego wileńskiego artystę, niedawno przybyłego z zagranicy, Karczewskiego. Zarzucilibyśmy chyba, że u św. Izydora włosy za gładko i wymuskanie uczesane, i twarz zanadto obrócona do ludu od krzyża, przed którym modli się ze złożonemi rękami. Ale zresztą wyraz twarzy maluje prawdziwą świętość i prostotę. Nie ma on cechy typu hiszpańskiego, zkąd był rodem św. Izydor, ale za to żywiéj przypomina i wraża się w pamięć włościan wieśniaczą swoją fizyonomią, do naszych zbliżoną. Uroczystość poświęcenia ołtarza odbyła się jednocześnie z instalacyą nowego proboszcza ks. Maczuka, dnia 10 lipca. Kilka tysięcy wieśniaków zaległo kościół i nie-

mal cały cmentarz przed kościołem. Dwudziestu kapłanów zgromadzonych na tę uroczystość, zaledwo mogli wystarczyć spełnieniu posług duchownych: tak wielka była ilość spowiadających się w kościele i na babińcu, pod gołém niebem. Ks. Lipnicki, kanonik koadjutor wileński, inspektor seminaryum, miał stosowne kazanie: opowiedział pokrótce życie św. Izydora oracza, wskazał obowiązki nowego proboszcza, stosunek włościan do panów i panów do włościan. Mówił treściwie, pięknie, zrozumiale dla ludu. Widziałem rozrzewnienie poczciwego ludu, widziałem i łzy nowego proboszcza, młodego kapłana, który potrafił zjednać zaufanie chłopków, umiał zagłębić się w wnętrze ich życia, pojąć ich potrzeby, nałogi, zwyczaje, a stosując i czyny i nauki swoje do nich, żyjąc prawie z nimi i nie odmawiając im pociechy w każdéj potrzebie i przypadku, przywiązał do siebie i wzbudził cześć i miłość. A jakże to jest rzeczą ważną i wielką! Właśnie na takiém postępowaniu kapłana oparta moralność wieśniaków, nawet ich byt dobry!

Gabryella ks. Puzynina ułożyła na ten festyn litanią i pieśń o św. Izydorze oraczu (1). Nie możemy sobie odmówić umieszczenia tu téj pięknéj piosnki, którą po raz piérwszy kapłan z zgromadzonym ludem odśpiewali przed nowym ołtarzem św. Izydora:

I.

Wzorze pokory, patronie oraczy!
Tyś w pracy szukał powszedniego chleba,
Tyś swemi cnoty podniósł stan wieśniaczy,
A ziemię orząc, dostał się do nieba!
Ty nas wieśniaków pociecho i wzorze:
Módl się za nami, święty Izydorze!

II.

Grubą jak nasza była twoja szata,
Życie jak nasze złożone z prostoty;
Podobną naszej była twoja chata,
Lecz grzechy nasze, to nie twoje cnoty!
Wzmacniaj nas w wierze w pracy i pokorze:
Bądź nam przykładem, święty Izydorze!

III.

Jakże ubóstwo miłem było tobie,
Pomnąc, że Adam pokutował w pracy;
A gdy Zbawiciel narodził się w żłobie,
Piérwszy mu pokłon przynieśli wieśniacy.
Tą myślą tknięty, wyprzedzałeś zorze:
Budź nas do pracy, święty Izydorze!

(1) Wydrukowana w Wilnie u Marcinowskiego, 1855 r. str. 13.

IV.

Niesie podanie, że gdy raz od pługa
Bóg na modlitwę do siebie cię woła,
A że w modlitwie jest także zasługa,
Przy pługu swoim ujrzałeś anioła.
Bóg dopomaga proszącym w pokorze:
Ucz nas pokory święty Izydorze!

V.

Po latach wielu pokory i pracy,
Gdy na sąd straszny po wytrwaniu długiem
Zbiegniem się wszyscy: wówczas my wieśniacy
Staniemy śmiało za twym świętym pługiem.
A tam nasz bracie, pociecho i wzorze,
Wstaw się za nami, święty Izydorze!

Piosnka ta i litania rozeszły się w liczbie 1,000 exemplarzy między włościanami, bo trzeba wiedzieć, że włościanie z dóbr Dobrowlańskich i Newstoniszskich niemal wszyscy umieją czytać i pisać, a ludzie dworscy, takoż poddani, prenumerują nawet dla siebie gazety.

Wracając do uroczystości św. Izydora, powiem, że zdaniem mojém wprowadzenie takich ołtarzy po naszych wiejskich kościołach, przy dobrych i stosownych naukach kapłanów, mogłoby bardzo korzystnie wpłynąć na moralność chłopków naszych. Widok patrona, włościanina, takiegoż jak i oni oracza, krwawym potem zarabiającego chleb powszedni, podniosłoby ich godność własną, bliżéjby im ukazało niebo, jedyną nadzieję i pociechę strapionych; widok i przykład św. patrona wieśniaków łacniéjby wpływał do prostych, poczciwych serc wieśniaków, i zachęcał do cnot i pracy.

Po uroczystości, w następne dni, właściciele Dobrowlan i Potulina uczcili swojego nowego proboszcza obiadami. Dla mnie była tu nowa zręczność przypatrzenia się wielu rzeczom. Tak np. po obiedzie w Potulinie ruszyliśmy na dożynki do folwarku Zabłocia. Jechaliśmy ogromnym szarabanem przez las gęsty; upał, skwar był do niewytrzymania; wtém słyszymy śpiew święty: daleko wtórzony echem leśném, zmieszany z szumem drzew, tworzył dziwną i czarowną harmonią. Zbliżamy się, przez drzewa ukazują się widma w bieli; lecz oto Zbawiciel ukrzyżowany, a przed nim kilka osób z naszego towarzystwa, klęczących i śpiewających modlitwę do Boga za nowego proboszcza, który właśnie z nami jechał. Wjeżdżamy do wioski, a przed nią takoż krzyż otoczony dziatwą z całéj wioski zgromadzo-

ną, klęczącą w półkole i głośno odmawiającą Ojcze nasz. Zatrzymaliśmy się, dziatwa skończyła pacierz, zbliżyła się do nas i razem wykrzyknęła: „niech żyje nasz pasterz!" W Zabłociu, z powodu dożynek, wieśniaczki, według zwyczaju przynoszą panom snop żyta. Widzimy zbliżającą się grupę, jedna z dziewcząt niesie snop hoży; lecz cóż to? wygląda ona jakoś kraśniéj, ruchy i chód mimo odzież wieśniaczą zdradzają lepsze wykształcenie: podchodzi do proboszcza, oddaje mu snop i mówi:

Pierwszy snopek tutaj zżęty
Przyjął już Izydor święty;
A ten niech będzie dla ciebie
Pasterzu nam przeznaczony,
Aby na ziemi i w niebie
Plon nasz był błogosławiony.

Naturalnie, że tą wieśniaczką była przebrana jedna z panien, krewna gospodyni (p. Z. M.); że wiersz ułożony p. księżnę Puzyniną; że proboszcz był serdecznie rozrzewniony. A wtém gorzałkę przyniesiono, dobry i zacny gospodarz wziął czarę do rąk, przypił do piérwszéj z żniwiarek i czara poszła koleją. Z rozkoszą słuchałem śpiewu wieśniaczek. W téj nucie monotonnéj, lecz rzewnéj, w tych słowach prostych, lecz szczerych, Bóg wié kiedy i przez kogo ułożonych, a nieraz sięgających jeszcze czasów pogańskich, jest wiele uroku, wiele poezyi. Oh! bo prawdziwéj poezyi daleko więcej tam, gdzie najmniéj na pozór spodziewamy się jéj znaleźć.

Strój tutejszych włościan różni się nieco od innych powiatów. U mężatek na głowach kaptury z kolorowéj materyi, u niektórych błyszczącym szychem nabijanéj; a na kapturach chustki białe, lub kolorowe, grubo zwinięte i związane na czole. U dziewcząt chustki kolorowe lekko zawiązane na głowie. Niektóre noszą długie, czarne płaszcze z peleryną z grubego sukna, z błękitnemi kapturami na głowie. Zachodziłem do chat niektórych: wszędzie prawie czystość, porządek i dostatek. Niemal wszędzie książka do nabożeństwa, biblia; a u introligatora miejscowego znalazłem całą szafeczkę napełnioną rozmaitemi książkami.

Z przejażdżek z Dobrowlan i Potulina najmilszą była dla mnie nad jezioro Swirskie. Widok tu rozległy

i piękny. Przy drodze leży duży kamień. Księżna Puzynina wskazała mi go i powiedziała, że nosi nazwę Ignacego: tu bowiem nasz drogi autor Obrazów litewskich, przejeżdżając tą drogą, zatrzymuje się, siada i duma na tym kamieniu.

Jezioro Swirskie liczy się co do wielkości drugim w gubernii wileńskiéj. Ma ono 7,000 sążni długości, 1,500 szerokości. Nad tém jeziorem położone miasteczko Swir, niegdyś rezydencya znakomitego rodu książąt Swirskich, dziś podupadłego. W Starożytnéj Polsce Balińskiego (1), mamy szczegółowy opis tego miasteczka, jak również wysokiéj góry, jakoby posady dawnego zamku Swirskich. Jednakże żadnych śladów zamczyska na téj górze nie znajdują, a nawet miejscowi tego są przekonania, że ta góra bynajmniéj nie jest ręką ludzką usypana, lecz utworzona naturą, i tylko na wierzchołku zrównana. Kościół we Swirze fundowany w r. 1452. Staraniem administratora ks. Michała Skrobowskiego w latach 1848 i 1849 odnowiony.

Niedaleko ztąd, takoż nad jeziorem Swirskiém, położony Zaświrz z klasztorem Karmelitów dawnéj reguły. W pięknem położeniu wznoszą się mury kościoła z dwiema wieżycami i krużgankiem. Długość kościoła sążni 15, szerokość 7 sążni i 2 arszyny. Kościół ten pod tytułem Świętéj Trójcy, założony w r. 1714 przez Krzysztofa i Jadwigę z Szwychowskich Zenowiczów, z nadaniem dwóch folwarków, Zaświrza i Pomosza.

Jezioro Swirskie oddziela niejako dwa plemiona: litewskie i słowiańskie, w dzisiejszym powiecie świeńciańskim zamieszkałe (2).

(1) Tom III, 241.

(2) Dociekanie osiedleń tych dwóch pokoleń, litewskiego i słowiańskiego, w gubernii wileńskiéj, dziś nader jest trudne. Wieki i okoliczności znacznie wpłynęły na zniszczenie śladów prawdziwéj litewszczyzny, tam, gdzie ona niezawodnie była. Przenarodowienie i przesiedlenia spowodowały, że w wielu miejsach śród samej Litwy znajdujemy osady słowiańskie i przeciwnie, śród Słowian wioski, gdzie mówią po litewsku. Wszakże i dziś cechy ich są dość wybitne: śledząc nazwania najdawniejszych osad, rzek, jezior, uroczysk, pól, łąk, lasów, można mniéj więcéj określić granicę podziału tych dwóch pokoleń, a szczególniéj zwracając uwagę na cechy narodowe mieszkańców wiejskich; te bowiem zgodne są mniéj więcéj ze źródłami historycznemi, sięgającemi epoki najścia Mogołów na Rossyą, czyli pierwszéj połowy wieku XIII. Przy pomocy zasłużonego historyka Litwy Teodora Narbutta, udało się nam dla Cesarskiego geograficznego Towarzystwa w Petersburgu zrobić

Wiadomo, że Stefan Batory idąc na wojnę z Iwanem Wasilewiczem, w r. 1579, czas jakiś mieszkał w Swirze, w plebanii do dziś dnia istniejącéj, i ztąd właśnie, 12 lipca wydał manifest do wojska licznie tu zgromadzonego, pod dowództwem Radziwiłłów i Jana

określenie tych dwóch pokoleń w gubernii wileńskiéj, które nie od rzeczy będzie tu umieścić.

Weźmy za punkt węgielny ujście rzeki *Rotnicy do Niemna*. W górę rzeką Rotnicą, do wsi Lot ztamtąd linią prostą w stronę wschodu do wsi *Kiermuszy* i dalej granicą od gubernii grodzieńskiej, aż do jeziora *Duup* i wsi *Romanowo* czyli *Romumie*. Z tego punktu linią prostą przez puszczę do rzeki *Pielusy*, ujścia *do jeziora* tegoż nazwania, pod wsią *Dubiczami*. W górę rzeką Pielusą, czyli raczej zatopami grzązkiemi, jéj koryto otaczającemi szeroko, aż do źródeł téj rzeki na błoniach majętności *Pielusy*; jakowe błonia błotniste łączą się z zatopami rzekę *Dzitwę* otaczającemi. W ogóle biorąc granicę parafii *Zabłockiéj* od *Raduńskiéj*. Z tego miejsca od wsi *Druskienik*, nad prawym brzegiem *Dzitwy* położonej, w górę rzeką *Dzitwą*, do ujścia w nią z lewego brzegu rzeczki *Ossowki*. W górę tąż rzeczką do wsi *Podwarańców*. Ztąd na wschód lasami do wsi *Dajnowki*, niedaleko prawego brzegu rzeki *Żyżmy* leżącéj. W górę prawym brzegiem *Żyżmy* aż do jéj źródeł i miasteczka *Słok*, gdzie się schodzi granica trzech powiatów: *lidzkiego*, *oszmiańskiego* i *wileńskiego*. Z tego punktu do źródeł rzeki *Oszmianki*, pod *Grażyszkami* i z biegiem téj rzeki na dół, lewym jéj brzegiem, aż do jéj ujścia do *Wilii*. Lewym brzegiem *Wilii* na dół ku *Michaliszkom*, gdzie się przelewają w nią wody płynące z jeziora *Swir*. W górę brzegiem tych wód, do samego jeziora, gdzie się w końcu jego północnym znajduje wypływ wód wymienionych. Następnie na wschód-północ, w górę biegu rzeki *Struny* i zatokami lesistemi ku miasteczku Postawy. Ztąd granicą powiatu *dziśnieńskiego*, aż do granicy *gubernii kowieńskiéj*. Tąż granicą, do rzeki *Niemna*. W górę Niemnem napowrót do ujścia rzeki Rotnicy pod Druskienikami.

Taka jest obwodnica *Litwy właściwéj*, w gubernii wileńskiej zawartéj. Wprawdzie w powiatach oszmiańskim, wileńskim i święciańskim, w tym obrębie, ku wschodowi położone są niektóre parafie, gdzie dziś trudno znaleźć osadę, w któréjby mówiono po litewsku, albo ten język rozumiano, z przyczyny przesiedleń ze Słowiańszczyzny, albo przenarodowienia się ludu wiejskiego; jednakże po większej części cechy fizyognomiczne, nazwania miejsc i stare podania, odnosić każą lud do plemienia litewskiego.

W przedziale niniejszą obwodnicą określonym, mieściły się od najdawniejszych czasów dwie całkowite prowincye, czyli krainy litewskie: *Petuzya* na południe, *Neroma* na północ i część Górnéj Litwy *Auxtete*. (Obacz Dzieje narodu litewskiego tom II. § 335 i dalsze).

Cała zaś ta obwodnica od południa i wschodu przytykała do ziem, przez ludy plemienia słowiańskiego zamieszkałe.

I tak część powiatu lidzkiego, granicą gubernii grodzieńskiéj, od punktu nad jeziorem Duup, przy wsi Romanowie, aż do Dziembrowa, potém parafie Łacką, Nowodworską i Zabłocką zamieszkuje plemię *Czarno-rusinów*. Lud odzieżą, składem lizyognomicznym, obyczajami, zwyczajami, brzmieniem narzecza, wcale się różniący od innych Słowian. Nawet w stronach wschodnich tych parafii, będąc w znacznéj części pomieszany z Krywiczami, daje się łatwo odróżniać. Szczególnie w zakątku lasami i zatopami okolonym, stanowiącym ruską parafią *So-*

Kiszki (1). Ślady pobytu królewskiego w tych stronach do dziś dnia istnieją: tak w lesie Komarowskim Napoleona Chomińskiego jest studnia zwana królewską, podług podania wykopana z rozkazu Batorego. Ciekawa rzecz, że wielu poddanych N. Chomińskiego od dziadów i prapradziadów nazywają się Batorowie i Bekieszowie. Niedaleko ztąd w okolicach Straczy p. Paszkiewicza, mieszka szlachta Niedroszlańscy, niegdyś zamożna i znakomita. Jeden z nich posiada własnoręczny list Batorego, pisany (po łacinie) ze Swirza do któregoś Niedroszlańskiego, w którym król zaprasza go do siebie na gawędkę.

II.

W Dobrowlanach znalazłem zacnego p. Dominika Chodźkę, niezmordowanego pracownika na polu literackiém, którego staraniom i badaniom winniśmy wykrycie prawdziwego nazwiska protoplasty naszych archeologów Zoryana Dołęgi Chodakowskiego czyli Adama Czarnockiego (2); którego tyle pięknych i sumiennych artykułów czytaliśmy we wszystkich pismach czasowych dawniejszych wileńskich i w Athenaeum, a z którego szlachetnéj uczynności i życzliwéj pomocy korzystał każdy, udający się jużto po radę i zdanie długoletnią pracą i doświadczeniem nabyte, już o zebranie wiadomości potrzebnych. Znalazłem go pracującego obecnie

bakińską, mieszka jądro tego pokolenia, zachowującego swój typ oryginalny, wart szczegółowego badania, nawet pod względem plastycznym.

Wschodnio-południowa część powiatu lidzkiego, a mianowicie parafie: część ossowskiéj, żyrmuńskiéj, mitlańska, lidzka i biało-hrudzka, składały po wiek XIV osobne niewielkie księztwo litewsko-ruskie, Dajnowskiem zwane, w którém lud mieszkający dotąd mówi narzeczem słowiańskiem, dość wiele litewskich wyrazów zawierającém, ztąd bardziej do polskiego przybliżoném.

Za prawém wybrzeżem dolnej Dzitwy mieszkają Słowianie do plemienia Krewiczów należący; toż samo w części wschodnio-południowéj oszmiańskiego powiatu po granicę z dziśnieńskim, wilejskim, w którym, tak równie jak i w poprzednim, są Białorusini połoczańskiego szczepu.

(1) Odezwa ta wydrukowana w *Rerum Polonicorum* T. I, str. 223. W zbiorze Pistoryusza T. III, str. 118. O pobycie Batorego w Swirze obacz Albertrandego wyd. Z. Onacewicza Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego T. I, str. 196—199.

(2) Ob. Listy jego w Athenaeum.

nad szczegółowym opisem rzek, przerzynających w różnych kierunkach Litwę. Tak mało mamy dzieł statystycznych i etnograficznych, że ta nowa praca p. Dominika Chodźki, a nie wątpimy, że sumienna, będzie bardzo pożądaną i korzystną.

Razem z zacnym p. Dominikiem Chodźko i Tadeuszem księciem Puzyną ruszyliśmy pokłonić się znakomitemu autorowi Obrazów litewskich, p. Ignacemu Chodźko, w Dziewiętni, o któréj wspomniałem w przeszłéj mojéj wycieczce archeologicznéj (1). Kraj, który przebywaliśmy żywo przenosił nas do czasów dawno ubiegłych, a tak wiernie, tak pięknie skreślonych przez autora Obrazów litewskich; i jechaliśmy właśnie brzegami pięknéj naszéj Wilii, która mu nastręczyła tyle wypadków do opisu, tyle razy przeniosła w krainę przeszłości. Byliśmy w Żodziszkach, grających ważną rolę w jednéj z prześlicznych jego powieści; w Wojstomie, na kanwie którego snuje się dopiéro nowa powiastka w dwóch tomach p. t. Trzech pustelników. Żodziszki położone nad brzegami Wilii, mają rozległy i czarowny widok. Sterczą tu mury klasztorne jezuickie: kościół ubogi wewnątrz, wymurowany przez Krzysztofa Hieronimowicza Komara w r. 1612, restaurowany przez ks. Jana Stasiuniewicza proboszcza miejscowego. w r. 1778. W Wojstomie kościół bardzo starożytny; są bowiem dowody, że w r. 1404 niejaka Botowiczowa darowała już istniejącemu wtedy probostwu wojstomskiemu jednego poddanego. Obecny kościół drewniany, zbudowany w r. 1744 przez miejscowego proboszcza ks. Jana Twardowskiego, restaurowany w r. 1779 przez ks. Bonifacego Szymanowskiego (2). Dziś kościołek bardzo czysto, może nawet przesadnie elegancko utrzymany; bo pełno tu świecidełek i błyskotek, co jakoś nieprzyjemnie razi oko w wiejskim kościele, szczególniéj po nagich murach żodziszkiego kościoła.

Jakże rozkosznie ubiegło nam dni kilka w Dziewiętniach! Jaką błogością napełnia serce widok szanownego weterana, otoczonego szczerze kochającą go rodziną, wnukami, przedmiotem najtkliwszéj jego miłości,

(1) Bibl. Warsz. za czerwiec 1855.

(2) Baliński T. III. str. 249, powiada, że kościół wojstomski był uposażony przez Stefana Radziwiłła w r. 1491. Nie znaleźliśmy na miejscu żadnego stwierdzenia tego podania.

a mimo 60 lat styranych na usługach obywatelskich i publicznych, pełnego życia i zapału! Dostatek, dobre i czerstwe zdrowie, uwielbienie rodaków, sława, ta wybrydna kokietka, a która jednak okoliła go i zaliczyła do rzędu swych ulubieńców; spokój na łonie familii, szczęście jedynéj ulubionéj córki, któréj Bóg dał najzacniejszego małżonka i pobłogosławił pięcioma aniołkami: wszystko zda się uśmiechać. A jednak czegoż nieraz tak głęboko się zamyśla; nad czém wiecznie pracuje ten czynny, ruchawy umysł; czego samotny błąka się po kilka godzin nad jeziorem; czemu nie może żyć życiem pełném sytości i samolubnego zadowolenia innych podkomorzych, prezydentów, dozorców szkół honorowych, czemu? Czego ci brakuje? Oj! boś poeta, a dla poety nie ma tu szczęścia na ziemi! Kochają, szanują cię, wielbią cię tu wszyscy, lecz czy wszyscy rozumieją?! Boleśnie znać ci jękło serce, kiedyś napisał niedawno do jednego z pojmujących i kochających cię przyjaciół:

I oby kiedyś na moim grobie,
Gdy w zimnéj legnę pościeli,
Ziomkowie podobni tobie
Z miłością w duszy westchnęli!

Tak, prawdziwy, rodzony nasz poeto znad brzegów Wilii: nie tu dla ciebie szczęście! Ziemia i ludzie nie nasycą i nie zadowolą twoich marzeń o błogości; jest Bóg, jest niebo dla poetów! A tu, aż do kresu twojego żywota, wskrzeszaj nam w pamięci dni ubiegłe, dziel się z nami twoją wiedzą, twoją miłością ku ziemi rodzinnéj; a w pracy, w miłości twoich ziomków, w szczęściu rodziny twojéj znajdziesz wytchnienie i otuchę.

Piérwszy tom Trzech pustelników już ukończony i przeznaczony do Gazety Warszawskiéj. Pisze się i druga powieść, już prawie ukończona: Jesień w klasztorze (w Zaświrzu, o którym wyżej wspomnieliśmy). I z jednéj i z drugiéj czytał nam autor niektóre ustępy. Opisać wam wrażenia nie potrafię: znacie przecie Obrazy Chodźki, a tu takie upostaciowanie, taka obrazowość, tyle prawdy żywotnéj, jakich trudno gdziekolwiek znaleźć, a nawet u samego Ign. Chodźki.

Ogród w Dziewiętniach to żywa kronika pięknych dni naszéj literatury z piérwszéj połowy bieżącego stulecia. Każdy kamień (a tych tu wielka ilość, stoły,

ławki, wszystko kamienne), altana z wiekowych lip utworzona, nacechowane pamiątkami. Tu, w tym ogrodzie, w téj altance, nasze znakomitości: Julian Korsak, A. E. Odyniec i wielu innych, wiele pięknych chwil życia spędzili, wiele ich pieśni tu się wylało...

Zasłużony i utalentowany artysta dramatyczny sceny wileńskiéj, dziś już w podeszłym wieku, mieszkający gdzieś w głębi Rossyi, Kazimiérz Skibiński, nadesłał do Dziewiętni pamiętnik z całego życia swego i zawodu dramatycznego. Naturalnie, pióro nie literackie, a jednak czyta się zwielką przyjemnością: bo tyle tu wypadków rzewnych i śmiesznych, wzniosłych i płaskich, wirując i plącząc się z sobą, tworzą oryginalną i zajmującą całość.

Z Dziewiętni razem z Ignacym Chodźko pojechałem do Augustowa, majątku położonego w tymże powiecie święciańskim, a należącego do p. Henryka Świąteckiego, zięcia zacnego naszego autora Obrazów litewskich. Jechaliśmy na Iłżę, gdzie bardzo starożytna cerkiewka; był tu starożytny kielich z herbem Przezdzieckich, nabyty przez Alexandra hr. Przezdzieckiego. Przerzynając się przez część powiatu wilejskiego, przebywaliśmy płaszczyznę, gdzie niegdyś była rozległa puszcza znana pod imieniem Iłżskiéj, należąca do obszernego starostwa markowskiego. Na mocy królewskich przywilejów użytkowała z niéj bezleśna wojstomska parafia; a jak to nieraz u nas bywało, nadużyto łask królewskich, i w wielu miejscach las wytrzebiono i pozakładano wioski. Zatwierdzono to wszakże późniejszemi nadaniami z zastrzeżeniem, żeby już na przyszłość nie robiono podobnych nadużyć. Markowskie dobra kupione były na początku bieżącego stulecia przez Jana Lubańskiego, który pozakładał tu kilka folwarków: tak, dziś piękny majątek Lubań, należący do syna jego marszałka powiatu oszmiańskiego Jana Lubańskiego; Teklenopol (od żony Tekli), drugiego syna Zenona Lubańskiego, b. marszałka wilejskiego, niedawno zmarłego. W okolicach tego majątku dużo kurhanów, podług podania miejscowego, jakoby szwedzkich. Zenopol, położony na niewielkiéj kępie dokoła otoczonéj trudnemi do przebycia bagnami, własność gościnnego p. Oleszy. Szanowny weteran siedząc na swéj kępie, święcie dochowuje zwyczaje przodków co

do gościnności: bo nikt, znajomy czy nieznajomy, nie przejedzie jego Zenopola, żeby nie musiał wstąpić w gościnne progi, a przejeżdżać koniecznie potrzeba przez sam dziedziniec.

Parafie świrska, newstoniszska i wojstomska, z wyjątkiem tylko niektórych pięknych wybrzeży Wilii, przedstawiają obszerną równinę. Dopiéro zbliżając się ku Augustowowi, w parafii miadziolskiéj okolica ożywia się, widoki coraz rozmaitsze: ukazują się pagórki przerzynając wybrzeża majestatycznego morza litewskiego, według nazwy ludowéj, jeziora Narocz, nad którém właśnie położony Augustek.

Narocz uważa się za największe jezioro w Litwie: ma ono przeszło 7 mil obwodu, 11,500 sążni długości, 7,500 szerokości i 15 głębokości. Do pana Henryka Świąteckiego należy 12 wiorst brzegu tego jeziora, a znaczna część także do majątku Kobylnik obywatela Szyszki. Skorom przybył do Augustowa, uprzejmi właściciele zaraz nastręczyli mi możność zapoznania się z miejscowemi podaniami. W wiosce Błizniki znalazł się włościanin mający koło 100 lat, ale czerstwy, choć mchem porośnięty, najprzytomniejszy i rzeźwy jeszcze. Z opowiadań jego i innych dowiedziałem się, że w jeziorze naroczkiém jest Czortowa hrebla, z dużych kamieni usypana przez diabła, który zamierzał połączyć wioskę Nanosy z Miadziołem, z przeciwnéj strony położonym; ale przestrzeń była znaczna, diabeł nie pospieszył założyć całéj drogi, kur zapiał, i robota została przerwaną i nieukończoną. Dnia 31 lipca, o godzinie 10 zrana popłynęliśmy z szanownym Ignacym Chodźką do wioski Nanosów, położonéj nad samém jeziorem. Skwar był dokuczający, niebo jasne, wiatr wszakże dość silny i Narocz hulał: igrające fale z hukiem uderzały o brzegi. Bat był wygodny i duży, żadnego niebezpieczeństwa lękać się nie można było; lecz kiedy odpłynęliśmy na kilka wiorst od brzegu, rozhukane jezioro biło silniéj i nieraz spienione bałwany z hałasem tłocząc łódź, pryskały na nas białą pianą. Przez perspektywę widzieliśmy jak na dłoni Miadzioł o mil 2 odległy, z wieżycami kościoła i klasztorem. Z jednéj strony brzegi pokryte lasem z rozrzuconemi gdzieniegdzie chatkami rybaków, piękny przedstawiały widok;

z drugiéj strony i przez perspektywę niepodobna było dojrzéć brzegu. Płynęliśmy do Nanosów aż 3 godziny. Tu nasyciwszy się czarującym widokiem z wysokiéj górki dokoła oblanéj wodami, i pokrzepiwszy siły śniadaniem, wzięliśmy dobrze oznajomionego z miejscowością rybaka, i daléj dla obejrzenia diabléj sprawy. Wiatr ucichł, jezioro uspokoiło się, i o pół wiorsty od wioski w prostym od niéj kierunku, w jasnéj i przejrzystéj wodzie, z zadziwieniem postrzegłem rzeczywistą kamienną groblę, foremnie i fundamentalnie ułożoną. Niektóre kamienie zadziwiającéj wielkości. Po wymiarze pokazało się, że głębokość wody nad powierzchnią grobli ma 1¾ arszyna, obok zaś kamieni głębokość 4 arszyny, a więc wysokość kamieni ma 2¼ arszyna. Szerokość grobli taka, że czterema końmi możnaby swobodnie jechać; długość zaś, o ile można było zmiarkować blizko ¾ wiorsty. Na przeciw téj grobli w znacznéj odległości, ze strony Miadzioła jest wysepka, nazywająca się Ostrów; od niéj również na przestrzeni ¾ wiorsty jest podobna grobla, a na wyspie są fundamenta kamienne jakiegoś zamczyska. Co to wszystko ma znaczyć? — wytłumaczyć nie potrafię. Widocznie, że był projekt połączenia za pomocą téj grobli Miadziołu, czyli téż zamku na wyspie, z Nanosami; lecz kiedy i przez kogo? Czy ta robota nie była ukończoną, czy może kamienie były ułożone w miejscach bagnistych. kiedy jeszcze jeziora nie było? Ślady zamku na wyspie, o których wspomnieliśmy, należeć miały do Radziwiłłów za czasów Zygmunta Augusta; lecz dla bliższego zbadania nie mam historycznych materyałów. Jezioro Narockie mogłoby nastręczyć wiele ciekawych badań nietylko dla archeologa, ale i dla naturalistów. Podaję tu dwa fakta, które może zwrócą na siebie ich uwagę. W nieurodzajnym roku 1847, kiedy wieśniacy u nas cierpieli głód, a dla nadzwyczajnéj drożyzny i właściciele dóbr nie wszyscy byli w możności zakupienia chleba dla wyżywienia włościan, jezioro Narockie stało się prawdziwie dobroczynném dla mieszkańców swoich brzegów. Oto w miesiącu czerwcu nagle powstała burza; silny wiatr poruszył bałwany jeziora, i te z nadzwyczajnym pędem bijąc o brzegi, zaczęły wyrzucać niezmierne mas-

sy niewielkiéj rybki, okleją zwanéj. Rybki były żywe, ale jakby odurzone, i chociaż trzymały się na wodzie, nie uciekały, i wieśniacy wiadrami zabierali je w niezmiernéj ilości. Nazajutrz powtórzyła się ta sama scena, ale wiatr pędził bałwany, a z niemi i okleję. na brzeg przeciwny. Toż samo powtarzało się przez 10 tygodni i zawsze z zachowaniem pewnego porządku, tak, że mieszkańcy brzegów jeziora po kolei byli wspierani milionami rybek. Naturalnie, że wieśniacy uważali to za cudowną opiekę Boską nad sobą, jako widoczny ratunek podczas głodu; nietylko bowiem mogli wyżywić siebie rybką, którą suszyli i gotowali, ale jeszcze pełne wozy mogli transportować do Święcian i do Wilna, gdzie zamieniali na chléb i sól. Rzecz godna uwagi, że ani przed rokiem 1847, ani potém nic podobnego nie było. Okleja poławia się ciągle, ale w ilości zwyczajnéj i razem z innemi rybami (1).

W środku jeziora, w wodzie są wielkie góry. Rybacy znają je dobrze. Pewnéj zimy czterokonny powóz ruszał przez jezioro; wtém lód się załamał, powóz i konie już były w wodzie, a kiedy przerażeni podróżni z rozpaczą wołali ratunku, rybacy, którzy opodal łowili rybę, zakrzyczeli im—stójcie na miejscu spokojnie, nie ruszcie się, bo jesteście na twardéj ziemi. I w rzeczy saméj trafili właśnie na jednę z gór, gdzie woda miałka i lód na nich cienki; wydobyli powóz, konie skierowali w inną stronę, gdzie lód był mocny i podróżni ruszyli bez szwanku. Dlaczegoż na tych górach lód tak cienki? Wszakże gdzie woda miałka, tam zwykle bywa grubsza warstwa lodu. Ten fakt, jak również i samo gwałtowne wyrzucanie rybek, powinnoby zwrócić na siebie uwagę naturalistów.

(1) Ileż podobnych wypadków zrządza Opatrzność dla ratowania nieszczęśliwych! Wypadek ten naturaliści potrafią wytłumaczyć jako rzecz zwyczajną, ale lud upatruje w tém widoczną łaskę Boską: bo dlaczegoż, mówią, ten wylew ryb przypadł właśnie wtedy, kiedy nad okolicą wisiała plaga głodu? Przypomnijmy, że po morowém powietrzu, po cholerze i innych klęskach, kiedy ludność znacznie ubywa, niepojętym sposobem liczba rodzących się w tym czasie zapełna ubyłych. Mam u siebie statystyczne tablice z lat 20 o liczbie rodzących się i umierających ze wszystkich paraf ij gubernii wileńskiéj. Tu liczba rodzących się prawie we dwójnasob przewyższa liczbę umarłych tak w r. 1830 i 1831, kiedy wojna i cholera niszczyły ludność, jak w nieurodzajnych latach 1846 i 1847, i po cholerze 1848 roku. W stosunku zaś zwyczajnej liczby rodzących się jest podwójną.

W lesie niedaleko Augustowa jest kilka kurhanów. Tenże sam staruszek, który nam prawił o diabelskiéj grobli, opowiedział następne podanie ludowe, które słyszał jeszcze od dziada swojego, a które inni okoliczni mieszkańcy tak samo powtarzają. „Dawno już, bardzo dawno, mówił staruszek, będzie temu lat 1,000, a może i więcéj, grasowała tu dżuma. Wszyscy a wszyscy okoliczni mieszkańcy powymierali, został tylko jeden Chilimon z młodą żoną; bo on, kiedy zaczęła się dżuma, zrobił wotum, że kupi dzwon do miejscowéj cerkiewki. Uratowany tak cudownie Chilimon z żoną, zakopał wszystkich trupów razem do kilku mogił, usypał te kurhany, poczém wykąpał się w Narockiém jeziorze, osiadł w wiosce Blizniki i stał się protoplastą nowego pokolenia, które do dziś dnia zachowało jego nazwisko: w wiosce téj bowiem i obecnie mieszka 14 familij, z których każda nosi nazwisko Chilimona". Przy cerkiewce znajdują się dwa dzwony: jeden większy, z napisem r. 1775, drugi mniejszy bez napisu; otóż właśnie na ten wskazuje staruszek i dowodzi, że ofiarowany przez Chilimona. Podanie to zapisane i w księgach miejscowego proboszcza, ale sama cerkiewka fundowana w przeszłém stuleciu. Kurhany, które jakoby miały przykryć nieszczęśliwych mieszkańców z dżumy pomarłych, należą do bardzo dawnych mogił pogańskich. Dwa z nich rozkopałem. Jeden miał 20, drugi 15 kroków wszerz i wzdłuż. O sążeń pod ziemią znaleźliśmy pojedyncze popielnice z gliny, których nie było sposobu wydobyć w całości, a w nich popioły i kilka kosteczek niedopalonych. Więcéj zgoła nic. Straszne morowe powietrze grasowało w tych stronach w latach 1653—1659, i ostatni raz w 1710 r. Podanie sięga zapewne ostatniego, a bujna wyobraźnia ludowa dodała i te kurhany, sięgające bez porównania odleglejszych czasów. W bliskości cmentarza miejscowego, w lasku jest jeszcze dużo kurhanów, podług podania szwedzkich. Bardzo to być może, bo wojska Karola XII plondrowały tutaj, a sam Karol XII czas jakiś mieszkał w Kobylnikach, niedaleko ztąd położonych.

Rzecz godna zastanowienia, że w parafiach rusińskich powiatów święciańskiego, wilejskiego i oszmiańskiego, zmarłe kobiety pozbawione są uczczenia pomni-

kami. Nad mogiłami mężczyzn stawiają krzyż, albo kamień; po kobietach zaś kładą gdziekolwiek na błocie przy drogach, albo przez ruczaj czy rzeczkę małą, berwiono, a na niém krzyż wyrznięty, i trzewik albo sierp; na niektórych postrzegałem i rok. Zwyczaj ten trwa od czasów niepamiętnych. Napróżno badałem starców dlaczego to robią: jedna odpowiedź: naszy dziady tak dzielali. Każdy przechodzący przez taką kładkę obowiązany zmówić pacierz za duszę zmarłéj, co naturalnie nie wszędzie może być wykonywaném: naprzykład jadąc przez kilko-wiorstową groblę do kępy Zenopol p. Oleszy, gdzie po bokach całéj drogi na przestrzeni kilku wiorst, po 5 i więcéj takich kładek w rzęd ułożono.

Z Augustowa udałem się przez Czeremicę, rzekę Narocz (która wypływa z jeziora Narocz i naprzód nosi nazwę Stok, a o pół wiorsty Narocz, i łączy się koło Kraśnicy z Wilią, przebiegłszy mil 7 i 1 wiorstę; największa szerokość jéj 8 sążni, głębina 5 arszyn.). Daléj groblami przez las, rzekę i majątek Uzłę p. R. hr. Tyzenhauza, mimo Lubania, do Kassuty marszałka Tukałły, w powiecie wilejskim, a ztamtąd pocztowym gościńcem na Wilejkę, Mołodeczno, Smorgonie, Oszmianę do Wilna. O Kassucie i okolicznych miejscach powiedziałem już słów kilka w sprawozdaniu przeszłorocznéj mojéj wycieczki.

O! gdybyto nasi badacze z większym od nas talentem częściéj zwiedzali nasze wioski, nasze kurhany, horodyszcza, gdzie na każdym niemal kroku znajdzie się coś godnego ich pióra: ileżby mieli i sami przyjemności i nauka korzyści! Bo wędrówka po naszéj Litwie jestto piękna przechadzka, urozmaicona najpiękniejszemi widokami, wzbogacona tysiącznemi pamiątkami, wszędzie napotykanemi. Kto chce zajrzeć w wnętrze poczciwego serca Litwina, niech rusza po naszych wiejskich zagrodach, po naszych zacnych domach obywatelskich. Znajdziesz tu prawe, szczere, bratnie serce; znajdziesz cnoty, o których niektórzy z Słowian dawno już zapomnieli. Nasi pocci, badacze, byleby bez uprzedzenia, byleby chcieli zapukać do wrót gościnnych mieszkańców, jakżeby wzbogacili swoję wyobraźnię i wiedzę! Serca, kościoły, pałace, chałupy, tradycye

ludowe, wszystko otworem, do usług badacza: oświadczcie się tylko, wyciągnijcie dłoń bratnią, powtarzam, bez uprzedzenia. Otoczą cię gościnnością staropolską, otworzą ci wszystko co mają, z najszlachetniejszą i rzewną miłością uprzedzą żądanie twoje, pomyślą nad twoimi wygodami i nawet wygódkami nietylko w domu, ale i w dalszéj podróży. Pan serca i wiedzy będziesz rozkosznie zwiedzać domek za domkiem, bez troski i kosztu. A ileżto pociech wyższych, jakże ci serce rozraduje się postępem widocznym we wszystkiém: od dróg, mostów i karczem (tak okrzyczanych, a tak niesłusznie dzisiaj), do ulepszenia bytu chłopków, tego najważniejszego zadania wieku naszego. Któż dziś nie myśli o tém, i nie robi co może; w jakimże domu szlacheckim nie znajdziesz gazety któréj, dzieł nowych? A jeżeli są jeszcze gdzieniegdzie zaprzańcy, ludzie zbutwiałych idei i pojęć: jakże im ciężko i boleśnie być musi śród postępu ogólnego, lawą przebijającego sobie drogę! Lecz gdzież nie ma zaprzańców: alboż ich nie ma i w literaturze? Wieluż to staréj daty literatów, a nawet i pisarzy, którzy nie wierzą w nowe intelligencye, nie uznają gwiazd naszego dzisiejszego horyzontu; a dlaczego?—bo w ślepéj zarozumiałości nie czytali ich tworów, nie śledzą za rozkrzewiającemi się ideami i dążnościami, albo sądzą o nich po ramotach piérwszéj młodości.

Zaleszczyzna, pod Trokami,
dnia 8 lipca 1855 r.

SAMUEL KORECKI.

PRZEZ

Zygmunta Komarnickiego.

> Mais ce qui est imprimé dans tant de livres, ce que tant de professeurs enseignent, ce que tant de disciples répetent, obtient force de loi et prévaut contre les faits eux-mêmes.
>
> *Aug. Thierry — sur l'histoire de France.*

Wywołany raz na jaśnią przedmiot niepospolity z dziejów, musi jako nić z kłębka być daléj rozwijany, dopóki wątku staje. Prace najnowsze Wł. Syrokomli (1) i innych, z powołania lub ubocznie dotykających tego przedmiotu, bezowocnemi pozostać nie powinny. Gdyby bowiem po nich milczenie znowu na dłuższy czas na tém polu zaledz miało, fragmenta historyczne, jako fragmenta, zdawałyby się zmierzać jedynie do sprawienia chwilowego efektu; i przedmiot godzien obrobienia, jako ułamek, powiększyłby tylko massę innych, dotychczas w obieg puszczonych, a na kartach dziejów zostawałyby ciągle przerwy do zapełnienia, i błędne wieści do sprostowania.

P. Syrokomla schwyciwszy cegiełkę z budowy, nie zataił jéj przed wiadomością publiczną: dzięki mu za to. Zamknął jednak swą pracę podziwieniem jedynie: dlaczego w takiéj rożnorodności imion głośnych, wziętych za przedmiot poematu lub romansu, z ważniejszych względów zasługujący na to uczczenie Samuel Korecki, piękna rycerska

(1) Gazeta Warszawska r. 1854. Nr. 221—228.

postać swojego czasu, nie znalazł dla siebie wieszcza w epoce odrodzenia poezyi? Bezwątpienia rzecz godna poezyi w dramacie przemian domu hospodarskiego w Multanach, który się poczyna od tryumfalnego pochodu Jana Zamojskiego, a kończy na fatalnym pogromie pod Żółkiewskim. Wyprawa Samuela Koreckiego jest ustępem pełnym życia i interesu, ależ i dzieje nie stracą, jeżeli przedmiot dotąd, o ile się zdaje z lekceważeniem przez historyków traktowany, okaże się w świetle różnostronném, i jeżeli przy tém zadaniu niejaki odblask padnie na epokę, rodzicielkę tylu wypadków znamienitych.

Niech więcéj pracowników na polu piśmiennictwa, w taki sposób jak Syrokomla z swemi odkryciami postępuje, a budowa nie spocznie; i może jeszcze w naszém pokoleniu pochlubimy się doprowadzeniem jéj do całkowitego wykończenia.

Korecki, o którym mówić zamierzamy, wliczany dotąd pospolicie do rzędu takich swawolników, jak Zaporożcy lub panowie ukraińscy, awanturniczo łamiący sojusze i przymierza kraju z sąsiadami, a wyrokami *contra perduelles modernos* w języku statutowym (1) okładani przez sejmy, oprócz spółczesnych *peanów* (czczéj chwalby) i pieśni ludu opłakującéj „*że już Koreckich niestało*", nie znalazł dotąd ani jednego głosu przychylnego, któryby przemówił, że mąż, rycerz niepospolity swojego czasu, piorun na Turków (jak go nazywał Twardowski), który zapewne nie bez zasługi doznawał tylu względów przyjaznych od króla, królewicza i hetmana Litwy; że ten mąż pomimo *niechrześciańskiego effektu* hetmana korony, jak się Chodkiewicz w liście do księżny Koreckiéj wyraża, musiał czémś wynosić się nad ową sicz za łupem goniącą, nad szwagrów nawet swoich, którzy do spól-

(1) Imię *perduelles* w prawach naszych noszą: „czyniący bunty przeciw rzeczypospolitéj, porozumiewający się z nieprzyjacielem ku szkodzie koronnéj, wydający tajemnice rzeczypospolitéj nieprzyjacielowi koronnemu, poddający mu zamki na zmowie, wzruszający *pacta et foedera* z postronnemi pany, i t. d." Na takich ludzi swywolnych było postanowienie, iż starostowie, książęta, panowie, rycerstwo w swych starostwach, imionach, mieli je łapać i na gardle karać. Więcéj się jednak wyrazy prawa tyczyły plebejów i nieosiadłych, *swawolenstwem ukraińném i hultajami* zwanych. Szlachcice osiadłe jak mówi ustawa, mają być sądzeni i karani statutem koronnym *de guerris* uczynionym; szlachcic nieosiadły miał być odesłan na sejm na wywołanie i publikowanie *bezecnym*, na których dawniejsze już były prawa.

néj gry, choć niejednocześnie występowali (1), i że wykazanie téj jego znakomitéj wartości nie może być dla dziejów obojętne.

Zamiarem naszym jest zastanowić się znów nad charakterem tego wojownika, jego rodowitością, czynami, nie pomijając tego, jak go heraldycy nasi i życio-pisarze malują (tojest nie pomijając źródeł w obłęd wprowadzających), ażeby wykazać: dlaczego nie z lekceważeniem na kartach dziejów traktowany być winien.

Trzeba sobie wystawić pogranicze Polski od strony południowéj wystawione na łup nieustanny i pożogę od hord rozmaitych, a pozbawione wszelkich środków obrony. Prywatni ojczyzny miłośnicy, już od początku ustalenia rzeczypospolitéj, dank niepowszedni odnosili, gdy z własnych dochodów i dwornemi zaciągami, formując znaczne pułki, ratowali ją od zguby, i na orężu wroga trzymali! Zapęd ku Dniestrowi i w epoce teraźniejszéj, nie mógł być jedynie jako *pole do popisywania się* oceniony. Podnosimy to wyrażenie znamienitego historyka i za dobre pole zaiste do popisu uznać musimy, gdzie takie nawały tureckiéj, wołoskiéj i tatarskiéj dziczy były do odparcia! U tego pogranicza „spływała jeszcze ciągle krwi rzeka w głąb ziemi, i łuna pożarów biła w strop nieba" (pożyczamy wyrażenie malownicze *u Naimy*, dziejopisa tureckiego, którego w świeżym przekładzie polskim poznajemy), a jak w epoce Koreckiego, czyhał u Dzikiego Pola pamiętny Kantemir, którego ślady przejścia tą barwą były znaczone.

Jeśli po Koreckich niestało rycerzy, zdolnych hamować pohańca u tamtych granic: czyliż w téj dobie nie brakło także mężów z ramienia władzy, którzyby jak Zamojski po spotkaniu z Kaczygerejem, kraniec ten bezpiecznym czynili? Ma słuszność historyk, że wielki przykład Zamojskiego jaśniał tym młodym szermierzom przed oczyma. Lecz nie by-

(1) Połączenie zięciów Mohiły we wszystkich multańskich wyprawach, jest uchybieniem pospolitem u większéj części naszych dziejopisarzy. Z lekceważenia pochodzi w szczegółach zaniedbanie. I tak: w wyprawie Potockiego, już działa Korecki, Przerębski według tego zdania. Następne wypadki to zbijają. To znowu tacy poważni pisarze jak *J. S. Bandtkie* i *Lelewel*, w swych elementarnych Dziejach polski, w jednymże zamku Wiśniowieckiego i Koreckiego do niewoli w Stambule zasyłają. A byłoż to rzeczywiście? Czy Wiśniowiecki nie wprzód umarł, nim Korecki był zwyciężony? Jednak to potrzebuje sprostowania

łato jedynie ze strony tych śmiałków gra o lepsze: była raczéj dopełniana cnotliwie powinność, i ten jéj koloryt jest właściwy.

Pomówimy i o regulaminie wojennym, przeciwko któremu wszelkie kuszenie się prywatne może się zdawać wykroczeniem. Do téj ryzy prowadzą odezwy hetmana, który jako wojewoda ruski, już miał swéj pieczy całość tych granic powierzoną. Żółkiewski ocenia wyprawy panów ukraińskich jako wykroczenia: cześć wielkiemu hetmanowi, który powinności swojéj dopełnia; ale już wiekiem pochylony, wszystko rozbiera i waży, nic na grę nie stawi. W wynikłości tego oględnego postępowania skłonił się w końcu do ustępstw, przeciwko którym król i stany reklamują (jak w traktacie z Skinderem pod Jarugą w r. 1617).

Zmuszeni jesteśmy co krok prawie w życiu naszego młodego wojownika, natrafiać na obrazy kamienia granicznego téj niczém nieporuszonéj władzy. Wprawdzie surowość Żółkiewskiego wywiéra się nietylko na tego jednego śmiałka: nieugiętym chce on być bez wyjątku dla wszystkich, których regulamin wojny obowiązuje. To jednak rzecz szczególna, że jakby sprzeczne dwóch ludzi fata prowadziły, przeciw-położność tych dwóch postaci, w epoce, o któréj mówimy, do najdalszych kresów posuwać się musi.

Nie jestto łatwe bez ochyby zagadnienie w przeciwstawiennictwie takich dwóch przedmiotów, umieć miarkować światła i cienie; nic nazbyt nie ujmując jednemu, a nie przyrzucając drugiemu. Korecki zresztą ma być uczniem tego mistrza groźnego, który mu nigdzie i nadal o tém zapomnieć nie dozwoli....

Przebieżmy rys jego życia.

Niewiadomo z jakiego źródła Niesiecki w swojéj *Koronie* piérwszy poczerpnął o nim podanie, iż „młodsze lata swoje to w szkołach, to w cudzych krajach przepolerowawszy, to zresztą na dworze królewskim będąc, gdzie z najsławniejszemi natenczas w ojczyznie naszéj ludźmi w ścisłéj żył przyjaźni, pod Stanisławem Żółkiewskim hetmanem *marsowe założył początki*." Nie byłoby to rzeczą nieprawdopodobną, gdyby zkądinąd przeciwko temu podaniu nie walczyły okoliczności, które tu przytoczyć chcemy. Ko-

recki marsowe zakłada początki pod Żółkiewskim; ale w jakichże wojnach, w jakich wypadkach stanowczych? Ze wszech miar podobniejszą do prawdy zdawałoby się rzeczą, że syn Joachima pana na Korcu i Anny z Chodkiewiczów, siostrzeniec hetmana Jana Karola, owego hetmana, który już od lat najdawniejszych w odmiennym zawsze od Żółkiewskiego walczył obozie, wówczas, gdy i ojciec jego był w sprawach wojennych towarzyszem Chodkiewicza, nie mógł bardzo przychylnie mieć sobie zaleconéj téj szkoły. „Książę Korecki przyszedł do obozu Chodkiewicza pod Moskwę z kilkąset koni wojska smoleńskiego i stem piechoty. Gdy Chodkiewicz wyciągnął z obozu ku murom z żywnością, uszykowawszy wojsko, lewemu skrzydłu sam przewodził z Wasiczyńskim rotmistrzem i księciem Koreckim." Bez wymienienia księcia Koreckiego z imienia, wzmianki te w *Naruszewiczu* napotykamy. Owę wyprawę z żywnością maluje Maszkiewicz także w swoim *Dyaryuszu* pod 18 Xbris 1611 r. „Z żywnością do stolicy szliśmy. Kniaź Korecki pułkownikiem był. Ręce nam do pałaszów przymarzały. Sam kniaź Korecki palce u rąk i nóg natenczas odmroził." Nikt nie rozróżni z tych świadectw, o którym kniaziu z imienia tu mowa. *Niesiecki* pod imieniem *Joachima* kładzie, iż własnym kosztem liczne roty pod Moskwę sprowadzał.

Widzimy w latach późniejszych jeszcze zawiść serdeczną patrycyusza Jana Karola do swego spółdostojnika w Koronie, za wszystkie złe, oddawna jego krwi przyczynione (1). Nie może zapomnieć losu owego innego Samuela (2), który pojmany, jak wiadomo, przez Żółkiewskiego w domu Włodkowéj, pod toporem katowskim dni swoje zakończył.

(1) Zob. w Bibl. Warsz. z miesiąca września r. 1854, artykuł Seweryna Gołębiowskiego, pod napisem: *Strona moralna J. K. Chodkiewicza*, a w nim listy, z których odkrywa tę stronę moralną, jeżeli nie słabą stronę właściwie.

(2) „Niedziw, że krwi pragnie (Żółkiewski), gdy się na krwi zaprawił *w domu naszym* na Samuelu Zborowskim", pisze do księżny Koreckiéj, swéj siostry. Do domu swego liczy Zborowskiego, bo „matka jego była *Krystyna Zborowska*, wojewody krakowskiego córka, siostra braci onych, którzy wielkie dygnitarstwa w Koronie trzymali" (mówi Fabian *Birkowski* w kazaniu na pogrzebie J. K. Chodkiewicza w Ostrogu). Tym sposobem Chodkiewicz nie wchodząc w czyny Zborowskiego, widzi tylko przed sobą indywiduum, a nie wykonawcę pra-

Atoli wątpliwości téj szerokiemi dowodami popierać nie mamy potrzeby. Ktokolwiek był istotnie piérwszym jego przewodnikiem do rycerskiéj sprawy, okres działań naszego Samuela nie przechodzi daleko za granice wiosny młodzieńczéj. W tym krótkim przeciągu czasu, w jakim kilka stronnic dziejów nam o nim wspominają, to widzimy na pewne, że najwyższe w hierarchii krajowéj osoby, pomimo niesprzyjania hetmana, przyklaskują jawnie młodego wojownika *imprezom* i jednogłośnie *progressów i skutku* mu życzą. Znać w jakiejkolwiek się szkole zaprawiał, myśl przedsiębiercza widna już była wcześnie w jego działaniach; i nie oglądał się na wici dla innych rozsyłane, a biegł za piérwszym odgłosem surmy, która pole otwierała. Dojrzewał w nim mściciel krwi przelanéj, a jeśli ojczyzna ceniła męztwo, rycerska biegłość w tańcu tatarskim po większéj części się. odznaczała. Trzeba było połączeń familijnych, jak zobaczymy, aby cel wyraźniejszy owym imprezom był nadany. Przy panującéj więc dążności, korzystać tylko zdaje się z pogodnéj pory, gdy w sprawie Mohiłów występuje do walki. Po zmianach jeszcze losu rodziny tułaczéj, wróci on zawsze do stanowiska, z którego przed daniem bodźca wychodził. Nie inną drogą chodzić umieją i ci, których jego naśladowcami, jeśli nie uczniami (jak podobnież pieśnią uczczony *Chmielecki)* nazywają.

„Zabiegi, tajemnice, rady, dowody, powiada historyk, są duszą dziejów; spełnione czyny samym tylko wzrębem." A gdyby też po przeżyciu starego Mohiły, synowie niezaprzeczoném prawem do objęcia po nim hospodarstwa byli przypuszczeni: czyliż rozumieć mamy, że książę Korecki Samuel, jużby ognia z pohańcem skrzesać nie pragnął, a na mało spodziewającego się nie wyruszył, i zemsty chwalebnéj nasycić nie starał się? Śpiewały mu zaiste od kolebki o tém gęśle narodowe, co robili Koryatowie, takaż

wa w Żółkiewskim, i w tém wykonaniu zawiści przeciw familij uznawać się zdaje. Co do naszego przedmiotu, nie powinien był zdaje się Chodkiewicz w jednéj kategoryi stawiać Samuela z Samuelem. O całe niebo różnią się oni z sobą. Zborowski prawołomca i urągający się z wszelkiéj powagi praw w kraju; Korecki działający, jak się ostatecznie pokazuje, nie bez wiedzy i pewnego pobłażania u steru rządu, naraża się przeciw ustawom karnym. lecz nie jest na bannicyą nawet skazany: walczy, ulega, wraca do swoich, i jeszcze niepospolite miejsce zajmuje w chwili stanowczéj, jak wiemy, pod Cecorą.

czysta krew Olgierda na Podolu, albo jakich to miało drzewo rodu własnego założycieli. Tak się łatwo nie odwyka i w młodości dalszéj od przypomnień nęcących, które w uszach dziecka brzmiały. Tam jego świat, tam przyszłość zaczarowana. Cóż dziwnego jeśli bez obawy idzie na wroga, z którym już waleczni przodkowie rachunki nieukończone mieli? Widzimy w późniejszych wypadkach Samuela dowódzcą lekkiéj jazdy, i rycerzem, na rękę wyzywającym najodważniejszych z obrońców półksiężyca w boju; a takiém przywiązaniem otacza bohatera aż do zgonu jego Zaporoże nasze: że gdy już nie ma ratunku dla obciążonego łańcuchami w *Czarnéj wieży*, jeszcze o mury téj wieży kołacze, i podobno przez podpalenie Edykuły, zemstę za mord na swym ulubieńcu popełniony wyraża.

Przeglądając komputy najrozliczniejszych chorągwi, które aż pod tę datę, przy rozmaitych sprawozdaniach z wojny mamy wyszczególniane, nie napotkasz w nich nigdzie imienia Samuela. Może to wyliczenie łączyło się wspólnie z imieniem ojca? może wieść publiczna pieśni tylko przekazała imię, a wielorakie czyny pojedyńcze zniknęły w opisie ogólnym nagłych wojen, które u granic południowych wrzały ciągle?

Od czasu dopiéro nieszczęśliwéj wyprawy Stefana Potockiego do Multan, naraz wszystkich jego szwagrów imiona w komput wliczone, dają nam wiedzieć o istnieniu Samuela. Podówczas jeszcze niewłaściwie. Ale z mgły bajek wynurzyć się muszą wreszcie na jaśnią zdarzenia prawdziwe. Krytyka dziejopisarska rozpatruje się w datach i połączeniach. Z nieładu wprowadzonego przez latopisców, których bynajmniéj to nie obchodzi, w jakim porządku ciąg jednéj *tryady* uszykują, wchodzimy zwolna na widownię prawdziwszą. Mnóstwo tych jednak poprawek wprowadzić się musi do dziejów. I tak: nie powiemy z powtarzaczami głosu Żółkiewskiego na sejmie: „dopiéro w r. 1614 poganie się objątrzyli za oną schadzką naszych do Wołoch," ale w r. 1611: bo po rok 1611 „były szczęśliwe expedycye J. K. Mości", i od r. 1611, nie 14 „jak z pieca na głowę w téj stronie iść poczyna". Już przed r. 1614 postanowione konstytucye sejmowe z powodu nierozsądnéj wyprawy Potockiego, a w przerwie czasu między temi latami trwa

konfederacya żołnierska, rozwiązana w r. 1613 pod Lwowem. Wszystko to rzeczy dobrze wiadome w szczegółach, jednak bez względu na daty mieszają się jedne z drugiemi. *Niesiecki*, jak uważać można, służy za podstawę *Siarczyńskiemu*, sam niewiele względu na krytykę mający; z tych inne przytoczenia się rozszerzyły. Przecież to źródła jak najbłędniejsze. Podług Niesieckiego, to właśnie Samuel Korecki zebrawszy z drugiemi (szwagrami) niemałe wojsko, bez konsensu królewskiego i rzeczypospolitéj na Turków uderzył, i szczęśliwie ich spędziwszy, Jeremiego na hospodarstwo przywrócił. Mowa tu o starym Jeremiaszu Mohile, który już w r. 1601 przywrócony, w r. 1608 żyć przestał; bajki téj, jak widzimy z pisma przytoczonego, ani *Syrokomla* nie poprawia.

Na Niesieckim żaden historyk opierać się nie może, ani co do dat, ani co do osób, w pewnym porządku chronologicznym po sobie następujących.

Dzisiejsi pisarze już dosyć mieliby linii hospodarów multańskich, ustalonéj przy pierwszém dziele elementarném, jak w dodatkach Lelewela do Historyi Wagi.

Jeremiasz Mohiła od r. 1595, ustąpił 1599, powrócił 1601, umarł 1608.

Konstanty, syn jego, dopiéro w r. 1611 i 1612.

Alexander, syn drugi w r. 1615—1616.

Późniejsze walki w imieniu Konstantego i Alexandra następnie się odbywają. Dwóch *Tomzów*, *Stefan i Michał*, pomiędzy niemi przemija. Nie trzeba poruszać zmarłych, ani wynajdywać (z Siarczyńskim) Piotrów lub Bogdanów, których w tych wypadkach nie znano. Nie trzeba również jednemu Potockiemu za drugiego przyznawać pewnych przedsięwzięć w téj sprawie.

Co przed niejakim czasem uczynił dzielny Jan Potocki starosta kamieniecki, zostawiony z ręki Zamojskiego do pomocy Jeremiemu, czytamy następnie przez zamianę (*mutatis mutandis*) pod imieniem najmłodszego z braci, synów Mikołaja, generała podolskiego, Stefana; tego właśnie, który sprawę zgubił, a naraziwszy rodzinę Mohiłów na całą zemstę Turków, wystawił prócz tego kraj własny na straszny najazd tatarski: albowiem i załogę kamieniecką, nietylko młodzież z akademii i z szkół wywiódł na tę wojnę, o co, jak

powiada Maszkiewicz, płacz i narzekanie matek było nań wielkie w Polsce.

Tysiączny ledwie wrócił z wyprawy Potockiego w Multany. Czego nieprzyjaciel nie pokonał, reszta w Prucie albo Dzieży rzekach, gdzie bitwę zwiedli, potonęła. Otoż się zwiększał ów wieczny grobowiec (*Valachia tumulus Polonorum*). Po takim wypadku miał prawo Żółkiewski zawołać rzewnie: „Przeklinał niegdyś Job dzień narodzenia swego, przeklinam i ja dzień ten nieszczęśliwy. Były przedtém urazy Turków, ale ta największa. Po ten dzień były szczęśliwe expedycye W. K. Mości".

Na tém stanowisku, można powiedzieć, i Żółkiewskiego po raz piérwszy dostrzegamy rozpaczającego o ocaleniu ojczyzny. Czy porażka kilku tysięcy ludzi u jednych granic, daje powód do takich myśli? Zapewne, podniesienie się w pychę wroga odwiecznego, i trudniejsze już odtąd wszelkie z nim traktowanie, jest wielkiém złem, przy którém długich lat korzyści szły w niwecz.

Ale nie z tego jedynie względu rozpaczał mąż dzielny. On był rękojmią prawa. Prawo ujmowało w tym czasie władzy samemuż królowi, a zdawało się zwiększać władzę stanów. Ztémwszystkiém cóż mógł uczynić i dla tych stanów, polecających ukrócenie swawoli u pewnych granic, jeśli wbrew uchwał tych stanów mógł wystąpić bezkarny śmiałek, osłoniony cichém potakiwaniem najwyższéj władzy: *Rege dissimulante?* jak mówi Kobierzycki. A przecież „on wiernie i szczerze służył królowi."

Przeciw-stawiony nasz Samuel, musi po takim wypadku i swoję myśl wyrazić.

A tego, czy znowu stan domu powinowatego ma zasmucać jedynie, i widok przemian u steru władzy w Multanach? Gdyby sobie był przywiódł na pamięć podobnyż prawie stan rzeczy przed pół wiekiem w tym kraju, gdy ród Heraklida strącony, dawał sposobność Turkom do mianowania z swéj ręki wojewody, i także *Tomży*; możeby sobie przedstawić był winien smutny los wojaka, który także na walecznem ramieniu polegając, na haku skały zawieszony, kończył dni swoje okropnie, a naśladowcom swym przykład i naukę w językach nad Bosforem zostawiał? Nie był tajny natenczas nikomu ten zgon tragiczny Dymitra Wiśniowiec-

kiego, któremu może także nie chodziło o panowanie na tém rozdrożu multańskiém, a nałóg ścigania pohańca był wszystkiem: wieść o postępku barbarzyńskiego mocarza nadto świeżą jeszcze była. Ale w tym zbiegu Prutu i Dzieży, pod tym *Sasowym rogiem*, sławnym już tylu bojami, dwoistą wzgardą bluzgał pohaniec: bo dla nieszczęśliwéj rodziny tułaczéj i dla narodu, pod którego ramieniem rodzina ta przychodziła do władzy. Wprzód nim Żółkiewski zwątpił o losie swego kraju, (głos jego bowiem dopiéro na sejmie r. 1618 słyszymy, gdy już miał do usprawiedliwienia się z upokarzających naród układów), nie zwątpiła jeszcze drużyna, nie nawykła przypuszczać klęsk przed ich spełnieniem. Rozpoznane były błędy w przeszłéj wyprawie popełnione przez Potockiego, które się przyczyną zguby jego stały. Jak tylko można było zgodzić się na to, iż cel jego w innym porządku byłby dopięty, iż winą było zbyteczne zaufanie w pomyślności, towarzyszącéj niedawno jego poprzednikowi, i z tego wynikająca pogarda sił nieprzyjacielskich, nieostrożne furażowanie, brak szpiegów, brak straży przednich i czatów; owszem jakby pochód dla rozrywki i swoboda nieoglądająca się na żadne przygody wojenne: nagana więc nie była dla celu, ale dla pomocy i sposobów wykonania. Byłato raczej przestroga dla następców, jeśliby jacy znaleźć się mieli. Gdyby ci zatém rozważywszy błędy, obmyśliwszy siły i środki, uchwalili naprawę lub zemstę: czyje ramię wstrzymywać było powinno zuchwałych? Znowu *procerum vota*, i znowu król dwoistego zdania? A gdyby i hetman, czujniejszy po przestrodze, miał stanąć na przeszkodzie u granic? Bezwątpienia gdyby to z dostatecznem przewidywaniem uczynić był zdolny... Lecz już przemawia głos straszny, głos upadkiem zagrażający: *bezsilność*.

Zastanówmy się w tém miejscu nad środkami zaradczemi ze strony rzeczypospolitéj.

Szarpana wewnątrz od straszniejszego wroga nad Turka i Tatara, od własnych wojsk przeciw królowi skonfederowanych, którym żołdu zapłacić czém nie było; a na zaspokojenie, skarb widział dobra publiczne i prywatne zajechane: nie mogła bezwątpienia piérwéj rzeczpospolita przemyślać o złem zewnętrznem, i jedynéj, jaką miała na-

tenczas pod ręką, zmuszona była użyć broni, tojest zreassumować prawa, na rokoszu podpalców sypnąć *infamią*, ma się rozumieć tym środkiem dotknąć jedynie przewódzców, a grozą następstw postraszyć swawolę u granic. Jest pewna epoka, gdzie exkommunika z ambony naród dziesiątkuje: gdy teraz władza do szlachty, do rycerstwa się przenosi, taki sam skutek wywierać ma ogłoszenie *bezecnym*, w połączeniu z bannicyą, dla któréj już jeden przestępca możny dał głowę. Ale w tym czasie z ambony, równie jak przy buławie, dawał się słyszeć głos proroczego natchnienia, że tego mało; że bez wykonania praw, bez skuteczniejszego oczyszczenia z zarazy, kraj zginie. Przebrzmiał głos Skargi na kazalnicy i próżno Żółkiewski na sejmach widma nadchodzących nieszczęść okazywał. Gdy prawo upoważnia starostów do imania burzycieli pokoju pospolitego, daje im tylko do rąk uniwersały, by te do szlachty swego powiatu obesłali, oraz zapowiedzieli, iż każdy pod karą stu grzywien *(sub paena centum marcarum)*, na takiego wroga z nimi ruszać, a bronić drogi do wykonania gwałtów powinni. „Gdy mało powiatu dla starosty, mówi prawo, tedy bliższemu staroście oznajmić ma, który także swój powiat ruszywszy, pomoc jemu powinien będzie." Wszystko to starostowie czynić byli powinni *sub paenis legum*, a w cięższych razach jeszcze o pomoc hetmańską sięgać.

Nie nowe to były prawa. Konstytucye sejmowe już dawno wzbraniały wychodzenia za granice z chorągwiami, bez zezwolenia królewskiego. Czy je przestrzegano? W r. 1613 reassumowano prawa dawniejsze tejże treści (1), owszem, jak gdyby ktoś obaczniéj nad środkami poprawy rzeczypospolitéj przemyślał, na tym sejmie walnym stanęło prawo, ograniczające wolą królewską, tak, iż król ani za wiedzą senatu nie mógł wypowiadać wojny, nie rozesławszy wprzód po sejmikach powodów wypowiedzenia jéj i całéj szlachty zdania nie wysłuchawszy. W tym jednym względzie podołać mogło prawo, iż się przyczyniało do większego osłabienia władzy królewskiéj, już i tak słabéj przedtém.

(1) Zob. Volum. Legum II, fol. 1618. Vol. III, fol. 180 i 325.

Owoż gdy się uspokajał kraj wewnątrz, może za porę stosowną uznają powinowaci domu Mohiłów i z swoją wystąpić sprawą. Plac dotąd niesławnie przez Potockiego opuszczony, potrzebę odwetu wskazuje. W tejże stolicy, która już widziała chwile pomyślności rozmaitéj dla swych hospodarów, zasiadł z tureckiego ramienia wojewoda, a nie równający się urodzeniem ani przeszłością znakomitą. Gdzickolwiek skarby, lub przychylne stronnictwa dla sprawy Mohiłów odkryć był zdolny, jedne grabił, drugie potępiał i ścigał: owszem stawał się przewodnikiem hordy, któréj Ruś i Podole granice swoje otwierały. Panowie powinowaci mają go za wdziercę i impostora. Przyjdzie czas, że i rzeczpospolita nalegać zechce o jego oddalenie.

Wkrótce działających na tém obozowisku ujrzymy księcia Koreckiego z Michałem Wiśniowieckim, starostą owruckim. Nie przewidziało prawo, dające wskazówki działania starostom pogranicznym, co mieli czynić, jeżeli książęta i starostowie sami przeciwko tym artykułom wykroczą: zwłaszcza, gdy roszczenia ostatnich wychodzić mogły za obręb prywatnym zamiarom właściwy, a poruszać pytania, za słabo, jeśli wyrazem swawoli ochrzczone. Bezwątpienia to się nie nazywało swawolą. Widomie prawie dozwolone były zaciągi po kraju, oprócz porozumienia z siczą, która przez swe czarnomorskie wyprawy stawała się głównym przedmiotem oburzeń ze strony Porty. A łatwiéj i o zaciąg było rzeczywiście. W tymto czasie, jak powiedzieliśmy, rozpuszczone związki żołnierskie ofiarować mogły licznych, jak ich nazywa Naruszewicz, *za wiatrem fortuny idących, walecznych awanturzystów.* Mamy ślad niejaki i w świadectwach spółczesnych, oprócz listów świeżo przez Syrokomlę ogłoszonych, jak to różnorodnie zbiorowe siły bywały. W tém może zasada niepowodzeń zawsze, jakie pretendentów naszych do Wołoszczyzny, od wieków spotykają. Bywa to najczęściéj coś nakształt burzy wynikającéj nagle, która się objawi w błyskach i piorunach, zahuczy, przerazi, a ledwie w dziele zniszczenia ślad przejścia swego zostawi. Nad odgłos orkanu, który porywa wszystko w przechodzie, okrzyknione bywa imię waleczne, a meteoryczna jego świetność zakreśla krąg swój

i znika bez powrotu. Tak, cóż za cel spólny i interes, oprócz zachcenia momentalnego, może mieć Zaporożec z Wołochem, którego palił i gnębił świeżo, rozmaitych dworów prywatnych drużyna, ex-konfederat i ledwie na wzgląd niejaki zasługujący hufiec pancerny, który jeszcze od ojców miał swoje po dworach zakłady, ale nie przeważał w liczbie? Jeżeli los boju wstępnego posłużył, wzrastała zaprawdę siła z rozbitych stronnictw w Multanach, i okazalszy formował się szyk wojenny. Wabił dostatek pański pod chorągwie, ale nie rozbierał tego żołdak, jakiéj miał służyć sprawie, albo jaka słuszność działaniom swych panów przewodniczyła.

Godzi się atoli w kilku przynajmniéj wyrazach wspomnieć tu o położeniu wzajemném dwóch krain ościennych, takiém, w jakiém je stawiły traktaty w téj chwili, albo w jakiém spadkobierstwo praw po Mohiłach, czyniło jednę względem drugiéj prowincyą, ziemią hołdowniczą lub zależnością inną podobną: aby ztąd padło światło i na czyny tych panów.

Wiadomo, że Jeremiasz Mohiła, z ramienia polskiego na hospodarstwie osadzony, syn Despotówny, potomek dawnych panów multańskich, przypuszczony w r. 1593 przez stany polskie do indygenatu, poddawał na nowo kraj swój Polsce, z warunkiem, że odtąd dwa narody braterskiemi się stawały. Nad domem jego rozpościerała się zwierzchność i opieka ze strony Polski, ale i progi domu stawały otworem dla związków niepospolitych z ludźmi tego kraju. Cokolwiek powiedzą obecni lub późniejsi dziejopisarze (jak *Łubieński* w *dziełach pogrobowych* o Potockich), o wzmożeniu się w dostatki rodzin, które się temi związki z domem hospodarskim łączyły, zwiększała się bezwątpienia i świetność tego domu przez powinowactwa nowe.

Tu się łagodzi pozór wykroczenia ze strony naszych domów książęcych, pod spólnemi chorągwiami wyciągających na to odwieczne pole nie popisu, ale krwawéj walki. Rzeczpospolita, która przyjęła poddaństwo Multan z rąk Mohiły i pomoc ramienia swego zabezpieczyła, jeśli domowemi sprawami utrudzona, w obec poczętych zapasów z pohańcy, pozostać musiała na stronie: przez pamięć już przynajmniéj traktatów, które sięgały jeżeli nie czasów Ka-

zimierza W., to niewątpliwie rodu Jagiełłów (1), za taką zbrodnię uważać była nie powinna, gdy prywatna pomoc hospodarom chciała być odcieniem jéj woli nieobjawionéj. Żółkiewski, który ważnym jest działaczem w téj sprawie, inaczéj to widział: da następnie dowód tego widzenia w traktacie z Skinderem. Ale w senacie zdania wyraźnie były rozdzielone. Są dostojnicy, którzy głośno pochwalają zamiar Koreckiego, jakkolwiek nie są niebezpieczeństwa nieświadomi. Niech tylko pomyślność posłuży, a powszechniejszemi może oklaski się staną. Do téj pomyślności może zamało będzie saméj rycerskiéj dzielności i wprawy oręża: pewne skryte działania przeciwne albo praktyki usunąć także potrzeba.

Kiedy napróżno wdowa po Mohile, dla syna ocalonego robi starania o chorągiew hospodarską, kiedy ani w odwłoce czasu nie ma czynionéj nadziei pomocy od stanów: zaiste domy zięciów zamkniętemi przed nią być nie mogły. Wymagały tego prawa boskie i ludzkie. Rzecz głównie na tém zależała, że ci zięciowie już raz zawodzili nadzieje w sobie pokładane; miała słuszność z niedowierzaniem poglądać rzeczpospolita: nic dziwnego zatém, jeżeli usiłowała wzbronić prawami wszelkie kuszenia się dalsze, zamiast wznawiać doświadczenia, grożące następstwem krwawém. Już bowiem rozjątrzeni byli poganie. Tlał pod popiołem ogień, mogący wybuchnąć w pożar, nieobliczony w skutkach. Alboż nie gorzał dom sąsiedni i nie nadymało hardości Bissurmana, jeśli nie powodzenie nad Prutem, to wciąż u Cissy i nad Dunajem? Wdowie po Mohile wypadało, albo jako prywatnéj obywatelce osiąść w majętności dziedzicznéj nad Dniestrem, pod opieką indygenatu, i czekać pomyślniejszego zbiegu okoliczności; albo narażając się niecierpliwie na grę niebez-

(1) Przytoczmy *wywód* Łojka, w znanéj *odpowiedzi* z r. 1773. „W r. 1359 Stefan, syn starszy innego Stefana wojewody albo książęcia Multan, których miasto stołeczne było naówczas *Soczawa*, a teraz *Jassy*, wygnany przez brata młodszego Piotra, przybył do Polski prosząc o pomoc u Kazimierza Wielkiego, i obiecując mu hołd z tego księztwa: lecz ta sprawa nie wzięła skutku."

„Od pierwiastków panowania Jagiełły czterech książąt mołdawskich jeden po drugim oddał homagium temu królowi"....

„Podział Multan nie doszedł, tak jako i podział Prus. Alexander odmówił homagium Jagielle w r. 1419, i obiecał mu pomoc przeciwko królowi węgierskiemu. Ten król dopomniał się w r. 1429 o exekucyą podziału Multan, ale mu odmówiono. Obacz Długosza lib. II, col. 514—5."

pieczną, widzieć narażoną bez nadziei prawowitość swéj władzy na utratę, i przyszłość swych dzieci, którym w niepomyślnym razie rzeczpospolita także byłaby zmuszoną odmówić pomocy.

Posępną mgłą w ogólności powlekał się widokrąg polityczny, również jak to wiecznie mgliste, ołowiane niebo wołoskie, które szarą kopułą nakrywając, mieszkańcom swoim dawało zatrute wyziewy morskie w udziale: a jeśli się rozjaśniało, to chyba groźną błyskawicą.

Nie jak mający umrzeć wychodzili na plac obrońcy upadłéj sprawy, gdy żegnając przed wyjściem swém, ojczyznę pozdrawiali. Nie wlekła ich za sobą sama konieczność, z jakich zobowiązań albo praw powinowactwa wypływająca. Mieli żałobne przestrogi przed sobą, a występowali jednak z odwagą, i umieli natchnąć lepszemi wróżby tych jeszcze, których albo stosunki domowe, przyjaźń, zażyłość, albo sama trudność przedsięwzięcia do spólnego wystąpienia rycerskiego zachęcała.

Pogoń Koreckiego jaśnieje wprawdzie na czele, obok niéj idzie *księżyc z tarczą* Wiśniowieckiego; niemniéj jednak znacząco połyśnie w owym taborze postępującym, znowu Potockich, albo Zborowskich, Sieniawskich, Tyszkiewiczów przybrane znamię. Buńczukom kozackim być łącznie i w rozsypce, według różnych zdarzeń, do wojny, podjazdów lub furażowania. Gdy za Dniestr przekroczyli, rachowano niemałe wojsko, podług niektórych do 6,000 głów wynoszące. I pochód ich musiał być szybki i pewny, gdy Tomża, wojewoda obecny, na wstępie zaraz widzi się w niemożności zebrania sił znaczniejszych. Ledwie się roztrzeźwił w nagłym napadzie, musiał przyjąć bitwę, a skutek jéj wiadomy. Musiał się passować zaprawdę przez chwilę, gdy przyprawia o straty i drugą stronę. O to chodziła rzecz właśnie, by nie nabrał otuchy, pamiętny jeszcze świeżych zdarzeń fortuny, która mu jednego z pretendentów w ręce oddała. Tą otuchą dla niego była jedynie horda zawsze, Kantemir lub inny mirza. Nie mógł jéj zyskać przecież, dopókiby się nie przebrał na ów Szlak Czarny, albo na stepy Budziackie drogi nie utorował, dokąd trudniéj iść było za nim w pogoń, mając zamiary na ustalenie się w stolicy, w intere-

sie wracającego do hospodarstwa Mohiły, jak się to z pierwszych rozporządzeń boju okazywało.

Tomża, jako winny zdrad wielu względem rodziny, na przygody tułactwa skazanéj, nie mógł liczyć do tyla na lud niestały i panom swoim niewierny, ażeby bezbronne Jassy za punkt oparcia sobie obierał. Jeszcze nie miała ta stolica dość czasu do podniesienia się z swych zwalisk i gruzów. Ocalały na początek panowania Jeremiasza Mohiły: zamek hospodarski z kamienia wzniesiony, trzy kościoły greckie, jeden ormiański, łaźnia, azyatyckim urządzona sposobem, od kozackiéj pożogi, która na początku tego wieku miasto spustoszyła, nie przedstawiały jeszcze ciągle środka do stawienia czoła w porządku bojowym przychodzącemu nieprzyjacielowi. Tomża nie był człekiem wojowniczym, byłto raczéj wdzierca, umiejący bić czołem w dywanie, i siła jego raczéj polegała na postrachu szerzonym przez Turków i hordę krymską, jak na przymiotach łączonych z wyobrażeniem wojewody, jakich przykłady dzieje w poprzednikach jego wskazują. Więc stały zastępy przy nim z bojarów dwuznacznéj wierności i ludu, co z jaskiń i zwalisk nagnany pod chorągwie, po pierwszéj porażce gotów był służyć drugiemu, i według zwyczajów, gałązkami winnemi wchodzącym uścielać drogę. Nie, na takich obrońcach, ani na takich Jassach warownych polegać nie mógł Tomża.

Spędzenie przywłaściciela z stolicy, było przedniejszym zamiarem wodzów, jak to wspomnieliśmy. Jestto też czyn rozgłośny, który na kartach dziejów pamiętne imię wznawia po raz pierwszy. Znaliśmy dotąd założyciela domu Koreckich, *Dymitra Olgierdowicza* w pochodzie Witolda przeciwko Edydze nad Worsklą; *Bohusza*, który pod Ułą i w polach iwańskich był z ludem swoim (1), *Joachima* w wojsku smoleńskiém przy Chodkiewiczu. Mylnie widzieć chciano naszego Samuela w walce, która po napadzie Siedmiogrodzian na początku jeszcze stulecia, Jeremiasza Mohiłę do tronu książęcego wróciła: byłoby to bowiem zawcześnie ze względu młodzień-

(1) Zob. w *Mowie Solikowskiego na pogrzebie Zygmunta Augusta* to opowiedziane: „*Acies*, quae dicebatur *ferrea*, duce Radzivilo, Chodkevicio, *Korecio*, Tiskovicio caesa, fugata, dispersa."

czego wieku, i również mylnie w nieszczęsnéj walce Potockiego, bo z téj pogromu nikt nie ocalał. Z wszelkich rozważań, piérwsze to jego pole na własną rękę być sądzimy, i to się przy oklasku walecznéj sławy otwiéra.

Dzięki ma złożyć Bogu matka takiego syna „że jéj dał doczekać podobnéj uciechy z dziatek, którzy nie ujmują przodkom swoim i wszystkiemu domu swemu sławy, ale więcéj jéj przymnażają.“ Tym językiem matki Spartanki się wyrażały, tym i Anna Korecka mówi do Mohylinéj. Posiłkując całą swą zamożnością syna, wdowa dożywotniczka, za największą ma ona sobie chlubę, że naprzód sławą przodkom dorówna. Jakoż ledwie poważnie wieści o piérwszych zwycięztwach, już cała jest myślami w dalszych poruszeniach boju, niepomna przygód i niebezpieczeństw otaczających.

Żal, iż tak drobne okruchy, przeszłość nam z listów takiéj matki pozostawiła. Poszlibyśmy ich śladem do miast, do zamków zdobytych, i w cienie lasów, i w przesmyki błotne albo na step goły za Tatarami. Bo treści takiéj echo dochodzi nas z zaniedbanych podań u latopisców, a nie w żywéj prawdzie uczucia, które pomyślną lub mniéj pomyślną dolę z rzewném przejęciem się rozważa. Lecz do nas doszły urywki, i w tych doczytujemy się szczegółów nieznanych. Gdyby liczniejsze podobne źródła, jakżeby historya mężów i narodów na tém zyskiwała.

Trudno nam krok w krok postępować za losem wojny. Wiemy, w jakim pustym kraju los piérwsze im pole nadarza. Od Dniestru aż do *Fokszan* jednakowe prawie zadanie. *Dniestr*, *Prut* i *Seret* przedniejsze rzeki, zresztą błot i zasadzek tysiące. *Jassy*, *Chocim*, *Soroka*, *Łopuszna*, *Orchel*, *Bender*, *Izmaiłów* za przedniejsze miasta z strony Multan liczone, zamożniejsze były niegdyś; teraz leżały w gruzach zwalone na ziemię. Wszędzie tylko mogił pełno. Niektóre pasma są na linii przejścia (Czarnym Szlaku) hordy, więc ogniskami w nocy oświecane. Pomnożyły ich liczbę czasy nowe, do liczby owych odwiecznych, które jeszcze może czasy Decebala pamiętały.

Przyjmujemy za fakt stwierdzony, że nie mógł czoła stawić wojewoda wdzierca ani w polu otwartém, ani w stolicy niedającéj pewności. Ale już rozlegał się okrzyk napadu. Rozgromiony w piérwszém starciu, nie miał innego środka, jak biedz do hordy o pomoc, albo sprowadzać jakiego baszę dalszą Wołoszczyzną, bo i potemu miał swych sojuszników.

Nie trzeba jednak losu Multan w téj chwili czynić stanowczo zawisłym od jednéj potyczki szczęśliwéj, albo i walnego zwycięztwa na początek odniesionego. Hospodar z tureckiego ramienia był tylko pachołkiem na czatach w téj stronie: spełniał on namiestnictwo swe z okrucieństwem, godném panów, których stawał się narzędziem. Za nim następowała tłuszcza nawalna, ożywiona fanatyzmem. Czekała tylko hasła.

Nie zasną nasi wojacy na laurach. Od daty wtargnienia, do schyłku sprawy, rok z górą upływa, a rok płodny w rozliczne losu przemiany i wielki krwi rozlew z obojéj strony.

Z historyków naszych często nabywamy właśnie takiego wyobrażenia, jak gdyby całą treścią wyprawy dwóch wymienionych tu książąt było, wpaść, jednorazowym lub i powtórzonym kilkakroć bojem się zmierzyć, doznać klęski nareszcie. Podług tego przedstawienia, moglibyśmy zamknąć w ciasnych, jak wizerunki ich ramach, dramat wojny, albo raczéj jedną część z tryady lat 20 z górą trwającéj, w któréj następują po sobie nawzajem powodzenia i klęski, a gra w niéj ważną rolę męztwo bohaterskie, szlachetność, i zdrada, poświęcenie i niewiara: wówczas nawet, kiedy się spełnia odwrot fortuny, jeszcze pełen zajęcia obraz nieupadającego pod wysileniem przeciwności umysłu.

Innym, jak gdyby głównie chodziło o liczbę, wyliczają 15, 19, 21 bitew. Gdzie? kiedy? z jakiemi okolicznościami? nie idzie im o to. Lub ogrom powodzeń zwiększają do tego stopnia, że na sta tysięcy ludzi wywołują do bitwy, i tyleż tysięcy kładą na pobojowisku, w nurtach rzek topią (*Bzowski*, *Starowolski*, *Niesiecki*, *Siarczyński*); lub gdy zwycięztwo odstępuje, porównywają bohatera z samotnym prawie Danielem w lwiéj jamie, tylko go już ani cudem nie ocalają.

Przecież choćby z listów w najnowszym czasie ogłoszonych, można wyczytać, że dopóki sprzyjały zwycięztwa, sadowił się nowy hospodar pod zasłoną walecznéj falangi w ojców swych stolicy; liczny dwór towarzyszył mu w pochodzie, a co nawet utrudniać wolny pochód mogło, już matka i siostra znajdowały się w jego obozach. Tu przeczuwające serce matki Koreckiéj występuje z przestrogą: „Panie Samuelu! Domnę tę (t. j. matkę żony) odeślij do Polski, niech tam przy tobie nie będzie, gdyż słyszę iż siła jest na przeszkodzie; żona też twa co tam czynić ma w wojsku z tobą? czy nie lepiéj jéj jechać do domu?... Nie daj Boże! kiedy w jakim gwałcie, jako ten orszak prowadzić będziecie?" Przestroga, jak widzimy z ciągu listu, spowodowana po uciechach ze zwycięztwa, nowinami o niebezpieczeństwie żałosnemi. A miała niestety! spełnić się według brzmienia.

W jakim sposobie dziać się mogło rzeczywiście to postępowanie kobiét za wojskiem, nie mamy wyjaśniającego dopisku. Matce znać chodziło o reprezentacyą dla syna, który dla lat młodzieńczych mało imponował w stolicy: więc w Jassach możeby nie zawadzała jéj obecność. Trudniéjby wytłumaczyć potrzebę znajdowania się żony Samuela. Musiał to zrządzać traf jakiś tę obecność, lub goszcząca przed udaniem się wyprawy do Multan w majętności matki *(w Uściu nad Dniestrem)* ośmieliła się z nią daléj, zwłaszcza, gdy zwycięztwo do rodzinnego miasta drogę utorowało. Może dramat rycerskiéj barwy w ogólności, wymagał połączeń, które jeszcze na troistych godach w domu hospodarskim były obmyślone?

Ale księżnie matce doniesiono społecznie, że Tomża znowu się pokrzepił; znowu przy pomocy Turków stawał się panem stolicy; a nawet przy prowadzących go buńczukach widziano powiewającą chorągiew, znak dostojności hospodarskiéj, któréj pomimo życzeń i oświadczeń radości odbieranych, dla swego protegowanego, do ostatniéj chwili u króla Zygmunta doprosić się nie mogą nasi wojacy. Wtakim razie z trwogą musiała poglądać na los kobiét przy nadchodzącéj zmianie. Co miały w rzeczy saméj robić pośród taboru, przy huku dział, przy nagłych poruszeniach owéj lekkiéj jazdy, z któréj po większéj części był szyk wojenny księcia Koreckiego złożony? Było-

by to powtórzone lekceważenie wroga, jak w przeszłéj rozprawie Potockiego, co go nakoniec zgubiło, jeśli, jak powiedziałem, obecności téj nie można było tłumaczyć koniecznością lub zrządzeniem trafu.

Co się z niemi stało po klęsce, która jak widzimy następnie taki popłoch pomiędzy przyjacioły Koreckiego rzuciła, a zmuszała go do cofania się spiesznego pod wały Chocima? — nie objaśniają źródła nasze. Jednak za polepszeniem fortuny musiały obecne być znowu, albowiem następnie razem i los niewoli z książęciem, którego się ramienia trzymały, podzielić były powinny.

Trudno jest w ogólności w takiéj rozsypanéj wojnie, na jaką się zanosiło, i szczegóły innych okoliczności rozwikłać. Byłto raz taniec tatarski łukiem zataczający, to znowu jakaś obronna postawa w okopach; a wszystko największą rozmaitością przemian odcienione: postęp i cofanie się, napad nagły z okrzykiem przy sprzyjającém uspieniu hordy, i ztąd pogrom wielki w massach przydybanych, *kumiszem* upojonych, albo nawzajem wpadnienia w zasadzkę, jak owa zdrada chytrego Czausza, któréj wyjaśnionéj w szczegółach nie mamy, a o któréj w liście swym u Syrokomli, kanclerz koronny *Kryski* wspomina.

Szczegół ważny nie jest do pominienia, że zgon Wiśniowieckiego na początku téj wojny, cały jéj ciężar już dawno zwalał na barki samegoż Koreckiego. Wiśniowiecki pan możny i rycerz niepowszedni, którego dziedzictwo męztwa w synu Jeremiaszu pod następnemi panowaniami rozpoznamy; a mówiąc nawiasem, którego wnuk ma piastować berło kiedyś z wolnego okrzyknienia narodu: znać ważną byłby pomocą w kierowaniu losów wojny dalszych, jak był spółuczestnikiem owéj sławnéj wygranéj z Tomżą, która zmuszała go do ucieczki ku hordom, do odstąpienia stolicy i panowania. Powiada heraldyk, że gorączką i trudami wojennemi zwątlony, długo tryumfu nie przeżył. Wiadomo, iż z właściwą niedokładnością latopiścom naszym, musielibyśmy zapomnieć o tém spełnionem fatum, owszem kazalibyśmy mu ożyć do skończenia sprawy; nawiasem ledwie wpada nam pod rękę jaki dowód, rzucający światło, i na pomieszane jedne z drugiemi albo skrócone, jużto u heraldyków, już u poważniejszych pisarzy obrazy. I tak

w porę nam przychodzi co do owego zdarzenia, szanowny autor *Listów o Szwecyi* (Tyszkiewicz), który zwiedzając archiwa pomienionego kraju, natrafił właśnie między uwiezionemi z Polski rękopismami, biblioteki familii Brahe w Skokloster, na *list Michała Wiśniowieckiego do króla, z d.* 12 *stycznia* 1616 *r.*, tojest na dwa dni przed zgonem; a wynalezienie téj daty pojaśnia także co do rzetelności podań dziejopisarskich: przybywają bowiem potém listy przez Syrokomlę ogłoszone, a w nich daty jeszcze z lipca i sierpnia tegoż roku. Pod d. 22 kwietnia t. r. skarży się Samuel Korecki Chodkiewiczowi na niechęci doznane od Żółkiewskiego, jak w objaśnieniach do *strony moralnéj* już nam znanéj widzimy. Co robić z datami późniejszemi u autora tego artykułu, nie wiadomo; gdy już pod d. 27 lipca t. r. mówi Chodkiewicz o pojmaniu Koreckiego przez Turków, a w tym razie walczą co do dat listy przez Syrokomlę, ogłoszone z listami u *Gołębiowskiego*. Data kończącego się także panowania Michała Tomży *w letniku Lelewela* r. 1615, miałaby swe potwierdzenie.

Gdyśmy już w ciągu opowiadania wdali się w rozbiór szczegółów i porównanie dat latopisarskich, nie od rzeczy zwrócić uwagę i na sprzeczną z temi datę w Dyaryuszu Maszkiewicza, pod rokiem 1617, gdzie mówi o zwycięztwach Koreckiego przeszłorocznych; ztąd i na datę *traktatu pod Jarugą* u Naruszewicza, u innych zwanego *traktatem w Buszy* jak u Łojka, o którym jeszcze słów kilka następnie powiemy, tojest na dzień 26 września 1617 r.

Wszystko dowodzi, że wyprawa pod spólném dwóch książąt hasłem poczęta, na długo jeszcze przy imieniu samego Koreckiego utrzymać się musi; a temu jakich rozległych pomocy byłoby potrzeba, ażeby mógł w konieczności od Soczawy baczyć na Bukowinę, i w Jassach społecznie wyglądać gości od Budziaku, *ludzi wiatrolotnych*, jak ich kronikarze tureccy nazywają. Nie dziw, jeżeli siła drobnéj garstki w porównaniu okaże się niedostateczną. Sama *ziemia nadolna* (tak zwane u starych naszych pisarzy Multany), z niestałą tylko i niewierną, jak zawsze i wszystkim przychodzi pomocą. Rozgromione pułki Tomży niknęły w rozsypce, wracając lud swój lasom i jaskiniom. A gdyby i część ludności ku uznaniu nowego hospodara się skło-

niła, przybytek ten, czyliż stawał się zdolnym do zastąpienia owych hufców pancernych, które bój urywał; albo i lekkiéj jazdy Niżowéj, którąby ze zdziwieniem widziała swe przerwy zapełniane przez leśną drużynę; na któréj karkach niedawno, do miast jéj otwartych i zamków pędziła?

Jak powiedzieliśmy, i Tomża za łotra wierutnego w listowaniu spółczesném znany, zdolnym był znaleźć dla siebie sprzymierzeńców w sąsiadach, oprócz głównéj zasłony z Muzułmanów. Kojarzyły się nienawiści w porę. Dla kogo każdy potoczek w dolinach Bukowin Dunajem się stawał, kto nie miał w tém przesmyku gdzie ognia nałożyć, bo i z góry leje i pod nogami plusk ciągły: dla Tomży nieprzyjaźń skorzystana, równie jak dla tamtych przyjaźń, może być płodna w sposoby przebycia najtrudniejszych szlaków. Donosi stronnik i klient księciu Samuelowi, aby miał baczność od téj strony, bo na Siedmiogród nie można rachować. Pomimo stosunków, jakie w swym kraju rodzinnym mogła Elżbieta z Ciamartów, ważną tu rolę grająca, zachować, nie radzi przyjaciel ufać *Betlem Gaborowi*, bo „on listami swemi ułapić chciał Alexandra Mohiłę i Koreckiego, a tymczasem gotował potęgę, ażeby swemi ludźmi do Wołoch wpuścił którego baszę." Otóż się spełniała tajemna praktyka, przez niespodziane jawisko od flanku, pomimo trudnego przebycia Bukowin. Tomża ośmielony został do ruszenia na Jassy, Korecki się pomknął wstecznie; a do wrot Chocima o schronienie dla siebie i reszty hufców ocalonych musiał zapukać. Nie ma już mowy o Soczawie, Łopusznie lub Batuszanach, jako najbliższych gór stanowiskach ponad Seretem. Stanowiska te na długo, może na zawsze niezajętemi pozostać miały.

Zalega z kolei milczenie na polu wojenném. Nieunoszony w powodzeniu fortuny wojownik, przy jéj odwrocie oddaje się zwątpieniu; aż zachęty przyjaciół, dodanie serca od orędowników u steru postawionych, muszą wpłynąć na umysł gorący pochłaniający wrażenia. Nie mamy dat następnych wyszczególnionych, ale ów Herkules albo Achilles, jak go pompatycznie wielbiciele spółcześni mianują (1), występuje znów z namiotów: gromi, rozprasza nie-

(1) *Achillesami państwa* Koreckich w ogólności w swym *Świecie Polskim* Okolski mianuje: co do drugiéj nazwy ciekawa jest zwrotka pieśni jednéj z dziewięciu muz w *Peanie* Gorczyna (Kalliope):

przyjaciół, póki nowemi klęskami z kolei wstrzymany nie zostanie.

Nie dostał przecież zasiłków od obozującego na pograniczu hetmana korony, do którego miał prawo udać się po nie, odesłany będąc do tego imponującego widza ze wstawiennictwem prawie od tronu; a Maszkiewicz, jednocześnie zapisuje w swoim Dzienniku: „*pan hetman spraktykował wojsko*, sobie ten regiment przywłaszczając, do którego uprzedził go Korecki." I nie zataja okoliczności, że nie był p. hetman od tego, ażeby się wmieszać w sprawy multańskie, ale z swej ręki radby posadził był na hospodarstwie Hawryłuszkę, syna po Bogdanie, bracie Jeremiego. Czyli był należycie objaśniony Maszkiewicz, powiedzieć nie można, co do osób przynajmniéj. Jest tu naprzód jakieś przekręcenie, gdzie Bogdana, zamiast Szymona wylicza; powtóre i sam to powiada, że całą rzecz o Koreckim ma ze słyszenia w obozie.

Wiadome z dziejów jest dalsze szamotanie się garstki malejącej przez straty w bitwach, przez usiłowania skrytych nieprzyjaciół i jawne namowy, aż do zwarcia się ostatecznego z bezporównania liczniejszym nieprzyjacielem; który garstkę tę ze wszystkich stron miał ścisnąć nareszcie. Nie chciano wierzyć w początkach, kiedy wieść niosła, że do Multan wchodzi z Skinderem baszą dwadzieścia kilka tysięcy Turków, a drugie tyle przez Dunaj jeszcze do niego się przeprawiało. Hetman Żółkiewski tylko stanął na straży z swém wojskiem pod Oryninem na Podolu, i okopawszy się dla bezpieczeństwa nad wązką, ale tak bystrą rzeką, że ją z trudnością przebyć było można, postanowił oczekiwać dalszych skutków, toczącéj się poza tamtemi wodami od roku, rozprawy zaciętéj; a znać przewidywał, iż w obec jego obozu niedługo buńczuki zwycięzkie się okażą. Aniby wspomnieć już odtąd sobie nie dozwolił, o projektowanej przed chwilą Koreckiemu pomocy. Może téj chwili jest właśnie zdarzeniem myśl gorzka odniesiona Chodkiewiczowi, którą z żółcią odkrywa w liście

Mąż to on wtóry
Co lwa zwlókł z skóry:
Co bił ogromne wieprze, byki, smoki,
I skrzepł mu olbrzym, gdy go wziął za boki.

swym do Anny Koreckiéj, że hetman postanowiwszy Koreckiego wydać Turkom, nicby nie miał przeciwko temu, gdyby nawet na pal był wbity.

W jakkolwiek przesadnych zarysach wystawione mamy ostatnie te chwile boju multańskiego, widoczna jest mocna wola książęcia, ażeby właśnie ani pomyśleć o powrocie. Mówią, że od posła do Carogrodu, Otfinowskiego, był ostrzegany już przedtém o niebezpieczeństwie. Jeśli nie usłuchał, tedy albo mało sobie cenił szczerość ostrzegającego, którego raczéj za poplecznika Żółkiewskiego, jak za bezstronnego doradzcę uważał; albo postanowił także ostatecznie zwyciężyć lub umrzéć.

Jeszcze raz Jassy miały być świadkiem walki do tchu ostatniego za sprawą Mohiłów. Korecki dowiedział się w porę o nadciągających ze wszech stron ku téj stolicy tłumach fanatycznych. Zdawałoby się, że w walce téj nie miało iść o przeważenie protektoratu dwóch narodowości, i o postanowienie w myśl jednéj z nich hospodara; ale raczéj o podbicie kraju i zamienienie w poddaństwo wieczne.

Po raz piérwszyto na wybrzeżu multańskiém jawił się ów złowrogi Skinder (Iskender basza), w którego ręce najwłaściwiéj fanatyzm mógł powierzać swe dzieło; obok niego szedł Ibrahim, a Kantemir mirza, od r. 1605 już nam znane imię (1), w stadach ptastwa spłoszonego polatujących na przedzie, zwiastował przyjście barbarzyńskiéj chmury. Czy mógł nasz wojownik chwalebniejszą śmiercią pragnąć umrzéć, jak widząc takie massy skupione przeciwko swéj nazbyt nielicznéj drużynie? Zapisały dzieje, iż najpiérwsi kozacy odeszli z bojowiska, czyto posłuszni rozkazom hetmańskim, czy przyzwyczajeni do lżejszych obrotów, czy wreszcie w celu zrobienia dywersyi na innych stanowiskach. Tabor Koreckiego w 800 ludzi tylko się okopał, a Turcy byli zmuszeni przeciwko niemu przywieść działa oblężnicze. I te nie pomagały jeszcze do zwalczenia. Powiadają, że Czausz wystąpił z propozycyą zdradziecką, że

(1) Jako młodzieniec 18-letni piérwsze swe pole zwyczajem Tatarów otwierający, zgromiony był właśnie przez Żółkiewskiego (hetm. pol.) *pod Udyczą na Podolu;* zob. *Piasecii Chronica gestorum* str. 273. Może to w tych miejscach i z takiemi przeciwnikami zakładając piérwiastki swe młodzież nasza pod Żółkiewskim, ślubowała ich dokonanie w życiu dalszem.....

wszystko się stanie w myśl tak walecznie bronionego domu Mohiłów, byle Korecki zaprzestał rozlewu krwi bezużytecznego, a siły swe rozpuścił. Jestto czyste zmyślenie, że przezorny rycerz w boju, miał się dać uwieść sidłom polityki, i okazał się skłonnym do przyjęcia propozycyj; a po rozpuszczeniu wojska dopiéro ujrzał zdradę, w 50 ludzi jeszcze się ścierał, i wyczerpawszy wszelkie środki obrony, pałasz na znak poddania rzucił pod nogi baszy. Co do walki, charakter walczącego podobną do prawdy ją czynił; ale umierając nigdyby na to nie przystał, ażeby rodzina, któréj przybranym był członkiem, odbierała przywiléj od psów bissurmańskich: rodzina, która z chrześciańskiego ramienia postanowiona, z tego tylko ramienia władzę swą przyjmować mogła.

Objaśnia tylekroć przytoczony Maszkiewicz, że się musiał Korecki dostać w ręce nieprzyjacielowi, i być więźniem cesarza tureckiego w Stambule, z tym hospodarczykiem, co go prowadził na państwo, i z matką jego, którzy snać nie dotrwali za przykładem rycerskiego obrońcy swego i poturczyli się. Ale poszła zarazem w jassyr i Katarzyna, żona Samuela; albowiem rozsypka była powszechna, a pohaniec szerokie zagony rozpuścił.

Gdy taki zapaśnik zszedł z pola, już widział hetman koronny na siebie idącą koléj, do wstrzymywania nawały barbarzyńców. Wkrótce i przed jego wrota obozu przybył parlamentarz, wodą nieprzebytą nieustraszony, i wyzywał do przyjęcia groźnych warunków: że odtąd ziemia Nadolna raz na zawsze odpadała od władztwa Polski, a stawała się własnością mocniejszego przez walkę nabytą. Nie wytłumaczyły dzieje przyczyn zbytniéj jakiejś ostrożności ze strony Żółkiewskiego, gdy dosyć mając żołnierza i rzeczywistą boju ochotą zapalonego, tam pokonanego szermierza na mięsne jatki wydawał, tu wolał znowu bez dołożenia się króla i stanów własną porządzić się powagą, i zezwolić na odpadnienie ściany, która przez dwa wieki z górą przedzielała Polskę od tureckiéj potęgi, i na ruinę domu Mohiłów, wiernych Polsce hołdowników i chrześciańskiej religii książąt, których teraz poganin zmuszał do wyrzeczenia się wiary razem z wolnością straconą. Takim sposobem dzieło Zamojskiego, przed 20 laty poczęte, uwieńczał Żółkiewski!

Ocalone Multany i Wołoszczyzna przez tamtego od podziału na baszaliki tureckie, ujrzały swój koniec w chwili, gdy nic jeszcze prawie usprawiedliwiać nie zdawało się kroku słabości i zwątpienia tak strasznego ze strony wodza, który przez wiek cały umiał należycie traktować nieprzyjaciół, i aż do téj chwili prawie dotrwał niepożyty.

Wymawiał się ze swego postępku przed senatem Żółkiewski, a ciężkim miał być mu ten senat, i sejm, na którym w srogim głosie Chodkiewicz wyrzucał mu tę plamę wodza i narodu; dowodził, że trzeba było, unikając większych następności które zagrażały, uczynić coś z swéj strony i rozżartemu psu, jak się wyrażał, paszczę zatkać: nie byliśmy znać, według jego relacyi, przygotowani do przyjęcia godniejszym sposobem nieproszonych gości. Skutek okazał, mówi Piasecki, że pies ów pogański i strawę połknął, i zgłodniałą paszczą począł jeszcze ziająć za większą zdobyczą. Spełnić się to miało niedługo.

Korecki z tryumfem zaprowadzony do Stambułu, gdy się ani poturczyć nie chciał, ani zuchwałego jego postępowania położenie w obcych rękach nie uspakajało; wtrącony został do Czarnej Wieży, gdzie zapadać się nad nim zdawała fatalność, i wszelkie środki ocalenia już odtąd niepodobnemi się stawały. Wyrzekał się go hetman, wyrzekały poselstwa krajowe. I te poselstwa znieważone były, pomimo roli upokarzającéj, jaką odegrać były zmuszone. Taka ostateczność nakoniec wróżyć tylko zaiste musiała kres złego: alboż upadł już tak naród z swym wodzem na męztwie dawném, ażeby bezkarnie pohaniec mógł się urągać z jego sławy i wielkości w tylu bojach zyskanéj, i sądził nie módz znaleźć już mężów do pomszczenia hańby swojéj zdolnych? Poza granicami takiéj ostateczności, albo już leżeć musiał grób powszechny, albo popamiętać musiał wkrótce wróg tryumfujący, jak sroga czeka pokuta, nie w pierwszym, to następnym boju, wcześnie uradowanych. Nie uprzedzajmy zdarzeń. Jeszcze przed odebraniem kaźni zasłużonéj, za kołem fortunném dla sprośnego ciemiężcy, biegło dopełnienie powodzeń, które do ostatniéj pychy doprowadzić go miały.

Żaden z dziejopisów aż do *listów* Syrokomli, nie pomija téj okoliczności, że Korecki w tryumfie przez Stambuł

prowadzony, nietylko ducha nie tracił, ale jeszcze towarzyszom niewoli go dodając, na *kobzie* (t. j. rodzaju gitary ukraińskiéj z drócianemi strunami) przegrywał. Fantazyjne to widowisko, znać nie oznaczało w swym wieku dziwactwa i pospolitości. Korecki niezwyczajny śmiałek w narodzie, był też duszą i ciałem, panem zrodzonym do wywierania wpływu na Rusi.

W ogólności traktując przedmiot w kilka set lat od zdarzeń, pod nader wielu względami musimy z innego stanowiska zapatrywać się na tryb życia mężów; na obrot polityki władnącéj światem i stosunki wewnętrzne kraju, niżeliby o tém sądzić należało z teraźniejszości. Wówczas jeszcze rycerskość tchnęła duchem owych *Pretwiców*, owych *Gosłickich*, których krwią pohańce, jakby dla uroku, szable i szaty sobie mazali, ciałami się ich dzielili po małéj sztucce rozdzielając (1). Przynajmniéj takie podania wynajdujemy w zarysach kronik i w *gniazdach cnoty* naszéj: towarzyszyła w postępowaniu tęskność pól podolskich i nuta żałobna pieśni, ludowi z jednym wieczyście wrogiem wojującemu właściwéj. Znał się też na wartości tych mężów lud wierny, który o mądrość sądzącą w książkach nie pytał.

Nie pisząc tu żywota męża, dodajemy szczegóły wiadome jego uwolnienia. Opowiada Niesiecki: „że od księżnéj żony suplement pieniężny otrzymawszy (i w tém błądzi, bo księżna żona była z nim w Stambule niewolnicą razem; nie rozróżnił zapewne księżny matki od księżny żony, albo o szczegółach autentycznych nie wiedział) i od Sieniawskiego, podczaszego koronnego, wierny i poufały Greczyn mu przybył, który swoją industryą w flaszy, w któréj mu wino zwyczajnie nosił, i powróz z piłką żelazną poddał. Podarunkami tedy, powiada, straż sobie ująwszy, że go nie z takim jak przedtém rygorem na oku mieli, trzy kraty żelazne przerznąwszy, i straż winem w długą noc pojąc uśpiwszy, z wieży po owym powrozie się spuścił."

(1) Była jeszcze znana w czasach *Paprockiego* mogiła na Podolu, która od *Frąca Gosłickiego* otrzymywała nazwę na górze w polach, gdzie rozsiekany został od Tatarów ów rycerz, który ich w niezliczonych bitwach za *Pretwica*, za *Herburta*, starostów barskich, porażał.

Zamek, z którego uchodzi Korecki, nie przedstawiał bezwątpienia ani kształtem i warownością budowli, ani oddaleniem bezpośredniém od Konstantynopola, więźniowi łatwości sposobów ucieczki. Byłto jeszcze zawsze ów *arx munitissima*, jak go nam opisuje w swym czasie Marinus *Barletius*, kapłan Skodryjski, biograf *Jerzego Skanderberga*, posuwający się z owéj strony Konstantynopola, która do Gallipoli dąży ku morzu, siedmiu wieżami znamienity, i od tego *Jadikula* zwany. Należało przedewszystkiém odkryć miejsce uwięzienia bohatera naszego, o czém jak widzimy z listów Chodkiewicza, własna familia przez czas długi nic pewnego nie miała; owszem troszczyli się, ażeby dowiedziawszy się nawet o nim, nie dozwolić wyjść na jaw tajemnicy przed Żółkiewskim, ktorego aż do téj ostateczności obawiali się prześladowania. Czy jednak sposobem *Blondela*, jak niegdyś Ryszard Lwie Serce z gęślą narodową w ręku był wynaleziony, czy saméj głośności pochodu z jeńcem, przypisać należy głośniejszą wiadomość o miejscu jego uwięzienia, w mieście tak rozległém: raz odkryty, nie mógł zaiste tracić chwili, ażeby wnet nie począł przemyślać o pogodzeniu gotowości swojéj z lisiemi przebiegi, jakie chytrość Greka nastręczała. Musiał tego dokonać zręcznie, choćby w sposobie jak powyższy opis podaje. Wraca zbieg jednak do miejsca niebezpieczeństwa. Ocalenie jego nie byłoby zupełném, gdyby śród Konstantynopola nie miał wyszukać żony chrześcianki, która zapewne ucierpieć musiała wiele; w wierze jednak męża swego dotrwała, pomimo, iż patrzeć mogła, jak o tém mówiliśmy, na niedotrwanie w niej matki i brata. Niesiecki mówi nam dosyć o przejściu Samuela na łono kościoła katolickiego, o ślubach jego pobożnych, fundacyi i pielgrzymki do Loretu; ale o pociągnieniu za przykładem swoim żony Mohilanki, dopiero za powrotem do gniazda rodzinnego powiada. Nie uważał jéj bowiem za spólniewolnicę w Stambule, czyli o tém nie wiedział. A jednak Dyaryusz Maszkiewicza i to dodaje: „Korecki dziwnym sposobem z tego niepodobnego więzienia wyszedł, *i żonę wyswobodził.*"

Przecież nie wypadało samemuż Niesieckiemu inaczéj rozumieć wracania zbiega wewnątrz grodu, bez wyraźnéj

i ważnéj przyczyny. Po to właśnie przebrany w inne szaty, do Konstantynopola mógł jedynie się udać, ażeby sam był sprawcą wyzwolenia żony, na nikim w tym względzie nie polegając. Zostawiamy daléj pole imaginacyi powieścio-pisarskiéj, do przedstawienia ucieczki dalszéj, jak się dostał do Raguzy, rolę kupca, czy inną odgrywając; jak osobę tę na sobie zmyślał jeszcze, gdy potém do Sycylii odpłynął; na morzu z rozbójnikami tureckiemi walczył: jak i o wędrówce dalszéj do Neapolu, do Loretu, do Rzymu, dla otrzymania błogosławieństwa z ręki Pawła V papieża.

Wszakże Niesiecki już dawno był w rękach wszystkich, a żadna zdolność powieścio-pisarska ani poetycka, nie jęła się z upodobaniem tego przedmiotu....

W istocie zmyślonem przez poetów zdawałoby się spełnienie w jednym człowieku tylu zmian szczęścia: i pęt, i cudownego oswobodzenia, i pojenia się wiarą u saméj krynicy, i wreszcie osiągnienie najpożądańszéj zręczności do zemsty na wrogu; albowiem wtenczas, gdy zwiedzał domek Maryi w Loreccie, gdy błogosławieństwo papiezkie na niego się zwracało: już był pewny, że za przybyciem do kraju nowa potrzeba wojenna go czeka, a podług myśli, bo znowu nad Dniestrem i Prutem, gdzie rachunek z swym wrogiem miał nieukończony.

Wychodził niedawno pyszny, szczęśliwy, na krwawe harce z poganinem. Podobieństwo Dymitrów, Bohuszów, sławnych antenatów, żyło w nim na każdym kroku z poświęcenia i wytrwałości; a gdy los zasmucił, gdy towarzysza sprawy pogrzebał, już tylko na sobie samym musiał spełnić odwrotnéj fortuny pociski. Opłakany przez ziomków i pokrewne domy, gdy się dowiedziano o jego niewoli, z najżyczliwszemi powitaniami przyjęty był znowu. Poeci brząknęli w liry, lud się ucieszył widokiem z poza gór dalekich i mórz obcych wracającego pielgrzyma. Oto co nam opowiada bard jego domowy, *Gorczyn*, w swoim *Peanie*, gdzie mowę zwraca na wstępie do bohaterów:

. . . . . gdyś pod Akwilony
Nazad się wrócił z ottomańskiéj strony,
Wszystkęś Koronę radości nabawił
A naprzód Kraków: gdyś się tu wprzód zjawił.
Gdzieś się obrócił, lud gminem za tobą
Chodził.

Musiał niestety zmienić niedługo ton swojéj pieśni, chwalny poeta, gdy po przebyciu tylu trudów i niebezpieczeństw, opłakał wkrótce książę zgon towarzyski niewoli, którą po to prawie do progów domowych na nowo wprowadził, aby zapłaciła śmiercią za tyle wstrząśnień dotkliwych od losu doznanych. Gorczyn w duchu wieku swego *dyalo-guje* mocowanie się księżny z wyrokiem skonu, który ją kwitnącą młodością zabierał. Odtąd nasz wojak, więzień i pielgrzym, miał sam pozostać na świecie, i zamykała linią jego domu *córka jedynaczka*, którą w tym czasie kołysał dziecięciem, mającém wzrastać w sieroctwie. Męzka nadzieja i przyszłość domu była już cała w linii brata, Jana Karola; a ten niedawny więzień także w pętach Sudermana, wrócił w istocie z ciężkiéj niewoli, ale już od powrotu z Sztokolmu zdrowia styranego w okowach. nie odzyskał.

Rozlegający się głos surmy po kraju, z oznajmieniem potrzeby nowéj, i otrzymany *list przypowiedni* od króla do czynienia nowych zaciągów żołnierskich, jakże się w porę jawiły, ażeby ocalić krajowi męża, którego ramię doznane, jeszcze pożytecznem być mogło! Jeśli nie podołał tyle z losem niefortunnym, ażeby rodzinę tułaczą pokrzepił, ażeby wrócił jéj prawa, które z takiém nielitowaniem krwi na zawsze traciła: nie przepominał nigdy powinności syna ojczyzny. Na pierwsze hasło biegł znowu do szranków: a z taką gwałtownością mężowie tylko wieków dawnych się rodzili. Miał słuszność przemawiać do niego w swym liście król Zygmunt, gdzie miał do niezatajenia wzgardy posłowi swemu okazane w Stambule, pisma swe odrzucone, przymierza wykładem podstępnym obrócone w niwecz: „znana nam dzielność i męztwo wielmożności twojéj, któreś po wielekroć dla nas i rzeczypospolitéj, z całem i nieociągającém się sercem okazał, ośmiela nas zachęcać cię, byś był w gotowości do nadchodzącego boju". Będzie miał słuszność i po przeżyciu nieodżałowanego wojownika zawołać: „gdyby takich Koreckich Polska więcéj miała!", bo nigdyby ta Polska tak częstych nie cierpiała najazdów od Turków i Tatarów.

Bodźcem zbierania się pod chorągwie bez zwłoki, byli właśnie na nowo ordyńce, którzy już Ruś i Wołyń dla zaczepki splondrowali. Chmury niszczące nad głowami, opaść

nareszcie krwawym strumieniem musiały. Daremnemi były wiadome oględności hetmańskie, i czyniona otucha, że paszcza psa rozżartego została zatkana. Bez oporu poczynione ustępstwa, tylko tém bardziéj barbarzyńców ośmieliły. Już i Żółkiewski nie był od wojny... Niestety! rozumiano iż dosyć się stało, gdy Tomża wreszcie z hospodarstwa multańskiego strącony został, a wstąpił na jego miejsce Gracyan, skrytą dla narodu kłamiący przyjaźń. Hetman nie objawia z początku przekonania o fałszywości przyjaźni Greczyna, aż skutek zapóźno dostrzeżony okaże przyszłość w najzgubniejszych rozlewającą się farbach.

Oznaczone zostały miejsca obozów. Zdawało się, że wraca pewność znowu do postanowień hetmańskich, zachwianych na chwilę. Bogdaj to nie było ostatniém oddziałaniem życia, którego brzemię poniekąd już się nieznośném stawało.

Cóż pisze w liście pożegnalnym do króla, przed wystąpieniem z Baru do wojska? „Wiém o tém, że nadeszła chwila dla mnie stawienia się przed trybunałem boskim." *(Conscius mihi sum, ad tribunal Dei mox compariturus)* (1). Jestże to głos obiecujący mężną obronę i pochód widokiem niebezpieczeństwa niezrażający się? Smutno wspomnieć. Tak chyba *morituri salutabant* męczennicy Pańscy, gdy do walki ze zwierzętami w Rzymie występowali.

Ażeby nie wychodzić z obrębów naszego zadania, o wojnie téj, pod imieniem *Cecorskiéj* znanéj w dziejach, tyle tylko powiemy, iż gdy było wolą Opatrzności dotknąć boleśnie naród ciosu niespodziewający się, może u innych granic mniejszemi przestrogami dotknięty, a przez to ani świeżemi potrząśnieniami u granicy południowéj nie ocknięty: dotknęła jego właśnie w porażce mężów, którzy przez długi czas zdawali się ulubieńcami fortuny, w odjęciu sternika, któremu uciążliwym stawał się rudel u nawy państwa i w potrząśnieniu samejże nawy, o któréj całość może iść wkrótce miało. Albowiem wszystko w tym czasie składać się zdawało na naukę dla narodu, który w podstawach chwiać się zaczynał.

(1) List z Baru, pod d. 25 sierpnia 1620 r.

Nie dozwolić było naprzód skołataniu umysłu objawiać się w obec obozów, w których pogodna rezygnacya wodza jest tak znaczącą rękojmią powodzeń.

Wspomnienie *bitwy Warneńskiéj i bitwy Cecorskiéj*, na jeden ton żałobny z dwóch stanowisk przeszłości do nas się odzywa. Dosyć je porównać z sobą, jakkolwiek wypadki przedziałem dwóch wieków od siebie są oddalone, ażeby na równéj szali położyć świętość sprawy obojga, z wyjątkiem dwóch takich ostateczności w wykonaniu dzieła okazujących się: jak zapał młodości, która nie rozbiera niebezpieczeństw ukrytych przed sobą, i cofająca się rozwaga sędziwego wieku, która te niebezpieczeństwa zbliża i mnoży. Jest jakaś tajemnica podniety niezwyczajnéj, ilekroć dzielna młodzieńcza siła rycerskich postaci w naszych dziejach, ma z wschodniém barbarzyństwem potykać się na ostre. Jakby tradycyjne z średnich wieków pozostało lekceważenie dla czerni niewiernéj. W tymto wyborze imiona *Warneńczyków*, *Zawiszów* albo i w najnowszém zdarzeniu *Koreckich* jaśnieją. Starość zdaje się walczyć z konieczności dopiéro na takiém polu: rzadkie zaledwie wyjmiemy przykłady z pod tego odcienia. Jakoż gdy z kolei *wojnę chocimską*, dla złagodzenia dwóch wrażeń posępnych wyżéj przytoczonych wywołamy, jeszcze tu starość z młodzieńczą siłą się objawia, kiedy np. w owém kole rycerskiém wezwaném do rady z uniesieniem się odzywa: „znowu siły biorę, znowu żyję, gdy się odmładza kwiat rzeczypospolitéj mojéj. Polski i litewski żołnierzu mój! pierwéj mię duch mój odbieży, a niż odbiegę zamysłów twoich" (wiadomy ustęp w kazaniu Birkowskiego o zmarłym Chodkiewiczu). I co mówił starzec, to jawnie jaśnie rad czynił, dopóki zupełnie duch go nie odbieżał.

Nasza wyprawa cecorska o któréj mowa, da się porównać do spłoszonego czworosprzęgu w cyrku olimpijskim. Wabi wzrok widzów, i doborem rumaków zdolnych iść z wiatrem na wyścigi, zdumiewa; ale gdy się nie porozumieją siła woźnicy i siła wiatronogów, wkrótce widzimy ów ponętny zaprzęg rozbity: jeździec w pyle i rydwan przewrócony w biegu. Nie tak liczna siła, albowiem 5,000 ćwiczonego rycestwa i 2,000 Zaporożców ją stanowiły; ale w drobnéj téj garstce dobór młodzieży się zalecał niewąt-

pliwie. Okazały lata poprzednie, że prywatni panowie byli zdolni z takimiż prawie siłami występować w swoich przedsięwzięciach, i dorównywali w liczbie... Ale pod Cecorą koronni ochotnicy i panięta ukraińscy, jakby okazać chcieli, że tu o życie lub śmierć z narodem idzie, do gry niebezpiecznéj i żwawiéj i z większém przysposobieniem wystąpili. Niestety! pod tą pokrywą gotowości, niedowierzanie ciągle swoje nasiona podsypywało. Trzeba najmniejszéj pobudki, wnet wojsko się oburza na wieść złapaną, i gotowe jest do buntu. Raz wodzowie potajemnie uchodzić mają do Polski, znowu inna wieść podobna płoszy, i o zgon w Prucie przyprawia. Nie było zaiste karności, ale i nieufność warzyła oczywiście sztucznie budzone zapały.

Jak wiadomo, utraciła Polska w téj wojnie kwiat najpiękniejszéj młodzieży. Odwrót ośmiodniowy z pod Cecory ku Dniestrowi, naprzód częściowo narażał na straty dotkliwe: tabor uchodzący nie dotrwał wreszcie w swojém obronném spojeniu. Wódz potrafił umierać stojąc, nakształt hetmanów rzymskich. Barbarzyńcy młodzieżą rozerwaną jak szatą narodu się dzielili.

Na ten dział poszli Koniecpolski, Korecki, Farensbach, młody Żółkiewski i tylu innych. Do przewidzenia były następstwa dla jeńców, ale i dla narodu, który takich obrońców całości swéj tracił.

Na polu cecorskiem zaiste Samuel nasz, już nie w pojedyńczéj rodziny potykał się obronie. Wybitne tu są rysy odwagi i męztwa, które go w starciu się z wrogiem wyszczególniają. Pomimo rzekomych swych przewinień w przeszłych działaniach nad Prutem, starszyzna zwrócić musiała na niego uwagę, i jako godnego zaufania do takiego stopnia, zaszczycić komendą jednego skrzydła. O! gdyby nie ta konieczność, że wkrótce dostrzeżone multańskiego wojewody zawodne sprzyjanie, ufność przed nim zamykało, i zamiast śmiałego pochodu, jak przystało na wybór rycerstwa, zniewalało nagle do naprawy okopów dawnego hetmana i zachowania obronnéj tylko w nich postawy: były pod chorągwiami zdolności, dla których obszerniejsze szranki właściwie się należały. Co jeździec lekki uczyni, gdy pod nim rumak kształcony rwie się do wyścigu w polu, a łańcuchy taboru bieg ten uśmierzają, i stać musi nieru-

chomy, i dozwalać urągania dziczy wieszającéj się u flanków, a nie módz skoczyć do rozprawy i tłumy pierzchliwe rozpraszać? Niechno okoliczność wyglądana się poda, już pierwszy u starcia: głos jego panuje w okręgu, wyzywa na rękę i walczy. Wówczas jak gdyby nagradzać chciał sobie przymus, może zapędza się zbytnie. Jest chwila, że najmężniejszych popłoch ogarnie paniczny. W tym razie chłostany jest nasz śmiałek słowy cierpkiego szyderstwa ze strony wodza. Ten wyrzuci na oczy ślady ucieczki jawnéj, w szacie ociekłéj, podczas usiłowanego przebycia Prutu. Zaprzeczyć nie może chwilowéj słabości na uczynku prawie przydybany: ale męzka jego postawa, i odwaga, która go nigdy stanowczo opuścić nie zdołała, z całą gotowością na pięknem obliczu jaśnieje.

Powtórnie wzięty do niewoli z innemi, jako zbieg poznany, może się spodziewać tém sroższego obchodzenia ze strony nieprzyjaciela. Jakoż pod d. 19 stycznia 1621 r. donosi już ze Stambułu poseł angielski *Roe* w relacyi do Lorda admirała: „Korecki zostaje w niebezpieczeństwie."

Niebezpieczeństwo było do przewidzenia; nie w tejże chwili jednak spełnić się miało. Wiadomo bowiem, iż od daty pomienionéj, aż do ostatniego jego spełnienia upłynęło kilkanaście miesięcy. Może chorągiew proroka wywieszona w tym czasie przez Osmana, z zapowiedzeniem zagłady narodu sąsiedniego, oddziaływała przez umysły fanatyczne na los jeńców; może szczególnym powodem zaostrzonéj srogości przeciw Koreckiemu było wypłynienie Kozaków na Czarne morze, i usiłowane powtórne jego oswobodzenie. Lecz strącony on tylko został do głębszéj turmy i podwójnemi łańcuchy został przykuty: chwila męczeństwa, dla jakichś przyczyn nieznanych została odroczona. Nie byłto zapewne w onéj zwłoce okres cierpień mniejszych. Wszakże gdy inni, nawet Koniecpolski (jak to podaje nam w Pamiętnikach o nim), mają prawo obcować z drugiemi, odbierać odwiedziny i żądać ich nawzajem (1): Korecki siepaczami otoczony, słyszy obelżywe słowa, zmuszanym jest

(1) Na dzień godzin dwie; prócz tego wolni byli, jednak w okowach, na banię, tojest na salę nad morzem wychodzić; na noc wszystkich nogi w kłodę, rzędem ich położywszy podle siebie na wznak kładli Bissurmanie.

do obelg wzajemnych; a zapalczywość może go posuwać za granice, jakie do zachowania się więźniowi są określone.

Przedstawialiśmy w całym obrazie poprzedzającym bohatera naszego, jak otwartym był przeciwnikiem wiary Mahometa, w jakiejkolwiek sprawie godła jéj występujące mógł napotykać: w młodzieńczych doświadczeniach na polu wojennem w sprawie Mohiłów, za którą walczył; i w dalszych potrzebach, w których półksiężyc z groźnemi zastępy swemi był widny. Korecki posuwał się prawie do fanatyzmu w tym względzie. Był to jego patryotyzm najczystszy, i wiara jaka przez wiek cały jego ożywiała: jakże sprzeczną, jak boleśnie do głębi wzruszającą było dlań rzeczą, napastowanym być od pohańców do przyjęcia téj nieprzyjaznéj sobie wiary, do wyrzeczenia się bohaterskiéj przeszłości swojéj, i splamienia reszty dni wyznaniem, któremu się tylko uczył złorzeczyć zawsze, a ile możności najcięższe nieść krzywdy. Otóż niebezpieczeństwo dla niego najprawdziwsze, nie już w tych grubych murach i pętach, w których po dwakroć już widział dnia światło sobie odjęte, ale w pokusach apostazyi, w bluźnierczym języku.

Rzucamy tę myśl nie bez przyczyny. Jeszcze przy pierwszém pojmaniu, gdy ostatni z Mohiłów wraz z matką poturczyć się musieli, widzieliśmy, że Korecki przeniósł pęta w Czarnéj wieży nad wolność w zawoju renegata. Nie wychylił znać kielicha goryczy do dna, gdy w powtórnéj niewoli, już mu za warunek bytu, przyjęcie wiary Mahometa jest kładzione. Zapominać nie należy, że skutkiem niefortunnéj wyprawy Osmana pod Chocim, zgrają zbuntowanych spahów i janczarów, owładnąwszy wodze państwa, rozporządziwszy tronem Padyszacha, sięgnęła po życie samegoż Osmana: miałażby względniejszą była zostać na życie jednego więźnia i dozwolić mu wytrwać w oporze?—owszem, z bluźnierstwy na ustach dla swego proroka.

Zdaje więc powtórną w tym czasie relacyą o Koreckim, przytoczony wyżéj poseł angielski *Roe*, w liście z d. 27 czerwca 1622 r. w następnych słowach:

„Nie mogę wysłać niniejszego listu, żebym w nim nie doniósł o nowym okrutnym postępku barbarzyńców. *Dziś rano* książę Korecki jeden z panów polskich przez J. Kr. Mość (Jakóba I) zaleconych, który przedtém wymknął się

był na wolność po dwuletniéj znowu niewoli, w więzieniu zamordowanym został. Wszystkich to nas srodze oburzyło; ani celu w tém, ani polityki nie widzę, oprócz popędu dzikiéj zapalczywości. Pragną tu zgody, a nową dają przyczynę do zerwania pokoju, gdyż uwolnienie więźniów jest jednym z jego warunków *(w traktacie Zbaraskiego)*. Czy sądzili, że przez bojaźń o pozostałych przyspieszą zawarcie traktatu lub czy nie mieli jakiego o nim podejrzenia *(wspomnieliśmy wyżéj o wypłynieniu Kozaków na Czarne morze)*, albo téż *czy go nie zdradzili swoi* daniem do zrozumienia, że jego burzliwy umysł nie ścierpi długo pokoju; trudno odgadnąć... Chciéj panie rozważyć, kończy swój list do lorda admirała, i przedstawić to J. Kr. Mości, który także skrzywdzonym został: *raczył bowiem wstawiać się za Koreckim i już miał dane przyrzeczenie;* ale tu nikt nie myśli o dochowaniu wiary" (1).

Na rozmaite, jak widzimy myśli, co do tego strasznego mordu w więzieniu naprowadza nas nader wiarogodny świadek, albowiem prawie katastrofie obecny. Trzeba było rozjątrzenia do najwyższego stopnia, ażeby odjęcie to życia nie miało się było stać pogróżką jedynie, dla wymuszenia tém prędszego zawarcia pokoju. Pomimo dumy więźnia i pogardy okazywanéj strażnikom swoim, jeszcze owi siepacze bez skazówki z wyższego miejsca, bez wyraźnego hatyszeryfu nawet, w prostym popędzie dzikiéj zapalczywości, nie mogliby popełnić czynu samowolnego. Jeśliby to było dziełem żołdactwa, które na kilka tygodni przedtém (d. 7 maja 1622 r.) szukało w tych siedmiu wieżach Osmana, już ten szał fanatyzmu mijał; zresztą nie na jedynym wyjątkuby poprzestało, w swéj mocy mając tylu innych. Trudnoby znowu którego z ziomków Koreckiego (z liczby których wiemy o niezgodzie jego z *Wolmarem Farensbachem*, ale jeszcze w turmach Sylistryi, gdy oba razem siedzieli, przez hetmana Koniecpolskiego uspokojonéj), o tak czarny charakter posądzać, by podniecać miał barbarzyńców do wykonania tak krwiożerczego postępku; gdyby nawet w zapomnieniu gniewu odezwał się z podobną myślą,

(1) Zbiór Pamiętników J. U. N. T. V, *(wypis z instrukcyj danych kawalerowi Sir Thomas Roe)*.

albo nie dowierzał, że mogliby się posunąć do takiéj ostateczności. Z owego miejsca wszakże, z którego dawano rozkazy, chociaż krwawy *Giurdżi* był wielkim wezyrem na oną dobę, nie mogły być pominięte tak wysokie wstawiennictwa, o których w listach świadków obecnych jest wzmianka; jeżeli inne okoliczności nie byłyby dostatecznemi wstrzymać od popełnienia czynu, który obrażał prawa wszystkich narodów. Za wezyrstwa Mere-Hussejna zapewneby do tego nie przyszło.

O podnietach do odjęcia życia mężowi burzliwemu, który nie miał ścierpieć długiego pokoju, podnietach, mówię, ze strony własnych rodaków, natrąca nieco wprawdzie nowy wezyr *Hussejn* w traktowaniu ze Zbarazkim; ale przypisuje raczéj obyczajem wschodnim ten wypadek fatalizmowi: *że Korecki nie żyje, znać przeznaczenie tak chciało* (1)!

Smutne przeznaczenie: w przeciągu lat kilkudziesięciu, ponowił się jeden po drugim sztraszny widok kaźni, domierzonéj przez barbarzyńców na dwóch bohaterskich niewolnikach z naszego narodu. *Dymitr* mocuje się z życiem przez dwa dni na haku u skały zawieszony: *Samuela* zgon miał być krótszy, lecz w niemniéj okrutny sposób na nim domierzony. Opisuje nam jego szczegóły Niesiecki, wsparty zapewne na takich źródłach, jak odwołanie się do *Janczyńskiego*, co do bytności Koreckiego w Rzymie; któryto Janczyński osobistą miał się zalecać znajomością z bohaterem. Szczegóły te są, iż był ciągniony z dolnéj wieży na górę; iż gdy na zaduszenie jego postronki zarzucić chciano, bohater nasz miał tyle przytomności i odwagi, iż umknąwszy się na bok, wydarł nóż (attagan czy kindżał?) jednemu z oprawców, bronił się długo, kilku śmierć nawet zadał, dopiero przemocy w końcu uledz był zmuszony. Czerpał zapewne wiadomość swą Niesiecki wprost z podań miejscowych, które się do dni naszych w ustach wołyńskiego ludu powtarzają. Szkoda, że nie w każdym względzie zgodzić się możemy na charakterystykę tego pisarza, na jaką u spółczesnych swych zasługiwał.

Określa go np. *Albertrandi* w swoim przekładzie *dziejów polskich* ze Szmita r. 1766: „Kasper Niesiecki S. J. *ge-*

(1) Tychże Pamiętników T. II, *(poselstwo Krzysztofa Zbarazkiego, przez Samuela Kuszewicza).*

nealogista sławny i krytyk doskonały, jako się z piérwszéj części jego ksiąg pokazuje † 1743" (1). Wytłumaczyliśmy się z niedowierzania w doskonałość jego krytyki historycznéj już wyżéj. Tu co do rzetelności opisu ostatnich chwil męża byłoby do nadmienienia, iż gdy mu ułatwił znowu przez przekupienie straży, widzenie się z kapłanem kotolickim i przygotowanie na śmierć, musiał mieć przekonanie: iż śmierć ta nie była skutkiem napadu nagłego i mordu, ale raczéj na mocy jakiegoś wyroku, o którym nikt w Stambule nie wiedział, wymierzyć się mająca. Są przykłady w dziejach Turków, iż przeznaczonym na śmierć dozwalali dzień jeden przed zgonem przepędzać na wolnéj stopie pomiędzy strażą; ale tu znowu walczy z tém opis gwałtownego obejścia się i jakby nierozmyślnego postanowienia. Jak można poprzestać na takich objaśnieniach z sobą sprzecznych?

Przychodzi nam w pomoc daleko prawdziwsze świadectwo, albowiem w tejże ciemnicy uwięzionego hetmana polnego *Koniecpolskiego*. Ten przed wykupieniem jeszcze swojém był świadkiem, jak Turcy udławili Koreckiego na sali więźniów w Jedykule, założywszy mu ręczniki na szyję. „*Deus parcat* tym, mówi opowiadacz rodowodu Koniecpolskich (2), co tego przyczyną. Ta *fama* była, że go praktyka polska zjadła: na szwagry szemrano... Ciało jego za staraniem Stanisława Koniecpolskiego, na Gałacz wzięli ojcowie Franciszkanie; a gdy już był na woli tenże, kazał Włodkowi *(słudze swemu, który przybył z poselstwem Zbarazkiego do Carogrodu)*, „aby nałożył z Franciszkanami o ciało nieboszczyka księcia Koreckiego, ażeby je w wóz włożył i do Polski wywiózł." Przyłożono je namiotami, kobiercami w wozie, co ich w Stambule nakupiono, i pod imieniem Ormianów polskich wywieziono w karawanie. Turcy dostrzegli to, że ciało Koreckiego wzięto, donieśli to Hussejnowi; on uśmiechnąwszy się, rzekł: „Wszak on z nami i żywy mieszkać nie chciał (bo będąc

(1) Str. 331, pomiędzy uczonemi i wsławionemi ludźmi za Augusta IIIgo.

(2) W dziele *Pamiętniki o Koniecpolskich* wydanem przez Stanisława Przyłęckiego r. 1842 we Lwowie, oddział III pod napisem *Rodowód Koniecpolskich*, opowiadany przez Zygmunta z tego rodu, sędzię województwa sieradzkiego, jest źródłem do którego się odwołujemy.

przedtém w temże tam więzieniu, uciekł był ztamtąd) niech i po śmierci trup jego tu nie leży." Opowiadanie to zgadza się z pieśnią Twardowskiego:

..... za dziwną fortuną,
Koreckiego w obiciu ułajono z trumą:
Kości się użaliła niezbędna i ciała,
Gdy żywemu ojczyzny oglądać nie dała.

Wersyą co do uwiezienia ciała Koreckiego w *Niesieckim*, różni się tém, że nie wspominając mu posług przez Koniecpolskiego oddanych, wysyła je ukradkiem w worku smołą oblanym, pod czujnością Włodka, o którym coby zacz był nie powiada. A tak rzecz jakby piąte przez dziesiąte zasłyszana, traci u niego jeszcze na tym kolorycie wiernym, że przyjaźń takiego męża poza grobem nawet wielkiemu wojownikowi towarzyszyła. A nie rzuca to bynajmniéj cienia na sprawę, któréj bronił Korecki. Przypuśćmy, że, jak tam inni tłumaczą, przegróżkami zemsty, nieostrożnie wymawianemi w obec Turków, którzy u nich w wieży bywali, ściągnął na siebie tę wściekłą ich zajadłość, kończącą się spełnieniem morderstwa. Lecz w ogólności obszerne jeszcze do domysłu zostało pole: czy za surowo odparł na projekt poturczenia się, i dał powód do barbarzyńskiego okrucieństwa; czy inna tego może być naznaczona przyczyną? Na tym jednym z mnogiéj liczby jeńców kara śmierci wymierzona, każe się domyślać, że ciężkim był wrogowi powszechnemu taki mściciel jeszcze żywy. A gdybyśmy téż utrzymywać za rzecz niewątpliwą mieli z *Naruszewiczem* (1), że Kozacy wpadłszy r. 1621 około Białogrodu, gdzie się ściągała ciężka artylerya turecka i rozgromiwszy lub wysiekłszy Turków, udali się potém ku Stambułowi, po części z wojsk wypróżnionemu: nie rzucałożby to także pewnego światła na fakt rozmaitym tłumaczeniom ulegający? Dodaje wszakże historyk, że wpłynąwszy na Bosfor *zburzyli Jedykulę*, w tém rozumieniu, że księcia Koreckiego, wziętego dawniéj po cecorskiéj klęsce, oswobodzą. W tém świadectwie Naruszewicza możebyśmy zakwestyonować mogli datę (r. 1621): byłoby to albowiem w czasie, kiedy Korecki żył jeszcze (zamordowa-

(1) W przypisku do księgi V *Historyi J. K. Chodkiewicza.*

ny dopiéro d. 27 czerwca 1622 r.). I o zburzeniu Jedykuły z żadnych się innych świadectw nie potwierdza. Jest w tém coś niedokładnego, jakby rodzaj wieści bez dalszego rozbioru w obieg puszczonéj. Jeśli co właśnie tak trwałego najpóźniejszych czasów Muzułmanie mieliby w swéj stolicy do przytoczenia, to jednę z dwojga sławnych rzeczy— Jedykułę. Możemy tu właśnie powiedzieć z podróżnikiem obecnéj pamięci, co do tego przedmiotu; „zwycięzcy Paleologa, jak gdyby chcąc zostawić dowód piśmienny swojéj cywilizacyi, przyswoili tylko i zachowali od wstrząśnienia czasu przybytek ś. Zofii i Siedm Wież: *kościół i więzienie!* Oto co mówiącego zostało jeszcze z miasta Konstantyna w Stambule"! (1). Więc ani w dacie wspomnianéj, ani późniéj, ta zemsta ludu przywiązanego do wsławionego w swym czasie wojownika literalnie spełnioną być nie mogła. We wszystkich naszych domysłach, zdajemy się wpadać na przyczyny prawdopodobne: ale śmierć ta gwałtowna została zagadką, wyjąwszy, że może nieco zawiść spółczesną, któréj doświadczał aż do tego momentu, uśmierzyła. Ostatnie téżto jest imię prawdziwie znamienite w rodzie Olgierdowiczów na Korcu. Za panowania Jana Kazimierza połyśnie jeszcze jako gwiazdka schodząca z widokręgu, ostatni potomek męzki z tego domu po Janie Karolu, Samuel Karol. Słusznie oddadzą mu pochwałę dzieje, czyto za waleczne odznaczenie się pod Korsuniem, czy pod Zborowem. Ale jak powiedzieliśmy, jestto już gasnące światło rodziny. Odmienne wreszcie są czasy: pułki zadnieprskie, które stanowiły siłę jego stryja, już teraz po stronie przeciwnéj walczą. Ostatni z książąt Koreckich od własnych poddanych oblężony na zamku w Korcu, zaledwie z życiem uchodzi (2).

W gruzach téż dzisiaj leży i zamek korecki, dzieło pięknéj architektury ze schyłku XIV wieku; w r. 1834 pogorzały, który swą wieżą panującą w okolicy, przypominał powołanie swych panów, stania na czatach przeciwko wrogom, co kraj ich ojczysty aż u tych granic pustoszyli.

Przy zamknięciu pracy naszéj, gdy to, co się dotąd powiedziało obejrzymy, czujemy jeszcze ciągle potrzebę

(1) Alphonse *Royer*: *Aventures de voyage* 1837. Tom I. p. 234.
(2) Historya panowania Jana Kazimierza z rękopismów nieznajomego, wydana w Poznaniu r. 1840, zawiera te szczegóły.

rozwinięcia naszego zarysu. Tu zwrócić staraliśmy się uwagę, jak częste w niepewném i prawdziwém świetle przedstawione fakta na kartach dziejów naszych napotykamy; ile błędów znajduje się ciągle w przytoczeniu imion, ile nieporządku w następstwie lat i zdarzeń; jak wreszcie z lekceważeniem dotknięty przedmiot przez jednego z pisarzy, przechodzi łatwo bez poprawki w prostém przepisaniu do innych i w pyle się poniewiera. Zachęty godni ze wszech miar artyści, bądźto pisarze na tle powieści, bądź twórcy poematów, bądź malarze do wydostania z niepamięci drogocennych przedmiotów. Nie pomijam i malarzów. Wszakże nie mamy nawet dochowanych rysów tego księcia, wyjąwszy portret dawny w kościele niegdyś Franciszkanów w Korcu znajdujący się, na którym napis w otoku:

Clara ducum soboles, Olgerdi sanguine cretus, ect.

Fizyonomia marsowa, rysy wyraziste, okrągłe, wąs tylko mały, pokrętny, oczy czarne, włosy postrzyżone; na zbroi wstęga i płaszcz gronostajami podbity, w ręku buława, godło dowództwa, jakie miał powierzone.

I oprócz postaci męża, jeden zaledwie z naszego czasu malarzów dotknął widoków Korca, między temi ruin zamku i klasztoru Bazylianów (rysował do *Album Wileńskiego* z natury Józef Wilczyński, lith. par J. Jacottet, fig. par Bayot).

Nie masz w tém wierności wprawdzie, jakkolwiek w widoku robionym niby z natury. Zamek np. stoi tu nad jakąś rzeką spławną, a flisy z tratwą u stóp jego w podróż się wybierają. Byłażby to mała rzeczka Kurczyk, nigdy od wieków za spławną nieznana? Góra zamkowa od farnéj góry, o ile wiemy, stawem jedynie była przedzielona. Mur otaczający stanowił siłę.

Pierwéj jednak w ogólności nauczyciele nie powinni w obieg puszczać wiadomości nieprzetrawionych, uczniowie ślepo na wiarę mistrzów powtarzać. Choćby powagi prawa dosięgły błędne podania, dlatego, że przez poważnych historyków były ogłoszone, faktami zwalczone być powinny. Idzie tylko o wydostanie na jaw jak największéj liczby faktów, i w oczach krytyki ścisłe ich z sobą zestawienie.

PIEŚNI UKRAIŃSKIE (*).

I.

DUMA O PIETRZE KONASZEWICZU SAHAJDACZNYM.

Tę dumę o słynnym na Ukrainie hetmanie pod nazwiskiem Sahajdacznego, udzielił mi p. Szew... W poprzednim moim zbiorze (w Athenaeum J. I. Kraszewskiego) stawiłem pod Sahajdacznym inną dumkę, która wszakże z życiem tego wodza Kozaków związku nie miała.

Proszczaj bat'ku Atamane!
Proszczaj miłyj Pane!
Oj! ty Petre Sahajdaczny
Zaporozkyj hetmane!
Na szczoż ty nas pokydajesz?
Czym śia ty nużdajesz?
Umremo my wsi za tebe,
Sam to dobre znajesz.

Czyż ty szcze nas ne zaznaw
Jak hetmaństwo tryczi braw:
Wiw nas w more, w suchoput!
Szczob po switu sławu maw.
Spohlań, spohlań Sahajdaczny!
Na tamtoj czas neopaczny;
Kilkyś to bid perebryw,
Jakeś wywiw dywo z dyw.

Hlań na more, czorne more,
Czajka jomu hrebet pore;
W czajci Kozak piśń śpiwaje,
Na hetmana spohladaje.
I wesoło Kozakowi,
Hladyt w oczy hetmanowi,

(*) Udzielone przez księdza Erazma Izopolskiego z Białej-Cerkwi.

Szczo de swoich powode,
Sława, dobycz tam bude.
Nechaj basza Ibrahim,
Wede na nas wsich wrahiw,
Werne nazad neobaczny
Skoro z namy Sahajdaczny.

Spohlań pane! w kraj Mołdawy,
Aż po Dunaj step krowawy,
Tam ty pane Petruseńku!
Krow turecku rumianeńku,
Po wsim stepu poływaw,
Szlach Turkamy zastelaw,
Jak do domu powertaw.
Oj! spohlań no Sahajdaczny!
Na toj to czas neopaczny,
Koły wsiujuś Ukrainu,
Wiw za Lachiw w Tureczczynu,
Ponad Dnistrom pid *Chotin* (1):
Ta nech sobi Laćki pany
Senatory i korol,
Na czwaniatśia do woli,
Pobiduju Bisurman.

U nas sława ne takaja,
Zaporozka, kozackaja,
I my z swoim hetmanom,
Czwanytyśia ne stanem:
Turok o nas dobre znaw,
Czerwińciamy na daraw,
Smerteju lakaw,
Do sebe manyw!
A na piskach Chotima,
Spisał naszi imena
Krowiu swoju *Karakasz*,
Zaporozkyj suwsid nasz!

II.

Łynuw sokił, łynuw w chmary,
Ta kraczut worony.
Ne zaznaje Kozak szczastja,
Ta czerez worohy.

Łynuw sokił, za nym w chmary,
Hałycz (2) nezibjetśia;

(1) Pod Chocim 1621 r.
(2) Kawki, gawrony.

Ne zaznaje Kozak szczastia,
Mołod wik mynetśia.

Ne żury śia kozaczeńku!
Harazd (1) tobi bude.
Ne wsiż tobi woroneńky,
Oj! ta ne wsiż lude.

I sobaki choć wsi breszut (2),
No ne wsi kusajut,
Ne wsiż lita mołodeńki
Marne propadajut.

Zakraczały za sokołom
Worony, ne orły;
Szczej do tebe kozaczeńku!
Szczastia sia prychorne.

Szczo po kwitci koły jeju
Prymorozyt hołod,
Szczo wże meni po tym szczaśti,
Jak myne wik mołod.

(1) Dobrze, wesoło.
(2) Szczekają.

PRZEGLĄD MUZYKALNY.

PRZEZ

M. K.

I. Muzyka u nas i przyczyna powolnego jéj wzrostu. — Postęp muzyki w Niemczech. — Historya rodziny Bachów. II. Rys historyczny muzyki w dawnéj Polsce.

I.

Ktokolwiek tylko śledził bieg życia społecznego w naszém mieście, ten zapewne dostrzegł, iż jedną z główniejszych sprężyn nadających nieraz większy popęd temu biegowi, jest *muzyka.*

I nic dziwnego: muzyka wsiąkła w obyczaje dzisiejszego społeczeństwa tak dalece, że nawet stała się warunkiem koniecznym wychowania, zająwszy niepoślednie miejsce pomiędzy innemi umiejętnościami; a które w swéj pysze mając się za coś większego i poważniejszego do niedawnego jeszcze czasu, nie dopuszczały jéj do swego grona. Proszę mi pokazać choć jeden dom w Warszawie, w kraju nawet, gdzieby muzyka nie była uprawianą, obok innych nauk wykładanych młodym, kształcącym się pokoleniom, nie wyłączając nawet i szkół publicznych.

Do niedawnego nawet czasu uważano u nas muzykę jako zabawkę, jako środek służący raczéj za chwilową rozrywkę, niż przedmiot poważniejszego zatrudnienia kształcący serce, rozum i obyczaje. Dopiéro wielcy artyści pojawiający się w naszych czasach, dokonali tego, działając bezpośrednio siłą swego talentu na społeczeństwo, i rozbudzając w ludziach sztukę doprowadzoną do najwyższéj potęgi, nowe dotąd dla nich uczucia.

Brak zupełny zakładów naukowo-muzycznych jest najważniejszą przyczyną, że dotychczas tak mało postąpiliśmy w wy-

kształceniu muzykalném. Zbyt krótko trwające konserwatoryum warszawskie, nie było w stanie ziścić nadziei, jakie od téj instytucyi sobie obiecywano. Nawet nadzwyczajne talenta wielu rodaków, nie mogą przynieść stanowczych korzyści: gdyż wszystko to jest rozpierzchnięte lub pod wpływem trudnych zostające okoliczności. Zresztą, my nie mamy rodzin, w których łonie muzyka idąc od pokolenia do pokolenia, tradycyjnie się przechowuje, jak to się dzieje w Niemczech. Dlatego nawet i burze polityczne przechodzące ponad krajem, a przed któremi sztuki piękne kryją się spłoszone, nie mogą tyle szkody wyrządzić tam, jak w innych miejscach. Dla przykładu przytoczę tylko familią *Bachów*, która przez lat dwieście prawie, wydawała wielu bardzo artystów piérwszego rzędu. Głową téj sławnéj rodziny był *Veit Bach*, piekarz w Presburgu, lecz zmuszony opuścić to miasto w połowie XVIgo wieku z powodu protestanckiego wyznania, udał się do Sax Gotha, i osiadł w wiosce nazwanéj Wechmar: tam się trudnił młynarstwem. W chwilach wolnych od zatrudnień śpiewał przygrywając sobie na gitarze. Miał dwóch synów, w których zaszczepił zamiłowanie do muzyki, i od nichto poczyna się szereg znakomitych muzyków tegoż imienia, którzy w Turyngii, Saxonii i Frankonii przez dwa wieki prawie, piastowali berło muzyki. Każdy z nich był albo kantorem parafialnym, organistą, albo w mieście trudnił się muzyką. Lecz rozrodziwszy się, trudno im było wyżyć tak blizko siebie; więc rozeszli się na różne strony Niemiec, ułożywszy pomiędzy sobą, iż dla zachowania węzła patryarchalnego, bez którego ta rodzina obejść się nie mogła, raz na rok, w dzień oznaczony, zbiorą się wszyscy razem w miastach Erfurt, Eisenach lub Arnstadt. Zwyczaj ten trwał do połowy XVIII wieku, i wiele razy widziano aż do stu muzyków imienia Bach, mężczyzn, kobiét i dzieci zebranych w jedném miejscu. Jedyną rozrywką ich były exercycya muzyczne: zaczynali zwykle jaki hymn religijny na chór, poczém brali śpiewki powszechnie znane, i robili z nich waryanty, improwizując na cztery, pięć lub sześć głosów. Takimto improwizacyom dawali nazwę *Quolibetów*. Mieli oni także zwyczaj zbierać w jednę kollekcyą kompozycye wszystkich członków rodziny, i to się nazywało *Archiwum Bachów*. Charles-Philippe-Emmanuel Bach, posiadał ten ciekawy zbiór, ku końcowi XVIIIgo wieku: przeszedł on później w ręce Jerzego Poelchau w Berlinie

w roku 1790. Wiele innych rodzin lubo nie tak sławnych, przyczyniło się wielce do rozwoju sztuki muzycznéj w Niemczech, jakoto: Benda, Kellner, Kleinknecht; i taką jest jeszcze dzisiaj familia Bohrerów, znana po części i w Warszawie.

Tymto sposobem muzyka uprawiana, opiera się w postępie swoim najnieprzyjaźniejszym nawet okolicznościom.

U nas lubo muzyka także przez niektóre rodziny lubioną i pielęgnowaną była, nigdy jednakże długo zamiłowanie do niéj nie przechowało się w jednéj familii.

Uboga szlachta, która zwykle trudniła się muzyką w miastach lub po dworach możniejszych panów, zajmowała się nią więcéj z potrzeby jak z zamiłowania prawdziwego. Ubogi szlachcic wstydził się trudnić rzemiosłem, gdyż to w przekonaniu ówczesném, ubliżało klejnotowi szlacheckiemu; więc brali się do muzyki i nie źle na tem wychodzili. Bo czyto w miastach przygrywając w kościołach, czy mieszczanom możniejszym, którzy lubili i uprawiali muzykę, czego dowód znajdujemy w Skarbniczce Archeologicznéj Ambr. Grabowskiego, łatwo było o zarobek: a bogaci panowie utrzymujący kapelę, starali się o najlepszych muzyków krajowych i zagranicznych (1). Lecz rzadko syn po ojcu trudnił się tym kunsztem: już syn lub wnuk wracał do roli, gdy tylko z uzbieranego przez ojca grosza mógł sobie kawał gruntu nabyć; a wielkie kapele z ogromnym kosztem po dworach utrzymywane, najczęściéj przez spadkobierców rozpuszczane były.

Ażeby dać choć małe wyobrażenie szanownym czytelnikom o muzyce w dawnéj Polsce, ośmielę się, chociaż bardzo niedokładny i w drobnym zarysie szkic historyczny, ich uwadze przedstawić.

II.

Nim muzyka została tém, czém jest dzisiaj w naszém społeczeństwie przez pośrednictwo obcego, a szczególniéj włoskiego na nią wpływu, mieliśmy ją własną, czerpaną w czystém

(1) Liczne są dowody, iż muzyków z wyższemi zdolnościami królowie nasi przyjmując do swéj kapeli, obdarzali licznemi dobrodziejstwami, nadając im pewne przywileje, własność lub dożywocia; i tak naprzykład Stefanowi Heraud (S. R. Maj. organarius....) król Stefan Batory naznaczał mu dożywotni dochód z młyna królewskiego w Wilnie i t. d. (Skarbniczka arch.).

źródle pierwiastku narodowego, a który i do dnia dzisiejszego pozostał prawie nieskazitelny w swéj pierwotnéj prostocie pomiędzy ludem.

Wszystkie niemal zwyczaje i obrządki sięgające nawet czasów przedchrześciańskich, dochował nam lud w swych pieśniach; każdy ważniejszy wypadek krajowy, czyto smutku, czy radości, miał zaraz swoich śpiewaków; po każdym znaczniejszym mężu, którego czyny, cnoty lub zbrodnie napełniały kraj rozgłosem, lud przechowywał pieśnią przechodzącą z ust do ust, z pokolenia do pokolenia. Wiele z tych pieśni przechowało się mniéj więcéj w pierwotnéj swéj prostocie aż do naszych czasów (1). Naród polski przyjąwszy wiarę chrześciańską, pozaprowadzał zakony Cystersów i Benedyktynów; a że duchowni tych zakonów byli cudzoziemcami, i pod ich kierunkiem przez długi czas wszelka oświata zostawała: przeto w szkołach przy klasztorach pozaprowadzanych, uczono także i pieśni nabożnych. Pieśni te, tak jak i oni z obcych stron do nas przybywszy, śpiewane były po łacinie, nim tekst ich późniéj przerobiono na język ojczysty: ponieważ znaczna liczba księży była pochodzenia czeskiego, przeto ich pieśni dla blizkiego powinowactwa języka, łatwiéj się popularnemi stawały. Pieśń o Boga Rodzicy, śpiewana przez rycerstwo polskie, aż do Zygmunta III czeskie ma pochodzenie; i do dnia dzisiejszego jest śpiewaną przez lud pobożny przy niektórych kościołach w Wielkiejpolsce (2).

Kraj nasz przebiegały tłumy pątników, rybałtów, lirników, dudziarzy, żaków szkolnych i t. d. Onito chodząc od strzechy włościanina do chaty szlachcica, a ztamtąd na dwory i zamki potężnych panów, wtórowali swym instrumentom pieśnią nabożnéj lub światowéj treści. Imto winni jesteśmy dochowanie najdawniejszych pieśni historycznych i najpiękniejszych ówczesnych poezyj. Bylito, jak Wójcicki powiada (Gawędy str. 228) „prawdziwi apostołowie, co przychodzili ode wsi do wsi, od dworu do miasta nauczając pieśni i nuty" (3).

(1) Dziwna nieraz piękność tych melodyj wprawia w zachwycenie i zdumienie. Zdarzyło mi się słyszeć na Ukrainie śpiew mający nadzwyczajne podobieństwo do znanéj Romanesci z XVI wieku wydanéj na wiolonczellę przez Servai'go, a może, jak mnie się zdaje, pięknością nawet ją przewyższa.

(2) Po bliższe w tym przedmiocie szczegóły odsyłam czytelnika do artykułu p. Sikorskiego, drukowanego w Księdze Świata pod tytułem: Splecenie muzyki z życiem dawnych Polaków.

(3) Byłoby to rzeczą nadzwyczaj interesującą, gdyby można wszystkie pieśni dzisiaj jeszcze przez lud nasz śpiewane, ułożyć sposobem

Starowolski w pismie swém Contra obrectat Pol. mówi, iż starzy nasi przodkowie Sarmaci we zwyczaju mieli, podczas biesiad opiewać mężne bohaterów czyny i siebie do nich zachęcać. Na dworach królów naszych utrzymywano muzykę z wielkim kosztem, a i sami monarchowie nią się zatrudniali. Trzymając się pewniejszych śladów w tym względzie, widzimy iż Zygmunt August w muzyce był biegłym niepospolicie. Ztąd téż w Krakowie już w XV wieku muzyka była bardzo upowszechnioną. Księga *Liber juris civilis*, jak nas zapewnia Ambroży Grabowski, „od r. 1493 pokazuje wielu przyjmujących prawo miejskie przy których imieniu chrzestném dodane jest *Citharedа*. W piérwszéj połowie tegoż wieku mieszka na Kazimierzu wielu takich grajków, do których imion dodają *Lutnista*." Widać, iż liczba muzyków późniéj musiała być bardzo znaczną, gdyż stanowili osobny cech, a nawet posiadali bramę w Krakowie, nazwaną bramą Muzyków. W lada szlacheckim domku bywał trzymany bandurzysta lub do lutni Węgrzynek; a panowie oprócz tego utrzymywali na swych dworach kapellę, do któréj aż z Włoch sprowadzali muzyków. Niektórzy z nich, zwłaszcza symfoniści (tak zwano tych, co więcéj nad tańce grać umieli) prócz żywności rocznie do 6,000 talarów płatnemi byli (1).

Myszkowski Zygmunt marszałek N. K. miał wyborną kapellę, ile iż sam był biegły w muzyce, a za odstąpienie królowi kilku z swych włoskich muzyków, starostwo otrzymał. Mikołaj Wolski marsz. nad. kor. miłośnik nauk i sztuk wyzwolonych opiekun, ściągnął do kraju najlepszych w owych czasach muzyków na dwór Zygmunta III. Kochał się ten poważny monarcha w muzyce, bo i sam ją umiał, a nawet drogo sobie za nią kazał płacić. Razu jednego, gdy król grał w swym pokoju na klawicymbale, mając przed sobą tak urządzone zwierciadło, iż wszystko mógł widzieć co się poza nim działo; przysłuchiwała się dworska młodzież w drugim otwartym pokoju. Z téj jedno

chronologicznym z wykazaniem i odróżnieniem nuty ludu prostego od nuty biorącej swój początek w stanie szlacheckim i t. d. Niezawodnie wiele obcych, a mianowicie czeskich pieśni światowych upowszechniło się między ludem co dowodzi tożsamość nuty niektórych. w jednym i drugim narodzie; jako téż i odmienność stylu, jakiego zwykł lud używać do swoich, a szlachta do swoich pieśni. Zapewne byłaby to praca nadzwyczajna, i wymagająca wiele zdolności od człowieka chcącego się jéj poświęcić lecz przysługa na niwie muzyki i literatury narodowéj byłaby również ogromną. Zdaje mi się, że Oskar Kollberg, niezmordowany zbieracz pieśni ludowych, byłby do tego najzdolniejszym.

(1) Siarczyński Obraz wieku Z. III.

pacholę zacnego domu, mimo iż mu to drudzy odradzali, do dźwięku grającego króla ciszkiem skakał. Zygmunt III, który był obyczajów nadzwyczaj poważnych i surowych, nie mógł znieść najniewinniejszéj nawet pustoty; więc gdy w zwierciadle to spostrzegł, nic nie mówiąc grać przestał. Wkrótce gdy ten młodzieniec króla o dzierżawę prosił, i otrzymać ją spodziewał się: „Nie, rzekł król, mieć jéj nie będziesz. Trzeba abyś nią zapłacił muzykowi, który ci niedawno do wesołych skoków przygrywał." Tak królewszczyznę za skoki utracił (1). Z instrumentów używanych pospolicie w owe czasy, były kobzy, dudy, lira, gęśl, bandura, teorban, i t. d.; lecz z wprowadzeniem do kraju obcych muzyków, weszło z nimi i wiele instrumentów, które pomału zgubny wpływ na swojskie wywierały. Już w XVII wieku skrzypce i cymbały doszły piérwszeństwa pomiędzy innemi. Górnicki wymaga, ażeby dworzanin jego, oprócz języków i pisma był muzykiem: iżby albo śpiewać albo grać na lutni umiał. A jak w inném miejscu tenże pisarz powiada, (Rozmowa) młódź słano do Włoch dla uczenia się dobrego grania na tymże instrumencie.

Szanowna i poważna Akademia krakowska, posiadała w swym gronie nauczycieli i mistrzów do nauczania muzyki (2). Za Zygmunta III zaczęło się rozmnażać w wielu miejscach tak nazwane *bractwo literackie*, a szczególniéj w Krakowskiém i na Rusi Czerwonéj: stowarzyszenie to, którego ślady już w XIV wieku napotkać można, zawiązała pobożność; do niego zaś przypuszczanemi byli tylko ludzie pismienni, umiejący czytać, *literati*; dlatego tak nazwane było. Bartłomiéj Zimoricz, który lwowskiemu związkowi literatów dzieło swe: *Viribus illustribus civitatis Leopoliensis* przypisał, mówi o niém: iż trwał za jego czasów związek ten ku rozmnożeniu światła i pobożności; iż w tém gronie połączeni najznakomitsi obywatele dowodzili, że razem dobremi i uczonemi ludźmi być można. Oni zwłaszcza w zimie wykonywali muzyczne na rozmaitych narzędziach ćwiczenia. Oni wyżsi nad ciemny lud pospolity, kształcili obyczaje współziomków, wspierali ojczyznę radami, miasto budowlami zdobili. W rękopiśmie Komonieckiego, *Chronographia Żywca* jest pod r. 1608, iż do tego miasteczka bractwo

(1) Siarczyński Obraz wieku Z. III.
(2) Siarczyński tamże.

literatów wprowadzone było; a iż nie inny był jego obowiązek, jak tylko aby w święta i niedziele msze ranne chorałem śpiewane były (1). Ten sam zwyczaj i do dzisiejszego dnia jest w Warszawie zachowany, i te msze literackiemi są zwane. Z owych czasów Mikołaj Gomułka zostawił nam melodye pisane na cztery głosy, do 150 psalmów, tłumaczenia Jana Kochanowskiego: musiał ten znakomity muzyk wiele innych dzieł pisać, bo po wydaniu wzmiankowanego Psałterza żył jeszcze lat 29; lecz gdy w owym czasie nie było tak upowszechnione sztycharstwo nut jak dzisiaj, po upadku przy kościołach i klasztorach utrzymywanych bursów, czyli szkółek śpiewu, a z temi i kościelnéj muzyki, zapewne w niepamięci zaginęły (2). Mikołaj Gomułka urodził się około roku 1564, a zmarł dnia 5 marca 1609 r. w Chorawli, jak świadczy napis grobowy w Jazłowcu.

Na teatrach w dawnéj Polsce, a których ślady już w roku 1194 znajdujemy, śpiewano pieśni z chórami; czego dowodem, iż w 1206 roku na publicznym teatrze wystawiono sztukę dramatyczną w obec Przemysława, o śmierci Ludgardy żony jego, i śpiewano mu na hańbę, jakim ją sposobem zamordował. Pod panowaniem następnych królów, teatr, w którym pomimo zakazu i duchowni wielki udział brali (później tak nazwane dyalogi przez nich głównie, zwłaszcza przez Jezuitów dawane były); wzrastał w świetności i znaczeniu doskonaląc się stopniowo. A już za Władysława IV wystawa sceniczna doszła do wysokiego stopnia okazałości i przepychu. Za tegoto króla, dano w r. 1637 po koronacyi piérwszéj jego żony *Cecylii Renaty*, dnia 23 września na zamku, z świetną wystawą po raz piérwszy operę włoską (Recitativa zwaną) o świętéj Cecylii. Wszystkich dziwiła szybka odmiana dekoracyi, gdy teatr nagle zmieniał się, to w pałac, to w grotę, już w pokoik świętéj Cecylii, gdzie ona gra na organach; to znów w morze, w piekło, a na końcu w niebo (3). W owym także czasie znajdujemy piérwszy ślad baletu, podany przez Adama Jarzemskiego muzy-

(1) Siarczyński Obr. W. Z. III.

(2) Śpiewy kościelne dawnych kompozytorów polskich. wydane przez Józefa Cichockiego. Psalmy te drukowane są na sopran, alt tenor i bass, różnemi kluczami odmiennemi od dziś używanych, i bez podziału taktu: chociaż takowy przy początku każdego psalmu jest oznaczony cały, lub trzy-ćwierciowy.

(3) Teatr starożytny. K. Wł. Wojcickiego.

ka nadwornego Władysława IV, w jego opisie o zamku warszawskim: tak on o nim mówi „Następują sceny rozmawiających z sobą, *potém po włosku drgają nogami i skaczą*, to wszystko przy muzyce i klawicymbałach." Zaraz po wyż wspomnionéj operze o świętéj Cecylii, dano świetny i kosztowny balet *żołnierski*, w którym występowały wozy posrebrzane. Kosztował 35,000 złp. ówczesnych, o czém naoczny świadek książę Albrycht Radziwiłł powiada, iż nie podobał się wszakże tyle, co opera, chociaż ta ani połowy tego nie kosztowała. W rok późniéj, przedstawiono sztukę pod tytułem „*Il ratto d'Ellena. Dramma Musicale di Virgilio Puccitelli segretario della Maesta di Polonia e Suezia. Reppresentato in Vilna, e di nuovo in Varsavia Nel Carnavale del* 1638." Drukowane w Warszawie (jak Wójcicki powiada) u Jana Trelpińskiego in 4to; całe dziełko kursywą drukowane.

Tenże sam Virgil. Puccitelli napisał wielką operę, którą w Gdańsku na przyjęcie Maryi Ludwiki Gonzagi, drugiéj żony Władysława IV dawano w r. 1646, wraz z baletem pięciu orłów na powietrzu w takt latających; na każdym z nich siedział Kupidynek. Tymto sposobem za przykładem monarchów i dworu, naród rozlubował się w sztukach teatralnych; świetne ich powodzenie trwało aż do czasów Augusta II. Lecz nieszczęśliwe wojny tego króla z Karolem XII i bezustanne zawieruchy miotające narodem, stłumiły teatra nietylko dworskie i przenośne, ale i po kollegiach. Mała bardzo liczba doszła z tych czasów dzieł dramatycznych. Dopiéro August III, wielki miłośnik muzyki, nadał nowy popęd do tego rodzaju widowisk narodowi. Nie od rzeczy będzie przytoczyć w tym względzie słowa Andrzeja Kitowicza: „Kochał się ten król wielce w orkiestrze, czyli kapeli, do któréj dobierano wirtuozów, śpiewaczek i śpiewaków, w całéj Europie najsławniejszych. Ta orkiestra grała często królowi na jego pokojach w dni galowe, po kościołach, w których się król na nabożeństwie znajdował, i na operach, dobierając do siebie na wspomnione opery i kapele różnych panów, mianowicie Wielhorskiego kuchmistrza litewskiego i księcia Czartoryskiego kanclerza W. Lit.; tak, iż liczba muzykantów grających operę przenosiła sto osób. Te opery wielkie odprawiały się dwa razy w tygodniu; we wtorek i piątek. A lubo dla wielkiego kosztu w odmianie, jedną operę grano

przez pół roku; po staremu, król bywał na każdéj punktualnie, nie tęskniąc sobie w widoku jednéj półrocznéj reprezentacyi. Siedział w loży nieporuszenie przez trzy godziny, a czasem i dłużéj trwającéj opery; i gdy widział operhaus (teatr opery) nienapełniony spektatorem, dziwował się niegustowi polskiemu, iż się nie ubiega do widzenia rzeczy tak wiele delektującéj ucho i oko, darmo, tojest bezpłatnie; któréj widzenie w innych krajach, lud najpospolitszy opłacać nie żałuje. Trzeba bowiem wiedzieć, iż te opery zawsze darmo dawane były: podczas sejmu, lub innych zjazdów za biletami dla dystyngowańszych osób, prócz sejmu lub innych zjazdów, bez biletów dla wszystkich jakiegokolwiek gatunku ludzi.

W dziele pod tytułem „Kraków i jego okolice" jest wzmianka, iż w katedrze krakowskiéj w kaplicy N. Panny, za pomnikiem Kazimierza Wielkiego, jest napis ku pamiątce księdza Grzegorza Gorczyckiego penitencyarza kapeli zamkowéj, majstra i kompozytora, zwanego perłą kapłanów, który zmarł roku 1734. Twory jego muzyczne w pięknym stylu kościelnym nigdy sztychem nieogłoszone, są tego rzędu, że obok najlepszych dzieł nowych mistrzów utrzymać się mogą, i w katedrze krakowskiéj dotąd wykonywane bywają. Z poszukiwań dokonanych na miejscu przez Józefa Cichockiego, pokazało się, że zostało sześć mszy pisanych na cztery głosy w partyturach tego kompozytora, a z tych dwie dostały się Cichockiemu, i takowe wydał w drugim poszycie *Śpiewów kościelnych dawnych kompozytorów polskich.*

Pod panowaniem Stanisława Augusta, tego protektora sztuk i umiejętności, wzrosło zamiłowanie do muzyki. W uroczystość świętego Stanisława, biskup Sołtyk odprawiał wielkie nabożeństwo na Skałce w Krakowie, gdy wtém na Benedictus, rozległ się ponad głowami ludu pobożnego piękny głos bassowy, z niepospolitą umiejętnością śpiewając wspaniałe solo ze mszy Hejdena. Zdziwiony i zachwycony biskup natychmiast rozkazał jednemu z assystujących księży, udać się na chór, i po nabożeństwie sprowadzić do zakrystyi śpiewaka. Był nim niejaki Kratzer, urzędnik przy salinach Bocheńskich, który zajmując się skromném swém urzędowaniem, był zarazem biegłym muzykiem. Odbył on nauki w uniwersytecie wiedeńskim i tam uczył się śpiewu. Biskup poznawszy go bliżéj, wyjawił mu myśl, jaką miał oddawna, założenia Instytutu śpiewaków; jemu

też polecił to uskutecznić, wyznaczywszy znaczne fundusze na utrzymanie młodzieży, mogącéj pobierać wszelkiego rodzaju nauki, a mianowicie muzykę. Mianował Kratzera dyrektorem tego zakładu, i zarazem dał mu zarząd główny wszystkich chórów dyecezyi, z tytułem *Regens Horum* przy katedrze krakowskiéj, z pensyą 12,000 złp. Znakomity ten kapłan miał na celu wykształcenie zdolnych śpiewaków dla muzyki kościelnéj, i do tego zakładu przypuszczone były wszystkie dziatki, posiadające odpowiednie temu wymaganiu zdolności. Instytut ten rozwijając się pod troskliwym zarządem Kratzera, kształcił znaczną liczbę śpiewaków, i w czasie pobytu króla Stanisława w Krakowie, młodzież popisywała się przed tym monarchą: gdyż oprócz kościelnych śpiewów, i światowych się uczyli. Grywano podówczas operetkę pod tytułem: *Filozofowie wrzekomi;* otóż Kratzer wyuczył chłopczyków jednego z niéj numeru, i ci gdy w togach doktorskich występowali śpiewając przed królem, król tak się tém ubawił, iż przez czas jego pobytu w tém mieście, chłopczyki kilkakrotnie wykonywali tę krotofilę.

Za panowania tego monarchy piérwsza opera polska napisaną została pod tytułem *Nędza uszczęśliwiona.* Twórcą muzyki był Maciéj Kamiński, a słowa skreślił Fr. Bohomolec. Występowali w niéj panna Dezner, pani Gronowic, pp. Bogusławski, Bagiński i Harasymowicz. Na oryginale egzemplarza tejże opery, takie jest przypisanie: „Do Najjaśniejszego Króla Jego Mości Stanisława Augusta, Pana mojego miłościwego.

„Panowanie Waszéj Królewskiéj Mości oprócz poprawienia rządu, wskrzeszenia nauk i wprowadzenia różnych kunsztów do kraju, będzie w kronikach narodowych najpiérwszą epochą otworzenia teatru polskiego. Zachęcone protekcyą Waszéj Królewskiéj Mości dowcipy poddanych dokazały tego, że teatrum polskie co do komedyi, z najprzedniejszemi w Europie równać się poczęło. Niedostawało mu jeszcze opery muzyki. JW. ksiądz Fr. Bohomolec, jako piérwszy w Polsce komedye oryginalne pisać zaczął, tak też najpiérwszy wydał operetkę pod tytułem: *Nędza uszczęśliwiona.* Doświadczając sił swoich przydałem do niéj muzykę. Powodzenie onéj tak było pomyślne, a co większa dla mnie, iż Waszéj Królewskiéj Mości aprobacyą pozyskałem; chcąc tedy wieczną zostawić pamiątkę tak oświadczonéj mi w tém łaski Waszéj Królewskiéj Mości, jako i przysługi mojéj, najpiérwszéj narodowi uczynionéj, odważam

się tęż samą operetkę z jak największą pokorą ofiarować Waszéj Królewskiéj Mości, i mnie samego najłaskawszéj oddać protekcyi".

„Dla dopełnienia téj autobiografii, (powiada Wójcicki) dodamy tylko niektóre szczegóły. Słusznie uważanym jest dotąd za ojca opery polskiéj Maciéj Kamiński. Słowak rodem (1) wprowadził w swoje utwory muzyczne nietylko słowiańskie melodye, miłe a dźwięczne, ale i narodowe polskie śpiewy i tańce. On piérwszy ośmielił i ukształcił śpiewaków opery polskiéj; i słusznie z tego mógł się chlubić".

Zostawił on jeszcze wiele innych oper, jakoto, *Zośka czyli wiejskie zaloty*, *Prostota szczęśliwa*, *Balik gospodarski*, *Słowik*, *Tradyty*, i kantatę na odkrycie pomnika Jana Sobieskiego.

Po Kamińskim, Antoni Wejnert członek kapeli dworskiéj królewskiéj pisał muzykę do następnych dzieł oryginalnych: *Skrupuł niepotrzebny*; *Donerweter*, *kapral na werbunku*; *Diabeł alchimista*. Po nim Stefani, także z królewskiéj kapeli komponował muzykę do opery *Krakowiaków* i *Drzewo zaczarowane*.

Gajetano dyrektor tejże kapeli, przysłużył się muzyką do polskiéj opery: *Żołnierz czarnoksięzki*.

Nakoniec Kurpiński, Elsner i Stefani (syn), w swych operach treści narodowéj, przyłożyli się wielce do rozwoju muzyki krajowéj. Ichto już torem idą wszyscy dzisiejsi kompozytorowie, uprawiając, jako kto może, niwę muzyki narodowéj: i chociaż mało jeszcze bardzo na téj drodze postąpiono, lubo jeszcze nie mamy swéj własnéj szkoły jak Włochy, Niemcy i Francuzi; przecież i to co dotychczas zrobili: Kurpiński, Elsner, Stefani, Chopin, Moniuszko, Dobrzyński, Nowakowski, Komorowski, Kolberg i t. d., uważając jako nagromadzenie różnorodnych materyałów do przyszłéj ogólnéj budowy, jest już niepoślednie, a okoliczności i jaki genialny talent dokonają reszty.

(1) Urodził się w miasteczku Oedymburgu w Węgrzech d. 13 października 1734 r.; zmarł d. 25 stycznia 1777 r. w Warszawie (*).

(*) Cmentarz Powązkowski, Wł. Wojcickiego.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

WYSTAWA POWSZECHNA.

V.

Wystawa przemysłowa: rotunda, powozy, zegary. — Produkta Algeryi. Wystawa sztuk pięknych: Ducamps, Conture, Glaize, Gérome, Cogniet, Rodakowski, Müller.

Pomiędzy arcydziełami zgromadzonemi w pałacu wystawy przemysłowéj, wiele znajduje się takich, które pomysłem, wykonaniem, samą nawet niepraktycznością swoją, całkowicie zdają się należeć do rzędu dzieł sztuki. Spotkawszy je w dziale przemysłu niejeden sądzi, że się przypadkiem zabłąkały, i z zadziwieniem dowiaduje się, że te utwory nie przez roztargnienie, ale przez zbyt pedantyczną klassyfikacyą tu umieszczono.

Wszelkie niemal klassyfikacye bywają dowolne; określone z góry, wyjątków nie uznają: ztąd owo zamieszanie między produktami, które nazwą i przeznaczeniem jeszcze do przemysłu, a formą i wykonaniem już do sztuki należą. W pałacu kryształowym nie wdawano się w podziały: wszystkie płody pracy ludzkiéj bez różnicy zebrano pod jeden dach, ochrzczono ogólną nazwą powszechnego przemysłu. Francuzi chcieli poprawić Anglików, i obok świątyni przemysłu postawili świątynią dla sztuk pięknych, nie rozstrzygnąwszy pierwéj pytania, gdzie się kończy przemysł, a gdzie poczyna sztuka? Nie zważając na ogromny postęp przemysłu, który daleko już wystąpił poza granice zakreślone

przed niewielą jeszcze laty, trzymano się starego porządku, zkąd wynikły dziwne sprzeczności. Tak naprzykład galerya sztuk pięknych przyjęła malatury na porcelanie, a nie przyjęła malowanéj porcelany; każdemu choćby miernemu posągowi z gipsu otworzyła gościnnie złote podwoje, ale nie dopuściła w swe progi żadnéj z figurek Pradiego, Froment-Meurica lub Fauchera prześlicznie z kości lub złota wykonanéj, dlatego, że przykute do wazonów, puharów, waz, lub jakichbądź naczyń do użytku służących. Rozwiesiła chętnie po ścianach rysunki ołtarzy, okien kościelnych i tym podobnych rzeczy skreślonych przez biegłych architektów, ale skoro tylko który z tych projektów przemienił się w rzeczywistość, został pracowicie wykonany z marmuru, kamienia, drzewa, lub szkła kolorowego, tracił natychmiast prawo obywatelstwa w dziedzinie sztuk pięknych i został odesłany między utwory przemysłu. Do przemysłu policzono przepyszne porcelanowe wazony sewrskie, do przemysłu gobelinowe obrazy, dlatego, że igłą nie pędzlem malowane; czary kosztowne, żłobione, z ametystów, lapisłazuli i górnego kryształu; do przemysłu nakoniec wspaniałe makaty jedwabne z Beauvais, Aubussońskie dywany krasne jak kwieciste łąki, dyamentowe bukiety i girlandy, srebra Christofla: słowem wszystkie te przedmioty niezrównanéj piękności, przepychu i gustu, rozłożone w czarownym salonie Rotundą zwanym.

Nie zastanawiając się atoli dłużéj nad niesłusznością podziału, przypatrzmy się szczegółowo tym szczytnym wysileniom pracy ludzkiéj, których godłem jest utile dulci.

Rotunda, jakto jéj nazwa wskazuje, jest sala okrągła, którą późniéj do głównego gmachu przystawiono; równie jak cały pałac oświecona jest z góry. We środku, na kilko-stopniowém podwyższeniu stoi rodzaj meczeciku czy altanki z chińskim daszkiem, pod którym na okrągłym stole leżą dyamenty do korony francuzkiéj należące, jak niemniéj te, które są prywatną własnością cesarzowéj. Na czarnych aksamitach rozłożone, błyszczą jak gwiazd krocie, dyadema, misternie układane z brylantów wielkości ziarnek grochu mniejszych lub większych, stosownie do deseniu; rywiery gładkie do

obszywania sukien; zausznice ogromne, napiersniki jak brylantowe kirysy, przeznaczone na ozdobę stanika, wielkie guzy z jednéj sztuki; grzebienie w kształcie korony do zapięcia włosów, bransolety, łańcuchy, spinki wielkie i małe: słowem nieprzeliczona ilość kosztowności, pośrodku których, w srebrne uchwycony szczypczyki, świeci jak słońce, największy brylant koronny: Regent. Nie oprawny ten kamień ma formę okrągłą, nieco owalną, wielkością dorównywa włoskiemu orzechowi (1). Brylanty tutaj złożone szacują na 32,000,000 franków.

Bogactwa te niesłychane opasują wieńcem, jakby droga mleczna gwiaździsty firmament, srebra Christofla, na przyległych stołach rozstawione, zalecające się wykwintnością formy, nie realną wartością: wszystkie bowiem są posrebrzane tylko za pomocą galwano-plastyki, co piękności ich bynajmniéj nie ujmuje. Serwis cesarski złożony z kilkuset sztuk, sam jeden kilka stołów zajmuje. Największa sztuka przeznaczona na ozdobę środka stołu, przedstawia wóz Cerery wołami ciągniony, oraz liczny poczet bogini, złożony ze srebrnych statue-

(1) Saint-Simon tak opisuje historyą tego kamienia w *Pamiętnikach* swoich:

„Dziwnym i nader rzadkim trafem, urzędnik w kopalniach dyamentów wielkiego Mogoła, potrafił mimo kontroli, ukryć jeden z nich nadzwyczajnéj wielkości; a co dziwniejsza, przebrać się z nim aż nad brzegi morza i odpłynąć bez dopełnienia zwyczajnych formalności, którym bez względu na godność ani nazwisko, wszyscy bez różnicy podróżni z państw wielkiego Mogoła wyjeżdżający, poddawani byli; a które to formalności zasadzały się na rozmaitych środkach wydobycia z ich ciała dyamentów, jeżeliby takowe połknęli, lub inną drogą w sobie ukryli. Urzędnik o którym mowa, zręcznie wywinął się celnikom, i z dyamentem swoim przybył do Europy.

„Pokazywał go rozmaitym książętom przebywając ich państwa, w końcu przybywszy do Anglii zaniósł go królowi, który podziwiał rzadki kamień, nie zdecydowawszy się atoli do nabycia go. Zrobiono w Anglii zupełnie podobny egzemplarz z kryształu, poczem, właściciela z dyamentem i kopią odesłano do Francyi z listem do pana Law, który zaproponował regentowi, żeby go nabył dla króla. Cena atoli tak odstraszyła regenta, że kupna odmówił.

„Law niezrażony odmową, przyszedł do mnie i przyniósł mi kryształową kopią dyamentu, którą zobaczywszy, sądziłem, że król francuzki ubliżyłby swojéj wielkości, zrażając się drogością tego niezrównanego kamienia; oraz, że im więcéj mocarzy nie śmiało myśleć o jego kupnie, tem konieczniéj wypada, ażeby go nabył król francuzki. Law uszczęśliwiony z mego zdania, prosił mnie, żebym o tem pomówił z księciem Orleańskim.

„Regent długo się tłumaczył stanem finansów, obawiał się ściągnąć na siebie naganę, że tak wielkie czyni wydatki w chwili, kiedy

tek, na ośm do dziesięciu cali wysokich. Przy powyższéj grupie stoi mnóstwo pojedynczych allegorycznych figur, jakoto: pół-bogów, faunów, satyrów, geniuszów, kupidynków, nimf i tam daléj; stosy półmisków, koszyków na ciasta, wazy i kubły do zamrażania szampańskiego wina, dopełniają tę prawdziwie cesarską zastawę.

Srebra Christofla znowu kołem okrążają sewrskie porcelany, krasne jak girlanda różno-farbnych kwiatów. Wszystkie porcelany innych fabryk i innych narodów pobladły, pogasły zupełnie: berlińskie nawet bez sprzeczki musiały wyrobom sewrskim ustąpić piérwszeństwa. Tutaj dopiéro niewyczerpana kopalnia piękności i wybór niepodobny! Dwieście wazonów przeróżnych form na dwa przeszło łokcie wysokie, naśladują najczystsze wzory naczyń starożytnych. Jedne szeroko u góry rozwarte jak Etruskie wazy surowe, czarne, pokryte białemi bóstw wizerunkami; inne zamknięte jak urny greckie jednokolorowe, lub posypane kwieciem miękkiém jak puchy, świeżém jak jutrzenka; inne wysmukłe opasane kołem tańcujących bachantek, podobne do pompejańskich dzbanów: inne nakoniec pomalowane w chińskie dziwolągi. Wszystkie majowe i czerwcowe kwiaty wiecznie kwitną na tych porcelanach: tu bzy chińskie i perskie

tak trudno zaradzić najgwałtowniejszym potrzebom i tylu ludzi cierpi bez pomocy.

„Pochwalając jego wahanie, zwróciłem atoli uwagę księcia, że te względy słuszne, gdyby chodziło o partykularnego człowieka; za nizkie są, jeżeli chodzi o sławę największego króla na świecie; że tu potrzeba zważać na honor korony i nie wypuszczać z ręki jedynéj sposobności nabycia za bezcen dyamentu, który zaćmi wszystkie europejskie; że to kupno będzie wieczną chlubą dla jego regencyi; że jakikolwiek jest stan finansów, ta oszczędność ich nie polepszy. Koniec końcem, dopóty namawiałem księcia Orleańskiego, aż mi przyrzekł że dyament kupi.

„Law po długich targach z właścicielem, przedstawiwszy mu ile straci, jeżeli dla braku hurtownego nabywcy będzie musiał swój dyament potłuc i cząstkowo takowy sprzedawać, skłonił go nareszcie, że przystał na 2,000,000 franków i zwrócenie mu cząstek kamienia przy szlifowaniu odpadłych.

„Ugoda stanęła w ten sposób: Rząd zobowiązał się płacić procent od 2,000,000 dopóki takowych nie wypłaci, a tymczasem dał w zastaw właścicielowi za 2,000,000 klejnotów.

„Książę Orleański zamiast przygany ściągnął na się powszechne pochwały za nabycie dyamentu, który został nazwany *regentem*.

„Jest on wielkości śliwki renklody, prawie okrągły, bez skazy, biały, prześlicznéj wody, waży przeszło 500 gram. Chlubię się, żem potrafił skłonić regenta do tak świetnego kupna."

blado-lilia zwieszają pachnące bukiety, na białą szyję wazonu okutego bronzowemi sznury; tu konwalie wilgotne, pochowane w jasno-zielone liście, obrastają spód innego smukłéj formy a koloru parmeńskiego fijołka; inne hiacynty i narcyzy stroją; ten blado-różowy zda się zarumieniony blaskiem opasującéj go girlandy centyfolij; ten barwy żonkila, zda się przezroczysty jak z bursztynu; inny szkarłatny jak kaktus; ten turkusowy pokryty siatką maurytańskich deseni; inny znów oszyty prawdziwemi koronkami skamieniałemi w porcelanowéj massie. Ten kolorem, ten kształtem wabi; ten piękny, ten jeszcze piękniejszy; ten... Ale deremnieby się silić na odmalowanie piórem tych utworów jaśniejących wszystkiemi kolorami tęczy: kolor jest ich duszą, a kolor trzeba widzieć tak, jak słyszeć muzykę, żeby ją sobie wyobrazić.

Pomiędzy wazonami rozłożono mnóstwo drobnych wyrobów z porcelany, statuetek postrojonych w prawdziwe koronki, skamieniałe za pomocą moczenia w ciekłéj porcelanie, co ich wykonaniu niepojętą nadaje misterność; bukiety kwiatów z największą dokładnością naśladujące naturę, serwisy poukładane w podróżnych szkatułkach, składające się z tacy, filiżanki, herbatniczki, imbryka, garnuszka, cukierniczki i talerza. W innych szkatułkach zgromadzono naczynia potrzebne do kawy, czekolady, podróżnego obiadu lub śniadania. Prócz tych, jest mnóstwo zastaw do użytku domowego nader bogatych i wykwintnych; wykonaniu tych rzeczy przewodniczył gust najlepszy, któremu równego w produktach wszystkich narodów nie znajdzie.

Całe ściany rotundy zawieszone są gobelinami, makatami i dywanami z trzech sławnych na całym świecie fabryk cesarskich: Gobelin, Aubusson i Beauvais.

Fabryka gobelin zajmuje tysiące rąk i mnóstwo warsztatów; należy do ciekawości stolicy i przez wszystkich cudzoziemców zwiedzaną bywa. Położona na przedmieściu Moulfetard, zamieszkałém przez najbiédniejszą klassę ludzi sławnych z ciemnoty i nędzy, tak zwanych chiffonierów, trudniących się zbieraniem śmieci po mieście, ta fabryka zbytku tam tylko swoich

werbuje robotników. Dziwna igraszka losu: ludzie najbiédniejsi, wyzuci ze wszystkiego co życie osładza, pracujący kiedy śpią inni, żyjący tém, co inni odrzucają, trawią jeszcze schyleni nad krosnami resztę marnego żywota, tkając makaty przeznaczone na ozdobę najwykwintniejszego zbytku! Ileż być musi instynktowego poczucia piękności w tych wydziedziczonych dzieciach Paryża, kiedy go ostatnia nędza nie zatrze; kiedy bez żadnego wykształcenia, po większéj części nieumiejący nawet czytać, potrafią jednak tak zręcznie naśladować najtrudniejsze olejne obrazy, przenosić wiernie na kanwę nietylko kontury przedmiotów i złudzenie perspektywy z całą poprawnością rysunku: ale nadto, malować całość tak miękkim i żywym kolorytem, że znawcy słusznie porównywają te wełniane obrazy do dzieł najsławniejszych mistrzów weneckich.

Pomiędzy gobelinami oprawionemi w złote ramy, najwięcéj uderza obraz podłużny, wizerunek zdjętego z krzyża Chrystusa, wedle Filipa de Champaigne. Kto raz widział ten obraz, niełatwo go zapomni. Zbawiciel leży umarły na białéj bieliźnie, głowę ma zwieszoną na ramię, a prawą rękę złożoną jak do błogosławieństwa. Obraz ma ten sam układ, co biały marmurowy posąg Chrystusa, wykonany w Rzymie przez polskiego rzeźbiarza hr. Oskara Sosnowskiego, twórcę znakomitéj statuy Sprawiedliwość, którą był tamże dla b. p. Cesarza Mikołaja wykonał.

Matowe cienie wełny niekaleczone zwykłym połyskiem olejnego malowidła, nadają twarzy Chrystusa wyraz smutku i powagi, jakiego nie spotyka się na płótnie; a rzadka prostota kompozycyi świadczy o tak głębokiém poczuciu świętości, że nazawsze w myśli pozostaje.

Obraz kwadratowy zdjęcie z krzyża, wedle Michała Caravagio, jest największy z wystawionych gobelinów; koloryt daleko tu żywszy niż na olejnym oryginale: szkoda tylko, że wełna prędzéj płowieje niż malowanie. Obok niego na półtrzecia łokcia wysoka gobelina przedstawia św. Pawła i Barnabiasza, wedle wzoru Rafaela; obraz ten jest kopiowany z Watykańskiéj makaty. Daléj Matka Boska, Półów cudowny, i Psycha przedstawiana bogom Olimpu, także wedle Ra-

faela. Daléj portret Colberta wedle Lefebvra, portret Lebruna otoczony symbolami, wedle Largilliera, Zwierzenia wedle Bouchera i wedle tegoż Sylwia wyzwolona od napaści potwora przez Amyntha. Oto wszystkie obrazy, jakie wystawiała fabryka gobelinów.

Naprzeciw nich, na odpowiedniéj wielkością ścianie, rozwiesiły swoje produkta dwie fabryki: Aubusson i Beauvais; piérwsza ogromny dywan ceny 12,000 fr., druga dywan przeznaczony do pawilonu Marsan w Tuileryach, wykonany wedle wzorów dwudziestu biegłych rysowników francuzkich. Resztę ścian pokrywają całkowicie pomniejsze dywany i pokrycia na meble, pochodzące z tychże samych fabryk, haftowane sposobem gobelinowym, po największéj części w kwiaty lub owoce.

Fabryka gobelinów, prócz obrazów, głównie produkuje dywany; fabryka Aubusson pokrycia na meble, ściany i t. d. Piérwsza prawie wyłącznie używa wełny, druga jedwabiu lub włókien okręconych jedwabiem, i dlatego wyroby ostatniéj są bez porównania droższe od zwykłych gobelinów.

Przy głównem wejściu do rotundy stoją dwie marmurowe kolumny, a na nich dwie prześliczne czary roboty paryzkiego złotnika Duponchel'a. Jedna jest z lapislazuli, druga z górnego kryształu; obiedwie liczą się do najkosztowniejszych wyrobów złotniczych tak z powodu rozmiarów bryły kamienia, który nader rzadko téj wielkości się napotyka (sam wyrób ma do 10 cali średnicy), jako téż nadzwyczaj pięknéj oprawy. Piérwsza opiera się na zwoju liści złotych misternie emaliowanych, z których wywiązuje się wieniec formujący ucho; a z niego na cztery cale wysoki posąg Neptuna z trójzębem w dłoni i koroną na głowie. Jestto dzieło niepospolite, do któregoby się pewnie sam Benvenuto Cellini chętnie przyznał.

Druga czara na pozór nieuderzająca, bo do zwyczajnego kryształu podobna, dla znawców wielkiéj jest wartości. Owalna, wielkości łyżki wazowéj, wykuta z jednéj sztuki rodzimego kryształu bez skazy, opiera się na głowach trzech srebrnych aniołków; czwarty na okuciu zachaczony, wygięty naprzód jakby zaglądał

do środka, tworzy ucho. Trudny byłby wybór między niebieską a białą: tamta bogatsza, ta oryginalniejsza; piérwsza podoba się wszystkim, druga tylko znawcom. Duponchel ocenił obie 12,000 franków. Co do nas przekładamy każdą z nich, nad wychwalony olbrzymi wazon srebrny Rudolphiego, wyobrażający w wypukłéj rzeźbie fortunę, ciągnącą za sobą rozpustę i nędzę. Myśli i wykonaniu tego dzieła nic ująć nie można, jednakowoż forma jego ciężka i zwyczajna, daleką jest od wybornego smaku, jaki obiedwie czary Duponchel'a cechuje.

Przy tychże samych drzwiach głównych prowadzących z rotundy do głównego gmachu, znajduje się niewielki, ale nader piękny obrazek w sewrskiéj fabryce wykonany. Jestto malowidło na porcelanie przedstawiające wjazd Franciszka I do Paryża. Monarcha wspaniale ubrany i uśmiechnięty, pozdrawia prawą ręką tłum ludu cisnący się do stóp swoich; lewą hamuje zbytnią żywość białego rumaka, który rozwarłszy nozdrza zda się parskać skrami. Rysunek tu bardzo poprawny, a ubiory figur, których do stu naliczyć można, odmalowane z historyczną wiernością. Obrazek ten musi być bardzo znakomity, kiedy ma przywiléj zatrzymywania wychodzących z rotundy widzów, którzy mimo zmęczenia, mimo olśnienia, jakie sprawia koniecznie oglądanie tylu nagromadzonych przedmiotów, pominąć go obojętnie nie mogą. Dopiéro oddawszy tę cześć ostatnią jednemu z najwyborniejszych dzieł fabryki sewrskiéj, i rzuciwszy zdaleka jeszcze raz okiem na słonecznego regenta i gobeliny, każdy, żeby na nowo nie być porwanym i nie krążyć wiecznie jak Iksion w tém czarownem kole, zamyka oczy i ucieka, gdzieś na miękkiéj ławeczce, pod szemrzącą fontanną nowych sił do dalszéj nabrać wędrówki. My zaś, zastrzegając sobie powrót do rotundy, do któréj teraz zaledwie zajrzeliśmy, nie chcąc cyframi przerywać ogólnego poglądu na ten przybytek gustu i przepychu, prowadzimy czytelnika, jeżeli nam towarzyszyć zechce, na przyległe podwórze, gdzie w szałasach, pomiędzy drzewami, zgromadzono francuzkie, angielskie, belgijskie i holenderskie powozy.

Jakież tu wymysły, jakie wygódki, jaki zbytek, jakie bogactwo! Ktoby powiedział, że ten przemysł nie sięga trzech wieków; że nie dawniéj jak za Franciszka Igo

istniały w całym Paryżu tylko dwie karety: jedna królowéj, druga księżniczki Dyanny córki Henryka II! Ale jakież to były karety? Żaden szlachcic na zapadłém Polesiu, których uprzęże, landary i tłumoki uwiecznił malowniczy pędzel Kraszewskiego, nie ośmieliłby się podobnym gołębnikiem jechać z jéjmością do kościoła. Byłyto istne domy na czterech ogromnych kołach, połączonych z sobą belką na ośm stóp długą; zamiast dzisiejszych resorów stały 4 pnie, do których przybijano 4 surowcowe pasy, mające dźwigać tak zwaną łódź, czyli pudło powozu, do którego wchodziło się po schodach jak na piérwsze piętro. Nad nim sterczała ogromna buda skórzana rozpięta na krokwiach, jak słomiane poszycie na dachu, a po obu stronach owéj budy wisiały dwie fałdziste firanki skurzane mające chronić podróżnych od deszczu, a które od czasu do czasu podnosić trzeba było, żeby się nie udusić.

Takto jeszcze przed trzystu laty jeździli królowie francuzcy. Dobrze jest wchodząc na wystawę powozów, mieć powyższy obrazek w pamięci: postęp téj gałęzi przemysłu wtedy dopiéro uderza w całéj rozciągłości.

Widząc na jak wysokim stopniu stoi obecnie sztuka robienia powozów, mianowicie téż we Francyi i Anglii, ciekawe byłoby porównanie roboty tych dwóch narodów. Ale na nieszczęście wystawa bardzo jest w tym względzie niekompletna. Najbieglejsi powoźnicy francuzcy nie wystawili dzieł swoich; z paryzkich fabrykantów brakuje dwóch głównych: Bindera i Ehrlera; z Londyńskich także dwaj najsławniejsi: Hobson i Berker nic nie przysłali. Ci zaś z francuzkich exponentów, których dzieła widzimy, wystawili rzeczy tak dziwne, tak niepraktyczne, tak grzeszące przesadą, że z nich o rzeczywistym postępie téj sztuki wyobrażenia miéć nie można. Zamiast powozów we właściwém znaczeniu tego słowa, takich, jakiemi ludzie jeżdżą: złożyli, jakby popis z rzeźby, snycerstwa, bronzownictwa, a nawet szklarstwa, (jest jedna landara paryzka mająca cały spód ze szkła, czemuż nie z czekolady)?

Obok wspomnionéj stoją dwie karety od góry do dołu żłobione, wybite materyą oślepiającego koloru, przetykaną złotem; zaprzężone są parą wypchanych ko-

ni, które z kozła pogania ogromnym biczem także wypchany woźnica. Oba te powozy w zmniejszeniu byłyby zapewne ładną dziecinną zabawką, ale takie jakie są, ludziom dorosłym na nic się nie przydadzą.

Takich jest najwięcéj. Kilku zaledwie rozsądnych fabrykantów tutejszych wystawiło powozy gładkie, prawdziwie dobrego gustu, mogące służyć do użytku. Pomiędzy temi zauważaliśmy rodzaj kocza zwany Wiktorya z ruchomemi siedzeniami, mogącemi się przekładać w tył dla służby, a naprzód dla pana, jeżeli sam chce powozić. Kilka kabryoletów do polowania, tak lekkich, że jednym palcem pociągnąć je można, zalecają się elegancyą i praktycznością.

Jeden z fabrykantów tutejszych wystawił parę tanich powozów rozkładanych, z których wedle woli, złożyć można odkrytą karocę na cztéry osoby, lub kocz także na cztéry, z małym koczykiem z tyłu na dwie osoby. Na ten elegancki wyrób wynalazca nałożył stosunkowo bardzo nizką cenę 3,000 franków: sam jeden z fabrykantów paryzkich odpowiedział programowi komissyi wystawy, która exponentom zalecała przedewszystkiem użyteczność i taniość wyrobu.

Tak pod tym, jako i pod względem gustu, prowincya zakasowała tą razą stolicę. Mianowicie też odznaczyły się miasta: Lille, Lyon i Bordeaux. Dwie karety, jedna przysłana z Lille, druga z Bordeaux, byłyby doskonałe, gdyby piérwsza zbyt długa, mogła ustąpić trochę drugiéj, która jest zakrótka. Ale to błąd drobny, który przy pięknem wykonaniu szczegółów nie każdemu wpadnie w oko. Przy wyrafinowanych potrzebach wygody, elegancyi, a częstokroć i zbytku, dzisiejszy fabrykant powozów już się nie obejdzie bez dokładnéj znajomości rysunku; mając zawiesić pudło powozu na ruchoméj podstawie, potrzebuje znać nietylko fizyczne prawa o środku ciężkości, ale potrzebuje matematycznie obrachować siłę i sprężystość resorów. Sama praktyka, lub po ojcu odziedziczone prawidło już tu nie wystarczy, bo zmienna moda, nowe dyspozycye miejsc lub nowe formy wymyślając, wymaga też nowych sposobów zawieszania, czyli nowéj konstrukcyi.

O ile wnieść mogliśmy z rozsądnych utworów, wystawionych przez powoźników francuzkich, nie naśla-

dują oni teraz wcale wzorów angielskich i belgijskich; fabryki tych dwóch sąsiednich narodów przestały dostarczać Francyi modelów na powozy i resorów, które niedawno jeszcze ztamtąd sprowadzała. Powoźnicy tutejsi mają teraz metodę własną; zarówno wszystkie części konstrukcyi i ozdoby powozu wykonywają na miejscu: drzewa, materyj, skór, ozdób, szyb, bronzów, okucia i resorów, słowem wszystkich części, z których powóz złożony, dostarczają francuzkie fabryki. Co do mocy, powozy tutejsze wyrównywają zupełnie angielskim i belgijskim, ale, rzecz szczególna, nie dorównywają im wykwintnością formy.

Belgia wystawiła przepyszny powóz królewski: ogromny, dosyć kształtny, mimo drobiazgowych wygód, jakie w sobie mieści; także kilka lekkich, maleńkich, dwumiejscowych karet. Holandya przysłała nader lekkie kabryolety o dwóch kołach do polowania, całe żelazne; sanki bardzo ozdobne, ale niepraktyczne; karetę dworską i udoskonalone siodła dla konnicy. Szwecya, troje sanek bogatemi futrami obitych, i karetę króla Oskara; Hamburg, wielki kocz na cztery osoby; Norwegia, podróżne karykle (rodzaj bryczki); Sardynia powóz amerykański o nowym systemacie resorów.

Najsławniejsze fabryki londyńskie przysłały tylko fotografowane portrety swoich powozów, w bogate ramy oprawne. Tym, które osobiście przybyły z Anglii na wystawę, zarzucić można w ogóle nieproporcyonalnie małe koła przednie, a zawysokie kozły, z wyjątkiem tak zwanych Dogcart (szkockich bryczek), robionych z krajowego zielonego dębu, których proporcye są doskonałe. Dwa najszczególniejsze powozy pomiędzy angielskiemi są: irlandzki Diorophe i londyński Cottage Phaeton; obadwa niezmiernie skomplikowane. Z piérwszego można złożyć odkryty powóz z czterma siedzeniami na 16 osób, landarę i karetę. Z drugiego, nic nie ujmując ani dodając, tylko wysuwając lub wsuwając składowe części, robi się albo kocz otwarty, albo powóz zamknięty z naprzód zachodzącą budą, zamkniętą oknami. Powóz ten lekki i wybornie zrobiony, jedyny jest do letnich spacerów, bo przy pogodzie i widoki dowolnie z niego oglądać można, i zamknąć się w mgnieniu oka przed nadchodzącą burzą.

Wystawiono także liczne uprzęże, urządzone tak, żeby w razie przypadku odrazu konie odprządz można od powozu, rozbierając je z szorów sposobem łatwym, zawisłym od woli woźnicy, który w takim razie nie potrzebując zeskakiwać z kozła, powóz niezależnym czyni od szkodliwéj fantazyi rumaków. Sposoby te atoli wydają nam się nadto skomplikowane i wykonalne łatwo na spokojnych, ale trudno na rozhukanych koniach.

Liczny jest zbiór siodeł angielskich wykończonych jak cacka z wybornego materyału, którego sekret przyrządzania tylko Anglicy posiadają. Damskie mianowicie siodełka daleko mniejsze i leksze od niemieckich, są przecież nierównie bezpieczniejsze i wygodniejsze: najprzód dlatego, że zrobione ze skóry miękkiéj i kosmatéj jak aksamit; powtóre, tak urządzone, że się nigdy przekręcić nie mogą, bo naciskanie strzemienia w przeciwną stronę chyli siodło; potrzecie, że brak wszelkich zawadzających w złym razie podpór, koniecznie na własnych siłach polegać każe, zatém wywołuje przytomność i odwagę, która sama jedna rzeczywiście od przypadku chroni.

Jest także na wystawie powozów kilka wagonów, których ulepszenia podziwiają znawcy, a ogół wykwintne niektórych urządzenie. Wagon belgijski mieści, prócz siedzeń, wygodne łóżka; wagon szwajcarski jest rzeczywistém pomieszkaniem, umeblowaném kompletnie. Zadaniem francuzkich i angielskich wcale niefilantropijnych konstruktorów, jest lekkość, oraz pomieszczenie w małéj przestrzeni jak największéj ilości ludzi; w czém bez względu na członki podróżnych, fabryki obu narodów prześcigają się wzajemnie.

Odetchnąwszy nieco na wolném powietrzu, powróćmy do pałacu, gdzie przy w nijściu napotykamy zegary.

Żadna może gałąź przemysłu nie jest tak kompletnie reprezentowana na wystawie, jak zegary. Wszystkie sposoby mierzenia czasu, począwszy od klepsydry piaskowéj i wodnéj; od tak zwanéj kukułki, która do dziś dnia połowie ludzkości godziny ogłasza, aż do wzorowego hronometru i regulatora elektrycznego, zgromadzono tutaj wszelkie rodzaje zegarków, zegarów stołowych, ściennych i wieżowych.

Najważniejsze i najnowsze zastosowanie w téj sztuce jest użycie elektryczności do przesyłania godziny jednego zegara wielu innym cyferblatom, jakkolwiekbądź od rządzącego zegara odległym. Zegar elektryczny nastawiony w Paryżu, wedle paryzkiego południka, połączony jak telegraf z zegarami wszystkich kolei żelaznych francuzkich, sprawia, że wszystkie tęż samą, co on, pokazują godzinę; dlatego wszystkie godziny odjazdu pociągów w całéj Francyi naregulowane są na południk paryzki. To akuratne a zwłaszcza téż na każdym punkcie kraju jednakowe oznaczenie czasu, oprócz wielu innych korzyści, ułatwi urządzenie służby kolei żelaznych, przez co niejednemu przypadkowi zapobieży. To téż ważność téj aplikacyi tak pojęli zegarmistrze tutejsi, że prawie bez wyjątku wszyscy, regulowanie i chód zegarów wystawionych, powierzyli elektryczności.

Dwa wielkie cyferblaty umieszczone na dwóch przeciwnych końcach wielkiéj nawy, znaczą godziny za pomocą zegara, który jest w środku wyższéj galeryi, a z którym łączą je metalowe druty.

Więcéj niż zegary elektryczne, które mimo ważności odkrycia, na pozór niczém się nie różnią od innych, zajmuje uwagę powszechną zegar monumentalnych rozmiarów, obstalowany przez kardynała Mathieu do arcybiskupiego pałacu w Besançon. Jest on dziełem robotnika rodem z tegoż miasta, pana Bernardin, który na wykonanie go poświęcił pięć lat całodziennéj pracy. Zegar ten niemający dotąd równego pod względem komplikacyi i zręczności, z jaką zastosowano i wykonano trudne pomysły, pokazuje zarazem godziny, jakie są obecnie we wszystkich główniejszych miastach świata; zmiany księżyca; czas przypływu i odpływu morza we wszystkich portach europejskich; godziny wschodu i zachodu słońca; posty; święta: słowem, wskazuje sto rozmaitych rzeczy na 72 cyferblatach, za pomocą 22 statuetek i 24 dzwonków poruszanych przez 13,628 rozmaitych sztuczek, wykonanych z miedzi, żelaza i stali, ręką tegoż samego robotnika.

Żeby dać poznać czytelnikom, jak niejedna gałąź przemysłu nawet handlowego, może być scientyficznie traktowaną, dosyć będzie przytoczyć, że jeden zegar-

mistrz paryzki, usunąwszy na bok wszelką chęć zajmowania wyrobami swemi nieznawców. dał na wystawę same wahadła czyli penduły. Obok kompensatorów (wahadła z różnorodnych metali, aby wydłużanie się jednych neutralizowało skracanie się drugich) wystawił jeden ulepszony przez użycie aluminium, które pozwala zbliżyć środek ciężkości wahadła do środka oscyllacyi, przez co daje ruch więcéj jednostajny, a miarę czasu czyni pewniejszą.

Szwajcarya jak przedtém, tak i teraz wyrabia najdoskonalsze sztuczki do wszelkiéj wielkości zegarów, ale już nie sama jedna dostarcza ich światu. Kilka fabryk francuzkich z wielkiém powodzeniem oddaje się temu przemysłowi. Kuźnia Beaucourt robi sposobem mechanicznym miliony zegarkowych kółek, które tym sposobem wykonane fabrykanci mogą sprzedawać po franku i taniéj. Kuźnia Saint-Nicolas trudni się wyrabianiem kółek do zegarów, wieżowych.które nieco opracowane przy składaniu, przydają się do najlepszych zegarów. Pierwszém staraniem każdego przemysłu jest rozpowszechnienie swojego wyrobu: to téż postęp sztuki zegarniczéj sili się dzisiaj na udoskonalenie mechanicznych sposobów produkcyi cząstek, bo niewiele jest zysku w pojedynczém wykonaniu choćby najdoskonalszego zegara przez jednego człowieka, który pracowawszy nad nim bardzo długo, koniecznie bardzo drogo sprzedać go musi. Wnętrza przeto zegarków wykonane sposobem mechanicznym, jako świadczące o rzeczywistym postępie téj sztuki, na daleko większą zasługują uwagę, niż arcydzieła genewskich zegarmistrzów i samego nawet Patka, który na wystawę nadesłał wielką ilość kosztownych swoich wyrobów. Zapatrując się atoli na zegary nie ze stanowiska praktyczności, ale jak w tym razie z nieco fałszywego stanowiska sztuki, utwory Patka otrzymają nad wszystkiemi pierwszeństwo. Nie ogranicza on się na dokładném ułożeniu mechanizmu, na akuratności z jaką zegary jego czas mierzą, ale z artystycznym gustem corazto nowe dla nich obmyśla formy: pomniejszone do rozmiarów pięcio-groszówki osadza w bransoletach, wachlarzach, lornetach, cygarniczkach, korkach od flakoników i oprawie książek do nabożeństwa; jeszcze mniejsze na pier-

ścionkach przytwierdza. Sztukę zegarniczą powiązał tak ściśle z sztuką złotniczą, że na piérwszy rzut oka wyrobów jego od złotniczych odróżnić trudno; obejrzawszy zblizka te klejnoty, spostrzegasz dopiéro umieszczony gdzieś misterny zegareczek, idący zazwyczaj bardzo dobrze.

Zważywszy objętość takiego zegarka, pojąć nie można, jak ręce ludzkie potrafiły przygotować i złożyć cały jego wewnętrzny mechanizm; jak wykonawszy te wszystkie cząsteczki, człowiek był w stanie ruch ich skombinować i nakryć wszystko razem cyferblacikiem, na którym trudno gołém okiem rozpoznać godziny. Zaprawdę, natura nie musiała miéć tyle pracy nad stworzeniem Święto-Jańskiego robaczka!

Zegarki angielskie zalecają się, jak zwykle, wybornym mechanizmem i nadzwyczajną poprawnością kółek; o formę zegaru mało dbają Anglicy, ale za to marynarskie ich chronometry są niezawodnie najlepsze ze wszystkich.

Obok zegarów pp. Smith i Beck, biegli optycy wystawili mnóstwo termometrów i mikroskopów; a dyrektorowie obserwatoryum Greenwich ogromny zbiór instrumentów fizycznych i meteorologicznych, które po większéj części same za pomocą zastosowania fotografii, notują jednocześnie swoje obserwacye. Z tych fotograficznych regestrów dojść można w każdéj sekundzie stopień temperatury, podskoczenie barometru, dyrekcyą wiatru: słowem wszystkie skazówki stanu powietrza zapisane przez same elementa.

Gdzież teraz obrócimy kroki nasze? Wszystko jedno w którą stronę, bo wszystko tu warte widzenia, i wszystko nie tych, to owych obchodzi. Więc do najbliższéj przechodzę zagrody, i kończąc to sprawozdanie tak mozajkowe, jak wystawa, na któréj co krok spotykamy zestawione z sobą najróżniejsze przedmioty, powiem jeszcze słów kilka o produktach Algieryi.

Zbiór produktów algierskich na wystawie, przypomina zupełnie układem afrykańskie bazary, w których kupcy rozwieszają w malowniczym nieładzie i równouprawnieniu: babucze, bronie, instrumenta muzyczne, kaftany, spodnie, pasy, dywany, buty, koralowe naszyjniki, gazowe koszule, długie cybuchy, szale, pachnidła,

tytóń, burnusy: słowem wszystko, czego wschodni mieszkaniec potrzebować może. Jak paryzki tandeciarz, co obok nabytéj wczoraj paradnéj sukni panicza, lub kaszemirowego szalu jakiéj zbankrutowanéj piękności, zawiesza z włok umarłego z głodu poety, topielca, lub podszarzany kostium z ostatniéj reduty; tak żyd lub Maur, właściciel bogatego sklepu na Wschodzie, miesza gałgany ze złotem, klejnoty ze skorupami, zostawiając kupującemu staranie wyszukiwania w tym chaosie czego mu potrzeba.

Powyższy układ, a raczéj rozkład, jako koloryt miejscowy, starannie zachowano wschodnim towarom na wystawie. Chcąc okazać korzyści i zapoznać metropolią z produktami, których jéj własna a blizka kolonia dostarczyć może, zebrano tu wszystko, na co tylko zdobyć się może produkcya i przemysł Algieryi, nie pominąwszy nawet wyrobów murzyńskich. Widzimy ich roboty rogoże, koszyki, kobiałki wszelkich rozmiarów szczelnie się zamykające, ozdobione kutasami z żółtéj wełny i kokardkami z czerwonego sukna, bardzo oryginalne i mocne; daléj, także roboty Negrów, nieprzemakające kapelusze z kolorowéj słomy, plecione w kształcie parasola, ozdobione strusiemi piórami, które noszą mieszkańcy pustyni i karawaniści; oraz mnóstwo ze słomy i trzciny plecionych drobiazgów.

Negrzyca Zahra, rodem z Tombuktu, zamieszkała w Algierze, przysłała na wystawę własnéj roboty pas z wełny i jedwabiu, przetykany wiszącemi koralami, muszlami, amuletami z safianu, kośćmi z ludzi i małp, ziarnkami złota, i dzwoneczkami. Pas taki bardzo drogi, niezbędna część ubioru elegantek z Tombuktu, przy każdém poruszeniu osoby dźwięczy; w tańcu zaś nieustanny brzęk wydaje, podobnie jak krakowskie chomonta: w czém właśnie Negry główny powab téj ozdoby upatrują. Ten pas oryginalnością swoją nieustannie przyciąga widzów i bardzo się podoba; szkoda, że Zahra dzienników nie czyta, boby w nich niejednę pochlebną wzmiankę o swojéj pracy wyczytała.

Bankierstwem i złotnictwem wyłącznie żydzi zatrudniają się w Afryce. Umiejąc zręcznie korzystać z rycerskiéj pogardy Arabów dla mamony, zajęli tak dobrze strategiczne pozycye finansów, że każda okru-

szyna złota lub srebra musi przez ich ręce przechodzić. Jak wszędzie, tak i tu żydzi są istnemi kapłanami mamony: zbierają skrzętnie złoto dla złota; nie używając go, noc i dzień strzegą mozolnie. Mimo nieustannych zabiegów rzadko do wielkich przychodzą majątków; tymczasem francuzcy starozakonni wkładają miliardy w koleje, kuźnie, młyny, maszyny, kolosalne robią fortuny i nie gardzą już zewnętrzną oznaką dostatku.

Algierscy złotniki wystawili pugilaresy i portmonety aksamitne, bogato złotem haftowane; bransolety szerokie z bardzo czystego złota; pierścienie z wersałami Koranu lub poetycznemi dewizami; łańcuchy, zapinki do kobiecych burnusów, ciężkie bransolety emaliowane na nogi, ogromne zausznice z pereł i korali, przepaski złote, i tym podobne rzeczy. Zbytecznie mówić, że robota tych kosztowności jest gruba; bo sztuka jeszcze w kolebce. Narzędzia do roboty żyda złotnika, nietylko w Algierze, ale na całym Wschodzie składają się z młotka i dłutka; maszyny jego: piecyk żelazny i mieszek skórzany. Sklep i pracownia zarazem mieści się w cztero-łokciowéj budzie, któréj całym sprzętem na środku rozpostarta rogoża, służąca za stół, krzesło, warsztat i łóżko. Wiedząc powyższe szczegóły trudno wiele wymagać. Przeciwnie, podziwiać potrzeba zręczność tych ludzi, co bez żadnych narzędzi potrafią między innemi zrobić rzecz taką naprzykład, jak biureczko z perłowéj macicy, wysadzane koralem w bardzo ładne desenie.

Arabowie poświęcają się dwom tylko gałęziom przemysłu: wyrobom z wełny i skóry, na których wyszywają desenie złotem, srebrem, lub jedwabiem. W tym rodzaju roboty ich zalecają się wielką fantastycznością rysunku i bogactwem haftu. Wszystkie desenie ku ozdobie tkanin czy budowli służące, od Arabów, arabeskami przezwane, w ogromném dzisiaj będące użyciu, zasilają się prawie wyłącznie u tego źródła fantazyi. Bujna imaginacya roztacza przed oczyma Araba nieskończony zwój coraz to nowych kształtów, które on nie patrząc prawie, znaczy w chwilach natchnienia, a potém zamyślony o siódmém niebie, machinalnie wyszywa z wrodzoną cierpliwością. Bogate ich materye, pokryte najdziwaczniejszym labiryntem deseni

o niespodzianych zwrotach, zawsze błyszczące, kolorowe, przypominają poemata wschodnie, w których sam przedmiot znika pod zbytkiem nagromadzonych ozdób.

Ahmed-ben-Ali fabrykant algierski, wystawił kilka malowniczych materyi z wełny, niezmiernie cienkich i wybornie farbowanych; oraz burnusy z długiemi frendzlami, śnieżnéj białości, a tak miękkie, że je przez pierścionek przeciągnąć można. Mohammed-bel-Arbi z Oranu przysłał grube burnusy męzkie z szaréj wełny i pasy różno-kolorowe także wełniane; oraz ogromny, złotem wyszywany burnus ponsowy zwany bach Agha: takie płaszcze noszą wodzowie arabscy, kolor ponsowy będąc u Arabów oznaką dostojeństwa.

Wyrabianiem tkanin wełnianych w Algieryi trudnią się prawie wyłącznie kobiéty; robią je na warsztatach ręcznych jak nasze wieśniaczki płótno. Pod każdym prawie namiotem stoi taki warsztat zrobiony z grubéj trzciny, przy którym od rana do wieczora pracują żony Araba. Skoro wyrobią kilkanaście łokci materyi, mąż kraje z niéj burnusy i haftuje takowe przy pomocy męzczyzn. Prócz cienkich tkanek, kobiéty arabskie wyrabiają na tychże warsztatach rodzaj samodziału z pstréj wełny, którym bogatsi wykładają namioty; robią oraz grube burnusy męzkie. Prócz tego robią także materye z jedwabiu i koziéj wełny, i szyją z nich tak zwane gandury, rodzaj koszuli bez rękawów, które w wielkie upały noszą. Mieszkanki Sahary głównie słyną z doskonałego wyrabiania burnusów, i podobno największą ilość takowych produkują.

Jest także pomiędzy temi wyrobami całkowity ubiór maurytański; składają go następujące przybory: koszula gazowa z haftowanemi rękawami; szerokie pantaliony z muselinu; kamizelka sztywna od złota; kaftan ponsowy aksamitny, na szwach bogato haftowany złotem; szarfa muselinowa, wyszywana srebrem i jaskrawym jedwabiem; futa (sztuka materyi, którą się opasują biodra, spadająca aż do ziemi) z wełny białéj bardzo cienkiéj z frendzlami; chustka na głowę w pasy; krymka wyszywana koralami i perłami, i takież trzewiki. Kobiéty do tego stroju dodają tylko zasłonę krepową, którą okręcają naokoło głowy, i okrywają się jak płaszczem.

Jak z powyższego wyszczególnienia sądzić można, jestto ubior, co się zowie skomplikowany, w którym żaden z nas ruszaćby się nie potrafił. Do tego stroju jest jeszcze mnóstwo drobnych przyborów, jakoto: spinki do kaftana, małe zwierciadełka, które zawieszają się u pasa, równie jak woreczek z piżmem niezbędny dla eleganta; kobiéty wieszają nadto flakonik z różannym olejkiem, i wachlarz z piór strusich; na nogi i ręce kładą bransolety i pierścionki, na szyję bogate naszyjniki. Bogate Maurytanki dumne z tych wszystkich świecideł, jak paw z ogona swego, spędzają czas na przeglądaniu i perfumowaniu się, gładzeniu włosów, zaplataniu i rozplataniu długich warkoczy, fałdowaniu powabnie drogich materyi, mających podwyższać wdzięki, przymierzaniu nowych sukien i klejnotów i t. d.; słowem, zajmują się nie czém inném, jak mniéj więcéj wszystkie kobiéty na świecie, dowodząc prawdy włoskiego przysłowia: Tutto il mondo é fatto come la nostra famiglia.

Wracając do produktów algierskich wymienić należy liczny zbiór siodeł bogato haftowanych, i jeszcze liczniejszy obuwia rozmaitéj formy i nazwy, jakoto: belghi, rodzaj żółtych bucików; gorgi, trzewiki arabskie głębokie, sznurowane srebrnemi taśmami; sabbaty, pantofle z zadartemi nosami, niektóre bardzo piękne z aksamitu i safianu; w końcu sandały z wołowéj skóry, które noszą plemiona koczujące. Obuwie to po większéj części przywieziono z Oranu.

Siodła przeładowane ozdobami, ogromne, po większéj części aksamitne, podobne są raczéj do foteli, niż do siodeł. Kulbaka wygięta z przodu i z tyłu, do pasa zakrywa jeźdźca; w strzemionach szerokich na ćwierć łokcia, stoi się jak na ziemi: do nich przykute są ostrogi ostre, proste, z jednéj sztuki w formie szpady, któremi konia na śmierć zakłuć można. Wszystkie te rynsztunki niepraktyczne ale wspaniałe, cechują przepych wschodni.

Kabyle trudnią się wyłącznie w Algieryi kowalstwem, puszkarstwem i garncarstwem. Pałasze ich zwane flissa, oraz fuzye długie, mają być bardzo dobre. Te, które przysłali na wystawę, z pozoru nieźle wyglądają; chociaż sądzić z nich o przemyśle tamtej-

szych rzemieślników nie można, bo są to sztuki ozdobne, widocznie z wyjątkowém wypracowane staraniem. Garncarnskie wyroby Kabylów już tylko pod względem miejscowego kolorytu zajmować mogą. Po większéj części grube i niezgrabne, żadnéj nia mają wartości. To też Kabylowie przemysł ten uważają jedynie za sposób zarobienia sobie trochę grosza, na kupienie konia, fuzyi i kobiéty; skoro uzbierają potrzebną na to summę, natychmiast uciekają napowrót w pustynią, z któréj przybyli. W takich warunkach nic dziwnego, że przemysł rozwinąć się nie może.

Jakoż w każdéj gałęzi przemysłu, Arabowie nie utrzymali się na wysokości swoich przodków, którzy w wiekach średnich zarzucali świat cały bogactwem swego przemysłu, i znani byli powszechnie jako najlepsi tkacze, snycerze i puszkarze. Dzisiejsze pokolenie Arabów, Europa zdala za sobą zostawiła. Jednakowoż gdyby im środków swoich użyczyć chciała, i zajęła się ich przemysłowém wykształceniem: nie ulega wątpliwości, że wytrwały i artystyczny ten naród, wkrótce dorównałby, a może prześcignął Europejczyków.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

V.

Ducamps, Couture, Glaize, Gérôme, Cogniet, Rodakowski, Müller.

Trudno byłoby oznaczyć, do jakiéj szkoły należy Ducamps. Ingres trzyma się tradycyj Rafaelowskich; Delacroix mimo swojéj niezaprzeczonéj oryginalności, jest w prostéj linii potomkiem antwerpskich i weneckich mistrzów; każdy inny z nowoczesnych malarzy francuzkich mniejwięcéj naśladuje jakiegoś poprzednika: sam tylko Ducamps nie ma przodków.

Kształcony w szkole mistrzów grzeszących zbytkiem manieryzmu i przesady, znakomity ten artysta za piérwsze zadanie położył sobie prostotę: mniemał, że aby lepiéj malować od nauczycieli, dosyć mu będzie powrócić do czystych wzorów natury. Porzuciwszy przeto ubitą drogę szkolnéj teoryi, poszedł sobie własną

ścieszką nieprowadzącą ani na Parnas, ani pomiędzy klassyczne ruiny, ani na bohaterskie rozłogi ubi Troia fuit: ale szerokiém kołem przez morza i lądy, tam, gdzie najhojniejsze skarby rozlała przyroda; gdzie słońce najjaśniéj oświeca zielone oazy i morza błękitne; gdzie ludzie zachowali pierwotną piękność i malownicze stroje, a zwierzęta pierwotną siłę i nieskażoną jarzmem formę.

Piérwszy Ducamps pokazał Zachodowi rzeczywisty Wschód. Przed nim artyści malowali te strefy jak poeci zeszłego wieku naturę: w sentymentalnych sielankach, tak podobnych do prawdy, jak owe pasterki w różach i atłasach, lub pasterze w aksamitach, przeznaczeni na ozdobę ścian salonowych.

W téj czarownéj stronie świata, zamieszkałéj przez ludzi, którym religia zabrania wszelkiéj reprodukcyi cudów natury, widząc wkoło siebie nieprzebrane bogactwa nigdy pędzlem nietknięte, Ducamps z zapałem chwycił paletę, i niezadługo przesłał do ojczyzny prawdziwe wizerunki Wschodu, na które patrzano z podziwem, jak na nowo odkrytą ziemię.

Chmara naśladowców puściła się zaraz w pogoń za artystą do odkrytych przez niego źródeł; pielgrzymki były nieustanne. Malarz przez powracających kolegów coraz to nowe dzieła przysyłał do francuzkich muzeów, ale sam nie powrócił. Nigdy tęsknota za ojczyzną nie zakłóciła mu pogody wschodniego życia: ów jasnowłosy Turek zupełnie, zda się, zapomniał pod błękitem wschodniego nieba o pochmurnym Zachodzie. Już dwudziesty piąty rok mija, jak zamieszkał pod namiotem u stóp Balbeku; i tam, ukryty w lekkim obłoku tytuniowego dymu, przypatrując się ciągnącym karawanom, kobiétom czerpiącym wodę glinianemi dzbany z pobliskiéj krynicy, gwiazdom rozsianym na przezroczystém niebie; podsłuchując ryk lwa, wrzaski szakalów, szmer palmy, plusk morza: słowem wszystkie tajemnicze dźwięki nocy wschodniéj, żyje szczęśliwy uwieczniając na płótnie doznane wrażenia.

Ducamps posiada rzadki dar zainteresowania widza jakimbądź przedmiotem; pędzel jego jak natura nie wyraża myśli, ale je nasuwa. Któżby naprzykład nie rad usiąść pod wystawką i pokrzepić zwątlone siły fili-

żaneczką mętnéj ale wybornéj mokki, którą w téj tureckiéj kawiarni roznoszą. Na obrazie widać tylko kawał dachu podparty kolumną, pod nim ławy, a na nich kilku poważnych Turków z fajkami; więcéj nie ma nic: a przecież tak wierny jest ten obrazek codziennego życia, tyle w nim spokoju, taki miły chłód tu wieje, że nietylko przez oczy, ale jak żywa natura przez wszystkie zmysły na człowieka działa.

Nie inny jest powód powszechnego uwielbienia, jakie wywołuje mała aquarella tegoż artysty: chłopcy wychodzący z tureckiéj szkoły, którą do jego najlepszych liczą utworów. W tym orszaku żaczków, wysuwającym się przez odemknięte drzwi szkolne, Ducamps zgromadził wszystkie typy wschodnich dziecinnych fizyonomii. Radzi chwilowéj przerwie w nauce, malcy wypadają w zamieszaniu na podwórko, daremnie przywoływani do porządku przez starego bakałarza w długiéj kapocie, z wielkim nosem, na sposób zachodni mocno ściśniętym ogromnemi okularami. Każdy z nich kułakiem lub kolanem drogę sobie toruje, każdy chciałby wybiedz piérwszy; słabsi przyparci do muru nie mogąc się oprzéć prądowi, przepuszczają naprzód mocniejszych. Główki jasne, ciemne, oczy wesołe lub smutne, śmiejące lub płaczące usta, wysokie lub nizkie czoła zakończone turbanem, z uderzającą tu oddane prawdą. Ubiory, gesta, wyraz twarzy, postawa, wszystko jak żywe.

Nie ujmując zalet temu tak bardzo chwalonemu obrazkowi, nie uważamy go przecież za najlepsze dzieło Ducampa. Szkic przedstawiający przegraną Cymbrów, który artysta miał powiększyć do wielkości natury, jak niemniéj historyą Samsona w dziewięciu obrazach, świadczą jak daleko mógł był zajść Ducamps, gdyby swój talent na poważniejsze skierował pole. W obec otrzymanych rezultatów trudno żałować, że pędzla swego wyłącznie nie poświęcił historyi; wszelako nie ulega kwestyi, że tą idąc drogą, Ducamps stanąłby wyżéj w hierarchii malarskiéj, chyba że większe trudności, jakie wykonanie przedmiotu poważnego koniecznie za sobą pociąga, byłyby krępowały oryginalność pomysłów i dowolność, która jest główną jego cechą.

Przegrana Cymbrów jest zapewne najznakomitszém dziełem Ducampa. W swoim czasie obraz ten sprawił wielkie wrażenie, bo dziwnie odbijał od obrazów bitew oficyalnych, na których malarz uszykowawszy żołnierzy w szeregi wyciągnięte podług cyrkla i linii, w środku sadowił wodza z licznym sztabem. Rzecz prosta, że przy takich kompozycyach bitwa Ducampa, któréj jedynym bohaterem jest tłum walczących, musiała zwrócić uwagę. Jakoż śmiały pędzel jego niecofający się przed żadną trudnością, w bardzo szczęśliwe oblókł formy owe potężne starcie barbarzyńców z Rzymianami, które nam historya w olbrzymich ukazuje zarysach.

Nieprzeliczone tłumy roją się na polu bitwy, wyglądającém jak cyrk ogromny przez naturę przeznaczony na teatr walki dla tytanów. Ciężkie chmury nagromadzone w górze znaczą cieniem, jakby bruzdy po tych łanach głów ludzkich. Miejscami piki, hełmy i puklerze walczącéj nawały błyszczą oświecone przedzierającém się przez chmury słońcem. Na czele Rzymian, siedząc na spinającym się rumaku Maryusz, wydaje rozkazy; wyciągnął rękę i gestem w którym znać dumę rzymskiego pół-boga, nakazuje kohortom w pień wycinać pierzchających Cymbrów. Dzicz na głowę pobita, szerokim szlakiem płynie w dolinę, uprowadzając wozy ciągnione przez postraszone woły, konie poległych, kobiéty co swe dzieci pod koła rzucają, wojowników krwią zlanych i kapłanów przeklinających swe bóstwa. Na piérwszym planie leżą stosy trupów. Sine światło przedzierające się przez burzliwą atmosferę oświeca tę rzeź straszną; cały krajobraz dziki, przygniata pełne piorunów niebo, do którego daremnieby wznosić ręce, bo zeń tylko stada sępów spadną na ziemię.

Mimo szczupłych rozmiarów, Przegrana Cymbrów wielkością przedmiotu, kompozycyi i wykonania zjednała sobie piękne miejsce miedzy celnemi dziełami sztuki.

Jakby wysilony powyższym obrazem, Ducamps po jego ukończeniu rzucił się wyłącznie w przedmioty lekkie, wesołe, i długi czas samą tylko stronę śmieszną z życia ludzi lub zwierząt malował. W téj seryi obra-

zów, małpa-malarz i małpy amatorowie piérwsze zajmują miejsce. Na piérwszym obrazie małpa siedzi przed pulpitem w postawie, którą od pana swego przejęła i wykończa pejzaż; prawą nogę wyciągnąwszy niedbale, pochyla się na przód, cała zatopiona w pracy którą mniema być arcydziełem. Przez odemknięte drzwi widać drugą małpę rozcierającą farby dla czworonożnego artysty. Przybory malarskie: farby, pędzle, paleta, butelka z olejem, stół na którym to wszystko rozstawione najstaranniéj, zamykają ten buffo obrazek.

Drugie płótno, które za pendant służy poprzedniemu, przedstawia małpy naśladujące komiczne obyczaje niektórych znawców oglądających obrazy. Jedna z nich w ogromnéj zielonéj umbreli, siedzi naprzeciw pejzażu i kiwa głową na znak zadowolenia; w jednéj ręce trzyma lornetkę, drugą gładzi kosmatą nogę, z gracyą założoną na lewe kolano. Za nią inna stoi o krzesło oparta i patrzy przez perspektywę. Trzecia w siwym paletocie i czarnym czepku jedwabnym czeka, żeby z kolei sąd swój wypowiedzieć mogła; tymczasem przygotowując przystąpienie do rzeczy, kapelusz i laskę trzyma z tyłu, żeby módz bez przeszkód zbliżyć się do obrazu. Przy drzwiach służący tejże rasy, stoi w butach ze sztylpami, trzymając pod pachą parasol. Niniejszy obrazek jest satyrą na paryzkich sędziów przysięgłych, którzy z nieubłaganą surowością zwykli krytykować młodych artystów.

Do tejże seryi należą: dziad rachujący dzienną kwestę; Hiszpanie grający w karty; małpa piekarz; psiarczyk z psami; kogut na śmieciśku i wiele drobnych utworów tego rodzaju, które artysta przed wyjazdem na Wschód wykonał. Po tych idą już same wschodnie obrazy.

Piérwsze przedstawiają widoki zdjęte w Smyrnie, jakoto: patrol, wypoczynek arabskiéj karawany i wielki bazar turecki: rzecz bardzo znakomita. Artysta przedstawił jednę z wązkich ulic Smyrny, nakrytą z góry matami i deskami; pod ich cieniem przerywanym gdzieniegdzie jaskrawym pasem słońca, krąży tłum różnobarwny, targując rozłożone towary. Tu i owdzie twarz Turka odbija bladością i spokojem od gwałtownych i ogorzałych rysów Greka,

którego oczy niespokojne latają wciąż jak jaskółki przed burzą. Tu żywo gestykulująca kramarska grupa żydów lub Armeńczyków uderza patrzącego, owdzie kobiéta z zasłonioną twarzą targuje drogie materye; środkiem postępują wolno objuczone osły. Tu i owdzie przy nodze przechodnia pies się przemyka, ów uprzywiliowany mieszkaniec wschodniego miasta, niosąc sobie do nory jakąś podstępem czy prośbą uzyskaną przekąskę; w głębi, daleko, widać niebieskie morze i białe żagle kaików.

Wyborny ten obraz odrazu wtajemnicza widzów w życie wschodnie; rzeczywistość niewieleby go więcéj nauczyła, a może mniéj nawet, bo oczy Ducampa widzą za tysiące. Przedmioty zaś: ludzie, zwierzęta, architektura, powietrze, woda i ziemia tak prawdziwie i bez najmniejszéj oddane przesady, że najsurowszy krytyk, co widział rzeczy na miejscu, żadnéj w nich poprawki nie wymyśli.

Wspomnienie Turcyi Azyatyckiéj, krajobraz Anatolii, kordegarda turecka i rzeźnik turecki, niemniéj się zalecają kolorytem miejscowym. Do téj seryi widoków azyatyckich, z których ledwie kilka wymieniłem, należą trzy obrazy biblijne: Józef sprzedany przez braci, Eliezer i Rebeka, Mojżesz ocalony z toni, oraz dziewięć kartonów przedstawiających ważniejsze ustępy z historyi Samsona.

Te dziewięć kartonów, które miały służyć za wzory do obrazów olejnych naturalnéj wielkości, są rzeczywistą rewelacyą talentu Ducampa; patrząc na wyborny ich rysunek, dorównywający mocą i czystością linij utworom piérwszych mistrzów, pojąć nie można, czemu artysta zaniechał wykonania dzieła, któreby go postawiło w rzędzie najsławniejszych malarzy.

Historyą żydowskiego Herkulesa Ducamps rozpoczyna od zwiastowania. Anioł Pański oznajmia Manoahowi i żonie jego, że narodzi się z nich syn, który będzie postrachem nieprzyjaciół Izraela. Klęczącą parę otacza dziki skalisty krajobraz.

Drugi ustęp przedstawia już dorosłego Samsona. Obdarzony nadziemską siłą, bohater rozdziera lwa na dwie połowy jak kawał szmaty; straszliwe zwierze da-

remnie ku obronie wydłuża szpony, chcąc je we krwi wroga ubroczyć: zginie nie zadrasnąwszy nawet stalowych jego członków.

Na następnym kartonie widzimy, jak Samson dla igraszki puszcza w zboża Filistynów 300 szakali z przywiązanemi do ogonów płonącemi pochodniami. Łany kłosów mocnym kołysane wiatrem, zajmują się z szybkością błyskawicy: za chwilę całe pola jeden wielki przedstawią pożar. Sprawca pożaru siedząc na odłamie kamienia, z uśmiechem przypatruje się swemu dziełu.

Daléj widzimy go jak sam jeden zabija oślą szczęką tysiące Filistynów; podobny do Rolanda, co mieczem rozcinał skały, Samson 100 wrogów jednym uśmierca zamachem: wkoło niego leży wał poległych, w ręku trzyma jednego za włosy, używając go zamiast maczugi. Postawa bohatera i gest jego z nadzwyczajną oddane są potęgą.

Piąta kompozycya przedstawia Samsona wyłamującego bramy Gazy. Jestto widok nocny. Gwieździste niebo osłania pogrążone we śnie miasto na wzgórzu; Samson wypartą z zawiasów bramę unosi na plecach obok uśpionéj straży; wkoło zalega tajemnicza cisza. Pan Ducamps, co tak pięknie słoneczne dnie Wschodu maluje, niemniéj dobrze i noc przedstawił.

Daléj podstępna Dalila silnemi sznury krępuje śpiącego przy swym boku kochanka, ale na okrzyk Filistynów, ten budzi się i jak Guliwer powiązany pajęczyną przez liliputów, targa bezwiednie prawie opasującą go siatkę z lin konopnych.

Skoro pobiwszy wrogów powraca znowu na łoże i zasypia, Dalila obcina mu włosy. Lew Judy pozbawiony grzywy utraca moc swoję, bezsilny daje się pojmać i uprowadzić przez czyhających na swą zgubę nieprzyjaciół. Niecna kobiéta z szyderstwem pokazuje mu fatalne nożyce, a on jak prosty śmiertelnik ze spuszczoną głową opuszcza ten dom, do którego przybył wszech potężny.

Po téj scenie widzimy Samsona z wydartemi oczyma krążącego jak lew poza żelazną kratą, która go przedziela od Filistynów, pojących się nieszczęściem zwyciężonego wroga.

Ale niedługo cieszyli się wygraną; w miarę jak odrastały włosy, wracała dawna moc Samsonowi. Aż w końcu na ostatnim obrazie widzimy go, jak jedném wstrząśnieniem kolumny burzy gmach cały i pada pod nim.

Ta ostatnia scena najpiękniejsza ze wszystkich, przenosi widza w świat biblijny. Nieinaczéj musiały wyglądać pałace starożytnéj Gazy, razem w egipskim i fenickim guście budowane, nieinaczéj ubiory możnych Filistynów: płaszcze oszywane frandzlą, któremi ich przyodział artysta, przypominają nieco zwykłe ubiory jakie przywdziewają rabinowie do modłów w bożnicy, ozdoby zaś w które ustroił kobiéty: naszyjniki, bransolety, kolce, dyadema, podobne do tych, jakie nam przechowały starożytne granity, gdzieś z egipskich wygrzebane piasków. Ducamps celuje między wszystkiemi w oddawaniu miejscowego kolorytu; jeżeli mu go wieki zatarły, odgaduje takowy przez intuicyą, i wierny obraz owego wieku, tylko odmłodniały o lat tysiące, przedstawia zdumionemu oku. Nie będąc realistą jak Courbette, nie jest idealistą: przedstawia naturę jak ją widzi, chociaż ze stanowiska artystycznego; uwydatnia w niéj piękności ukryte zwykłemu oku, niepoprawiając jéj atoli nigdzie, jak to często się zdarza malarzom, i to jest właśnie zaleta, któréj zawdzięcza wysokie miejsce, jakie pomiędzy malarzami francuzkiemi zajmuje.

Zdarzają się geniusze objawiające się światu jednym tylko utworem; stwarzają jedno dzieło, poemat, symfonią, statuę lub obraz, bo ten tylko a nie inny przedmiot zrozumieli. Piérwsze ich słowo jest zarazem ostatniém, mają tylko jeden kwiat i ten dają; lub może umysł ich odrazu cel osiągnąwszy, już na inne rzeczy nie patrzy, jak strzelec co potężnego orła ugodziwszy w obłokach, syt łupu, na wiatr wypuszcza strzały. Do liczby takich geniuszów, jak naprzykład Rouget de Lisle, który się uwiecznił jedną tylko pieśnią, należy Couture malarz Orgii Rzymskiéj. Szkoda tylko, że po ukończeniu tego obrazu nie połamał palety. Couture od niechcenia wymalował jeszcze kilka obrazów, jakby na dowód, że go na jedno tylko arcydzieło stać było.

Orgia Rzymska wystawiona piérwszy raz na wystawie paryzkiéj 1849 roku i zakupiona wtedy do

galeryi Luxemburskiéj, powszechnie jest znaną: mimo to sumienny sprawozdawca nie może pominąć tego obrazu, bo nadto ważne na wystawie zajmuje miejsce. Następne słowa Juvenalisa posłużyły za treść malarzowi:

.... „Obarcza nas, mówi historyk, plaga nierozłączna od długiego pokoju: straszniejszy od wojny zbytek przyszedł na nas, i mści się za świat ujarzmiony"...

Orgia Coutura mieści się w sali korynckiemi podpartéj kolumnami, które uwydatnia niebieskawy brzask świtu; posągi dawnych Rzymian sławnych z męztwa i cnoty, ustawione rzędami, patrzą na sromotę potomków: rzekłbyś, że marmurowe ich źrenice ciskają chwilami błyski oburzenia...a kamienne usta wykrzywia uśmiech pogardy. Jeden z biesiadników urągający cnocie jak Don Juan Komandorowi, staje na piedestale Brutusa i podaje mu winem nalaną czarę.

Na wspaniałém łożu okrytém drogą materyą, leżą starożytnym obyczajem ucztujące gruppy mniéj więcéj powalone rozpustą; malarz bowiem obrał chwilę, w któréj rozkosz przestaje być rozkoszą, a nektary i ambrozye nie pragnienie, ale wstręt budzą: ciało niczego już nie pragnie tylko spoczynku, język kołczeje, powieki ołowiany sen przyciska, słowem cały organizm człowieka wypowiada mu posłuszeństwo, i jak rumak nad przepaścią spina się, niechcąc czynić zadość woli szalonego jeźdźca. Potężni Rzymianie, których dziez północy nie przeparła, panowie świata, leżą tutaj bezduszni, bezwładni... pozbawieni woli lub owładnieni szałem pijaństwa. Owe czoła, których stalowe nie ugięły przyłbice, gną się pod ciężarem kwiatów; silne ich dłonie co ogromnym mieczem miliony głów ścinały, nie mogą unieść czary. Wino, i silniejsza niż Attylla rozpusta, zwyciężyły rzymskich bohaterów.

Główną figurą obrazu jest leżąca we środku kobiéta, którą możnaby wziąć za uosobienie Rzymu. Odziana białą tuniką lekką, karbowaną, w drobniuchne fałdki, sama jedna pośród powszechnego rozstroju spokojna jest i twarz ma pogodną. Dwa długie sploty kruczych włosów spadają po obu stronach bladego jéj oblicza; pałające oczy jak dwa czarne dyamenty podnoszą białość jéj cery; w całéj rozkosznéj postaci rozla-

ny jakiś powab potężny a zgubny. Taką musiała się przedstawiać Armida w myśli Torquata, kiedy w poemacie swoim kładł na nią trudną missyą obłąkania Bogu poświęconych rycerzy. W oczach téj marmurowéj Messaliny czytasz nigdy nienasyconą żądzę zbytku, krwi i złota. O jakiéj nowéj rozkoszy duma teraz owa piękność, zwiesiwszy niedbale toczoną rękę, złotym opasaną wężem, jakie nowe a niepodobne do urzeczywistnienia roi przedsięwzięcia:—trudno wiedzieć... a ktoby wiedział, pewnieby nie napisał.

Za nią kobiéta napół naga przeciąga się znużona całonocną hulanką. Niżéj u nóg Armidy, inna przykryta płaszczem z rozpuszczonych włosów, sięga po nalany puhar, który jéj jeden z biesiadników podaje. Rozwieszone na piérwszym planie różnobarwne girlandy kwiatów dodają blasku téj wspaniałéj sali. Z boku stoją dwaj ludzie oparci o kolumny. Prosta ich odzież i twarze surowe, zdradzają stoików; przyszli tu pewnie nie po to, żeby się bawić, ale żeby widzieć i sądzić, gdyż nie biorą żadnego udziału w biesiadzie.

Wiele scen śmiesznych, tu i owdzie rozsianych, przerywa surową myśl obrazu: w czém malarz naśladował Rembrandta, Andrzeja del Sarte i innych mistrzów, przekładających prawdę nad piękno, a rzeczywistość nad ideały. Téj atoli realności Coutura zawdzięczyć należy oddanie Orgii rzymskiéj z całą potęgą ziemskich namiętności; idealista byłby się zapewne z ubliżeniem prawdzie cofnął nie przed jednym z nieuchronnych podobnéj sceny ustępów, przez co obraz zyskałby wiele na estetyczności, ale zarazem przestał być dagierotypem rzymskiéj rozpusty.

Pręgierz, obraz pana Glaize jest jednym z najpoważniejszych utworów w galeryi francuzkiéj, a rozmiarami obojętnych nawet widzów przyciąga. Na szczęście, co się rzadko zdarza, myśl obrazu odpowiada proporcyi. Artysta z dziejów całego świata wybrał kilkunastu ludzi należących do rzędu tych ofiar, co światu myśl nową przynosząc, siebie na prześladowania lub śmierć męczeńską narazili.

We środku obrazu Chrystus niepoznany w ludzkiém ciele, lżony, bity, nareszcie ukrzyżowany, zwiesza głowę w cierniowéj koronie; za krzyżem anioł biało-

pióry trzyma wstęgę z napisem: „Pater, dimitte illis non enim sciunt quod faciunt.” Pod rusztowaniem stoją cztéry potwory od wieków prześladujące ludzkość: nędza, ciemnota, gwałt i obłuda: wszystkie cztéry znakomicie oddane. Nędzę uosabia kobiéta wychudła i ołysiała, z wyschłą piersią, którą ssie zagłodzone niemowlę; opasła ciemnota z nizkiém czołem i ogromnemi uszyma, wiernym jest obrazem głupstwa; gwałt uosabia kat z potężnym karkiem i krwawemi oczyma; obłuda trzyma w dłoni maskę, którą stosownie do okoliczności twarz obrzydłą przed ludźmi zakrywa.

Po lewéj stronie Chrystusa, Sokrates w jednéj ręce trzyma truciznę, drugą wskazuje niebo. Obok niego bajczarz Ezop, którego Delficcy kapłani ze skały strącili, obawiając się jego rozumu; daléj mądra i piękna Hypatya, którą chrześciańscy fanatycy włóczyli po ulicach Alexandryi, a w końcu zamordowali; daléj Keppler który odkrył ruch ciał niebieskich i umarł z głodu nie mogąc się doprosić kawałka chleba; daléj Galileusz ofiara inkwizycyi świętéj; przy nim Palissy uczony poprzednik Cuviera, ogrzewający zmarzłe członki przy meblach swoich, palących się zamiast drzewa.

Obok Chrystusa na prawo, Homer o którego po śmierci siedm miast się dobijało, a za życia ślepemu o żebraczym kiju, rzadko kto kawałkiem chleba za nieśmiertelne zapłacił pieśni. Przy nim Dante prześladowany i wygnany z ojczyzny; Cervantes więziony, nędzny, niezrozumiany; Joanna D'Arc, któréj za ocalenie Francyi dostał się stos roueński w nagrodę; Kolumb za odkrycie nowego świata otrzymujący kajdany; Salomon de Caus najpiérwszy wynalazca maszyny parowéj, zamknięty jako waryat w Bicêtre; Pepin łamiący w rozpaczy model swego parowca; nakoniec Stefan Dolet, wolny myśliciel, powieszony i spalony za dzieła swoje.

Oto ofiary, których malarz użył jako liter do wypisania myśli swojéj. Ileż imion męczenników można było zapisać obok wymienionych, a może zamiast wymienionych? Ale trudno między męczennikami zaprowadzać hierarchią; każdy z nich zarówno godzien współczucia, a imiona ich nie potrzebują pomników ani obrazów, żeby nie zaginęły, bo je sam Bóg w złotéj zapisuje księdze.

Gérome, młody artysta, stojący na czele dość licznéj szkoły, nie poszedł za przykładem najznakomitszych tutejszych malarzy, którzy spoczywając na laurach, zamiast nowych dowodów talentu, zgromadzili na wystawie swoje najlepsze w ciągu pół wieku stworzone obrazy, jakby dla pokazania światu tytułów nadających im prawo figurowania w poczecie sławnych mistrzów. Młody malarz chociaż miał się także z czém pochwalić, żadnego ze swoich dawniejszych dzieł nie pokazał, ale wykończył umyślnie na wielki jubileusz sztuki trzy obrazy, z których wiek Augusta na szczególną zasługuje uwagę. Jestto obraz historyczny w wysokiém znaczeniu tego słowa: wyobraża on owę zenitową chwilę rzymskiéj potęgi, którą Bossuet temi opisuje słowy:

....„Ostatki rzeczypospolitéj giną z Brutusem i Cassiusem; Antoniusz i Cezar zrujnowawszy Lepida, obracają się przeciw sobie: cała potęga rzymska wylewa się na morze. Cezar wygrywa bitwę Aktyacką; siły Egiptu i Wschodu, które wiódł z sobą Antoniusz, rozbite; wszyscy przyjaciele opuszczają go, nawet Kleopatra dla któréj się zgubił.... Wszystko ustępuje fortunie Cezara: Alexandrya otwiera mu swe bramy, Egipt staje się prowincyą rzymską. Kleopatra zwątpiwszy o oporze, zabija się wkrótce po Antoniuszu. Rzym wyciąga ręce do Cezara (Oktawiana), który przybrawszy imię Augusta a tytuł imperatora, staje się wyłącznym władzcą państwa rzymskiego. Pod Pirenejami poskramia zbuntowanych Kantabrów i Asturyjczyków; Etyopia o pokój go prosi; przestraszeni Partowie odsyłają mu zdobyte na Krassusie chorągwie i wszystkich rzymskich niewolników; Indye chcą z nim zawrzéć przymierze; Pannonia go uznaje, Germania go się lęka. Zwycięzki na morzu i lądzie Cezar-Augustus zamyka świątynią Janusa. Świat cały żyje w spokoju pod jego berłem, i Chrystus się rodzi"...

Ogromny obraz Géroma wysnuty z powyższych słów Bossueta, wyobraża syntezę stuletnich dziejów całego świata.

Pod pogodnym niebios błękitem widać zamkniętą trzeci raz od założenia Rzymu świątynię Janusa; poza nią tonące w złotéj kurzawie miasto nieśmiertelne.

Przed świątynią siedzi ubóstwiony August na złotym tronie, na którym napis: Cezar Augustus imperator. Victor Cantabrorum, Asturum, Parthorum, Rhoetorum et Indorum, Germaniae, Pannoniaeque dominator, Pacificator Orbis, Pater Patriae.

August, jak bogowie Olimpu ma obnażone piersi; biała draperya przerzucona przez ramię spada mu na nogi, czoło jego wieńczą laury zwycięzkie, w lewéj ręce trzyma berło, a prawą opiera na ramieniu kobiéty w hełmie, w czerwonéj todze i z puklerzem w dłoni, która jest uosobieniem Rzymu. Obok imperatora stoi posąg kapitolińskiego Jowisza i orzeł rzymski.

Głowa Augusta wspaniale jest narysowana; oczy jego jako śmiertelnika, co już wié wszystko, nie patrzą wcale, na milczących ustach igra niby pół-uśmiech... Na co mu słowa? dosyć brwi zmarszczyć, żeby za sobą świat pociągnąć! Pośród całéj kompozycyi blada i nieruchoma postać Augusta wydaje się jak posąg, przed którym cała ludzkość czołem bije.

Rzym, pod postacią kobiéty, sam jeden śmie się oprzéć o tron ojca ojczyzny. Podobna do zwycięzkiéj Kloryndy bohaterka w ponsowéj todze, patrzy na Augusta jak żona na ukochanego męża. Rysy jéj wiecznie trwałéj piękności uosabiają tajemniczą nazwę Roma Aeterna.

Po prawéj stronie tronu stoi dorastający Tyberyusz w białéj todze; za nim senatorowie i konsule, pomiędzy którymi widać Agryppę założyciela Pantheonu.

Téj gruppie dostojników rzymskich odpowiada na przeciwnéj stronie obrazu stojący poczet literatów, poetów i artystów. Na ich czele stoi zadumany Virgiliusz, cisnący do piersi swe księgi, jakby dla pokazania, że najlepsze myśli z serca płyną. Przy nim Horacy, Tibull, Tytus Livius, Vitruvius, rzeźbiarz z dłutem w ręku, aktor z maską, malarz z paletą, i rozmaici artyści uosabiający kwitnącą epokę sztuk pięknych.

Na ogromnych schodach świątyni, poniżéj wymienionych figur leżą zwłoki zamordowanego Juliusza Cezara. Brutus z Kassiusem, sprawcy morderstwa, oddalają się szybko: piérwszy z nich odwraca głowę ku zmarłemu z wyrazem głębokiego bolu, jakby mu brzmiał

ciągle w uszach wyrzut konającego: „Et tu Brute contra me?"

Niżéj Kleopatra, ów wąż Nilowy, jak ją Szekspir zowie, opasuje ostatnim uściskiem zimne zwłoki Antoniusza.

Jeszcze niżéj na ostatnich schodach, niezmierne tłumy ludu cisną się całując proch, po którym stąpały imperatorskie koturny. Widać tu ludy całego świata: rozmaite plemiona wschodnie, Partów odnoszących zabrane orły, kobiety prawie nagie przybyłe z głębi Azyi, Greków, Gallów okrytych skórami drapieżnych zwierząt, wreszcie Indyan z nad brzegów Gangesu, przywożących na ogromnym słoniu kosztowne dary dla Augusta.

Na przeciwnéj stronie obrazu, (zapewne dla symetryi ze słoniem), jadą na wielbłądach Araby w białych burnusach, z boku stoi stary rudo-brody, okryty gałganami żyd, wydający się jak plama pośród otaczającego go zbytku. Jestto zapewne ojciec żyda wiecznego, przeczuwający dolę swego potomstwa. Z kijem pielgrzymim w dłoni i dziadowską torbą na plecach, przypatruje się z szyderstwem temu orszakowi pogardzających nim ludów, które piérwéj niż on zaginąć mają.

Pośród tych tłumów w samym środku obrazu, błyszczy jasna gruppa, którą anioł rozpostartemi osłania skrzydłami. Podczas tryumfów Augusta, w ciemnéj stajence rodzi się Dzieciątko, zarodek nowego wieku na łonie starego poczęty:—Chrystus przychodzi na świat.

Malarz dla żywszego kontrastu pomiędzy pogańskim a chrześciańskim światem, światem materyi a światem ducha, gotyckim sposobem wymalował św. rodzinę: Maryą Józefa i Dzieciątko starał się oddać z Rafaelowską prostotą. Jestto bardzo szczęśliwa myśl, dodająca wiele efektu obrazowi. Prócz téj jest tam jeszcze inna, niewyraźna, ale zrozumiała dla tych, co uważnie obejrzą tę kompozycyą. Widząc Augusta na złotym tronie, który sam jeden przeważa napływające tłumy, koniecznie myśl się nasuwa, że ta wezbrana rzeka zaleje w końcu ową jasną wyżynę, na któréj pokój, poezya i sztuki do siebie się uśmiechają.

Cały układ wieku Augusta niezmiernie jest wysoki i filozoficzny. Ogromny ten obraz wykonany lekko, bez przesady ani wyszukanych efektów, dla historyków równie jak dla artystów jest niewyczerpaną kopalnią

spostrzeżeń. Chętnie dłużéjbyśmy przy nim pozostali, gdyby smutny a wymowny pędzel Cognieta nie pociągał nas w inną stronę. Ileż bo obrazów sławy lub szczęścia porzuca człowiek, pociągniony bolesnym jękiem ludzkiéj niedoli, którą Cogniet tak żywo, tak gorąco oddał w swym Tintorecie malującym umarłą córkę.

Tintoret nieutulony w żalu po śmierci młodéj żony, całą miłość swoję przelał na córkę, którą mu zostawiła. Młodziuchna Marya Tintoretta była radością, uśmiechem, jedynym kwiatkiem kwitnącym w ojcowskiéj pracowni; malowała równie pięknie jak ojciec i tak go kochała, że go nie chciała opuścić, chociaż świetne nastręczały jéj się zamęścia. Ale śmierć nieubłagana przerwała jasny wątek wspólnego ich życia. W roku 1590 dwudziestoletnia Marya umarła.... Czy Tintoret miał odwagę, jak to przypuszcza Cogniet, malowania swéj jedynéj, ukochanéj, rozciągniętéj na śmiertelném łożu córki, patrząc nań łzami zaćmionemi oczyma: tego nie powiada biograf; czy był więcéj artystą niż ojcem? także nie mówi. Cóżkolwiekbądź, nie psychologicznie, ale artystycznie na nią się zapatrując, kompozycya Cognieta rozdzierający ma powab.

Dziewica leży martwa na posłaniu, które wkrótce trumna zastąpi. Piękna jéj głowa w marmur śmiertelném zimnem przemieniona, spoczywa na poduszce oparta. Stary ojciec w poszarpanéj odzieży, starganym włosem, z wyrazem niemiéj rozpaczy, przenosi na płótno drogie rysy, zanim mu je grób zakryje. Blada lampa umarłych, czerwonym blaskiem oświeca bolesną scenę.

Obraz ten ogromne sprawił wrażenie na wystawie tutejszéj 1843 roku, na któréj piérwszy raz pokazał się światu. Najdawniejszy utwór Cognieta, Rzeź niewiniątek, wykonany jeszcze w 1824 roku nie może iść w porównanie z córką Tintoretta, która jest arcydziełem. Portret markizy odzianéj w szkarłatny aksamit i koronki, jest jeżeli nie najlepszy, to jeden z najlepszych portretów na wystawie. Sztukę robienia portretów Cogniet nietylko sam w bardzo wysokim posiada stopniu, ale umié udzielić jéj drugim. Dowodem portret matki, który wystawił uczeń jego pan Rodakowski. Dzieło pana Rodakowskiego natchnione gorącym matki uściskiem, dorównywa najlepszym utworom Cognieta: obaj malują pędzlem pełnym uczucia i wdzięku, który dzieła

ich zdaleka we francuzkiéj galeryi rozpoznać dozwala. Oprócz portretu matki, Rodakowski wystawił portret dyrektora muzeum Luwru pana Villot. Wielkiego obrazu jego bitwy chocimskiéj (z wielu względów znakomitego dzieła, o którém szczegółowo mówiliśmy czytelnikom naszym w Kronice zagranicznéj), zapewne z powodu miejscowych i czasowych okoliczności na wystawę nie przyjęto.

Największe dwa obrazy w największym salonie galeryi francuzkiéj są pędzla Mullera. Jeden powszechnie znany przedstawia „Apel ostatnich ofiar terroryzmu;" drugi „Wejście do Paryża 30 marca 1814 r. rozbitków wielkiéj armii. Pan Muller znakomity malarz swojéj epoki, same nowoczesne przedstawia wypadki. Nie szuka on po kronikach zaćmionych legiend, ani z zapadłéj przeszłości wydobyte dziwadła przedstawia oku żyjącéj generacyi. Malować figury Achillesów i Agamemnonów epoki naszéj, ubranych jak my, odtwarzać typy nie uczczone posągami, a posągowe: oto założenie artysty śmiałe i trudne, ale dowiódł, że dla niego całkowicie przystępne.

Piérwszy z wymienionych obrazów, jeden z najpiękniejszych w luxemburskiéj galeryi, przedstawia zgromadzonych w Conciergerie więźniów skazanych na śmierć. Urzędnik rzeczypospolitéj w trójkolorowéj szarfie czyta nazwiska tych, których głowy najpierw spaść mają pod gilotyną. Nieszczęśliwi, dech wstrzymując słuchają czyje wypadnie imię z ust czytającego. Wymienionych krępują katy.

Jestto scena całkowicie prawdziwa: prawie wszystkie na obrazie zgromadzone figury (a jest ich sto przeszło) są portretami nieszczęsnych ofiar owych dni strasznych, kiedy „gilotyna ręką machała stalową, a ilekroć skinęła, lud umniejszał głową."

Na przodzie siedzi Chenier blady jak chusta. Wyraziste oczy jego zdają się napróżno silić na przeniknienie mgły, która mu nie już jego, ale los pozostających krwawą łuną zakrywa. Oparty na krawędzi krzesła, niespokojną myśl zwraca znów ku sobie: uderza ręką w czoło i zdaje się mówić słowa, które wyrzekł kładąc głowę na fatalnéj desce: „Przecież tam musi być coś!."

Rozdzierające sceny wokoło otaczają młodziana: bezsilni pasują się z przemocą, gwałt, niema i głośna

rozpacz, prośby, przekleństwa, modlitwy i złorzeczenia, jednym chórem płyną w nieubłagane niebiosa... A wszystko tu konwulsyjnie żywe, przerażające, straszne...

Piękne kobiéty pełne powabu i dostojeństwa, których ubiór wykwintny jest jakby ostatnią protestacyą arystokracyi przeciw gwałtom frygijskiéj czapki, widne tu i owdzie pośród szarego tłumu, jak białe lilie wśród chwastu, łagodzą nieco krwawy ten dramat, na który patrzéć bez dreszczu nie można.

Dzień 30 marca 1814 r. krwawemi zapisany literami w kalendarzu historyi francuzkiéj, odpowiada formą i duchem poprzedniemu obrazowi. Nad bramą Saint-Denis wiszą szare, jednostajne niebiosa, ciężkie jak dach ołowiany. Z otwartych okien nieruchomi patrzą widze, bezlistne drzewa nagie wyciągają gałęzie, środkiem drogi, jakby rzeka niosąca szczątki sławy cesarstwa, płynie długi szereg rannych wszelkiéj broni i rangi: bohaterowie staréj gwardyi, artylerzyści, wołtyżery, strzelcy, kirasiery, ułany, i proste piechury, postrzelani, pokłuci, porąbani, ledwie się wloką żałując, że nie polegli, kiedy tyle męztwa nie ocaliło Francyi. Wchodzą ze ściśniętém sercem i gorzką łzą w oku w też same bramy, które opuszczali pełni radośnéj otuchy. Paryż przyjmuje ich ze smutném współczuciem i pomoc im niesie na wyścigi. Ten oto oślepły oficer już znalazł swoję Antygonę, tutaj kobiéty opatrują nogę starego wiarusa, tego pod ręce prowadzą, temu krew z ran ciekącą tamują. Z tych wszystkich ludzi nie złożyłby jednego całego człowieka, a jednak te kaleki niepomne własnéj nędzy i bolu, tu i owdzie rzucając w górę czapki, krzyczą: „Niech żyje cesarz!"

Niełatwo było oddać gorąco ten dzień bezsłoneczny, te zrozpaczone twarze 200 ludzi, zabłocone i podarte odzieże: słowem ten zbroczony łachman, który kiedyś był armią; dać uczuć, że pod tą w strzępach odzieżą, pod krwią co zalała szlachetne rysy i zamazała czerwone wstążeczki, jeszcze żywo bije serce Francyi.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

KRONIKA LITERACKA.

Osann, o fragmentach Troga, wydanych przez Bielowskiego.

Wyszłe przed rokiem we Lwowie Pompeja Troga ułamki, nie znalazły w Polsce krytyka, któryby ich zalety i niedostatki ze stanowiska naukowego wytknąwszy, okazał, czém są właściwie między dzisiejszemi na polu filologii klassycznéj pojawami. I nie dziw: nauka, jak wszelki plon, potrzebuje właściwego pola i odpowiedniéj sobie uprawy. W krajach sąsiednich, gdzie mnóstwo posad wyłącznie naukowych, zdolności narodowe wokoło siebie gromadzą, dozwalając zaprowadzić na wielki rozmiar podział pracy, dla wzrostu umiejętności tyle zbawienny, i oddawać się całe życie, pewnych, odrębnych nauk pielęgnowaniu. Góruje w tym względzie Niemcza w wielomilionowym ogromie swoim na liczne kraje i kraiki rozdrobniona, a któréj sam skład polityczny w innych względach mniéj może dogodny, okazał się nader przyjazny pewnym naukowym usposobieniom, a przedewszystkiém filologii. Jakoż mnóstwo jest w Niemczech mężów, co usilnie a w skromności ducha około odgrzebywania i wyjaśnienia bądź starożytnych, bądź średnio-wiekowych pomników pracując, zasłużyli się wielce naukom, i imię swoje obok tychże pomników do potomności przesłali. Są między nimi i tacy, co wzrok swój na wzorach starożytnych zaprawiwszy, przeniknęli z bystrością nowsze źródła dziejowe i samém zamiłowaniem umiejętności kierowani, wnoszą światło i w dzieje nasze ojczyste, a ich imiona spominane są u nas z uwielbieniem. Nie będzie przeto rzeczą dla ziomków naszych obojętną, dowiedzieć się, jakie jest zdanie tychże Niemców o książce, która z dwojakiego względu nas najbliżéj tyczy się: raz, że zawierające się w niéj ułamki historyka starożytnego głównie w polskiéj, Ossolińskich bibliotece były wykryte; powtóre, że we Lwowie i przez rodaka wydane i objaśnione zostały.

Zpomiędzy znawców, jacy się dotąd ze zdaniem o dziełku pana Bielowskiego w Niemczech odezwali, zasługuje na największą uwagę *Fryderyk Gotthilf Osann.* tak przez swoje stanowisko jakie między filologami zajmuje, jako też ztąd, że w sprawozdaniu swojém nie ogranicza się na jednym lub drugim z ważniejszych szczegółów, ale przechodzi krok za krokiem całe to dziełko: wytacza starannie dowody mówiące tak za jedném zdaniem, jak za drugiém; a wyrokuje ogłędnie i z wielką sumiennością. Recenzyą jego w piśmie lipskiém: *Neue Jahrbuecher fuer Philologie und Pedagogik, Band* LXX, *Heft* I, stron. 54—69 umieszczoną, podajemy tu w wiernym przekładzie. Jeżeliśmy się atoli odważyli, obok zdań takiego znawcy, dołączyć tu i owdzie w przypisku naszę uwagę: uczyniliśmy to nie w celu ubliżenia w czémkolwiek tak znakomitemu mężowi, lecz że rzecz przez niego rozbierana, była przez czas długi takoż i naszych studyów ulubionym przedmiotem; żeśmy się z jéj widokami oswajali już wtedy, kiedy jeszcze w rękopismach leżała. Skoro w tych naszych uwagach nie ograniczamy się na gołém wynurzeniu zdania, ale zarazem wyłuszczamy powody, które nas do takowego skłoniły: czynimy przeto, jak się nam zdaje, rzecz pożyteczną dla tych, którym na wszechstronném obejrzeniu przedmiotu i wyświeceniu prawdy zależy; i tém mniéj może nam to wziąć za złe uczony sprawozdawca, z którego biografii podajemy tu kilka szczegółów dla polskiéj publiczności.

Fryderyk Gotthilf Osann urodził się w r. 1794 w Wajmarze, nauki pobierał w Jenie i w Berlinie, od r. 1813 oddając się głównie filologii. W tém ostatniém mieście habilitował się roku 1816. Robił potém podróże w celach naukowych po Niemczech, Anglii, Francyi i Włoszech, od r. 1817 do 1819; wróciwszy, uczył czas jakiś w Berlinie, a w r. 1821 został professorem w Jenie. W roku 1825 przeniósł się do Giessen. gdzie zostaje dotąd, i jest zarazem dyrektorem filologicznego seminaryum, którego sam jest założycielem. Z licznych dzieł jego, które wszystkie niemal do wydziału filologicznego należą, wymieniamy tu następujące:

Analecta critica poesis Romanorum scenicae reliquias illustrantia. Berl. 1816.

Ueber des Sophocles Ajas, Berl. 1820.

Auctuarium lexicorum graecorum. Darmst. 1824.

Beitraege zur griechischen und roemischen Litteratur-geschichte, II. B. Darmst. 1835—1839.

Commentatio grammatica de pronom. tert. personae is, ea, id, formis. Gotting. 1845.

Anecdotum romanum de notis veterum criticis imprimis Aristarchi Homericis et Iliade Heliconica, Giess. 1851. Prócz tego wydał:

Sylloge inscript. antiq. Graecor. et Roman. Darmst. 1822, 1834.

Apulei de orthographia fragmenta. Darmst. 1826.

Taciti dialogus de oratore. Giess. 1829.

Ciceronis de republica librorum fragmenta. Gotting. 1847. Suetonii Tranq. de grammaticis et rhetoribus libelli ex ejusd. opere de viris illustr. superstit. Giess 1854; i wiele innych.

Gdy po odkryciu palimpsestu Cyceronowych ksiąg *de republica*, zwrócona została uwaga tak na to dzieło, jako i na wszelkie wzmianki o niém, a w sangwinicznych uniesieniach, inne jeszcze rękopisma dzieła tego wykryć się spodziewano: odżyła na nowo powieść o polskim dziele tego kodexie. Jakoż dobrze obeznany z polską literaturą Wilhelm Munich professor krakowski, starał się za pomocą swéj rozległéj nauki, wszelkie pośrednie lub bezpośrednie ślady jego wytropić w dziełku: „*Ciceronis libri de republica illustrati, Goettingae*, 1825 r.." Poszukiwania jego nie odniosły innego skutku, jak tylko ten, że przez nie wieść o znajdowaniu się niegdyś w Polsce kodexu tego stwierdzona została. Natomiast książka pana Bielowskiego, o któréj tu mówić zamierzamy, nietylko nadaje owéj kwestyi całkiem nowy i niespodziany obrot, jak to na końcu niniejszego artykułu wskażemy; lecz wyciąga na jaw drugie podobne dzieło, mianowicie Pompeja Troga Historyą Fillipicką, dotychczas tylko ze skrócenia jakowegoś Justyna nam znaną; a wyciąga je z większym skutkiem, albowiem nietylko stara się udowodnić, że pomienione dzieło Troga znajdowało się w Polsce, i było wielokrotnie wypisywane, ale podaje nawet ułamki z niego, które w skutek takowego użytkowania przechowały się. Jakkolwiek rzecz ta sama w sobie uważana, nie jest niepodobna do prawdy, zwłaszcza gdy sobie przypomnimy, że mimo wszelkiego zkądinąd w krajach owych barbarzyństwa, literatura starożytna tu i owdzie znachodziła przytułek, w którym szczątki literatury Rzymian uszły zniszczenia, czego dowodem jest naprzykład Kodex polski Kwintyliana; przecież wymaga ona najsurowszéj krytyki, témbardziéj, że nie chodzi tu już o sprawdzenie głuchéj jakowejś wieści, ale o wzbogacenie saméjże literatury rzymskiéj niepoślednią liczbą fragmentów z dzieła owego, aczkolwiek po większéj części w nowszym przestroju. Stwierdzą się te odkrycia, tedy winni będziemy panu wydawcy tém większą wdzięczność za to niespodziane wzbogacenie nas materyałem naukowym do dziejów starożytności, że wynalezienie tych fragmentów niemało pracy i badań wieloletnich wymagało; w przeciwnym zaś razie jest obowiązkiem niezbędnym, czystość literatury starożytnéj od wtrętów jak najsurowiéj ochraniać. Zamierzając tu sąd nasz w téj mierze wynurzyć, opieramy nasze ku temu uprawnienie na sumiennem wszystkich w dziełku tém zawartych fragmentów badaniu; musimy atoli wyznać, żeśmy jednę okoliczność, dla istoty rzeczy nieobojętną, zupełnie pominąć musieli, mianowicie kwestyą o wiarogodności i pewności polskich pisarzów, z których część największa fragmentów została wyjęta. Gdy jednak biegły w ojczystéj swojéj literaturze i dziejach p. wydawca,

żadnéj w téj mierze nie podnosi wątpliwości, mnie więc jako sprawozdawcy, z mojego stanowiska, nie zostało nic innego, jak przyjąć podania te bez żadnego podejrzywania; i w rzeczy saméj, o ile sądzić w tém mogę, nie ma tu żadnych do podejrzywania powodów (1).

P. August Bielowski od roku 1845 bibliotekarz przy lwowskiéj Ossolińskich bibliotece, ile się zdaje, bardziéj literat i historyk jak filolog, chociaż obeznany dobrze z tą okolicznością, że pisarze późniejsi z Justyna czerpając, powoływać się zwykli na Troga; postrzegł imię tego ostatniego na jednym kodexie Ossolińskich przy wypisie, który u Justyna zgoła się nie znachodził. Tém pobudzony został do dalszych śledzeń, a wsparty odkryciem kilku innych małych fragmentów w rękopismach tejże biblioteki, przyszedł do przekonania, że „Pompeja Troga dzieje Filipickie, jeźli nie całe, tedy pojedyńcze ich księgi, albo przynajmniéj inne jakieś oprócz Justyna wyciągi z nich, krążyły w Polsce aż do wieku XVII." W tym celu zwrócił następnie uwagę swoję na kronikarzy polskich tak w rękopismach zostających, ile mu takowe były dostępne, jako i drukiem ogłoszonych; a poszukiwania jego nie były bez skutku

Do najważniejszych źródeł, które pan wydawca w przedmowie dokładnie wyłuszczył, a których treściwego wymienienia sam przedmiot wymagał, należy kronika Wincentego Bogusławicza, (którego Kadłubowiczem lub poprostu Kadłubkiem zowią, przełożywszy imię ojca jego Bogusława, na odpowiednie niemieckie *Gottlob*). W roku 1207 podniesiony on został do godności biskupa krakowskiego, a w roku 1223 jako mnich umarł. Kronikę zmarłego w roku 1166 biskupa krakowskiego Mateusza, przerobił Wincenty w dyalog na wzór Cyceronowych ksiąg „*de republica*"; i takową na trzy księgi podzieloną uzupełnił księgę czwartą własnego utworu. Obaj ci kronikarze znani są jako wiarogodni świadkowie i znawcy literatury klassycznéj. P. wydawca kronikę Wincentego przytaczając, wziął wprawdzie za podstawę wydanie warszawskie *Res gestae Principum et Regum Poloniae per Vincentium (Kadłubkonem) etc accidit chronicon Polonorum per Dzierswam (Miersnam)*". Atoli obok tekstu drukowanego radził się raz po raz rękopismów, których mnóstwo miał na swe zawołanie, i niemały z nich wyniósł pożytek. Dostarczyły mu też kilku ważnych fragmentów dwie kroniki Bielskiego w Białéj, w województwie sieradzkiém urodzonego, a zmarłego pod koniec wieku XVI, mianowicie jego *Kronika świata i Kronika polska:* obie acz drukowane, dziś jednak bardzo rzadkie. Nakoniec oprócz kilku rękopismów biblioteki Ossolińskich, o których powié się ni-

(1) Ostrożność z jaką tu sprawozdawca dotyka pytania o wiarogodności polskich pisarzy, może zastanowić niejednego czytelnika i wydać się zbyteczną; atoli nie zadziwi ona nikogo z tych, którzy wiedzą, jakieto potwarze na kronikarzów polskich rozsiewał po Niemczech na początku tego już wieku H. L. Schlözer i inni. *(Przyp. tłum.)*.

żéj, posłużył p. wydawcy do tego celu Długosz, roku 1415 urodzony, a zmarły w 1480, jako nominat arcybiskup lwowski. Zostawił on *Historyą polską* w dwunastu księgach, i wyciągi różne z klassyków dla uczniów swoich, a synów Kazimierza Jagiellończyka króla polskiego robione.

Z tych tedy źródeł cokolwiek przydać się mogło do Troga, i miało bądź wyraźnie położone jego imię, bądź prawdopodobieństwo za sobą, że z niego wzięte zostało: ułożył p. wydawca na księgi według porządku dzieła Justynowego, nie gardząc i temi ułamkami, które zgodne są z Justynem: a przeto niekoniecznie potrzebują być uważane jakoby bezpośrednio z Troga były wyjęte. Postępowanie takie, jako obejmujące wszelki materyał przydatny tak dla Justyna jak Troga, ze wszech miar na pochwałę zasługuje. Do Justyna należą fragmenta następujące: 9. 12, 17, (1) 18, 19, 23, 26, 27, 28, 34, (z Justyna XXXVII, 2 nie XXVII. 2). Do tych ułamków dodał wydawca tymże samym porządkiem takie, które bądź wskazane już były przez wydawców Justyna, bądź niepostrzeżone przez nikogo, acz w dziełach drukowanych znajdujące się. Mamy więc teraz, odpowiednio dzisiejszemu stanowisku, zbiór fragmentów Troga tak zupełny, że do niego tylko drobny z jednego wyrazu *vectes* składający się fragmencik dodać możemy; któryto wyraz przez Troga w rodzaju męzkim użyty, podany jest jako osobliwość przez autora dzieła: „*De generibus nominum,*" na stronnicy 59, wyd. Otta, a dawniéj już przy Owidego *Halieutica* przez Haupta wydany. Ogół fragmentów ogłoszonych przez wydawcę wynosi 53; między temi trzy są z ksiąg niewiadomych, zaś ośm z dzieła: *De animalibus.*

Wracając do głównego zadania, zasługuje przedewszystkiém gorliwość i wytrwałość p. wydawcy w wyśledzeniu fragmentów, równie jak starannie i uczone ich opracowanie, na najzaszczytniejsze wspomnienie. Usiłowaniom tym oddać trzeba sprawiedliwość tém większą, że w skutek tychto usiłowań musimy dziś uważać za rzecz udowodnioną, iż w Polsce dawniéj (czy i teraz? wątpliwość) znajdował się rękopism zawierający bądź całe dzieło Troga, bądź jakoweś z niego pozostałki. Jakoż przyjmujemy z wdzięcznością podany nam plan téj pracy, chociażby jego objętość przy ściślejszém każdego fragmentu roztrząśnieniu zmniejszyć się miała. Jakkolwiek bowiem panu wydawcy, przy wyborze pojedynczych fragmentów, na przezorności krytycznéj nie brakło; przecież uniesienie dla swego wynalazku, aczkolwiek słuszne i dające się zupełnie usprawiedliwić, mogło tu i owdzie przytępić w téj mierze jego wzrok. Okoliczność ta wszakże nie zmniejsza wartości jego zasługi, albowiem większa i znakomitsza część danych nam przez niego fragmentów jest tego rodzaju, że albo z wielką pewnością,

(1) Jeżli u Wincentego nie masz drugiego *apud*, można to przyjąć jako bardzo przydatny waryant, gdyż bardzo łatwo mógł je przepisywacz dodać dla dopełnienia parallelizmu. *Insultare aliquem* mówi Justyn także XLII. 4. 8.

albo z wielkiém prawdopodobieństwem Trogowi przyznana być musi. Do usprawiedliwienia naszego twierdzenia, zdaje nam się, że przy względnéj różnicy wiarogodności każdemu z przytoczonych świadków należnéj, obierzem drogę najlepszą, jeżeli pojedyncze fragmenta roztrząsać będziem według kolei ich pochodzenia, nie według kolei, w jakiéj są nam podane; chociaż i w takim razie jak to z natury rzeczy wypływa, sąd nasz od pewnéj indywidualności zapatrywania się zupełnie wolnym być nie może.

Widoczny dowód pomylenia się p. wydawcy postrzegamy zaraz w piérwszym fragmencie z Kroniki Wincentowéj zaczerpniętym i przypisywanym Trogowi. Jakkolwiek bowiem fragment ten starożytnym kolorytem i językiem aż do pewnego stopnia klassycznym odznacza się, (oprócz konkluzyi, w któréj nieklassyczne *principandi* przychodzi), przecież można go uważać za nic więcéj, jak tylko za przerobienie słów Trogowego Epitomatora, jak to zestawienie obu textów jaśniéj okaże.

WINCENTY.	JUSTYN I, 3 (1).
„Vir muliere corruptior Sardanapalus. Hunc namque Arbactus praefectus ejus,	*„Postremus apud eos regnavit* Sardanapalus, vir muliere corruptior. *Ad hunc videndum, quod nemini ante cum permissum fuerat, praefectus ipsius, Medis praepositus nomine Arbactus, cum admitti magna ambicione aegre obtinuisset: invenit* eum inter scortorum greges *purpuras colo nentem et muliebri habitu cum mollicia corporis et oculorum lascivia omnes feminas anteiret*, pensa inter vigines parcientem. *Quibus visis, indignatus tali feminae tantum virorum subjectum tractantesque* (2) *ferrum et arma habentes parere; progressus ad socios, quid viderit refert;* negat se ei (3) parere posse, qui se feminam malit esse quam virum. Fit igitur coniuratio: bellum. Sardanapallo infertur; *quo ille audito, non ut vir, regnum defensurus, sed, ut mens mortis mulieres solent, primo latebras circumspicit: mox deinde cum paucis et incompositis in bellum progreditur.* Victus in regium se recepit, ubi extructa incensaque pyra, et se et divitias suas in incendium mittit,
cum inter scortorum greges muliebri habitu et lascivia,	
pensa virginibus vidisset dispensantem:	
indignum esse, inquit, viros ei parere, qui se feminam esse malit quam virum. Ergo a suis et bellum infertur,	
qui victus, extructa pyra et se et divitias in incendium mittit, hoc solo imitatus virum. Arbactus vero imperio potitur:	

(1) Udzielamy ten ustęp według wybornego rękopismu Senkenbergskiego, ze wszystkiemi jego mylkami pisarskiemi.

(2) *Lanam* opuszczono niezgrabnie w rękopiśmie.

(3) Tak z drugiéj ręki, zamiast: *et.*

laude potius quam vituperio dignior, qui non principandi appetit potestatem; sed miseratus patriae ruinan miserantibus humeris potentius suffulsit."

hoc solo imitatus virum. *Post hunc rex constituitur interfector ejus Arbactus, qui praefectus Medorum fuerat. Is imperium ab Assyriis ad Medos transfert.*

Jak można wierzyć, żeby Epitomator tak jędrny i zwięzły tekst, w ten sposób rozwlekał, albo poprostu wodnistym uczynił? (1). Co się zaś tyczy większego fragmentu 3, uznajemy słuszność dowodów przez p. wydawcę na str. 51 wyłuszczonych, i zgadzamy się na to, że fragment ten, takoż w Wincentowéj kronice znaleziony, jest istotnie wzięty z Troga. Odnosi się on do królowéj Skityjskiéj Tomyris (2), którą Herodot i inni, królową Massagetów nazywają, a cała treść jego, podaje nam zdarzenie zupełnie dotąd nieznane.

Taką samą mylkę p. wydawcy postrzegamy w fragmencie 7, w którym użytkowanie ze słów Justynowych II. 5, jest jeszcze widoczniejsze. Dodatek Wincentego: *ut hos vel illas nec poena dissimiles nec dispares fecerit sceleris immanitas*, na który wydawca główny przycisk kładzie i o którym nie ma śladu w Justynie, nie zawiera żadnego nowego faktu, lecz tylko rozumowanie, które wyśmienicie przyznać można skoremu do podobnych wniosków Wincentemu, tak samo jak np. w fragmencie 18, przyczepiona uwaga moralna: *decet enim* i t. d. jest podobnymże samego Wincentego dodatkiem. Tak też ma się z fragmentem 12 porównanym ze słowami Justyna III. 4. Kiedy przy tym fragmencie o wyimku przytoczonym z Bielskiego p. wydawca trafnie uważa, że go Bielski pośrednio tylko z Troga zaczerpnął, tedy twierdzeniu jego nadają zupełną pewność słowa *matribus non salutatis*

(1) Tu zaszło nieporozumienie między wydawcą a szanownym recenzentem. Przytaczając ten fragment wydawca, wskazał na względne miejsca u Justyna, był bowiem tego przekonania, że Wincenty tak samo jak Justyn wyjął rzecz z Troga; ale żeby taki sam tekst był w Trogu, tojest aby tylko to się w nim znachodziło, co podał Wincenty, tego bynajmniéj nie twierdził. Przeciwnie, jeżeli weźmiemy na uwagę tę okoliczność, że Trog historyą Assyrów głównie za Ktezyaszem opowiadał, tedy potrzeba przyznać, że ani Justyn nie wyjął z Troga nawet głównych szczegółów o Sardanapalowym upadku, albowiem takowy poprzedziła uparta kilkoletnia wojna. Obacz Diodora II, 23—28. Jakoż za mniemaniem tém, że Wincenty zajrzał tu do samego Troga i powieść jego skrócił, mówi ta okoliczność, że nic nie powiedział, jakoby Arbaktus przeniósł władzę od Assyrów do Medów, jakto robi Justyn. I rzeczywiście państwo Assyryjskie zostało w całości, a nawet wzniosło się na szczyt potęgi, rozszerzywszy swoje granice aż ku Egiptowi, i tylko dynastya została zmieniona. Medya zaś prawie o sto lat później pod Dejokiesem oderwała się od Assyryi (Herod. I. 96—102) za rządów Assyryjskiego króla Sanacharyba albo raczéj dopiero pod Fraortesem (Arfaxadem); który wszakże przez Assyrów jako uzurpator uważany, zginął w bitwie pod Ragami (Jud: 1—6). Te wszystkie okoliczności w tak krytycznym historyku, jakim był Trog, nie mogły być pomini.
(Przyp. tłum.)

(2) W rękopiśmie Giesseńskim Justyna, zawsze *Tamyris*.

z Justynowemi: *nec salutatis matribus* porównane. Fragment 20, którego treść raczéj nauk przyrodzonych niż historyi tyczy się, jakkolwiek zdaje się stać w związku z fragmentem 19, pomijamy tu, albowiem źródło z którego Wincenty go wyjął, wymienione nie jest. Przeciwnie zasługuje na uwagę waryant: *ultra Istrum et citra*, który pan wydawca do fragmentu 27 w szląsko-polskiéj Chronicon Polonorum przytoczył (1). Przy fragmencie 40 jednę tylko okoliczność uwzględniwszy, mianowicie że Justyn XLIII. 3 i 4 wzmiankuje o królu Segobrygiów *Nanusie* (u Wincentego *Nannides*), zawiązuje p. wydawca pośpiesznie, że opis obszerny śmierci króla tego, zabitego przez syna, z Troga, którego imię tu nie wymienione, jest wzięty.

Chociaż przy fragmencie 21 odnoszącym się do Antygona, źródło także wymienione nie jest, z porównania go jednak z Justynem XIV, 4 widoczna, że lub z niego lub z Troga został wyjęty. Jeżeli p. wydawca oświadczył się za tym ostatnim, a to z przyczyny podanego tu zupełnie nowego faktu: *perfidiae cauterio frontibus impresso*, którego nie ma Justyn, chociaż go wypuszczać był nie powinien: tedy nie ważymy się przeciwić się w tém jego zdaniu. Przypuściwszy tedy bezpośrednie w tém miejscu użytkowanie z Troga, ukazuje się tu zarazem ta ważna okoliczność, że Justyn chociaż był Epitomatorem, zatrzymywał mowy tak, jak je Trog bohaterom swoim kładł w usta; tymczasem oto Wincenty mowę Eumenesa, którą sposobem ukośnym był podał Trog (ob. Justyn XXXVIII 3), zmienił tu na mowę prostą. Tę ostatnią okoliczność możnaby właśnie podnieść przeciw twierdzeniu p. wydawcy (2). Taki sam stopień prawdopodobieństwa ma za sobą fragment 45, tyczący się dziejów macedońskich, przy którym także

(1) Dodatek ten jest dlatego ważny, że w Justynie miejsce jego zastępuje niedorzeczny wtręt: *velut ver sacrum*. Niedorzeczny mówię dlatego, ponieważ wychodztwo Celtów było spowodowane przeludnieniem (Liv. V. 34). Tymczasem ver sacrum jest instytucyą Sabelów, z którą łączyło się zajmowanie osadniczych stanowisk, które nawet nie miały znamion podboju, a nie ważne wychodztwo w nieznane dalekie kraje. *(Przyp. tłum).*

(2) Szanowny recenzent zdaje się tu przypuszczać, że Justyn podał mowę Eumena nie prosto, ale ukośnie; tojest, zwracając się z nią głównie do czytelników nie do słuchaczy; w skutek takiego to przypuszczenia nasuwają mu się tu niektóre wątpliwości. Otóż winniśmy oznajmić, że rzecz ta ma się inaczéj. Justyn bowiem, który w księdze XXXVIII, obszerną mowę Mitrydata, ulubionym Trogowi sposobem ukośnym przytoczył, mowę Eumena podał wprost, nie ukośnie. Wypływa ztąd naturalnie, że i takie mowy musiały się tu i owdzie w dziele Troga znachodzić. Jakoż krótka i gwałtowna do żołnierzy mowa Eumena, jest tego rodzaju, że w sposób ukośny oddana, utraciłaby całą swą piękność. Kiedy więc tym samym sposobem znachodzimy ją wyłożoną i u Wincentego, okoliczność ta nietylko nie osłabia twierdzenia p. wydawcy, iż źródłem Wincentego musiał być tu sam Trog, ale je nawet popiera; skoro wiemy, iż nawet w samej mowie Mitrydata, Trog nie trzyma się niewolniczo przyjętych przez siebie przepisów, ale niekiedy ku słuchaczom się zwraca, co już jego objaśniaczy niemało zdziwiło. *(Przyp. tłum.)*

źródła nie wymieniono. Treścią jego jest wdarcie się na tron macedoński niejakiego Ipandra (1). Tak samo ma się rzecz z fragmentem 32m, chociaż i w nim Trog wymieniony nie jest. Wspomniony tu król getycki *Roles*, czyli *Oroles*, ściągnął już na siebie był uwagę Municha, który o nim w przytoczoném dziele, str. 121, nadmienia. Podzielamy też zdanie p. wydawcy i co do fragmentu 38, którego początek aż do słów *abiici iussit*, ma Justyn XLI. 6; zkąd słuszny wniosek, że i część dalsza tego fragmentu przez Justyna jako za szczegółowo w rzecz wchodząca, wypuszczona została: ale bezwątpienia Wincentego wymysłem nie jest, lecz wiadomością z Troga, aczkolwiek nie co do słowa wypisaną. Ustęp ten jest zanadto interesujący i ważny dla niewyjaśnionych dotąd dziejów baktryjskich władzców, abyśmy tu o nim zamilczeli. Opiewa on tak:

„*Regem siquidem Bactrianorum Eucraditem filius, iam regni socius a patre factus ambitu interfecit; qui quasi hostem non patrem occidisset, per sanguinem ejus, et corpus inhumatum abiici iussit, sed non sine ultione. Hujus enim parricidae unicus parvulus avi morte anxiatus, ignaris custodibus nemus ingreditur, dolorem anxietatis morsibus ferarum optat finire. Qui per dies aliquot per lustra vagabundus, fungis et radicibus latranti stomacho succurrit; novissime cuiusdam gustu radicis pestiferae in languorem prosternitur, quo fatigatus, quasi animam exhalaturus oscitare coepit. Oscitantis ori serpens illabitur, cognata forsitan sue pestilentie radice illectus, hic introreptans, herbas crudas et indigestas ad os stomachi revocat et ad vomitum impellit. Pater interea venatibus indulgens, diutissime quaesitum et desperatum, sic tandem vomitantem invenit: qui cum rugitu super adolescentulum provolvitur, lacrymis effluit, ad os moribundi os applicat et hiantem osculis fatigat. Illico serpens osculantis labio morsum inpingit, quo laesus pater ac territus repente resiliit, et serpentem vix cum parte labii abstrahit et obterrit (obterit?), parvulumque semianimem ad suos reportat. Et in brevi redditur sospitati adolescens, omni veneno evomito. Patrem ex vulnere serpentis infusum virus in vesaniam vertit: qua saevissime agitatus, cum alios appetere non posset, linguam, labia mordicantim sibi detruncans, absorbet. Sic propria membra dimordicans vix tandem exspirat.* (2). Jeżeli to zdarzenie za wiarogodne uznamy,

(1) W niektórych rękopismach Wincentego, imię to brzmi *Ipsander*. (*Przyp. tłum.*).

(2) Trog opowiadając o zbrodniach Ptolemeja Kerauna króla macedońskiego (Just. XXIII, 3), dodaje: *nec Ptolemaeo inulta scelera fuerunt*. I w przytoczonym fragmencie znachodzim to samo zdanie. Z czego widać, że był to pisarz przejęty głębokiem uczuciem religijnem, i zapatrywał się na historyą jako na sąd Boży. Jeśli zaś ten szczegół potwierdza owo mniemanie, że fragment ten z Troga jest wyjęty, słuszna więc wnosić, że i fragment 40, w wątpliwość podany przez p. sprawozdawcę, należy Trogowi przypisać, tém bardziej, że o ile wiadomo, on jeden w języku łacińskim dzieje Celtów opowiadał. (*Przyp. tłum.*).

tedy mamy w niém dowód niepośledni do rozstrzygnięcia kwestyi o bytności Eukratydesa II, króla baktryjskiego, którą Raoul-Rochette z taką gorliwością pod dyskussyą wyłaczał; o czém jednakże nie tu jest miejsce do mówienia.

Przystępujemy do wypisów z Bielskiego. Fragment 10 tyczący się złupienia świątyni delfickiéj zamierzonego przez Xerxesa, możnaby uważać za obszerniejsze nieco rozrobienie wiadomości wziętéj z Justyna II, 12. Wszelako można się zgodzić i na to, że kronikarz wyjął go z pierwotnego źródła, skoro porównamy z nim dwa inne fragmenta przez p. wydawcę pod 33 i 35 przytoczone, o których nie masz wątpliwości, że z Troga były zaczerpnięte. Piérwszy z nich w języku polskim opiewa tak:

„*Starzy historykowie, jako Trogus Pompejus, Kornelius Tacytus, pisali o żydziech inaczéj niż w Piśmie Świętém stoi: iż je miał Faraon król wypędzić dla ich zarażenia, iż byli zarażeni rozmaitemi plagami od Boga. iż nie chcieli tego Boga chwalić, którego Egipcycy chwalili. Takież o wodę na puszczy, iż ją Aaron za końmi idąc nalazł, a ona z góry zawżdy szła; a żydowie balsamem kupczyli, którego tam dość było na górze Synai, i tym się żywili; a temu narodu i bogowie i ludzie nieprzyjaźni byli: lecz króle dziewkami pięknymi zawżdy ubłagali, które się u nich rodzą nad inne gładkie.*“ Według słów powyższych powinny się znaleźć zdarzenia tu opowiedziane u Justyna XXXVI. 2, lub też w Tacyta Histor: V. 2. Atoli p. wydawca słusznie uważa, że nie wszystko co tu Bielski mówi, znachodzi się tak w jednym jak w drugim. Nie zapuszcza się jednak w wykazanie różnicy. Pominąwszy okoliczność tę, że u Tacyta Mojżesz wymieniony jest w miejscu Aarona, a Justyn ani o jednym ani o drugim nic nie wié, zwracamy tu uwagę na to, że w téj części powieści, Tacyt ma osłów zamiast koni; mimowolnie więc nasuwa się wniosek, że Bielski nie z Tacyta, ale z Troga to czerpał. Szczególnie zaś tu należy wzmianka Bielskiego o pięknych dziewicach, która w obu pomienionych historykach zgoła się nie znajduje. Nierównie jednak ważniejszy i rzecz stanowczo rozstrzygający jest fragment drugi, który opiewa tak:

„*Walczyli Roxolanie i z Mitrydatem, królem pontskim, czego dotknął Trogus Pompejus, historyk dawny, i tenże to pisze o nich: że z surowych skór wołowych kaftany sobie działali, a to zbroja ich była; temiż i pawęże abo tarcze swe powłaczali; i tak na koń z szablą, z rochatyną i z łukiem wsiadali; jakoż i dziś tych broni Ruś używa.*“ Nic o tém nie wié Justyn, który nawet wzmianki o Roxolanach nie czyni, a choć Strabo, VII. 306, jak to p. wydawca słusznie zauważał, wié o tém, przecież nie można tu dopuścić téj myśli, żeby Bielski Troga zamiast Strabona powołał; a to z przyczyny téj, ponieważ na inném miejscu tenże najwyraźniéj powiada, iż o Roxolanach tak geograf Strabo, jako i historyk Trog podali wiadomość. Prócz tego p. wydawca przytacza jeszcze jedno miejsce o Roxolanach z Bielskiego, ale tak pomieszane z własnemi tego kronikarza dodatkami, że prawie niepodobna oddzielić je od słów Trogowych.

O innym wypisie Bielskiego przez p. wydawcę w przypisku udzielonym, mówiliśmy przy Wincentym.

Z Długosza, do którego teraz przystępujemy, wyjęty jest fragment 30. Znalazł się on w kodexie biblioteki Ossolińskich I, 601 (w którym pomiędzy innemi są także satyry Persyusza). Fragment ten jest wielce zajmujący i tém ważniejszy, że w nim właściwe słowa oryginału Trogowego przechowały się. Z innego jeszcze względu zasługuje on aby go tu całkowicie podać. Oto są jego słowa:

„*Trogus Pompejus de bello Getarum. Etsi mihi longe iucundius fuisset Italiae felicitatem quam clades referre, tamen quia tempora sic tulerunt, sequemur et nos fortunae mutabilitatem, Getarumque invasionis describemus dolorosam profecto manum, sed pro cognitione illorum temporum necessariam. Neque enim Xenophontem Atheniensem, summo ingenio virum, cum obsidionem et famem ac diruta moenia Athenarum descripsit, non dolentem id fecisse reor; scripsit tamen, quia utile putabat illarum rerum memoriam non deperiri. Neque Livius noster cum urbem a Gallis captam et incendiis conflagratam refert, minorem meretur laudem, quam cum Pauli Aemilii triumphum illum praeclarum de Macedonibus, aut Publici Africani victorias enarrat. Historiae quippe est tam prosperas quam adversas res monimentis literarum mandare: itaque optanda quidem meliora, scribenda vero quaecunque contigerunt. Civitates in Italia ornatissimae magnis opibus magnaque auctoritate viguerunt hactenus hodieque vigent, quarum gloria ac imperium longe lateque extenditur. Taceo morum elegantiam humanitatemque praecipuam ac bonorum artium disciplinas, in quibus parens scilicet et alumna incomparabilis Italia reperitur. Sed commendationis aliud fiat tempus.*“ Wstrzymujemy się tu od uwag obszerniejszych, do jakich słusznie ten ustęp, pełen treści, podać może sposobność. Podnosimy tę tylko okoliczność, że według prawdopodobnego wniosku p. wydawcy, wtargnięcie Getów do Italii, o którém tu jest wzmianka, zaszło podczas bitwy pod Akcyum (1), i że wówczas, gdy to pisał Trog, Liwiusz dzieła swego jeszcze był nie ukończył, albo przynajmniéj téj części jeszcze nie wydał; bo że Trog jakiś oddział Liwiuszowego dzieła znał, to rzecz wiadoma z Justyna XXXVIII, 3. Następny fragment 31 wypłynął z tego sa-

(1) Sarnicki, Annal. II. 2. mówi, jakoby pojaśniając wiadomość Długosza: „*Huc refertur invasio illa Gothorum* (powinno być *Getarum*) *duce Comosico, qui fuit rex et sacerdos gentis.* Tak więc nie ulega wątpliwości, że najazd ten wydarzył się podczas bitwy pod Akcyum, i był na wielką skalę przedsięwzięty. Jakoż nawet podobno Komosik o Rzym się kusił, ponieważ podczas oblężenia Rzymu przez Totylę, znosili się patrycyusze z wyrecznią sybilijską, która według Prokopa. B. G. I. 24. p. 372 opiewała: „*Quintili mense.... Roma nihil tristi a Getis metuet.*“ Rzecz dziwna, że Bähr w recenzyi ułamków Troga zamieszczonéj w *Hejdelberg, Jahrbuch der Literat.* 1854. nr. 16. stron. 248. powątpiewał ażali zdarzenie opowiedziane w tym fragmencie od Troga pochodzić mogło. *(Przyp. tłum.).*

mego źródła, i od poprzedniego tylko zaczęciem nowego wiersza jest oddzielony w rękopiśmie. Nie przytaczamy go tu, bo zaogólnéj jest treści, ale ma on z poprzednim jeden i tenże sam charakter i styl, tak, że bynajmniéj nie bierzem tego za złe p. wydawcy, iż go stanowczo Trogowi przyznał; a tylko podał w wątpliwość tę okoliczność, ażali w tém lub téż inném miejscu dzieła Trogowego znajdował się. Pozwalamy sobie nawiasowo zwrócić tu uwagę filologów na wyraz *permaximus*, który to sposób składania przymiotnika w wątpliwość podawany, otrzymuje nową podporę. Że takiemi wyrażeniami zwyczaj pospolity w wysokich czasach już nie gardził, widzimy to z ostrzeżenia, które u Charisyusa, na str. 201, daje Palemon, mówiąc: „*pecant vero qui dicunt peroptimus.*" Równie téż fragment 43 z kodexu Ossolińskich I, 601 można słusznie przyznać Trogowi, chociaż bezpośrednio dowodu na to nie mamy. Przeciwnie fragment 41 z Długoszowéj historyi, jest widocznie z Justyna XLIII, 14, i to dosłownie wypisany (1). Jeźli wyrazy jego początkowe: *ab uno regulorum*, spowodowały p. wydawcę do naznaczenia mu innego źródła, tedy zapewne nie dojrzał on że wyrazy owe powstały z wyżéj nieco umieszczonych słów Justynowych: *adfirmante regulo quodam.*

Teraz przejdziemy do reszty fragmentów, wyjętych częścią z rękopismów, częścią zaś z ksiąg drukowanych. Do najznakomitszych, i jeźli nie jest umyślném oszukaństwem, (o jakie jednak podejrzywać nie mamy tu żadnego powodu), najpewniejszych szczątków dzieła Trogowego, należy niezawodnie fragment 22, z kodexu Ossolińskich I, 336, wyjęty. Zawiera ten kodex różne mieszaniny w języku polskim, a obok nich: *Variae variorum autorum sententiae per alphabetum conscriptae*, które mają częstokroć przytoczone swe źródło, jako to: Herodota, Polybiosa, Sallustego, Liwiusza i innych. Między temi zdaniami, jest następujący ułamek w języku polskim:

„*Salauces w Kolchach królując zwycięztwo znaczne odniósł z nieprzyjaciela. Kolchowie zawdzięczając prace i trudy królowi, oddali za upominek Statuam Honoris ulanego z srebra, tylko złotą rękę mającego, w któréj obeliszek złoty trzymał, na obelisku różne korony wisiały. Król wdzięcznie przyjął; wszakże alludując do ręki i do złotego obeliska rzekł:* (co następuje, oddano w rękopiśmie po łacinie, zapewne umyślnie, aby wyrazy oryginału zachować:) „*Si totus hic Honor suae manus naturam induisset, principem locum in*

(1) I ten fragment jest niezawodnie wyjęty z Troga, skoro bowiem Długosz dzieło jego miał pod ręką, niepodobna przypuścić, aby tu imię Troga podał zamiast Justyna. Także zachodzi dość znaczna różnica w przytoczonym fragmencie między słowami Długosza a Justyna, co także potwierdza, że pierwszy czerpał bezpośrednio z Troga; i tak Justyn mówi: *in quo pareret* (u Dług. *in quo partum effunderet*) *iterato petiisse* (Dług. *iterum solicitasse*) *catulos liceret* (Dług. *teneros partus liceret*), i *proprietatem loci, sibi vendicasse* (Dł. *proprietatem loci, hero suo excluso, vindicasse*).

(Przyp. tłum.)

nostro thesauro habuisset." *Trogus.* Kiedy p. wydawca odniósł wymienione tu zdarzenie do Seleuka I, i miejsce fragmentu w księdze 15 wskazał, tedy zdaje się tém niestosowniejsze to jego twierdzenie, że Trog nie mógł Seleuka nazywać królem Kolchów, jakkolwiek sam fakt mógł się do tychże odnosić. Ale i sam wydawca postrzegł się i wyznaje w dodatku: że prawdopodobnie tyczy się to zdarzenie innego Seleuka, i raczéj do księgi 37, w któréj Trog o królach Kolchickich rozprawiał, odniesione być powinno. Jakoż że to jest istotnie Seleuk późniejszy, którego bliżéj oznaczyć dziś nie jesteśmy w stanie, mamy tego pewność w tém, że znachodzi się tu wzmianka o posągu Honoru, który w czasach piérwszego Seleuka, tojest podczas wpływu greckiego, był rzeczą całkiem niesłychaną. Uosobienie honoru jest Grekom zupełnie obce, nie mają oni nawet wyrazu na to; a że Trog nie dopuściłby się takowéj pomyłki, więc wypada koniecznie odesłać się z tém znaczeniem w czas taki, w którym znajomość z Rzymem czyniłaby możliwym takie zjawisko (1). Opis ten Honoru jest zresztą dość zajmujący, i przypomina podobne starożytne wizerunki stojącéj figury, która w wyciągnionéj ręce trzyma bożyszcza, lub tym podobne przedmioty, jak naprzykład na jednéj baktryjskiéj monecie w dziele Raoul-Rochettego: *Notice sur quelques medailles des rois de la Bactriane*, Nro 2 i *Deuxieme suppl. Pl.* II, Nro 1 i 15.

Fragment 13 z kodexu Biblioteki Ossolińskich I, 160, jest bezwątpienia Trogowy. Opiewa on tak: „(*Lex Moysi data est in tabulis lapideis), lex vero Romanorum in duodecim tabulis ebneis (eburneis) scripta erat, ut refert Trogus Pompeius libro III de Lycurgo: quae omnia significant legis durationem et stabilitatem perpetuam*". To uboczne napomknienie o jakości tablic dwunastu, na

(1) Jakkolwiek trafna jest uwaga p. recenzenta o posągu Honoru, ztémwszystkiém wniosek przez niego zrobiony, iż wspomniony tu Salauces do czasów późniejszych należy, mylny jest. Właśnie bowiem w 37 Trogowéj księdze na którą się p. B. z tym fragmentem w przypisku dodatkowym odesłał, opowiedziane były najdawniejsze dzieje kolchickie, jak to widzimy ze słów prologu: „*Dictaeque regum Bosporanorum et Colchorum origines et res gestae.*" Jakoż znachodzimy w Pliniuszu ustęp, który wybornie objaśnia fragment przez p. B. wynaleziony, i rzuca światło na czas Seleucesa. Z niego widać, że król ten żył nie późniéj jak przed drugą wojną punicką. Oto są słowa tego ustępu: „*Equidem miror, populum romanum, victis gentibus, in tributo semper argentum imperitasse non aurum: sicut Carthagini cum Hannibale victae, argenti 12 millia invenerat, praeter vasa aurea, aurumque factum, et in eo folia ac platanum vitemque.... Jam regnaverant in Colchis Salomees et Eusubopes* (czytaj *Aetae soboles*) *qui terram virginem nactus plurimum argenti aurique ernisse dicitur in Suuuorum gente, et alioqui vellcribus aureis incluto regno. Sed et illius aureae camene et argenteae trabes narrantur, et columnae atque parastaticae, vido Sesostre, Aegypti rege, tam superbo, ut prodatur annis quibusque sorte reges singulos e subjectis jungere ad currum solitus, atque ita triumphare.*" *Plin.* H. N. XXXIII. 15.

(Przyp. tłum.).

których prawo rzymskie było spisane, musiało się znajdować przy opisie tablic prawa Lykurgowego. Ale o tych, a tém bardziéj o tamtych tablicach nie znachodzimy ani słowa w Justynie, który o wieczystości praw Lykurgowych zupełnie inne rozumienie podaje. Z dodatku: *quae omnia significant* i t. d. zawiązuje p. wydawca, że autor musiał napisać *aeneis*, który to wyraz kopista na *eburneis* przekręcił. Twierdzeniu jego tém mniéj możemy zaprzeczyć, że takie czytanie istocie rzeczy odpowiada. Ob. Pomponiego *de origine juris*, str. 27 (1).

Fragment 37, z Mierswy kroniki jest widocznem przerobieniem Justyna XXXIX. 5. O przytoczonym tu ubocznie wyimku z Wincentego, jakoby on także miał być wzięty z Troga, a tyczy się bogactw jakowegoś króla Arabów; sąd nasz zawieszamy dlatego, ponieważ Wincenty nie powołał się w tém miejscu na Troga, i wątpliwa jest, czy król ów jest z Erotynem jedną osobą.

Dłuższy fragment 11 z Jakóba de Cesolis: *Liber de moribus hominum et officiis nobilium super ludo scracorum*, z różnicami trzech kodexów wrocławskich do lwowskiego Ossolińskich koduxu l. 1 dobranemi, nietylko nie zawiera nic takiego, coby się u Justyna III, 2 i 3 nie znachodziło; ale dosłownemi w kilku miejscach wypisami tego Epitomatora wskazuje, że z niego został zaczerpnięty.

Tak samo ma się rzecz z fragmentem 16, znalezionym u Jana Sarisberskiego; jedna bowiem część jego znachodzi się dosłownie w Justynie VII. 2. Więcéj na uwagę zasługiwałby ustęp z Bielskiego kroniki, przez wydawcę tu w nocie przytoczony, tylko że Bielski nie powołał się z nim na Troga (2).

Podobnie téż nie zasługuje na uwzględnienie fragment 39, składający się z dwóch wypisów w dziele Mateusza Westmona-

(1) Recenzent Troga, Bähr, w *Heidelb. Jahrb. der Literat.* 1854 nr. 16, str. 246, znalazłszy w Pomponim *de origine juris*: *eburneis*, pojaśnia, że Rzymskie ustawy były pierwotnie spisane na tablicach z kości słoniowéj, a dopiero po spaleniu Rzymu przez Gallów, wyryto je powtórnie na tablicach miedzianych. Atoli pojaśnienie jego jest dlatego mylne, że tablice te należały do rzędu tych pomników, które ocalone zostały podczas spalenia Rzymu; Liwiusz bowiem VI, 1. podaje: „*In primis foedera ac leges (erant autem eae duodecim tabulae et quaedam regiae leges) conquiri, quae comparerent, jusserunt*". *(Przyp. ttum.)*.

(2) Ustęp ten w Bielskim: *Kron: Świat:* Krak: f. I. 100, v. opiewa tak: Kranaus macedoński książę albo hetman, ręki prędkiéj, myśli sprawnéj, rozumu dośpiałego, wiódł walkę z pogranicznym narodem, z Illiryki i Tracezami. A gdy go porazili, iż uciekał, wstydził się tego. Wziąwszy syna z pieluch króla umarłego, zebrali się znowu na nieprzyjaciele swoje, położył dziecię na swém miejscu z kolebką, potkali się około niego silnie, porazili Illiriki i Traces Macedonowie, posławszy do nich, iż pierwszy raz nie przez moc upadli, ale przez niebytność króla." Zwracamy uwagę czytelników na wyrażenia łacińskie: ręki prędkiéj, myśli sprawnéj, rozumu dośpiałego, a szczególnie na nazwy ludowe: *Traces* i *Illiryki;* co niezaprzeczenie dowodzi, że autor miał pod ręką oryginał łaciński, może Troga. *(Przyp. ttum.)*.

sterskiego *Flores historici* dostrzeżonych. Piérwszy z nich, jak to sam p. wydawca zauważał, składa się z Justynem XLIII, 1 i z niego téż barwę swoję otrzymał. Drugi więcéj właściwéj treści, opiewa tak:

„*Anno divinae incarnationis nono, Caesare Augusto imperii sui quinquagesimum primum agente, Trogus Pompejus chronicam suam terminavit, in quibus quasi mundi praeteriti cursum ad memoriam posterorum reduxit. Ita namquam Romanorum rempublicam, et arma, quae gens illa late per orbem terrarum circumtulit, ab initio usque ad praesens tempus prosequitur ut qui res eius legerit, ad construendum Romanum imperium virtutem et fortunam discat contendisse.*“ Gdyby kto z drugiego w tym fragmencie okresu, mianowicie ze słów: *ad praesens tempus*, chciał zrobić wniosek, że Trog dzieje rzymskie najobszerniéj i w ciągłym związku opowiadał, tedy twierdzeniu temu zadałby fałsz sam Justyn, albowiem on opowiada tylko początki dziejów rzymskich i to w krótkości, tak samo jak je miał Trog; a obraz obszerny tych dziejów, jeźliby się był w dziele Troga znajdował, byłby tém mniéj pominięty, że sięgając aż do wieku Augustowego miał tém samém więcéj jeszcze interesu w wieku Justyna niż Troga. Owszem Trog postępował tak, że w miejscach stosownych, mianowicie ilekroć Rzymianie z obcemi narodami stykali się, dzieje Rzymu jednéj lub drugiéj epoki opowiadał. A że od piérwszego wystąpienia Rzymu w swojéj potędze, oręż rzymski przeciw obcym państwom nieustannie był czynny; przeto téż dzieje rzymskie zostały objęte w dziejach powszechnych. Same tylko początki Rzymu nie mogły być opowiedziane w ten sposób, dlatego uznał Trog rzeczą stosowną tę część dziejów rzymskich oddzielić i opowiadać ją w związku, co téż, jak z Justyna widzimy, na początku XLIII księgi uskutecznił. To tedy, co tu Mateusz o czasie, w którym historya Troga napisana była, powiada, nie jest wyjęte z jednego miejsca Troga, lecz raczéj z rozpatrzenia się w dziele Justynowém wywnioskowane (1).

Do fragmentu 5 którego dostarczył Orosius, dość będzie wskazać na zdanie Becka w rozprawie: *de Orosii fontibus et auctoritate*, § 3 str 5 i 7 wyrzeczone, że pisarz ten nie znał Troga. Co do Jordanesa (p. wydawca pisze go Jornandes), ośmielam się to samo zdanie wynurzyć. Z obu ustępów, które p. wydawca z niego przytoczył, piérwszy (fragment 4). z Get. 10 widocznie nie podaje dosłownie Trogowego textu, który prócz tego musiałby być więcéj niż o połowę krótszym jak u Epitomatora, ale jest właściwie suchym tylko wyciągiem z Justyna l. 8, u którego tylko braku-

(1) Przeciw temu zdaniu szanownego recenzenta, pozwalamy sobie zrobić uwagę: że w całym Justynie nie znachodzimy ani słowa, z któregoby tak ścisłe oznaczenie czasu, w którym Trog swoję historyę ukończył, wywnioskować się dało. A przecież Mateusz podał to nam z takiém prawdopodobieństwem, iż mimowolnie nasuwa się myśl, że on to mógł zajrzeć w Trogu, i przy zupełnym braku wiadomości odmiennych, odrzucać tego podania nie można. *(Przyp. tłum.)*.

je w końcu téj jednéj uwagi: *ibique primum Getarum gens serica vidit tentoria.* Ta jednak uwaga raczéj za dodatek samego Jordanesa, niż Troga uważana być może, tak samo jak wiadomostka o ptakach fazyjskich w Get. 6 jest Jordanesa dodatkiem; a że on z Justyna nie z kogo innego użytkował, okazuje się szczególniéj z porównania tych słów: *quae non muliebriter adventu hostium territa transire tamen permisit.* Atoli całkiem innego rodzaju jest drugi ustęp Get. 6. Jeźli w nim znajdują się niektóre wiadomości zkąd inąd nieznane, tedy nie można jeszcze do tego bardzo wielkiéj wagi przywiązywać, albowiem ze związku textu nie dość jasno okazuje się, że wszystko to z Troga, którego dopiéro pod koniec powołano, zostało zaczerpnięte. Ale jest w nim mowa o wojnie Tanausysa (tak Jordanes, Justyn zaś Tanaus go zowie), króla Gotów, i Wezozego króla Egipcyan. a daléj o Getach po podbiciu Azyi przez piérwszego z tych królów tamże zostawionych. Ze słów ostatnich Jordanesa na to zdarzenie ściągających się: *ex quorum nomine vel genere Trogus Pompejus Parthorum dicit extitisse prosapiam* nie znajdujemy i śladu w Justynie; przeciwnie mówi on tylko: „*inde reversi (Scythae) Asiam perdomitam vectigalem facere, modico tributo magis in titulum imperii quam in victoriae praemium imposito*". Nawet Dübner (którego tylko wydanie z roku 1836 mam pod ręką:) zauważał przy księdze I, 1 gdzie mowa o Tanausysie i Wezozym (1), że Jordanes w miejscu przytoczoném podobno z samego Troga użytkował. Jeźli się zgodzimy na to twierdzenie, w takim razie nie można nie przyznać słuszności p. wydawcy, że i trzeci ustęp z Jordanesa Get. 10, przy którym wprawdzie Trog imiennie powołany nie jest, ale który mimo to widocznie z Troga lub Justyna został wyjęty, piérwszemu z nich przyznaje, albowiem odpowiednie miejsce Justyna II, 5. samém ubóstwem podanych okoliczności okazuje, że jest skróceniem.

Fragment 42 z Luitpranda *Advers.* nr. 200 (Opp. ed. Antwerp. 1640 p. 490) nie podpada żadnéj wątpliwości. Opiewa on tak: „*Memini me legisse in bibliotheca Fuldensi, in libro Trogi Pompeii, Augustum dedisse edictum de describendo orbe Tarracone, et idem edictum in libro illo dicebatur datum Tarracone, dilata tamen executio propter negotiorum multitudinem diu.*" A więc jeszcze w dziesiątym wieku był w Niemczech rękopism Troga.

Ten przegląd ogółu fragmentów przez p. wydawcę podanych, z których jak nam się zdaje, żadnegośmy nie pominęli, będzie w stanie okazać w prawdziwém świetle ważność odkryć przez p. wydawcę zrobionych, a zarazem sprowadzić je do właściwych swych granic. Aczkolwiek, jakeśmy widzieli, nie wszystkie z obudzonych nadziei zostały spełnione, wszelako wiele nowe·

(1) Na obu miejscach Justyna także i Dübner przyjął, nieznachodzące się w żadnym rękopismie, o ile mi wiadomo, imię *Sesostrysa* zamiast nateraz jeszcze niepojaśnionego imienia *Vesosisa.* Że to ostatnie należy do odległéj starożytności, dowodzi Jordanes, i ja dodaję jeszcze niedostrzeżony waryant jego z kodexu gisseńskiego: *Vezosis.*

go i ważnego wydobyto na jaw, za co wydawcy wielką wdzięczność winniśmy. Jeźli rzucimy jeszcze raz okiem po sobie, aby się dokładniéj wynikającéj ztąd korzyści naukowéj przypatrzyć, tedy widzimy, że z wyjątkiem może jednego tylko fragmentu, korzyść ta nie na dosłownych wypisach z dzieła Trogowego, lecz raczéj na wyciągniętéj z nich z mniejszą lub téż większą wiernością treści historycznéj zasadza się. Ale już i te wyciągi dozwolą nam swobodniéj rozglądnąć się w objętości zatraconego dzieła, i wzbogacają dzieje starożytne niejedną wiadomością, która długoby jeszcze w niezważanych prawie i mało komu dostępnych pomnikach leżała ukryta, gdyby jéj był p. wydawca do użytku publicznego nie podał. Oprócz nich, aby dać zupełniejsze o całém dziele wyobrażenie, nie zaniedbał dołączyć we właściwych miejscach wszystkie dawniéj znane fragmenta według przytoczeń Pryscyana (fragm. 14 i 15, które z powodu szczęśliwie dokonanego odbudowania swego, na wyszczególnienie zasługują); i innych pisarzy. W tymże samym celu dołączył także znane prologi, których tekst, potrzebujący zawsze jeszcze krytycznéj około siebie pracy, polepszony został tu i owdzie; o czém właśnie w tém miejscu kilka uwag dołączamy. Grauerta wydanie tychże było, jak się zdaje, p. wydawcy nieznane.

Prol. I; forma medyjskiego imienia *Arbactus*, którą na powadze rękopismów przywrócił był już Dübner, a w miejscu któréj Grauert wbrew Justynowi I, 3 zatrzymuje *Arbaces*, poparta została przez pana wydawcę licznemi kodexami Wincentego kroniki i krakowskim kodexem prologów. Gdzieindziéj znachodzimy zwyczajną formę *Arbaces*, jak naprzykład w Euzebiusza *Chron. epit.* u Maja Coll. Vat. T. I str. 7. W słowach: *imperium Assyriorum a Nino rege usque ad Sardanapallum* (tak), wyrzuca p. wydawca „*usque*" jak się zdaje, na powadze pewnych rękopismów oparty.

Prol. II; trafne czytanie *originesque*. *Scythiae res usque* zostało stanowczo przyjętém. Dübner zezwalał na nie, ale do tekstu nie przyjął. Zatwierdza je, niepowołany przez p. wydawcę w tém miejscu, kodex krakowski.

Prol. III; *ut bella inter ipsos orta sint*. P. wydawca dał się tu uwieść Dübnerowi, i położył *sint*. Grauert, a przed nim jeszcze Gronoviusz, zostawiają *sunt*, a mają za sobą tę okoliczność, że autor prologów dość często trybu oznajmującego po przysłówku *ut* używa. Taki sam sposób mówienia za Bondamem *Var. lect.* I, 4, str. 38 według wskazówek Vorstyusza i Freinsheima, należy także niezawodnie przyjąć w prol. XXII, gdzie czytamy: *et a Sicilia reversus in Italiam, victus proelio a Romanis revertit in Epirum*, a Dübner nawet *et ut* dodaje; tylko należałoby jeszcze prócz tego czytać *victusque* według lepszych kodexów, i według kodexu Gissenskiego. Używanie trybu łączącego w takim frazesie znachodzimy tu wprawdzie także często, ale dziwna rzecz, że dopiéro jakoś od prologu dziesiątego począwszy. Prol. XIV słowa: *ut*

captam ad favorem populi, które po wyrazie *obsessam*, w niektórych rękopismach znachodzą się; p. wydawca przeciw Dübnerowi bierze w obronę, wszelakoż nie znachodzą się one i w kodexie Giesseńskim.

Prol. XXIV; w słowach: *bellum quod Ptolemaeus Ceraunus in Macedonia cum Monio Illyrio et Ptolemaeo, Lysimachi filio,, habuit*, poprawił p. wydawca wybornie *Monio* na *Monunio*, wskazując na monetę tego króla illirskiego u Eekla, które to imię jeszcze Grauert i Dübner niepoprawne zostawili. Na większe poparcie téj niezawodnéj poprawki, możnaby jeszcze przypomnieć, że imię tego króla w różny sposób przekręcone znachodzi się także u Polybiosa XXIX. 5 7 i Liwiusza XLIV, 31, jak to już inni zauważali; porówn. Droysen: *Zeitschr. fuer die* A. W. 1836 nr. str. 833.

Prol. XXXII; imię króla Dackiego jest poprawione z wielkiém prawdopodobieństwem *Burobosten* zam. *Rubobosten*. Już Vossyusz radził, aby tu przyjąć Strabonowego *Boerebistan*.

W chwalebnym zamiarze zgromadzenia razem wszystkiego co nam starożytność pod imieniem Pompeja Troga podała, przyłączył p. wydawca do fragmentów historycznego dzieła, także inne z dzieła pod tytułem: *de animalibus* na str. 49, zebrawszy je z wiadomych źródeł. Ostatni z nich jednakże pod I, 53 umieszczony, jak to sam p. wydawca przyznaje, należy raczéj do historyi filippickiéj. Wszystkie inne są po większéj części z Pliniusza *Hist. nat.* gdzie autor ich nazwany jest po prostu Trogiem, i tak samo w spisie autorów przez Pliniusza użytkowanych. Aleć słusznie są one uważane za ułamki Pompeja Troga, albowiem nie jest znany inny pisarz, któryby się Trogiem nazywał. Nadpis dzieła tego uratował nam Charisius na str. 79, i miejsce to z niego p. wydawca przytoczył; zapomniawszy jednak przytoczyć drugie podobne miejsce tego grammatyka, które daje nam zarazem wyobrażenie o objętości całego dzieła. Znajduje się ono na str. 110 i opiewa tak: „*Itaque Trogum de animalibus libro X parium numerorum et imparium non recte dixisse, sed parum et imparum.*

Po przedmowie pełnéj treści, w któréj podana jest wiadomość o użytych źródłach, następuje niedostatecznie rozwinięta: Notitia literaria de Pompeio Trogo", w któréj to, co w Justynie powiedziano, nie zadowalnia. Co się tyczy wieku tegoż, p. wydawca idzie za mniemaniem powszechném, że Justyn miał żyć około roku 161 po narodz. Chryst., nie zważając na to, że już dawniéj Wetzel (wyd. Justyna str. 1) wystąpił z twierdzeniem, że Justyn należy raczéj do III wieku: a teraz zdanie Niebuhra (*Vortrage ueber alte Geschich.* I str. 12), który już przez Vossyusza uznano imię M. Julianus Justinus, jako właściwe przyjmuje, twierdzenie owo poważnie podpiera. Nie jest tu miejsce do bliższego rozbioru tego jeszcze nie rozstrzygniętego pytania, zwłaszcza że takowe bez wyraźnego świadectwa, zostanie zawsze tylko prawdopodobném: to wszakże możemy teraz dodać, że jeźli byłby lepiéj uzasadniony dodatek znachodzący się w dawniejszych wyda-

niach *Imperator Antonine*, także poparty nadpisem z tegoż samego źródła... *exordium ad Antoninum*, albo *Antonium* (ob. Fischera wyd. str.449) możnaby w tém upatrywać potwierdzenie Niebuhrowego mniemania, gdyby pod wspomnionym Antoninem był raczéj rozumiany Karakalla. Także co się tyczy rodowości Justyna, nie od rzeczy będzie przypomnieć dotąd nieuwzględnioną wiadomość, żetenże w jednym wiedeńskim rękopiśmie, jest nazwany *Hispanus;* ob. Endlichera *Catal.* str. 153.

Nie możemy rozstać się z tém dziełkiem, nie zwróciwszy uwagi miłośników literatury klassycznéj jeszcze na dwa odkrycia, tyczące się dwóch innych starożytnych pisarzów, o których p. wydawca doniósł na końcu swojéj przedmowy, w któréj o rozmaitych szczątkach historyi starożytnéj w polskich kronikach i rękopismach opowiada. Piérwsze z tych odkryć tyczy się Walerego Maxyma o którym przypiśnik Wincentego ma te słowa: „*de isto refert Valerius Maximus in libro de vita Caesaris.*" Wiadomość, z którą tu pomieniony przypiśnik na Walerego zsyła się, odnosi się do króla Getów Kotysa, o którym powiada Wincenty: „*qui Julium Caesarem, primum monarcham, tribus fudit proellis; qui ducem Romanorum (Bebium), cum omnibus copiis delevit.*" P. wydawca wskazuje przy wiadomości téj na Appiana *Illyrica* c. 12 i 13, tudzież na Cycerona *Epist.* V 11. (W piśmie Philologus, VIII str. 384, zwrócono niedawno uwagę na to, że Walerego dzieła: *Dicta* i t. d. księga 9ta była zupełniejsza, niż ją dziś mamy).

Drugie odkrycie tyczy się ksiąg Cycerona *de republica*, mianowicie wskazówek na wstępie tego doniesienia dotkniętych, że rękopism ich znajdował się niegdyś w Polsce. Na usiłowania w téj mierze Municha wstrząsano wprawdzie niejednokrotnie głową, a przecież zdanie nasze, któreśmy o tém przy wydaniu fragmentów polityki Cyceronowéj na str. XXXII, z oględnością wyrzekli, zostało teraz zatwierdzone. Rozumié się wszakże o tyle, o ile okoliczność, że w Polsce nieznane dotąd ułamki z dzieła Cycerona o polityce wykrywają się, upoważnia do wniosku, iż dzieło to znachodzić się tamże musiało. Byłoby jeszcze zawcześnie wyrokować stanowczo o tém odkryciu, którego ważność pobudzi zapewne znawców literatury polskiéj do dalszych w téj mierze poszukiwań, i takowe prawdopodobnie uwieńczone zostaną skutkiem pomyślnym, jak tego mamy przykład na Trogu. Nateraz dość będzie wykryte przez p. wydawcę dwa fragmenta dosłownie tu przytoczyć. Piérwszy z nich wyjęty jest z dziełka *Paradoxa koronne*," którego rękopism w roku 1603 pisany, wydał po raz piérwszy drukiem p. wydawca, roku 1853 w Krakowie. Opiewa on tak:

„*Cicero prawdziwie w księgach swoich o Rzeczypospolitéj napisał: „Którzykolwiek ucztami i biesiadami i utratami, zachowanie sobie u ludzi jednają, ci nieomylnie pokazują, że prawdziwéj ozdoby, która z cnoty i godności pochodzi, nie mają.*" To samo zdanie przytoczył autor i w drugiém miejscu, wyraźnie powoławszy się

na Rplitą Cyceronową. Drugi fragment znachodzi się w rękopiśmie biblioteki Ossolińskich, I, 458, w tych słowach: „*Cycero de Republica leniter atque placide fides, non vi et impetu concuti debere.*" Należy on jak się zdaje do czwartéj księgi według wskazówki u Noniusa s. v. *fides*, (w naszém wydaniu fragmentów *de republica Ciceronis*, str. 321.)

Na tém kończy sprawozdanie swoje p. Osann. My z naszéj strony winniśmy tu dołożyć uwagę, że bezimienny autor Paradoxów koronnych oprócz powyższego wyimku z Cyceronowéj Rplitéj, okazał także w kilku innych miejscach, mianowicie na str. 58, 59, 60 i 61 że mu dzieło to jest znane; mówi bowiem w owych miejscach słowami odpowiadającemi zupełnie tym, jakie się w fragmentach Rplitéj po raz piérwszy ogłoszonych przez Angelego Maja z palimpsestu Watykańskiego, znajdują.

Tak więc ma się rzecz z dziełem *Cycerona libri de republica*. Że się one w wieku XVI i późniéj nietylko znajdowały w Polsce, ale że z nich pisarze polscy użytkowali, to jest już dziś dostatecznie udowodnione.

Zaś co do Troga, winniśmy tu jeszcze podnieść okoliczność następującą. Wydawca jego fragmentów, jak to sam powiada w przedmowie, założył sobie cel dwojaki: objąć w swém dziełku naprzód ułamki takie, w których zdarzenia zupełnie nowe, lub częściowo tylko przez Justyna dotknięte znajdują się; powtóre podać do wiadomości fragmenta nieróżniące się wprawdzie od Justyna pod względem treści, ale pod względem wykładu dostarczające waryantów do krytycznego jego wydania; a któreto fragmenta dotąd niepostrzeżone, tak w drukowanych księgach jako i po rękopismach ukrywały się. Użyteczność obu tych celów uznał w zupełności p. Osann; jeźli więc w uczoném sprawozdaniu swojém okazuje, że ten lub inny ułamek nie z Troga, lecz tylko z Justyna był zaczerpniony; tedy nie wypływa z tego bynajmniéj, iż takowy w dziełku p. Bielowskiego znajdować się nie powinien. I ta to jest przyczyna, dla któréj w uwagach naszych ograniczyliśmy się na fragmenta główniejsze, i niejedno coby się na obronę przeciwnego zdania powiedzieć mogło, a do fragmentów podrzędnych odnosiło się, zupełnie zamilczeliśmy. Jest to z resztą przedmiot tego rodzaju, że w nim z pewnością matematyczną wyrokować nie można, i przy uderzających nawet na stronę jedną dowodach, daje się częstokroć dojrzeć okoliczność, która jasnego w téj mierze przekonania mieć nie dozwala. Wskażemy tu na jeden z takich przykładów. Fragment 11 o prawach Lykurgowych, wyjęty z Jakóba de Cessolis, ma dość liczne od textu Justynowego różnice w opowiadaniu, a powierzchność taką, która bardzo sprzyja mniemaniu, iż z samego Troga został zaczerpnięty. Tymczasem p. Osann powiada poprostu, że źródłem jego jest Justyn, nie Trog; a zdanie to jego nietylko nie jest do odrzucenia,

ale owszem okazuje, że szanowny sprawozdawca zastanawiał się głębiéj nad tym przedmiotem. Do powodów, które za tém zdaniem przemawiają, zaliczyłbym i ten, że w ułamku tym brak owéj jędrności i dobitności mowy, jaka nawet pomniejsze niektóre ułamki przez Wincentego podane cechuje, a która właściwa była Trogowi. Jakkolwiek atoli co do mojéj osoby, zdanie pana sprawozdawcy pod tym względem zupełnie podzielam; przecież nie mogę tu pominąć szczegółu, który za przeciwném zdaniem przemawiać się zdaje, mianowicie: że Jakób de Cessolis był wielce oczytany w pisarzach starożytnych, i miał niewątpliwie pod ręką dzieła, które dziś do zaginionych należą. Oto jest ile wiemy, niepostrzeżony przez nikogo dotąd, ułamek z Kurcyusza piérwszéj księgi, która jak wiadomo zaginęła. Znajduje się on w pomienionem dziele Jakóba de Cossolis'na karcie 245 str. odwrotna, według rękopismu Ossolińskich biblioteki. „*Refert Quintus Curtius libro primo, quod Godates magno Alexandro ait. Natura mortalium hoc modo prava et sinistra dici potest, quod quisque in suo negotio vel iudicio hebetior est quam in alieno*".

Lwów, d. 20 listopada 1854 r.

D. J. Wagilewicz.

Słownik języka polskiego przez M. Samuela Bogumiła Linde. *Wydanie drugie, poprawne i pomnożone staraniem i nakładem Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Tom I.* A.—F. *Lwów. W drukarni Zakładu Ossolińskich.* 1854 *r., w* 4*ce wiel. Przedmowy str.* 39. *Wstępu LXIV. Samego Słownika* 681.

Słownika tego wydaniem zajmuje się, jak widzimy, Zakład Ossolińskich we Lwowie, i własnemi funduszami koszt cały pokrywa. Dziwne koleje Zakład ten przechodził. Założyciel jego pozostawił znakomite fundusze na dalszy rozwój i wydawanie dzieł i rękopismów, już własnych, już innych pisarzy: tymczasem powierzony w nieumiejętne ręce, nietylko że właściwemu celowi położonemu wyraźnie przez J. M. Ossolińskiego nie odpowiedział, ale przez długie lata niedołężnéj administracyi, fundusze Zakładu zagrożone utratą zostały.

„Należy to w naszym kraju do zdarzeń nader szczęśliwych (mówi A. Bielowski w przedmowie), że Zakład narodowy imienia Ossolińskich, przed laty pięcią w zupełnéj niemocy znajdujący się, i ku upadkowi pochylony, potrafił w krótkim czasie nietylko zabezpieczyć się od upadku, ale wzmódz się do tyla, że już

z początkiem r. 1852 mógł przeznaczyć niemały nakład na cele naukowe, i wydać tom IV Ossolińskiego Wiadomości historyczno-krytycznych, a w roku następnym zająć się nierównie ważniejszém jeszcze przedsiębierstwem.“ Mowa tu o obecnie wydającym się Słowniku.

Dlaczego znakomity fundusz na przedruk słownika Lindego obrócono, kiedy zapowiedziane oddawna Pomniki dziejowe, więcéj zapowiadały dla literatury korzyści?—daje następne objaśnienie A. Bielowski.

„W wyborze dzieła, którém Zakład tą razą najstosowniéj przysłużyć się mógł narodowi, ważne względy przemawiały za Słownikiem Lindego. Słownik ten układany był niegdyś w myśl i z pomocą J. M. Ossolińskiego: układał go Linde podówczas domownik jego i bibliotekarz; z jego skarbów bibliotecznych powstał; jego postrzeżeniami umyślnie na ten cel spisywanemi zasilał się; jego datkami pieniężnemi w znacznéj części na świat wychodził, i gdy z dokonanego już dzieła, cały naród chlubę i pożytek odniósł, nad uzupełnieniem go tomem dodatkowym przemyśliwał sam Ossoliński. Atoli powodem nierównie ważniejszym nad stosunek autora pracy jego do założyciela, była dla Zakładu sama użyteczność i potrzeba dzieła tego dla polskiéj publiczności.“

Następnie A. Bielowski wskazując wysoką wartość samego dzieła, jego już rzadkość, w końcu daje do zrozumienia, że przeważnym głosem swoim wpłynął na ten przedruk J. E. Agenor hr. Gołuchowski, namiestnik królestw Galicyi i Lodomeryi; który położył niemałe zasługi dla Zakładu Ossolińskich, użyczywszy swéj pomocy tak na wydobycie dawnych zaległości tego Zakładu, jako téż na regularne wypłaty dochodów bieżących.

W przedmowie téj znajdzie ciekawy czytelnik rozwinięty następnie obraz dokładny całéj oględności, przy nowym przedruku Słownika.

Zastępca kuratora Zakładu hr. Maurycy Dzieduszycki, zażądał przedewszystkiém zezwolenia na to pozostałéj rodziny Lindego. Ta pomna, ile autor Słownika doznawał przyjaźni i pomocy od J. M. Ossolińskiego, nietylko jak najchętniéj udzieliła żądanego pozwolenia, ale nadto, ostatnią pracę ojca swego, obejmującą materyały do Słownika porównawczego wszystkich dyalektów słowiańskich, dla Zakładu ofiarowała.

Nastręcza się teraz pytanie: czém się różni przedruk od piérwszego wydania, i w czém udoskonalony został. Odpowiemy więc na nie.

Po przejrzeniu uważnie ostatniéj pracy Lindego Słownika porównawczego języków słowiańskich, dostrzeżono, że w oddziale polskim przytacza on wypisy z autorów te same, jednakże sta-

ranniéj częstokroć i poprawniéj niż w polskim swoim słowniku, i że trafniéj je objaśnia. Podaje też z większą oględnością niż dawniéj, pierwiastki niektórych wyrazów, w skutek lepszego rzeczy zgłębienia. Te poprawki równie jak dodatki na karteczkach osobnych znalezione, jako od samego autora pochodzące, wcielone zostały do tekstu. A. Bielowski wyraża, że ten dodatek uważa: „za istotną korzyść“ nowego przedruku.

Wydawcy prócz tego, zostawując wszędzie tekst Lindego nietknięty, wyrazy czy nieobjaśnione przez niego, czy źle wytłumaczone, sprostowaniami swojemi uzupełnili oznaczając je nawiasami. Te wszakże poprawki zastosowali wyłącznie i jedynie do saméj polszczyzny. Nadto udoskonalili przedruk tém, że gdy Linde drukował tak cerkiewne jako i rossyjskie wyrazy pismem rossyjskiém rządowém czyli grażdańskiém; w nowém wydaniu mamy wydrukowane kiryliką te tylko słowa, które istotnie, podług dzisiejszych pojęć są cerkiewnemi: słowa zaś staroruskie, rossyjskie i t. d., przez Lindego mylnie za cerkiewne podane, drukowali typami grażdańskiemi. W druku całego Słownika zaprowadzono zmianę w pisowni, trzymając się zasad przez b. Towarzystwo Król. Warszaw. Przyjaciół Nauk podane w dziele: Rozprawy i wnioski o ortografii polskiéj.

Otóż w treści podaliśmy, co przedmowa w nowym obejmuje przedruku, na czele 1go tomu Lindego zamieszczona. Następuje po niéj: Żywot Samuela B. Lindego, skreślony także piórem A. Bielowskiego. Do ułożenia tego żywota posłużyły mu następujące źródła: 1. Lindego autobiografia, przeciąg dwudziestu kilku lat obejmująca, umieszczona na początku VI tomu Słownika. 2. Listy własnoręczne jego, w bibliotece Ossolińskich znajdujące się. 3. Wiadomość o życiu Lindego, świeżo w Paryżu wydana p. n. Notice nécrologique sur S. Linde, par E. Saint-Mauriae Cabany. 4. Życie domowe Lindego, któreśmy wydawcy posłali, jako wyjątek z tomu 2go „Cmentarza Powązkowskiego.“

Obszerny ten życiorys autora Słownika, obejmujący trzy arkusze przeszło druku, daje najdokładniejszy obraz całego żywota i prac naukowych Lindego. Nie powtarzając rzeczy znanych, nie możemy puścić mimochodem szczegółów biograficznych, po raz pierwszy ogłoszonych.

W autobiografii swojéj wspomniał Linde o swoich podróżach naukowych po kraju przedsiębranych, w celu zbierania rzadkości bibliograficznych ojczystych, dla biblioteki tworzącéj się dopiéro J. M. Ossolińskiego. W nichto poznał się z ks. Juszyńskim i innemi znawcami, wynachodził tak zwane kruki białe tam, gdzie ich nawet Juszyńskiemu z Czackim wynaleźć nie powiodło się. Otóż w tych zabiegach Lindego o pomnoże-

nie skarbów biblioteki Ossolińskich znajdujemy nową a nieznaną kartę nam podaną.

„Między papierami (pisze A. Bielowski), które, jak się domyślać można, ze stolików niegdyś i komód ociemniałego J. M. Ossolińskiego zgartywano, zachowało się kilka ćwiartek na prostym krajowym papierze dorywczo zapisanych. Próby atramentu i pióra różnéj ręki po brzegach, i rachunki domowe to ołówkiem, to czernidłem po wyblakłém już piśmie dawniejszém w rozmaitych kierunkach pokreślone wskazują, że przechodziły przez ręce osób, którym były zupełnie obojętne, i do użytku powszedniego służyły. Są to listy własnoręczne Lindego, pisane do Ossolińskiego z tych oto podróży, o których tu napomknął.

„Niewielki oddziela nas przeciąg czasu od ostatnich lat wieku zeszłego: wiele jednakże zmieniło się w nim pod względem wyobrażeń. Dziś nie ma prawie klasztoru w całéj Polsce, w którymby nie znalazł się jeden przynajmniéj, a często i więcéj światłych księży, co nietylko swoje, ale i sąsiednie biblioteki przepatrzywszy, spisują, bądź sami dzieła użyteczne dla kraju, bądź też wiadomość o ważniejszych pisanych lub drukowanych pomnikach do użytku publicznego podają. Każdy niemal posiadacz zbioru ksiąg jest dziś znawcą lub nawet bibliografem. Nie tak było po klasztornych lub domowych bibliotekach przed laty pięćdziesięcią i więcéj: właściciele ich częstokroć nie pamiętali, gdzie były umieszczone. Pyłem kilkowiekowym okurzone księgi nie nęciły do siebie nikogo ze swoich, a lenistwo lub obawa zawstydzenia zasłaniały je jak tarczą siedmioskórną najrozmaitszemi pozorami, przed ciekawém okiem obcych natrętów. Bibliografowie więc i bibliofile wieku zeszłego znaleźli się, pod tym względem, w osobliwszém położeniu. Z jednéj strony instynkt jakiś przemawiał silnie do ich duszy, że czas już ostatni, aby ratować te szczątki naukowéj przeszłości naszéj od zagłady, i wydobywać na jaw wszelką naukę, jaka się w nich ukrywała: z drugiéj strony, nie chciano zgoła rozumieć téj potrzeby, i na niezaprzeczalném prawie własności polegając, stawiano częstokroć opór nieprzełamany wszelkim tego rodzaju poszukiwaniom. To dało przeciwnikom pochop do podniesienia zasady, na którą trudno dziś zgodzić się: że cel uświęca środki, a która, ile się zdaje, była powszechném przekonaniem bibliografów i bibliofilów wieku zeszłego. Nadużycia tego rodzaju wiążą się poniekąd z najzasłużeńszemi z owéj epoki imionami. Wiadomo, co w tym względzie rozpowiadają o czcigodnym Tadeuszu Czackim. Rewersa jego, już tylko jako autografy figurują dziś po niektórych z naszych klasztorów, ulżywając miłém wspomnieniem straty foliantów dawnych ich właścicielom, a bardziéj jeszcze opróżnionym pułkom, które niegdyś pod ich ciężarem stękały. O dwóch innych czcigodnych mężach obiega

powszechnie znana powiastka, że razu jednego po Krakowie przechadzając się, opowiadali sobie w głos bukinistowskie swoje sprawy. Nagle staje przed nimi mężczyzna poważny, i mówi z miną urzędową: „proszę panów pójść za mną." „Dokąd?" zapytali zdziwieni. „Do policyi, jesteście ludzie podejrzani." Szczęściem dla nich, stało się to o parę kroków tylko od sklepiku księgarza i powszechnie poważanego obywatela krakowskiego, który dniem pierwéj zacnych tych gości, dla pokazania im swoich niektórych nabytków do siebie zaprosiwszy, właśnie ich w progu oczekiwał. Dane więc przez niego wyjaśnienia i rękojmie urzędnikowi, wybawiły ich z kłopotu.

„Linde nie był bibliomanem: na księgach znał się gruntownie, a cenił ich dla treści. Jak każdemu niemal z swoich zatrudnień, tak i poszukiwaniom rzadkich ksiąg oddawał się z namiętnością: ale ich dla siebie nie zbierał. Poznawszy zacne Ossolińskiego dla narodu zamiary łożył wszystko, co mógł ze swéj strony, aby je wesprzeć, i jak najświetniéj przyprowadzić do skutku. Ostateczności w nabywaniu ksiąg używał tam tylko, gdzie żadne inne środki nie pomagały. W takim razie nie brakło mu przebiegłości i dowcipu, a wynurzenia się jego w téj mierze w listach przed Ossolińskim, są pełne humoru i serdeczności."

Wydawca cztéry listy zamieszcza Lindego z tych wycieczek bukinistowskich, już całe, już w urywkach, jak je znalazł. Wszystkie pochodzą z 1799 roku. Na czele zaś mówi:

„Umieszczając tu te listy poufne, odsłaniamy wprawdzie niezbyt poważną stronę jego charakteru; wszakże bez niéj nie mielibyśmy prawdziwego jego obrazu. To, co się w nich rażącem dziś wydać może, nie weźmie żaden rozsądny czytelnik inaczéj, jak tylko w stosunku do panujących wówczas wyobrażeń; a bynajmniéj nie posądzi nas o chęć ubliżenia zacnéj Lindego pamięci.

Otóż z tych listów widzimy, z jakim zapałem i jakiemi drogami zbogacał bibliotekę Ossolińskiemu. W Sandomierzu, jak wyraża, zemknął Victoria decorum Klonowicza, wraz z innemi: pisał na wiele wziętych książek rewersa na imię Ossolińskiego, lubo te rewersa do niczego nie służyły, bo raz księga jak się dostała do biblioteki Ossolińskiego, już więcéj nie powróciła. W listach tych mamy spisy dokładne rzadkości bibliograficznych, które zdobywał. Splondrował bibliotekę Kuczkowskiego w Woli, za zezwoleniem właściciela, i ogromne zabrał ztąd paki, a widać nad zezwolenie dane, bo zaraz dodaje:

„Niech się szambelanisko żali na moją niedyskrecyą, ja jéj nie znam, gdzie idzie o kochaną naszą bibliotekę."

W następnym liście skarży się Linde na zakonników. „Panbyś nie uwierzył (pisze), jak ciężkie są negocyacye z mni-

chami: trzeba więcéj niż ministrowskiéj głowy. aby cośkolwiek wskórać.“

Strach padł na Lindego, gdy długo nie odbierał odpowiedzi od Ossolińskiego, sądząc, że listy jego przejęte zostały, w których zdobycze swoje i sposoby opisywał. Odetchnął swobodniéj, gdy w końcu sierpnia 1799 otrzymał list Ossolińskiego z doniesieniem o doszłych listach.

Cała ta wędrówka bukinistowska, ciekawy dodaje ustęp do życiorysu Lindego. Kto żył, lub zapamięta owe czasy, ten łatwo pojmie i wytłumaczy ten zapał do zbierania dawnych pomników literatury naszéj. Te to wędrówki i zdobycze per fas i ne fas, złożyły znakomite księgozbiory w kraju naszym, i przyspieszyły poznanie literatury starożytnéj.

Życiorys Lindego znakomitym piórem A. Bielowskiego skreślony, obejmuje wiele nadto jeszcze nieznanych dotąd szczegółów żywota uczonego męża. Po nim już się rozpoczyna właściwy przedruk Słownika.

Wydawca zajęty dopełnieniami z rękopismów Lindego, oraz dodatkami, o których na początku wspomnieliśmy, w korrekcie wyręczony został przez p. Jana Wagilewicza znanego literata i filologa. „Jemuto (jak pisze) zawdzięcza niniejsze wydanie to, cokolwiek w niém poprawniejszego w języku cerkiewnym, a niekiedy i w innych dyalektach słowiańskich znajdzie się.“

Wydanie całe staranne, druk nowy, wyraźny i czysty, odbicie piękne i jednostajne; papiér choć mniéj biały, ale gruby, mięsisty, nieprzebijający, czerpany. Słowem, wszystkie warunki zachowano, ażeby przedruk ten, przy obniżonéj znacznie cenie, zalecił się pięknością i trwałością wydania.

K. Wł. W.

ROZMAITOŚCI.

JAN LIPNICKI.

(Wspomnienie).

Jan herbu Hołobóg Lipnicki, w drugiéj połowie XVIgo stulecia urodzony, szlachcic, dziedzic skromnego majątku i poddanych po swych przodkach odziedziczonych, wychowuje się bogobojnie w zasadach ewangelickiego wyznania. Nie sposobi się do wojennego rzemiosła, ani posług publicznych, choć zdolny do nich, i gotowy jak każdy szlachcic polski; poświęca się wyłącznie bogobojności, pracy rolniczéj i szczęściu kmiotków: żyje pośród nich lat kilkadziesiąt, wspiéra, wspomaga, łagodzi dolę, a Bóg błogosławi cnotliwym jego pracom, obdarza długiém życiem i hojnie opatruje dostatkiem. Lipnickiego mijają godności i urzędy nietylko krajowe, ale nawet ziemskie; nie ubiega się za niemi, ambitniejszym je zostawując: jego zagroda domowa, jego ojcowskie włościami rządy, wystarczają dla jego obywatelskiéj dumy. Nie szuka szczęścia w związku małżeńskim, ani w widoku potomstwa; familijne uczucie swoje zlewa na dzieci brata i siostry, a sam poświęca się wyłącznie dla dobra ukochanego ludu wiejskiego.

Lecz śmierć ma przeciąć pasmo szlachetnych jego czynów; późny wiek i słabnące zdrowie, blizki skon przepowiadają. Lipnicki jak żył, tak umiera: ostatnie chwile, ostatnie myśli, ostatnie uczucia serca, ulubionemu chłopstwu poświęca: widzi, że mało jeszcze w życiu swém do szczęścia jego przyłożył się; przeczuwa; że gdy go wkrótce zabraknie, zaginą jego dobrodziejstwa; przebiega uciski chłopka, i widzi, że obciążony obowiązka-

mi dla pana, nie jest najczęściéj w stanie potrzebnego zebrać grosza na opłacenie podatków; zna uciski poborców (exactores regii), trudniących się wybieraniem podatków, fantowania, zabory, łzy i rozpacz biédnych włościan. O! dla Lipnickiego całe życie stracone, wiek blizko jego pracy i abnegacyi zmarnowany; chociażby całe swe mienie oddał, to mało, to zbyt mało! A tu i bratunek, i siostrzeńcy; jego krew, krew jego ojca, wyglądają wsparcia z stygnącéj dłoni, i gorzką kładą tamę najlepszym, najszlachetniejszym chęciom! Ostatnie chwile cnotliwego starca ciężko zatrute! Ale nakoniec Bóg zsyła mu błogosławioną myśl: mało możesz, szepcze mu z nieba natchnienie, uczyń co możesz, a twój czyn stanie się przykładem, zachętą, pełném ziarnem w żyzną rolę rzuconém. Nie waha się Lipnicki: blizki zgonu, zwołuje swych pokrewnych i sąsiadów, zaklina. by święcie wolę jego wykonali. Na nich, jak na przedstawicieli wszystkiéj braci szlachty wkłada obowiązek spełnienia ostatnich życzeń swoich, objawia myśl swoję, i drżącą ręką skreśla ją i uwiecznia; rodzinę i przyjaciół bierze za świadków, a całemu narodowi urzeczywistnienie zamiarów swoich porucza.

Działo się to dnia 20 kwietnia 1646 roku, we wsi Wysokach, dawniéj i dzisiaj w powiecie sandomierskim położonéj. Lipnicki blizki zgonu, nie pozostawia na piśmie żadnego majątkiem swym rozporządzenia; przekazuje go w dostatniéj ilości spadkobiercom prawnym, z pewną goryczą mówiąc: że znajdą dosyć, więcéj, niźli on po ojcach odziedziczył; nie nakazuje co i komu z pokrewnych ma się dostać, bo pragnie, aby każdy prawną swą część otrzymał; mniéj zajmuje się nimi, a całą myśl swą i zmysły stygnące zbiera i skupia ku wielkiemu zamiarowi, mającemu na celu dobro i pomyślność w długie wieki wieśniactwa. Posiada on skromną summę ówczesnych złp. 15 tysięcy w gotowiznie u Joachima Wolfowicza; tę kwotę ofiaruje Rplitéj powiatu sandomierskiego; błaga, aby który z braci szlachty przyjął ją do siebie, a procent $^{6}/_{100}$ obracano corocznie na zastąpienie podatków skarbowych za ubogich zagrodników, komorników i chałupników dóbr prywatnych powiatu sandomierskiego.

Takimto czynem zacny ten mąż dokonał bogobojnego życia, takim czynem mądrze obmyślanéj na wieczne czasy dla ubogich kmiotków pomocy, w chwili, gdy siliły się umysły nad ich uciążeniem, chciał dać przykład prawdziwéj miłości bliźniego, bo miał (tę długo zawiedzioną) nadzieję, że ziomkowie zwrócą uwagę na nędzę wiejskiego ludu; że powstaną jego naśladowcy; że dla innych ziem Polski zrobią przynajmniéj to, co on dla sandomierskich chłopków, o ile mógł, przy ograniczonych swych środkach uczynił. Postępkiem tym Lipnicki zajął miejsce w liczbie najcnotliwszych rodaków, nabył prawa do wdzięczności długiego szeregu pokoleń sandomierskich włościan, zasłużył pię-

kne imię przyjaciela ludzkości, i pełne czci i szacunku wspomnienie.

Życiorys takiego jak Lipnicki człowieka, powienien być skreślonym wiernie i dokładnie, bo może mieścić w sobie ważne dla potomności i piękne dla jego sławy pamiątki; lecz gdy upływ dwóch wieków zatarł ślad ich i wspomnienie, gdy mi brak najpotrzebniejszych ku odkreśleniu jego czynów źródeł: ograniczyć się muszę tém jedynie wspomnieniem, zostawiając bogatszym w zasoby zeszłości. i środki uzupełnienia mojego rysu.

Niesiecki, Siarczyński i testament czcigodnego Lipnickiego, oto wszystkie wskaźniki moich poszukiwań: podstawy, na których osnowałem powyższe życia jego wewnętrznego i zewnętrznego wspomnienie. Ostatni szczególniéj akt był mi główną pomocą; a jako dwóchset-letni zabytek i wieczny pomnik cnót i dobréj woli naszego Sandomierzanina, uważam być godnym zamieszczenia tutaj w całości, na potwierdzenie zarazem tego wszystkiego, co o tym pamięci godnym mężu wspomniałem. Jestto wyimek z akt grodzkich sandomierskich, wiernie, dosłownie i bez żadnych odmian wypisany:

„Iż nad śmierć nic nie jest pewniejszego, a nad czas i godzinę jéj nic niepewniejszego, a przeżywszy lat niemało szczęśliwie wedle woli Pana Boga mego, w téj chorobie acz niebardzo ciężkiéj, ale nademdloną czując siłę natury mojéj, obawiając się, iż Pan mój dni moich skracać raczy, co ja wszystko pod wolę Jego świętą poddawam, a o kilku rzeczach, tę moją ostateczną wolę na piśmie zostawuję. A najprzód o depozycie moim, którego w schowaniu u pana Joachima Wolfowicza być ma złp. 15 tysięcy we złocie i srebrze; widząc tego wielką słuszność i sprawiedliwość, i mając do tego pozwoloną facultatem, by dyspozycyą taką dać ludziom, jakiém mię mój Pan mieć chciał disponendi liber de rebus suis. Tedy oświadczając chęć ku ojczyznie méj miłéj, daję i konferuję te 15,000 złp., które w schowaniu są u tego pana Joachima, Rplitéj powiatu sandomierskiego. Aby ichmość moi mości panowie i bracia to odemnie i z tą barełką wdzięcznie przyjęli, i one pro sua prudentia et dexteritate tak obrócili, żeby od tych pieniędzy pożytek szedł po złp. 8 od 100 na rok. Wziąwszy te pieniądze Rplita, na pewnéj majętności, u jegomości którego z panów braci dobrze osiadłego i niezawiedzionego, a z procentu tego interesu, aby był płacon pobór od zagrodników, komorników, chałupników, z dóbr, miasteczek i wsi, szlacheckich tylko. A jeżliby co zbywało, chować na potomne czasy, staranie uczyniwszy na sejmie, aby się na to aprobacya stała na sejmie, i pod takim warunkiem, jaki jest de terra Sandomiriensi, aby tego nie wzruszać perpetuis temporibus, i o to się starawszy, aby był urząd skarbniczy na to fundowany. Zdarzy Pan Bóg, że się

ludzie utriusque status pobudzić mogą ad praestanda majora, ażeby takie pobory zniesione być mogły. Ten mój był zamysł samemu tę beneficentią, która się obraca na poddane ichmość panom oddać; ale iż się inaczéj Najwyższemu rządcy podoba, teraz tém pismem przez synowca mego pana Przecława Lipnickiego oddaję i konferuję; onego i domek mój w miłościwą łaskę waszmość panów zalecając. Proszę przytém uniżenie jegomości pana wojewody krakowskiego (1), jegomości pana starosty sandomierskiego: aby tę sprawę pod protekcyą swą raczył mieć pro sua authoritate, aby się ten pobożny uczynek w niczém nienaruszony, do swego efektu przyszedł: i byłaby wola którego z ichmościów tę summę na majętności swéj mieć, bardzobym się tém ucieszył, a Pan Bóg swojém świętém błogosławieństwem i sławą nieśmiertelną nagradzać będzie raczył. Nie dzieję się nikomu krzywda, w dziesięć razy więcéj zostawia się majętności panom sukcessorom moim, niźlim ja wziął po rodzicu swoim. Daj Boże, aby tego umieli chwalebnie używać! W Wysokach die vigesima Aprilis, anno Domini millesimo sexcentesimo quadragesimo sexto. Co ręką swoją piszę i podpisuję.

Jan Lipnicki mp." (pieczątka).

Daléj następują podpisy obecnych spisaniu tego aktu: sąsiada obywatela i trzech siostrzeńców Lipnickiego, któremi to podpisami, wolę jego święcie wypełnić zobowiązali się.

„Jan Dębicki z Dębice na Krzyżowicach ręką swą przy bytności jegomości pana Przecława Lipnickiego i jegomości pana Durusza Daniela doktora.

„Jan Jagoszewski ręką swą przy bytności jegomości pana Przecława Lipnickiego, jegomości pana Daniela Durusza doktora.

„Alexander Chocimowski, woli i rozkazaniu dobrodzieja mego dosyć czyniąc, przy bytności braci moich, Jegomości pana Przecława Lipnickiego i jegomości pana ichmość Jana Jagoszewskiego, mp.

„Nie będąc nigdy woli jegomości pana wuja dobrodzieja mego sprzecznym, przy bytności ichmość panów braci, na tę podpisuję się kartę, Chocimowski Jarosz mp."

Wkrótce potém czcigodny Jan Lipnicki żyć przestał, a synowiec jego Przecław, wypełniając wiernie wolę stryja, stawił się przed urzędem grodzkim sandomierskim, i przywiedziony wyżéj testament oblatował: feria secunda post Dominicam Jubilate proxima (tojest dnia 27 kwietnia 1646 roku.) Nakoniec zapis ten, zupełną sankcyą otrzymał: zatwierdziły go

(1) Stanisława Lubomirskiego wojewody krakowskiego, starosty sandomierskiego, spiskiego i dobczyckiego.

bowiem w całéj mocy stany rzeczypospolitéj, przez konstytucyą z roku 1647, w voluminie praw czwartym, na karcie setnéj jedénastéj zamieszczoną.

Pozostaje mi teraz skreślić koleje, jakim uległa fundacya cnotliwego Lipnickiego, aż do naszych czasów.

Stosownie do woli zapisodawcy, święcie, jak widzieliśmy wyżéj, przez synowca jego wniesieniem do ksiąg grodzkich i wyjednaniem zatwierdzenia sejmu, spełnionéj: włościanie powiatu sandomierskiego zabezpieczeni zostali przed najgwałtowniejszą potrzebą. Z dobrodziejstwa tego korzystali najubożsi, lub dotknięci losowemi wypadkami: nieurodzaju, gradobicia, wylewu i t. p., a zawsze przez zastąpienie ich w opłacie przypadających od nich podatków. Spadkobiercy Lipnickiego, i wezwani przez niego na opiekunów funduszu, wojewoda krakowski, starosta sandomierski i w ogóle obywatele, szanowali poczciwe dążenia zmarłego, obmyślali korzystną i pewną dla kapitału lokacyą: słowem, zamiar jego szlachetny jak najściśléj urzeczywistnionym został.

Lecz gdy tych wykonywaczy woli jego niestało, interes i chciwość późniejszych wydarł wieśniakom sandomierskiéj ziemi i tę pomoc, jaką im cnotliwy starzec na wieczne czasy chciał zapewnić. Już bowiem od końca XVII wieku, przez czas długi, procenta od summy piętnaście tysięcy złotych polskich z zapisu Lipnickiego, pobierali dystrybutorowie solni, a włościanie od korzystania z nich odsunięci zostali. Sama summa od roku 1680 mieściła się na dobrach Janowice górne, przez Łukasza Podłęskiego wniesiona.

Po zniesieniu urzędu dystrybutorów solnych, procenta zalegać zaczęły; wówczas Adam Łodzia Poniński marszałek konfederacyi generalnéj, w dniu 16 kwietnia 1773 roku ogłoszonéj, przez sancitum dnia 18 marca 1774 roku wydane, samowolnie rozporządził procentami od legatu Lipnickiego, przeznaczając zaległe Gabryelowi Popielowi ówczesnemu pisarzowi granicznemu województwa sandomierskiego, a następne, na zawsze do tegoż urzędu przywiązał. Niedość procenta, ale i sam kapitał 15,000 złp., tenże sam marszałek Poniński, wbrew słuszności i postanowieniu sejmowemu, przez powtórne sancitum swe z dnia 9 kwietnia 1775 roku, przeznaczył na własność Adamowi Łąckiemu kasztelanowi sandomierskiemu, tytułem wynagrodzenia za utracone przezeń dobra do krzesła sandomierskiego należące, które w piérwszym rozbiorze do Austryi przyłączone zostały.

Takim sposobem włościanie utracili i kapitał i procenta, a następne aż do naszych czasów dzieje tego legatu, stały się czysto prywatnemi. Dla ciągu jednak powtórzę je tutaj.

Obdarowany przez Ponińskiego własnością publiczną, Łącki, dochodzić jéj zaczął na ówczesnym Janowic górnych właścicielu, Wojciechu Jawornickim, i tegoż przed sąd grodzki sandomierski o zapłacenie 15,000 złotych pols. zapozwał. Lecz w sprzeczności dwóch Ponińskiego sancitów, sąd grodzki nie mogąc wyrokować, spór do stanów Rzplitéj odesłał, wyrokiem z dnia 28 kwietnia 1777 roku.

Jawornicki korzystając z téj przewłoki, którą i nastąpiona około tego czasu śmierć kasztelana Łąckiego przedłużyła, układem w dniu 14 grudnia 1786 roku z Stanisławem Rzeczyckim właścicielem dóbr Brzezia zawartym, i na mocy obligu w tym samym dniu w grodzie sandomierskim zeznanego, summę złp. 15,000 przeniósł ze swych dóbr, na dobra Brzezie. Ale po téj przerwie, spadkobiercy Łąckiego o kapitał, a Stefan Grudziński ówczesny pisarz graniczny sandomierski, o procenta, na mocy sancitów Ponińskiego, wytoczyli przed trybunał lubelski przeciwko Jawornickiemu procesa; w skutku których, zapadł tegoż trybunału w d. 4 czerwca 1789 roku wyrok, przyznający Grudzińskiemu procenta od roku 1774 zaległe, Łąckim zaś kapitał 15,000 złotych polskich.

Na zasadzie takiego wyroku, Łąccy i Grudziński odnieśli się do sądu grodzkiego sandomierskiego o zobowiązanie Jawornickiego do zapłacenia przyznanych przez trybunał pretensyi. Jawornicki w obronie swéj przypozywa spadkobierców Rzeczyckiego, opierając się na układzie i obligu z r. 1786; a sąd grodzki dwoma wyrokami swemi z dnia 5 listopada 1789 roku, zobowiązał Jawornickiego i Rzeczyckich do solidarnego zaspokojenia Grudzińskiego i Józefa Łąckiego syna kasztelana sandomierskiego. Ten ostatni w r. 1791 zajął dobra Brzezie, i z tych podług kwitu z dnia 31 grudnia tegoż roku, w grodzie lubelskim zeznanego, summę złp. 15,000 podniósł.

Ale w lat dwa po tym ostatnim czynie, tojest w r. 1793, sejm grodzieński inaczéj widział tę sprawę jak trybunał lubelski; i uchylając nieprawne marszałka Ponińskiego sancita, wspomnioną wyżéj konstytucyą sejmową z roku 1647 zatwierdziwszy, fundusz Lipnickiego do pierwotnego na korzyść włościan powiatu sandomierskiego przeznaczenia przywrócił.

Zajaśniała więc dla ubogich chłopków nadzieja otrzymania pomocy; lecz ją nastąpione zmiany polityczne w samym rozświcie nadługo przyćmiły. Konstytucya sejmu grodzieńskiego, ani do Voluminów legum wniesioną, ani w wykonanie wprowadzoną nie została; i znów sandomierscy włościanie na długo od zapewnionego im przez Lipnickiego dobrodziejstwa, odsunięci zostali.

Pod opieką dopiéro dzisiejszego rządu, Prokuratorya Królestwa, od roku 1828 aż po rok 1837 zajmując się odzyskaniem

należnéj włościanom summy, i przez wszystkie instancye sądów cywilnych proces przewiódłszy, wyjednała ostateczny wyrok sądu Najwyższéj Instancyi, w dniach 2 i 3 marca 1837 roku zapadły, na mocy którego summa złp. 15,000 przez Lipnickiego przeznaczona, do celu przezeń zakreślonego przywróconą została: zaległe procenta w ilości złp. 15,373 gr. 10, do kapitału wcielono, i włościanie dóbr powiatu sandomierskiego od roku 1847 otrzymują procent rocznie złp. 1,518 gr. 20, na zaspokojenie podatków. Trzech obywateli ziemskich tamecznego powiatu, wraz z naczelnikiem powiatowym, zajmują się zaproponowaniem włościan do udziału z tego procentu, który im następnie każdemu po szczególe w stosunkowéj do potrzeb ilości, bądź do rąk, bądź przez zastąpienie w podatkach skarbowych, doręczonym bywa.

Tak więc zaledwie po dwóch wieków upływie, cnotliwe zamiary naszego ziomka Sandomierzanina, urzeczywistnione w zupełności zostały; wieśniacy tutejsi, mając za siebie zaspokajane podatki, najznakomitszą w potrzebach swoich otrzymują pomoc, a imię Jana Lipnickiego większéj i zasłużonéj nabywa świetności.

Nie jest nam wiadomém miejsce wiecznego spoczynku ziemskich szczątków tego twórcy pomyślności sandomierskich włościan; może je późniejsze poszukiwania odkryć zdołają: ale duch jego w swych dobrodziejstwach dotąd pomiędzy tym ludem przebywa, zyskując błogosławieństwa i słodkie łzy wdzięczności obdarowanego ubóstwa.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

40. Chatka w lesie. Dziwactwo dramatyczne, w pięciu ustępach, przez Władysława Syrokomlę. 12-ka. Wilno. 1855. Nakład A. Assa (druk A. Marcinowskiego). Kart 4, przedmowy str. VI i 88 Rsr. 1.

41. Córa Piastów. Powieść wierszem z dziejów litewskich, przez Władysława Syrokomlę, z muzyką St. Moniuszki. 8-ka. Wilno. 1855. Nakładem Rubena Rafałowicza (druk Zawadzkiego). Str. 54. Kop. 90.

42. Książeczka dla Stefcia przez Stanisława Jachowicza. (Z ryciną). 12-ka. Warszawa. 1855. (Nakład autora) druk A. Ginsa. Str. 84. Kop. 50.

43. Niewiasta przez Walerego Wielogłowskiego. (Wydanie drugie). 16-ka. Kraków. 1855. W księgarni i wydawnictwie dzieł katolickich. (W drukarni Czasu). Str. 102. (do str. VI znaczono rzymskiemi liczbami). Kop. 40.

44. Poezyje Wincentego Pola. W Krakowie. 1855. (Na odwrotnéj karcie) Mohort. Rapsod rycerski z podania. 8-ka. (Nakład autora, w drukarni Czasu). Str. 176. Objaśnień XLV. Rsr. 3 kop. 30.

45. Życie Mikołaja Kopernika przez Dominika Szulca, członka kor. Towarzystwa naukowego krakowskiego..... 8-ka wielka. Warszawa. 1855. (W drukarni Gazety Codziennéj). Napisów, przedmowy i rejestru str. XV. i 102. Rsr. 1.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

J. F. Dobrzyński zamierza ogłosić polonezy ojca swego Ignacego. W czasach, gdy nasi kompozytorowie zatracili niemal właściwy charakter tego narodowego tańca, niemałą wydanie to przyniesie korzyść: gdyż w tych utworach ujrzymy zachowane nieskazitelnie i ową dziarskość, i duch staropolski prawdziwie naszych polonezów.

— Nakładem S. Orgelbranda drukują się następne dzieła i wkrótce wyjdą z pod prasy: ks. Osińskiego: Żywoty biskupów wileńskich, wraz z bibliografią o życiu i pracach autora przez H. S. (Hippolita Skimborowicza), z portretem autora, 3 tomy.—Jana Prusinowskiego poezye. Dr. Teodora Tripplina: Lekarz w Szwajcaryi, 4 tomy. Historyi powszechnej Cezara Kantu tom IX. F. Eberharda: O chowie i ulepszaniu ras koni, z pogląd em na chów koni w Anglii. „Ach co za prześliczna książeczka" przedstawiająca w obrazkach kolorowanych wszelkie przedmioty łatwe dzieciom do pojęcia.—Zwierciadełko dziecinnego wieku, czyli zbiór powiastek nauczających i zajmujących z rycinami: dziełko to ma dwa oddzielne jeszcze wydania: polsko-francuzkie i polsko-niemieckie.

— Romuald Zienkiewicz zamieszkały w Wilnie, znany w literaturze naszej jako wydawca pięknego zbioru Pieśni ludu piińskiego, wraz z przekładem na polskie, oraz jako autor rozprawy: O uroczyskach i zwyczajach ludu piińskiego oraz o charakterze jego pieśni, któreśmy drukowali w naszém piśmie oddawna uległ nieuleczonemu kalectwu ślepoty. Pozbawiony wzroku, nie przestał pracować na literackiém polu; nie mogąc piórem władać, nauczył się wprawnie pisać ołówkiem. Takie listy otrzymujemy często, w których nam o czasu pewych prasach swoich donosi. Zaczny ten literat ogłosił teraz prenumeratę na nową pracę swoją p. n. Próbki rymowe Romualda Zienkiewicza. Dziełko to wyjdzie przed końcem r. b. w drukarni J. Zawadzkiego w Wilnie. Pieśni tego liczy na współczucie społeczności naszéj, i my o nim nie wątpimy. Prenumerować można w redakcyi Biblioteki Warszaw.; cena egzemplarza rsr. 1.

— Pani Aleksandra Petrow, zarządzająca zawiązanemi interesami Domu schronienia Opieki N. Maryi Panny, ogłosiła w naszych pismach codziennych uwiadomienie o zamiarze wydawania pisma peryodycznego dla ludu miejskiego. Cel piękny i wzniosły wyraźnie mamy

oznaczony. „Oddawna w kraju tutejszym (pisze pani Petrow) czuć się dawała potrzeba wpływania na poprawę moralną domowników obojéj płci i młodzieży, zajętéj przy warsztatach; aby taka poprawa stawała się możebną, potrzeba współdziałania nietylko pań i panów, majstrów i właścicieli zakładów przemysłowych, rodziców i opiekunów młodzieży, ale nadto oprócz przykładu i zachęty, potrzebaby podać do rąk wspomnionéj klassy osób pisma stosowne do ich wieku i pojęcia, do rodzaju zatrudnień i stopnia ukształcenia, które obok wpajania moralnych zasad rozwijać się powinno. Pismo to ma mieścić w sobie: 1) Opowiadania lub powieści moralne w zastosowaniu do warstwy właściwéj czytelników. 2) Wiadomości o szczególnych odkryciach, ulepszeniach w naukach, kunsztach i rękodziełach. 3) Tłumaczenie przystępne do pojęcia zjawisk natury, i fenomenów przyrodzonych. 4) Wiadomości o zakładach dobroczynnych i miłosiernych.“ Taką treść czytamy w ogłoszonym prospekcie: dowiadujemy się teraz z pewnego źródła że ma mieć napis: „Czytanie niedzielne,“ że ma wychodzić tygodniowo w zeszytach arkuszowych. Nie tajemy, jak wielkie przewidujem trudności w redagowaniu tego rodzaju pisma, wyłącznie poświęconego klassie rzemieślników miast naszych, a głównie Warszawy. Potrzeba bowiem, aby kierujący tém pismem umieli się zastosować nietylko do pojęcia swoich czytelników, ale dając obrazki i powieści, połączyć wyższy cel moralny z zajęciem, aby zyskać współczucie, i prawdę objawioną głęboko w serca wpoić. Spodziewamy się, że pierwsze numera Czytań niedzielnych ujrzymy około Nowego Roku 1856, jeżeli nie prędzéj.

— Drukarnia J. Zawadzkiego w Wilnie ogłosiła prospekt na dzieło Jana Sikorskiego p. n. „Ziemianin czyli łatwy sposób powiększenia dochodów za pomocą wiejskiego gospodarstwa. Praktyczne podręczne dziełko, obejmujące treściwe wiadomości o rolnictwie, o hodowli wszelkiego rodzaju domowych zwierząt, ich chorobach, leczeniu, o pszczołach i t. d., tudzież zbiór mało dotąd znanych, lub zupełnie nowych zaradczych w domowém gospodarstwie środków.“ W jednym tomie do 20 arkuszy ścisłego druku obejmujących. Cena przedpłaty rsr. 2, po wyjściu z druku znacznie będzie podwyższoną.

— Nakładem G. Sennewalda wyszła: „Biblia dla dzieci albo historya skrócona Starego i Nowego Testamentu, opowiadana dzieciom od 8 do 12 lat, przez ks. Marcina de Noirlieu, przekład z francuzkiego przez J. H. str. 220, 8ka. Dziełko to w wychowaniu domowém wielce użyteczne, celem dania pierwszego wyobrażenia historyi świętéj. Przekład dokonany językiem czystym, jasnym, a pełnym prostoty, umiejętnie zastosowanym do dziecinnego wieku.

— Z drukarni Gazety Codziennéj, wyszła zpod prasy ważna praca naukowa znanego badacza: „Życie Mikołaja Kopernika“ przez Dominika Szulca, członka kor. Towarzystwa naukowego krakowskiego, połączonego z Uniwersytetem Jagiellońskim, 8ka, str. 102. Rozprawa ta, pierwiastkowo była przeznaczoną do dzieł ogłoszonych Mikołaja Kopernika w pysznem wydaniu: gdy jednakże na czas oznaczony nie mógł autor wyspieszyć, wezwano professora Juliana Bartoszewicza, i przez niego skreślony życiorys Kopernika, wydawcy na czele pomienionego dzieła umieścili. Prof. Szulc wykończał tymczasem rozpoczętą biografią wielkiego astronoma, i w odcinkach Gazety Warszawskiéj ogłosił. Ale i ta praca uległa zmianie: posłuchajmy, co pisze uczony badacz w przedmowie swojéj. „Przerobiwszy zupełnie pismo ogłoszone w odcinku Gazety Warszawskiéj, wydaję je obecnie w obszerniejszéj treści i odmiennéj postaci. Wiém, że nie tak wartością swoją jak raczéj wielkiém imieniem rodaka pozyskało sobie przychylność oświeconych osób i serc poczciwych: jednak nie mogę zamilczeć wdzięczności dla tych mianowicie, którzy przed ukończeniem jeszcze druku w odcinku, pospieszyli z chęcią przełożenia dziełka na język francuzki, i w tym celu zaczęli zbierać podpisy. Ludzie ci, czystą miłością nauki i słuszności tchnący, pochodzili z różnych zawodów życia publicznego. Taki popęd wyborowych umysłów wlożył na mnie konieczny obowiązek troskliwego przetworu pierwiastkowéj pracy, i nadania jéj wybitniejszéj barwy: do czego tym bardziéj byłem powodowany, że nieco później rzadki zasób materyalny, połączony z rzadszą jeszcze skłonnością do szerzenia wszelkiego postępu, nie znając osobiście autora, przyjął na siebie pokrycie kosztów pięknego wydania polskiego. Warszawianie zatém upowszechniwszy już dzieła Kopernika w kraju i zagranicą, okazali powtórne zajęcie się wyrazem sprawiedliwości dla uczuć najdroższych sercu nieporównanego myśliciela, pomysłem sięgającym granic wszechświata i podstawą, dobrze przez siebie pojętą narodowego piśmiennictwa. Winienem tu jeszcze nadmienić, że pracę moję oparłem na czynach nie zas powiastkach, i odrzuciłem szczegóły pozbawione rzeczywistej zasady. Takim jest naprzykład wodociąg frauenburski, daleko późniejszy podług sprawozdań Voigta, od czasów Kopernika; takim segar wieclawski niemający ogłoszonych dowodów autentycznych swojego pochodzenia: taką wieść o chorobie, zrządzonéj przez złamanie drukarni w Norymberdze i zniszczenie dzieła, niezgodna ani z listem Giesa, pisanym wkrótce po śmierci astronoma, ani z istnieniem autografu w bibliotece pragskiéj hr. No-

stitz. Zakres ścisłéj umiejętności innym jest od dziedziny, w któréj się fantazya porusza.“ Znakomita praca prof. Szulca wyszła w ozdobnéj i nader starannéj edycyi. Rzadko znaleźć książkę polską tak pięknego wydania. Druk, papier, odbicie, tak wyborne, że śmiało może iść o lepsze z wydaniami paryzkiemi i londyńskiemi.

— Znany w literaturze naszéj pod pseudonymem Padulicy p. Zenon Fisch obywatel ukraiński, drukuje w 2 tomach u Zawadzkiego: „Wędrówki po Ukrainie.“ Wyjątki które znamy już z pism codziennych, już z naszego (jak Zosia Żytkiewiczówna) zapowiadają, że w dziele tém znajdziemy obrazy pełne życia i barwy, oddane biegłém artysty piórem.

— Zapowiedziane dawniéj dzieło: „Archiwum domowe do dziejów i literatury krajowéj, z rękopismów i dzieł najrzadszych zebrał i wydał K. Wł. Wojcicki, 8ka, str. 558, z dwiema litografowanemi tablicami, już wyszło z druku. Cena rsr. 3.

Dzieło to można podzielić na 3 części. W pierwszéj wydawca zamieścił: „Rękopisma do panowania Stanisława Augusta“ wyjęte po większéj części z tajnego archiwum króla Stanisława. W drugiéj mieszczą się przedruki dwóch pism najrzadszych Marcina Bielskiego, to jest: Sprawy rycerskiéj (z r. 1569) i mającego z tém dziełem łączność poematu: Sejm niewieści (1595 r.). W trzeciéj z rękopismu Józefa Gluzińskiego: Włościanie polscy uważani pod względem charakteru, zwyczajów i przesądów, z dołączeniem przysłów powszechnie używanych: gdzie głównie pod uwagę zostali wzięci włościanie z okolic Zamościa i Hrubieszowa.

— Stanisław Jachowicz ogłosił prenumeratę na „Nowe śpiewy dla dzieci“ z melodyami. Dołączone do tego zostaną śpiewy Betleemskie i dramacik liryczny p. n. „Jasełka.“

— Dr. Teodor Tripplin pracuje obecnie nad dalszym ciągiem Asmodeusza; wykończa także Hygienę.

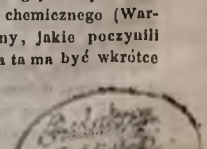
— Nakładem i drukiem S. Orgelbranda wyszła w jednym tomie: „Ekonomia domowa, czyli przepisy tyczące się gospodarstwa wiejskiego i domowego.“ Autorem téj Ekonomii jest Tomasz Bartmański, znany z podróży do Hiszpanii, z któréj wyjątki drukowaliśmy w naszém piśmie.

— Nakładem Żupańskiego wyszedł tom IV dzieła: „Polska, dzieje i jéj rzeczy“, zawierający: o urzędach, dostojeństwach, godnościach, herbach; daléj o pojedynkach w Polsce i t. p.

— Zapowiedziany zeszyt 1szy dzieła: „Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie, opisane pod względem historycznym“ przez J. Bartoszewicza, z drzeworytami Michała Starkmana, już wyszedł z druku. Wydanie ozdobne, drzeworyty wedle rysunków starannie wyrobione, i pięknie odbite w zakładzie typograficznym S. Orgelbranda. Należy życzyć, ażeby nagrobki mające wartość czy to pod względem sztuki, czy przywiązanego do nich ważniejszego wspomnienia, były większych rozmiarów. Grobowiec St. Małachowskiego wiele stracił w oddaniu miniaturowém w drzeworycie: równie jak pomnik Woronicza.

— W drukarni Gazety Codziennéj postępuje daléj druk 3-go tomu Dyplomataryusza. Po śmierci dwóch dawniejszych współpracowników tego dzieła, Antoniego Muczkowskiego i Stanisława Lisowskiego, zajął ich miejsce w redakcyi Julian Bartoszewicz, i jak dawniéj Leon Rzyszczewski.— W tejże drukarni wkrótce opuszczą prasę, między innemi następujące dzieła: „Komedyanci“ powieść J. I. Kraszewskiego 4 tomy (nowe wydanie, powiększone o dwa tomy: nakład B. M. Wolffa).—„Powieści dla dzieci“ ze Starego i Nowego testamentu, podług tłumaczenia J. Wujka, 2 tomy, (nakład J. Klukowskiego i W. Rafalskiego). — „Różne różności“ J. K. Gregorowicza. 2 tomy, (nakład A. Nowoleckiego). — „Chata Wuja Tom.“ Powieść dla dzieci przez panią Stowe, z rycinami Dietrycha: po polsku i po francuzku. — „Historya Powszechna Kościoła“ przez Alzoga, przekład pani Belcjowskiéj, tom V. — „Życie na żart“ powieść A. Niewiarowskiego 3 tomy.—„On perły szuka:“ powieść tłumaczona z francuzkiego, przez J. Badeniego.—Powieść Dr. Teodora Tripplina w 2 tomach, drukowana w odcinku Gazety Codziennéj p. n. „Kobieta z Głową,“ wyszła woddzielném wydaniu.

— Tłumacze dzieła Stöckhardta: „Wykład chemii“ świeżo wydanego w Wilnie, przygotowali obszerną rozprawę z bacznym względem na dotychczasową terminologią naszych chemików, a szczególniéj na jéj reformę podaną w projekcie do słownictwa chemicznego (Warszawa, 1853) przez 12 naszych uczonych. W niéj usprawiedliwiają zmiany, jakie poczynili w polskiéj nomenklaturze, w ogłoszonym przekładzie Stöckhardta. Rozprawa ta ma być wkrótce oddaną pod prasę drukarską.



Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować. — Warszawa, d. 14 (26) Października. 1853 r. — Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Wrzesień, 1855.

Wrzesień 1855.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz.wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1		754.75	754.63	753.52	753.68	+ 11°.1	+ 16°.2	+ 19°.7	+ 12 .3	72.5	lek. pochm.	pogodny	lek. zamat.	lek. poch.	PnW.	PdW.	—	PdW.		
2		753.24	753.58	753.43	754.58	9.7	17.5	21.0	15.3	74.0	pogodny	pr. pogod.	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PnZ.	PnZ.		
3	☾.	756.52	756.61	755.78	755.93	12.0	18.3	21.6	15.1	70.2	napół pog.	pr. pogod.	napół pog.	pr. pogodny	PnW.	PdW.	PdW.	—		
4		753.43	752.69	749.62	747.37	15.2	18.1	24.2	17.0	70.5	pochmurny	napół pog.	pr. pochm.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
5		743.92	742.72	739.41	742.65	15.6	22.2	18.9	15.0	85.0	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	—	Pd.	PdZ.	Z.	1.2	
6		743.85	745.01	747.26	750.77	13.2	16.1	15.0	9.4	76.8	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	PnZ.	—	Pn.	Pn		
7		750.07	758.86	760.42	762.30	7.8	11.0	12.3	7.1	68.7	lek. pochm.	pogodny	pochmurny	pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
8		762.68	762.17	759.71	757.48	4.7	11.9	14.0	9.3	70.5	pog. smugi	lek. zamat.	pochmurny	pogodny	Z	Z.	Z.	Z.		
9		755.37	753.97	749.93	747.38	9.2	14.8	16.3	10.8	66.7	pochmurny	pochmurny	napół pog.	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	PnZ.		
10		743.54	744.62	746.63	749.57	10.9	10.6	14.8	9.8	83.5	pochmurny	deszcz	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	7.2	
11	☍.	750.45	751.45	751.33	752.78	7.0	13.8	15.5	9.4	75.5	lek. pochm.	pr. pochm.	pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
12		752.80	753.03	751.96	751.77	7.2	13.5	17.3	12.1	74.5	smugi l. mg.	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	—	Z.	PnZ.	Z.		
13		750.57	750.84	748.77	746.38	9.4	14.1	14.6	11.6	81.5	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	deszcz	Z.	Z.	Z.	Z.	3.2	
14		744.03	744.40	743.81	743.50	10.9	14.2	13.3	8.3	77.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.0	
15		742.07	742.65	745.15	747.18	7.3	9.1	9.1	7.9	89.5	deszcz	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	Z.	Z.	8.8	
16		750.08	751.59	751.99	754.13	7.5	10.4	12.2	6.0	77.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	4.0	
17		751.83	750.51	748.01	749.94	3.4	8.9	12.2	10.0	94.0	lek. zamat.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Z.	Z.	5.0	
18		750.81	752.33	752.56	755.01	9.1	13.1	15.2	8.7	80.7	lek. pochm.	lek. pochm.	pr. pochm.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
19	☽.	755.74	756.32	754.96	755.57	4.5	12.0	16.5	9.8	82.0	pog. mgła	smugi	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
20		755.65	756.59	756.16	755.77	7.5	16.6	18.5	10.6	76.5	pogodny	pogodny	pogodny	napół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
21		758.80	760.82	760.24	761.20	9.3	16.6	18.4	9.1	75.5	napół pog.	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	—	—		
22		761.16	761.83	760.48	760.83	7.5	14.1	19.8	12.9	80.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	—	Z.	—		
23		760.16	760.21	757.66	756.76	10.1	17.3	21.0	13.9	80.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	Z.	—		
24		753.87	753.67	751.27	752.66	11.3	16.6	16.4	8.9	86.0	pr. pogodny	pogodny	pochmurny	poch. dèsz.	Z.	—	PnZ.	Pn.		
25	☉.	754.78	756.29	758.20	760.89	5.5	8.8	10.4	6.4	75.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	Pn.		
26		762.59	763.88	763.85	764.56	2.8	7.8	11.6	5.6	76.5	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.		
27		764.04	764.31	760.66	759.26	0.2	8.5	12.0	5.5	76.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.		
28		756.44	756.06	753.62	753.34	1.1	11.5	16.1	6.5	76.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdZ.	PdZ.	PdW.		
29		752.72	752 66	751.40	751.46	3.8	10.9	17.2	9.4	83.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	—	—	—		
30		751.77	751 84	750 90	750.43	5.0	12.2	17.3	10.4	85.0	pog. mgła	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	PdW.	PdW.		
Śre.		753.458	753.871	752.956	753.464	+ 7°.99	+13°.56	+16°.08	+10°.14	78.1									32.2	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	753.464	27	10.008
Najwyżej barometr dochodził d. 26 o g. 10 w.	764.56	28	2.927
Najniżej — — d. 5 o g. 4 w.	739.41	27	3.777

Dotąd ani razu barometr w tym miesiącu nie miał tak znacznéj wysokości.

Średnia zmiana dzienna barometru	4.331		1.920
Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 10 rano	13.75		6.095
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	2.512		1.114
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	750.952	27	8.894
Średnia temperatura września wynosi:	+ 11°.94 C.	+	9°.55 R.
i ta jest niższa o	1.69 „		1.35 „
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	+ 13.63 „	+	10.90 „
Największe ciepło było d. 4 o g. 4 w.	24.2 „		19.36 „
Najmniejsze — d. 27 o g. 6 r.	0.2 „		0.16 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.259 „		1.807 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 24—25 o g. 10 rano	7.8 „		6.24 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +20°.3 R. d. 4 po połud.
Minimum: + 0°.1 „ d. 27 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 78.1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8.51 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.01 mniejsza od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 32.2 mil. czyli 14.27 lin. par.; ilość ta wody jest o 6.80 lin. par. mniejsza od téj, jaka zwykle u nas we wrześniu spada.

' ni pogodnych było 11, napół pogodnych 8, pochmurnych 11.
— deszczu 10 (d. 2, 4, 5, 10, 13, 14, 15, 16, 17, 24).
— mgły 3 (d. 19, 27, 30).

Wiatrów mocnych było 1 (1 PnZ).

Wiatr panujący: zachodni, częste były także południowo-wschodnie i północno-zachodnie.

Wrzesień r. b. w ogóle był pogodny, suchy, lecz o półtora stopnia R. chłodniejszy niż zwykle. Pierwsze pięć dni były pogodne, suche i ciepłe, następne pięć pogodne lecz chłodne; dziesięć dni od d. 10 do 20 tojest od nowiu do pierwszéj kwadry księżyca były słotne i chłodne; ostatnie dziesięć dni pogodne lecz znacznie chłodne. Średnia temperatura całego miesiąca wynosi tylko 9.55 stop. R. gdy w stanie normalnym taż temperatura wynosi 10.9 stop. R. Najcieplejsze dni były: d. 2, 3, 4, 5, 20, 21, 23; najchłodniejsze d. 8, 17, 19, 25, 26, 27, 28, 29. W skutku znacznego zniżenia się temperatury osobliwie w nocy, rośliny wiele ucierpiały. W ciągu 29 lat upłynionych, wrzesień dwa razy tylko był tak chłodny jak w r. b. tojest w r. 1832 i 1850. Barometr utrzymywał się wysoko, osobliwie w dziesięciu dniach ostatnich. Pod względem stanu nieba miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle. W stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 6.9:10.7:12:4; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 11:8:11 co pokazuje że liczba dni pogodnych w r. b. była większa niż zwykle.

D. 17 nad ranem był mróz siwy.

D. 8 o godz. 9 min. 10 rano, koło białe otaczało słońce.

KSIĄDZ
WINCENTY SANTINO NUNCYUSZ W POLSCE
1722—1728 (*).

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Ksiądz Hieronim Grimaldi (Argento) z hrabiów Milańskich, arcybiskup Edessy, miły królowi i rzeczypospolitéj, zapadł na ciężką chorobę w Warszawie. Ważyło się długo na tę i na ową stronę: w styczniu miał się nieco lepiéj i król bawiący wtenczas w Saxonii szczerze się z tego ucieszył, ale w lato pogorszyło się i ksiądz Grimaldi w początkach jesieni zakończył życie na dniu 1 październ. 1721 o pierwszéj z rana, nazajutrz po swoich imieninach. Byłto pierwszy nun-

(*) W numerze sierpniowym Biblioteki Warszaw. 1853 r. jest długi ciąg wypisów p. Tymoteusza Lipińskiego z gazet pisanych. Szanowny ten uczony przytaczając szczegóły o sporze księdza Santiniego z marszałkiem wielkim koronnym Mniszchem, nie umie ich objaśnić. Nasz artykuł ma właśnie ten brak zastąpić. Oddawna powzięliśmy już myśl wystawienia w historycznéj opowieści stosunków Polski z Rzymem, a mamy ku temu przygotowane dosyć obfite materyały. Jako szkic, kanwę téj roboty napisaliśmy przed kilką laty rozprawkę, którą wydrukował Przegląd Naukowy z roku 1848, tom IIgi, str. 114 i 151 z potwornemi błędami druku. Tam już pomiędzy innemi jest wskazany za nuncyusza rzymskiego w Polsce Krzysztof Szembek biskup płocki (którego obszerniejszy życiorys w Pamiętniku religijno-moralnym 1850 r.), co pan Przezdziecki podaje za osobliwość w r. 1850 (patrz jego Wiadomości i t. d. str. 170). Artykuł niniejszy niech nateraz zostanie wyjątkiem z onego dzieła, które mamy zamiar kiedyś, jak mówimy, jeżeli Bóg zdrowia pozwoli, wygotować o stosunkach Polski z Rzymem.

cyusz który umarł w Polsce; piérwszy który spoczął u nas w grobach u Teatynów. Bawił w Polsce lat blizko 9 (1).

Nuncyatura w Polsce była widać piękną posadą, kiedy znalazło się wielu kandydatów, którzy starając się o wakans, oblegli zaraz tron papiezki. Pomiędzy innemi gorliwie zabiegał o tę posadę ksiądz Passini nuncyusz w Szwajcaryi; ale jak na złość dla niego, ksiądz Santini znalazł przyjaciół na dworze rzymskim, którzy jego naprzód wysuwali, polecając łasce papieża. Innocenty XIII wahał się długo, tojest dłużéj jak zwykle: wreszcie po miesięcznéj przeszło zwłoce, oświadczył się za Santinim (nominacya nastąpiła w listopadzie 1721 r.).

W Polsce mało znano księdza Santiniego, który zdaje się, dotąd żadnych publicznych obowiązków nie sprawiał. Wiedziano tylko u nas, że był arcybiskupem Trepezuntu, a skoro zaraz po nominacyi zaczęła się nim coraz więcéj zajmować Rplita; latały wieści, że to ksiądz dostojny, grzeczny, łagodny: więcéj téż niczego nie potrzeba było dla Rplitéj.

Zanim jednakże przyjechał jeszcze do Polski Santini, audytor zmarłego nuncyusza chciał na małą skalę udawać wielką powagę i przywłaszczał sobie juryzdykcyą, która mu prawnie nie należała. Być może, był taki zwyczaj w Rzymie, że audytorom poruczano władzę nuncyaturską gdzie w innym kraju, pomiędzy śmiercią lub wyjazdem a nastaniem następnego nuncyusza; ale tego nie było jeszcze nigdy w Polsce: wszelka więc nowość raziła w kraju szlacheckim, który przywykł do szanowania swoich świętości i zasad rządu. Bądź co bądź, jakkolwiek tam było; dosyć, że audytor księdza Argento zgłosił się do kanclerza koronnego Szembeka (w grudniu 1721) i oświadczył mu, że ma władzę od Rzymu sobie nadaną, wykonywania daléj w Polsce sądów nuncyatorskich aż do przybycia księdza Santiniego. Chciał więc odrazu zafundować swoją juryzdykcyą i o tém uwiadamiał kanclerza jako ministra spraw zagranicznych. Ale Szembek człowiek bardzo pobożny jak wszyscy podówczas Szembekowie, który sam nabudował wiele klasztorów i hojne rozdawał jałmużny, a więc ślepo stolicy

(1) Datę śmierci wzięliśmy z księgi bractwa Pięcio-Rańskiego przy kościele Po-paulińskim w Warszawie.

apostolskiéj oddany, nie śmiał jawnie zaprzeczyć téj władzy audytorowi i zwrócić jego uwagę na to, ile podobny krok byłby źle uważany od biskupów i szlachty. Poszedł zatém pośrednią drogą, i czyniąc zadość powinnościom urzędu dał do zrozumienia audytorowi, żeby wprzód postarał się o pozwolenie królewskie, jeżeli chce władzę nuncyatorską wykonywać, a bez wiedzy pańskiéj nie radził mu przywłaszczać nawet cienia powagi wyższéj nad stopień. Audytor poprzestał na tém ostrzeżeniu, bo nie ma śladu, żeby się potém o mniemane prawo swoje dopominał.

Czekali więc wszyscy w Polsce na nuncyusza, ale że król bawił podówczas w Saxonii, Drezno prędzéj jak Warszawa ujrzało księdza Santiniego. Szalony był podówczas karnawał w Dreznie: nuncyusz miał nagle spaść między bale, karuzele, assamble, teatra, muzyki, które wszystko aż do Polski ogłuszały (w styczniu 1722). Z biskupów Rplitéj czekał na niego w Dreznie jeden Hozyusz, który pozyskawszy sobie łaskę królewską, tylko co został inflanckim, a za chwilę już i kamienieckim biskupem.

Piérwsze wrażenie po przyjeździe nuncyusza musiało być zawsze nijakie: ni złe, ni dobre, bo dopiéro czyny jednają człowiekowi stałych przyjaciół albo nieprzyjaciół. Owszem to piérwsze wrażenie musiało być pomiędzy biskupami przychylne dla księdza Santiniego. Ledwie króla powitał w Dreznie, zaraz wyjechał do Warszawy. To pokazywało, że chce się zająć gorliwie obowiązkami swego urzędu, bo nie był nuncyuszem w Saxonii, ale w Polsce i do spraw duchownych Rplitéj. Inni nuncyusze dworacy, całe życie przepędzali z królem: August do Polski, oni do Polski; król do Saxonii, oni do Saxonii: chyba, że w czasie wojny szwedzkiéj bawili się długo na Szlązku. Ale Santini przyjechał sam do Warszawy. Zaraz podług zwyczaju wyprawił dosyć świetne exekwie za duszę swojego poprzednika w kościele Teatynów. Trzy dni trwało to nabożeństwo (w poniedziałek do środy przed 20 marca). Znajdowały się na niém wszystkie zakony, a celebrującemu na zakończenie nuncyuszowi assystowała kollegiata i dyakonowie; kazanie miał ksiądz Zachniewicz kanonik warszawski. Drabanci królewscy stali przez trzy dni na straży u wrót kościelnych. Na Wielki Tydzień święcił oleje ks. nuncyusz u Teatynów.

Od października więc, aż do lutego, kiedy się wreszcie nowy nuncyusz pokazał w Rplitéj upłynęło pięć miesięcy.

W lipcu nadjechał i sam król do Warszawy, dał posłuchanie przy ministrach prymasowi i nuncyuszowi, przyjmował potém ks. Santiniego u siebie. Wszystko szło dotąd jak najlepiéj. Nastąpił w październiku sejm, na którym znajdował się także nuncyusz.

Po niejakim czasie charakter księdza Santiniego zaczął coraz więcéj objawiać się na zewnątrz. Ten człowiek pragnął rzeczywistéj władzy i znaczenia, i choć miał jéj dosyć w Polsce, więcéj jak gdziekolwiek indziéj mieli jéj nuncyusze, jednakże dla jego dumy było to jeszcze zamało. Ksiądz Santini był bardzo czynny i lubił wdawać się we wszystko. Przyjechał z tém przekonaniem, że całe duchowieństwo polskie woli jego ulegać powinno jako reprezentującemu głowę widomą kościoła. Mieszał się więc w nie swoje rzeczy, do władzy i rządów swoich pociągał świeckich, wglądał w prawa królewskie patronatu i opactw, jakby chciał wszystko objąć pod siebie. Taka władza mogła się udać w małych Rplitych włoskich, albo elektorstwach niemieckich, ale nie w Polsce, gdzie duchowieństwo i biskupi mieli swoje przywileje szlacheckie, którychby za nic w świecie nie poświęcili nikomu. Jakże dziwnie jeszcze odbijały pretensye księdza Santiniego do rozdawania beneficiów i opactw, przez co już naruszał prawo samego majestatu! Pełno świadectw jest o tém, że arcybiskup Trapezuntu przechodził wszelką miarę i wszystkich swoich poprzedników w chęci rozszerzenia swojéj władzy. Nieraz z tego powodu miał nuncyusz zajście z samym pobożnym kanclerzem Szembekiem, którego protokuły zajęte są skargami, sądami i wyrokami różnych stron przeciw nuncyuszowi. Konsystorz Santiniego wdawał się nareszcie w rozsądzanie spraw ziemskich i dopuszczał do siebie z owych sądów appelacye od duchowieństwa (1).

Zkądinąd ksiądz Santino byłto człowiek bardzo rozumny i rozsądny. Papież miał wielkie wyobrażenie o jego zdolnościach i trafności w postępowaniu. To też tém dzi-

(1) Protokuły Szembeka przeglądał Czacki: patrz dzieło O litewskich prawach, nowe wydanie T. I, str. 325.

wniéj świadomym rzeczy i znającym bliżéj osobę arcybiskupa Trapezuntu wydawać się mogło, że sobie przywłaszczał tyle powagi z ujmą praw Rplitéj. Za jego np. wyrokiem, zakonnicy wdzierali się na opactwa i różni duchowni obejmowali beneficya bez prezent królewskich. Nie było tego jeszcze nigdy w Polsce, by ktoś obcy rodzinne dostojności rozdawał: dotąd na jedne wakanse mianował król, na drugie panowie, na inne wreszcie głosów braterskich, tojest elekcyi było potrzeba. Tak w opactwach, tutaj król mianował, tam znowu zakonnicy wybierali opata, ale za potwierdzeniem królewskiém, tak dalece, że król miał zawsze wiele prawa wpływać na te elekcye, które się odbywały pospolicie według jego woli i życzenia. Juścić kiedy król zniszczył w kapitułach elekcye biskupów i sam rozdawał wolą swoją infuły, samo z siebie wynika, że mniéj dbał o jakieś tam przywileje klasztorne, tém bardziéj, że w klasztorach moc była zakonników nieszlacheckiego stanu. Ale co do opactw, jeszcze to się wahało pomiędzy stronami: sama zasada nawet była niepewną kto ma prawo wybierać opatów. Prawo to zakwestyonował Zygmunt III, który piérwszy stanowczo z królów polskich zaczął swoim sekretarzom, zasłużonym na dworze panom duchownym, rozdawać niby starostwa, bogate opactwa i klasztory. Bronili się mnisi, ale nadaremnie. Mnożyło się w Polsce coraz więcéj komendatoryjnych opatów, tojest świeckich księży i biskupów, a lubo i klasztory wybierały sobie opatów tak nazwanych klasztornych, piérwsi pobierali z dóbr dwie trzecie, a ostatni jednę trzecią dochodu. Łatwo teraz rozumieć, jak musiało razić w Polsce, kiedy nuncyusz dawał to, czego król zupełnie jeszcze dawać nie mógł. Santini popierał opatów klasztornych i wdawał się za niemi, by pobierali całe dochody, jak było kiedyś przed reformą Lutra; a więc tém samém odrzucał opatów komendatoryjnych, obrażał wysokie duchowieństwo Rplitéj i samego króla, przez ten wyskok szalonéj dumy gwałcił prawa kardynalne narodu.

Zdarzyła się też innego wcale rodzaju sprawa w województwie krakowskiém: na jakichsiś dobrach był wyderkaf, z którego płaciła się prowizya dla kościoła. Szlachcic zaległ w świętym podatku, jak to nie nowina: tak to bywało, bywa, i będzie zawsze. Zamiast być powodem i stroną,

nuncyatura stawała się sędzią: wytaczano przed nią sprawę, a Santini kazał nieopłacającego się szlachcica zapozwać przed swoje sądy. Było to to samo co naraz zamącić wszystkie rozumy szlachty polskiéj, która pojąć niemogła takiéj kollizyi władz i prawodawstwa.

Nic dziwnego, że Santini miał w Polsce stronników, bo wszelka sprawa, zła i dobra, znajdzie zawsze dla siebie stronników. Kto liczył na łaski nuncyusza i Rzymu, garnął się chętnie do niego, świadczył i podżegał. Rozsądniejszy byłby nauczył nuncyusza, że to dziwne jego postępowanie przysporzyć mu tylko mogło liczbę nieprzyjaciół i nic więcéj; ale widać Santini nie miał takich szczerych doradców, tylko takich którzy spekulowali na niego. Może pod zasłoną kościoła i urzędu myśleli o własnym interesie i probowali czy się co nie uda.

Trafiła kosa na kamień: najzaciętszym przeciwnikiem Santiniego pokazał się książę prymas Teodor Potocki. Kiedy nuncyusz przyjechał do Polski, Potocki był jeszcze biskupem warmińskim i umizgał się bardzo pięknie o Kraków, który miał zawakować, gdy Szaniawskiego chciał król przesadzić na Gniezno. Ale gdy Szaniawski podziękował za arcybiskupstwo i Potocki musiał się rozstać z myślą o Krakowie, która w nim od czasów wojen szwedzkich bezustannie jak mara nocna gościła; został sam zato arcybiskupem gnieźnieńskim. Był więc już przez to samo legatem w Polsce i posłem stolicy apostolskiéj z urzędu (legatus natus), a korzystając z okoliczności chciał upokorzyć Santiniego i nowym blaskiem przyodziać infułę gnieźnieńską. Już poprzednio kilka razy zachodziły spory prymasów z nuncyuszami o tę prerogatywę władzy, i nieraz przychodziło do nowych o to sporów: walczono o zasadę, czy w Polsce prymas nad nuncyusza, czy nuncyusz nad prymasa jest wyższy? Rzym oczywiście trzymał stronę swojego, ale gorliwy i ambitny prymas był silniejszym na swoim gruncie. Takim właśnie prymasem był Potocki. Człowiek w saméj sile wieku, dumny do wysokiego stopnia dlatego, że arcykapłan narodu i że Potocki, lubiący się także nasuwać każdemu i mieszający wszędzie swoje trzy grosze, ruchliwy, przekonany wysoko o swoim rozumie i zdolnościach, impetyczny nawet aż do zapomnienia się, gorączka: w każdym

razie prymas był bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem dla Santiniego.

Zamiast więc łagodzić samemu i być pośrednikiem, jak to wypadało z jego urzędu w zawikłaniach, jakie pokazały się z powodu mieszania się we wszystko nuncyusza; prymas jeszcze więcéj rozdmuchiwał niechęci. Jego widocznym planem było: przyprowadzić rzecz do ostateczności, potém urząd nuncyatury stanowczo do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego przeciągnąć, ile że do tego prymasi mieli prawo w samym tytule swoim i przywilejach. Potocki trafiał przez to w słabość narodową, w myśl ograniczenia władzy nuncyuszów, a nawet pozbycia się całkiem téj władzy; rodziła się kilka razy, i ledwie ucichło cokolwiek, znowu po niejakim czasie ta myśl powracała i nurtowała z większą jeszcze siłą. Tak naród pobożny, religijny i *per excellentiam* katolicki, nie mógł się długo oswoić z nuncyuszami, będąc o siebie zazdrosny.

Niezaraz jednakże przyszło do otwartego zerwania. Nuncyusz przejeżdżał się z królem po Saxonii i Polsce. Długi czas z nim razem przesiedział w Dreznie (1724—25), owszem był dosyć mile widziany na dworze: ciągle Augustowi celebrował to w Dreznie, to w Pilnitz. Miał udział w uroczystościach familijnych pana, np. na weselu hrabiego Friese, który się żenił z siostrą najukochańszą Maurycego de Saxe. Kiedy celebrował, baldachim nad nim unosili panowie tacy jak np. marszałek wielki koronny Mniszech i książę podkanclerzy litewski, Fryderyk Czartoryski; jeździł nuncyusz z królem i po jarmarkach lipskich, jednem słowem, zdawało się pozornie, że nic pomiędzy niemi zgody nie zakłócało.

Od kilku już lat ciągnęły się często bardzo przerywane konferencye wyznaczonych przez Rplitą panów, ze wszystkiemi ministrami zagranicznemi, którzy przy dworze polskim bawili: z każdym z nich umawiano się o warunki dobrego sąsiedztwa i przyjacielskiego porozumienia się; z jednym tylko nuncyuszem układała się Rzplita o prawa patronatu królewskiego, chcąc przy zdarzonéj okoliczności i tę sprawę, wywołującą tyle kłopotów, ostatecznie załagodzić. Nie zdało się wszystko na nic, bo na konferencyach panowie rozprawiali więcéj o potocznych rzeczach i częstowali się nawzajem, jak

mówili seryo o sprawach kraju. A zresztą trudno było trafić do ładu z księdzem Santinim, wszyscy nuncyusze zawsze mocno stawali za prawami stolicy apostolskiéj, i stosownie do tego mieli instrukcye, ale arcybiskup Trapezuntu był jeszcze więcéj od poprzedników wymagający...

Wtém nastąpił wypadek, który zwichnął cały ten stosunek tajnych niechęci a pozornych grzeczności. Ni ztąd ni zowąd stała się owa znana katastrofa w Toruniu (w lipcu 1724), a w ślad za nią kommissya i krwawe wyroki. Oskarżają króla, że sprawy toruńskiéj chciał używać za pozor, aby wyrobić sobie to, czego pożądał tak gorąco, tojest dziedziczność tronu w Polsce ze zmianą rządu monarchiczną. Przewidując los Toruńczanów, mocarstwa dyssydenckie ujmowały się za niemi i pisały noty do Rplitéj. Król zaś był kontent z tego nawarzonego piwa: powiadają, że chciał, by w téj sprawie przyszło do ostateczności i do pogróżek wojennych, a nawet może i do saméj wojny. Byłby miał zręczność wprowadzić wojsko swoje do kraju, niby na obronę Rplitej, a potém pogodziłby się z mocarstwami; stosownie do ich życzeń urządziłby sprawy religijne i położenie dyssydentów w Polsce, a potém pozawierałby z niemi związki i przymierza gwarantujące mu dziedzictwo tronu i większą władzę, dlatego, żeby mógł utrzymać prawa dyssydentów według woli mocarstw. Niewiadomo jak wiele w tém wszystkiém było prawdy, ale że królowi do ostatnich chwil nie ufała szlachta, na to dowody wynajdujemy prawie codziennie. W tym celu król sejm warszawski limitował na czas nieograniczony do Grodna, chcąc przez ten czas wyrabiać, jak mówiono, swoje praktyki.

Roku 1725 zaczęła się krwawa exekucya wyroku na Toruń. Hetman Sieniawski przysłał do tego miasta zbrojną assystencyą; podług prawa kommissarze zjechali, z niemi pan Flemming tajny doradca królewski, który był tam dlatego, żeby sędziowie nic nie spuszczali z surowości, niby to się ujmował za wiarę, a w rzeczy saméj chciał rozdąsać więcéj dyssydentów. Nad wszelkie spodziewanie nuncyusz Santini ujął się za Toruniem przeciw królowi. Nie robił tego, broń Boże, przez żadne dla dyssydentów przywiązanie, ale przez dobrze pojęty interes własny, tojest kościoła. Santini miał przenikliwość z natury, i bystro pomiarkował

o co to idzie w téj sprawie: dla nasycenia chwilowéj zemsty, niewarto było podług niego, narażać w Polsce przyszłość katolicyzmu. Zresztą sprawiedliwości i tak zadosyć się stało, że przywrócono kościół farny św. Anny i Bernardynki katolikom: pocóż się tyle znęcać, jeszcze rzeź wyprawiać? Jeżeli ocali się życie winnym czy niewinnym sprawcom zamachu toruńskiego, przetnie się przez to samo, myślał nuncyusz, droga do utyskiwań, do rozmazywań żalów za granicą, zamknie się usta państwom dyssydenckim, które pisały noty do Rplitéj, a w spokojném załatwieniu sprawy widziały swój honor i osobistość: otóż dlaczego nuncyusz posłał do Torunia nakaz (czyli jak wtenczas mówiono w języku urzędowym, inhibicyą) żeby się z wykonaniem wyroku śmierci kommissarze wstrzymali. Żeby zaś upozorować lepiéj swoje wdanie się nuncyusz utrzymywał, że to jest sprawa czysto kościelna i duchowna, i że ostateczny wyrok do sądów duchownych należy. Nie tłumaczył się obszerniéj, bo tutaj szło mu jedynie o zwłokę. Ksiądz wiozący ten nakaz przyjechał pod samą chwilę tracenia winowajców, niespóźnił się więc, ale bramy miasta zastał zamknięte. Czy kommissarze wiedzieli o tém że ksiądz przyjedzie, czy też dla innéj jakiéj przyczyny, ale nakazali na czas exekucyi zamknąć bramy. Ksiądz upomniał się; odpowiedziano mu: że wpuszczą go po spełnieniu wyroku, więc nie myśląc wiele, posłaniec nuncyusza powrócił sobie spokojnie do domu.

Nie udało się więc, ale czyn ten śmiały podniósł znakomicie w oczach drobniejszéj szlachty powagę nuncyusza. Mało tam ona wiedziała o jego pretensyach, mało rozumiała prawne spory, ale to ostatnie wystąpienie jéj się spodobało. Za to podnieśli wrzaski w niebogłosy panowie duchowni i świeccy i cała w ogóle szlachta wyższa, która dotąd wyłącznie spierała się z nuncyuszem. Postępek jego ochrzczono wdaniem się w prawa królestwa, a przez to dano wrogom Santiniego hasło do zbierania na niego jak można tylko było, najliczniejszych zażaleń.

Nie chciało niebo błogosławić zamiarom elektora saskiego. Jeden z jego sprzymierzeńców umarł, drugi był zadaleko, inni za słabi; nareszcie Francya coraz więcéj występowała z planem swoim względem Leszczyńskiego: zamiast

coś zyskać, mógł król wiele stracić. Otóż dlaczego król znowu powoli zapomniał o nadziejach, jakie się przed nim tak nagle otworzyły i rad nie rad musiał kończyć sejm zaczęty. Ale już wyjechawszy w roku 1724 do Saxonii, ciągle tam siedział po całych prawie latach, znowu nadużywając władzy, gdy prawo kazało mu siedzieć w Rplitéj. Niby to czyniąc zadosyć swojéj powinności wybierał się raz-wraz do Warszawy. Ciągle to w listach, to w ustnych zapewnieniach twierdzili panowie bawiący się w Saxonii, że król się wybiera, że lada chwila wyjedzie. Już nawet ogłaszali dzień rozpoczęcia sejmu, już uniwersały wydawali, już sami się wybierali z powrotem do Polski, albo wyprawiali dworskie powozy, a tutaj ani widać było spełnienia tych częstych obietnic. Nuncyusz ciągle bawił się w Saxonii, zawsze pozornie z grzecznością przyjmowany. Było mu nawet, zdaje się, raźniéj jakoś w Saxonii, gdzie miał daleko mniéj nieprzyjacioł jak w Rplitéj, gdzie co najgłówniejsza nie widział ani na oko prymasa, z którym w Warszawie co chwila spotykać się musiał. Nareszcie wieści że król powraca na sejm do Warszawy, tyle nabrały znaczenia, że mówiono już głośno o wyjezdzie nuncyusza z Drezna: Santini miał tylko poprzedzać króla. Już nawet dzień wyjazdu nuncyusza oznaczono w gazetach pisanych, był to dzień 8 lipca 1725. Nie zawiodła tą razą nadzieja: powrócił nuncyusz i król i zaraz rozpoczęły się na nowo tyle razy przerywane konferencye z ministrami.

Burza na seryo zaczęła się dopiéro na sejmie przypadającym z limity w Grodnie r. 1726. Poprzednio nazbierawszy jeszcze moc dowodów na nuncyusza, posłano je do Rzymu ze skargami do hrabiego Lagnasco, który sprawy Rplitéj tam wyrabiał. Król pisał stanowczo, i natarczywie żądał odwołania nuncyusza, którego położenie oczywiście nie do pozazdroszczenia było. Że zaś jednocześnie Rplita dąsała się na rezydenta angielskiego Fincka, który jak to mówią, dobrze zalał sadła za skórę katolikom: nie robiły te skargi na Santiniego tyle wrażenia co zrobiłyby pewnie inną razą. Mógł ktoś posądzić albowiem Rplitę, że chce się kłócić ze wszystkiemi wtedy państwami. Fincka także chcieli ministrowie, żeby odwołano, ale król angielski się wzbraniał i otwarcie oświadczył, że o tém wcale nie myśli.

Toż samo jeżeli nie powiedział, to myślał papież i Santini, na którego nikt wtenczas nie zważał: siedział ciągle w Polsce i czekał sejmu, ciekawy co sejm powié na to wszystko.

Przed samym sejmem hr. Lagnasco z Rzymu powrócił.

Obrady zagajono w Grodnie na dniu 28 września 1726 r. Naprzód inne materye zajęły senat i posłów, a dopiéro kiedy z kolei przyszło do sprawy wszystkich żywo zajmującéj t. j. nuncyusza Santiniego, burzliwe posiedzenia naprawdę się zaczęły. Dnia 17 października złożono izbom połączonym rapport o konferencyach mianych z nuncyuszem względem prawa patronatu z tą oczywiście uwagą: że konferencye z nim do żadnego nie doprowadziły rezultatu. To było zagajenie zemsty królewskiéj i panów obrażonych w swojéj dumie. August II skrył się za kulisami, a głównym powodem na téj scenie był książę prymas polski.

Przeczytano naprzód w izbach list królewski do papieża, nastający na odwołanie nuncyusza; ale nie przeczytano odpowiedzi papiezkiéj i nie wiadomo nawet było, czyli jest jaka odpowiedź. Ztąd odzywały się ogólnie głosy, żeby marszałek sejmowy upomniał się o ten list, albo wyrozumiał hrabiego Lagnasca i doniósł stanom, jak rzeczy stoją. Nastrojeni posłowie zaczęli się szeroko rozwodzić o nadużyciach nuncyatury i nieprzyzwoitościach tego urzędu: prawili, że dwie są władze w Rplitéj najwyższe i dwóch nuncyuszów, bo jeden legat z urzędu; że nuncyusz z legatem zawsze muszą być w sporze, że nuncyatura niepotrzebna wcale i że wartoby ją skassować; że w Polsce dobrze zastąpi papieża arcybiskup prymas, a króla w Rzymie poseł Rplitéj kardynał protektor i t. d. Przygrawka ta trwała dosyć długo i całe posiedzenie zajęła.

Dnia następnego znowu wrzaski o list papiezki, który Lagnasco musiał przynajmniéj przywieźć z sobą; nareszcie na trzeciéj sessyi (19 października) stoczono walną bitwę. Posłowie jeden przez drugiego zaczęli przymawiać się, żeby od stanów Rplitéj prosić papieża o odwołanie księdza Santiniego, a dla zakończenia sprawy o patronat, wnosili: żeby posła pełnomocnego Rplitéj natychmiast wyprawić do Rzymu. W Rzymie łatwiéj będzie, powiadali, skończyć raz z tą sprawą, bo w Polsce tylko daremna przewłoka: nuncyusz odwołuje się zawsze do swoich instrukcyj, obiecuje pisać do

Rzymu, a odpowiedzi długo nie odbiera. Tymczasem poseł wielki będzie mógł zaraz na miejscu utrzeć wszystkie trudności. Na to powstał Karwowski podczaszy bielski, sławny mówca sejmowy i podał stosowny projekt dlatego, żeby ubić sprawę odrazu. A dla pewniejszego skutku podniósł głos przeciw kortezanom tojest księżom, którzy bawiąc się w Rzymie tam prosto u stolicy apostolskiej zabiegali o łaski i posady duchowne. Zręczny to był środek, bo w konstytucyach koronnych bardzo wiele praw stoi przeciw kortezanom. Projekt przeczytany spodobał się, zaraz nastąpiła na niego zgoda ogólna, wpisano go pomiędzy konstytucye sejmowe, a potém pomieszczono w Voluminach legum. Stany oświadczały w téj konstytucyi, że szanują równie jak przodkowie nojwyższych pasterzów kościoła, tojest zwierzchność stolicy apostolskiéj, że i teraz dają tego dowód, wyznaczając wielkie poselstwo, a to (i tutaj już następowały przymówki na seryo), żeby papież nam wolnym narodom *in juribus cardinalibus majestatis et Reipublicae nec non patronatus* ubliżać nie pozwalał i t. d. Daléj następują zażalenia w ogólnych wyrażeniach, o wdzierających się opatach i beneficyatach, o pociąganiu do sądów nuncyaturskich szlachty, o zakazach i appelacyach od sądów świeckich do nuncyatury i t. d. Są to nadużycia władzy, które wzruszały pokój królestwa, więc domagały się stany opisania nuncyatury polskiéj na wzór innych nuncyatur w państwach katolickich; prosiły, by stolica apostolska zniosła wszystkie nadużycia i exorbitancye tejże nuncyatury dokonane z krzywdą świeckiego i zakonnego duchowieństwa i powagi prymasa, jako legata rzymskiego. A daléj dopominały się stany o odwołanie teraźniejszego najprzewielebniejszego w Bogu księdza nuncyusza, stanowczo i bez zwłoki (serio et indilate). Przy zdarzonéj sposobności stany zatwierdzały uroczyście wszystkie prawa, któremi patronat królewski warowany był w Koronie i Litwie od czasów Olbrachta i Alexandra, wyliczając wszystkie te prawa. Stanowiły też, że opactw i beneficyów duchownych nikomu bez prezenty i nominacyi królewskiéj dzierzeć nie pozwolą, i do exekucyi to prawo ministrom i hetmanom przywodzić nakazały: aby jeżeli będzie potrzeba do usunięcia przywłaszczycieli i poskromienia nadużyć

nuncyatury, ludzi hetmani dodawali, a nieposłusznych więzili i dobra ich zawładnięte sekwestrowali: siła na siłę.

Konstytucya nastąpiła więc w tak szorstkich i mocnych wyrazach, że ubliżała prawie Rzymowi. Biskupi dla saméj przyzwoitości starali się osłabić silniejsze wyrażenia i rzecz całą złagodzić. Znaleźli też sprzymierzeńców pomiędzy senatorami. Dwaj Czartoryscy, ojciec i syn, Kazimierz kasztelan wileński, i Fryderyk Michał podkanclerzy litewski wiele zabiegali o poprawę textu konstytucyi: ojciec może przez pobożność, syn przez politykę, chcieli nawet punkta pewne całkiem wyrzucić. Ale nie udało się: stany Rplitéj myślały, że cofając wyrażenie, osłabią przez to samo znaczenie konstytucyi, a tutaj szło głównie o to, żeby wygryźć Santiniego i tryumfować nad nim.

Komu powierzyć poselstwo do Rzymu, żeby zawiózł tę konstytucyą? Naradzano się także na sejmie w czasie trwających nad tą sprawą, obrad. Wnosili jedni, by jechał Franciszek Maxymilian Ossoliński podskarbi nadworny koronny, drudzy żeby Jan Tarło wojewoda lubelski. Ci, co nastręczali podskarbiego, mieli także myśl polityczną na celu: przed stą laty jeździł do Rzymu z hołdem od Władysława IV także Ossoliński, pamięć jego zbyt jeszcze była świeża w stolicy chrześciaństwa, bo pan ten roztoczył wielki przepych i gubił po mieście złote ostrogi. Otóż myśleli jedni, że posyłając teraz Ossolińskiego z wymówkami, zatrą dawne dobre wspomnienie o nich w Rzymie i że ta zmiana stosunków będzie naturalnie tém boleśniejszą kardynałom. Widocznie politycy polscy chcieli więcéj kogoś ukłuć jak samego nuncyusza. Dla pobożnéj Polski, która długo jeszcze wiarę ojców zachowała, były to już zaczątki owego XVIII wieku i filozofii, ale po wierzchu tylko przepływały te wpływy ponad duchem i ciałem narodowém.

Rzucono myśl o podskarbim nadwornym koronnym, żeby tém mocniéj uczepić się Tarły. Biédny wojewoda lubelski długo się bardzo opierał, i nie chciał przyjąć poselstwa, a robił to z przezornéj myśli: jużto ambicyi zarzucić mu nie można było. Tarło się wypierał, bo lękał się, czy wydoła kosztom podróży i poselstwa. Luboto Rplita wspierała zwykle panów jadących w jéj sprawach po dworach zagranicznych, przecież zawsze oni tam więcéj swoją

świetnością jak hojnością Rplitéj błyszczeli. Wspomnieliśmy Ossolińskiego, ale Rzym pamiętał jeszcze drugie świeższe poselstwo księcia Radziwiłła, który był szwagrem Jana III. Jechać w podróż z taką jak oni wystawnością, nie pozwalały Tarle dochody, a ustępować znowu tym panom nie chciał. Dawano mu znaczną summę ze skarbu Rplitéj, ale wojewoda wciąż jedno powtarzał: że cała fortuna jego nie wystarczy, bo oszczędzać się nie myślał. W istocie był to twardy orzech do zgryzienia: kto zechce powieźć konstytucyą grodzieńską do Rzymu. Ambicya łechtała, ale koszta wiele odstraszały. Wreszcie biskup krakowski Szaniawski, który w zażyłéj zostawał przyjaźni z Tarłą, zaczął namawiać wojewodę i głaskał go imieniem poświęcenia się dla kraju. Tarło już się zgadzał, ale potrzebował gotówki. Kiedy więc ministrowie nalegali, aby gotów był na każde zawołanie, zaraz i podskarbi wielki koronny Przebendowski przez księcia biskupa krakowskiego oświadczył mu, że chętnie ile możności do kosztów się przyłoży. Stanęło na tém ostatecznie, że ponieważ skarb nie ma wiele pieniędzy, a potrzeba ich, Tarło na dobra swoje pozaciąga długi, a procent od nich regularnie wierzycielom podskarbi ratami będzie opłacał.

Ostatecznie zatém posłem mianowanym został Tarło, i wpisany w konstytucyą, miał się niezwłocznie wybierać w podróż do Rzymu.

Samo z siebie wynika, że po tém co się stało na sejmie grodzieńskim, ksiądz Santini lubo urzędownie przez dwór rzymski nie odwołany, przestał być nuncyuszem, bo w skutku zapadłéj konstytucyi stosunki z Rzymem przerwały się i miały dopiéro wtenczas się odnowić, gdyby papież ustąpił, a następca Santiniego więcej umiarkowany, przybył do Polski. Takim sposobem nuncyusz siedział nieczynny w Warszawie, czekając przyszłości. Nuncyatura *de facto* jeżeli nie *de jure* wakowała; ktoby rozpoczął sprawę jaką z Santinim jako reprezentantem stolicy apostolskiéj, już tém samém narażałby się na ciężką przed narodem odpowiedzialność: mógł być sądzony za nieposłuszeństwo prawu. Nad wykonaniem konstytucyi czuwał teraz z obowiązku w Warszawie marszałek wielki koronny Mniszech, do którego tą rzecz z urzędu należała.

Tymczasem na sejmikach relacyjnych województwa ruskiego w Wiśni, znalazł się niespodziewanie obrońca nuncyusza. Umyślnie napomkniono szlachcie o téj sprawie, chcąc ją zgrozą napoić i wywołać przez to zgorszenie albo fanatyzm. W Wiśni macał za puls szlachtę Cetner wojewoda smoleński (4 lutego 1727); w mowie napojonéj oburzeniem utyskiwał wojewoda, że sejm zazbyt spiesznie sobie postąpił, że nie rozsądziwszy, nie przekonawszy się czy jest za co, karę na niewinnego wymierzył (supplicium ante judicium); dowodził daléj, że punkt względem odwołania, dotykający prosto dworu rzymskiego i nuncyusza, powinienby z konstytucyi być wymazany. Wreszcie zaprzeczał, żeby na sejmie mówiono o zawieszeniu w juryzdykcyi księdza Santiniego i utrzymywał: że we władzy tylko stolicy apostolskiéj jest zawieszać i odwoływać nuncyuszów, że Rplita nie ma do tego żadnego prawa, bo to poprostu jest wmieszanie się do spraw zupełnie obcych, jest to kollizyja i władz i pojęć. Słuchała szlachta dosyć uważnie pana Cetnera: mowa jego wywarła wpływ, ale żeby cofnąć artykuł potępiający Santiniego z konstytucyi, na to nie było zgody ogólnéj.

A w Warszawie nuncyusz bronił się jak mógł na wyłomie, nie ustępując jeszcze przed nawałnicą.

Marszałek wielki widząc, że Santini zabiera się do pełnienia swoich obowiązków jakby nic nie było, formalny posłał rozkaz do nuncyatury: że mu władzy fundować niewolno i groził użyciem środków stosownych.

Z początku ksiądz przerwał czynności, bo musiał, gdy odstrychnęła się od niego cała palestra i mecenasi polscy, obawiając się prawa. Więc rad nie rad Santini milczał, ale zaraz poradził sobie. Zagaił sądy, otworzył juryzdykcyą swoją, zaciągnąwszy do pomocy aż patronów rzymskich. Ile sądzim nie sprowadził ich z Włoch, ale sam pewnie nadawał tytuły patronów rzymskich zręcznym prawnikom, którzy za zyskiem lecieli, i takim sposobem osłoniwszy ich powagą stolicy świętéj, już tém samém zabezpieczył winnych (jeżeli to byli Polacy) przed surowością prawa. Inna rzecz, czy miał sprawy jakie do sądzenia: fakt przecież zawsze zostawał: nuncyusz sądził i pełnił swoje obowiązki mimo konstytucyi. Jednocześnie nic nie zmieniając w swojém postępowaniu, bywał jak wprzód tak i teraz na zamku

w czasie uroczystości królewskich, celebrował na nabożeństwach, plątał się z biskupami polskiemi razem u św. Jana w kościele. Tą razą Santini dawał wzór umiarkowania panom.

W Rzymie te zatargi dwóch władz, duchownéj i świeckiej w Polsce, najsmutniejsze wywarły wrażenie. Nie było to wrażenie żalu albo nagłéj boleści, ale gniew długo tłumiony, niechęć do najwyższego stopnia, oburzenie. Pojąć nie mogli, żeby coś podobnego kiedy zajść miało i to jeszcze w Polsce. Nie było tu prośby ze strony Rplitéj, ale prosta napaść, rozkaz, groźba, urąganie się. Tak przynajmniéj krok ten zrozumiał papież i kardynałowie, którzy gwałt nuncyuszowi przez marszałka wyrządzony najwięcéj wzięli do serca (w lutym 1727). Kiedy ochłodły namiętności, rada w radę co robić, jak tu się znaleźć, żeby ocalić godność i nie narazić się więcéj, a osłonić nuncyusza. A naprzód był głos ogólny w Rzymie, żeby za karę dać poznać Rplitéj całą szorstkość jéj postępowania i nie przyjąć wcale posła wielkiego pana Tarły. Daléj zapaleńcy, którzy niczego ustąpić nie chcieli krzyknęli w jeden głos, że Santiniego odwołać nie należy się, i że nuncyusz ten musi pozostać na swojém miejscu, że nie będzie na jego miejsce inny przysłany, dopóty, aż juryzdykcyi zakwestyonowanéj Santiniemu marszałek Mniszech nie powróci. Zadosyćuczynienie musi być zupełne, inaczéj Rplitéj nie być w zgodzie ze stolicą apostolską. Tak więc zanosiło się na to, że ani ta, ani druga strona nie ustąpi.

W Polsce znowu sprawiła wrażenie wieść o tych gniewach w Rzymie. Nadzieja cała była w konferencyach, które się rwały ciągle i zaczynały z limitą, i na które już panowie zjeżdżali do Warszawy. Tą razą król zwołał do stolicy samych senatorów Rplitéj: miało to być coś więcéj jak prosta dotychczasowa rada senatu, a mniéj jak sejm. Rplita chciała urządzić na nowo swoje stosunki z państwami, rozerwane od katastrofy toruńskiéj. Zdawało się, że tutaj jakieś pomiarkowanie wzajemnych nieporozumień nastąpi, a przynajmniéj że będą podane jakie środki i nowe wnioski Rzymowi. Samo z siebie wynikało, że nuncyusz jako pozbawiony przez Rplitę władzy, układać się nie mógł, bo ktoby z nim rozpoczynał prace dyplomatyczne? Otóż

właśnie gorączka i tę nadzieję zniweczyła. Nie wytrzymał książę prymas: kiedy raz przyjechał do Warszawy na konferencyę, po przywitaniu króla, udał się zaraz do Santiniego i półtory godziny z nim rozmawiał żwawo a z przekąsem. Miał mu np. doradzać, by pofolgował cokolwiek ze swojego religijnego zapału; dowodził, że to już nie te czasy, kiedy tyara trząsała światem, że ostygła pobożność w massach i ludzie już nie są tak *zelosi pro ecclesia* (gorliwi o dobro kościoła), że trzeba się obchodzić teraz z wiarą ostrożnie jak z ogniem, bo zbytnia surowość nie sprawi wrażenia, owszem samą władzę nuncyaturską, a więc i stolicę apostolską poda w pogardę. Trzeba było to wszystko połknąć w milczeniu od najstraszniejszego a najwięcéj interesowanego w tém wszystkiém co się działo nieprzyjaciela (w początkach marca).

Zły zaczątek. W dzień naznaczony zjechali się panowie do pałacu królewskiego, ale konferencyi nie było, bo brakowało kilku z najcelniejszych panów, jakoto np. hetmana Rzewuskiego, nie było też pana krakowskiego i dwóch biskupów. Czekano dzień za dniem, jeden przyjechał, drugi się wybierał, o trzecim ani słychu. Tymczasem król się leczył, a po medycynie zaraz prosto miał jechać do Saxonii i wszelkie starania około dalszego prowadzenia konferencyi z panami i ministrami zagranicznemi zlecił księciu prymasowi. Z jedną tylko sprawą rzymską jakotako poszło, a przynajmniéj postawiono w niéj daléj krok jeden naprzód. Rplita nie ustępowała nic ze swoich żądań. Napisano zatém w kancellaryi królewskiéj listy wierzytelne wojewodzie lubelskiemu na drogę do Rzymu, napisali mu też instrukcyą, daléj wydano rozkaz skarbowi, żeby wypłacił posłowi wielkiemu koszta jakie się potrzebne okażą. Ale to król zamilczał o dwóch okolicznościach: naprzód ile wypłacić Tarle, i powtóre nie oznaczył czasu, kiedy wojewoda ma się udać w zamierzoną podróż. Zdaje się więc, że w tém wszystkiém więcéj było postrachów jak rzeczywistości. Pokazywano Rzymowi wszelką gotowość do prowadzenia daléj tego, co się raz już zaczęło, ale razem lękano się nowego ubliżenia. Już pół roku upływało od sejmu, a poseł jednak nie ruszał w drogę; teraz tém bardziéj spieszyć się nie było czego, kiedy wiedziano w Warszawie z pewnością, że panuje w Rzymie wielkie oburzenie, kiedy były

odgrożki, że posła nie przyjmą. Trzeba było naprzód wymiarkować ile w tych wszystkich wieściach było prawdy i niebezpieczeństwa, a potém postanowić coś pewnego. Dla téj to właśnie przyczyny, nie było nic powiedziano w instrukcyi, kiedy Tarło ma się udać do Rzymu.

Wręczono też list wojewodzie od króla do papieża, którego treść mniéj więcéj była następująca: „odebrałem odpowiedź na list mój napisany po sejmie grodzieńskim i byłem z niego kontent, bo zanosiło się na zgodę między nami. Aż tu nagle spadły dwa brewia na głowy nasze. Zmartwiłem się z tego serdecznie, bo widziałem, że wasza świątobliwość jesteś w błędzie i łajesz nas niesprawiedliwie. Nagadano tam waszéj świątobliwości wiele fałszów o narodzie polskim, że go już wiara święta nie obchodzi, a naród to jednak polski, nie który inny od niepamiętnych czasów najwięcéj broni wiary świętéj i władzy doczesnéj papieża. Takiż sam zapał dla niéj panował na ostatnim sejmie, w owéj nawet chwili, kiedy stany wyznaczały posła wielkiego do Rzymu: nic tam broń Boże nie mówiono o władzy papiezkiéj, nie ubliżano jéj i nic przeciwnego jéj nie postanowiono. Polska chce być zawsze jak była dotąd przedmurzem chrześciaństwa od barbarzyńców" (1).

Tarło w całéj téj sprawie był stanowczo przeciwny Rzymowi. Możeby wojewoda w swoim czasie nie obudzał dumy narodowéj, ale kiedy raz już krok postawiła Rplita na téj drodze, honor sam doradzał mu ażeby iść daléj. Przyjąwszy poselstwo, szczerze się niém zajął. Polegając zatém na słowie podskarbiego, zastawiał swoje dobra, pożyczał, spieniężał, zabiegał, a przyjaciele szczerze mu do tego pomagali. Nie żałował wydatków dla dobra kraju i ztąd gromadzić chciał miliony, by się poprzednich poselstw polskich w Rzymie nie powstydzić i utrzymać godność narodową. Żal mu było Widachowa dziedzicznéj majętności po dziadach i pradziadach w województwie sandomierskiém, ale sprzedał ją księciu biskupowi krakowskiemu za 200,000; daléj zaciągnął tyleż długu u pani ordynatowéj Zamojskiéj starościny grodeckiéj na procent, następnie dożywocia i summ swoich, które miał na Sośnicy i Wielkich Oczach odstąpił księdzu Łaszczowi wielkiemu bo-

(1) List ten datowany d. 30 marca 1727 z Warszawy; znamy go z rękopismu.

gaczowi i staroście halickiemu, na które wziął 350,000 złotych. Za dziedzictwo Markuszowa i Czemiernik wziął od wojewody podolskiego 30,000. Z Kurowa podniósł summę od podkanclerzyny litewskiéj 40,000. Z Sulejowa i z Wałowic 60,000. Tursko majętność swoję wypuścił w dzierżawę trzyletnią Żelisławskiemu wojskiemu urzędowskiemu i wziął za nią 90,000 złotych. Za starostwo grabowieckie i miączyńskie, królewszczyzny, wziął 80,000. Zebrał więc ogromną summę 1,500,000 złotych, oprócz tego co wziął poprzednio z intrat. Wszystkie oryginalne kontrakty i tranzakcye, które zawierał Tarło odsyłał do podskarbiego koronnego, dlatego, żeby pan minister gotów był do expedyowania poselstwa, kiedy czas nadejdzie, i prosił zaraz, aby regularnie Przebendowski wypłacał procent od tych pozaciąganych na długi kapitałów. Wszystko to było powinno przestrzedz stolicę apostolską, że jakkolwiek poselstwo się opóźnia, ale dojdzie do skutku, bo Rplita nie pozwoliłaby na te okropne nakłady, i na to, żeby się dla niéj rujnował jeden z zacnych bardzo obywateli. Bądź co bądź, Tarło był na wylocie i czekał tylko hasła do wyjazdu albo pomyślnego wiatru z Rzymu (1).

Wśród tych przygotowań do drogi, kiedy księdza nuncyusza i kilku gości, pomiędzy któremi było najwięcéj cudzoziemców, jak posłowie francuzki i cesarski (ale był i marszałek nadworny koronny Stefan Potocki brat rodzony młodszy księcia prymasa) częstował na kępie wiślanej Poniński sekretarz artyleryi koronnéj; nagle wieści się po Warszawie rozniosły, że Santini ma być z Polski odwołany, i że to niby już zapadło w Rzymie (w czerwcu i lipcu 1727 r.). Rozpowiadano, że do tego kroku znaglił papieża ostatni wypadek, z którego wziął miarę o gwałtowności nuncyusza. Był zaś taki wypadek.

Zbrożek dworzanin księcia kasztelana wileńskiego sprzykrzył sobie świeckie życie i wstąpił do zakonu bernardynów w Warszawie. Nuncyusz czy widział w tém jakie przepuszczenie formy, czy też na czyje prośby albo prosto dla widzimisię jakiego, kazał Zbrożkowi natychmiast wystąpić z zakonu. Gdy Zbrożek wzbraniał się tego zrobić

(1) Te finansowe szczegóły wzięte są z mowy Tarły, którą miał na sejmie konwokacyi d. 22 maja 1733 r.

stanowczo, Santini posłał po niego podkanclerzego nuncyatury z nakazem, żeby pod karą wykroczenia przeciw karności zakonnéj, zaraz do niego przyszedł. Wtenczas nowy mnich stanął przed surowym sędzią razem z definitorem, i w nuncyaturze zmuszono go dopiéro zdjąć habit i ubrać się zaraz po świecku. Definitor zaraz na miejscu mocno się na to żalił. A co do Zbrożka namawiano go powtórnie, żeby wstąpił do zakonu, ale nie chciał: pozostał daléj w służbie księcia kasztelana wileńskiego.

Zdaje się z tego wszystkiego, że pan Zbrożek odegrał tylko sztukę; może też był to jaki fantasta, w każdym razie krok nuncyusza był gwałtowny i niczém nie usprawiedliwiony. Co go wywołało?—rozdrażnienie i wpływy cudze najprędzéj. Ale arcybiskup Trapezuntu powinien był szanować się, bo czasem jednéj kropli dosyć, żeby miarka się przebrała. Tak było przynajmniéj tą razą. Bernardyni zaczęli się skarżyć bardzo głośno na gwałt przed generałem zakonu. Swoją drogą memoryał od Rplitéj posłano do Rzymu. Papież kazał natychmiast, skoro się o tém dowiedział, wołać generała bernardyńskiego, aby się od niego dowiedział prawdy. Potém się zadumał i rzekł: *nunquam tam prudentem virum putaveram haec fecisse* (nie myślałem nigdy, by tak rozsądny człowiek mógł takie głupstwo zrobić).

Tak więc przeważyła w Rzymie dobra rada i Santini upadł; ale sprawa jego nie upadła, bo stolica apostolska cofnąć się nie mogła: taka już była jéj polityka od wieków. Odwołać nuncyusza a nowego przysłać, było to ustępować, przyznawać się do przegranéj; z drugiéj strony trzymać daléj Santiniego w Polsce, przy rozdrażnieniu, jakie tam na niego było, niepodobna, bo wtenczas trzeba było na długi czas może ryzykować dobre stosunki z Polską. Zatém dwór rzymski wybrał drogę pośrednią: nie myślał odwoływać nuncyusza, a jednak nowego na missyą czasową postanowił przysłać, żeby sprawy bieżące i nieporozumienia załatwił, żeby postarał się o usunięcie ostatniéj konstytucyi grodzieńskiéj, żeby potém pogodził arcybiskupa Trapezuntu z duchowieństwem polskiem, ministrami i całą Rplitą i wyrobił to, żeby władzę jego jak wprzódy uznawano. Legat nadzwyczajny miał wtedy po ułatwieniu tych trudności powrócić do Rzymu, a Santini napowrót objąłby swoje urzędowanie.

Wieści o tém wszystkiém nabierały coraz więcéj pewności, kiedy gońcem z Rzymu powrócił do Drezna Dąbski wojewodzic kujawski (7 lipca). Miał on zaraz u króla posłuchanie. Przywiózł z sobą trzy brevia apostolskie: jedno do króla, drugie do księcia prymasa, trzecie do ministrów Rplitej, a przedewszystkiém do marszałka wielkiego koronnego. Treść tych pism wszędzie była jedna: że papież przyśle do Polski nuncyusza nadzwyczajnego, że poselstwa Tarły przyjąć nie może wprzódy, aż póki prawo sejmu grodzieńskiego przez drugi sejm zwalone nie będzie. Niebawiąc dalej Dąbski wyjechał do Polski na Przygodzice, żeby o wszystkiém zawiadomić pana Przebendowskiego podskarbiego, ważną podówczas figurę.

Jednakże zeszło lato i jesień, a obiecanego nuncyusza jak nie było, tak nie było. Tarły poselstwo wstrzymano, na co pan wojewoda bardzo się uskarzał, bo podskarbi od wszystkiego umył ręce i procentu za niego od summ pożyczonych płacić nie chciał. Santini ciągle siedział w Polsce i nie odjeżdzał do Rzymu; mówiono, że czeka następcy swojego, żeby mu zdał władzę: te baje powtarzano jeszcze w listopadzie i w grudniu 1727. Mówiono, że Santini otrzymał stosowne ku temu instrukcye i że jak tylko następny nuncyusz przyjedzie, zaraz arcybiskup Trepezuntu opuści Polskę i uda się wprost do Rzymu, że skazany na niełaskę widocznie, bo nie przenoszono go z nuncyatury na nuncyaturę, nie okrywano purpurą kardynalską, nie powoływano do świetniejszego urzędu, ale poprostu, zalecano siedzieć w Rzymie i czekać sposobnéj chwili, na zdarzyć się dopiéro mający wakans.

We wszystkich tych baśniach nie było i słowa prawdy, bo Rzym, jak mówiliśmy, li tylko dla ułagodzenia sprawy i zatarcia nieporozumień wysyłał chwilowo nuncyusza i całą władzę zostawiał jak dawniéj, Santiniemu. Ale tajemnica ta dopiéro być miała jawną dla Rplitéj za przyjazdem nowego pełnomocnika, którego Rzym długo nie wyznaczał: czy namyślał się względem wyboru osoby, czy dla innych jakich powodów, dosyć, że ledwie późno, późno już nadbiegła wiadomość do Polski, że na nową missyą do Rplitéj wyznaczony został ksiądz Kamil Paulucci, człowiek młody, mający dopiéro 35 lat wieku.

Paulucci, z tytułem internuncyusza, przed samemi świętami Bożego Narodzenia stanął w Dreznie (r. 1727). Jechał prosto z Pragi czeskiej. 27 grudnia miał posłuchanie u króla w Dreznie, rozmawiał z nim przez półtora kwadransa, ztąd udał się do królewicostwa, a na obiad pojechał do hrabiego Lagnasco. Znajdował się podówczas w stolicy saskiéj wojewoda lubelski, który już od dwóch przeszło miesięcy deptał progi królewskie i umizgał się o łaski. Chciał zostać generałem artyleryi koronnéj, i nibyto nie o to mu chodziło, nibyto niechcący pojawił się w Dreznie. Król, który niebardzo był jego przyjacielem, pytał się księdza podkanclerza Lipskiego, po co przyjechał wojewoda? Odpowiedziano mu, że przyjechał od panów z punktami do rezolucyi królewskiéj w sprawie poselstwa rzymskiego. Król nie dowierzał, bo po rezolucyą mógł ktoś mniejszy przyjeżdżać; niedługo w istocie odkryła się tajemnica, kiedy przyszło doniesienie o śmierci generała artyleryi. Odwłócząc więc z dnia na dzień postanowienie swoje, król zatrzymał w Dreznie Tarłę aż do grudnia, kiedy nadjechał Paulucci.

Internuncysz nie spieszył się z odwiedzinami do wojewody, chociaż najwięcéj dla jego poselstwa on przyjechał. Już sam jego tytuł dyplomatyczny wskazywał, że Paulucci nie jest następcą Santiniego; wykryło się zaraz, że nowy ten poseł rzymski nie miał nadanéj sobie żadnéj władzy w Polsce i że przyjechał dla dwóch rzeczy, miał traktować o prawo patronatu królewskiego do opactw i o złagodzenie konstytucyi grodzieńskiéj. Paulucci dawał do zrozumienia panom, że Santini odwołany być może, ale nie na skutek żądania Rplitéj; że naturalnie pełnić daléj obowiązki swoje musi, a on sam nic się nie ma prawa mieszać do jego robót. Jeżeli więc dla układów o patronat przyjechał Paulucci do Polski, przedewszystkiém winien był mówić z Tarłą, którego znowu do téj sprawy głównie wyznaczyła Rplita. Ale umarła wtenczas w Dreznie wdowa księżna Lubomirska wojewodzina krakowska, Tarłowna z domu, i poseł wielki polski do Rzymu, nie doczekawszy się generalstwa artyleryi, chciał towarzyszyć zwłokom księżny do Częstochowy. Paulucci był grzeczny dla wojewody, bo mszę odprawił za jéj duszę przed podróżą (24 stycznia 1728). Tak się obadwaj dyplomatycy dobrze z sobą rozstali.

Ale i Rplitéj i Rzymowi widać niesporo było do zgody. Przez cały ten rok 1728 sprawa ani na krok jeden daléj się nie posunęła. Król znowu wybierał się do Polski na sejm, który miał niby złożyć w Grodnie dla kolei litewskiéj, która przypadała. Panowie zamiast naglić króla do tego, raz wraz chmarą przez rok cały przejeżdżali do Drezna, zabiegając o wakanse, a tą razą o najlepsze z wakansów—o buławy. Paulucci ciągle siedział w Dreznie; czekał to niby sejmu, bo na sejmie tylko można było znieść konstytucyą grodzieńską: więc wszyscy czekali, a sejm był piérwszém i ostatniém słowem dyplomatów owéj chwili. Po zniesieniu dopiéro konstytucyi mógł Paulucci otworzyć rokowanie o prawo patronatu, i Tarło jechać do Rzymu. Ale król nieszczerze ciągle myślał o tym sejmie.

Arcybiskup Trapezuntu nie doczekał się końca sprawy, którą sam wywołał. Czy znękany przeciwnościami, czy zmartwiony niepowodzeniem, czy też przewidując rychły swój upadek, który jednakże był daleko, zapadł na ciężką słabość i w Warszawie dnia 5 lipca 1728 r. o 3ciéj godzinie z południa zakończył życie. Pogrzeb jego uroczysty odłożony został na kilka miesięcy i odbył się dopiéro w końcu września: trwał trzy dni, od czwartku do soboty. Z kolei byłto drugi nuncyusz, który w czasie urzędowania swojego umierał w Polsce. Pochowany został jak i poprzednik u Teatynów. Śmiercią swoją otworzył wakans, który naturalnie zajął Kamill Paulucci. Nuncyuszem Kamill urzędował w Polsce przez ostatnie lata panowania Augusta II, bezkrólewie całe i piérwsze lata panowania nowego króla. W roku 1736 urządził ostatecznie prawa patronatu królewskiego; ale to już nie należy do dziejów Santiniego. Tutaj dodamy tylko, że Paulucci opuścił Polskę w r. 1738, po 10ciu latach urzędowania, gdyż był przeniesiony na nuncyaturę wiedeńską, daléj że kardynałem został w konsystorzu d. 9 września 1743, i że umarł w Rzymie 70-letnim starcem, d. 10 czerwca 1763 r.

O Pauluccim i dalszym ciągu sprawy Santiniego kiedyindziéj.

PASTERZ I RYBAK.

(Z PODAŃ LUDOWYCH).

Czyto tak woda szemrze w strumieniu?
Czy ptastwo śpiewa ukryte w cieniu?
Anito chłodne strumienia grają,
Ani w gaiku ptacy śpiewają:
Lecz Święci Pańscy w rajskiéj ustroni,
Gwarzą ze sobą w cieni jabłoni.

Święty Mikołaj staruszek siwy,
O ludzką nędzę wielce troskliwy,
Co ma w opiece nasze bydlęta,
O każdéj wiejskiéj krówce pamięta,
Wraca do trzody zbłąkaną w boru,
Chroni od wilka i od pomoru;
Wsparty na krzywym kiju pastucha,
Pod gałęziami siedzi i słucha.
Łagodny wietrzyk rajskiéj dąbrowy,
Rozwiał mu brodę na dwie połowy,
A wonne ziola, perłową rosę
Strzęsły dziadkowi na nogi bose.

Przy nim Piotr święty przyrządza sieci,
W którą gdy złotych rybek naleci,
Zaniesie Panu przez jasne pole,
I złoży w niebie na srebrnym stole.

Obadwaj siwi—gołąbki prawe,
Obudwu serca wielce łaskawe,
Gorliwi stróże około ludzi.
Lecz się i święty na świecie strudzi.

Trzy dni powraca Piotr bez połowu,
Co sieć wyciągnie, to spuszcza znowu:

Nie ma i nie ma, sieć pusta prawie,
Posnęły rybki w tym świata stawie.
Więc się okrutnie sturuszek smuci,
Co powié Panu, jak próżno wróci?

Może mu Jezus sieci odbierze,
I sam założy wielkie więcierze,
A jak nie znajdzie nic w mętnéj fali,
To spuści ogień i wody spali.

I drugi święty ma swoje troski:
Do nieba skargi przychodzą z wioski,
Że wilcy krówki z przed chaty biorą,
Że wczora zdechło jagniąt kilkoro,
Że spiekłéj ziemi deszczyk nie rosi,
Że święty pasterz Boga nie prosi....
Niby to prawda.... lecz na téj ziemi
Trudno się spierać z ludźmi grzesznemi.

Gdy tak biadają schyliwszy czoła,
Słyszą zdaleka skrypki anioła.
Oj, to nie była anielska skrzypka,
Jeno wieść dobra, co leci szybka:
Że tam na ziemi, na chmurnym świecie,
Powiła matka ubogie dziecie.
„A dziękiż Tobie, łaskawy Boże!
Toż mi zakładać niewód pomoże."
A drugi rzecze: „Chwała na niebie,
Ja go do trzody wezmę dla siebie."

Na święte głosy Matka królowa,
Gdy usłyszała dalekie słowa,
Z brylantowego zamku wychodzi,
I miłościwém spojrzeniem godzi;
I rzecze do nich: „Dla téj sieroty,
Nie miecz skrwawiony, ni laur złoty,
Nie kij pastuszy, nie sieć rybaka,
Jeno uboga skrzypka tułacka.
W odwiecznéj księdze ona wyryta,
Cieniem żałobnym cała pokryta,
A na niéj będzie pod niebem brzmiała
Wiernego ludu cicha pochwała.
Samotny pójdzie smętną doliną,
Dni jego łzami, pieśniami spłyną."

— „Niechże więc idzie!—rzekli żałośnie—
Niechaj mu serce w boleściach rośnie,

Niech mu na oczy w cichém uśpieniu
Przychodzą męże w stalném odzieniu,
Niewiasty święte w śnieżnéj bieliźnie,
Wszystko co wielkie w jego ojczyznie;
I niech mu czasem w noc lazurową
Twoje oblicze błyśnie królowo!"

I wyciągnęli swe dłonie drżące
Trzy święte duchy, potrójne słońce!
A w biednéj chatce, wtedy schylona,
Pieściła matka dziecię u łona:
Pełna miłości, sercem bogata,
Patrzała w dziecię, w swe skarby świata.

T. L.

KŁOPOTY
STAREGO KOMENDANTA.
PAN MARSZAŁKOWICZ.

Opowiadanie.

(Dokończenie).

VIII.

Do dnia jeszcze było daleko, gdy zdesperowany porucznik zerwał się na nogi. Pan Tomasz spał sobie w najlepsze, więc ubrawszy się cichutko, wyszedł przed dom, zasiadł na ławce około gruszki, i zaczął medytować. Snać że tajemnica o marszałkowiczu musiała mu dolegać niepomału, bo zerwał się teraz gwałtownie, biegał tu i tam machając rękoma, a klnąc na czém tylko świat stoi. Patrząc na tę twarz mocno zarumienioną, oczy krwią zaszłe i uśmiech dziwnego szyderstwa igrający na ustach, zdawało ci się, że tu gniéw i obraza, najdraźliwsze ze wszystkich miłości własnéj, przebierają miarkę pospolitości. To groził ręką zacisnąwszy palce, to stąpał gwałtownie jakby nacierając na przeciwnika; a ogniste spojrzenia i palące słowa towarzysząc każdemu ruchowi, przypominały jakieś dawne walki, gdzie krew młoda i żądza sławy popychały nim wśród gradu kul i szczęku świecącéj broni.

— Tak być nie może!—krzyknął tupnąwszy o ziemię i stawając wyprężony o ile wiek na to pozwalał.—Dość tego panie Jędrzeju, dość głupstw w tém życiu! Darmo, ruszaj

w świat, szukaj ludzi, bo to wszystko, to, to... zwierzęta! Świat się spodlił, świat ten... bezecny!—I gdy tych słów domawiał patrząc zaciekłym wzrokiem na niebo, promyk purpurowego słońca trysnął ponad horyzontem, strzeliwszy wprost na twarz zagniewanego starca. Jak piorunem rażony spuścił oczy ku ziemi, zawisnął głową na piersi, a ręka machinalnie podniosła się ku czołu, i kreśląc znamię krzyża, powitała ze skruchą tę wspaniałą latarnię Boga.

— Nie—wyrzekł z pokorą po chwili—nie, świat ten, to cud nad cudami. Nie, ludzie to moi bracia, a winy ich są wszystkim nam wspólne! Kto dał im takie słońce, takie światy, takie rozkosze, kto czuwa nad nimi, ten i o ich zbawieniu zapomniećby nie mógł. Tylko trzeba mu ufać i kochać go trzeba! Tak, pójdźmy do Niego, On nam poradzi.

I zwrócił się ku bramie, potém koło ogrodu w uliczkę, ztamtąd pod kościół; a że był zamknięty, więc klęknął na progu i modlił się gorącéj niż zwykle, bo czuł, że dzisiaj więcéj potrzebuje hartu duszy, więcéj górnéj pociechy, niż za dawnych lat swojéj młodości.

Tymczasem pan Tomasz trzymając się jeszcze dawnych reguł warszawskiego życia, odmówiwszy pacierze, wziął się do ubierania; i właśnie piątą brzytwą odbywał ostateczną rewizyą swéj brody, gdy porucznik nieco zaspokojony wchodził do pokoju.

— Dzień dobry Tomaszku!

— A dzień dobry, dzień dobry!— odrzekł tenże spoglądając nań litościwie.

— Jakże się spało?

— A dobrze; tylko poczekajno niech skończę.

Więc założywszy ręce za siebie, nasz komendant rozpoczął zwyczajną kołową przechadzkę. Upłynęło kilka minut, pan Tomasz wciąż rewidował, suwając palcem po brodzie i zmiatając jak kosą wystające kępki; porucznik zajrzał mu w oczy, uśmiechnął się litośnie, machnął ręką i znowu chodził. Ale gdy pomimo tego wszystkiego golenie nie ustawało, ośmielił się przemówić:

— No, bójże się Boga Tomaszku, skończ raz przecie; skrobiesz i skrobiesz, aż mrowie po mnie przechodzi.

— Mój drogi— odrzekł odwracając głowę z błagalném spojrzeniem—dajno mi téż mości dobrodzieju pokój!

— Ależ bo to strasznie nudno: jabym chciał z tobą pogawędzić....

Emeryt nic na to nie odpowiedział, tylko wyciągnąwszy szyję, posuwał daléj brzytwą.

— Eh! trzebaby cię do wojska mój Tomaszku; jakbyś się tak codzień sztafirował przed apelem, to powiadam ci mosanie, z kozybyś nie wychodził....

— A dajże mi téż choć raz pokój! — krzyknął zagniewany emeryt, rzucając brzytwę i zrywając się z krzesła.—Ja tu mości dobrodzieju golę w najdrażliwszém miejscu, a ty mi jak na zdradzie stoisz. Niechby téż przypadkiem, czego Boże uchowaj, brzytwa się zesunęła, toby było...

— Chlast — dokończył porucznik, przesuwając palcem po szyi i wychodząc z pokoju.

W domu wszystko jeszcze spoczywało, tylko zaspana Małgorzata rozniecała ogień w kuchni, przygotowując dla gości ranne śniadanie. Więc téż nasz komendant uchyliwszy drzwi lekko, zapytał:

— A prędko tam będzie kawa?

— O! proszę pana, dopiéro rozpalam.

— Co wy dziś tak długo spicie, mosanie; tu dzień jak wół, a wam się zdaje że to północek!

— Ale proszę pana jeszcze piątéj nie ma.

— Co mi ty gadasz nie ma, nie ma; ja lepiéj wiem która, dość że kawa powinna być i basta!

— Ale zegar...

— Co tam zegar; on tak głupi jak i ty: słońce lepiéj pokazuje. Zbudź kobiety!

— Kiedy pani słaba.

— Masz tobie znowu z chorobą. A czy téż skaranie Boskie z temi babami? Całe życie tylko przekwękają: a to ją ząb boli, a to głowa boli, a to kości bolą. Tfu! do milion furbeczek z takiém życiem; żeby to na mnie przyszło, jużbym sobie ze sześć razy w łeb wypalił z niecierpliwości.

— Bo téż pan taki....

— No jaki, jaki?—powtórzył naśladując jéj mowę i ruchy.

— Eh.... ja-ta nie śmiem powiedzieć, jak pani pana nazywa.

— Gadajże mi zaraz, co to za zmowy, mosanie; no jaki?

— Ooo.. gorączka...

— A tak, ma się rozumieć, gorączka, nie mazgaj jak wszystkie baby: one tylko lelum polelum, wolniutko.... U mnie mosanie raz! i kwita! Ale słuchajno, list wczoraj wysłałaś?

— O! jeszcze o piątéj poszedł Duszak.

— Kto, Duszak?

— A no, bo nie było innego, a pan mówił że pilne.

— Kobieto! słuchajno czyś ty nie warta, żeby cię tu, tu.. Tak, i tyś śmiała tego starowinę wysyłać, co? — krzyknął nad nią wyciągając w tył ręce.

— Cóż ja tam winna, proszę pana: obleciałam wszystkich, Gawlik był w polu, bo pilnuje ziemniaków, Kaczorowski pijany, Włodarczyk w lesie na rydzach; stary się naparł i poszedł.

— Ot znowu jak dziady torbiaste moja komenda! Nie, dalibóg ja sobie z tém tałałajstwem rady nie dam. To wszystko napróżno: bij, katuj, więź, zamykaj, oni zawsze po swojemu. No i mój ty Boże kochany—mówił już do siebie wychodząc przed sień—co się z temi ludźmi zrobiło!? A toć ja pamiętam owego Litwina Gawlika; bestya chłop jak lew, nocy nie spał, a pucował konie i lederwerki, a teraz kijem go z pola nie wypędzisz. Oczywiście baba go wodzi za sobą jak jakie ciele, i kwita! Tak to mosanie żenić się wojskowemu; a to jemu do milion furbeczek na co? Ja mosanie, żeby to odemnie zależało, anibym sobie dał gadać o tém. Żołnierz jesteś, to się bij mosanie! Pałasz—to żona. Albo np. i ta moja: dobre to wprawdzie, uczciwe, no i niegłupie, ale zawada. Niby jabym tu siedział jak zgniła pieczarka za piecem, hę? Czybym to miał takie kłopoty, jak teraz z dziećmi; jedno poszło jako tako, a z drugiém ani weź. Co przyjdzie jaki gach mosanie, to go przyjmij, to go paś, to go głaskaj, chociaż Bogiem a prawdą na rekruta jeszcze nie wygląda! Żebym ja to miał worki pieniędzy, ha! to co innego. Ale tak.... to tylko bieda! A i ten, ten stary galant, oszust, marszałkowicz; widzisz go lisek, biczownik, mnie starego zdurzył mosanie, żem w niego uwierzył, jak w Pana Boga. Oho! poczekaj bratku, zjész mi ty milion furbeczek, okrętów, batalionów, jeżeli ci to płazem puszczę.... Ot kto jeszcze może, to mój Wolisio zuch całą gębą! Ale bo téż żony nie ma. Tylko mosanie straszny szaławiła: nic mi się nie utemperował; ta sztuka już takim umrze. No, ależ warto dać mu buzi: ze wszystkiego

sobie drwi mosanie, nic go nie obchodzi, dziś tu, jutro tam, jak ptaszek leśny... Ale kiedy znowu i on mi skrewił: niewinnie może, bo i niewinnie, ale skrewił: wytrę też kapitułę na wszystkie strony.. Zwyczajnie, łatwowierny, okpili to, otumanili listami, winem, cygarami i zwiózł tu na moje utrapienie tego wołyńskiego grata. Dajno mi go tu teraz, dajno—mówił zagarniając ręką przed sobą, i szedł daléj a daléj, posuwając się w stronę, zkąd spodziewał się przyjazdu majora.

Ruch w miasteczku stawał się coraz żywszym: wszystko to dążyło na pole zabierać resztki kartofli, prosa lub tatarki. Przechodzący pozdrawiali porucznika uprzejmie, on dziękował nie wiedząc o tém, a patrzał, czy tam nie wznosi się jaka kurzawa, zwiastująca przybycie upragnionego gościa. Lecz jak na złość, wężowata wstążka drogi bieliła się wyraźnie pośród zieleniejących łanów, słońce podnosiło się wyżéj dopiekając łysinie porucznika, a on zakrywszy ją dłonią, postępował zwolna w opłotki.

— Ha! widać pan major kochany per pedes apostolorum wizytę mi oddaje! —zawołał ujrzawszy jakąś szarawą postać zbliżającą się po ścieszce do miasta.—Eh! to Duszak maruderа—mówił daléj rozpoznawszy starego, a wstydząc się że idzie bez czapki, zawrócił ku domowi. Ale poczciwe żołnierzysko spostrzegł go nawzajem, przyspieszył więc kroku utykając na kiju i wołając:

— Panie kapitanie, z przeproszeniem panie kapitanie!

— No, a co chcesz?—odrzekł tenże odwracając niechętnie głowę.

— Z przeproszeniem łaski pana kapitana, ale ja wczoraj oddałem.

— Co?

— A list.

— Prawda, toś ty chodził i głupstwoś zrobił.

— Jakie? proszę pana kapitana.

— Bo od tego są młode rekruty, a wasan powinieneś jak grzyb siedzieć za piecem i chwalić Pana Boga, mosanie, rozumiész!

— Ec! co tam, co tam, ja się przeszedłem, to mi i zdrowiéj: zwyczajnie człeku to pomaga, kiedy się przewietrzy. Ale że pan kapitan tak rano, bez czapki....

— No i cóż wielkiego, przecie mi jéj nikt z karku nie zdejmie. A cóż, Wolicki jest w domu?

— Nie ma panie kapitanie, dziś rano go się spodziewa Strzemierz i list odda.

— A ten tam nie był przypadkiem?

— Kto?

— No, ten niby mój zięć dawny, marszałkowicz?

— A cóż to się już rozchwiało z panną Julią?

— Samo się nie rozchwiało mosanie, tylko ja rozmiotłem to het na cztéry wiatry.

— Chwałaż tobie Panie Boże!—krzyknął uszczęśliwiony starowina składając ręce.

— I cóż to ciebie tak cieszy mój stary?

— Eh! że téż to pan kapitan jeszcze się o to pyta—odrzekł śmiejąc się serdecznie.—Alboż my to nie kochamy panny Julci jak własnego dziecka naszego, albośmy ją to nie piastowali, nie wychuchali; bo to widzi pan kapitan, tak tedy ja to nie śmiałem występować z moją perswazyą, zwyczajnie chudy pachołek, żołnierz, ale jabym mu dał, dał,... no no!.... Bo to on tedy, wié pan kapitan, świece ludziom daje...

— Jakie świece?—przerwał komendant.

— A tak świece, szczere, łojowe, jak Pana Boga kocham; bo powiada, że okrasa do jedzenia dużo kosztuje, i że mu kradną, więc łojem, świecą—dokończył trzęsąc się z gniewu i oburzenia, a oczy mu zabłysły żywszym ogniem, lica zarumieniały, ręka zaś machinalnie szukała czegoś przy lewym boku.

— Ale mój Duszaku, bo ty jeszcze nie wiész wszystkiego—powiedział porucznik siadając na płocie, i obracając się na wszystkie strony, czy go kto nie słyszy.

— I cóż to takiego?—wyrzekł nieśmiało.

Porucznik więc przybliżył się do jego ucha, szeptał przez chwilkę z całą gorączkowością swych ruchów; Duszak znów mrugał oczami coraz to częściéj, wyprężał się jak struna, a gdy usłyszał ostatni wyraz jego „biczownik" skoczył jak oparzony, wywijając laską: „zabić, jak Pana Boga kocham zatłuc! Co to taki oszust! A nie mówiłem hę, nie mówiłem, i pani kapitanowa.

— Cicho, bój się Boga, ja się boję, żeby nas te drzewa nie usłyszały, bobym oczu na nich podnieść już nie mógł. Ale przyznasz Duszaku mój kochany, że ja sobie jestem porządnie głupi kapitan.

— Eh! nie, nie — odrzekł napół śmiejąco — nie kapitan.... nie...

— To porucznik?

— Ale i to nie.

— No, to cóż u kaduka mosanie?

— A! o o.... o...

— Ojciec?

— Tak—dokończył kiwnąwszy głową.

— Masz racyą: chocieś ty żołnierz, ale rozsądny; teraz pójdź ze mną do domu, nikomu ani słówka o tém; major pewno przyjedzie, więc naradzimy się wspólnie. Niech to będzie sąd wojenny: dobrze?

— A! dobrze.

Nie doszli jeszcze do bramy, gdy porucznik obejrzawszy się jakby instynktownie dostrzegł posuwający się ku miastu tuman kurzawy; zatrzymał się więc na miejscu, oczekując przyjazdu majora. W istocie lekka bryczka ciągniona dwoma większéj rasy konikami, suwała się coraz to bliżéj. Porucznik omal oczu nie wypatrzył, kierując je w tamtę stronę; lecz jakże się zawiódł i zgniewał zarazem, gdy ujrzał w burym habicie i białym słomianym kapeluszu, siedzącego wysoko kwestarza.

— To ojciec Bernard!—zawołał splunąwszy gniewnie— pójdźmy!

Pan Tomasz tymczasem ustroiwszy się w swój urzędowy mundur, w białéj chustce z dużemi podkrawającemi uszy kołnierzykami, i z ogromnym plastrem na brodzie, zapijał w najlepsze kawę, chwaląc sucharki i śmietankę, a trzymając się wszelako za brodę, bo od ruchu ust i plaster się odlepiał.

— Ot i on—zawołał spostrzegłszy wchodzącego porucznika—wié też pani dobrodziejka, że ja ranny jestem z jego przyczyny?

— To też prowadzę ci felczera, mosanie—przerwał popychając przed sobą kaszlącego Duszaka.—Wierz mi, jak ci urobi maść wojskową z prochu i kartaczy, to choćby się wiadrem krew lała, zatamuje; a tymczasem przedstawiam ci perłę mojéj komendy, zucha z pod Saragossy i Samo-Siera, człowieka, który mówi ci sześciu językami mosanie, pitrasi szuwaksy i czernidła na wąsy dla całéj komendy, a dla siebie tabakę: słowem niedoszłego wachmistrza drugiego pułku, Tymoteusza Duszaka.

— *Laudetur Jesus Christus!*—odezwał się w téj chwili wchodzący kwestarz.

— *In secula seculorum amen!* — odrzekli prawie razem pan Tomasz i porucznik, który zadrżawszy nieco, obrócił się z całą żywością spoglądając badawczo w twarz przybyłego.

— Przepraszam bardzo, że przeszkodziłem śniadaniu łaskawych i wielmożnych państwa; ale i jabym też upraszał w imieniu zgromadzenia OO. Reformatów o jakie małe wsparcie—mówił daléj braciszek kłaniając się bardzo nizko.

Porucznikowa i Julka powstały szybko z krzeseł, szukając w swéj pamięci kogoś z dawnych znajomych: bo jakkolwiek pulchna twarz braciszka i delikatna jéj cera szczególniéj po obu bokach nie potwierdzały ich zadziwienia, wszelako głos ten był tak dobrze znany, że lada chwilę mogły go poznać.

— A zkądże to ojciec dobrodziéj?—spytał porucznik zapraszając go do stołu— bo coś, coś, mi znane.

— Z klasztoru N. powolny sługa boży, laik Hiacenty.

— Tato!—krzyknęła rozpromieniona Julka—to pan Wolicki.

— A a a a!...—powtórzyła ciszéj śmiejąc się lekko porucznikowa—prawda, on. No—przemówiła—proszę do kawy, i czém mam służyć panu, czy bułeczką, sucharkami, może chleba z masłem? Oj figlarzu! figlarzu!—i pogroziła mu palcem.

— Dziękuję bardzo łaskawéj pani mojéj dobrodziejce, dziś piątek, ja suszę; i jeżeliby można prosić o kapkę wódki, ot i dla człeka kawałek chleba....—odpowiedział z całą pokorą i powagą, składając ręce braciszek.

— To jak Wolicki, ale nie Wolicki—mówił do siebie porucznik poruszając głową.—No, mój bracie—wyrzekł głośniéj jeszcze niepewny z kim rozmawia—powiédz prawdę, czyś ty Wolisio, czy nie: bo jak Pana Boga kocham ja tu głupieję... No, nie żartujno.... no...

— Jak żyłem na świecie nazywano mię pono tém nazwiskiem, ale dziś w murach klasztornych, jestem braciszek Hiacynt, do usług mojego porucznika.

— A! on, dalibóg on! Niechże cię ukoronuje majorku z twojemi facecyami mosanie!—zawołał obracając go i ściskając w objęciach.—Że też jemu te figle jak z rękawa się sypią: to drugi Kaniowski. No, zdejmno tę rewerendę ojcze dobrodzieju, bo ty tam masz inne ubranie; no, nie zwłóczno mój drogi. Widzisz, to mój przyjaciel kolega szkolny, pan Tomasz Rygorski z Warszawy, a to, oto panowie ci. Ale... cożeś też ty zrobił

najlepszego w świecie?—krzyknął po chwili odskakując na bok.— Tfu! do milion furbeczek, dla głupich figlów wąsy zgalać! a pfe panie majorze, takie sumiaste; a szkoda mosanie, i faworyty. No patrzajże Tomaszu co to za świszczypała! to nie do darowania, jak Pana Boga kocham, nie do darowania: wygląda jak kolano....

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja — wyrzekł jeszcze z powagą braciszek, zawięzując napowrót sznury, które porucznik już poodpinał — pan się mylisz: ja nie dla żadnych facecyj ten strój przybrałem: ja jestem braciszek Hiacenty, do usług..

— Ale fe! co znowu?—przerwała zadąsana porucznikowa.

— Eh! kpij sobie z takich ot sześcio-letnich dzieci, ale nie ze mnie mosanie!—zawołał czerwony już porucznik.

— Ależ dlaboga, ja szczerą prawdę mówię.

— Idź sobie do milion furbeczek z taką prawdą! Cóż ty myślisz całe życie mię za nos wodzić! co? Dość tych żartów, rozbieraj się i kwita; bo inaczéj to zwołam moją wiarę, mosanie, i gwałtem rozbiorę: słyszałeś, hę?

— Dajno pokój Jędrusiu, mości dobrodzieju—przerwał pan Tomasz ciągnąc go za rękę—to widać tak jest.

— Co mu ty wierzysz? ale, ale, tak jest! Powiadam ci to jest taka sztuka filuterna, że onby samego lucypera okpił. No Wolisiu, nie nudź!

— Mój kochany — wyrzekł powolnie braciszek — wolno wierzyć lub nie wierzyć; ale jest tu nasz człowiek z klasztoru, który moje słowa potwierdzi: zresztą, jam ci już dawniéj wspominał o mojém postanowieniu, teraz dodaję to tylko, że już od dwóch tygodni chodzę w habicie, z czego niech będą wiekuiste dzięki Bogu Wszechmogącemu, a ludziom na ziemi pożytek.

— Ot! masz tobie, sfiksował naprawdę; a niech że cię... Eh! dalibóg świat się przewraca do góry nogami. No, mój ty Duszak, patrzajno co się to z tego człowieka zrobiło: mnich, czysty mnich. Może tabakę jeszcze zażywasz, co?

— Jeżeli mogę służyć, to proszę—odrzekł śmiejąc się nieco braciszek, i wyciągając z za rękawa dużą łubową tabakierkę.

— Idźże sobie ty do milion kartaczów, bomb, furbeczek, batalionów z twoją tabaką! Niedość że mię zirytował jak nieboskie stworzenie, jeszcze swemi drwinami przyprowadza do ostateczności! Wiész co!—zawołał gwałtownie ciągnąc go za

habit—tych kpin już zawiele: gadaj mi tu zaraz pod słowem honoru, czyś ty ksiądz, czy major, czy diabeł jaki?

— No, słowo honoru ci daję, mój Jędrusiu—odpowiedział z flegmą Wolicki—że tak jest.

— Żeś diabeł?

— Kiedyś może, ale dziś jeszcze braciszek reformacki.

— A to już darmo!—krzyknął machnąwszy obiema rękami i odskakując na bok.—Darmo, świat zwaryował na piękne. Zosiu! Zosiu, każ mi szyć habit: niech co chce będzie i ja pójdę na laika!

— Jędrusiu, uspokój się, mości dobrodzieju! — przerwał pan Tomasz.

— Co ja się tu będę spokoił, kiedy wszystko się już spiknęło na moję biédę! No i cóż ja téż tu nieszczęśliwy człowiek będę teraz robił na świecie! Ostatnią moję podporę, ostatnią przyjemność Bóg zabrał do klasztoru. Dla mnie tu już nie ma życia, o! nie ma!

— Słuchajno Jędrusiu—odezwał się rozczulony Wolicki—czego się ty tak rzucasz i desperujesz, jakbyś mię już żywcem pochował do grobu. Wierz mi, uczucia moje choć pod tą zakonną suknią, są takie same jak dawniéj: serce bije silniéj jeszcze niż pod pancerzem wojskowym. Tam chroniła go sława, a tu Ten, co sławę daje i nią rządzi. Nie bój się, ja tu częstszym teraz będę gościem u ciebie: wszak to trzy małe milki od klasztoru, a i ty zajrzysz tam przecie czasami. Ja się przywlokę choćby piechotą, tylko już nie darmo—dodał żartobliwie—dar jakiś musisz uczynić za każdą razą.

— No, no—mówił dziwnie zafrasowany porucznik—no, no jakie to przewroty dzieją się po głowach ludzkich. Kto byto powiedział, kto przewidział, patrząc na tego wcielonego diabła, że tak nagle przejdzie w baranka? Ale kiedy się już tak stało i bez mojéj wiedzy, kiedyś się już zdecydował nawet zażywać tabakę, powiédz mi, co cię do tego skłoniło, zkąd ten wiatr bogobojny ciebie zawionął?

— Oho! to dawny zamysł, to lata się nań składały — wyrzekł braciszek ze łzą w oku.—Zresztą towarzystwo marszałkowicza...

— A nie gadajże mi o nim, jeżeli chcesz, bym po ludzku mógł z tobą pomówić...

— No! cóżeś tam znowu upatrzył do niego? to człek świątobliwy.

— Tra la la, tra la la, świątobliwy!—przerwał już zaperzony komendant—piękna mi świątobliwość kazać się biczować ze skąpstwa. Mój kochany bracie, jeżeli i ty chcesz iść taką drogą jak twój świątobliwy marszałkowicz jakiś, to piekło będzie dla was za ciasne.

— Ale pozwólno Jędrusiu, uprzedziłeś się.

— Już aby tego nie mów, bo mię do wściekłości doprowadzasz! Na twoję rekomendacyą przyjąłem tego trutnia do mego domu, traktowałem jako człowieka honoru, uczciwego, pobożnego: a ta gadzina wpiła mi się za skórę i chciała ostatnią kroplę krwi wysączyć z biédnego ojca, porywając mu w swoje diabelskie szpony jedyne dziécię. Oho! już mię drugi raz nie zwiedziesz bratku!

— Ależ koniec końcem co to było?— zapytał zdumiony Wolicki.

— Pójdź! pójdź a powiem ci wszystko. Panie inżynierze łaskawy, proszę z nami; chodź i ty Duszak. A może i ty Tomaszu radbyś usłyszeć?

— Uwolnij mię, uwolnij; jam-ta nie ciekawy.

Więc wprowadziwszy ich do sypialnego pokoju, drzwi zamknął na zasuwkę, mówiąc:

— Widzisz, ja nawet żonie nie śmiem tego powiedzieć, bo dalibóg wstydzę się samego siebie: ona miała przeczucie, ciągle odradzała, ale ja głupia sztuka nie i nie, nie i nie; szczęście, że się jeszcze nic złego nie stało.

— No, ale cóż on zrobił?—przerwał niecierpliwy Wolicki—czy okradł kogo, czy co?

— Jeszcze gorzéj bratku, jeszcze gorzéj!

— To może zabił?

— Jeszcze gorzéj!

— No, to i cóż u dia.....—i ugryzł się w język nasz braciszek niedokończywszy zwyczajnego wojskowego wyrażenia.

— Mój łaskawy panie inżynierze, powiédzno co wiész— odezwał się porucznik zwracając do niego mowę.

Młody człowiek zmieszał się nieco na taką propozycyą, zwłaszcza, że usłyszawszy to Wolicki, spojrzał nań wcale nie po zakonnemu.

— Żebym ja był przewidział, ile moja wczorajsza wiadomość zrobi panu przykrości, bądź pewny, anibym wspomniał o niéj; bo jakkolwiek zwykłem prawdę mówić zawsze i wszędzie, jednakże tą razą mogło się stać inaczéj.

— Ale fe! co pan mówisz!?—zawołał porucznik — wyświadczyłeś mi taką łaskę, jakiéj się nigdy nie zapomina; ochroniłeś mój dom od hańby, i dlatego proszę cię mów otwarcie: tolerować czyjeś podłości to jeszcze gorzéj, niż o nich zamilczać.

— Nie przeszkadzajno Jędrusiu: słuchamy pana.

— Ale wiész Wolisio—przerwał znów komendant—on nie żaden marszałkowicz.

— Eh! dajno pokój....

— No, no, już ani pisnę.

— Istotnie—mówił wciąż zarumieniony pan Stanisław—znam pana Kozłowicza bardzo dobrze, gdyż stryj mój graniczył z nim na Podolu.

— Aha, widzisz! on powiedział że z Wołynia...

— Albo ty mów, albo pozwól temu panu; jak będziesz tak przerywał, to się nic nie dowiem—wtrącił Wolicki.

— No, już ani mrumru...

— Więc ten pan Kozłowicz—ciągnął daléj inżynier—od lat dziesięciu słynął w okolicy ze swych nieustannych konkurów do panien posażnych; ale że jakoś nie zdołał się podobać żadnéj, więc za mojéj bytności już kapitulował zupełnie, a natomiast stał się niezmiernie nabożnym, że cała okolica miała go za świętego....

— A więc cóż chcesz?—przerwał Wolicki.

— Czekajno braciszku, czekaj—odrzekł porucznik trącając go po ręce i przybierając poważną minę—słuchamy panie.

— Jeden wypadek owego świątobliwego żywota zmusił go do opuszczenia tamtejszéj okolicy, a ten był następujący: pan Kozłowicz wyrządził jakąś krzywdę żonie jednego ze swych służących, jakiego ona była rodzaju, tego już nie pamiętam; dość że rozmyśliwszy się potém, uczuł pewien żal i postanowił jakimbądź sposobem takową wynagrodzić. Lecz że był skąpym, więc wszelkie możebne środki owego wynagrodzenia kieszeń jego nadwerężyć mogące, nie trafiały do jego przekonania. Udaje się więc do sąsiedniego klasztoru na rekolekcye: tam modli, pości, suszy, płacze, i wreszcie zasięga rady pobożnych

ojców, którzy jednozgodnie oświadczają, iż grzech póty nie będzie odpuszczony, póki krzywda nie zostanie wynagrodzoną. Więc wróciwszy do domu, w swéj prostoduszności sądząc, że za występkami zwyczajnie idzie kara, a gdy kto zostanie ukaranym już i winę maże: woła męża owéj kobiéty a swego poddanego, zamyka drzwi, i tak bez ceremonii każe sobie palić pięćdziesiąt oblewanych nahajów nie mówiąc za co, dlaczego i po co. Służący się wzdraga, on rozkazuje; i koniec końcem odebrawszy wyznaczoną dozę, płaci mu parę złotych za fatygę, z poleceniem zachowania jak najgłębszéj tajemnicy.

Szczęśliwy że wynalazł tak łatwy, a zarazem tani sposób zadośćuczynienia własnemu sumieniu, odleżał jakie kilka dni w domu, bo sługus wcale ręki nie żałował; i znów powrócił do dawnego trybu swego życia. Ale poddańczuk nie potrafił utrzymać zapowiedzianego sekretu: w zaufaniu powierzył go żonie, ta znowu pokryjomu sąsiadce, owa rozpowiedziała go w karczmie; dość, że nim pan dziedzic pokazał się po wyzdrowieniu, już cała wieś była zawiadomioną o tym wypadku. Za kilka dni wieść ta przeniosła się w sąsiedztwo, szlachta się śmiała biorąc za boki, a w tydzień pan assessor był we dworze Kozłowicza wyprowadzić śledztwo o gwałcie popełnionym przez włościan na osobie samego pana. Ma się rozumiéć wypierał się z początku: lecz gdy ten zabrał się do sporządzenia protokułów, musiał podobno dobrze się prosić pana assessora z nadwerężeniem gospodarskiéj szkatuły. Ale opinii i żartów publicznych opłacić nie było sposobu: przyjeżdża do jednego z sąsiadów, a tu w bramie stoi lokaj z nahajką, ofiarując się sto wyliczyć za złoty nawet. Staje w miasteczku na popasie, a tu dwa baty nakrzyż ktoś maluje kredą na drzwiczkach powozu.... potém ja już wyjechałem do Warszawy, a wuj jeszcze pisał mi kilka razy o figlach jakie mu płatano. Nareszcie jak dał gdzieś nurka, tak dopiéro wypłynął w Krakowskiém jako marszałkowicz i człowiek świątobliwy....

— No, i cóż ty na to, hę?—zapytał z ognistym wzrokiem porucznik stawając przed ex-majorem.

— A i cóż, brzydka sprawa do d...—odrzekł machnąwszy ręką—ale znowu tak bardzo wielkiego....

— Jakto! nie wielkiego: człowiek oszust, mosanie, jakiś, biczownik, bigot.....

— Ale on ma dobre serce, wierzaj mi Jędrusiu; Bóg każe przebaczać....

— Idźże ty sobie ze swoją nauką do Reformatów i ucz owieczki kwestarskie, a nie kpij sobie ze starego żołnierza. I ty, były major Wolicki, człek honorowy, mój przyjaciel, śmiész mi to powiedzieć? Ach! bójże się ty ran Boskich: to niegodnie, a toć jabym wolał dziś, natychmiast, widzieć moje dziecko na marach, niż żoną tego obrzydłego kutwiarza. Słuchaj, jak mi ty nie dasz satysfakcyi i nie zmusisz go wyjechać natychmiast z naszéj okolicy, to go zasiekam w drobniutkie kawałki.

— Tak, tak, panie kapitanie, tedy, wedle rozkazu zasiekamy, het!...—dorzucił Duszak wywijając z ciężkością białą swą laską.

— A za co?—krzyknął Wolicki.

— Jakto za co?—powtórzył jeszcze głośniéj porucznik— za wstyd dla mego domu, że taki człowiek w nim bywał, i mnie podszedł.

— To mu nie daj córki.

— Jakto? ty jeszcze myślałeś, że ja trwam przy swojém?

— Ale, ale, panie kapitanie, dowiedziałem się jeszcze— wtrącił Duszak—że on tę szlifę, pamięta pan kapitan...

— No, co? pamiętam.

— Kupił od Włodarczyka za czterdzieści groszy, tę, co miała być księcia Józefa.

— Nie może być? kto ci mówił?

— O o o! wczoraj my się zgadali z Włodarczykiem, że miał starą szlifę jeszcze z dawnych czasów, i ten oto... ten ten, dał mu za nią czterdzieści groszy....

— No! widzisz... no, patrzajże. Ach podła sztuko.... poczekaj, dam ja ci drwić ze mnie mosanie! Otóż masz twego przyjaciela, otóż szlachetny i bogobojny oszust. Duszak, przyprowadź tu Włodarczyka zaraz, a o tém coś tu słyszał ani mru-mru.... Ja tu krótko ten interes załatwię: szach mach palnę w łeb jak psu i kwita!

— Ale Jędrusiu bój się Boga....

— Co tam, bój się nie bój się, ja swoję zrobię. Panie inżynierze, pojedzież ze mną jeżeli łaska.

— Szaleńcze! daj pokój, — krzyknął Wolicki biorąc go za rękę.

— Idźże sobie do sto par diabłów, a odczep się odemnie raz na zawsze. Ty mnich, ja wojskowy; co mi tam, raz kozie śmierć i basta, ubiję, ubiję!

— Ależ panie kapitanie,—przerwał inżynier—to nie wolno.

— Mnie wszystko wolno, a zresztą niech się dzieje co chce: ja już nie mogę wytrzymać z tą jędzą.

— Przecież to nic tak wielkiego?

— Co! pan się na tém nie znasz; wy inni ludzie niż ja mosanie—mówił prędko i gwałtownie latając po pokoju.—On mię zbezcześcił, on mię na śmiech wystawił; ja wszystkim gadałem i dałbym sobie głowę urznąć, że to szlifa księcia Józefa, a ten batożnik kupił od mego żołnierza: to nie do darowania!!

I porwał fuzyą ze ściany, otworzył gwałtownie swą szafkę, wydobył pulwersak z zamiarem nabijania.

— Człowiecze wstrzymaj się! - krzyknął Wolicki wyrywając mu broń z ręki.—Coś ty oszalał, czy co? chcesz być zabójcą?

— Tak, tak, zabójcą, proszę wasana.

— To pójdziesz w kajdany.

— To pójdę, a zabiję.

— A żona, a dzieci, a sąd Boży; ja na to nie pozwolę, żebyś miał wprzód mnie tu zamordować! Czekaj, ja to załatwię sam, krótko...

— Może mu kazanie powiész, hę?

— Ależ pojadę z tobą.

— A to po co? czy go dysponować na śmierć, hę? Obejdzie się bez waszéj wielebności; i tak go diabli wezmą jak swego. Nie fatyguj się. No, oddaj broń, prędzéj, czas ucieka... —I wieczność czeka!—dokończył śmiejąc się Wolicki, a chowając fuzyą za siebie.

— Tak, tak czeka,—powtarzał szukając kul w szufladzie.—Ot ta, jak raz. Nie, to mała—mówił do siebie—wpakuję drugą. Ha! gadzino poczekaj, zobaczysz co to ze mną zagrywać bratku. Dam ja ci szlify księcia Józefa!

— Księże dobrodzieju—szepnął przestraszony inżynier,—ratuj go, bój się Boga, reflektuj, bo on gotów...

— Bądź pan spokojny, ja go znam, to minie, tylko poszukaj pan żony.

Inżynier wybiegł, a rozsrożony komendant przewracał jeszcze szufladki szukając przybitki do fuzyi. Ręce mu dygotały

tak widocznie, że nie mógł w nich rożka od prochu utrzymać. Twarz, owa łagodna twarz starca, przybrała burakowy kolor, włosy się najeżyły, oczy wyskoczyły błyszcząc przerażliwie z wyrazem jakiéjś dzikiéj żądzy; a pomimo to że silił się zachować zimną powierzchowność, widać było że furya piekielna wstrząsała nim bezustanku. Zmarszczki i rumieńce planetami przebiegały po ogorzałém licu, pierś się nadęła, a konwulsyjne wstrząśnienia rzucały nim co chwila.

Wolicki trzymając oburącz fuzyą, stał jak posąg przykuty na jedném miejscu. Oczy bezwładnie wlepił na porucznika, i poruszywszy kiedyniekiedy ramionami, uśmiechał się litościwie, jakby żałując tego człowieka, którego nieszczęść był mimowolnym sprawcą.

Zostawmy więc obydwóch przyjacioł w opisaném wyżéj położeniu, a zobaczmy co robi reszta towarzystwa znajdująca się w téj dobie pod gościnnym dachem porucznika.

Pan Tomasz zafrasowany wielce gniewem Jędrusia, spytał porucznikowéj:

— I proszę ja mojéj pani dobrodziejki, ten człowiek to ani na jotę się nie zmienił; ta sama krew żywa, mości dobrodzieju, jak w szkołach. Powiadam pani dobrodziejce bywało, w klassie spłata mu kto figla, ehe! mój Jędruś już ma pod ręką odwet; a niech go kto sobie ujmie, już mu przyjacielem na całe życie. Ale widzę, że i pani zajęta, więc nie przeszkadzam; ot zajrzę do kościoła, tylko proszę téż tam zważać na męża, bo to....

— Niech pan będzie spokojny—odrzekła szukając kogoś oczyma po pokoju—to przeminie. Wolicki ma nad nim władzę, zresztą i ja go tam udobrucham...

Zapewniony tą odpowiedzią skinął na Julka i kazał iść za sobą.

— Pójdźno tu kawalerze, trzeba się Panu Bogu pomodlić, o szczęśliwą przyszłość poprosić, a przytém pogadamy sobie przez drogę.

I wyszli w ulicę postępując zwolna: stary emeryt zażywał tabakę coraz częściéj, wydobywał chustkę od nosa, chował, pukał w tabakierkę, przystawał, a pomimo to nie wiedział jak zacząć. Julek znów czy przeczuwając przedmiot obiecanéj gawędki, czy téż czém inném zajęty, szedł ze spuszczoną głową nie patrząc przed siebie.

— No i czegoż się tak nasrożyłeś?—odezwał się przecie emeryt,—przywiozłem cię, mości dobrodzieju, do raju, a ty mi tu markotniejesz, hę?

— Tak sobie myślę—odrzekł Juliusz — czybyto już nie czas wracać do Warszawy.

— Widzisz go jaki służbista mości dobrodzieju! Że też-to teraz tym młokosom dogodzić nie można! Wstyd panie w takim domu, w takiém towarzystwie; a toć ja w twym wieku latabym tu przesiedział, i chybaby mię kijem wypędzano. No, powiedzno Julku co ci na sercu? nie wstydź się; ja ojciec twój, ja, mości dobrodzieju znam się na tych smutkach młodości: to się jakoś połata, gdyby tego wypadła potrzeba. No, i nic nie mówisz? Pewno to panna Julia zapruszyła oko; co, nieprawda?—dodał uśmiechając się figlarnie.

— Nie, proszę ojca, wcale nie.

— Otóż źle mości dobrodzieju, powiadam ci źle, że nie; bo cóż wacpana może innego zajmować teraz? A dalibóg śliczne dziecko: a jakie to gospodarne, a rozumne, a dobre, a skromne. Szkoda panie dobrodzieju lat dawnych, ho! ho! cobym ja tu nie nawyrabiał?!

— Proszę ojca, kiedy ja się z nią nie mogę dogadać.

— Boś kawaler z przeproszeniem głupiutki sobie, a to dziewczyna do pocałowania!—krzyknął rozgniewany zatrzymując się w miejscu.—To pod słońcem nie znajdziesz drugiéj takiéj kawalerze, i ty śmiész to mnie mówić, co?

— I cóż ja temu winien proszę ojca, ale ona sobie widocznie żartuje ze mnie: prześladuje Warszawą, wielkim światem, elegancyą; ale to tak jakoś zręcznie, że ja się nie mogę wytłumaczyć.

— Ha! widzisz kawalerze, sprytna; ot w takie mi graj. Ha! ha! ha! ma go już, dalibóg ma.

— Ale nie ma, proszę ojca.

— Co ty wiész? ma! ja ci zaręczam, ma. To zwykle miłości tak się rozpoczynają.

— Kiedy nie myślę, ani przypuszczam....

— Ciekawym ja mości dobrodzieju.....—ciągnął uradowany emeryt myśląc o czém innem—mości mój dobrodzieju..... tak..... dobrze..... O! cóżem ja to chciał powiedzieć?

— Nie wiem, proszę ojca.

— Aha! zaraz, ot tak będzie: kawaler się oświadczysz dzisiaj pannie, nie ma co zwlekać; ranne ożenienie, wczesne wstawanie, widzisz mości dobrodzieju nie zaszkodzi.

Julek zaczerwienił się jak wiśnia, chciał coś odpowiedzieć, lecz stary mu nie pozwolił; a biegnąc przed nim uśmiechał się dobrotliwie machając rękoma, przechylając głową, i szepcząc do siebie urywane słowa.

— Proszę ojca, proszę ojca ja nie mogę; niechno ojciec będzie łaskaw zatrzymać się chwileczkę!—wołał prawie w rozpaczy nasz młodzieniec ciągnąc za surdut starego emeryta.

— Dobrze, dobrze, to potém, a teraz do kościoła. *Te Deum* za pomyślność; kto od Boga zaczyna, mości dobrodzieju, dobrze zaczyna.—I nie czekając jego odpowiedzi wsunął się we drzwi, przeżegnał wodą święconą, usiadł w ławce roztwierając zwyczajną swą książkę do nabożeństwa.

Tymczasem porucznikowa po odejściu pana Tomasza skinęła na Julkę, i wprowadziwszy ją do ostatniego pokoju, kazała usiąść przy sobie i tak się odezwała:

— No, moja Julko, powiedzże mi tak szczerze, jak mię kochasz, podoba ci się ten pan?

— Który? inżynier?—zapytała nieśmiało rumieniąc się potężnie.

Matka spojrzała nań przenikliwie, dziewczyna jeszcze bardziéj poczerwieniała, i kręcąc się na krześle chciała powstać.

— Poczekajno kochanie, ja się pytałam o młodego Juliusza.

— A dlaczegoż to mama się pyta?

— Ooo! jaka ty jesteś ciekawska: zaraz ci objaśnię, tylko powiédz tak, czy nie?

— Nie—wyrzekła cicho.

— Hm! to szkoda, musi to być niezły chłopiec: ależ trudno—mówiła jakby do siebie.

— Proszę mamy, to takie dziecko jeszcze: ja się z nim nie mogę w żaden sposób porozumieć.

— To téż widzisz nie zaraz.... No, powimy jeszcze, możecie czekać. Idźno téż zobacz jak tam obiad stoi, boto już południe za pasem—przemówiła zabierając się do wyjścia.

— I mama nic nie powié?— pytała całując ją w rękę i przymilając się po swojemu.—Od niejakiego czasu w takim

żyjemy chaosie, że doprawdy sama nie wiem, co z tego rozumieć; a nie mogę znaleźć chwilki na pomówienie z mamą.

— To potém dowiész się o wszystkiém.

— Moja kochana mamo teraz, teraz, choć słówko jedno, bo widzi mama ja taka jestem ciekawa....

— To bardzo źle, Julciu.

— Ale kiedy ja się dorozumiewam troszeczkę: nieprawdaż, że ojciec coś się dowiedział o marszałkowiczu. Ach! żeby mama wiedziała, jaka ja jestem wdzięczna temu panu inżynierowi!....

— Jak uważam — odezwała się uśmiechnięta matka — ta wdzięczność trochę zaprędko się wyrobiła w tobie.

— Eh! nie, moja mamo — mówiła zarumieniona. — Ja wiem co mama myśli; ale to nie, wcale nie. Jestto człowiek bardzo ukształcony, miły; uwolnił mię od takiego zamęźcia: czyż nie można być wdzięczną za to?

— Dobrze, bardzo dobrze: tylko żeby ta wdzięczność....

— Niechno mama się nie boi: oho! ja się pilnuję bardzo! — dokończyła poruszywszy figlarnie główką. — Boto, widzi mama, ja taka szczęśliwa teraz, że przecie ojciec dał się przekonać o tym marszałkowiczu; odetchnęłam swobodniéj, i gotowam na złość rozkochać się w kimbądź, aby nie w nim.

— Eh moja Julciu, coś ci się tak plecie dzisiaj, że doprawdy ja cię nie poznaję. Strasznieś jeszcze roztrzepana; a byłby już czas zastanowić się nad sobą.

— No, no, nie gniewaj się mama; to ja tak sobie tylko — mówiła śmiejąc się w oczy i całując ją po rękach. — To tak w piérwszéj chwili tylko, niedługo znów będę poważna: ot wezmę chustkę od nosa, tak, złożę na środku, i zasiędę na kanapie jak jaka matrona, z taktem....

— Idź już swawolnico, idź, a nie trzpiotaj się zwłaszcza przy obcych; gotowi sobie Bóg wié co o tobie pomyśléć. Dobrze być żywą, ale tam, gdzie to przyjmą za dobrą monetę; nie znając ludzi i ich upodobań, można się najniewinniéj narazić...

— Dobrze, dobrze, proszę mamy — przerwała zbliżając się razem z nią do drzwi wychodowych, i patrząc jéj błagalnie w oczy — ale mama mi jeszcze powié o tém, co mi mama obiecała?

— O czém? nie pamiętam.

— O tém wszystkiém co się to robi teraz: bo ja przeczuwam coś, ale się w żaden sposób domyślić nie mogę.

— No np. cóż chcesz wiedzieć?

— Najprzód co to marszałkowicz zrobił, że ojciec tak się gniéwa?

— Nie wiem—odrzekła wydzierając się jéj matka z pewnym uśmiechem.

— Nie wié mama, naprawdę?

— Jak cię kocham tak nie wiem, tylko puśćno mię, bo jak widzę wzięłaś mię tu w oblężenie, czy co?

— Jeszcze troszkę, zaraz pójdziemy. A o tém, dlaczego mama mi się pytała czy mi się podoba pan Rygorski?

— No, tak sobie, z prostéj ciekawości....

— Ale nie, mama żartuje: ja widzę, oho! ja zaraz poznam! Moja mameczko kochana, serdeczna, niechże mi téż mamusia powié, bo ja się rozchoruję z ciekawości.

— Ale co ci tam będzie? nie bój się, będziesz zdrowa jak ryba....

— A czy on przypadkiem nie ma jakiéj pretensyi?

— Co za pretensyi?—powtórzyła seryo matka.

— Bo ja tak sobie myślałam... że to...—bąkała spuściwszy oczy ku ziemi wyraźnie zakłopotana.

— No, i cóżeś myślała? mówże!.

— Eh! to wolę już i nic wiedzieć—odrzekła wybiegając do drugiego pokoju.—Kiedy mama mi nic nie chce powiedzieć, to i ja nie powiem.

— A! widzisz kochanko, że ja miałam racyą. Wstydzisz się swéj ciekawości: dobrze ci tak, nie dopytuj się nigdy o to, o czém chcą starsi żebyś nie wiedziała. Cóż nie prawda?

Lecz dziewczyna nie słyszała już tego morału, bo zakrywszy oczy, jak młoda sarna pierzchnęła z pokoju. We drzwiach od sieni, jakby na dobitkę jéj utrapienia spotyka się oko w oko z powracającemi z kościoła Juliuszem i ojcem. Stary rozgniewany czegoś, trzymając syna za guzik, upominał, rozkazywał, groził palcem i tabakierką; a pochmurzony synek milczał dąsając się trochę i poruszając przecząco głową.

— Ot, i panna Julia!—zawołał pan Tomasz uśmiechając się doń mile. O wilku.... nie, nie, mości dobrodzieju, o aniołku mowa, a on tuż.

— Czy to do mnie ma się stosować?—zagadnęła jeszcze cała zapłoniona stawając ze spuszczonemi oczyma.

— A tak, o pannie Julii, o pannie.

— O! to się pan omyliłeś—mówiła już przytomniejsza z figlarnym uśmiechem.—Gdzie mnie tam do anioła. Mój Boże, jakabym ja była szczęśliwa, żebym prawdziwą kobiétą być mogła!?

— No, alboż to co brakuje pannie Julii? Rozumiem ja to dobrze: skromność mości dobrodzieju, skromność; to tak samo jak Urszulka nieboszka.

— Ale cóż za mowa była o mnie? nie mogłabym się o niéj dowiedzieć?

— Już co o tém, mości dobrodzieju, to Julek najlepiéj opowié. Zostawiam tu państwa, tłumaczcie się jak możecie— mówił śmiejąc się pociesznie.—Ja tam zajrzę do starych, bo nie wiem co się z porucznikiem dzieje.

— Kiedy jabym wolała, żeby sam pan był tyle dobrym i w tém mię objaśnił; bo pan Julian....

— A cóż pan Julian?—powtórzył pytająco stary.

— Tak.... widzę... że nie ma ochoty.

— Musi mieć, proszę mojéj panny dobrodziejki. On zawinił, niech się wymawia; to darmo! każdy za siebie odpowiada— i nie czekając odpowiedzi czmychnął żwawo do sieni.

Julka tak nagle zostawiona sam na sam z młodym człowiekiem, nie śmiała odejść bojąc się go obrazić; stanęła więc na progu bardzo zafrasowana, i bawiąc się pierścionkiem na palcu, czekała wyzwania. Minęła chwila, Julek się nie odzywał, ani spojrzał na nią; a stał pochmurzony z tym samem wyrazem twarzy, z jakim go ojciec zostawił.

— No, jakże panie Julianie?—odezwała się spojrzawszy nań swemi dużemi oczyma—nic mi pan nie powié?

— Kiedy przyznam się pani—bąknął jeszcze patrząc w ziemię—ja nie mogę...

— Więc to musi być coś bardzo ważnego, lub tajemniczego—dodała nieco śmieléj.—A wiész pan jak to kobiéty są ciekawe, więc témbardziéj radabym usłyszéć....

— Widzi pani, w drażliwém jestem położeniu: ojciec mię przymusza....

— Do czego?

— Eh!.. nie mogę powiedzieć.

— Ale przecież cośkolwiek niech pan powié: no, dopomogę panu—mówiła naprawdę zaciekawiona z figlarną minką. —Czy do wyjazdu?

— Nie.

— To może do klasztoru?

— Ale nie, owszem przeciwnie.

— To się już nie domyślę—odrzekła rumieniąc się lekko.

— Oto proszę pani, ojciec chce żebym się ożenił.

— Naprawdę?

— Niezawodnie tak.

— Więc cóż to mnie może dotyczyć? Eh! pan żartuje, musi to być co innego!?

— Słowo honoru pani daję, że tak.

— A pan zapewne nie masz ochoty?—badało ciekawe dziewczę z pewném zajęciem.

— Właśnie że mam, tylko że.. Otóż niech się co chcę dzieje powiem pani otwarcie, co tam ceremonie. Wiem, że pani się nie obrazisz, przecież serca przymuszać nie można?

— O, prawda prawda, zupełnie się zgadzam z panem— wyrzekła dorozumiewając się wszystkiego.

— A więc, zna pani pannę Helenę Lińską?

— Znam bardzo dobrze: i to pan w niéj się zakochałeś?

— W niéj.

— A to bardzo stosownie: śliczna panna, bardzo dobra, bogata; istotnie winszuję panu takiego wyboru. I z nią ma się rozumieć ojciec pana każę mu się żenić?

— Właśnie że nie z nią.

— To chyba nie wié o tém, że pan ją kochasz?

— Otoż to że nie wié, ani się domyśla.

— No, to jakżeż pan chcesz żeby zezwolił, kiedy nic nie wié; trzeba mu to wyznać.

— Ależ to niepodobna: on ma wcale inne zamiary. zgniewałby się, zresztą ja się nie mogę odważyć.

— To, czekajże pan, ja mu powiem.

— Ale...

— Nie bój się pan, ja to tak zgrabniutko, ładniutko wszystko ułożę; a przytém poproszę grzecznie, i jakby trzeba było innéj pomocy, to mama się wstawi. My to umiemy dobrze takie interesa załatwiać; a zresztą i pan Wolicki się przyczyni, który, wié pan, bardzo lubi kojarzyć małżeństwa.

— Dziękuję pani bardzo za tę nadzieję — odrzekł mocno zakłopotany Juliusz — ale kiedy ojciec kazał pani co innego powiedzieć.

— Jakto? jeszcze co nowego? mnie?

— Tak pani, bo jak mówiłem już, ojciec chce żebym się pani oświad...

— A z czemże takiém?—przerwała z pewną obojętnością, choć widoczném było, jak rumieńce występowały na lica.

— Z tém, co dla panny Heleny czuję—szepnął cicho Juliusz odwracając oczy.

— Eh! kiedy pan żartujesz sobie ze mnie!

— Słowo honoru daje, że nie.

— Więc to niby z miłością, któréj pan, ma się rozumieć nie czujesz—odważyła się zapytać nieśmiało.

— Tojest ja panią szanuję, wielbię, poważam, ale...

— Rozumiem, rozumiem—zagadnęła Julka nieco obrażona—nie potrzebujesz mię pan objaśniać. Naturalnie, kto kocha pannę Helenę, inna mu się podobać nie może.

— Ale nie tak, proszę pani; ja przeciw pani nic nie mogę powiedzieć, tylko że...

— Nie jestem podobna do panny Heleny, prawda?

— I to nie... tylko że pani jakkolwiek jesteś piękną..

— Daruj pan, ale ja komplementów nie lubię.

— Wszakże to nie komplement, ale najświętsza prawda.

— No, to dobrze, to dobrze, tylko pomimo tego nie podobam się panu i kochaćbyś mię nie mógł. Wierzę bardzo i nie dziwię się wcale, bo przyznam się, że co do mnie zupełnie tak samo jestem względem pana uprzedzona. Ale jeżeli pan chcesz przyjąć tą razą *choć* przyjacielską usługę, to całém sercem dopomogę panu; bo bardzo lubię Helenkę, i wiem, że z panem byłaby szczęśliwą.

— O stokrotne dzięki ci pani—przemówił z zapałem młodzian—do śmierci wdzięcznym ci będę. Przepraszam najmocniéj, że ją może czém obraziłem, ależ staw się pani w mojém położeniu, że ja ją tak kocham, tak uwielbiam, że ona również mi życzliwą.

— Nie masz pan za co przepraszać, owszem odemnieby się ono panu należało, żem taka była ciekawa i zarazem natrętna. Co mogę, to zrobię, żeby pana kontrolera skłonić do ży-

czeń pańskich. Szczerość za szczerość, prawda! Po co tu te ceremonie, przymusy; powiedzieliśmy sobie o tém, o czém poprzednio wiedzieliśmy oboje: bo jużci pan przyznasz, żeby to było bardzo niewłaściwém, to nasze małżeństwo? Ja sobie prosta parafianka, brunetka, a pan Warszawiak, i lubisz blondynki.... No, no, nie obrażaj się pan, ja to rozumiem zdrowo, a że czasem się trzpiotam jak dziecko, to tylko jak jestem w dobrym humorze; ale gdzie trzeba być poważną, oho! ja potrafię!

— Aha! patrzno pani dobrodziejka, patrzno pani, jak się ściskają za ręce—szeptał uradowany pan Tomasz, uchyliwszy drzwi od pokoju, i pokazując porucznikowéj dwoje młodych ludzi z wesołemi twarzami. Co, nie powiedziałem mości dobrodzieju, że tak będzie? Ho! ho! znam ja młodość pani dobrodziejko, to ogień: pociągniesz, ot i pali się zaraz.

W rzeczy saméj zbliżyła się doń młoda para, a z oczu ich patrzyła radość niezwykła. Julian jeszcze się kłaniał, Julka uśmiechała mile szepcąc pocichu słówka pociechy: jedném słowém złudzenie było tak upozorowane, że porucznikowa nie wiedziała co o tém sądzić.

— Mam też do pana kontrolera maleńką prośbę—odezwała się wesoło Julka stawając przed nim w błagalnéj postawie.

— Ale to późniéj—przerwał zatrwożony Julek.

— Bądź pan spokojny, lepiéj odrazu—odpowiedziała potrząsając głową.

— Tak, tak, odrazu mości dobrodzieju—powtarzył stary. Po co tu zwlekać, patrzaj jaki mi sensat się zrobił. Słucham kochanéj mojéj panny dobrodziejki: choćby worek próśb, to wysłucham najpokorniéj — dokończył z dziwnie rozkoszną miną i jakiemiś ruchami nie do opisania.

— To prosiłabym samego pana o chwilkę rozmowy.

— Jakto pani porucznikowa dobrodziejka nie mogłaby tego słyszéć?—zapytał ciekawie.

— Owszem, miałam zamiar i mamy prosić; tak we dwie prędzéj uprosimy.

— A Julek nie mógłby....

— Oh nie, nie, on tu jest winny, i nie powinien słuchać oskarżenia.

— A więc proszę moje panie dobrodziejki: służę—mówił prędko ustępując im miejsca, a na syna skinąwszy żeby się oddalił.

— Nie będzie się pan kontroler gniewał na pana Juliusza, jak ja wszystko opowiem — przemówiła, skoro wszyscy troje stanęli przy oknie bawialnego pokoju.

— Tego nie wiem, moja panno Julio, jak zasłużył: to darmo.

— On nic nie winien, ale jego serce....

— No, jeżeli serce mości dobrodzieju, to z góry przebaczam, bo to i ja byłem młody. Ho! ho! wiem ja o tych wszystkich figlach serduszek!.

— Ale pozwoli na to pan kontroler o co będę prosić, bo to wielka, o! bardzo wielka prośba.

— A cóżbym ja mógł odmówić takiemu szczebiotkowi, mości dobrodzieju — zawołał emeryt trącając ją po ręce, jako zadowolniony ze swego wyrażenia. — Tylko chciałbym już raz dowiédzieć się o co to idzie! No, jakkolwiek nazywają mnie starym pedantem, ale teraz mościa dobrodziejko moja, jestem ciekawszy niż wszystkie na świecie kobiéty.

— I słowo pan mi daje, że nie odmówi?

— Ależ Julko nie nudź — przerwała matka — tak nie można nadużywać grzeczności pana.

— Daję słowo, daję....

— Otóż powiem panu kontrolerowi ważną nowinę: pan Julian się zakochał!

— Ba! — wtrącił śmiejąc się serdecznie emeryt — ja o tém dawno wiedziałem.

— A jak dawno? — zapytała filuternie Julka.

— No, przecież to łatwo obliczyć; od czasu jakeśmy tu przyjechali, mości dobro....

— Otóż przepraszam pana, bo to już od trzech miesięcy.

— Otóż i ja przepraszam — powtórzył energicznie pan Tomasz — ale to być nie może, bo jakże to mógł zrobić nie znając takiego jak pani aniołeczka.

— A widać że znał herubinka innego — wyrzekło figlarne dziéwczę.

— Eh! wolne żarty panny dobrodziejki, ale gdzieżby on go znalazł, chyba we śnie?

— Nie we śnie, ale na jawie w osobie panny Heleny Lińskiéj.

— Co? kogo? jak mości dobrodzieju? nie słyszałem.

— Helenki Lińskiéj—powtórzyła dobitniéj Julka.

— Eh! to być nie może! czy onby śmiał bez méj wiedzy, mości dobrodzieju. Nie, to żarty! Hej Julek, pójdźno tu!— krzyknął otwierając drzwi od pokoju. — On tu sam powié, on się wytłumaczy.

— Ależ dajno pan pokój—przerwała porucznikowa odsuwając mu rękę.—Cóż to dziwnego, wszak dopiéro sameś pan mówił, że znasz wszystkie figle serduszek.

— I że się pan nie będzie gniewał—dorzuciła Julka.

— To być nie może, mój ty mości dobrodzieju, to jemu się zdaje; ale gdzież znowu, hę? nie, nie.

— Kiedy tak jest w istocie, sam mi to powiedział.

— Jakto? i on śmiał, ten, ten niepoń: wszak ja mu kazałem co innego....

— Owszem lepiéj zrobił że to wyznał—przemówiła znów porucznikowa.— Zdaję mi się szlachetniéj jest powiedzieć komuś prawdę, niż zmyślając to, czego się nie czuje, sprowadzać w przyszłości nieszczęście.

— Jakie nieszczęście?—krzyknął rozgniewany już dobrze ex-kontroler wiewając chustką, trzęsąc tabakierką i spluwając co chwila.—Z takiém stworzeniem miałoby być nieszczęście?

— Może nie dla niego, ale dla niéj....

— Otóż moja niedola, moja zawada, mości dobrodzieju, że nie mogę z tym chłopcem dojść ładu! Ha, trudna sprawa. ma pani dobrodziejka racyą, ale żeby téż jeszcze z kim inném.

— A cóż pan chcesz od niéj?—zagadnęła seryo porucznikowa—panna bardzo przystojna, dobra i nie biédna...

— Znamci ja ich znam aż nadto dobrze, moja pani dobrodziko! Skaranie boskie, widoczny cios na mnie biédnego ojca, ale poczekaj niceponiu, dam ja ci za to, bez mojéj woli, no proszę ja....

— Kiedyż serce rozkazów nie słucha, proszę pana—dorzuciła Julka.

— Eh! co mi tam serce, mości dobrodzieju, on nie powinien był tego robić. Ho! ho! amory mości dobrodzieju; nie będzie nic z tego, nie, nie jakem....

— A moja prośba jeszcze panie kontrolerze, a obietnica? pięknie nie dotrzymywać słowa.

— Jaka obietnica, jaka prośba?—zapytał ciekawie.

— Wszakżem nie dokończyła.....

— Więc to jeszcze coś nowego?

— Prośba, prośba wielka, na którą dał mi pan słowo.

— Może, żebym tam pojechał, i zezwolił, i prosił? O! z tego moja mości dobrodziko nic nie będzie; i wolę zasłużyć na imię niedotrzymującego, niżeli widzieć tę, tę pannę moją synową. Nie pozwolę, nie, nie: albom to nie ojciec mości dobrodzieju, nie kontroler, nie emeryt?!

— Moja mameczko—szepnęła Julka całując ją z przymileniem w rękę—niechże się mama przyczyni za nim, on ją tak kocha. Ja wyjdę....

— Panie kontrolerze, uspokój się pan, pomówimy rozsądniéj trochę—odezwała się porucznikowa wskazując mu krzesło.—Naprawdę ja tu nic zdrożnego w tym związku nie widzę, owszem wszystkie korzyści. I to nawet powiém panu, że wątpię, czyby ją za pana Juliusza wydali. Są to ludzie majętni, a przytém sama pani dumna nieco.

— Ot to właśnie, że i ja dumny jestem mości dobrodzieju, i znam ich jak złamany szeląg: skąpe, próżne...

— Nie nie, uprzedziłeś się pan do nich, jest tam trochę śmieszności, ale wierz mi pan w gruncie serca poczciwi ludzie. To co było przeminie, panna jak będzie u siebie, wszystko się inaczéj urządzi. Po co tu się sprzeciwiać, kiedy i skłonności ich łączą i piękna.... No pozwól pan, pozwól—nalegała widząc że mięknie stary. Masz pan jedno dziecko, dlaczegóż mu zagradzać drogę do szczęścia: to byłoby okrucieństwem...

— Ale kiedy to chwilowe, potém jeszcze będą wieki niezgody...

— Zapewniam pana, że tak nie będzie skoro się kochają szczerze, a i pan będziesz spokojny o jego przyszłość, i chłopiec się ustatkuje.... Jesteś pan w tych stronach, można pojechać... No pozwól pan, pozwól, bo doprawdy zgniewałabym się serdecznie....

— A.... i cóż mam robić, niech i tak będzie, bo ja pani dobrodziejce tak ufam jak, jak.... saméj Urszulce mojéj nieboszce.... Tylko przykro mi, żem panią prosił o rękę...

— Ależ to zwyczajny wypadek, bo i Julka przyznam się panu nie miała doń głębszéj sympatyi.....

— Skoro tak jest, to niech się dzieje wola Boska, jadę....

Przywołano potém Juliusza, nastąpiły wyrzuty, przeprosiny, błagania i dziękczynienia, jednem słowem powiodło się wy-

bornie jego zamysłom, i za kilka dni uradzono pojechać do państwa Lińskich z zamiarem oświadczenia młodego zakochanego.

* * *

Kiedy się to działo w bawialnym pokoju porucznikostwa, kiedy sercowa tragedya Juliusza zbliżała się ku końcowi: konferencye w sypialnym pokoju również na umiarkowaną przechodziły drogę. Komendant choć niezupełnie uspokojony, wszelako powiesił fuzyą na ścianie, która powiedziawszy nawiasem brandki nie miała, i całując serdecznie braciszka Hyacentego, pytał niespokojny:

— Ale ty mi słowo honoru dajesz, że go wykurzysz!

— Słowo, nawet żołnierskie słowo! — odrzekł z zapałem Wolicki—i jeszcze ci powiem, że na ten dzień zdejmę i habit.

— Jakto... tyś nie ksiądz?

— Nie ksiądz i nie laik, tylko ubrałem się po zakonnemu, ot z dobréj woli; mieszkam w klasztorze, mam celę, chodzę na pacierze i modlitwy, ale ślubu żadnego nie robiłem, i przyznam ci się, dziś piérwszy raz jestem w habicie, który niezadługo będzie jedynym strojem byłego majora.

— Ej figlarzu! ty sobie widzę żarty stroisz z téj sukni: to niełądnie mosanie, to nieuczciwie.

— O! o! nie bój się, nie—odrzekł seryo Wolicki—ja wiem co robię i bądź pewny, żebym go nie zdjął już nigdy, gdyby nie ten wypadek. A mówię ci pytałem go się kilka razy, czy panie Antoni nie masz co na sumieniu. A on jak świętoszek skruszony, sumitował mi się że nie, broń Boże, coby znowu. A tu tak inaczéj: i tę szlifę, a pfe nieuczciwie, niehonorowo: poczekaj bratku, dam ja ci chleba!

— Eh! bobyś powiedział!—przemówił prosząc go porucznik—co ci to szkodzi.

— Nie mogę, jak cię kocham: lepiéj, żebyś ty nie wiedział o tém, tylko ot siadajmy i piszmy bilety zapraszające na niedzielę. Dziś mamy co? piątek, prawda, no to się jeszcze pozjeżdżają. Dając wieczorek, uczcisz pana Tomasza i jak nas więcéj będzie tém lepiéj. A wina mi nie żałuj: im więcéj go będzie, tém sprawa gładziéj pójdzie, to konieczne.

— Dobrze dobrodzieju, u mnie w piwnicy znajdzie się jaka beczułka, a resztę się dokupi; siadajmy tedy i piszmy. Ot poproszę i tego inżyniera: on to pismak, biuralista...

Wkrótce potém cała sypialnia przemieniona została w najzupełniejszą kancelaryą: pióra skrzypiały, papiér szeleścił, piszący tarli czupryny sadząc się na koncepta, a pan porucznik jako dyrektor chodził od jednego do drugiego, czytał, podpisywał, składał pieczętując wojskową pieczęcią, i adresując szumnie wedle tytułu i godności zaproszonego.

Na to weszła porucznikowa ciekawa dowiedzieć się z jakiego powodu taka cisza zaległa pokój, a zobaczywszy piszących, chciała się cofnąć napowrót.

— A prosimy, prosimy! — zawołał porucznik powstając z krzesła.

— Czy masz jaki interes do mnie?

— Tak, tak moja Zosiu, ot widzisz w niedzielę daję bal.

— Jaki bal?

— Ot, że to imości tak długo trzeba się tłumaczyć: bal wielki i kwita! Tojest spraszam gości, którzy będą jeść, pić, tańczyć i hałasować.

— A na jakąż to uroczystość?

— Bez uroczystości, tak sobie z dobréj woli i kwita. Przyszła mi myśl oto...

— A kiedy z dobréj woli, to dawaj sobie, ja nie zabraniam.

— O, ba! to niedość że imość nie zabraniasz, ale tu trzeba dopomódz; przecież ja ci w kuchni pitrasić nie będę, mosanie!

— Jak ja nie wiem na co, to równie nie będę.

— Kiedy bo imość jesteś taka ciekawa, że zaraz na co, po co, za co? Proszę mojéj imości, mnie się zdaję, że ja panem domu, to...

— A ja panią...

— No, to jakże ja ci tu powiem, żeby ci się pozbyć; ot chcesz, to np. Julki będą zaręczyny.

— A może ja nie chcę?—odrzekła zimno zabierając się do wyjścia.

— Ale ja chcę i kwita: co to znowu bunty, czy co?

— Nie bunty tylko powinnam wiedzieć jako żona i matka.

— Masz tobie, zaraz mi imość wyjeżdżasz z tą żoną! A czy skaranie boskie czy co z tą ciekawością babską: jak ci się uczepi, to trzyma rękami i nogami. Mój Wolicki powiédzno jéj o co to idzie, bo dalibóg ja sam nie wiem.

Na tę prośbę Wolicki szepnął kilka słów do ucha porucznikowéj, ta się zrazu roześmiała, lecz potém przemówiła poważnie:

— Spodziewam się, że pan nie zrobisz nic takiego, coby nam ubliżyć mogło?

— O nie, nie, bądź pani spokojna, to tylko prosty figiel, za który ja biorę całą odpowiedzialność.

— No, kiedy tak, to powiédzże mi mężu ile to osób prosisz?

— Ze czterdzieści—odrzekł zamyślony—ale wiész imość, ta niewiara mi się nie podoba. Jak on szepnął, to nic nie mówisz, a jak ja mówiłem, to się dąsasz.

— Bo mów po ludzku, nie tak: ja chcę, ja pan domu. Na grzeczności nikt nie traci, a zdaje mi się że i nazwisko męża od niéj nie uwalnia.

— Ot masz ją, jaka mi elegantka! Cóż to imość chcesz, żebym jak fircyk jaki nadskakiwał ci jeszcze i całował po rękach mosanie: a moja droga, a moje życie, a mój gołąbku, a zrób, a bądź tak łaskawą...

— Tak, tak—powtarzała uśmiechnięta poruszając twierdząco głową.

— Nic z tego moja imość; wyperswaduj sobie, żeś już mosanie stara baba, a ja nie ten podporucznik z trzeciego pułku ułanów. Szukaj babka latka...

— No, no przestańno z temi żartami, przestań!

— A będzie wszystko dobrze?

— Zdaje mi się że nigdy jeszcze źle nie było.

— Ale bo ty zaraz w dąsy: widzisz Zosiu, to nie ma o co:. no nie gniewajno się nie, a ja za to walca z tobą wywinę, ale jakiego!

— Obejdzie się, obejdzie—mówiła wychodząc.

— Gadaj mi tam obejdzie, jeszczebyś mię w obie ręce ucałowała, żebym cię wziął: ale nic z tego nie będzie: znajdę ja sobie młodsze od ciebie!—dokończył zamykając drzwi za wychodzącą.

W dwie godziny już rozesłano listy. Wolicki odjechał, przyrzekając solennie stawić się wieczorem w niedzielę; na odjezdnem jeszcze za bramą dziedzińca, coś szeroko i głęboko rozprawiał z inżynierem, a porucznik chociaż widział to wszystko i nie mógł się dorozumieć wątku intrygi, wszelako nad podziw zachował krew zimną i bawił jak nigdy swych gości.

IX.

Ledwo że summa się ukończyła w klasztorze OO. Reformatów, gdy niespokojny pan marszałkowicz pukał do celi Wolickiego, prosząc o pozwolenie wejścia.

— Zaraz, zaraz—dał się słyszeć głos majora, a potém jakiś szelest papieru, potém zasunięcie szufladki: dopiéro drzwi się otworzyły i wszedł znajomy nam pan Antoni.

— Co ci to jest?—krzyknął niby zadziwiony major—takeś mi zmizerniał?

— Eh! zdaje ci się chyba—odrzekł spoglądając znienacka w zwierciadło i głaszcząc faworyty—zdrów jestem jak nigdy. Tylko chciałem ci się zapytać, czy dawno byłeś u porucznika?

— Zdaje mi się że w piątek.

— No, i jakże tam: zdrowi wszyscy?

— O! zdrowi, zasyłają ci ukłony i dziwią się żeś o nich zapomniał.

— Dziękuję bardzo za pamięć—przemówił zadowolniony—ale widzisz miałem tyle zatrudnień: stawiam nowe stodoły, przytém mają gości z Warszawy...

— Eh! cóż to im przeszkadza, ot już jeden wyjechał.

— Kto taki?— zapytał ciekawie.

— Ten młody jakiś inżynier.

— Tak, hm! dobrze zrobił. Proszę cię powiédz mi, czy go ty nie znałeś dawniéj?

— Nie, piérwszy raz go tam widziałem—odrzekł niby obojętnie Wolicki—ale cóż on ciebie tak obchodzi?

— Co mię ma obchodzić? tylko przyznam ci się, jego *fizys* ma w sobie coś tak odrażającego....

— Spodziewam się, że się go nie boisz; ty, co tak sławnie w Paryżu odbyłeś kilka pojedynków, co....

— No wiem, wiem; ależ nie idzie tu o bojaźń, tylko że mi się nie podobał, i uważałem jakoś, że...

— Brał się do Julki, co? Oj zazdrośniku, zazdrośniku! Ale bądź spokojny, już ty zagłęboko siedzisz w jéj serduszku, żeby cię miał ktoś wysadzić.

— I to wiem—wyrzekł od niechcenia skrzywiwszy nosem;—bagatela serce kobiety: mój Boże! cóżto łatwiéj zdobyć, jak tę bezbronną forteczkę?

— A i piękną, dodaj.

— Chyba biédną, chciałeś powiedzieć.

— No, no, nie żartujno panie Antoni; wiemy o tém, że ty nie gonisz za bogactwami... Co tam że biédna, ale ładna i uczciwa; tylko trzeba kończyć.

— Jabym téż chciał, widzisz, ale nie wiem kiedy?

— Ot najlepiéj będzie dzisiaj: porucznik zaprosił kilka osób z sąsiedztwa *in gratiam* przybycia swego przyjaciela z Warszawy, i ja będę, i ciebie się spodziewają; ot o szóstéj przyjadę do ciebie, bo mam nawet interes w tamte strony odwieźć beczki z kapusty do Granicznéj, o które się upominają.

— Więc ty na beczkach pojedziesz?—zapytał ironicznie pan Antoni.

— Nie, ja pojadę bryczką, a fura z beczkami pojedzie za mną. Ci państwo byli tak łaskawi na klasztór, że przysłali kapusty; prosili o odesłanie beczek, więc wypadałoby komuś podziękować...

— A! chyba, to dobrze; ja czekam cię o szóstéj i skończymy interes, co?

— A skończymy— powtórzył Wolicki.

— Więc do widzenia miłego.

— Upadam do nóg!

* * *

Już blizko była siódma godzina po południu, pan Antoni zupełnie ubrany, aby nie miąć napróżno nowego fraka z prawdziwego francuzkiego kortu uszytego, zapalił cygaro także prawdziwe hawańskie, i chodząc wolnym krokiem wzdłuż i wszerz pokoju, zaglądał niekiedy do okna; czy tam nie widać nadjeżdżającego majora. W téj chwili i tak uroczyście przybrany pan marszałkowicz, wcale jeszcze nie źle wyglądał: świeża peruka z nieco szpakowatym włosem przylegała gładziutko do jego małéj główki; zmarszczki się jakoś wyrównały na twarzy, nawet lekki rumieniec czy spodziewanego szczęścia, czy téż więcéj pewnego różu, ożywiał tę maskę wiecznéj obojętności i zużycia. Siwe kiedyś oczki a teraz bez koloru prawie, świeciły radośnie; frak leżał doskonale rysując wyraźnie zgrabną figurę starca; znać, że artysta krawiec znał dobrze wszystkie ułomności grzesznego jego ciała, bo i piersi się znalazły i owo sztuczne wypełnienie pustych miejsc na plecach tak było natu-

ralném, jakby szanowny marszałkowicz dopiero 25 rok życia mógł liczyć. To też wyprostowawszy się ile możności, chodził z miną pełnego zadowolnienia: spoglądał w zwierciadła, poprawiał włosy peruki, pocierał białą i ubrylantowaną ręką wypogodzone czoło; a różowe myśli przyszłości jak czarowna ambrozya bogów, owiewała jego głowę i serce, sprawiając pewien rodzaj miłego chaosu i odurzenia.

No — mówił do siebie — nienajgorzéj wyglądasz panie Antoni! Jeszcześ nie tak bardzo stary, żeby cię kochać nie można; ot i siła jest i żywość jest—przebąkiwał uśmiechając się wesoło i dając nieco większe i szybsze kroki.—Jak bądź tak bądź, ale będziemy mieli żonę, panie Antoni, oh! będziemy. A ślub trzeba przyspieszyć, bo to może się wydać; ten młody człowiek mię niepokoił, tak nie mylę się, on sam; ale musiał mię nie poznać. Gdy zaś będzie po ślubie, no to i porucznik bronić mię musi; moja niesława jego będzie także niesławą. Dobry interes, słowo honoru daję, dobry—dokończył rzucając resztkę cygara i zacierając ręce. A! chwała Bogu że i Wolicki jedzie!— zawołał spojrzawszy w okno i wybiegając na ganek.

— A! przepraszam za niesłowność, przepraszam cię bardzo: ot beczek nie mogli wynaleźć, ale to nic, będziemy na czas— przemówił nasz major już po cywilnemu przebrany w zwyczajnym granatowym fraku i łokciowych żabotach u gorsu.

— No, proszę do pokoju, może co pozwolisz: jaką przekąskę, ale malutką z góry ostrzegam, bo mi się spieszy bardzo, i konie już zaprzągnięte.

— Jeżeliś tak łaskaw, to wiész, herbatybym się napił; czuję, że mi niedobrze, a tam jedzenia będzie po uszy: porucznikowa na wieki wieków zagniewałaby się na mnie, gdybym wszystkiego choć nie pokosztował. Więc każ nastawić samowar—herbata wytrawi.

Zawołano służącego, dano mu stosowne rozkazy; koni Wolicki nie kazał wyprzęgać, tylko furman, który wiózł dwie ogromne beczki z kapusty, wydostał obrok i odprowadziwszy same konie w drugi kąt dziedzińca, rozpoczął w najlepsze swój popas.

— W pół godziny dano herbatę, pan major był w najlepszym humorze: żartował, śmieszył, chwalił, prześladował biédnego gospodarza, a pił tak powoli, że ósma wybiła, a oni jeszcze ani myśleli wyjeżdżać.

— Mój majorze, zlituj się kończ, bo to już mroczy się i późno zajedziemy.

— Eh! bagatelka półtory mili, będziemy na czas —odrzekł filuternie nalewając sobie już trzecią szklankę. Widzisz, lepiéj tak późno, to w dobrym tonie; zresztą wszyscy już będą, a my zajedziemy sobie siarczystą czwórką, szumnie; tylko każ palić z bicza co siły.

— To wiész co, niech z twoją bryczką jedzie naprzód, a my pojedziemy razem.

— Zgoda.

— Hej! Paweł! Paweł!—krzyknął pan Antoni. Służący się ukazał w progu.

— Idźno i powiédz furmanowi tego pana....

— Niepotrzeba!,—przerwał Wolicki—ja sam pójdę, a ty ot, każ mu przynieść lepiéj jaką butelczynę starego węgra: co?

— To już późno.

— Co tam późno! palniemy sobie na *kuraż*. My wojskowi, to bez tego ani rusz: a że i ty wchodzisz do naszéj ligi, więc ciągnij bratku.

— No, to dobrze; ruszaj Paweł do piwnicy i tego weź jednę, co w samym kącie stoi, bez litery.

Gdy sługa się oddalił, Wolicki powstał zbliżając się ku drzwiom na ganek wiodącym, a wtém odzywa się zdaleka trąbką pocztarska.

— Co to? zapytał pan Antoni.

— Widać extra-poczta!

— Zkądżeby w téj stronie?

— Bo ja wiem: pewno kto ze znajomych jedzie do porucznika i wstępuje do ciebie—odrzekł najobojętniéj w świecie. Ale, ale, masz téż pierścionki?

— Ach! prawda, byłbym zapomniał: zaraz wyszukam.— I pobiegł do drugiego pokoju, gdy Wolicki wyszedłszy przed ganek, kazał służącemu jechać, a furmanowi szepnął parę słów do ucha.

— No, w twoje ręce, nie mamy czasu—przemówił Wolicki wróciwszy do pokoju i wychylając duży kieliszek wina.—Jeszcze drugi—mówił nalewając znowu—dobre wino nie zaszkodzi; no pijże prędzéj.

Wtém trąbka odezwała się tuż podedworem, marszałkowicz zadrżał, a Wolicki śmiejąc się najserdeczniéj wpakował

mu trzeci kieliszek nagląc, by się spieszył, bo kto nadjedzie i muszą się z nim dzielić.

— Eh! do diabła, to ktoś nieznajomy!— zawołał przylepiając twarz do szyby, aby ukryć gwałtowny śmiech swój.—Nie może trafić do drzwi: panie Antoni, każno poświecić!

Lokaj skoczył ze świecą do sieni, i za chwilę wprowadził już nie piérwszéj młodości mężczyznę w urzędowym mundurze.

— Czy tu pan Antoni Kozłowicz mieszka?—zapytał tenże kłaniając się lekko obydwom.

— Tu, albo co?—odrzekł niedbale major, widząc że pan gospodarz zapomniał języka.

— Czy ten sam co się przeniósł z Podola, gdzie miał dziedziczne dobra Skrzypiec?

— Tak jest: ale cóż pan chcesz od niego?

— Mam rozkaz zawieźć go natychmiast do powiatu— wyrzekł obojętnie wydobywając jakiś papier z bocznéj kieszeni. Chciéj pan zaprowadzić mię do niego.

— Mój drogi! mój przyjacielu—szepnął drżący pan Antoni, szarpnąwszy za frak Wolickiego—bój się Boga broń mię!

— Ja nim jestem mój panie!—wyrzekł poważnie Wolicki podnosząc się z krzesła.—Proszę mi pokazać rozkaz.

Urzędnik podał, Wolicki czytał z największém zajęciem, ale zarazem i krwią zimną.

— Tak—wyrzekł obracając się do pana Antoniego— ma ten pan racyą: istotnie wzywają do jakiegoś tłumaczenia o pobicie mię przez dawnego poddanego. Ależ proszę pana ja nie mam z tego tytułu żadnéj pretensyi: skoro mię wybili, to moja szkoda.

— Daruj pan, ja nic nie wiem jak było, co było: kazano, wypełniam rozkaz.

— Ale bo widzisz pan... no niechże pan siada; może czém służyć: wódeczką, herbatą czy winem? rozkazuj pan.

— Dziękuję bardzo, mnie nic nie wolno przyjmować; dziękuję....

— Ale bo to, czyby nie można jutro tego dopełnić; ja mam dzisiaj być na wieczorze....

— Ha! ha! ha! jakiś pan zabawny!—odrzekł śmiejąc się urzędnik— ja mam czekać?

— A gdybym ja nie pojechał?

— No, to są ludzie przy bramie, którzy wsadzą pana na bryczkę; a gdy wypadnie potrzeba, to i przytrzymają.....

— Tam do diabła!—krzyknął skrobiąc się w głowę Wolicki.—Kiedy tak, to zatrzymajże się pan trochę, ja się wybiorę.—A do stojącego obok marszałkowicza szepnął:—bierz płaszcz i zmykaj, moja furmanka pewno daleko nie ujechała, więc goń. Prawda panie—mówił zwracając się do urzędnika—że masz rozkaz żywego mię dostawić?

— Tak—odrzekł śmiejąc się nieco.

— Więc jeżeli chcesz ten obowiązek wiernie wypełnić, to pozwól mi zjeść kolacyą; a i sam może będziesz łaskaw dopomódz, gdyż w przeciwnym razie umrę ci z głodu na drodze.

— Jeżeli niedługo....—wyrzekł zagadnięty—to dobrze.

— A może i koniom obroku? bo to parę mil do miasta i droga nietęga.

— Można—odpowiedział lakonicznie i zasiadł przy stole.

Tymczasem pan Antoni drżący i bezprzytomny, porwawszy płaszcz z drugiego pokoju, tak bez kapelusza wybiegł drugiemi drzwiami na podwórze, i dalejże ku bramie.

— Kto tu?—krzyknął stojący wieśniak zastępując mu drogę.

— Ja, no, puść mię człowieku.

— Nie wolno—wyrzekł zwracając go niezbyt grzecznie.

— Ależ to ja dziedzic; ot masz tu na piwo—szepnął wciskając mu w rękę dwuzłotówkę.

— Idźże sobie do milionset tysięcy!... skoro nie wolno, to nie puszczę!—krzyknął jakimś znajomym głosem pilnujący. I gdyby pan Antoni nie wypił kilku kieliszków wina, i niedrżał ze strachu, to możeby go i poznał. Lecz on widząc niepodobieństwo ucieczki, prawie zrozpaczony przybiegł napowrót do pokoju, a mignąwszy na Wolickiego, z płaczem mu szepnął: —Bój się ran boskich, ratuj! stróż stoi przy bramie i nie puszcza.

— Oh! do diabła, głupi interes.... co tu począć. Ale wiész co, nie ma innego tu wyjścia?

— Nie ma.

— To biegnij do kuchni, włóż kobiéce suknie i probuj wyjść; może kobiétę puszczą....

Pan Antoni skoczył, nadzieja zaświtała, przytém strach dodał mu siły; krzyknął na lokaja w kuchni, i w minutę już przywdziewał gwałtownie spódnicę, a gorset na frak; zawiązał

głowę chustką i dalejże do bramy. Ale i tą razą wybieg się nie udał: stróż jeszcze niegrzeczniéj się obszedł, bo poznał go odrazu i zastraszył, że doniesie prezydentowi do dworu, że pan chce uciec, a wtedy może i związą delikwenta.

Marszałkowicz tedy znowu wraca do sąsiedniego pokoju, staje zdaleka, mruga na Wolickiego; lecz ten częstując urzędnika, ani widzi tych znaków, tylko zapija w najlepsze.

— A zdejmże pan płaszcz, przecież u diabła teraz zmarznąć nie można—woła rozochocony major powstając z krzesła.

— Ale dziękuję panu i przepraszam: ja już tak przywykły, a zresztą niedługo pojedziemy.

Pan Antoni patrzy się na to: mruga, bojąc się nawet krząknąć, i gdyby popatrzył dobrze, toby dostrzegł, że pod płaszczem ów urzędnik ma frak cywilny, lampas czapki tylko czerwoną kitajką obciągnięty, a faworyty widocznie przyprawne, bo ciągle je przyciska do twarzy, żeby tak widocznie nie odstawały.

— Panie! panie!—odważył się szepnąć Antoni.

— A co to? jakaś kobiéta, czego ty chcesz?

— Prosę jegomości, mam prośbę — wyrzekł płaczliwie nasz marszałkowicz udając głos kobiéty.

— Zaraz: pozwolisz pan na chwilę?—zapytał Wolicki obcierając twarz chustką dla ukrycia gwałtownego śmiechu.

Urzędnik tylko skinął ręką, nachylając się również pod stół, i zaczął chrząkać głośniéj nie mogąc się powstrzymać.

— No, a cóż, jeszcze tu? uciekajże do diabła, bo ja już dłużéj wytrzymać nie mogę; on się dorozumiewa że to nie ja, ma rysopis twój, koniecznie chce sprawdzić.

— Ale jakże uciekać — przerwał z płaczem, kiedy nie puszcza?

— Jakto i kobiéty?

— I kobiéty.

— No, to się schowaj gdzie pod strych?

— To oni znajdą.

— Może do piwnicy.

— Jeszcze gorzéj: tam woda stoi.

— Ot do stu diabłów kiepsko! Co tu robić? i ja już dalipan głupieję— wyrzekł zafrasowany Wolicki.

— Mój drogi, jakeś mój przyjaciel, ratuj na miłość Boską, ratuj! — błagał składając ręce marszałkowicz — ja tego nie przeżyję...

— No, ale cóż ja ci zrobię?

— Pomyśl, pomyśl, ja ci już dam co zechcesz: człowieku miéj litość w sercu!

— Ależ fe! cóż ty chcesz? nie płacz znowu.

— Nie, nie, mój drogi! ale pomyśl: tyś wojskowy, wam na konceptach nie zbywa, ja umrę jak mię on weźmię, jak Pana Boga kocham tak umrę.

— Eee! ciężka sprawa: coby tu, coby tu... tak źle, tak niedobrze—mówił pukając w czoło i trąc czuprynę.—Ot wiesz, chyba wleź do beczki....

— Panie gospodarzu proszę!—zawołał urzędnik—coś tam zadługo te narady; czas jechać i chciałbym zaraz sprawdzić rysopis.

— Zaraz służę: no, wléź w beczkę; nie ma rady!

— W jaką? gdzie, mówże!—szeptał trzymając go za poły nasz bohater.

— Ot, w tę z kapusty, co stoi przed gankiem; biegnij tamtemi drzwiami, ja się tu wymknę to cię wsadzę. No nie ma co dumać, posiedzisz trochę, jak wyjedziemy, to i wyjdziesz.

— Ale jakże ja tam... to czuć kapustą?

— Co tam, wybieraj wóz albo przewóz! No spiesz się, bo słyszysz, woła.... beczki dobrze wymyte.

— Ja nie trafię, jak mię kochasz pójdź ze mną.

Cichaczem tedy sunęli się na dziedziniec; wóz stał z beczkami tuż pod oknem, konie się pasły zdaleka, a przy nich spoczywał woźnica. Sprytny Wolisio, uchyliwszy delikatnie wieko beczki, wpakował doń drżącego ze strachu marszałkowicza w kobiécy strój jeszcze przybranego, i zakładając szybko kliniki toż wieko przytrzymujące, szeptał: „bądź spokojny, siedź cicho, ja cię niedługo uwolnię. A nie kaślnij téż, bój się ran boskich, boby cała sprawa w łeb wzięła!

Niebardzo to i wygodnie było w owéj kapuścianéj beczce naszemu paniczowi, lecz trudna rada: strach wielkie ma oczy, a potrzeba najtwardszy orzech do zgryzienia; więc ułożywszy się w nowéj siedzibie jak można najdogodniéj, nie rozpaczał, nie narzekał, ani rozmyślał nawet o obecném położeniu; tylko przyłożywszy ucho do wyrzniętego z boku otworu, słuchał z całém wytężeniem, coto daléj będzie. Lecz mimo takiéj usilności i dobrego słuchu, tylko urywane słowa, a czasem i głośne śmiechy dolatywały niefortunnego więźnia. Od czasu do cza-

su pies zaszczekał we wsi, konie parsknęły bijąc kopytami o ziemię, a paw' siedzący na poblizkiéj szopie zawrzeszczał po swojemu, zwiastując niedaleką słotę.

Tymczasem furman pana dziedzica zaprzągnąwszy czwórkę do nowego koczyka, ubrawszy się w błyszczącą liberyą i zamaszyście rękawem ocierając usta dopiéro co po spożytéj kolacyi, zajechał z hukiem i trzaskiem przed ganek. Usłyszawszy to woźnica z klasztoru, i sądząc, że czas wyjeżdżać, porwał się z leżenia, i zaczął szybko zakładać konie do wozu, kłócąc się z niemi i przeklinając podług zwyczaju wiejskich furmanów. Kiedy już ukończył to wszystko, zbliżył się do furmana dworskiego pytając ciekawie:

— A rychłota pojedziewa?

— Bo ja wiem?—odrzekł wąsaty dworak nie spojrzawszy nawet w stronę kolegi.

— O o o.. dokądże ja tam będę czekał! Wam we cztery to lekko pójdzie, a moje koniska choć to klasztorne, ale takie hebety że pożal się Boże!

— To jedźta kaj wam pilno—bąknął niechętnie forszman.

— Ale widzita' nas pan kazał czekać, i czybyto nie można iść do niego...

— Nie można, bo kto wié czy i ja pojadę: jest tam jakiś urzędnik z powiatu, a Paweł mi gadał, że pono chce *hareśtować* naszego dziedzica.

— A za co?—spytał ciekawie klasztorny.

— Bóg ich ta wié za co: targują się-ta, kłócą, tego urzędnika poją...

— Kiedy tak, to ja pojadę, ino powiedźcie naszemu panu, żem ja się nie mógł doczekać, a konie się wystały...

— Dobrze, dobrze, my was dogonimy.

Przez cały czas téj rozmowy, pan Antoni aż potniał ze strachu tamując oddech, żeby się nie zdradził; i gdy furman ruszył, choć trząsł beczką niemiłosiernie, choć w niéj huczało jakby w małém piekle, on najdelikatniéj przekładał pod głowę ręka po ręce, poprawiał się cichutko, i szepcąc „*pod Twoję obronę*" jechał nieco już pewniejszy.

Tymczasem w domu porucznika, gości jak nabił pełniuteńko po wszystkich pokojach. Co tylko żyło w okolicy, pospieszało na ten dzień do niego: raz z życzliwości, jaką się cie-

szył stary i poczciwy nasz wojak, powtóre z ciekawości, co mogło spowodować tak nadzwyczajną uroczystość, gdyż do imienin jeszcze kilka miesięcy czekać było potrzeba. Młodzież zabierała się już do tańca, część starych zasiadła do kart w sypialni, druga na czele pana Tomasza gawędziła dość hałaśliwie w piérwszym pokoju, bo stary emeryt wystroiwszy się w nowy frak mundurowy, z przypiętą sprzączką na boku, jakoś prędko zaznajomił się z przyjaciołmi porucznika; i popijając co chwila, rozpowiadał o wielkich zdarzeniach warszawskich tak biurowych, jako też i politycznych. Właśnie w téj chwili podeszłego wieku kobieta, snać żona jednego z sąsiednich dzierżawców zbliżyła się doń nieśmiało pytając skwapliwie:

— Czy to prawda, panie dobrodzieju, że tam w jakimś szpitalu w Warszawie, brat z umarłego brata chciał zdjąć śmiertelną koszulę?

— Piérwszy raz o tém słyszę pani dobrodziejko moja— odrzekł nieco zadziwiony emeryt, zrywając się z krzesła z pewną galanteryą.

— Ach! prawda, prawda—dorzucił tłusty z zadartym noskiem małżonek.—Pan nam najlepiéj o tém powié: bo to trzeba panu dobrodziejowi mojemu wiedzieć—mówił daléj machając mu rękoma przed nosem, i odpychając żonę za siebie—przyjąłem tu karbowego na św. Jan, który służył gdzieś koło Warszawy, i ten huncwot, panie mój kochany, niestworzone rzeczy wygaduje o tém, a Jadwisia trzeba także wiedzieć z przeproszeniem, boi się tedy strasznie, i po nocach tedy świecić każe w pokoju...

— Nie tak proszę pana!—zawołała znów imość wsuwając się naprzód, a męża popychając za siebie—to nie ja, widzi pan, ale on sam, tak się boi: ot, i wczoraj Jacuś jak krzyknie hu! a mój Józef—*dlaboga!* Bo to proszę pana, mówią, że niedawno się stało, i że ten umarły jak chwycił za rękę owego brata, to słyszę nie można było oderwać.

— A tak, tak, przyrosła—dorzucił mężulko oglądając się ze strachu na wszystkie strony.

— I jak doktorzy chcieli piłować tego umarłego rękę, to słyszę, panie, żywy w niebo głosy krzyczał....

— No, i jakże się skończyło?—zagadnął poczthalter.

— Jak się wyspowiadał, ksiądz pokropił, pobłogosławił—rozpowiadała daléj owa imość—to i sama się ręka odjęła.

— Dziwne rzeczy! — wtrącił poczthalter spoglądając na stojące butelki z winem.

— Aha! to ja sobie coś przypominam, mości dobrodzieju— wyrzekł uśmiechnięty emeryt—że przed kilkoma laty rozeszła się pogłoska po Warszawie...

— Ale kiedy to, widzi pan, przed świętym Janem się stało; ja się umyślnie wypytywała.

— Nie wtrącajno się tutaj do nas moja Jadwisiu, ot do kobiét sobie lepiéj.....

— Cóż to znowu! idź sobie sam; ja taka dobra jak i ty— fuknęła obrażona, a potém zwracając się do emeryta, spytała:— No i cóż to było?

— Bajką jak wszystkie temu podobne wieści.

— Ale nie, to prawda, ja wierzę; bo przecie i u nas jak umarł nieboszczyk kasztelan Siwicki, to proszę pana taka była zawierucha, tak pioruny biły, deszcz lał, że aż strach; świece gasiło...

— No idźże imość, jeszcze sobie głowę strachami nabije, i w nocy znowu świece pal, a tu łój, panie mój, drogi.

— Zdrowie naszego zacnego pana Rygorskiego!—krzyknął z całego gardła poczthalter odsuwając krzesła.

— Niech nam żyje, wino pije!

— Zdrowie!!! — powtórzyli zgromadzeni, i wychylając duszkiem całowali na wszystkie boki emeryta, który dziękując o mało że nie pocałował nawzajem ciekawéj dzierżawczyni, uciekającéj z krzykiem do pokoju bawialnego.

— Hej! ktoś zajeżdża!—zawołał przebiegając porucznik— może Wolicki?

— Zdrowie Wolickiego naszego poczciwego majora!—zaintonował poczthalter już nalawszy kieliszki. Lecz zbił go z tropu porucznik wróciwszy z oświadczeniem, że to beczki klasztorne przywieźli.

— Co się z nim dzieje? — szeptał sobie zakłopotany komendant—już blizko dziesiąta a jego nie ma....

— Bądź pan spokojny—odezwał się na to młody inżynier.

— A zkąd pan wiész, mosanie?

— Już ja wiem z pewnością, i marszałkowicz będzie; tylko jeszcze prosimy o wino.

— Zaraz, zaraz—powiedział zafrasowany gospodarz i wybiegł do kuchni.

Wrzawa i hałas pijącéj gromadki wzrastały co chwila: zapalono cygara, zaczęto już i śpiewać przy rzęsistém towarzystwie całusów, gościom oczka się mgliły, nosy czerwieniały, a nogi wymawiały jakoś posłuszeństwo, bo pan prezydent słynny na całą okolicę z mocnéj głowy, już nie mógł przejść po jednéj desce.

W pokoju bawialnym młodzież również nie siedziała bezczynnie: gorąco było duszące, otwarto okna, panny przechadzały się trzymając pod ręce, kawalerya prześladowała ich nieustannie, a ztąd wyradzały się panieńskie klapsiki po rękach natrętników. Juliusz nawet się rozruchał, chustki nie trzymał przy oczach, gdyż Bogiem a prawdą pomiedzy krakowskiemi rumianemi twarzami, wyglądał wcale jeszcze interesująco.

Porucznikowa z Julką uwijały się na wszystkie strony: trzeba było myśléć o kolacyi, a tu jak na złość mężczyzni zasiedli w piérwszym pokoju, i ani sposób proponować im jakie bądź ustąpienie. Dzięki szczeremu dozorowi poczthaltera, koléj za koleją szły daleko porządniéj niż na drodze żelaznéj; głos ginął w tysiącznych wykrzykach serdecznych uczuć bawiącego się kółka, więc zakłopotana gospodyni, nie mogąc się dopytać i doprosić, skinęła na inżyniera mówiąc:

— Ulituj się téż pan nademną, i pomóż.

— Słucham: co pani rozkaże?

— Chciałabym kazać nakrywać do kolacyi w tym pokoju, a tu ci panowie ani myślą wychodzić.

— Bo nie mogą?—odrzekł śmiejąc się inżynier.

— To cóż ja tu zrobię, w tamtym pokoju jeszcze ciaśniéj będzie.

— Hej! panowie!—zawołał odwracając się do gości Stanisław—pani gospodyni prosi, żebyśmy się ztąd przenieśli gdzie indziéj, bo tu będzie kolacya!

— A! kolacya!—krzyknął poczthalter obcierając usta.

— Co, kolacya? — zapytał tuczający się burmistrz — dawaj ją tu!

— Ależ trzeba wyjść, bo jakże nakryją.

— Trzeba wyjść—powtórzył ów ciekawy dzierżawca.

— No, to wyjdźmy—dodał pan Tomasz, a wszyscy siedzieli jak przykuci nie mogąc się ruszyć z miejsca

— Ha! widzisz Zosiu, mosanie, jak ich spoiłem! — mówił uszczęśliwiony porucznik zwracając się do żony—choć głowę utnij nie pójdą.

— A gdzież ja nakryję? potrzebne to było tak wcześnie.

— Najlepiéj moja imość z kopyta!— zawołał z rozkosznym umizgiem komendant.— Tak imość, jak bele, jak bele spoiłem.

— Nie ma rady—wtrącił inżynier—tylko niech pani każe nakryć przed domem. Noc prześliczna, zaręczam wszyscy się zgodzą, a ci się nawet przetrzeźwią, bo tu taki zaduch z wina, tytuniu....

— Kiedy ja nie mam stołów takich, i nie wiem czy kobiéty się zgodzą; można się zaziębić.

— Ale gdzie! wszak i teraz okna otwarte; zresztą ja to biorę na siebie. Niech pani będzie spokojna: tylko gdzie są blaty lub deski jakie, my to sami urządzimy.

I nie czekając przyzwolenia, pobiegł do sali, szepnął parę słów Juliuszowi, ten poprosił trzech jeszcze młodych ludzi, potém wszyscy wysunęli się na podwórze, i dalejże do roboty. Ale że stołów nie było tyle, więc do szukania desek: ta długa, ta krótka, ta prawie, ale znów nie ma na czém oprzeć. Młodzież biega po różnych kątach, znosi, probuje, nie zważając wcale na strój balowy i na to, że panny śmiejąc się z nich dogadują przez okna.

— Co to za beczki?—spytał inżynier przyskakując do fury.

— To z klasztoru puste z kapusty, które odwozimy tu do jednego dworu.

— A czego ty tu stoisz człowieku z niemi?

— Bo pan Wolicki kazał cekać, póki nie przyjedzie.

— To dawaj je tu, na nich położymy deski; tylko czy mocne?

— O dębowe, prosę wiel: pana.

— Więc rzucili się młodzi robotnicy do fury, ten za jednę, ten za drugą, zepchnęli na ziemię; a biédny marszałkowicz słysząc to wszystko, i czując silne razy wraz z ruchem wirowym toczonego więzienia, ani pisnął, czekając zmiłowania bożego.

W minutę urządzono stoły: służący nakryli, dano półmiski, i całe towarzystwo z gwarem nie do opisania zasiadło do kolacyi. Ponieważ beczkę w któréj siedział marszałkowicz ustawiono z samego brzegu, więc porucznikowi z tytułu gospodarza, wypadło obok niéj miejsce. Wieczór był prześliczny, najmniejszej

chmurki na niebie; wiater ani dmuchnął, bo świece paliły się najspokojniéj. Tylko gwiazdy milionami ocz swoich patrzały na tę szczególniejszą ucztę, a liście gruszki, które ją osłaniały, łamiąc w tysiącznych kształtach odbite podwójne światło, przybierały fantastyczną zieloność, dziwne formując załamki.

Kolacya trwała z jaką godzinę, przy któréj i młodzież tą razą więcéj sobie pozwoliła spełniając tyloliczne zdrowia, zwłaszcza płci pięknéj. Porucznik choć podchmielony, wszelako niepokoił się o Wolickiego; ale jak to mówi stare przysłowie, że bywa *in vino veritas*, to téż powoli, powoli, rozwodząc się o swoich kłopotach zeszedł na marszałkowicza.

— A wiecie wy? co to za oszust, mosanie!—krzyknął uderzając pięścią w stół tak silnie, że biédny delikwent aż krzyknął w beczce ze strachu.

— Co, jak?—odezwało się kilka głosów nadstawiając ciekawie ucha.

— *Primo*—że nie marszałkowicz żaden!

— A ja mówiłem—przerwał ów dzierżawca—to panie hamska sztuka tedy.

— Tak, tak, musi być prawda, bo kiepskie miał wina!—bąknął poczthalter.

— A jaki hardy?—dodała któraś z kobiét.

— *Secundo* że biczownik!

— Jakto, co za biczownik?—powtórzyli chórem powstając z miejsca.

— Bo mosanie kazał się obić swemu służącemu, nie chcąc mu wynagrodzić krzywdy!

— Nie może być! to farsa!—zawołał burmistrz.

— O! jak Pana Boga kocham, słowo honoru daję—sumitował się porucznik czerwony z gniewu i oburzenia.

— *Tercio*, że mię okpił, kupując starą szlifę od mego żołnierza, a dając mi ją jako księcia Józefa.

— Którą, tę białą coś nam kapitan pokazywał?

— Tak, tę; tę—powtórzył smutnie.—Ale ja jemu zapłacę; ha! poczekaj ptaszku, niechno ja cię dostanę w moje ręce!

— A to truteń, a to oszust, a to niegodziwiec!—odzywały się zewsząd głosy oburzonych przyjaciół.—Więc co panie Jędrzeju, jedźmy do niego zaraz—krzyknął jakiś zawadiak—skroimy mu kurtę: co zgoda?

— Zgoda! powtórzyło kilku.

— Nie, nie, poczekajcie; ja sam tę sprawę załatwię.

— Tak, tak—powtórzył burmistrz, aby bez krwi rozlewu, bo ja z mego urzędu....

— Idź spać z urzędem! —wrzasnął poczthalter—jedźmy: ja dam bez pretensyi dwie, trzy, ile potrzeba extrapoczt!

— Oho! to już po kolacyi!—odezwał się za uchem porucznika Wolicki—takeście to czekali?

— Wolicki, major, reformat! zdrowie jego, zdrowie!—zawołali chórem—i nim miał czas przemówić nasz dowcipniś, już wpakowano mu kilka kielichów jeden po drugim.

— No, siadaj jédz!—mowił komendant robiąc mu miejsce. —A cóż ten konkurent?

— Zaraz powiem, tylko daj mi jeść przez Boga żywego; wiész nie ma gorszéj istoty nademnie wtedy, gdy mi się jeść chce.

— Nie chodźmy już do pokoju, tu nam dobrze—zaproponował inżynier, kiedy powstano od stołów.

— Ależ tu ciemno, świece pogasną?—odpowiedział młody obywatel.

— To zróbmy fajerwerk.

— A z czego?

— O! ze słomy, tak jak sobótki, na kijach—wtrącił trzeci.

— Eh! toć lepiéj z beczek—mówił żywo inżynier.

— Ciekawym jakim sposobem?

— O o o! wylać smołą?

— Prawda, prawda. Hej Bartek, Tomasz, Walenty!—krzyczała szlachta na swych furmanów—dajcie sam maźnice!

— Ale zkąd beczek?

— Może gospodyni ma stare—dodał inżynier i zbliżając się z błagalną miną do porucznikowéj.

— Dajcież mi święty pokój, moi panowie. Na co to, jeszcze może być wypadek.

— Tak, tak —dorzuciła burmistrzowa—sześć złotych kary policyjnéj, niechno mąż zobaczy.

— Ba! kiedy chrapi pod gruszką; daléj, palcie!—krzyczał ów dzierżawca.

— Ależ ja beczki nie mam!—tłumaczyła się porucznikowa, widząc że trudna sprawa z pijanemi.

— Są tu klasztorne.

— Co znowu klasztorne!—wtrącił Wolicki.

— Beczki z kapusty—krzyczał młody obywatel przeciskając się do niego.— Ot zrobimy fajerwerk; beczki nie ma, a te czyje co tu furman przywiózł?

— A czy on to tu przywiózł?—spytał zadziwiony Wolicki.

— Wszakże pan koło niéj siedzisz, bo stoły na nich oparte.

— Ależ to nie można, co znowu, jakie pomysły, idźcież wy sobie do sto par kaczek! Cóż to, klasztor na wasze waryacye będzie łożył?!

— Dobrodzieju, dwie ci przyślę daleko lepsze—wołał dzierżawca.

— A ja dziesięć, ile chcesz! No bracia lać smołę—zagaił obywatel.

I mimo protestacyi, odpychań i krzyków Wolickiego, zrzucono deski, i dalejże otworem lać smołę do beczki.

— Pardon! stójcie!—dał się słyszeć jakiś głos podziemny.

— Co to? gdzie — zapytali wszyscy odskakując na bok— kto tu jest?

— Ja—mówił głos z beczki—na miłość boską zaklinam was otwórzcie!

Całe grono biesiadników częścią strwożone, częścią zaciekawione, kobiéty starsze, panny, pijani i mniéj pijani otoczyli beczkę, a trzymając się jedni drugich, wysuwali naprzód swe głowy sposobiąc się w razie wypadku do odwrotu.

— Ależ odbijcie denko! bo mię smoła zaleje!—powtórzył już z płaczem głos z beczki.

— No, odbić!—krzyknął porucznik.—Co to za strachy mosanie? Choćby i djabeł sam siedział, to daléj go za kark. Dajcieno jakiego młotka!

Po kilku uderzeniach wypadły kliny, komendant zerwał gwałtownie wieko, a zobaczywszy wychylającą się głowę kobiéty polaną smołą, cofnął się szybko szepcąc: „wszelki duch Pana Boga chwali!"

— Ratujcie! na rany boskie, bo się zaleję smołą!—krzyczał ochrypłym głosem pan Antoni, probując wyskoczyć z beczki.

— Kto wasani jesteś?—pytał zdumiony porucznik zbliżając się powoli, gdy cała gromada potrwożonych kobiét drapnąwszy do pokoju, wychylały głowy z okien, spinając się po krzesłach, lub stawając po framugach.

— Ja nie kobiéta!—wyrzekł marszałkowicz napół wyglądając z beczki.

— To kto u diabła? gadaj, bo lejemy smołę: daléj—krzyknął zaiskrzony porucznik.

— Nie mogę powiedzieć teraz! Bójcie się Boga wydostańcie!—molestował daléj zmieniając głos uwięziony.

— Panie kapitanie, panie kapitanie!—szepnął inżynier ciągnąc go za rękę—zdaje mi się że to pan Kozłowicz.

— Kto?

— Ten marszałkowicz!

— Chybaś wasan sfiksował, a cóż onby tu robił?

— Niezawodnie on, poznaję po głosie—i przybiegłszy do beczki, choć z silnym zamachem, jednakże przewrócił takową dość lekko, a przygnębiony, zawstydzony i drżący ze strachu Kozłowicz, wygramolił się na ziemię.

— To pan marszałkowicz!—zawołał dzierżawca.

— Co pan Kozłowicz?—powtórzyły kobiéty.

— Co u Boga! prawda, on; patrzcie państwo—szepnął śmiejąc się porucznik.—To diabeł nie człowiek ten Wolicki. Hej! majorze, jesteś?

Ale majora nie było w kółku, tylko pan Antoni w stroju pół kobiécem, pół męzkim, bez peruki, oblany smołą, stał pośród nich spuszczając oczy ku ziemi.

— Eh! do milion okrętów furbeczek batalionów! — fuknął spluwając głośno porucznik—to zanadto mosanie! Pójdź pan ze mną, każę cię obmyć. Złośliwa sztuka, o! brzydko; fe! to zanadto, zanadto. No, proszę za sobą—mówił ciągnąc delikwenta za rękę.

— Dziękuję, nie pójdę!—szeptał opierając się pan Antoni—Panie poruczniku, jeżeli masz iskierkę litości w sobie, każ mię natychmiast odwieźć do domu, a przysięgam noga moja tu już nie postanie; jutro się oddalam z tych stron: ja wszystko wiem i słyszałem.

— Przepraszam cię bardzo, mój panie Antoni, słowo honoru ci daję, jak pragnę zbawienia, tak nic o tém nie wiedziałem. No, przebacz, nie miéj do mnie pretensyi, mosanie!

— Dobrze, dobrze—tylko koni, bo ja tu umrę.

Wtém jakby umyślnie rozległ się po dziedzińcu trzask bicza, i szumna czwórka pana Antoniego zajechała przed gruszkę.

Zobaczywszy swój ekwipaż, marszałkowicz skoczył na stopień, porwał leżący płaszcz w siedzeniu i nie zważając na to, że furman niby przez pomyłkę zaciął go parę razy batem po plecach, krzyknął na całe gardło: »jedź, co konie wyskoczą!"

Dopiéro też gdy powóz zniknął za bramą, a całe towarzystwo ochłonęło z piérwszego zadziwienia, powstał ogólny śmiech i ściskania Wolickiego. Podpita szlachta nosiła go na rękach, całowała, dziękowała bez końca. Tylko jeden porucznik nie dzielił ich serdecznéj radości, bo zachmurzywszy czoło, pociągał wąsa, machał rękoma i szarpnąwszy za frak Wolickiego, odprowadził na stronę mówiąc:

— Wiész co, panie majorze, głupi figiel, jak pana Boga kocham głupi, mosanie! Myślałem, że coś dowcipnego wynajdziesz, a to stare rzeczy i płaskie, to zanadto!

— Ależ bój się Boga, jam tego nie przewidział; to się samo zrobiło mimowoli...

— Gadaj mi tam, gadaj, bratku, nie w ciemię ja bity; ale koniec końcem przykro mi, że w moim domu, ten, tego...

— Bajdurzysz stary, aby bajdurzyć: com zrobił dobrzem zrobił i basta! To moja zemsta i za mnie; on mnie otumanił, jam się skompromitował, mało ci, to szukaj sobie innéj satysfakcyi. Nie bój się, jak on tu nam da nurka, to go już oko ludzkie nie dojrzy... Proszę cię za takie błazeństwa, za ową szlifę, to jeszcze lekka kara. Cóżto, my to znowu trutnie jakie czy co, żeby nas jak dzieci okpiwano?

Lecz porucznika nie potrafiła uspokoić taka perswazya: i jakkolwiek udawał późniéj wesołego, pił jak nigdy, wszelako znać było przymus i żal dręczący jego poczciwe serce. Nad ranem goście się rozjechali: cisza zwykła zaległa spokojne mieszkanie porucznika, pan Tomasz wybierał się do państwa Lińskich, a młody inżynier wysłuchawszy sążnistéj perory komendanta, że pomagał Wolickiemu w wczorajszéj rozprawie, odjechał na miejsce przeznaczenia, zapraszany najsolenniéj przez obojga gospodarstwo, żeby o nich nie zapominał.

* * *

A teraz pozostaje mi jeszcze wspomnieć o owéj miłości Juliusza i Helenki. Stary pojechał, przyjęto go grzecznie, nawet zanadto uprzejmie. Wieść o wypadku marszałkowicza już doszła uszu zazdrosnych państwa Lińskich, i chociaż cieszyli się

nią skrycie, wszelako porzucili zamiary, dla jakich wyjeżdżała sama pani kiedyś do Warszawy.

Pan Ludwik kontent z tyle gadającego usposobienia pana Tomasza, i sam nie szczędził rozlicznych opowiadań; a że obaj mieli ten zaszczyt liczyć się do rzędu ludzi powolnych, więc wkrótce pokochali się wzajemnie i projektowany związek najdroższych dzieci nie znalazł ze strony rodziców panny Heleny owych niebotycznych przeszkód, o których wspominała porucznikowa. Po trzech dniach pobytu w miasteczku wrócił uszczęśliwiony emeryt pożegnać się z komendantem. Przyszła synowa nadzwyczaj mu się podobała, bo rozpatrzywszy się bliżéj, odkrył w niéj wiele dobroci, łagodności, i najważniejszéj według niego w pożyciu małżeńskiém—rządności.

— Bo co to, panie dobrodzieju, za kożuszek bywał tam na kawie, to z przeproszeniem nigdzie tego nie obaczysz, wyjąwszy—mówił daléj w zamiarze nie obrażenia przytomnéj porucznikowéj—u godnéj i szanownéj pani dobrodziejki.

— Eh! dziękuję za komplement, dziękuję; ale i to mię cieszy, żeś się pan dał przekonać, i zapewnił szczęście dwojga drogich mu istot.

— Tak tak, bardzo pani dobrodziejce wdzięczny jestem: to będzie wyborna żona. Oho, to nie warszawskie dziecko, pani dobrodziejko; nie, nie, to jak moja nieboszka Urszulka, z prowincyi, mości dobrodzieju, z prowincyi. I sama sobie upierze, i uszyje, i dopilnuje w kuchni: bo to my niewielcy panowie, na sługi nie mamy funduszów.

— A jakże wyprawa? kiedyż ślub i gdzie?—wtrąciła ciekawie Julka.

— Przyjadą do Warszawy, tam się wszystko ułatwi; potém marsz koleją mości dobrodzieju do Częstochowy, i mój Julek ma żonę, a ja synowę.

— To ślicznie, bardzo panu winszuję: a nie zapominaj pan nam donieść jak tam wszystko się powiedzie, bom ja barlzo ciekawa.

— Dobrze, dobrze, tylko ja się tyle nie znam na tych materyiasach kobiécych; ot Helenka, mości dobrodzieju, wszystko wisze.

— Kiedy oni są zagniewani na nas.

— Nie, nie, broń Boże: właśnie opowiadali nam całe to zajście, i wié pani dobrodziejka, tak się stary dąsał, żem go musiał hamować, mości dobrodzieju.

— Jakto na nas?—wtrąciła żywo porucznikowa.

— Nie, broń Chryste Panie: na żonę swoję; i kazał mi oto powiedzieć, że oni tu wkrótce razem przyjadą, przeproszą uroczyście, a panny do panny Julii będą miały wielki interes.

— Jakiż, jakiż? powiedzże pan, proszę?

— Nic panno dobrodziejko, to sekret, o! wielki sekret!

— Ależ ja umrę do jutra z niecierpliwości.

— Mają panią prosić za druchnę—szepnął jéj do ucha Juliusz.

— At, papla, panie dobrodzieju! Fe, człowiek co się ma żenić, brzydko...

— Owszem bardzo dobrze, bardzo grzecznie...—mówiła zadowolniona Julka żegnając się z niemi.

— No, mój Tomaszku!—krzyknął porucznik ściskając go w objęciach—prędko się też zobaczymy?

— Może na tamtym świecie, drogi Jędrusiu—wyrzekł smutnie emeryt ocierając łzę z oka.

— A! prawda, nam to już i niedługo, mosanie, przyjdzie koścista pani: fiut za szyję, pojdź Kuba do wójta, pójdź!...

— Ależ da Bóg.

— Kto to wie.

— No, dajcież pokój tym prognostykom: na wiosnę, jeżeli Bóg nam pozwoli dożyć, to my tam z Julką przyjedziemy odwiedzić nowożeńców.

— Ta, ta, ta przyjedziemy—powtórzył naśladując głos żony porucznik—a zkąd pieniędzy?

— Nie bój się, może wygramy na loteryi—odrzekła śmiejąc się porucznikowa.

— Obiecanka cacanka, a temu to... radość. Bądź zdrów kolego, niech cię tam Bóg prowadzi, a pisz!—dokończył całując go już raz dziesiąty może.

Bryczka pomknęła żwawo, wszystko troje stali jeszcze przed domem póty, póki dojrzeć ją można było; a gdy gęsty tuman kurzawy powoli zaczął opadać, i nic prócz pól, lasu i nieba widać nie było: wrócili smutni do pokoju, jakby część ich dusz poczciwych odjechała wraz z sercami starych i dobrych przyjaciół.

No, to jak nateraz i koniec przygód komendanta, o odtąd życie jego przybrało charakter tak pospolity, wypadki następowały po sobie tyle zwyczajnym trybem wiejskiego zacisza,

że opis ich nie wzbudziłby zajęcia łaskawych moich czytelników. Marszałkowicz zniknął, wieś przez plenipotencyą sprzedano; Wolicki przywdział zakonną suknię, i dziś jest jednym z najprzykładniejszych braciszków zgromadzenia OO. Reformatów. Drażni się jeszcze kiedyniekiedy z porucznikiem, częstując tabaką, ale te kłótnie są umiarkowane, bo i porucznik modli się coraz goręcéj. Rany mu się odnawiają, więc skubiąc szarpie i paląc ulubioną fajeczkę, wzdycha i wzdycha: czy tęskniąc, czy żałując czego, trudno odgadnąć.

A panna Julia? zapytacie jeszcze. Panna Julia odpowiem wam szczerze, jest dotąd panną Julią. Zawsze wesoła, zawsze szczebiotliwa, choć zmizerniała trochę na twarzy i zeszczuplała, wszelako zdrowa jak rybka i zapewne szczęśliwa po rozchwianiu się dwóch małżeństw tyle niezgodnych z jéj sercem, a może i marzeniami. Młody inżynier bywa regularnie co niedziela, zostaje na obiedzie aż do późnego wieczora; razem chodzą do kościoła i po spacerach, bawią się dobrze, śmieją jeszcze lepiéj, ale czy z tego co będzie, trudno także odgadnąć. Bo to i panna Julia posagu nie ma, a młody urzędnik niewielką pensyjkę: więc może czekają, a może i nie. Bóg to jeden wiedzieć raczy.

Jednakże gdyby który z młodych czytelników, ujęty takim, acz niezbyt dokładnym opisem, uczuł w sobie pewien nieokreślony pociąg do naszéj bohaterki, i swoje idealne marzenia znalazł tu również idealnie urzeczywistnione; to chcąc poznać na jawie owę pannę porucznikownę, niech tylko popatrzy śmieléj wokoło siebie, niech przymknie oczy na drobne wady, a spojrzy całą mocą na wielkie przymioty, to znajdzie ich wiele, o! wiele na świecie: zwłaszcza téż w naszéj poczciwéj ziemi, gdzie dobre Julki jak kwiaty polne wschodzą skromniutko a wdzięcznie, i choć nie błyszczą, jednak umilają ciężki trud życia doczesnemu wędrowcowi.

USTĘP Z OPISU PIOTRKOWA.

PRZEZ

Władysława Wieczorkowskiego.

DOMINIKANIE.

Pusto było w Piotrkowie w połowie XIV wieku. Ponad domostwami młodego grodu górowała ledwo że jedna świątynia Pańska, a i ta nie marzyła jeszcze wówczas, że jéj progi przestąpią kiedyś królowie polscy, że przez jéj sklepienia przebijać się będzie modlitwa polskich i litewskich panów, żeby Bóg dobry szczęścił rzeczypospolitéj. Małe miasteczko ani śniło o tém, że za chwilę oddźwięknie o jego mury odgłos narad polskiego rycerstwa; małe miasteczko nie wiedziało, co za świetna karta zabłyśnie mu w dziejach krajowych. Ale Kazimiérz Wielki przewidział bystrém okiem, albo może przeczuł przyszłą dolę Piotrkowa: bo oto patrzmy; na jego skinienie co chwila wyrastają jakby z pod ziemi nowe budowle. Piotrków ozdobniejszą, a nawet wspanialszą przybiera postać; król opasuje go dokoła grubym murem obronnym, a pośród tego muru stawia zamek także obronny: więc Piotrków tém samém nabiera większego niż dotąd znaczenia. Niedość na tém: król Kazimiérz nowéj jeszcze miastu przyczynia ozdoby i buduje w niém klasztor i kościół dla księży Dominikanów, pod wezwaniem świętéj Doroty panny i męczenniczki. Bóg raczy wiedzieć, kiedy założony ten klasztor. Jedni mówią, że w r. 1340, inni, że w r. 1370; a jak tu wybierać, kiedy oba podania równéj są wiarogodności, bo jedno zapisał ksiądz

Dominikan Nowowiejski historyk swego zakonu; drugie ksiądz Siejkowski także Dominikan i autor dzieła podobnejże treści. Wprawdzie Dominikanie piotrkowscy mieli kiedyś w swych rękach starożytne pergaminy z pieczęciami królów, i strzegli zapewne swego skarbu jak oka w głowie; ale cóż, kiedy zaraz w XVI-m wieku pożar nawiedził klasztor i spłonęło wszystko z kretesem. Ze starych, może Kazimierzowskich dyplomatów, tylko popiół pozostał.

Ale nim nastąpił ten pożar, już wybiła szczęśliwa dla Piotrkowa godzina: został miejscem sejmów narodu. Więc wnet zagrało w jego obrębie niesłychane dotąd życie, a iskra tego życia przeniknęła w każdy kątek niegdyś milczącego grodu. Chcecie wiedzieć co wtedy znaczył kościół księży Dominikanów, to przenieście się chociaż na chwilę w czasy Kazimierza Jagiellończyka.

Oto właśnie początek wiosny roku Pańskiego 1488, cała natura się odradza, więc i w naród wiosenne wstępuje życie. Z pierwszym ciepłego wiatru powiewem spieszy on tłumnie na sejm do Piotrkowa, niby roślina, co potrzebowała tylko złotego słońca, aby ją ocuciło z zimowego letargu i przywróciło życie uśpione. To też gdzie spojrzysz, wszędzie szlachta i szlachta, wszędzie wielkopolscy i krakowscy panowie; daléj pasterze duchowni rzeczypospolitéj; ba! i sam król z licznym dworem zajął już mieszkanie na zamku. A ważne dla narodu sprawy mają się tentować na tym sejmie: Kazimierz Jagiellończyk ma potwierdzać stare swobody ziem wielkopolskich.

Przy boku królewskim bawi syn jego książę Fryderyk Jagiellończyk, dziewiętnastoletni rozpieszczony przez matkę młódzian, którego jeszcze przed wyjazdem do Piotrkowa polecił ojciec kapitule krakowskiéj, jako swego kandydata na biskupstwo osierocone przez śmierć Rzeszowskiego. Nadzieje Kazimierza uwieńczył pomyślny skutek, dzięki staraniom poczciwéj matki, pobożnéj królowy Elżbiéty, która pozostała w stolicy.

Zaraz w drugiéj połowie kwietnia nadciągnął do Piotrkowa świetny orszak kanoników katedry krakowskiéj, pod przewodem księdza Pawła z Główni, dziekana katedralnego, głosząc radosną wiadomość, jako książę Fryderyk jednomyślnie wybrany został biskupem krakowskim.

Skoro tylko wieść o elekcyi rozeszła się po mieście, rozkazał król Uryjelowi Górce, żeby dopełnił ceremonii poświęcenia Fryderyka na kapłaństwo w kościele księży Dominikanów. Czekał umyślnie ojciec na to poselstwo kapituły, bo chciał, żeby akt odbył się z wielką wystawnością; chciał, żeby Górka poświęcił już biskupa nominata.

Dnia 20 kwietnia napełniły kościół dominikański tłumy ludu, który zbiegł się widzieć niewidziane dotąd w Polsce obrzędy; bo pierwszyto raz jak przodkowie nasi przyjęli wiarę chrześciańską, miał zostać biskupem stolicy na Wawelu młodzian niedojrzały. Kościół zajaśniał tysiącem świateł, i tysiącem świetnych szat panów polskich. A zaraz nazajutrz po téj uroczystości odprawionéj w kościele Dominikańskim, 19-letni książę Fryderyk Jagiellończyk został ogłoszony rzeczywistym biskupem rozległéj dyecezyi, która trzy najpiękniejsze województwa dawnéj Polski: krakowskie, sandomierskie i lubelskie obejmowała swém pasterskiém ramieniem; miał zostać bogatym udzielnym księciem siewierskiém, i do tego kanclerzem akademii krakowskiéj (1).

Takato uroczystość święciła się przed ołtarzami kościoła Dominikańskiego w Piotrkowie, a był on zapewne widownią niejednego jeszcze równie świetnego, i równie ważnego obrzędu, jak owo przyjęcie pierwszych święceń kapłańskich przez młodocianego królewicza w r. 1488. Toć przecie sejmy piotrkowskie stami liczyć można, a to pewna, że żaden taki zjazd nie obszedł się bez wystawnych, gwarnych a ludnych uroczystości. Tylko że echo o nich już dawno przebrzmiało, a kilka wieków przygniotło wyrywające się o nich wspomnienie. Pozostało podanie, ależ z podaniem jak z ogniem powinien się obchodzić historyk, bo ono nieraz nic nie nauczy i jeszcze na manowce wywiedzie. Tak naprzykład imię ruchliwéj Włoszki królowéj Bony dziwnie jakoś przylgnęło do wspomnienia o kościele księży Dominikanów; ale co znaczy to imię małżonki starego Zygmunta, przykute do murów Kazimierzowskiego klasztoru?—jestto już dzisiaj niewyjaśnioną zagadką (2).

(1) Podług dzieła Juliana Bartoszewicza: *Królewicze biskupi.*

(2) W dziele F. Nowowiejskiego (*Phoenix decoris et ornamenti provinciae pol. S. Ordinis praedicatorum.....* wydaném w Pozna-

Już wiemy, że pierwotne przywileje naszego klasztoru pożarł ogień ze szczętem. Zdarzyło się to mniej więcéj przed rokiem 1531. Ognista powódź rozlała się wtedy ponad znaczną częścią miasta, i nie sam tylko klasztor Dominikański zaświecił zgliszczami pożaru: popiół i gruzy zaległy bodaj połowę Piotrkowa, a w płomieniu przepadł dobytek niejednego z mieszkańców. Król Zygmunt starał się ulżyć nieszczęściu sejmowego grodu, i zmniejszył mieszczanom niektóre opłaty (1). Księża Dominikanie piotrkowscy jeszcze pierwéj dostąpili łaski królewskiéj.

Na sejmie w Piotrkowie roku 1531, ksiądz Maryan przeor, przedstawił królowi jako w ostatnim pożarze Piotrkowa spłonął przywiléj nadający klasztorowi młyn i łąki. Zygmunt wysłuchawszy wprzód świadectw poważnych ludzi i zeznań samychże księży Dominikanów, wydał klasztorowi nowy przywiléj (2). Młyn o którym tu mowa leżał pomiędzy Świerczowem, a owym historycznym Bugajem, gdzie był letni dworzec, z którego wyruszały myśliwskie wyprawy w gęste sąsiednie lasy.

Tymże przywilejem zyskiwali księża Dominikanie niezaprzeczone prawo własności na innym krańcu Piotrkowa, bo aż na przedmieściu Bykowskiém. Dyplomat przyznawał im w téj stronie dwóch zagrodników i ogród po drugiéj stronie *Strawy* leżący, która w dyplomacie szumnym nazwiskiem *rzeki* jest tytułowana. Nadto ogród z dwoma zagrodnikami między folwarkami rokszyckiemi leżący.

niu 1752 r.) imię królowéj Bony jest zanotowane przy opisie klasztoru piotrkowskiego. Ale Nowowiejski sam nie wiedział co z niém zrobić, i popełnił fatalny błąd w chronologii (str. 237). Co szczególniejsza, wpadł nam pod rękę egzemplarz Nowowiejskiego, który był kiedyś własnością księży Dominikanów w Piotrkowie. Na egzemplarzu tym zrobiono przypisek że „królowa Bona dawała konwentowi Pabianice, ale konwent chcąc żyć w ubóstwie nie przyjął: dlatego dała je katedrze krakowskiéj.“ Mamy więc i drugie napomknienie o królowéj Bonie, szkoda że także błędne. Sam autor przypisku własną ręką go przekreślił i słusznie; bo Pabianice, dawniéj Chropy były stolicą kasztelanii, którą Władysław Herman na ubłaganie niebios płodności dla żony swojej Judyty kapitule krakowskiéj darował. Z powodu zniszczeń jakich w następnych czasach ta okolica doznała, kapituła zamieniła je z księciem Kazimierzem na inne dobra. Poczém znowu odzyskała je na mocy przywileju z r. 1189.

(1) Metryka koronna (nr. księgi 46, fol. 63). *Diminucio exactionis alias szos civibus Piotrcoviensibus.* Mieli jednakże płacić po 50 marek. Przywiléj ten wydany w Krakowie 1531 r.

(2) Metryka koronna nr. 44, fol. 841.

Tak więc strata zakonników piotrkowskich zrządzona pożarem nie była zbyt wielką, tém mniéj uczuli oni tę klęskę, że szczęśliwie jakoś zdarzyło się, iż wkrótce po tym wypadku prowincyałem polskich Dominikanów został ksiądz Melchior Mościcki, spowiednik Zygmunta Augusta i ostatni inkwizytor w Polsce, człowiek wywierający wielki wpływ na umyśle ostatniego z Jagiellonów. Toć przecie po całéj Polsce rozpowiadano sobie wypadek, jako ksiądz Melchior na sejmie w Piotrkowie wytrącił Zygmuntowi Augustowi pióro z ręki, kiedy ten chciał podpisywać pozwolenie na drukowanie książki anty-katolickiéj, któréj autorem był Brentius (1). Ksiądz Melchior przyszedł w pomoc klasztorowi piotrkowskiemu.

Było to na owym sławnym sejmie piotrkowskim (r. 1563) co tak przeważnie wpłynął na dalsze losy rzeczypospolitéj. Poważne grono senatorów z Wielkopolski i Małopolski, z Czerwonéj Rusi, Mazowsza i Prus otaczało króla Zygmunta, składając jego radę przyboczną. Bawił tam książę prymas Jakób Uchański i trzech jeszcze innych polskich pasterzy: krakowski, kujawski i chełmiński; na czele zaś panów rady wymieniony Marcin Zborowski kasztelan krakowski i Spytek Jordan z Melsztyna. Stanął ksiądz Melchior przed królem i radą, i opowiedział jaki los spotkał przywileje księży Dominikanów piotrkowskich, a potém prosił o odnowienie starych praw, nadanych im przez pobożnych przodków króla Zygmunta. Ksiądz Melchior żądał od króla przywileju na place i grunta, których zresztą nikt nie zaprzeczał Dominikanom piotrkowskim, chociaż nie posiadali w ręku silnych dowodów na poparcie swego prawa własności. Więc król i rada wysłuchali prośby księdza prowincyała i wydali przywiléj, który miał na wieki zapewnić Dominikanom Piotrkowa wolne używanie pomienionych gruntów. Królewska pieczęć zawisła u dyplomatu, a obecność około 40 dostojników polskich dodała żelaznéj powagi pargaminowi ostatniego z Jagiellonów (2).

(1) Siarczyński T. I, 332.

(2) Podług dyplomatu, którego kopia znajduje się w klasztorze Dominikanów. Przywiléj ten wydany d. 1 marca. Oprócz posiadłości o których mowa w powyższych dwóch przywilejach, mieli księża Dominikanie dochód z prowizyi od summ lokowanych na wielu dobrach szlacheckich. (*Feniks Nowowiejskiego*, str. 237).

Nie dziwno nam, że się dobrze działo piotrkowskiemu klasztorowi świętéj Doroty, że mu tak łatwo przychodziły przywileje. Czasy Zygmunta Augusta byłato zaprawdę świetna epoka dla polskich Dominikanów. Jeszcze wówczas nie zatarł się w Polsce tradycyjny urok, rzucony przez świętych mężów Jacka i Czesława Odrowążów; jeszcze nie zapomniano o mnichach św. Dominika, co paleni świętym ogniem, śmiało rzucali się na oślep, tam kędy ich wiodła żarliwa miłość dla wiary i opowiadali słowo Boże w Prusach i Inflantach. Nie zapomniano o Dominikanach Polakach, którzy przemknęli daleko poza granice Polski, aż nad brzegi sinego Dunaju, do kraju Wołochów, w którym założyli dominikańskie biskupstwo (w Serecie). Może pamiętano i o tém, że dawniéj, kiedyto jeszcze akademia krakowska wegetowała w pieluchach niemowlęctwa, od polskich Dominikanów rozlewała się na kraj cały szeroką strugą oświata, bo i oni podobnie jak i inne zakony uczyli polską młodzież jak służyć Bogu i kościołowi. I jeśli zakon kaznodziejski szczycił się powagą w narodzie, to tysiące było do tego powodów: ten szacunek i zachowanie należał mu się prawem zasługi.

Teraz za Jagiellonów, kiedy zmieniły się okoliczności i Dominikanie inną mieli rolę do odegrania, natychmiast odważném czołem stanęli do walki w obec narodu owianego tchnieniem niewiary. Walczyli zaś z przekonania, bo w téj zgrai sekciarzy przybyłych z Zachodu i wylęgłych na własnéj ziemi, widzieli oni siedmio-paszczą hydrę, którą koniecznie trzeba było zwalczyć, gwoli własnemu i swych braci pożytkowi, i nie dozwolić jéj, aby zapuściła zbyt głęboko swego jadu w serce poczciwego ludu. A naród mógł ich słuchać lepiéj i lepiéj wierzyć niż komu innemu: bo, jak powiedzieliśmy, polscy Dominikanie za czasów Zygmunta Augusta świecili jeszcze strzępkami dawnego znaczenia... Jeszcze w ich rękach był inkwizytoryat, i jeszcze sumieniem ostatniego z Jagiellonów opiekował się żarliwy aż do fanatyzmu katolik, ksiądz Melchior z Mościsk Mościcki.

Nawet po śmierci Augusta nie tak prędko niknie w narodzie uwielbienie dla mnichów św. Dominika; długo jeszcze olśniewają oni ogół owym blaskiem bijącym od znakomitych mężów, jakich ciągle wydawało ich zgromadze-

nie. Bo między polskiemi Dominikanami zawsze znaleźli się ludzie surowéj nauki, co wartością umysłową wybiegali poza sferę klasztornych spół-braci. To pewna, że na klasztor piotrkowski spada przeważna cząstka zasługi należnéj zakonowi Dominikanów, bo przy tym klasztorze był nowicyat i szkoła duchowna, co wydawała owych wielkich ludzi swojego wieku; a zresztą klasztor Dominikanów w Piotrkowie mając czas jakiś w swym ręku przywilej na ambonę parafialną (1), już tém samém zasługiwał się okolicznéj szlachcie, i żywém słowem wywalczał poważne stanowisko dla swojego zgromadzenia.

Jeżeli zaś o imiona idzie, to i klasztor piotrkowski może się pochlubić, że przyczynił się do złożenia owego potężnego zastępu uczonych Dominikanów, otoczonych aureolą przez klasztornych rocznikarzy.

Księdza Wojciecha Lawdańskiego przeora piotrkowskich Dominikanów wymieniamy na piérwszem miejscu. Imię księdza Lawdańskiego przywiązane jest do wspomnień o synodzie piotrkowskim w roku 1621, na którym nasz przeor zabierał kilkakrotnie głos. A trzeba wiedzieć, że na tym synodzie złożonym pod przewodem Wawrzyńca Gębickiego, nader ważne roztrząsały się sprawy: uchwalono tam, ażeby biskupi popierali po dyecezyach zachowywanie ustaw soboru trydenckiego; nakazano sporządzić nową redakcyą ustaw synodalnych. Mówiono tam wiele o stosunkach biskupstwa wrocławskiego do metropolii gnieźnieńskiéj, bo Wawrzyniec Gębicki arcybiskup prymas, odzywał się otwarcie o swoich prawach do biskupstwa wrocławskiego; rozprawiano także szeroko o dyssydentach. Między innemi wzięto także pod rozwagę bieżącą kwestyą *subsidium charitativum* i t. d. (2).

Ksiądz Wojciech Lawdański występuje na synodzie jako obrońca swobód duchowieństwa przeciwko uroszczeniom, jak je nazywa, rycerskiego stanu. Rozumuje sobie nasz przeor piotrkowski, że duchowieństwo nie dlatego posiada obszerne dochody, ażeby niemi opłacało żołnierzy rzeczypospolitej, ale dlatego, ażeby lepiéj mogło bronić swéj

(1) Z dopisku przy egzemplarzu Nowowiejskiego.
(2) Synodus provincialis Gneznensis.... Petricoviae, A. D. 1621 celebrata. Cracoviae in officina Andraae Petricovii. A. D. 1624.

pasterskiéj powagi i wspierać biédnych, ażeby mogło ojcować swym wiernym i być w poważaniu u błądzących. „Na mocy praw przyrodzonych, praw boskich (utrzymuje ksiądz Wojciech).... stan duchowny powinien być wolnym od wszelkich podatków, chociażby nawet i nie posiadał takich przywilejów, jakiemi się cieszy duchowieństwo polskie.” Twierdzenie swoje popiera ksiądz Lawdański arcyprzekonywającemi cytacyami, czerpanemi z dziejów; między innemi przytacza, że nawet w pogańskim Egipcie, kiedy za rządów Józefa ściągano z całego kraju podatki dla Faraona, nie tknięto jednak ziemi będącéj własnością egipskich kapłanów. Słowem, ksiądz Lawdański był to wyborny *pro domo suo orator*. Z kilku jednakże zwrotów widno, że ksiądz Lawdański kochał swój kraj, a że jako duchowny bronił sprawy duchowieństwa, nie można mu brać tego za złe (1).

Innego rodzaju znakomitością jest niejaki Jan Paweł Czarnkowski Dominikan w Głogowie, potém w Piotrkowie. Jest on autorem kilku dziełek religijnych, skierowanych przeciwko różnowiercom, które w swoim czasie mogły miéć nawet wysoką wartość (2). Dziś charakteryzują nam one księdza Pawła jako człowieka, co żywo brał do serca sprawę wiary swych przodków, jako duchownego co spełniał gorliwie a sumiennie swoje posłannictwo, a tém samém zasłużył sobie na jakie takie wspomnienie. Czarnkowski obrany był prowincyałem w klasztorze piotrkowskim roku

(1) Oratio tertia in sinodo provinciali Petricoviensi praesidente Illustrissimo et reverendissimo Domino D. Laurentio Gębicki Archiepiscopo Gnesnensi, Primate Regni, Legato nato, primoque principe. habita a F. Alberto Lavdantio S. Th. L. priore Petricovien. Ord. Praed. in Ecclesia parochiali S. Stanislai Marti. Die 28 Aprilis Anno D. 1621.— Superiorum permissu. Cracoviae, ex Officina Typogr. Mathiae Andreoviensis. Na drugiéj stronie dedykacya: „Illustri ac Magnifico Domino D. Paulo Szczawiński de Magno Szczawin Castellano Konariensi, Siradiensi etc. benefactori suo colendiss. hunc ipsum qualem qualem operae suae factum Idem qui et orationis Autor merito lubensque D. D. D.”

(2) Wymieniamy tu pisma Czarnkowskiego:

1) Annus Jubilei quem Ecclesia Romana fovet et retinet, Lutherana fugit ac persequitur. Glogovie. 1625. 4to.

2) Sacra mensa corporis et sanguinis Christi Dni. pretiosissimis epulis... repleta. Glogovie. 1626. 4to.

3) Fidelis persuasio de Lutherana Religione fugienda. Glogoviae. 4to.

4) Nulla fidelis admonitionis victoria. 1627.

(*Wszystkie są w bibl. Okr. Nauk. Warsz.*

1662, ale że generał zakonu nie potwierdził nominacyi, nastąpił na jego miejsce Jan Chryzostom Palewicz (1).

Ksiądz Mikołaj Oborski doktor św. teologii, przeor piotrkowski, widno, że był także przyjacielem nauk. Zostało się po jego śmierci sporo książek, które wzbogaciły krakowską bibliotekę księży Dominikanów. A że był pobożnym kapłanem dowód w tém, że starał się ciągle, o ile możności, przyozdabiać kościół krakowski swego zakonu; więc sprawiał ciągle to obrazy, to chorągwie, to jakie inne sprzęty kościelne. Zakon ocenił jego zasługi. Ksiądz Oborski umarł w Krakowie prowincyałem r. 1716 (2).

Obok trybunału piotrkowskiego musiał się wyrodzić między miejscowém duchowieństwem jeszcze jeden rodzaj znakomitości: a mianowicie szereg oratorów i kaznodziei.

Aż kipiał cały Piotrków od gwaru trybunalskiego, całe miasto oddychało przyspieszoném życiem. A co się tam działo, jak ucztowano, jakie tam były zabawy i dziwowiska, a jaka fantazya..... tego ani opowiedzieć, ani sposobu opisać. I niechby powstał z grobu który z naszych ojców, co żył pośród tego życia, i widział wszystko na żywe oczy, i niechby nam odmalował dawny trybyunał: tobyśmy może z niedowierzaniem zapytali, ażali on prawdę mówi? W tych wspomnieniach ważną rolę odgrywają panegiryki: nie miniemy się z prawdą jeśli powiemy, że cały Piotrków odbywał generalny popis z retoryki przed obliczem jaśnie oświeconego trybunału. Była to już taka doba w dziejach rzeczypospolitéj, że myśl i uczucie narodu wylewało się na zewnątrz w tysiącach drobnych broszur, w milionach drukowanych i niedrukowanych oracyj. Więc niejako z obowiązku uświęconego powszechnym narodowym zwyczajem, rokrocznie pijarscy i jezuiccy dyscypułowie i pięć konwentów piotrkowskich, występowało regularnie na ów retoryczny popis. Gradem sypały się oracye na uczczenie prześwietnego parlamentu rzeczypospolitéj: Jezuici i Pijarzy aż skarżą się, że nie mogą wydołać robocie. Ani wątpić, że i księża Dominikanie porwani tym ogólnym panegirycznym wirem,

(1) Świątnica Pańska.... M. Siejkowskiego, str. 337.
(2) Obszerniej o nim u Siejkowskiego: Świątnicy Pańskiéj str. 25, 339, 356; i w *Phoenixie* Nowowiejskiego str. 94.

umieli także górnie a kwiecisto wyrażać swe serdeczne affekta, dla panów polskich przybyłych na sądy: ile że zgromadzeniu piotrkowskiemu godziło się podtrzymywać starą a ustaloną sławę kaznodziejskiego zakonu. Tém bardziéj, że na kościół Dominikański zwracały się przedewszystkiém oczy pobożnéj szlachty polskiéj, bo w nim w kaplicy różańcowéj znajdował się wielkiemi cudami wsławiony obraz Najświętszéj Maryi Panny, a w innym ołtarzu obraz cudowny Przemienienia Pańskiego... (1). Więc najprzód co niedziela i święto występowało się z kazaniem, i to nie byle jakiém kazaniem; boć to przecie mądre głowy miały słuchać słowa Bożego, głoszonego z kazalnicy: trzeba było szlachcie zaimponować erudycyą. Już nie mówi się tu o odpustach święconych w kościele Dominikanów, a przypadających w czasie kadencyi piotrkowskiéj, jako na św. Sebastyan, na świętą Dorotę, i na święty Tomasz z Akwinu (2).

Kiedy kaznodzieja zwracał swą mowę do sędziów trybunalskich, to nie zawsze sypał samemi tylko pochlebstwami; nie zawsze ograniczał się na pochwałach herbownych klejnotów i wyliczaniu familijnych procedencyi i kolligacyi panów deputatów. Owszem, nieraz płynęła z ambony gorzka a szczera prawda, i aż do głębi poruszała serca z gruntu poczciwéj szlachty.

Czy ksiądz Floryan Istubowicz Dominikan piotrkowski był takim kaznodzieją, nie umiemy powiedzieć, bo nigdzie nie natrafiliśmy na jaki pomnik oratorskiego talentu księdza Floryana. Spółcześni nazywają go sławnym kaznodzieją na wielu ambonach, i rzeczywiście musiał to być człek niepomału wymowny, kiedy mu zakon powierzył forytowanie swych spraw przed kratkami *areopagu* piotrkowskiego, jak zwano inaczéj trybunał. Tak ważnéj funkcyi nie było w zwyczaju powierzać byle komu; trzeba było dać wprzód jawne dowody swego rozumu i talentu, zanim się zostało takim prokuratorem causarum (3).

(1) Michała Siejkowskiego *Dni roczne* i t. d.

(2) Okrom tych trzech, przypadał jeszcze odpust na św. Rocha; ale zdaje się że to nie wszystkie jeszcze odpusty. Podczas takich uroczystości zwykle przychodziła do Dominikanów processya z kościoła farnego „z panami, mieszczanami w wielkim konkursie ludzi" (Siejkowskiego: *Dni roczne*... i t. d.).

(3) Siejkowskiego *Świątnica Pańska*, str. 385.

Ale wróćmy już do kroniczki naszego klasztoru, przerwanéj na chwilę małym ustępem o uczonych Dominikanach, który z konieczności musiał się nam podsunąć pod pióro.

Rozmaicie działo się zakonowi kaznodziejskiemu w Piotrkowie: raz dobrze, to znowu źle; i tak ciągle naprzemiany..... W roku 1588 uzyskali Dominikanie potwierdzenie znanego już nam przywileju, nadanego im kiedyś przez króla Zygmunta Starego (1). Zjawili się także i dobrodzieje klasztorów. Takim dobrodziejem był Maxymilian Przerębski niegdyś starosta piotrkowski, potém wojewoda łęczycki (2); takim dobrodziejem był i Stanisław Jaxa z Kossowa Bykowski kasztelan Konarski, wreszcie wojewoda sieradzki, który w r. 1624 kaplicę przy kościele dominikańskim w Piotrkowie wystawił (3).

Potém w roku 1640 dotknął naszych zakonników nader smutny wypadek: cały Piotrków się spalił, a w téj ogólnéj pogorzeli zniszczał także kościół i klasztor Dominikański; ksiądz Piekarski przeor musiał odbudowywać stare zniszczone mury (4).

Pocieszeniem po tym niszczącym pożarze było potwierdzenie dawnych nadań, udzielone (w r. 1642) przez króla Władysława IV-go, a w parę lat potém przez Jana Kazimiérza w r. 1650 (5).

Wypadki obchodzące całą Polskę ocierały się bardzo często i o miasto Piotrków. Nie tu miejsce wspominać o pobycie Szwedów. Ale nie możemy pominąć dość humorystycznego wypadku, który bez zaprzeczenia należy do kroniczki księży Dominikanów w Piotrkowie. Jest to sobie mała historyjka o generale Flemingu.

Króla Augusta Mocnego lubiła szlachta polska, a téj miłości dała jawne dowody, bo nie opuściła go, nawet w najkrytyczniejszéj chwili; ale za to nie cierpiała wojska

(1) Lustracya z r. 1662 znajdująca się w archiwum głównem nr. księgi 64, fol. 236, wydana w Krakowie d. 28 lipca.

(2) Niesiecki.

(3) *Miechovia* Nakielskiego fol. 24, (ma być pochowany w ufundowanéj przez siebie kaplicy).

(4) Pamiątką po tym pożarze jest napis na tablicy wmurowanéj w zewnętrznéj ścianie kościoła Dominikańskiego: napis ten dziś niezupełnie czytelny. O pożarze w r. 1640 wspomina także Święcki w Opisie Star. Polski.

(5) Lustracya przywil. Władysława IV w Warszawie d. 4 kwietnia, Jana Kazimierza, także w Warszawie d. 5 stycznia.

saskiego, przybyłego z królem. Zdawało się szlachcie, że ono zagraża odwiecznym jéj swobodom.

Więc dnia 20 listopada 1715 stanęła konfederacya w Tarnogrodzie, któréj marszałkiem obrany był Leduchowski: i natychmiast rozpoczęła się po całéj Polsce gonitwa za Sasami. Zdarzyło się, że w Wielkopolsce stał właśnie generał Eksztet ze swojemi Saksończykami. Wobec téj siły zbrojnéj jakoś trudno było złożyć konfederacyą. Dla przyspieszenia rzeczy posłał pan marszałek do Wielkopolski 2,000 ludzi lekkich chorągwi pod dowództwem Gniazdowskiego: Gniazdowski gracko się uwinął; pobił najprzód kilkaset Sasów w Ryczywole i dotarł aż do Wolborza. Tu dowiaduje się, że właśnie na godzinę przed przyjściem jego generał Fleming wyjechał do Piotrkowa; więc dalejże za nim w pogoń.

Fleming widząc niebezpieczeństwo, porzuca ludzi, których miał z sobą, i co tchu ucieka do Piotrkowa; wpada do klasztoru księży Dominikanów, i tam chcący niechcący poddaje się niemiłéj operacyi: „ogoliwszy brodę, którą był zapuścił i łeb po dominikańsku“, przebiera się w biały habit zakonny, i wsiadłszy na powóz z jednym księdzem ucieka do króla bawiącego w Poznaniu. Tym tylko sposobem wyśliznęła się Gniazdowskiemu zdobycz.

Z téj okazyi był potém Fleming przedmiotem przycinków i żarcików.

„No, chwała Bogu, już interesa królewskie w Polsce uspokojone, bo się generał Fleming ogolił“ odezwał się w obec Fleminga jeden z generałów.

A na to Fleming:

„Jedźno ty tam, to nietylko wąsów albo brody, lecz łba pozbędziesz, gdyż tam dobrze Polacy golą“ (1).

* * *

A teraz powiedzmy słówko o krotofilach, jakie się wyprawiały w klasztorze księży Dominikanów.

Zwyczaj przedstawiania po kościołach pobożnych obrazów, mających przypominać mękę i śmierć Chrystusa, lub też jakie ustępy z Pisma Św. znany był powszechnie w ca-

(1) Pamiętniki do panowania Augusta IIgo. str. 278.

łéj Polsce. Zwyczaj ten coraz to odmienne przybierał cechy: pobożne sceny przeradzały się powoli na zabawne komedye, które dały początek prawdziwie narodowéj scenie; mówimy prawdziwie narodowéj, bo to pewna, że dawny polski dyalog tak dobrze przystawał do pojęć naszych ojców, jak kontusz i karabella godziły się do ich butnéj postawy i sumiastego wąsa. Jakiż-bo humór tryska nieraz z owych starych dyalogów, co za dowcip świeży,jędrny, niezużyty; ani też zapożyczony u obcych; dowcip, co się mógł jeno na polskiéj glebie narodzić. Dopiéro późniéj, kiedy cała literatura przyodziała się w jakąś dziwaczną togę, utkaną z frazesów, wtedy i dyalogi więcéj bezmyślny przybrały wyraz. W owe czasy, cała zaleta widowiska gruntowała się na wspaniałości wystawy. Forma zastąpiła rzecz. Księża Jezuici byli osobliwemi protektorami teatralnych przedstawień: Pijarzy poszli za ich przykładem. Otóż i przyczyna, dla któréj w Piotrkowie pijarscy i jezuiccy wychowańcy od czasu do czasu występowali z podobnemi krotofilami.

Za piérwszego i drugiego Sasa (między rokiem 1728 a 1747) księża Pijarzy wystawiali takie reprezentacye sceniczne, to w kościele, to na korytarzach klasztoru księży Dominikanów. Szereg tych oryginalnych w swoim rodzaju przedstawień, rozpoczęła scena teatralna, napisana w języku łacińskim p. n. *Abdolonymus Cultor virtutis et horti* (w r. 1728), do któréj dostarczył wątku starożytny Kurcyusz. Musiała to być arcy ciekawa sztuka, skoro nie uprzykrzyło się widzom słuchać jej pośród największéj ciżby przez całe 8 godzin: od 4-téj po południu, aż do północy. Inna scena teatralna: *Serce Jezusa*, przedstawiona w r. 1738 była może ostatnim hołdem oddanym staremu polskiemu dyalogowi przez piotrkowskie kollegium księży Pijarów. Zaraz w następnym roku (1739) wysadzili się Pijarzy na wielce efektowną scenę teatralną: *Świątopełk król Morawski*, w 3-ch aktach, w któréj szczególniéj zadziwił widzów taniec bohaterski, wykonany z dobytemi szablami. Treść widowiska dziwnie prosta: król Świątopełk zwyciężony od nieprzyjaciół ucieka na puszczę, ale zaraz w 2-gim akcie wyszukują go na owéj pustyni posłowie i na tron wzywają; w 3-cim akcie król abdykuje i znowu chroni się na pustynią.

W tymże roku przedstawiono w kościele Dominikańskim *Sztukę geograficzną* w reprezentacyi scenicznéj: wywołała ona niesłychany zapał; rozległy się głośne oklaski. Szczególnie w czasie owéj sztuki *geograficznéj* podobał się taniec po *linie* przez kościół wyciągnionéj, wykonany przez jednego z uczniów *filozofii*.

Kiedy w r. 1741 przedstawiano *Jakóba Sztuarta*, reprezentacyą sceniczną w 3 obszernych aktach, takie mnóstwo zebrało się ludu, a szczególniéj szlachty zgromadzonéj na trybunał i na sądy grodzkie, iż cały kościoł Dominikański nie mógł ich objąć. Dla natłoku powstało straszne zamieszanie i tumult taki, że go i gwardya rzeczypospolitéj powściągnąć nie mogła. W zebranym tłumie powstał zgiełk: już nawet porywano się do szabel; deputaci i inni dystyngowańsi usunęli się na podwyższenie teatralne. Nader szczupłe pozostało miejsce na reprezentacyą. Professor kierujący wystawą chciał na inny dzień całą zabawę odłożyć, ale mocne nalegania, żądania i prośby deputatów zniewoliły go do rozpoczęcia sztuki. Gdy więc zamieszanie nieco się uspokoiło, kazał przedstawić dwie sceny: jednę w któréj było oblężenie miasta, zdobycie go, wymordowanie mieszkańców, wzięcie króla w niewolę i t. d. i drugą zawierającą taniec hohaterski z laurami zwycięzkiemi. W tańcu tym uczniowie 63 sztuk wykonali. Pozostało jeszcze scen 13, ale powtórnie wszczął się taki rozruch, iż pomimo najszczerszych chęci sami deputaci na przestanie zezwolili.

Tragedya p. n. *Wojna Jugurtyńska*, napisana przez ks. Reginalda a S. Onuphrio Pijara (w r. 1746) niezmiernie podobała się słuchaczom; osobliwie dlatego, że autor zręcznie poprzeplatał wiersze łacińskie polskiemi. W tymże roku odegrano tragedyą: *Prusyjasz*, napisaną wierszem polskim, do któréj rzecz wzięta z Justyna. Niekiedy wyprawiali księża Pijarzy w kościele dominikańskim tak zwane Deklamacye sceniczne, mające za przedmiot rzeczy święte. Deklamowano np. jaki ustęp z historyi świętego Józefa (w r. 1729) i t. p.

Na professorze retoryki zwykle ciężył obowiązek układania reprezentacyj szkolnych i kierowania ich wystawą; niekiedy jednak zdarzało się, że i nauczyciel poetyki podejmował się tego trudu.

Każdą sztukę przypisywał autor jakiemu dobrodziejowi, i dlatego nigdy nie było kłopotu o znalezienie mecenasa dla sztuk dramatycznych szkolnych, któryby dał nakład potrzebny na wystawę. Panowie deputaci trybunalscy niesłychanie rozlubowali się w studenckich dyalogach, które czasami wyprawiano umyślnie na ich uczczenie. Szlachta posuwała nieraz swój zapał aż do przesady. I tak np. kiedy w roku 1746 księża Dominikanie kościoła pozwolić nie chcieli, marszałek trybunału Ignacy Sapieha skarbnik litewski, uważał za stosowne odstąpić sali trybunalskiéj, zawiesiwszy na dni kilka sądy. Pan marszałek dla dodania świetności przedstawieniu, udzielił także swéj nadwornéj kapeli i ozdób (1)..... I ktoby to pomyślał, że w tym samym klasztorze w którym zabawiała się szlachta studenckiemi dyalogami, zasiadali także w refektarzu poważni sędziowie i odprawowali grodowe sądy województwa sieradzkiego.... (2).

W ostatnich czasach podupadł klasztor księży Dominikanów w Piotrkowie; była nawet chwila, że cały konwent składał się zaledwo z dwóch zakonników. Z tego powodu za księztwa Warszawskiego chciano przenieść Dominikanów piotrkowskich do Gidel, sławnych cudownym obrazem Najświętszéj Maryi Panny, (wraz z przekazaniem funduszów); był wtedy przeorem ksiądz Liberkowski. Ale jakoś projekt nie przyszedł do skutku, bo ludność Piotrkowa oparła się temu. Poprzestano więc na rozebraniu części klasztoru, który był kiedyś daleko obszerniejszy, składał się bowiem nie z jednego pawilonu jak dzisiaj, ale z wielkiego czworoboku.

Nagrobki w kościele księży Dominikanów w Piotrkowie.

I. (r. 1586).

F. Sta. Słupski Con. Petric.
Ane. Hel. Kristi. natis suis

(1) Cały ten ustęp o reprezentacyach scenicznych ułożony po większéj części podług znakomitéj rozprawy księdza Gackiego, zamieszczonéj w programacie pijarskim na r. 1830.

(2) Dni roczne i t. d. z opisaniem kościołów i klasztorów prowincyi polskiéj.... przez ks. Michała Siejkowskiego.

chari minora moris ergo
posuit Anno D. M. D. L. XXXVI.

—

Hodie mihi
Cras tibi.

II. (r. 1607).

Sophiae Isabellae de Paniów consorti
charissimae adhuc viventi vivens
Martinus Drzewicky connubii XXXII
aetat: cius XLV A° pesuit 1607. Obiit
MDC... (zostawione miejsce puste) Vixit An:
(także puste miejsce).

III. (r. 1657).

Magnifici Martini Trzebicki de Trzebiczna Castelani Vielunen: qui timore Dei ac justi rectique amore divinam in omnibus operibus suis benedictionem humanitate ac observancia in amicos, omnium benevolentiam meruit nactusque est— tandem plenus dierum anno aetatis suae LXXXV natae salutis MDCLVII die 2da Februarii turbulentissimo cheu reipublicae tempore pie mortuus patri amantisimo in hac ecclesia sepulto memor paternorum Beneficiorum filius Andreas Trzebicki episcopus Cracoviensis dux Severiae posuit censumque perpetuum ad Deum orandum pro piis animabus parentum, fratris et consanguineorum constituit.

IV. (r. 1667).

D. T. O. M.
G. Helisabeth de Osuchów
filia
G. Gaspari de eadem Osuchów Osuchowski
terreae sochacoven: succamerarii
ex C. olim Gnosa Catharina de Trziana procreata
consors autem
primarum olim G. Christopheri de Bądków Spinek
ad praesens autem secundarum nuptiarum

G. Samuelis a Dmenin Kobierski legitima,
pietate fundationis suae ducta in Deum
qua sibi
marito atque G. olim Evae de Bądków Spinkówna
G. Nicolai de Dmenin Kobielski consorti
atque filiae suae vitae funetis
Hanc ad aram devote supplicaret
hoc perenne superstes
mortalilitatis erexit monumentum
Anno reparatae salutis
M. D. CLXVII
Mens. Sembris Die 1° (1).

Warszawa, d. 28 września 1854 r.

(1) Ciała osób o których mowa w nagrobku, spoczywają pod posadzką prezbiteryum.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

WYSTAWA POWSZECHNA.

VII.

Wystawa przemysłowa: Wyroby złotnicze. — Kauczuk i gutta-percha. — Wystawa sztuk pięknych: Chassériau, Iwon, Horacy Vernet, Hamon, Chenavard.

Wyroby złotnicze zajmują tak obszerne miejsce na wystawie przemysłowéj, że chociaż w poprzednich sprawozdaniach wymieniliśmy nawiasem niejeden taki utwór, który nas uderzył w przechodzie, nie możemy atoli tak ważnéj gałęzi handlu do prostéj ograniczyć wzmianki, i nie poświęcić rzeźbiarzom drogich metali kilku przynajmniéj osobnych kartek. Przegląd zacząć naturalnie wypada od ich mistrza Froment-Meurica. Chociaż pawilon w wielkiéj nawie nie gromadzi wszystkich dzieł jego, jest dosyć kompletny, ażeby z niego powziąć można dokładne wyobrażenie o rozciągłości talentu tego sławnego złotnika. Nadto, zgromadzone tutaj wszelkiego rodzaju roboty, wyobrażające wszystkie gałęzie złotniczego kunsztu, począwszy od najprostszego do najsztuczniejszego wyrobu, najlepiéj wykazują całkowitą rozciągłość tego rzemiosła.

Główną zaletą Froment-Meurica jest jasność, z jaką powziętą myśl na dziele swém uplastycznia, rozlewając ją nawet na najpodrzędniejsze szczegóły przedmiotu. Każda ozdoba, którą inni tylko dla symetryi kładą, u niego ma swoje znaczenie i swoje miejsce właściwe. Ściśle trzymając się naturalnéj hierarchii, w rzeźbach swoich zawsze ludzi na piérwszym stawia

jak za granicą licznych miał naśladowców: w Paryżu zaś wykształcił wielu bardzo zdatnych uczni, którzy wraz z synem mistrza daléj sposoby jego rozwijać będą.

Wyroby paryzkiego złotnika Rudolphiego piérwsze po Froment-Meuricie zajmują miejsce. Oprócz srebrnego wazonu nadzwyczajnéj wielkości, wychwalanego powszechnie, którego opis znajdą czytelnicy w poprzedniém sprawozdaniu, i artystycznych cacek na ozdobę kominków i etażerek przeznaczonych, Rudolphi wystawił wspaniały klęcznik w byzantyńskim guście, błyszczący od złota, drogich kamieni i emalij, oraz liczny zbiór klejnotów damskich, pomiędzy któremi znajduje się wielka liczba drogich kamieni rzadkiéj wielkości i brylantów, dorównywających dyamentom koronnym, z wyjątkiem atoli *Regenta*.

Byłoby rzeczą zbyteczną opisywać zbiór ten wykwintnego smaku, gdyż jakkolwiek jest świetny i przednią robotą się zaleca, to przecież nic w nim nie ma nadzwyczajnego, a wyroby tego rodzaju powszechnie są znane.

Obok Rudolphiego rozłożył swoje klejnoty Lebrun, oddawna znany i poważany jubiler paryzki, który na chwilę zaćmiony przez innych, znowu wszedł w modę, przyjąwszy za współpracowników braci Fanniere, dwóch wybornych majstrów, których mnogie dzieła są ozdobą wystawy.

Daléj widzimy zbiór pana Rossigneux twórcy zwierciadła rzadkiéj piękności, które upodobał i kupił książę Albert, oraz czary ofiarowanéj przez mieszkańców doliny Doubs naczelnemu inżynierowi dróg i mostów panu Parandier, w nagrodę ważnych tamże uskutecznionych robót. Czarę otacza dokoła płaskorzeźba, wyobrażająca malowniczą dolinę Doubs.

Za tą następuje wystawa Callota i Wiesa, dwóch pomocników Froment-Meurica; daléj Hayeta sławnego z biegłości i akuratności w pomniejszaniu wzorów, którego najpiękniejszy wyrób kupił cesarz. Jestto żardinierka złocona galwanicznie: kosz przeznaczony na kwiaty podpierają nadobne aniołki. W tymże zbiorze uważaliśmy piękny sztylet, którego rękojeść stanowi szkielet śmierci w całun odziany, a gardę sowa z rozpostartemi skrzydłami.

Morel ulubieniec Paryżanek, które jego klejnoty przekładają nad inne, wystawił wazon jaspisowy, oprawny w ażurową płaskorzeźbę, wyobrażającą Andromedę przykutą do skały; ma-

jący ją rozszarpać potwór, rzuca się w bok na widok Perseusza, którego groźna postać niechybną śmierć mu rokuje. U spodu podpierają wazon geniusze i Najady. Wszystkie figury mocno odstające i emaliowane, są wedle znawców szczytem złotniczego kunsztu. Ostatni ten utwor sprzedany za 80,000 fr. wyniósł Morela zpomiędzy jubilerów w poczet umiejętnych rzeźbiarzy drogich metalów.

Daléj widzimy ogromną wystawę pana Dafrique, najbogatszego z paryzkich złotników, nie dbającego wcale o elegancyą ani artystyczność, ale jedynie o jak największe zniżenie ceny, skutkiem czego wyroby jego znajdują ogromny pokup i rozchodzą się po całym świecie.

Daléj pan Lepage, znany puszkarz, będący zarazem niepospolitym złotnikiem, rozłożył swoje wyroby, pomiędzy któremi wielki wazon srebrny zwraca powszechną uwagę. Przy nim Rouvenat twórca *massyf* złotéj monstrancyi, ważącéj 16 funtów, wysadzanéj brylantami, rubinami i szmaragdami. Kilku złotników należało do ogłoszonego na to dzieło konkursu, na którym pierwszeństwo przysądzono Rouvenatowi. Kompozycya jest bardzo ładna: anioł wiary zajmuje środek; u spodu stoją czteréj ewangeliści z oznakami swemi, a na podstawie spoczywa Baranek Boży, cały z brylantów, otoczony rubinowemi promieniami. Ta monstrancya jest obstalowana dla Mexyku.

Do sławnych złotników francuzkich należy także pan Maurycy Mayer, którego wystawa jest nader liczna i rozmaita. Zalecają się w tym zbiorze: taca srebrna otoczona tłumem figurek; bogaty serwis do herbaty srebrny pozłacany, wedle wzorów indyjskich, i zastawa do kawy złożona z filiżanek rozmaitéj, a zawsze wykwintnéj formy.

Wystawy fałszywych klejnotów są nader liczne i piękne. Francuzi doprowadzili tę sztukę tak wysoko, że dawniéj rzeczywista wartość drogich kamieni stała się dziś urojoną, bo sekret rozróżniania prawdziwych od fałszywych posiadają sami tylko jubilerowie, a i oni nawet bez proby prawdy się nie dowiedzą. Co do patrzących, ci oceniają klejnoty wedle tego, na kim je widzą: z czego nie omieszkując korzystać bogate damy do tego stopnia nadużyły brylantów, że ta ozdoba prawie zupełnie dawny postradała urok. Nic zapewne słuszniejszego nad ubieganie się za rzadkością, ale to gust tak wrodzony człowiekowi, iż

prawie zaręczyć można, że gdyby rzeki płynęły szampanem, a wodę drogo sprzedawano w butelkach, każdy wolałby wodę.

Pewni siebie fałszerze dyamentów, jakby na urągowisko, obok prawdziwych wyroby swoje rozłożyli, dając każdemu sposobność porównywania, jako najwymowniejszą dla siebie pochwałę; i rzeczywiście bezstronny badacz przyznać musi, że gdyby nie fatalny napis „*Imitation*", który tam przybito jak wyrok potępienia, ani przez myślby mu nie przeszło, że te prześlicznie oprawne naszyjniki, bransolety, zausznice, i t. d. nie są z kamienia, ale ze szkła poprostu.

Mówiąc o fałszywych, wspomnijmy jeszcze słów kilka o brylantach koronnych. Skarby te piérwszy raz dopiéro wystawiono na widok publiczny; dotychczas zamknięte w szafach, od których klucze powierzano intendentowi generalnemu listy cywilnéj, ukazywały się tylko w razie jakiéj nadzwyczajnéj uroczystości na dworze. Naród znał je jedynie z tradycyi: za to dzisiaj z nadzwyczajną ciekawością ogląda skarbiec swoich monarchów. Składają go następujące przedmioty:

Regent wedle dzisiejszéj ceny brylantów szacowany na przeszło 5,000,000; korona dyamentowa; garnitur do sukni z porzeczkowych liści i takąż zapinką; pas z kokardą; bukiet brylantowy; dyadem, który miała na głowie cesarzowa w dzień otwarcia wystawy; naszyjnik z szafirów w którym ślub brała; sznur złożony z 1,500 brylantów osobno oprawnych; dyamentowy garnitur na głowę; zbiór wszelkiego rodzaju orderów; pałasz sadzony brylantami, ceniony na 246,000 franków. Wachlarz; strój rubinowy; grzebień dyamentowy przepyszny; naszyjnik perłowy nie mający sobie równego na świecie; nakoniec strój turkusowy i ubiór z szafirów i rubinów, teraz na nowo oprawiony. Obok koronnych rozłożono klejnoty prywatne cesarzowéj.

Wedle listy spisanéj z marca 1832 roku przez jubilerów królewskich, panów Bapst i Lazare, liczba drogich kamieni koronnych wynosi 64,812 sztuk, ważących 18,751 karatów, których wartość wynosi 20,000,260 franków. Znaczniejsze klejnoty oceniają jak następuje: korona (5,206 dyamentów białych, 146 różowych i 39 szafirów) 14,702,708 franków. Miecz (1,569 dyamentów) 261,165 fr. Zapinka (217 brylantów) 273,119 fr; guzik do kapelusza 240,700 fr.; opal jeden 37,500 fr.; cztéry stroje, 1,165,163 fr. 293,758 fr. 283,816 fr. i 130,820 fr. Następne cyfry drobnieją.

A teraz nie zatrzymując się dłużéj przejdźmy do wyrobów złotniczych angielskich, chociaż z góry ostrzegam, że jestto przejście z tortów na łazanki, w którém tylko głodni towarzyszyć mi mogą.

Z najlepszém usposobieniem przystępując do oglądania angielskich klejnotów, a mianowicie wyrobów sztucznych, mało upatrzéć można rzeczy gustownych; ale za to droższych kamieni i większéj massy złota nie obaczy nigdzie. Przytém jest jeszcze moralny powód do pobłażania: sumienność większa niż gdziekolwiek każe im przebaczyć wiele niedostatków. Następujący przykład najlepszym jéj dowodem:

Najpiękniejszy z ogromnéj wystawy złotniczéj angielskiéj jest puklerz bardzo misternéj roboty, nadesłany przez dwóch możnych londyńskich złotników: Hunta i Mortimera. Otóż piérwsza rzecz którą spostrzegamy obok tego puklerza jest karta, na któréj wielkiemi literami napisano: „pp. Hunt i Mortimer oświadczają, że do wykonania tego dzieła nietylko przewodniczyły im wzory przywiezione z Francyi, ale biegli rzemieślnicy Francuzi, których imiona wymieniamy, nie chcąc sobie przywłaszczać ich sławy.” (następują imiona robotników).

I jakże tu krytykować prace takich ludzi, którzy z kwiecistego pola artystyczności spychają człowieka na ciemny manowiec psychologicznych dociekań, i nie dzieła swoje, ale siebie podziwiać każą.

Puklerz o którym mowa, składają trzy medaliony wyobrażające trzech najgenialniejszych ludzi, jakich wydała Anglia: Newtona, Szekspira, i Miltona. Około Newtona trzy allegoryczne figury uosabiają mądrość, prawdę i czas. Słońce otoczone planetami wyobraża siłę atrakcyi dostrzeżoną przez wielkiego fizyka; płaskorzeźba otaczająca wokoło medalion, przedstawia jakim przypadkiem wpadł na odkrycie prawa ciężenia ciał. Przy Szekspirze stoi geniusz poezyi, Apollo i Minerwa; nad nim unosi się orzeł, uosobienie polotu myśli jego, dokoła otaczają go syreny i siedm figur przedstawiających rozmaite pory wieku ludzkiego. Milton dyktuje wiersze swoje córkom; przy nim religia z poezyą trzymają się za ręce; płaskorzeźba brzeźna wyobraża jako wspomnienie *raju utraconego*, Adama i Ewę, wypędzanych z boskich ogrodów przez zagniewanego Stwórcę.

Z tejże pracowni nadesłano trzy srebrne wazony mitologicznéj treści: na jednym płaskorzeźba przedstawia bitwę Centaurów z Lapitami, druga strącenie Tytanów, trzecia Thetisę niosącą synowi zbroję ukutą przez Wulkana. Robota tych wazonów nadto wymęczona, nie posiada prostoty konturów, stanowiącéj główną zaletę kopii starożytnych.

Wszystkie przedmioty nadesłane z angielskiéj fabryki Hunta mają cechę zupełnie francuzką, dla téj prostéj przyczyny, że je robili Francuzi; najmniéj wprawne oko odróżni je odrazu na wystawie Wielkiéj Brytanii, jak Żuawa w angielskich szeregach. Jakoż opis powyższych wyrobów uważamy za przejście od francuzkich do angielskich złotników.

Jubilerowie królowéj Wiktoryi zwieźli niesłychane bogactwa, mogące służyć jako typ czysto albiońskiego gustu. Przed rozpoczęciem atoli ich przeglądu włóżmy niebieskie okulary, gdyż bez nich możnaby łatwo wzrok postradać od niczém nieprzyćmionego blasku téj massy złota i srebra.

Brak harmonii jest tutaj tak rażący, dążność robotnika tak wyłącznie ku połyskowi zmierza, unikając wszelkich matowych robót, jako zamało wzrok uderzających, iż każdy z kontynentalnych znawców na widok tego prześwietnego zbioru, marszczy brwi i gotów jest wydać o nim *in petto* wyrok bardzo surowy, mianowicie też jeżeli dzień jest słoneczny; jeżeli przeciwnie, chmurami zasute niebo rzuca nań cień lekki, którego zapomniał mu nadać robotnik: natenczas kosztowności angielskie obejrzéć bierze ochota, bo w narodowém świetle daleko lepiéj się wydają.

Widzimy najprzód wielki serwis wystawiony przez kompanią jubilerską, złożony z pięciu sztuk: główna wyobraża Ryszarda II dającego kompanii prawo stowarzyszenia. Dwa należące do téj zastawy świeczniki, otaczają statuy najznakomitszych złotników włoskich i angielskich. Czwarta grupa w któréj figurują *Przezorność* i *Miłosierdzie*, uosabia cel moralny stowarzyszenia, które niesie pomoc ubóstwu, daje opiekę wdowom i wychowuje sieroty. Piąta wyobraża *Naukę* i *Sprawiedliwość*, prezydujące pracom kompanii i podające rękę *Przemysłowi*, za którym idą *Handel* i *Pomyślność*.

Jestto, pożyczając wyrazu z rzemieślniczego słownika, najgrubsza sztuka wystawy angielskiéj; chęci znać tu najlepsze, szkoda, że intencya niezawsze za uczynek staje.

Obok niéj rozłożono dary ofiarowane przez rodaków admirałowi Napier i lordowi Ellenborough, o których piękności jak ów o Ryczywole zamilczéć wolę. Dalej widzimy przejście Napoleona przez górę świętego Bernarda, wedle obrazu de la Rocha: wyrób ten byłby jeden z najlepszych, gdyby nie naśladował gipsu tak wiernie, iż dopiéro po ścisłym egzaminie dowiedzieć się można, że to srebro.

Złotnik Garrard wystawił złoty kiosk, około którego negry przeprowadzają arabskie konie z królewskiéj stajni. Rzecz ta waży przynajmniéj z pięćdziesiąt funtów złota. Watherton przysłał oryginalny kleinot: bryłę rodzimego złota za 60,000 fr., na któréj wykuł w bardzo wypukłéj-rzeźbie rozmaite obrazy, jakoto: Saksonów odpierających obce najazdy, święte wizerunki patronów Wielkiéj Brytanii; połączone królestwa Anglii, Szkocyi i Irlandyi uosobione w trzech allegorycznych figurach, oraz nieodłączną od wszelkich albiońskich kompozycyi *Mądrość*, *Prawdę*, *Przemysł* i *Siłę;* Szekspira, Newtona i Wellingtona. Wszystkie te statuetki stroją emalie, perły i szafiry. Aczkolwiek wykonanie téj kosztownéj fraszki nie zaleca się poprawnością, pomysł nader dziwny nadaje jéj wiele powabu i każe żałować, że myśl ta i ta bryła złota nie dostała się pod czarodziejskie dłuto Froment-Meurica.

Osady indyjskie Wielkiéj Brytanii przysłały także kilka wyrobów złotych, ale prócz kosztownéj szkatuły po ostatnim królu Ceylanu, nic tu na szczególną nie zasługuje uwagę.

Wystawy złotnicze austryacka, szwedzka i holenderska bardzo podrzędne zajmują miejsce. Austryaccy jubilerowie nadesłali same prawie wyroby z granatów: granaty na szyję, głowę i ręce, granaty oprawne w złoto, srebro, rznięte i gładkie: słowem wszędzie granaty. Niewdzięczny ten kamień być musi ulubionym strojem dam austryackich, inaczéj trudno wytłumaczyć zamiłowanie, z jakiém mu się wyłącznie poświęcają tamtejsi złotnicy. Z przysłanych atoli probek nie można wyrokować o guście ani stanie przemysłu jubilerskiego w Niemczech: dwaj najsławniejsi złotnicy dwóch stolic niemieckich: Hossauer z Berlina i Mayerhofer z Wiednia nic dali nic na wystawę.

Prusy nadesłały kilka pięknych rzeczy. Pan Wagner wspaniałą płaskorzeźbą srebrną emaliowaną; Wilm wielki wazon zrobiony dla księcia pruskiego; Haussmann z Berlina puklerz w starożytnym stylu. Płaskorzeźba otrzymana sposobem galwani-

cznym z pomocą gutta-perki, przedstawia miasto Berlin składające powinszowania następcy tronu z okazyi jego małżeństwa. Aczkolwiek nie Prusom, ale Francyi należy się chluba z ważnego zastosowania guttaperki do zdejmowania wzorów, bez czego srebrzenie galwano-plastyczne pozostałoby podziśdzień tylko chemiczną zabawką, przyznać należy, iż berlińska płaskorzeźba jest najdokładniejszém i najśmielszém dziełem tego rodzaju, jakie wyszło dotąd nawet ze sławnych francuzkich pracowni, oraz rzeczywistą próbką ważności wynalazku pomniejszania posągów i reprodukcyi onychże za pomocą form guttaperkowych.

Gdańskie bursztyny ważną grają rolę w jubilerskiéj wystawie Prus; niektóre do znacznéj dochodzą wielkości, bardzo ładnie oprawne służą nietylko na ubiory kobiéce, ale na rozmaite cacka, czary i figurynki ze starożytnych przerabiane wzorów. Wyroby te po większéj części oprawne w złoto są bardzo kosztowne i piękne.

Wielkie księztwo Oldenburskie odznacza się licznemi wyrobami wykuwanemi z jednéj sztuki drogiego kamienia; są tu wazony, puhary, kamee z jaspisu, lapislazuli, agatu, kornalinu, onyksów, tak zwanych reńskich kamyków, i innych kamieni, których obrabianie zajmuje bajeczną liczbę rąk na tak mały kraik, a wyroby sprzedawane na lipskich i frankfurckich jarmarkach, rozchodzą się po całym świecie.

Jednego z najpiękniejszych wyrobów zagranicznych dostarczyło niespodziewanie królestwo würtemberskie: jestto wielka płyta srebrna na któréj złotnik Groeber przedstawił w płaskorzeźbie polowanie na jelenia. Zwierzęta, drzewa, liście, oddane tutaj z nadzwyczajnym talentem, przypominającym dzieła Kirchsteina, sławnego strazburskiego złotnika, który szczególniéj sceny myśliwskie miłował.

W duńskiéj wystawie zauważaliśmy dwa półmiski rzadkiéj piękności, wystawione przez barona Schlick. Fryza otaczająca je tak pod względem układu, jako i wykonania liczy się do najdoskonalszych tego rodzaju wyrobów na wystawie. Fzancuzi utrzymują, iż oba te półmiski są dziełem ich ziomka pana Poux osiadłego w Danii. Jeden zdobi wieniec z dzikich zwierząt: lwy, pantery, wilki, tygrysy, hieny, niedźwiedzie, lamparty powikłane razem, zadziwiają wiernością naśladowania; drugi otacza girlanda z ptaków przeplatana owocami. Kogut srebrny naturalnéj wielkości, nadesłany przez Michelsena z Kopenhagi,

zasługuje na szczególną uwagę; misterne jego wykonanie i lekkość z jaką wstrząsa napuszone pióra i spina się na palce, jak to zwykle czyni mając zapiać, godne są podziwu. W ogóle wystawa duńska jest bardzo znakomita.

Do złotnictwa policzyć także należy przepyszny zbiór wyrobów koralowych, nadesłanych z państwa papiezkiego i Neapolu, jak niemniéj rzymskie mozajki ze sławnych pracowni Micheliniego i Gallanda. Są tu rzeczy wykonane przedziwnie: mnóstwo kamei przedstawiających głowy starożytne lub włoskie ruiny, z któremi wybornie godzi się mozajka; stoliki okrągłe także mozajkowe, zwykle czarne, zdobione wieńcami z liści, owoców, lub kwiatów. Ale ze wszystkich tych rzeczy najwięcéj uderzający jest widok Campo-Viccino, ułożony tak wybornie z drobnych kamyczków (pietra dura), że zdaleka zupełnie jak obraz olejny się wydaje. Pan Galland pracował nad nim lat dziesięć.

Oto podobno i wszystko, co w szybkim pochodzie udało nam się wyłowić z tego złotego morza pełnego dyamentów, drogich kamieni, emalii, mozajek, korali, pereł, muszli, bursztynu i t. d.; morza, co zdumiewa bogactwy, oślepia blaskiem, zalewa wystawę po brzegi, a na którém tak trudno się oryentować, bo pełne ułudy co chwila stawia zasadzki i postępować daléj wzbrania.

Po tak błyskotliwym przeglądzie znużone oko z przyjemnością na ciemnych wypoczywa przedmiotach: przeto nieszukając daleko obejrzyjmy wyroby z kauczuku i guttaperki, których liczny zbiór nadesłała Ameryka.

„Przyszłość, powiedział Heine, wydaje mocny odór kauczuku.“ Trafność humorystycznego horoskopu najlepiéj ocenić można na wystawie, zwłaszcza przystąpiwszy do oglądania produktów nowego świata. Od kalosza aż do wanny i łodzi na kilkunastu ludzi, wszystko tu z kauczuku lub siostry jego guttaperki. Przemysł ten, ze wszystkich nowych pomysłów do największego doszedł rozwoju w ciągu ostatnich lat kilku.

Jeszcze w początku XIX stulecia użytek kauczuku był prawie żaden. Przywożony do Francyi w formie butelki, w któréj stężał, sok ten drzewny pokrajany w kawałki służył pod nazwą gummy elastyki do wycierania ołówka, lub pocięty w tasiemki i w kłębek zwinięty, na piłki dla dzieci. Dzisiaj kauczuk

na rozliczne używany potrzeby dzieli się na trzy odmienne gatunki: pierwotny, giętki i twardy. Sprowadzają go do Francyi z Pary, Jawy i Gabonu; Kartagina dostarcza go także, ale w drobnéj ilości. Kauczuk parański jest najlepszy ze wszystkich, przychodzi do Europy w butelkach lub cegiełkach, jest tak czysty, że prawie nie potrzebuje czyszczenia; z tego powodu sprzedaje się trzy razy drożéj niż kauczuk z Jawy, pomieszany z obcemi częściami, jakoto: ziemią, drzewem, mchem i t. d. Trzeci gatunek z Gabonu uważany jest za najgorszy z powodu zbytniéj wodnistości.

Rzeczywiste zużytkowanie kauczuku datuje się dopiéro od roku 1820. Główny postęp tego przemysłu zawdzięczyć należy panu Mackintosh w Anglii, a Rattierowi we Francyi: piérwszy niezmordowany w pracy, przez ciągłe proby na coraz nowe wpadał pomysły; drugi, pilnie rozpowszechniał wynalazki jego ważne, czyniąc w nich ulepszenia.

Kauczuk surowy ulega licznym przemianom zanim wchodzi do handlu. Sposób czyszczenia go, obmyślony przez pana Nikes zasadza się na zupełném rozmiękczeniu takowego za pomocą pary i płókaniu go wodą, dopóki nie pozbędzie wszelkich nieczystości. Kauczuk tak oczyszczony skoro znowu stężeje, jest mielony na proszek w młynku umyślnie na ten cel sporządzonym, który porusza maszyna parowa o małéj sile. W ten sposób przyrządzony dopiéro do wyrobów użyty być może.

Najpożyteczniejsze użycie kauczuku dotąd jest wyrabianie z niego nieprzemakających materyj. Fabryki Rattiera przyjąwszy pierwotny sposób robienia tychże materyi od Mackintosha z Glazgowa, posunęły bardzo daleko ich wyrabianie. Główne ulepszenie Rattiera zależy na smarowaniu materyi ciastem kauczukowém po jednéj stronie; w Anglii zaś maczają materyą w ciekłym kauczuku, co sprawia, że taka suknia brudzi odzienie, bo po obu stronach jest zaprawiona massą.

Wyrabiając w powyższy sposób, fabryka francuzka szła daleko wolniéj niż angielska (wyrabiano w fabryce Rattiera zaledwie 150 metrów dziennie), ale wyrób uznano powszechnie za daleko lepszy. Anglicy korzystając z ulepszenia Rattiera wkrótce go wyprzedzili: za pomocą nowo wynalezionych przyrządów doszli do takiéj szybkości w robocie, że dziennie produkować mogą nie 150, ale 1,000 metrów materyi nieprzemakającéj. Jednakowoż przyznać potrzeba, że wyroby ich są gorsze

od francuzkich, bo grubsze a mniéj trwałe, z powodu nadto grubéj warstwy kauczuku, która w użyciu pęka i odpada.

Prócz powyższego sposobu fabrykowania nieprzemakającéj materyi, jest jeszcze drugi, wynaleziony podobno w Wiedniu. Płótno robione z kauczukowych nici okręcanych jedwabiem zdawało się początkowo daleko lepsze od gumowanéj tkaniny, bo miało ciągliwość, któréj taż nie posiada; doświadczenie atoli pokazało, że kauczukowe płótno mniéj dobrze się nosi: najprzód dlatego, że jest ciężkie, łatwo się psuje z powodu nietrwałości jedwabnéj przędzy, a nadto wydaje mocny i niczém nie wywabiony odór, bardzo przeciwny noszącemu taką suknią.

Nowe odkrycie nie wiadomo przez kogo dokonane, bo kilku ludzi naraz do niego się przyznaje tak uporczywie, że sprawa o własność wynalazku aż przed trybunały się wytoczyła, nader ważne pociągnie skutki dla kauczukowego przemysłu. Chcę mówić o tak zwanym *Caoutchouc Volcanise*, giętkim i twardym.

Do kauczuku naturalnego dodawszy małą ilość siarki, dwudziestą część naprzykład, i tak pomieszaną massę wystawiwszy na 150 stopniową temperaturę, otrzymuje się kauczuk *wulkaniczny*, którego własności różnią się zupełnie od zwyczajnego. Dwa arkusze tak przyrządzonego kauczuku złożone razem, nie sklejają się w najgorętszéj nawet temperaturze, a w najzimniejszéj zachowują jednostajną elastyczność, którą zwyczajne tracą. Kauczuk wyleczony tym sposobem z dwóch głównych wad swoich, w tym stanie wyłącznie w użycie wprowadzony będzie.

Zdaje się, iż Amerykanin Goodyear znacznemi pieniędzmi, jakie łożył na doświadczenia, najwięcéj się przyczynił do powyższego rezultatu; w każdym razie nie ulega wątpliwości, że ten wynalazek z Ameryki przywieziony został do Europy.

Dwie są fabryki kauczuku *wulkanicznego* we Francyi, założone temu trzy lata przez dyrektorów kompanii kauczukowéj, Hutchisona i Andersona. Jedna z nich w departamencie Loary, pod dyrekcyą pana Langlet, jest ogromna. Maszyny jéj są o sile 250 koni i zajmują siedmiuset robotników. Druga fabryka w Paryżu zatrudnia dwustu robotników; obie po największéj części wyrabiają obuwie. Fabryka pana Langlet wyrabia 6,000 par na 24 godzin, a paryzka 2,000, co razem czyni bajeczną summę trzech milionów par obuwia rocznie, wyro-

bionego w saméj Francyi. Niezadługo produkcya będzie znacznie większa; fabryka paryzka zakupiona przez zasobniejszego właściciela ma potroić swoje maszyny.

Pomiędzy wystawionemi produktami uważaliśmy skóry i płótna kauczukowane. Skóry te miękkie i błyszczące, wejdą zapewne w powszechne użycie, mianowicie też przydatne się wydają na potrzeby wojska, rynsztunki, pokrycie furgonów i t. p. gdzie wielkie przysługi oddać mogą. Kauczukowany papiér pokryty po lewéj stronie grubą warstwą, nieprzemakającéj massy, nader użyteczny będzie na obicia we wilgotnych pomieszkaniach.

Jeżeli zamiast dwudziestéj części przymieszamy do kauczuku pół napół siarki, i tak pomieszany włożymy w kocioł parowy, po krótkiém parowaniu otrzymujemy kauczuk *twardy* nie ulegający stłuczeniu. Ta trzecia transformacya odda zapewne największe przysługi. Wszakże dotąd jest jeszcze na drodze doświadczania. Jednakowoż widzieliśmy już z téj massy meble, rękojeści do rozmaitych broni, instrumenta muzyczne, grzebienie i wiele innych drobiazgów; ale wszystkie te pożyteczne wyroby na oko wcale niepowabnie się wydają. Piérwszém staraniem fabrykantów powinno być nadanie jakiego koloru twardemu kauczukowi, gdyż bez tego, wszelkie zeń wyroby będą podobne do gumowego kalosza.

W roku 1843 doktor Montgommery piérwszy zwrócił uwagę przemysłowców na massę zwaną gutta-percha. Jestto sok wielkiego drzewa tegoż nazwiska z wyspy Singapore. Gutta-percha podobna powierzchownie do kauczuku ma odmienne własności. Mniéj elastyczna, topi się łatwo przy pięćdziesięciu stopniach ciepła. We Francyi jest używana powszechnie na rury do prowadzenia wody pod ziemią. W tém zastosowaniu materyał ten nie ulegający rdzy, może oddać wielkie usługi. Odtąd przemysł gutta-perki wyszedł już z kolebki, i domyślać się każe swéj wagi w przyszłości.

Pominąwszy już telegrafy podwodne, które zapewne nie mogłyby wejść w wykonanie bez guttaperkowego pokrowca, takaż łódź nadesłana z Ameryki i urządzona tak, że się niełatwo przewrócić może, a obok tego nadzwyczaj lekka, nie ulega ani gnicia ani rdzewienia, najlepszą jest skazówką, że ten materyał nie na drobnostki, ale na roboty większe i ważniejsze od natury był człowiekowi dany. Łódź ta ulana jest z jednéj

sztuki jak kalosz; boki jéj tworzy wydęty powietrzem okrągły wał, który statek czyni prawie niepodobny do zatopienia lub przewrócenia, a przytém siedzącemu wewnątrz daje miękkie oparcie. Ławki we środku zrobione są z twardego kauczuku i takież same wiosła, które mając własność fiżbinu, przy najsilniejszym nacisku gną się, ale nie łamią. Amerykanie myślą już o budowaniu czyli laniu guttaperkowych okrętów, do czego raz sporządziwszy potrzebne formy, potężną flotę jak woskową świecę ulać będą mogli. Taki okręt używać będzie jeszcze téj korzyści, że elastyczne jego boki niełatwo kula przestrzeli, a skała nie tak prędko przedziurawi jak drewniane, a nawet żelazne statki.

Przy maszynach gutta-perka jest nadzwyczaj dogodną: rury z miedzi i żelaza, przez niegiętkość swoję, modyfikowały częstokroć cały układ maszyny; rurka z gutta-perki nie będzie zawadzać ruchowi, bo do pewnéj granicy może się rozciągać; może np. łączyć części w ruchu będące z częścią, która jest w spoczynku. Pasy ruch odsyłające, resory, rury do sikawek, krążki z gutta-perki są trwalsze i lepsze, niż skóry.

Przeczuwając tak wielostronne użycie tego materyału, z którego nowe pokolenia ciągnąć będą nieobliczone dziś pożytki, miał słuszność Heine, mówiąc, że w przyszłości poczuwa mocny odór kauczuku.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

VI.

Chasseriau, Iwon, Horacy Vernet, Hamon, Chenavard.

Teodor Chasseriau uczeń Ingra, młody malarz niepospolitych zdolności, którego dzieła na poprzednich wystawach paryzkich już kilka piérwszych nagrod otrzymały; prócz czterech dawniejszych obrazów wystawił *Obronę Gergowii*, ustęp z wojen rzymsko-gallickich, którego treść wziął z komentarzy Cezara.

Wódz Gallów Vercingetorix (co znaczy dosłownie *Wielki wódz tysięcy głów*), bohater niezrównanego męztwa, chcąc stawić opór rzymskiéj potędze, wpada w nocy z garstką żołnierzy do Gergowii, skłania do obrony zagrożone miasto i stacza z Rzymianami bitwę, w któréj Cezar, jak sam powiada, cudem

prawie uniknął śmierci. Ale ta bohaterska obrona i dotkliwa klęska jaką ponieśli Rzymianie pod murami Gergowii, na krótko przedłużyła niepodległość Gallów. Vercingetorix niezadługo oblężony w Alezyi, pojmany i odprowadzony do Rzymu, sześć lat czekał w wilgotnym lochu na tryumf Cezara, w którymto dniu wyzionął wielkiego ducha pod toporem kata, nie zostawiając innego historyka, któryby pamięć jego czynów przechował światu, prócz swego wroga Cezara.

Nic dziwnego, że przedmiot tak podniosły i postać rycerza uwieńczonego jak drugi Winkelried aureolą zapału i poświęcenia dla ojczyzny, jawiąca się u kolebki dziejów francuzkich, wysoko natchnęła artystę, znanego miłośnika historyi starożytnéj. Jego pędzlem oddana obrona Gergowii, jest prawdziwą apoteozą gallickiego wojownika.

Na ciemném tle obrazu rysują się poszczerbione mury twierdzy, a na nich rozczochrane kobiety miotają przekleństwa wrogom, a błogosławieństwa odchodzącym mężom, których Vercingetorix na spotkanie Rzymian prowadzi. Waleczny zastęp pędzi naprzód niechronny zbroją przed pociskami nieprzyjaciół: nagie piersi i nagie czoła idzie zetrzéć o stal rzymskich pancerzy i rzymskich hełmów. Nieustraszeni żołnierze patrząc śmierci oko w oko, jedną ręką odgarniają z czoła wiatrem targane włosy, co im wzrok zaciemniają, drugą napinają strzały, co pewną śmierć poniosą najezdnikom.

Chassériau z przenikającą prawdą maluje starożytne rassy; z oschłego szkicu historycznego umié odtwarzać całe wymarłe pokolenia owych dziwnych i strasznych ludzi, których rysy odrębne i dzikie uderzają nas jakby przypomnienie z przeszłego życia. Z niemniejszą sztuką artysta umié odróżniać te ludy pomiędzy sobą, nadawać im charaktery sprzeczne, które się nigdy w zestawieniu nie pomieszają: co czyni jego obrazy bitew tak zrozumiałe i zajmujące, gdyż tłumaczy odrazu, czemu ci ludzie walczą ze sobą. Główną piękność *Obrony Gergowii* stanowi właśnie kontrast Gallów z Rzymianami. Jasne włosy piérwszych i rumiane ich twarze nacechowane szaloną odwagą, dziwnie odbijają od śniadego oblicza, lodowatéj dumy i rozważnego męztwa Rzymian. Pieszy zastęp wybiegający z twierdzy, po mistrzowsku narysowany: czujesz, że to garstka wybranych mająca się poświęcić za ojczyznę. Wódz jedzie przy nich na koniu. Żywe światło pada na błyszczące oczy i twarz bohatera pełną świętego zapału. Grupy kobiét zgromadzone na murach fortecy rozta-

piają się w cieniu: postawy i ruchy ich są nadzwyczaj wymowne. Jedna z nich jakby przypomnienie zagrożonego przez wroga rodzinnego szczęścia, podnosi w górę i pokazuje obrońcom Gergowii nowo narodzone niemowlę; inna, siwo-włosa, trzyma w objęciu konającą dziewicę śmiertelnie ugodzoną rzymskim pociskiem. Żołnierze Vercingetorixa ostatniém spojrzeniem żegnają drogie istoty, a podnosząc w górę ręce, przysięgają na wzór świeżo poległych braci, że nie powrócą do domu, nie uściskają żony, ojca, dzieci, dopóki szyków rzymskich nie przeprą. Rzadkie zalety wykonania, wielkość stylu, pewność rysunku, żywość kolorytu, wymownie oddają wysoką myśl i znaczenie moralne tego wspaniałego obrazu.

Nietylko wojowników umié malować Chassériau; pędzel jego szorstki, w potrzebie znajduje miękkie cienie i wdzięczne farby na oddanie rysów niewieścich; więcéj powiem, mimo świetnego powodzenia na polu epicznem, Chasseriau malując kobiety zdaje się iść za wrodzonym talentem: zdaniem naszém lepiéj oddaje piękność niż grozę. Dowodem *Tepidarium*, obraz tak powabny i wdzięczny, że na opisanie jego trudno znaleźć wyrazów.

Artysta przedstawił salę znalezioną w Pompei, która jak motyl w bursztynie przechowała się w wulkanicznym popiele nienaruszona. Freski, rzeźby, meble, farby, złoto, materye, wszystko tu pozostało prócz życia... Widząc tę okazałą i świeżą formę, myśl o śmierci odbiega daleko: złudzenie jest tak silne, że najmniéj poetyczna wyobraźnia zaludni te gmachy gronem dawnych mieszkańców, poeta zaś lub malarz przysięgnie, że ich widział nie we śnie, ale na jawie. Kto o tém wątpi, niechaj spojrzy na obraz pana Chassériau.

W starożytnych łaźniach zwano *Tepidarium* salę, gdzie kąpiący osuszali się, ubierali i odpoczywali. We środku sali jakby krater bronzowy na lwich łapach stawiano *brazero*, ogromne naczynie napełnione żarem. Takie *brazero* od ośmnastu wieków zagasłe, Chassériau rozpalił na nowo, i otoczył wieńcem prześlicznych kobiét, które oświeca z góry prostopadły promień światła, wciskający się przez otwarte okno, a z dołu zarumienia czerwony odblask ogniska. Pompejanki napół nagie w powabnym nieładzie, napełniają salę gwarem i ruchem: jedna, długie warkocze zaplata przeglądając się w metalowém lusterku; inna wyjmuje z kufereczka klejnoty w które się ma ustroić: ta przeciąga

się podnosząc ręce w górę, ta się do ognia przybliża, inne rozmawiają o wczorajszém igrzysku i dzisiejszych plotkach. Na piérwszym planie tyłem odwrócona blondynka schylająca się po niebieską draperyą, okryta strumieniem złotych włosów, co jéj spadają na śnieżne ramiona błyszczące jeszcze kroplami pachnącéj kąpieli, i druga czarno-oka dumna i wyniosła, w biały płaszcz uwinięta, są dwie najwydatniejsze figury obrazu, zapełnionego aż po brzegi głowami tak czysto starożytnéj piękności jak te, które na ówczesnych medalach i kameach aż do naszych dożyły czasów.

W tymże rodzaju, któryby intuicyjnym nazwać można, Chasseriau wymalował jeszcze kilka obrazów: *Trojańskie niewolnice płaczące nad morzem; Andromedę na skale; Dyannę* i *Akteona*, ale żaden z nich nie może się równać z *Tepidarium*, który zdaniem znawców jest nietylko najpiękniejszy z dzieł pana Chassériau, ale nieskończenie wyższy od licznych obrazów, naśladujących w Pompei odkopane malatury.

Afrykańskie obrazy tegoż artysty także zasługują na uwagę. Zwiedzających te strefy malarzy najwięcéj zwykle uderza różnica światła, błękit nieba, metaliczna zieloność drzew figowych i kaktusów, malowniczość ubiorów, dziwactwo broni i rynsztunków; mało który zważał na piękność rassy arabskiéj: malowali ich obyczaje i ubiory nie starając się oddać idealnego typu ich piękności. Chassériau piérwszy może, kosztem szczegółów cały swój talent zwrócił w tę stronę, i starał się oddać te blade i ściągłe twarze, rozjaśnione namiętnie smętnemi oczyma i wązkiemi usty, co zda się drżą i palą jak kwiat szkarłatny rozwity pod gorącém tchnieniem pustyni. Piérwszy uchwycił i rozlał na wizerunku Araba wrodzoną szlachetność i tajemniczy spokój, cechujący wyznawców proroka. Przejęty ich pięknością Chassériau znalazł farby na oddanie tych spojrzeń, co straszą lub zachwycają; potrafił skupić w nich iskry płonące w źrenicy lwa gniewnego, albo je przyćmić welonem smutku i tęsknoty. Niemniéj wiernie odmalował fałdziste ich odzienie, które najuboższy Beduin nosi z poważną prostotą, nie domyślając się wcale, że do greckiego posągu podobny.

Wodzowie arabscy wyzywający się do boju Homeryczne przypominają kształty; jakoż w istocie sposób życia wodzów arabskich najwięcéj podobno dzisiaj zbliżony do obyczaju bohaterów Iliady: Hektora lub Achillesa jeszcze pod arabskim burnusem napotkać można. Nieznajomość nowoczesnéj strategii każe

im wyłącznie polegać na własnéj sile i odwadze osobistéj. Chassériau wystawił dwóch przeciwników chwilę przed rozpoczęciem boju: obaj na szerokich strzemionach podniósłszy się, posyłają sobie wzajemnie pełne obelg i przechwałek przemowy, których klassyczne wzory licznie podaje Iliada. Dawnemi czasy ludy południowe zazwyczaj tym sposobem zagrzewały się do walki; arabskie zaś plemiona do dziś dnia rozstrzygają pojedyńczo publiczne zwady: jak niegdyś Rzymianie i Sabinowie, kilku z pomiędzy siebie wybierają wojowników, na których męztwie polega los całego plemienia. Obraz ten zdjęty wiernie z żywych wzorów, odznacza się kolorytem miejscowym. Z postawy i twarzy dwóch wojowników czytasz nieomal każdy wyraz miotany przez gniewne ich usta; bronie, siodła, konie i rynsztunki kopiowane są z natury, nie, jakto często bywa, z drewnianego rycerza, ustrojonego w zakupione na tandecie przybory.

Powyżéj wymienione zalety stosują się całkowicie do drugiego obrazu *Arabowie zbierający swych poległych na pobojowisku*, który rozmiarami i duchem odpowiada poprzedniemu.

Zakończając wyliczenie dzieł pana Chassériau wspomnieć jeszcze należy o jednéj z pierwszych prac jego: *Zuzannie wypatrzonéj przez starców*. Styl tego obrazu zupełnie odrębny od późniejszych, przypomina surowością szkołę gotycką Ingra. Zuzanna okryta lekką draperyą stoi zanurzona po kolana w przezroczystéj wodzie, ocienionéj dokoła drzewami. Piękne jéj ciało zda się zarumienione wstydem pod spojrzeniami dwóch starców, którzy z za drzewa pożądliwie jéj się przypatrują. Przeczuwając podejście jak spłoszona sarna odwraca głowę, nagłym ruchem odpięte włosy opadają jéj na plecy, po których igra promyczek słońca, przesiany przez drżące liście drzewa.

Biblijno-hebrajska piękność Zuzanny, któréj plastycznego wzoru nie mógł nigdzie napotkać artysta, jednym więcéj jest dowodem, jak Chassériau umié odgadywać wygasłe pokolenia znane mu zaledwie z historycznéj wzmianki, legiendy, lub poematu. Mieliśmy sposobność przekonać się o tém dokładnie na wystawie paryzkiéj 1853 roku. Prócz kilku innych, Chassériau wystawił wtedy mały obrazek przedstawiający na nieżywym koniu konającego Mazepę, którego ukraińska dziewczyna napotyka i od śmierci wybawia. Otóż, prawda z jaką cudzoziemiec po-

trafił oddać energiczny wdzięk i nieśmiałość ukraińskiéj dziewczyny, nigdy jéj w życiu nie widziawszy, uderzyła nas niezmiernie i kazała ślepo polegać na intuicyi, z jaką artysta inne nieznane nam typy odtwarza.

Iwon silny i wyrazisty swój pędzel prawie wyłącznie poświęca Rossyi. Obrazy jego pełne życia i energii ściągają tłumy ciekawych, bo każdy z tych obrazów jest jak aktor wyborny, który chociaż niezrozumiałym mówi językiem, z giestów i wyrazu twarzy każdy myśl jego odgadnie.

Prócz wielu drobnych ustępów z życia wieśniaczego i wojskowego Rossyan, Iwon wystawił epizod z kampanii 1812 roku: marszałka Neya zasłaniającego odwrót armii francuzkiéj z Rossyi.

Pod mroźném niebem jak okiem dojrzysz, ciągnie się śnieżysta przestrzeń zasłana trupami koni i jeźdźców napół zagrzebanemi w śniegu; tu i owdzie ciemna sosna sterczy jak widmo pogrzebne; ciężkie dymy z popalonych włości wloką się nizko duszącą miazmą napełniając powietrze; kruki ostrzą dzioby i zwołują się na biesiadę: natura straszna, zagniewana, jednym podmuchem tysiące ludzi zgładza... a lodowatą rękę położywszy na szalach, zwycięztwo na stronę Rossyi przechyla.

Przy wzgórku naprzeciw nadciągającéj rossyjskiéj armii, kilkunastu ludzi a raczéj upiorów, tylko moralną trzymanych siłą, stoi w ponurém milczeniu; przez podarte mundury widać wychudłe ich ciała, napół zmarzłe nogi pookręcali szmatami; a z ran źle opatrzonych krew im się sączy. Pomiędzy nimi nieustraszony Ney sam jeden rozjaśnia uśmiechem męzkie oblicze, jak gdyby mówił: gardzę śmiercią. Przy jego boku młody oficer niezdolny wytrzymać tak ciężkiéj proby, pada, spoglądając martwym wzrokiem na pałający na palcu brylantowy pierścionek, zapewne drogi upominek miłości. W głębi i na przodzie widać ciągnących w rozsypce żołnierzy: silniejsi ostatkiem życia starają się rozgrzewać padających kolegów, których mróz na śmierć usypia.

Ta scena rozpaczy oddana ze świadomością miejscowego kolorytu, przestraszająca prawdą, zjednała Iwonowi wielkie pochwały tutejszych artystów. *Bitwa pod Eylau* Grosa, w któréj usilnie śnieżnych szukał efektów, wydaje się jak dziecinna zabawka obok *Odwrotu* Iwona. Trzeba atoli przyznać, że tyl-

ko północne typy i północne obrazy genialnie przedstawiać umié: na innem polu udaje mu się mniéj szczęśliwie; chyba, że wybierze przedmiot okropny, jak naprzykład: siedm obrazów z Dantejskiego piekła przedstawiających potępieńców, karanych za każdy z siedmiu grzechów śmiertelnych.

Trzymając się ściśle Dantejskich opisów, tych, co za życia złością grzeszyli przedstawia Iwon płynących po mętnych wodach Styxu, na łodzi mającéj lada chwila zatonąć pod gwałtownym naciskiem potępieńców, którzy się biją, gryzą i włosy sobie wyrywają wzajemnie. Rozpustnicy płci obojéj szamotani wiatrem latają w powietrzu, paleni nigdy nienasyconą żądzą. Skąpcy dźwigają ogromne wory upadając pod ich ciężarem. Żarłoków błotnisty deszcz moczy nieustannie. Na dumnych ogień z nieba pada: mąż napoły strzaskany piorunem przyciska do piersi herby przodków, a obalona niewiasta wstrzymuje oburącz chwiejący się na czole złoty dyadem. Zazdrość z wężami na głowie trzyma dwie nieszczęsne ofiary, które dwie jędze, Megiera i Alekto biczują żmijami. Leniwi wiecznie chodzą bez celu. Potrzeba było dokładnéj znajomości rysunku, żeby wystawić tyle grup odmiennych, nadać każdéj kształty i ruchy odpowiednie bujnéj wyobraźni Danta; a przecież nic niepodobne ludzkiemu ciału. To téż malarz przejęty trudnością zadania nie dosyć polegał na własnych siłach, i nietylko pilnie studyował Michała Anioła, ale kilka figur z *sądu ostatecznego* żywcem przeniósł na swoje płótno.

Horacy Vernet ze wszystkich malarzy francuzkich najlepiéj znany światu, zajmuje jak Ingres jednę całą salę na wystawie; zgromadziwszy wszystkie dzieła swoje, z łatwością mógłby ich kilka zapełnić, bo żaden artysta szybciéj nie włada pędzlem, ani z większą płodnością większéj nie łączy pracowitości.

Nic trudniejszego dla malarza, jak przedstawiać artystycznie sceny z historyi bieżącéj; wzory sztuki koniecznie potrzebują perspektywy. Wypadki dokonane w naszych oczach są oznaczone tak pewno, tak rzeczywiste, że ich idealizować prawie niepodobna. Porównanie obrazu z oryginałem żyjącym nadto jest łatwe, żeby w nim pozytywna krytyka nie odkryła różnicy, bez względu na to, że oko artysty nie jest szkłem dagierotypowéj maszyny, i że prawdziwy malarz musi koniecz-

Biblioteka Sejmu Śląskiego

nie mieszać uczucie własne do kopii zdjętych z natury. Pilne studyowanie starożytnych arcydzieł niemało się przyczynia do lekceważenia rzeczywistości: co wreszcie jest rzeczą bardzo naturalną. Nic dziwnego, że artysta narysowawszy wedle starych mistrzów tysiące idealnych bogów, pół-bogów, bohaterów, nie upatruje piękności w sztywnym pod szyję w mundur opiętym żołnierzu, lub symetrycznie wyciągniętym szeregu kawaleryi, gdzie koń przy koniu, a chłop przy chłopie stoi nieruchomy, jak rzęd samowarów.

Vernetowi należy się przeto słuszna wdzięczność, iż może z uszczerbkiem miłości własnéj chciał i potrafił być malarzem swojéj epoki: że wyrzekłszy się wojowników w stalowych pancerzach i klassycznych hełmach; wyrzekłszy się puklerzów złotych i wiatronogich rumaków, zstąpił na tegoczesną ziemię i maluje poprostu żołnierzy w czakach lub bermycach; ładownice, kamasze i mundury wszelkiéj broni takie, jakie każdy obaczyć dziś może w koszarach lub na paradzie. Konnica jego nie jeździ na marmurowych rumakach Fidiasza, ale na zwyczajnych pułkowych mierzynach, okulbaczonych po formie, czasem nawet nie po formie, nędznych i wychudłych.

Zdaje się z pozoru, że nic łatwiejszego, jak takie rzeczy malować; a rzeczywiście oddać je najtrudniéj, bo poezya nowoczesna nie jest skończona ani określona jak poezya starożytna: trzeba ją odgadnąć i obmyślić dla niéj nową formę. Vernet nie miał, jak starożytni artyści pewnych wzorów, uświęconych tradycyj, wytkniętych reguł; ażeby malować wojsko, tego zbiorowego bohatera, który wart pewnie Achillesa i Hektora, wszystko sam stworzyć musiał: rysunek, kolor, układ; a chociaż pod względem stylu i kolorytu nie dorównywa włoskim, flamandzkim i hiszpańskim mistrzom, to wielbicieli znajduje nierównie więcéj, bo jest wesoły, zrozumiały i dowcipny.

Bitwy pod Jemmapes, Valmy, Hanau i Montmirail zajmują całą jednę ścianę sali. W piérwszéj widzimy na przodzie Dumuriera ze sztabem, któremu oficer przynosi raport z pola bitwy; na prawo płoną chaty wieśniacze, na lewo żołnierze niosą konającego, niżéj wóz pełen rannych posuwa się zwolna; w głębi pośród dymu od wystrzałów widać walczące szeregi. Bitwa pod Valmy odróżnia się od innych malowniczością

układu. Na przodzie stoi młyn i domostwo przemienione na lazaret wojskowy, przed nim nieprzyjacielski granat pęka i zabija konia pod Kellermanem; daléj widać grenadierów francuzkich w bojowym szyku i ogromną przestrzeń wojskiem zasianą. Drugie dwie bitwy żywo narysowane, żadnym szczególnym nie odznaczają się ustępem.

W ogóle w tych obrazach podziwiać trzeba sztukę, z jaką Vernet umié zatrudnić wszystkie wprowadzone figury: żadna z nich nie próżnuje, każda przyczynia się do akcyi ogólnéj: ci atakują, ci się bronią, ci zabijają, ci umierają, a każdy inną ma pozę i inny wyraz twarzy, co nadaje całości zadziwiającą rozmaitość. Do téj zalety Vernet łączy doskonałą znajomość ubiorów wojska francuzkiego; od roku 1792 aż do dziś dnia wié jakie każdy pułk nosił i nosi mundury; prędzéj krawiec wojskowy niż on się omyli ubierając swoich żołnierzy. Jak maluje konie, o tém mówić zbytecznie, boć z tego słynie po całym świecie.

Pominąwszy inne obrazy bitew powszechnie znane ze szlychów, jakoto: *Rogatka Clichy*, *Oblężenie Rzymu* i t. d. przechodzimy do seryi obrazów, na które materyi dostarczyły Vernetowi kampanie afrykańskie. Z tych na piérwszém miejscu należy położyć *la Smalę*. Jestto obraz podłużny nadzwyczajnych rozmiarów, rozwijający się jak ogromna panorama, którąby niemal można całe wnętrze jakiéj okrągłéj sali otoczyć. Ażeby obejrzéć tę olbrzymią kompozycyą, potrzeba przejść długą galeryą, któréj jednę ścianę zajmuje: całości objąć naraz nie można. Gotyccy artyści malowali podobnie na jedném płótnie rozmaite ustępy tejże saméj legiendy: Vernet jeden i tenże sam dramat przedstawił jak się roztaczał na szerokim horyzoncie.

Trudno było napotkać więcéj malowniczy przedmiot. Jestto napad strzelców afrykańskich na obóz arabski. Nagłe zjawienie się nieprzyjaciela cały obóz wtrąca w nieopisany popłoch i trwogę. Namioty, które jak huragan wywraca nagłe parcie nieprzyjaciela, walą się odkrywając najrozmaitsze sceny: tu kobiety i dzieci przywalone płóciennemi ścianami swych domów siłą się z pod nich wydobyć; tu przelęknione trzody i oswojone sarny pierzchają w pustynię; tu żyd pospiesznie gromadzi worki z pieniędzmi, tu negrzyce korzystając z okazyi dojadają pańskie łakotki, tam eunuchy wsadzają

na wielbłądy żony emira: wszędzie pośpiech, zamęt i przestrach. Uparta walka Arabów z Francuzami na całéj linii trwa bez przerwy. Dokoła walczących błyszczą porozrzucane różne sprzęty, drobiazgi i bogactwa wschodnie, które koczujący Arab wlecze za sobą wraz z namiotem i żoną, jakoto: yatagany, filiżanki, drogie materye, perłowe naszyjniki, nargihle pookręcane na mosiężnych butlach, długie cybuchy z pachnącéj wiśni, cedrowe kuferki wysadzane perłową macicą, marokańskie skrzynie pokryte arabeskami jak mury Alhambry, aksamitne siodła, strzelby, burnusy, dywany i t. d., wszystko odmalowane żywo, jasno, z efektem łatwym, który uderza i podoba się powszechnie. Z całego obrazu najznakomitsza jest szarża francuzkiéj kawaleryi: ogniste rumaki potrójnym galopem pędzące wprost na widza, są arcydziełem w całém znaczeniu tego słowa.

Jeden z lepszych utworów Verneta jest *zdobycie Konstantyny*. Żuawy z niezrównanym zapędem uderzają na bramy miasta, nie zważając na gęste pociski, któremi z góry prażą ich Araby, jawiące się na wałach jako białe widma.

Piękny jest także ustęp z kampanii przeciw Kabylom, podobno ostatni obraz Verneta. Wśród nieprzejrzanéj okiem pustyni wznosi się ołtarz ustawiony z bębnów, a na nim krzyż drewniany uwieńczony kwiatami; biskup odprawia mszą; żuawy poklękali wkoło ołtarza, a kilku Arabów stojących z boku z powagą przypatruje się katolickiemu obrzędowi. Opodal widać armaty, które przy *podniesieniu* potrójną grzmią salwę.

Ustępy z życia rodzinnego Arabów także są dobre; mianowicie *powrót z polowania na lwa* zaleca się wesołością i dowcipem. Odartą z króla pustyni skórą przykryty potulny osioł, stąpa drobnym krokiem, prowadzony przez uradowanego chłopca; po obu stronach idą dumni zwycięztwem strzelcy.

Obrazy biblijne wcale się nie udają Vernetowi. *Rebeka u studni* mniéj niż mierna; *Judyta ucinająca głowę Holofernesowi* daleko lepiéj przez wielu innych malarzy przedstawiana była.

Ze wszystkich wystawionych obrazów Verneta, *Mazepa* podoba nam się najwięcéj. Malarz koni jakim jest Vernet, nie mógł lepszego obrać sobie przedmiotu. Stado dzikich ukraińskich rumaków zbiegające się do konia Mazepy, co wy-

cieńczony biegiem pada nieżywy, dotarłszy do rodzinnego stepu, z nieporównaną oddane mocą. Artysta rozwinął tu całą swą sztukę, całe znawstwo końskiéj anatomii, którą w tak wysokim posiada stopniu. Jestto obraz niewielki, który gołém okiem widziany traci połowę wartości, bo ciemne tło jego chłonie mnóstwo ciekawych szczegółów; ale przez powiększające szkło nań patrząc w zdumienie wprawia widza. Konie nieomal do naturalnéj powiększone formy, wydają się jak żywe; na wyciągniętych szyjach zda ci się że widzisz drgające muskuły, rozwiane grzywy i ogony igrają z wiatrem, rozwarte nozdrza chciwie chwytają powietrze lub zieją ogniem, kopyta prawie nie tykają ziemi, w oczach iskrzących i ciekawych błyszczy jakby promień czucia i intelligencyi.... To wiatronogie stado w tysiącznych zwrotach, skokach i pląsach w lot schwytane i przeniesione na płótno, samo jedno jużby poniosło Verneta do nieśmiertelności.

Przeciwstawieniem męzkiéj siły Verneta są naiwne, miękkie i nieokreślone obrazy Hamona, na których wzrok zatrzymawszy wydaje się, że nie malowidło, ale otwarte okno masz przed sobą zasłonione krepową firanką, poza którą żywe przedmioty jak przez mgłę spostrzegasz. Hamon jest przedewszystkiém poetą: podaje myśl do obrazu, ale niezawsze ją urzeczywistni. Nakreślone przez niego postacie naśladują greckie freski wiernie, ale waporycznie i blado jakby odbicie w krynicznéj wodzie. Wszakże formy te choć nie oznaczone i drżące, narysowane są z wdziękiem i elegancyą, zdradzają rzadkie poczucie dobrego smaku.

Kogóż z przebiegających salony wystawy nie zachwyciły dwa obrazki Hamona, przedstawiające dwa ustępy z życia dziecinnego, tak płodnego w pocieszne epizody. Jeden nosi tytuł: „*Mojéj siostry nie ma*", drugi „*To nie ja*". Obydwóch przedmiot niewyszukany. Pierwszy przedstawia stolik pełen dziecinnych zabawek ustawiony wśród ogrodu; na czterech jego rogach konają cztery motyle osadzone na śpilkach, we środku chrabąszcz na długiéj nici przywiązany za nogę, pewnéj czeka zguby. Przed stołem cztéroletnia dziewczynka i chłopiec z minką złośliwą, zasłaniają, rozszerzywszy koszulki, starszą siostrę, któréj przyjaciel podrostek przynosi dwa ptaszki w klatce, i odpowiadają mu: „nie ma siostry". Figlarna

dziewczyna schylająca się za parą malców, żeby jéj z poza nich dojrzeć nie można, oraz zafrasowana twarz chłopca, który ją widzi doskonale i to przyjęcie niepochlebnie sobie tłumaczy, oddane są z rzadką naiwnością i prawdą.

Na drugim obrazku dzieci stłukły porcelanową figurkę; nie mogąc zaradzić szkodzie, jeden z malców porywa się za włosy z okropnym wyrazem rozpaczy, drugi zaczyna krzyczeć przeraźliwie: siostra tylko nie traci fantazyi. Wtém przywołana krzykiem wchodzi matka i pyta kto stłukł figurkę? Chłopcy odpowiadają chórem „to nie ja," a dziewczyna pokazuje lalkę jako sprawczynią złego, i wylicza jéj na kolanie kilkanaście dyscyplin.

Otóż w tego rodzaju obrazkach celuje Hamon. Jest ich kilka na wystawie, ale żeby je ocenić trzeba je widzieć koniecznie, bo prostota to ma do siebie, że się łatwo z pod pióra wymyka.

Ludzka komedya, roboty tegoż artysty, grzeszy zbytkiem mistycyzmu. Co znaczy teatr maryonetek, gdzie zamiast diabła, żyda i czarownicy, występuje Bachus, Kupidyn i Minerwa? Co znaczy ten tłum w nowoczesne ubrany suknie, otaczający Homera, Sokratesa, Eschyla, Danta i Szekspira? Obraz ten powabny a ciemny jest łamigłówką dla patrzących. Na piérwszym planie małe dzieci siedzą rzędem przypatrując się maryonetkom. Scena przedstawia Kupidyna wiszącego na szubienicy, pijanego Bachusa z czarą pełną wina, i tryumfującą Minerwę w złotym hełmie; we środku widać fantastyczną postać poruszającą tych niemych aktorów, na których patrząc Dante pisze swoję Boską komedyą. Homera ślepego prowadzi dziecko, Diogenes z latarnią szuka człowieka, Eschyl i Sophokles zasłaniają twarze tragiczną maską: dokoła ciągnie orszak złożony z ludzi, którzy zdają się jedni drugich przedrzeźniać. Niezrozumiały ten obraz pobudza do myślenia i zaostrza ciekawość jak trudna do rozwiązania szarada; w końcu chociaż umysłu nie zadowolni, to ubawi oko tłumem rozmaitych ludzi, których fizyonomie po większéj części są bardzo wyraziste.

Wielbiciele obrazów Hamona, i ci, co talentowi jego oddają sprawiedliwość, słusznie domagają się od niego nieco więcéj precyzyi i koloru. Na płótnach jego prawie nie pokrytych

farbą, przedmioty snują się jak cienie, a co najwięcéj trwoży widzów to to, że pędzel jego coraz blaknie; uważaliśmy, że ostatnie utwory są najbledsze. Jeżeli artysta pójdzie daléj tym trybem, niezadługo zapewne wystawiać będzie białe płótno. Nieprzeładowanie farbą i lekkość wykonania są niezawodnie zaletami obrazu, ale istnienie jest warunkiem wszechrzeczy. Nawet duchy jeżeli chcą być widziane, muszą się wcielić w materyalną formę.

Paweł Chenavard twórca panteistycznéj historyi ludzkości, złożonéj z 53 ogromnych obrazów, które z polecenia rządu wykonał był na ozdobę nieistniejącego już Panteonu, wystawił kilka ułamków z tego olbrzymiego dzieła, które skutkiem zmiany okoliczności chybiło swego przeznaczenia. Z oderwanych od całości obrazów, jak z wydartych kart książki, ani ogólnego poglądu na dzieło wyrobić, ani wyrokować o niém nie można: obrazy przeto Chenavarda o tyle tylko zajmują, o ile same w sobie stanowią całość.

Jako taki na szczególną zasługuje wzmiankę ustęp z historyi Cezara: *Przejście Rubikonu.* Jestto utwór zupełnie oryginalny: malarz nie trzymał się w układzie jego ani podań Suetona, ani Plutarcha; nie przedstawił ani gallickiego pasterza z fletem, głuszącego czarem muzyki głos sumienia w żołnierzach Cezara, o którym mówi pierwszy, ani przyjaciół Cezara namawiających legionistów do zbrodni, o których wspomina Plutarch. Sam, zdala od obozu strzeżonego przez wspartych na dzidach szyldwachów, przyszły dyktator wjeżdża konno w głębokie nurty Rubikonu, który państwo jego ogranicza. Z wolnego chodu konia zgadujesz wahanie jeźdźca. Cezar choć oddawna nakreślił w myśli plan nieodzowny, waha się w chwili stanowczéj, i zadaje sobie pytanie: iść-li na Rzym, czy nie iść? Na pięknéj, marmurowéj twarzy jego widać przecież wyraźnie, iż go wstrzymuje nie cnota, ale obawa przegranéj; tylko nad niepewną szansą zwycięztwa duma w noc czarną, stojąc już jedną nogą w zakazanéj wodzie, ten, co zwykł był powtarzać z Eurypidem: „Jeżeli pogwałcić słuszne prawo, to tylko na to, żeby panować: zresztą we wszystkiém stosujmy się do prawa". Powyższy obraz jest bardzo znakomity; postawa Cezara przypomina bohaterów Jules-Romaina, na którego Chenavard zwykle się zapatruje.

Ogrom galeryi francuzkiéj zmuszający do pośpiechu, nie pozwala dłużéj zastanawiać się nad dziełami tego znakomitego

artysty; dodamy więc tylko, że filozoficzny pędzel jego należy raczéj do niemieckiéj niż do francuzkiéj szkoły. Wbrew przyjętéj tutaj modzie zwykł on poświęcać szczegóły dla myśli ogólnéj, nie myśl dla szczegółów.

A teraz porzucając z żalem obrazy Jalaberta, Heberta, Pujola, Boulangera, Flaudrena, Lehmana, Wintherhaltera, Bariassa, Bellangera, Meissonniera i tysiąca innych malarzy francuzkich historycznych lub pół-historycznych, tak zwanych *de genre*, których mnogie dzieła zaledwie w kilku tomach opisaćby można: przechodzę do znakomitszych peizażystów, z któremi porzucając galeryą francuzką, jeszcze koniecznie zaznajomić się wypada.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MAJ.

POEMAT KAROLA IGNACEGO MACHY,

PRZEŁOŻONY Z CZESKIEGO

PRZEZ

Bronisława Maleckiego.

Dalekat cesta mà!
Marné wolànj!!

Słówko tłumacza.

Gdy za błogosławieństwem Assarmota rozrosłe plemię słowiańskie, w gniazdowych swoich nie mieszcząc się już posadach, nowe przyswajało sobie siedliska: szczep jeden ulubiwszy sobie staréj Laby i Mołdawy wybrzeża, rozsiadł się potężnie na obszernéj powierzchni w czworobok górami obwarowanéj, i oddzielnym silnie zakwitnął bytem.

Język, ten symbol w który się powoli wszystkie dzieje narodu wcielają, uległ i tutaj wpływom samodzielnego narodowości rozwoju, a na przyniesionych z domu wspólnych słowiańszczyznie podstawach, wyrobiła się wkrótce oddzielna mowa czeska.

Starato mowa, jak stare są dzieje chwały czeskiego ludu. Rozgrzmiawszy niegdyś w pieniach Lumira, zasłynęła wcześniejszą ogładą i bogactwem, wylała się za granice swego narodu, Piastowskiéj Polski licznemi dosięgła stosunkami, przybyła z Dąbrowką, upowszechniła się z Wacławem, a w domu zbogacana

pracami zaginionych dzisiaj pisarzy, przewodniczyła przez chwilę innym słowiańskim językom; lecz po kilkowiekowym rozkwicie zasnęła gdzieś w zwojach Królodworskich rękopisów, rozwionęła się z dymem klasztornych bibliotek, ścichła wśród długich wojen przed szczękiem morderczego oręża i przeważnym głosem nowych téj ziemi władców. W ustach tylko ludu do naszych czasów dobrzmiała; ale upokorzona, nieśmiała, przy pługu i radle pocichu stare podania szeptająca, nie dosięgała już literackiego stanowiska: bo niedawno jeszcze Czech oświecony, w niemieckich księgach czerpając naukę i po niemiecku myśli swe tłumacząc, wstydził się gminnéj mowy Przemysławów, Wacławów i Podiebradów.

Franciszek Palacky nawet po niemiecku zaczął pisać swoję historyą czeską, która jego imię obok Naruszewicza i Karamzina postawiła; dziś sami Niemcy go tłumaczą: Wentzig w lot uczone jego prace dla Niemców przyswaja; bo Palacky pisze teraz po czesku, bo iskra jakaś elektryczna przebiegłszy olbrzymie ciało słowiańszczyzny, i Czechów niedawno z letargicznego obudziła odrętwienia.

Hanka, Szafarzyk, Dubrowski, Purkinie, Kollar, Czelakowski.... ileżto imion znakomitych na tak długo zaniedbywaném pojawia się polu, ileżto usiłowań wynagradza kilkowieczne uśpienie!....

Ruch ten umysłowy szybkim postępuje krokiem. Dwa pracowite towarzystwa: Muzeum czeskie, przez organ swego Czasopisma; i Czeska matica przeszło już tysiąc członków licząca, przewodniczą na drodze nowego kierunku. Katedry pragskiéj wszechnicy brzmią uczonemi odczytami badań historycznych i naukowych Tomka, Haubka, Wocela i Hawliczka.

Słowem, rozbudzone tylą usiłowań czeskie piśmiennictwo, dziś domaga się już miejsca obok literatury polskiéj i rossyjskiéj, tych siostr starszych w licznem słowiańskiém rodzeństwie: i my z rosnącém zajęciem zaczynamy śledzić dojrzewające owoce umysłu naszych przyrodnich braci. Nowiny o literaturze czeskiéj coraz więcéj nas obchodzą i coraz szersze w dziennikach naszych znajdują miejsce.

Kiedy rzucimy okiem w tę stronę, widzimy Czechów na dobréj drodze: w spólném słowiańskiém źródle szukają oni żywotnych do udoskonalenia swojego języka pierwiastków. Czelakowski rozpoczął był porównawczą grammatykę języków sło-

wiańskich i chrestomatyą ich literatur; niespracowany Szafarzyk wsparty znajomością sanskrytu, hebrajszczyzny i arabskiego, gotuje historyą literatury słowiańskiéj i porównawczy słownik pobratymczych narzeczy układa; Podstrański, Wanicek i wielu innych na tejże saméj pracują drodze; Tomek w badaniach dziejowych współzawodnik Palackiego, ważne dzieło o polskich pisze elekcyach. Wiele polskich utworów w czeskim pojawia się przekładzie: Zap, Volak, Vlasek, Stefan, zapoznawają swych ziomków z celniejszemi pisarzami naszemi; krakowiaki przez Hankę przełożone na korzyść pogorzelców Krakowa, dwa razy już były w Pradze drukowane; Korzeniowski i Fredro podziwiani są na tamtejszéj scenie, a my, za tyle dowodów współczucia, czyliż się niczém nie odpłacimy?

Oprócz mnogich przekładów Królodworskiego rękopisu, tego skarbu niejako wspólną wszystkich Słowian własnością będącego, kilku pieśni i oderwanych kawałków, nic prawie z czeskiéj nie znamy literatury. Czeska książka rzadkością dotąd jest u nas, a przecież wartałoby odwrócić na chwilę uwagę od Dumasa i Sue'go, i popytać się, co téż tam w tak blizkiéj nam mowie dobrego napisano?...

Wprawdzie niewiele jeszcze oryginalnych czeskich utworów naliczyćby można: i tam mania francuzkich romansów przeważnie panuje; ale pomimo tego, czeska poezya się rozwija, i oddzielną, sobie właściwą nosi cechę: jędrność opisów i bogate obrazowanie w niéj przeważają.

Ażeby choć jeden krok uczynić do zapoznania się z tą obcą nam dotąd litteraturą, ośmieliłem się na próbkę przyswojenia nowoczesnych utworów czeskich, wytłumaczyć poemat pod tytułem „Maj", przez Karola Ignacego Machę napisany.

Nie sądzę bynajmniéj, ażeby mój przekład był doskonały: uroniłem w nim nawet może dużo z téj dzielności, która mię w oryginale uderzyła; téj śpiewności, która liczne przejścia w jednym temacie jakby kompozycyą muzyczną utrzymuje.

Nie ręczę nawet za trafność wyboru jaki uczyniłem: nie podaję mojego autora za wzór poetów czeskich; znam słabą stronę jego poematu, przewiduję zarzuty, lękam się krytycznéj anatomizacyi, lubo może napróżno, bo któż wié, czy ten poemacik będzie kiedykolwiek czytany.

Jednakże, pomimo tego wszystkiego mam trochę nadziei, że niezupełnie napróżno pracowałem; choć wiem, że przeznacze-

niem mojéj pracy jest zamierzchnąć przed lepszemi przekładami znakomitszych utworów, jakich w teraźniejszym stanie międzyliteraturnych stosunków tych dwóch języków, mamy prawo co chwila oczekiwać i całém sercem oczekujemy.

Wtenczas pocieszę się godłem, jakie Antoni Sowa na swoim Jordanie położył.....

Radom, d. 5 Maja 1853 r.

DO EDWARDA MROCZKOWSKIEGO.

Ty wiész najlepiéj, kochany Edwardzie,
Jakim sposobem Machę w rękę wziąłem;
A prędko w czeskim rozkochany bardzie,
Śpiewny Maj jego w polski wierz nagiąłem.
Piérwszy raz język słysząc ten pobratni
Może mój zamiar powziąłem zbyt hardzie;
Jeślim w trudności nie ugrzęznął matni,
Jeślim się zbytnim nie zraził mozołem,
Jeślim na środku téj pracy nie zginął,
Jeślim spełniając całe przedsięwzięcie
Do końca jakoś szczęśliwie dopłynął:
Tobiem to winien i twojéj zachęcie.

Chciałbym, by tobie było przypisaném,
Co pod twym wpływem zeszło i dojrzało;
Ale rozrządzać dziełem pożyczaném
Tłumacz ma prawa i zasługi mało:
Jednak na przyjaźń pamiętając starą,
Nie pogardź, proszę tą drobną ofiarą.
Przyjmij mój przekład słowiańskiego Maju
Jak piérwszą próbę nowego rodzaju:
Bo u nas dotąd, któż temu zaprzeczy,
Nowością utwór z pokrewnych narzeczy.
Jakkolwiek słabe me siły być mogą
To pewna, nową że poszedłem drogą.
Nie wiem czy kogo mój przykład uderzy,
Czy kto podniesie moją rękawicę,
Czy kto z mocniejszych piśmiennych szermierzy
Uda się za mną w nowe okolice,
I w przedsięwzięciu wyzwaném sprzymierzy:
Chociaż, by tylko ochota a wola,
Wiele wśród tego zebrać można pola.

Warto, by wreszcie dzieci Assarmota
Poznać się wzięła wzajemna ochota;
Język ich w różną roztrysnął się mowę,
Jedna od drugiéj bierze światło nowe,
I wielkim mogło zostaćby pożytkiem
Bratnich się skarbów wzbogacać przybytkiem.
A myśl, co dzisiaj oddzielnie się roi,
Złączona razem swe blaski podwoi.

Nie za jakiegoś pragnę ujść Kolumba
Co głosi światów nieznanych odkrycie;
Lecz gdy odwieczna pękła kutakumba,
Powstało w Czechach umysłowe życie:
Warto zaiste przypatrzéć się zblizka,
Jakim się nurtem ten nowy zdrój ciska;
Jako się w rzekę powoli rozpływa,
Jako ta fala codzień sił nabywa.
Bo piśmiennictwo czeskie rozbudzone
Bujnie się w każdę rozlewa już stronę;
Byle go jaki nie powstrzymał zatór,
Dosięgnie wkrótce innych literatur..

Lecz to horyzont dla mnie za rozległy,
Ledwo widzialny z mojego zakątka;
Zbyt się daleko me myśli rozbiegły,
Zbyt obszernego dotknąłem się wątka.
A więc spokojny znowu ląd pozdrawiam,
Żegnam się z mojém skończoném pisaniem.
Ofiarę-ć z niego Edwardzie ponawiam,
Niech się przyjaźni ozdabia wezwaniem.

Bronisław Malecki.

MAJ.

POEMAT.

I.

Był późny wieczór, piérwszego maja,
Wieczór majowy, pieszczoty pora.
Głos synogarlic w ciszy wieczora
Do pieszczot wabił w ustronie gaja;
Cichy mech szeptał pieszczot pragnienie,
I kwiat na drzewach lubość roznosił,

Słowik dla róży piosenkę głosił,
Ona mu słała wonne westchnienie.
Jezioro gładkie w swych głębiach ciemnych
Dźwięczało jękiem bolów tajemnych;
Brzeg je utulał w swoje objęcia.
Słońce do innych przeszedłszy światów,
Barwiło jeszcze chmurek zagięcia
Różowym błyskiem zgasłych szkarłatów:
Jakby miłości dawnéj wspomnieniem,
Jakby ostatniém żalu spojrzeniem.
Piękna twarz luny (1) zwolna powstała,
Tak blado-jasna, tak jasno-blada,
I świt białawy na brzegi pada;
A we zwierciadle wody szerokiém,
Luna z pieszczotą się przeglądała,
Goniąc swą postać łagodném okiem.
A dworców ściany w oddali bledną,
A brzeg się zwęża, topnieje, zbiega
Jakby drugiego chciał dobiedz brzega;
Aż wszystko w szarość zlewa się jedną:
Brzeg, domy, drzewa, wszystko to tonie
Na gór dalekich zamgloném łonie.
A fala z falą, i drzewo z drzewem
Pieści się lubo z każdym powiewem;
I wszystkie twory w takiéj godzinie
Samą miłością dyszą jedynie;
A noc, miłości tajni namioty
Na drżące żądzą spuszcza istoty.

Wpośród lubego tego wieczora
Pod dębem piękna siedzi dziewica.
Z samotnéj skały, z brzegu jeziora,
Smętna jéj w dali błądzi źrenica:
To modro fala ku niéj się wspieni,
To daléj błyśnie znów zielonawo,
Zieleniéj jeszcze daléj się mieni,
Aż blado-jasno ginie w dal mgławą.
Po téj szerokiéj, gładkiéj płaszczyźnie
Dziewica wzrokiem omdlałym toczy;
Lecz wzrok ten mętny choć się prześliźnie,
Znać, że nie patrzą błądzące oczy.
Dziewica piękna, anioł upadły,
Lecz tak jéj piękne lica pobladły,

(1) „Piękna twarz luny."
Księżyc w czeskiej poezyi jest niejako uosobionym, a nawet ubóstwionym w formie żeńskiej; wszystkie niemal do niego porównania i zastosowania są tak koniecznie żeńskie, iż potrzeba było zostawić w przekładzie czeski wyraz „luna". Sam nawet Lucyan Siemiński w tłumaczeniu Królodworskiego rękopisu tak postąpił. *(Przyp. tł.).*

Jak blednie róża młodo zwiędniała.
Jedna jéj chwila wszystko zabrała.
A żal i smutek wydają oczy,
Lecz żal powabny, smutek uroczy.

Tak jéj dwudziesty dziś wieczór mija.
Kraina cicho do snu się zwija,
Ostatni odblask szybko ugasa
I mierzchnie nieba różowa krasa.
„Nie ma go! nie ma! już się nie wróci,
A opuszczonéj żal życie skróci"!
Głębokiém wzniosła pierś się westchnieniem,
Serce się wzdęło bolu nawałą,
I z tajemniczém fali jęczeniem
Gorzkie się łkanie dziewicy zlało.
A w łzach jéj gwiazdy dwojąc się drżąco,
Jak płynne iskry tak się wydają:
Wrzące te iskry, gwiazdą lecącą
Jedna po drugiéj bystro znikają,
Po nieruchomej ściekając twarzy.
Gdzie która padnie, tam kwiat się zwarzy.
Na kraju skały postać jéj miga,
Nad głuchą falą śmiało nagięta;
Wiatr włos jéj wznosi i szatą śmiga,
Ale źrenica wciąż w dal napięta.
Wtém łzy ciekące nagle ociera,
Nad okiem białą rękę opiéra,
Ażeby lepiéj przebić głębinę;
Bo gdzie jezioro w bory się kłoni,
Iskra za iskrą po falach goni:
Plusk lekki nocną zmącił ciszynę.

Jak gołąbeczek śnieżysto-biały,
Coś w mrocznéj głębi nagle zaświta,
Jakby lilia wodna zakwita:
Wkrótce jak łabędź buja wspaniały.
Tam gdzie jezioro w bory się zniża
Rośnie i rośnie, coraz się zbliża,
Nie już gołąbkiem, wodną lilią,
Ani łabędzia swobodną szyją,
Ale wyraźnym żaglem wyrosło,
W nurtach się kąpie pośpieszne wiosło
I szybko porząc prądy błyszczące,
Zatacza bruzdy kręgiem niknące:
„Bystre czółenko!—o! leć co chyżéj!
To on! ach to on! to jego pióro,
Kołpak, i oko jak błysk pod chmurą.
Ten płaszcz!"—Już czółno do skał się zbliży.

W górę po skale, lekko, cichutko,
Zbliża się żeglarz ścieżką wąziutką.
Zadrży dziewica, twarz jéj tak blada!
Za dąb się kryje, lecz niewstrzymanie
Poskoczy, biegnie w jego spotkanie,
I długim skokiem na pierś mu pada:
„Ha!.... któżto?.... biada". Wtém blask księżyca
Twarz jéj znajomą nagle oświéca;
Zgroza jéj w żyłach krew lodem ścina:
„Gdzież jest mój Wilhelm"?

Żeglarz zaczyna
Cichym poszeptem straszne powieści:
„Tam przy jeziorze wieża się dźwiga,
Białemi ściany wśród zmierzchu miga:
U stóp jéj fala głucho szeleści,
I z ciągłym gniewem spód jéj podmywa,
Co się w jezioro klinem zarywa.
Gdzie wązkie okno błyśnie czasami
Przez gęstą kratę lampy płomykiem,
Tam się twój Wilhelm bawi myślami,
Że straci życie z zorzy promykiem.
O hańbie swojéj, o twojéj winie
On się dowiedział: w twym zwodzicielu,
W nienawidzonym swéj zemsty celu,
Własnego ojca spotkał nieznany,
I w krwawym zemstę nasycił czynie.
Umrze haniebnie: wyrok wydany.
Twarz co mu różą teraz zakwita
Straszna bladością, na kole wbita,
Postrachem będzie do długich czasów;
I członki jego zmięte, skruszone
Jak witka będą w koło wplecione;
Tak skonać musi straszny pan lasów!
Za hańbę jego, za winę swoją
Miéj wzgardę świata, i klątwę moją"!

Wtém się odwrócił. Ucichła mowa.
Śmiało się spuszcza skały krawędzią,
Gdzie lekkie czółno załamek chowa.
Plusnęło czółno, szybko odpływa,
Jeszcze bieleje szyją łabędzią,
Mniejsze, i mniejsze jak lilii kwiatek,
Jak drobny puszek miga w ostatek;
Aż się w pomroku i dali skrywa.

I milczą fale—wody ciemnieją,
Coraz to grubszy nocy płaszcz mroczny;

Jeszcze na skale szaty bieleją,
I kształt dziewicy jeszcze widoczny.
Cała kraina szepce: „Jarmiło"
I w głębiach wody: „Jarmiło! Jarmiło"!!

Późny jest wieczór piérwszego maja,
Majowy wieczór—wszystko tak miło!
Głos synogarlic wabi do gaja:
„Jarmiło! Jarmiło!! Jarmiło"!!!

II.

Spadała gwiazda z niebios sklepienia;
Martwa to gwiazda, połysk sinawy
W nieskończoności leci przestrzenia,
I leci wiecznie; wśród téj przeprawy
Żałosnym płacze wiecznie sposobem
Za jakim celem, za jakim grobem:
„Kiedyż dopadnę końca swojego?"
Nigdy, i nigdzie, celu żadnego.

Z białą wieżycą wiatry igrają;
U stóp jéj mętne fale szeptają,
A księżyc twarzą bladą i czystą
Rozlewa z góry światłość srebrzystą.
A na dnie wieży ciemność głęboka:
Przez wązkie okno jeśli się wciśnie
Promień księżyca, jasno nie błyśnie,
Lecz się wpół szara zrobi pomroka,
Słup koło słupa, ramię z ramieniem
Dźwigają głazy zwarte sklepieniem
W ciemnościach nocy. Lekki wiatr wieje,
Więźnia łzy suszy, włosami chwieje.
On na kamienną rzucony ławę
Głowę na ręku ciężko opiera,
I napół siedząc, klęcząc napoły
W głębinie duszy swe myśli zbiera,
Wciąż nieruchomą chowa postawę;
Ale w nim walczą sprzeczne żywioły:
Jakby obłoki przez twarz księżyca,
Tak myśl mu każda płynie przez lica.

„Głęboka nocy! ty płaszcz swój szary
Na méj dziedziny spuszczasz obszary,
A ona, biédna! o mnie truchleje,
Truchleje? o mnie?—próżne nadzieje.

Ona już dawno mnie zapomniała.
Jutro powstanie zorza wspaniała,
Oświeci naszych lasów ustronie.
Ja koniec znajdę w haniebnym skonie,
Ona, jak w naszych pieszczot zakwicie
Wesołą piersią pić będzie życie!"
Umilknął; echo po sklepie dzwoni,
Dźwiga nad słupy, w oddali goni;
Po załamaniach i łukach różnych
Lecą odgłosy coraz zciszone,
Aż wreszcie jakby zgrozą zmrożone
Usną w ciemnicy otchłaniach próżnych.

Głęboka cisza, w takiéj ciemności
Wabi na pamięć czasy minięte;
I więzień marzy dni swéj młodości,
W przeszłość niecofną już zapadnięte;
I więźnia oko łzą się zrosiło,
I dawnym bytem serce odżyło.

Gdzie za jeziorem góra za górą
W zachodnie kraje ginie łańcuchem,
Tam on ucieka marzącym duchem:
I widzi borów ustroń ponurą,
Co mu tak lubo w dzieciństwie grały,
Gdzie jego młode lata spływały,
Kiedy wygnany z pod dachu ojców
W łupiezkiém kole wyrastał zbójców:
Gdzie potém wodzem został nad niemi
I rozgrzmiał czyny niesłychanemi;
Gdzie z srogich bitew, krwawych zapasów,
Wyniósł przydomek: „Straszny pan lasów!"
Gdzie go miłości szczęście poiło,
Gdzie mu zawiścią serce zabiło,
Gdzie zwodziciela, współzalotnika,
Pomście oddając, ojca spotyka;
Oh! i dlatego więzami brzęka,
Dlatego koła czeka go męka,
Skoro jutrzenki piérwszych promieni
Blaskiem widnokrąg się zarumieni.

I na kamienną rzucony ławę
Głowę na ręku ciężko opiera,
Napoły siedząc, klęcząc napoły
W głębinie duszy swe myśli zbiera.
Choć nieruchomą chowa postawę,
Ale w nim walczą sprzeczne żywioły:

Jakby obłoki przez twarz księżyca,
Tak myśl mu każda płynie przez lica.

„Ha! syn i ojciec, śmiertelne wrogi!
Przezeń dziewicę moję straciłem:
Ja go nie znałem, czyn mój był srogi,
Obu nas jednym ciosem zgubiłem.
I czyjąż winą dzień pomsty błyska?
Czyjąż mię winą klątwa przyciska?
Nie winą moją, przez jego winę
Złą śmiercią tutaj i wiecznie ginę!
Tutaj i wiecznie, czas, życie, wieczność".

I głos mu zgroza w piersiach zapiera,
A oddźwięk ściany znów odbijają;
Aż echo w nocy niemej zamiera.
Burzy się marzeń w duszy mu sprzeczność,
I znów obrazy nowe mu stają.

„Ach! ona, ona! Anioł méj duszy!
Przecz nie upadła nim ją poznałem?
Przecz na méj drodze ojca spotkałem?
Klątwa nademną". Żal słowa zgłuszy.
Wstrząśnie się więzień, nagle się zrywa,
Brzęk się łańcuchów grzmotem odzywa.
I przez okienka wązką szczelinę
Wzrok więźnia leci na wód równinę.
Czernią się góry, a tajemnicze
Chmurki zakryły luny oblicze;
I tylko gwiazdy bez ruchu w górze
Na falującym drzą wód lazurze;
I więźnia oko z niemi się pławi,
Piękność widoku serce mu krwawi:
„Jak noc ta piękna! jak świat ten cudny!
Jakże tych świateł blask jest ułudny!
Lecz jutro, jutro, me zgasłe oczy
Zasłona śmierci wiecznie zamroczy;
A jak tam w dali gęstnieją cienie,
Tak"... Skoczył więzień, znikło widzenie;
Brzękły łańcuchy grzmotnym łoskotem
I wszystko w ciszy zamiera potem.

Od gór ku górom cienie się ścielą,
A ptak ogromny długiemi pióry
Przeleciał szybko, pociągnął w góry,
Czarną się mroków przykrył pościelą.
Wtém za górami dźwięki tajemne
Przenikły nocy milczenie ciemne;

Leśnéj to trąby nuty ochotne,
Czyste jak srebro, jak wiatr polotne.
Więzień zapomniał na swe męczarnie
Chwilę go jakaś lubość ogarnie:
„O jakże miłe są dźwięki życia,
Jakież w mych piersiach mają odbicia!
Lecz jutro ranek gdy mgły rozdmuchnie,
To moje ucho wiecznie zagłuchnie."
Znów więzień pada, znowu kajdany
Rozgłośnym grzmotem uderzą ściany,
I znowu cisza; w bolu poprzednim,
Znowu się serce więźnia zawiera;
A trąba w echu gór odpowiedniém
Konając zwolna, w dali zamiera.

„Przyszłość?—zagadka! Jutro?—pytanie!
Czyliż bez marzeń będzie to spanie?
Nie snemże żywot jest teraźniejszy,
Więc żyję tedy?... a dzień jutrzejszy
Do snu nowego ściele mi łoże?
Ha! on mi przecie objawi może
Coś, za czém dusza zawsze tęskniła,
Czego szeroka ziemia skąpiła;
Coś, przeczuwane w tajnym spodziewie,
Kto wié?—ach! tutaj nikt tego nie wie."
I znowu milczy. Nocy opony
Kryją dokoła ten świat uśpiony.
Księżyc się zmroczył i gwiazdy pierzchły,
Wszystko dokoła cień zalał zmierzchły;
A ciemna próżnia jak grób bezdenny
W szeroką puszczę chłonie świat senny;
Wiatr nawet umilkł, fala nie chlusta,
Cicha pustynia i cichość pusta.
„O jakże straszno! o jakże ciemno!
Ale ciemniejsza noc jest przedemną!
Precz ciężkie myśli!" I nocy siła
Nawet myślenie w nim przytłumiła.

Cicho.—i tylko ze ścian wilgotnych
Kropla za kroplą spadała wolno,
W przestankach długich, równo powrotnych;
A plusk ich głuchy ciszę okolną
Za każdym razem równo rozderzył,
Jak gdyby nocy minuty mierzył.

„Jakże noc długa, nieprzeczekana!
Lecz jeszcze dłuższa mi zgotowana!

Precz ciężkie myśli!" I zgrozy siła
Nawet myślenie w nim zwyciężyła.
Głęboka cisza, kropel upadek
Upływu czasu jedyny świadek.

„O tak! przedemną noc nieprzebyta!
Tam żaden, żaden połysk nie świta,
Tam jedna całość nieogarniona,
Żadnym podziałem nieoznaczona,
I chwil tam nie ma; tam wieczne trwanie:
Noc nie przeminie, dzień nie powstanie,
I nigdy czasu tam nie ubywa!...
Żadnego kresu! otchłań bezdenna!
Tam pusta próżnia, jedna, niezmienna.
Cisza bez końca, żadnego słuchu,
Miejsce bez końca, żadnego ruchu;
I to się „nicość" zatém nazywa!
I ta to nicość zanim dzień skona
Ma mię pochłonąć do swego łona!"

Więzień upada, i głos omdléwa,
I znów milczenie w wieży więziennéj:
U stóp jéj fali pryska zwierciadło.
Więzień usypia, lecz w chwili sennéj
Straszne go jakieś dręczy widziadło.

Straszliwy łoskot zbudził strażnika
Jakby łańcuchów ciężkie spadnięcie.
Wstąpił ze światłem, lekko pomyka;
Więzień pozostał w swych snów odmęcie.
Od słupa światło miga do słupa,
A ciemność zaraz nazad się zwiera.
Strażnik wzniósł lampę; bladą jak trupa
Twarz więźnia oblał blask czerwonawy,
Jak wśród kamiennéj rzucony ławy.
Zwieszoną głowę ręką podpiera,
I wpół siedzący, klęcząc w połowie
Napoły szepce, napoły chrapi,
A w przerywanych szeptów osnowie
Widać jak ciężko zły sen go trapi.

„Duch mój! o duch mój, dusza, ma dusza"!
Te jednostajne płyną mu dźwięki
Przez ścięte usta. Sen resztę zgłusza
I w niewyraźne zamienia jęki.
Przystąpi strażnik, kaganiec zniża;
Okropny widok więźnia oblicza

Dreszczem go przejął, włosy mu zjeża.
A oko więźnia, moc tajemnicza
Otworem trzyma, lecz mglisto, szklisto,
Jakby się patrzył w przestrzeń wieczystą.
Łzy, pot, krew, razem po licu płyną,
Śpiewy czy szepty w ustach mu giną.

Do ust mu strażnik nachylił ucha,
Łowi szept cichy, uważnie słucha:
A jakby lekki wietrzyk powiewał,
Więzień swą powieść wciąż daléj śpiewał.
A strażnik ciągle niżéj i niżéj
Nad nim się schyla, ucho przykłada,
Do ust mu coraz bliżéj a bliżéj,
Chwyta wyznania te senno-śpiewne,
Aż głos umilka, niknie—zapada
W głębinę piersi. Usnął zapewne.

Strażnik jak wryty w zadumie stoi,
Łza mu się w oku natrętna roi,
Serce litością w piersiach się kraje.
Stoi tak długo, jak przymarznięty;
Aż wzmogłszy siły, pośpiesznie wstaje,
Szybko opuszcza ten loch przeklęty,
I nigdy w życiu on nie powiedział
Co się w tę straszną chwilę dowiedział.
Zatłumił w sobie tę tajemnicę,
Lecz śmiech mu nigdy nie siadł na lice.

Uszedł, i znowu urok milczenia
W ciemnicy swoję władzę rozszerzył:
I tylko odgłos kropel cieczenia
W głębokiéj nocy martwy czas mierzył.

A więzień ciągle w jednéj postawie,
Wpół na kamiennéj klęczący ławie,
Otworem trzyma źrenicę szklistą,
Jakby się patrzył w przestrzeń wieczystą.
Łzy, pot, krew, razem po licu płyną,
I głuche jęki w piersiach mu giną;
A spadek kropel wciąż jednobrzmiennie
Minuty czasu mierzy niezmiennie.
A kropel, fali, i wiatru tony
Głoszą więźniowi zgon przybliżony,
Sowa gdzieś w dali krzyk swój rozszerza,
A nad nim zegar północ uderza.

INTERMEDIUM I.

PÓŁNOC.

(WIEJSKA OKOLICA).

Na rozległych równinach księżyc prostopadle
Jakby drzémiąc rozlewa bladą światłość swoją;
Dokoła ciemne góry; w jeziora zwierciadle
Cicha noc się odbija i gwiazdy się dwoją.
Nad jeziorem pagórek wznosi płaskie czoło,
Nad nim słup w ziemię wbity straszne dźwiga koło,
A nad nim trupia głowa białém widmem stoi:
Wokoło larw straszliwych groźny tłum się roi.

Chór duchów.

W północnéj cicho jest dobie,
Ognik mży z grobu po grobie;
A jego płomyk modrawy,
Po licu trupa się żarzy;
Ci śpią sobie, on na straży (1)
Bez ruchu, kamień z postawy.
Ostatni to z pogrzebionych
Pilnuje braci uśpionych;
O własny krzyż się opiera,
Jak straszna postać strażnika,
Jak szklisto oko rozwiera,
Jak twarz jego sina, dzika.
A z nie domkniętéj mu gęby
Przyskrzypnięte świecą zęby.

(1) „Ci śpią sobie, on na straży."
W tém miejscu autor daje następujące objaśnienie:
„Było już późno w noc, gdy przy pogrzebie jednego ze swych przyjaciół znajdowałem się na cmentarzu staromiejskim. Grabarz spuszczoną trumnę ziemią przysypując: „Dziś już żadnego nie przywiozą" mówił, „musisz stać dzisiaj na straży." Na dopytywanie się moje takie otrzymałem objaśnienie:
Jest między prostym ludem wiara, że ostatni z pogrzebionych na cmentarzu przez noc na straży jego stać musi, a to po wszystkie nocy przez cały ten czas, aż póki inny tamże pochowany nie zostanie, który znów na jego miejsce następuje. Tak, iż żaden cmentarz nigdy bez-strażnika nie zostaje; a tym sposobem na cmentarzach małych osad, zmarły po kilka lat na straży stoi. *(Przyp. tł.)*.

Jeden głos.

Witajcie duchy!—dobrego czasu,
Niechaj się radość odzywa,
Bo jutro, jutro, straszny pan lasu
W nasze tu grono przybywa.

Chór duchów.

(podnosząc trupią głowę)

Z martwego kraju wystąp wraz (1)
Nabądź żywota—przyjmij głos,
Stań między nami—witaj nam,
Bo już upłynął straży czas.
Długoś wartował tutaj sam,
Innego tenże czeka los.

Trupia głowa.

(Taczając się między niemi):

Jakże mi członki stężały,
Jak mi pilno spocząć sobie;
Mój następca opieszały,
Kiedyż legnę cicho w grobie?

Jeden głos.

Gotujcie się, bo wkrótce czas,
Gdy jutro północ nastanie,
Wicher znów przywionie nas,
Sławno sprawim pogrzebanie!

Chór duchów.

Gotujmy się, bo wkrótce czas,
Gdy jutro północ nastanie,
Wicher znów przywionie nas,
Sławne sprawim pogrzebanie.

(1) „Z martwego kraju wystąp wraz" i t. d.
Te sześć wierszy ściśle na miarę oryginału są wytłumaczone. Różność iloczasu, mnogość krótkich wyrazów przez wyrzucanie samogłosek powstałych, wielką stanowi trudność dochowania w przekładzie form czeskich, które zresztą nienajkorzystniej w polszczyznieby się wydały.
Oprócz tego niektóre czeskie metafory w naszym języku wcaleby inny charakter przybrały, jak np. opisując dumającego w więzieniu Wilhelma, oryginał mówi: „Po *księżyca twarzy* myśli jak obłoki mu idą."
Żdaje mi się, że to po polsku zbyt trywialnie pucołowatą twarz bohatera poematu wystawiałoby; i dlatego miejsce to wyłożyłem:
„A *jak* obłoki *przez twarz księżyca*, tak myśl mu każda płynie przez lica."
Gdzie metaforę zamieniłem na porównanie. *(Przyp. tł.)*.

Jeden głos.

Rozległém polem niech mój głos leci:
Jutro w północ pogrzeb szumny,
Wszyscy na pogrzeb złóżmy się dzieci.

Topór z kołem.

Ja posłużę w miejsce trumny.

Żaby na bagnie.

My żałobne wzniesiem pienie.

Wicher po jeziorze.

Ja ogłoszę zaproszenie.

Księżyc na zenicie.

Ja baldachim biały zwieszę.

Mgła po górach.

Ja wszystko otulę w krepie.

Noc.

Ja z całunem wraz pospieszę.

Góry okólne.

Katafalkiem będziem w stepie.

Rosa.

Ja go łzami memi skąpię.

Wyziew łąki.

Dym kadzidła ja zastąpię.

Obłok zapadający.

Ja trumnę deszczem pokropię.

Kwiat zlatujący.

Żałobny wieniec uwiję.

Lekkie wiatry.

My go na trumnę zaniesiem.

Świętojańskie muszki.

Przy trumnie świecić będziemy.

Burze z głęboka.

My jęki dzwonu rozniesiem.

Kret w ziemi.

Ja mu zatém grób wykopię.

Czas.

Ja go nagrobkiem przykryję.

Nocne ptastwo.

My na stypę się zlecimy.

Jeden głos.

Sławny mu pogrzeb wyprawim,
Ale już księżyc zamiera,
Świt rozprasza nocny cień;
Zadługo tutaj się bawim,
Jutrzenka bramy otwiera,
Już dzień! już dzień!

Chór duchów.

Już dzień! już dzień!

(znikają).

III.

Nad ciemne góry wstał blask różowy,
Czysty, pogodny wszedł dzień majowy;
Nad lasy jeszcze panuje cisza.
Po drzew wierzchołkach mgła się rozwiesza,
Kąpie w jeziorze, aż coraz rzedsza,
Wśród majowego niknie powietrza.
I widać brzegi, drzewa i domy,
Sterczące góry i skał odłomy
I głaz ogromny, co wzniosłém czołem
Na tle różowém słup krając siny
Sterczał ku niebu groźnym wierzchołem,
Jakby król władny nad gór dziedziny.

Nareszcie słońce nad ciemne góry
Ognistém okiem zwolna wyjrzało.
Wszystko co żyje radości chóry
Wszechwładcę światła wraz powitało.
Bieli się ptaków na wodzie stado,
I lekkie czółna pławią gromadą,
Spiesznemi wiosły modrą toń prują.
Wonny gaj szumi z brzegu jeziora.
Zmieszane głosy wskroś dolatują.
Siwy drozd gwiżdże, płacze sikora;
A ptaków śpiewy z dziewcząt głosami
Razem niesione wiatru skrzydłami,
Jednę melodyą szerzą dokoła.
Sznur dzikich gęsi ciągnie nad gajem,
Cała kraina życiem wesoła,
Wszystko młodzieńczym cieszy się majem.

Lecz widok jeden ten urok kala:
Gdzie wązki przesmyk w jezioro wbiega,
Gdzie gniewna wiecznie tłucze się fala,
A biała wieża sterczy u brzega,
Tam się rozlega krzyk niespokojny:
Z miasteczka zastęp wychodzi zbrojny.
I lud zdaleka napływa tłumem,
Tłoczy się, rośnie stek z każdéj strony,
Z coraz to większym krzykiem i szumem,
Nieszczęsny zbrodniarz ma być wiedziony.

Wtém z bram miasteczka poczet wykracza,
Gęsty mur broni więźnia otacza,
A on w pośrodku śmiały, spokojny,
Pyszny jak zawsze, jak zawsze strojny.
Ucichła ciżba—zwolna szeptają,
Aż znowu nagle w grzmot zawołają:
„To on! to on! tak! to jego pióro,
Kołpak i oko jak błysk pod chmurą,
I płaszcz to jego—to on: pan lasów!
Straszny w dzień śmierci jak lepszych czasów."
I rosną krzyki jak szum powodzi,
Lecz ciekawością powódź szumiąca
O zbrojną tamę w tył się odtrąca.
I zastęp wolnym szlakiem przechodzi.
Jak czarny obłok mknie się powolnie;
Więzień nieskwapno, lecz równo kroczy,
W głąb duszy patrzą spuszczone oczy.
Z miasteczka dzwonów brzmienie dolata,
Za pokój duszy schodzącej z świata,
I lud i dzwony modlą się wspólnie.

Nad jeziorem pagórek wznosi swoje czoło,
Na nim słup w ziemię wbity straszne dźwiga koło
W pobliżu stroméj skały podwójny wierzchołek,
A na wyższym maleńki bieli się kościołek.
Wolnym pochodem orszak u jego podwoi
Staje—cofa się w okrąg: złoczyńca sam stoi.
Raz mu jeszcze ostatni, jeden raz jedynie
Pozwolono przyrody oglądać świątynię,
I w ciemne góry puścić dumające oko,
I wolném ich powietrzem odetchnąć szeroko;
I raz jeszcze popatrzyć na niebios błękity,
Na kolebkę dzieciństwa, skał sinawych szczyty,
Przed nieba, światów panem zgiąć korne kolano,
Okupić mnogie błędy jedną łzą wylaną.

I wszelki zgiełk umilknął, lud chowa milczenie,
I każde serce zdjęło jakieś tajne drżenie,
I w każdych piersiach smutek współczucia panuje,
Bez ruchu każde oko w więźnia się kieruje;
Gdzie zachwycon przyrodą, ukorzon przed Bogiem
Modli się uroczyście przed wieczności progiem.

Wzniosło się słońce i jarką łoną
Oblewa więźnia twarz wybledzoną;
Łzę na źrenicy tęsknéj mu ściera,
Co w oddaloną przestrzeń spoziera.
Pod nim głęboko krasna dolina,
Ciemnych gór łańcuch wkoło ją spina,
I wieniec lasów w krąg obejmuje.
Środkiem dolina się rozstępuje,
I na pościeli brzegów kwiecistych
Jezioro drzémie w głębiach przejrzystych.
To modro czasem z brzegu się wspieni,
To daléj błyśnie znów zielonawo,
Zieleniéj jeszcze daléj się mieni
Aż blado-jasno ginie w dal mgławą.
A nad niém wkoło domy się bielą,
Drzewa wieszają ponad topielą,
Na wodzie ptaków kąpie się stado
I lekkie czółna pławią gromadą,
Aż gdzie jezioro w bory się kłoni,
Cały ten obraz po wodzie goni:
Łódki i ptaki, domy nadbrzeżne,
Zielone drzewa i żagle śnieżne,
Wzgórki okólne, dalekie góry
I ciemnych lasów okrąg ponury:
Wszystko jak gdyby wspak zatopione
W zwierciadle wody widać zdwojone.

Tam w mgławéj dali sterczàca skała,
Ponad głębiną zwiesza się śmiała;
A na niéj drzewo tkwi rozłożyste,
Znany dąb stary. Już uroczyste
Nie wrócą chwile, co w jego cieniu
Gdy noc spuszczała tajni namioty,
Głos synogarlic zwał do pieszczoty,
W słodkiém miłości mkły upojeniu.
Najbliżéj wzgórek wznosi swe czoło,
Na nim słup wbity, na słupie koło;
Wonny gaj boki wzgórka ustraja,
Młode listeczki smutnym drżą stękiem.
Słońce się wznosi, wszystko lśni wdziękiem,
Skąpane rosą—ranek to maja.

Wszystko to jeszcze piękniéj, uroczniéj wygląda
Temu, co raz ostatni napaść się tém żąda.
I więźnia serce schwycił żal gorzki, gwałtowny,
Tajny, lecz łzą gorącą, westchnieniem wymowny;
Płacze—lecz męzka duma, i wola, i siła,
Ostatniém wysileniem te łzy przytłumiła.
Znowu w niebios sklepienie wznosi oczy łzawe,
Na przejrzystym błękicie giną mgły białawe,
Z niemi leciuchny wietrzyk w różny kształt swawoli.
Wyżéj, dalekiém niebem obłoki powoli
W odległe płyną kraje szeregi długiemi:
Więzień do nich przemawia słowami smutnemi:
„Wy, co w dalekosięgłym swéj wędrówki locie,
Obejmujecie ziemię w tajnym ramion splocie,
Wy gwiazdy rozpłynięte, modre nieba cienie.
Wy całuny żałobne, w nagłe rozsmutnienie,
Co się w ciche łez strugi całe rozpływacie;
Wy najmilszemi posły zawsze mi bywacie.
Więc gdzie płyniecie w długim oddalonym biegu,
I tam gdzie już do swego dopłyniecie brzegu,
W bystréj pielgrzymce swojéj pozdrówcie mą ziemię,
Mą kolebkę, grób, matkę, o! pozdrówcie niemie!
Ach tę ziemię tak piękną. ziemię ukochaną,
Mą ojczyznę jedyną w dziedzictwo mi daną;
Szeroką moją ziemię, mą ziemię jedyną,
Aż bieg wasz, nad jeziora zobaczy głębiną,
Na wzniosłym złomku skały dziewicę spłakaną."

Umilkł;—i znowu we łzach oko się spławiło.
Wtém znak ostatni dano—wojsko się ruszyło;
Orszak szeroką ścieżką wskroś młodego borku
Idzie—daléj—i daléj—już są na pagórku.
Tłum w niemém natężeniu odetchnąć się boi;
U kresu z gołym mieczem kat gotowy stoi.
Jeszcze raz, raz ostatni więzień podniósł oko,
I z westchnieniem dokoła powiódł niém szeroko.
I nagle spuścił w ziemię—śmierć w obec stanęła.
Klęknął—kat w tył się cofnął—stal w górze błysnęła:
Straszna chwila... jak gdyby grom nad tłumem zwisnął.
Kat szybki krok dał naprzód, i razem miecz świsnął;
Spadła głowa—i drgnęła—i ciało się kłoni,
Ach w tę ziemię tak piękną, ziemię ukochaną,
W swą kolebkę, grób, matkę—oh! w ziemię jedyną,
Szeroką tę tu ziemię w dziedzictwo mu daną,
W matkę swą, w matkę swą; krew syna ciecze po niéj (d).

(*d*) „W matkę swą, w matkę swą, krew syna ciecze po niéj".
Dźwięk tego wiersza po czesku jest zupełnie tenże sam. Wszędzie gdzie spotykałem charakterystyczne obroty, starałem się je zachować nienaruszenie. Choć tutaj średniówka nie jest dostatecznie wybitą.
(*Przyp. tł.*).

Po członku łaman członek, aż ciało skruszone
Jak witka między koło zostało wplecione:
W środku głowa zatknięta w postrach długich czasów:
Tak skończył dni żywota straszliwy pan lasów.
Niezmierne mnóstwo długo na pagórku stało,
W twarz wiecznym snem drzémiącą z podziwem patrzało,
Aż póki do zachodu słońce się skłoniwszy
W martwy wzrok ściętéj głowy blask rzuciło żywszy.
Nad góry dalekiemi zagasły pożary,
Straszne miejsce znów puste mrok przykrywa szary.
Wpośród ciszy głębokiéj wstała tarcz księżyca,
Srebrnym promieniem bladą, martwą twarz oświéca,
I samotny pagórek stał nad brzegiem wody:
I wskroś przez ciche nocnéj powietrze pogody
Zatkniętéj na pal głowy osłupłe źrenice
W dalekie się patrzyły martwo okolice;
W kraj, gdzie on żył dziecięciem.—O! wiek to szczęśliwy!
Daleko już go uniósł bieg czasu skwapliwy,
Dalekie sny dzieciństwa jako cień zamierzchły
Obrazów, co na wodzie dawno się rozpierzchły.

Czém zmarłych myśl ostatnia, czém są ich imiona,
Chwała bogów pradawnych głucho zatracona,
Dawna zorza północna, wygasłe jéj łony,
Starganéj struny dźwięki, zbitéj harfy tony,
Zaszłego wieku dzieje, blask gwiazdy spadniętéj,
Ślad błędnego ognika, woń róży zwiędniętéj;
Czém nieżywéj kochanki znikłe serca bicie,
Czém jest grób zapomniany, miniętych burz wycie,
Dym zgasłego ogniska, przeszłości byt inny:
Tem również jest umarłych piękny wiek dziecinny.
Późny jest wieczór—już drugi maja,
Majowy wieczór, pieszczoty pora;
Głos synogarlic w ciszy wieczora
Do pieszczot wabi w ustronie gaja,
„Wilhelmie! Wilhelmie!! Wilhelmie"!!!

INTERMEDIUM II.

Stoją góry przeciw sobie,
Jedna drugą cieniem mroczy;
Tu i owdzie szczyt wysoki
Przebijając dolne mroki,

Na tło nieba gdzieś wyskoczy.
W téj pustyni w późnéj dobie
Cicho, ciemno jakby w grobie;
Tylko w dali gdzie w pomroce
Góry w bok się rozskakują,
Trafem nieznanéj zagadki
Spodem rozwarte szeroce
Dwie strome skały sąsiadki
Wierzchami się zestępują,
I tak wyglądają w dali,
By olbrzymi się ściskali.
Wzajemne to uściśnienie
Kształtuje dzikie sklepienie.
Pod niém brama się roztwiera
W zachodnią stronę wyziera;
Gdzie tło nieba wpośród cieni
Ciemną barwą się czerwieni,
Jak daleki pożar pała.
Nocnego płastwa gromada,
Co się z rozpadlin zerwała,
Nakształt potępieńców stada,
Przez tę bramę płomienistą
Skreślając drogę kolistą
Nagle z szumem wyleciała.
Ale pożar gaśnie, gaśnie,
Coraz się pali mniej jaśnie,
I brama coraz ciemniejsza,
Noc wkoło coraz czarniejsza,
Aż posmutniałe niebiosy,
Rozpłakały się łzą rosy.

A w najgłębszym tam wąwozie,
Gdzie noc w całéj cięży grozie,
Pod odwiecznemi dębami,
Pootulanych płaszczami
Siedzi w kole ludzi wiele;
Są to nocy przyjaciele.
Każdy w ziemię patrzy smutno,
Każdy bez słów, zamyślony,
Jak gdyby zgrozą okrutną
W kamień został przemieniony;
Tylko ciągle, nieprzerwanie
Ciche szepty, ciche łkanie
I głos jeden ciągle płynął:
„Wódz nas zginął! wódz nasz zginął!"

Wiatr w szczelinach smutnie dźwięczy,
I bez przerwy głos ten jęczy:

„Wódz nasz zginął! wódz nasz zginął!"
Jak liści nocne szemranie
Wciąż pod skałą głos słyszany,
Ciche jęki, ciche łkanie,
Jedno dźwięcznie bez przemiany:
„Wódz nasz zginął! wódz nasz zginął!"

I zajęczał las rozrosły
Echa daleko rozniosły:
„Pan nasz zginął:—zginął!!—zginął!!"

IV.

Piękny maj już upłynął, znikło młode kwiecie,
Lato żarem wspłonęło, aż wkrótce po lecie
Jesień i zima przyszła, znów wiosna nastała:
I tak mnogich lat kolej zwolna przeleciała.

Był zasię już rok siódmy, ostatni dzień w roku;
Głęboka nocy cisza, wkoło sen panował,
Już rok nowy z północą prawie następował,
Gdy się rozległ nad brzegiem odgłos konia kroku.
Krok to konia mojego. Z miasta w noc jechałem,
Pierwszy raz trupią głowę Wilhelma ujrzałem,
I sławny ów pagórek, lecz z dawnego czasu
W prochy się już rosypał przestraszny pan lasu.
Północ, całą krainę zabieliły śniegi,
Dolinę, góry, lasy, i pola i brzegi,
Wszędzie się biały całun równo rozpościerał;
Blady księżyc przez grube mroki się przedzierał,
Białą czaszkę na kole oświecał srebrzysto.
Wiatr dziko poświstywał w jej próżnią kościstą,
Czasem sowa huknęła z dalekiego cienia;
Mnie i konia strach przejął nagły, mimo chcenia,
Aż do miasta napowrót wróciłem się cwałem,
A gdy o to zjawisko nazajutrz pytałem.
Stary gościnny rzeczy prawił mi ciekawe,
I o dziejach com spisał, smutną zdał mi sprawę.

I znowu mię bieg życia rzucił w świat szeroki,
W burzliwy wir mię zchwycił znów smutek głęboki;
Ale smutna ta sprawa w pamięci została,
Aż znowu mię na wzgórku raz wiosna ujrzała,
I o słońca zachodzie pod słupem usiadłem,
Nademną, koło, kości, czaszka tkwiła blada.
Smutniem patrzał w dal kraju, aż gdzie na zapadłem
Tle gór, w mroku niknących szara mgła osiada.

Był znowu wieczór, piérwszego maja;
Majowy wieczór, pieszczoty pora,
Głos synogarlic w ciszy wieczora
Do pieszczot wabił w ustronie gaja;
Cichy mech szeptał pieszczot pragnienie,
I kwiat na drzewach lubość roznosił;
Słowik dla róży swą piosnkę głosił;
Ona mu słała wonne westchnienie.
Jezioro gładkie w swych głębiach ciemnych
Dźwięczało jękiem bolów tajemnych;
Brzeg je utulał w swoje objęcia
Jak w grach dziecinnych brat pierś dziewczęcia.
Czaszkę wieńczyły ostatnie blaski
Jakby różanéj kołem opaski,
I twarz koścista dziwnie pałała.
Jak gdyby życia siła w niéj grała.
Wiatr w niéj tak dzikiém poświstał echem,
Jakby się martwiec śmiał własnym śmiechem:
Nad białą czaszką długi włos płynął,
Co siłą czasu jeszcze nie zginął.
A w jamy oczów wskroś wyłupane
Rosy majowéj kropłe zebrane,
Ściekając zwolna jak łzy błyszczały:
Zda się, że martwe oczy płakały.

I długo tak siedziałem, aż promień księżyca
I moje, i téj czaszki zbledził jeszcze lica.
Jak zasłona gazowa białość się rozlewa
Na doliny, i góry, jezioro i drzewa.
W okolnych dworach czasem słychać psów szczekanie,
Niekiedy się spóźnione odezwie wołanie;
To sowa gdzieś tam stęknie, żabki rzechotają,
Lekkie wiatry kwiat z drzewa jak śnieg rozwiewają,
Wyziew łączny jak wonne kadzidło się wznosi,
Obłok przelotny czaszkę łzą wilgotną rosi.
Mgła jak krepa się ściele niesiona wietrzykiem;
Nocne ptastwo złowrogiem odzywa się krzykiem:
Nad jeziorem przelata światło tajemnicze,
I wiatr jakieś jęczenia roznosi zwodnicze;
A muszki świętojańskie, gwiazdy latające
Uganiając się, kreślą jasnych kół tysiące;
Czasami zajdzie która w czaszki głąb kościstą,
I oczami wyłażąc, tworzy łzę ognistą.

I w smutnych oczach moich dwie wrzące łzy stały,
Jak te iskry jeziora po twarzy mi grały.
Bo gdzież moje dzieciństwo? O wiek to szczęśliwy!
Daleko już go uniósł bieg czasu skwapliwy,

Dalekie sny dzieciństwa jako cień zamierzchły
Obrazów, co po wodzie dawno się rozpierzchły.
Czém zmarłych myśl ostatnia, czém są ich imiona,
Chwała bogów pradawnych głucho zatracona,
Dawna zorza północna, wygasłe jej łony,
Starganéj struny dźwięki, zbitéj harfy tony,
Zaszłego wieku dzieje, blask gwiazdy spadniętéj,
Ślad błędnego ognika, woń róży zwiędniętéj;
Czém nieżywéj kochanki znikłe serca bicie,
Czem jest grób zapomniany, miniętych burz wycie,
Stary wulkan wyziębły, przeszłość zapadnięta,
Śpiew martwego łabędzia, wieczność niezgadnięta,
Stracony raj ludzkości po stracie piękniejszy:
Tém jest moje dzieciństwo! ..

A czas teraźniejszy
Jakże mię przeinaczył, jak w tym poemacie
Życie jeszcze w majowéj jawi mi się szacie,
Lecz cisza to majowa wśród nocnéj pomroki,
Na ustach lekki uśmiech, w sercu żal głęboki.

Widziszli tam pielgrzyma? długim kijem wspiera
Pospieszne kroki swoje, szybko się wydziera
Śledzącym go spojrzeniom; gdy tę skałę minie
Przed waszemi oczyma już na wieki zginie,
I nigdy go już, nigdy, więcéj nie ujrzycie!
To moje przyszłe losy, to me dalsze życie,
I któż serce podobne napoi do syta?
Szczęście, miłość, trwa wiecznie! Mnie już nie zaświta.
Późny jest wieczór, piérwszego maja,
Majowy wieczór, wszystko tak miło!
Głos synogarlic wabi do gaja:
„Ignacy! Wilhelm!! Jarmiło!!!

KRONIKA LITERACKA.

Dziejopisowie krajowi.

Piękne przedsięwzięcie Wolffa, żeby dać czytającéj powszechności w przekładzie polskim wszystkich dziejopisów krajowych, ma dla nas osobliwie to jeszcze znaczenie: że przywykłym gawędzić o dawnych ludziach i czasach, daje nam sposobność całkowitego przejrzenia raz jeszcze czytanych niegdyś źródeł historyi narodowéj, i co ważniejsza, wypowiedzenia sądu o historykach i kronikarzach. Wprawdzie już nieraz sąd ten był wypowiedziany publicznie. Zaczął go Braun, potém naśladował Brauna autor Myśli o pismach polskich; wypowiedzieli sąd swój wszyscy historycy literatury, a mianowicie Wiszniewski, o ile rozwinął obraz, który u niego niecały; osobne dzieło wreszcie temu przeglądaniu poświęcił Łukasz Gołębiowski. Mimo to sąd nasz nie będzie zbyteczny, i nie będzie, spodziewamy się tego, ostatni, bo dzieje literatury, kronika przeszłości, zawsze będzie żywotném zatrudnieniem dla dzisiejszych i przyszłych pokoleń. Cóż jest historya? Jestto albo opowiadanie, albo sąd. Opowiadać ludzie wiecznie będą, a każdy inaczéj, rozmaiciéj, im więcéj innych źródeł wynajdą. Sądzić będą wiecznie póki żyją, a nic to nie szkodzi, że sąd może wypaść tutaj inny, tam inny; zawsze gdzieś będzie więcéj sprawiedliwości, zawsze w końcu musi wyjść górą z walki stronniczéj, i zapatrywań się rozmaitych na przedmiot, prawda dziejowa. Tak więc możem się zgadzać albo nie zgadzać z Gołębiowskim, ale gdzie jedno i drugie? — czytelnik się sam przekona.

Z kolei rzeczy powinniśmy naprzód powiedzieć słów kilka o samém przedsięwzięciu. Myśl trafna charakteryzuje Wolffa, jednego z najczynniejszych naszych księgarzy; człowieka, który najlepiéj może pojął potrzeby nasze, który pracuje nie na dzień, nie na chwilę, ale na pokolenia. Chciał rozpowszechnić historyą polską, dotąd niedostępną dla ogółu, bo zaklętą w ła-

cińskie księgi. Od lat mniéjwięcéj czterech, pięciu, mówiono i pisano o tém przedsięwzięciu, które dzisiaj dopiéro przywodzi się do skutku. Najdawniejszy artykuł, ile pamiętamy, był drukowany o tém w Dzienniku Warszawskim 1851, Nr. 221, w epoce gotującego się dopiéro przedsięwzięcia. W ten zbiór wejdą Kochowski, Hajdensztajn, Jakób Sobieski, Kobierzycki, Fredro, Solikowski, Rudawski, biskup warmiński Załuski, Łasicki, Górecki, Wassenberg, i t. d. Kronika Piaseckiego znana w skróceniu i w przerobieniu polskiém Wojcickiego, z wydania pod tytułem „Pamiętników do panowania Wazów" nie wchodzi jeszcze do tego zbioru. Znalazł się gdzieś na Wołyniu czy na Podolu całkowity rękopism przekładu téj kroniki, który właściciel chce wydać osobno, ale bardzo ozdobnie, tak, że cenę znaczną będzie musiał ustanowić. Pan Wolff wchodził w układy, bo chciałby skompletować swój zbiór; ale że celem jego dać wydanie dostępne wszystkim i nie drogie, bez ozdób, ale porządne: być może, że ksiądz Piasecki będzie wyłączony z téj biblioteki historycznéj. Wolff jak nam rozpowiadał, myślał wydawać wielkie tomy w ósemce, w dwie kolumny na stronnicy, drukiem ścisłym, tak, że np. cały Kochowski pomieściłby się w jednym tomie. Ale skończyło się na zwyczajnéj ósemce i na odbiciu w jednéj kolumnie, każdy tom jednak zawierać ma od 300—400 stronnic, jak obiecuje wydawca; kilka mniejszych urywków zbije się łatwo w tom jeden. Mamy już w taki sposób wydane 4 tomy: jeżeli Rudawskiego materyałów starczyło na dwa grube tomy, za to Sobieski z Solikowskim pomieścili się w jednym, a Fredro z Góreckim i Łasickim téż w jednym; każdy z nich dostał osobną paginacyą jak gdyby oddzielne broszurki. Tomów dzisiaj obiecuje Wolff 12 do 15. Jestto rzeczywiście mało, bo historyków naszych mamy ogrom; spisał ich wszystkich Gołębiowski. Ale Wolff chce ogołowi dać najpopularniejszych. Cena umiarkowana: prawie wszyscy historycy wytłumaczeni zostali, i dzisiaj zupełnie gotowi są do druku. Dzieła ich poprzedzone będą wiadomościami bibliograficznemi i życiorysami, których wzór dał Malinowski w życiorysie Stryjkowskiego, zamieszczonym przy jego kronice ostatniego wydania dziejopisów narodowych. Należą do tego wydania między innemi Ludwik Kondratowicz, Michał Bohusz Szyszko, i sławnego jezuity imiennik nawet kolligat, ksiądz Piotr Skarga; daléj Michał Gliszczyński, Onacewicz synowiec, Michał Baliński. Nie będą to luźne urywki. Wydawca chce po skończeniu druku „Dziejopisów" dołączyć do nich jeden index i wskazać na porządek w jakim po sobie dziejopisowie w jego zbiorze następować mają. Okładka téż i tytuł dotąd tymczasowe są, zawierają albowiem tytuły szczegółowe; ogólnego nie ma jeszcze. Dla zaprowadzenia téj jedności, naczelnéj redakcyi podjął się Mikołaj Malinowski; on przynajmniéj powyznaczał

autorów oryginalnych i porozdzielał ich na tłumaczów. Na końcu już, jako dopełnienie wielkiego zbioru, wyjdą oddzielnie w czterech tomach pamiętniki Jędrzeja Chryzostoma Załuskiego, biskupa warmińskiego. Wiadomo, że ten uczony mąż stanu i kanclerz rzeczypospolitéj, zostawił pięć grubych woluminów dzieła, które jest jakby encyklopedyą swojego czasu, i obejmuje zakres od roku 1668 do 1711. Dzieło to nosi tytuł listów poufnych (Epistolae historico-familiares). Jestto ogrom lat i wypadków, rudis indigestaque moles, jak powiedział poeta starożytny. Z tego ogromu wyjmą się pamiętniki biskupa, opowié się wszystko, co on słyszał i na co patrzał, ile być może jego własnemi słowami. Będzie to żywcem historya, która czytać się będzie jako powieść historyczna, bo wszystko w niéj się zmieści, czego wymaga ten rodzaj literatury, przy najświętszéj prawdzie.

Przedsięwzięcie to wybornie charakteryzuje naszę nową epokę literatury historycznéj. Mieliśmy dotąd kilka zbiorów podobnego znaczenia: Sommersberg, Załuski, Bohomolec, Mizler dawniéj o takich rzeczach myśleli. Przedrukami bawili się późniéj Mostowski i Bohomolec. Dzisiaj w epoce dyplomataryuszów, we Lwowie powstała myśl wydania dzieła: „Monumenta Poloniae historica.“ Dzisiaj Roepell postanowił drukować „Scriptores rerum polonicarum mediti“. Nareszcie Wolff zjawia się ze swoim zbiorem i popularyzuje naukę.

I.

Historya polska od śmierci Władysława IV aż do pokoju oliwskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza od 1648 *do* 1660 *roku, przez Wawrzyńca Jana Rudawskiego szlachcica polskiego, kanonika katedry ołomunieckiéj i radcy Jego Cesarskiéj Mości arcyksięcia austryackiego Leopolda Wilhelma.*

Przełożył z łacińskiego, życiorysem i objaśnieniami uzupełnił Włodzimierz Spasowicz. Petersburg i Mohylew. Nakładem Bolesława Maurycego Wolffa. 1855. *W* 8*ce. Str.* 11 *i* 310. *Tom IIgi. Str.* 459. *Rejestrów w tomie I str. X.*

Niedługo rozprawiał Gołębiowski o Rudawskim: kilkudziesięcią wierszami zbył wszystko. Zauważył w nim głównie tylko skłonność ku Niemczyznie i formalną miłość dla Austryi. Jedno i drugie prawda, ale nie zgodzilibyśmy się nigdy na to, że

Rudawski jest znakomitym, pełnym zasługi i wyższego polotu historykiem. Już dlatego samego sąd Gołębiowskiego o Rudawskim sprostować musim, więcéj szczegółowo skreślając charakterystykę tego pisarza.

W istocie, kto tylko zajrzał do Rudawskiego, niepotrzeba nawet, żeby się w niego wczytał, ujrzał zaraz że to Niemiec, Austryak całém sercem i duszą. Polskaby nie żyła, gdyby nie było na świecie Austryi. Polsceby się tylko uczyć i brać wzory w Wiedniu. Wszystko co tylko w Polsce pięknego i wielkiego, to wszystko niemieckie albo naśladowane, albo pożyczone z niemieckiego: jedno, albo drugie, ale coś zawsze. Wypisywalibyśmy całe stronnice Rudawskiego, gdybyśmy chcieli pokładać dowody słowom naszym. Jan Kazimiérz pamiętał zawsze na swoję wrodzoną nietylko Jagiellońską, ale i austryacką dobroć (T. I, str. 180). Święty téż był to dom panujący na Rakuszach; wszystkie usiłowania Ludwika XIV nie mogły go nigdy obalić, bo jego władza była wieczna nad światem (T. 2—19). Austrya tylko heretyków i ich sprzymierzeńców może mieć za swoich nieprzyjaciół. Fałszem jest wszystko, co tylko złego kiedykolwiek o Austryi historycy popisali. Grammont, Kobierzycki, a nawet wielki Zamojski śmieszni są i dziwaczni, kiedy oskarżają o co Austryą (str. 2—T. 19). Najpoczciwsza, najszlachetniejsza, najpiękniejsza była zawsze, jest i będzie Austrya.

Biskupowi Piaseckiemu kilka razy przymawia Rudawski za Austryą; jeżeli kogo, to jego strawić nie może (1. 78); cesarz pan Austryi ma z prawa nad wszystkiemi królami pierwszeństwo i powagę (2. 39); Kraków okazałość budowli swoich jedynie tylko Niemcom zawdzięcza: toż inne miasta polskie (2. 24). Rudawski to człowiek zupełnie wynarodowiony, nie umié czuć i myśleć po polsku. Wmieszaniu się Austryi przypisuje to, że Polska wyszła cało z wojny szwedzkiéj: umarł cesarz Ferdynand, a więc nastał i ostateczny prawie upadek Polski (2. 230). Wierzy na oślep elektorom niemieckim, którzy utrzymują, że Polacy są niewdzięczni względem Rzeszy (2. 230). Wojskom polskim ciągle wyrzuca to i owo, wtenczas kiedy niemieckie są wzorem męztwa, odwagi, poświęcenia się i zapału (2. 238). Polacy łamią u niego prawo narodów (2. 301), a cesarz tymczasem za bezcen ofiaruje im pomoc. Pułk jeden polski więcéj zjé, jak te pieniądze, które Rplita cesarzowi za pomoc zapłaciła (2. 231). Aż nikczemnością trącą jego rozumowania, że Polacy zgwałcili traktat wiedeński, i że Austryaków, co wdzięczność im byli winni, przed całym światem potwarzami obrzucali (2. 260). Ale bo téż w istocie, Polacy nic świętego nie uznawali: oto np. ktoby zgadł, że przez łaskę Austryi posiadali Prusy, tojest najpiękniejszą część Niemiec, która bezpośrednio od wieków do cesarstwa należała; Niemcy tam mieszkali i po niemiecku wciąż mówili,

i uznawali się za część Niemiec (2. 18). Gdyby nie pokrewieństwa rakuskie królów polskich, cesarz dawnoby wziął co swoje. Rudawski jednak mniéj szlachetny od cesarza, bo dziwił się ministrom domu austryackiego, że dotąd tak mało na Prusy zwracali baczenia (2. 18). Prusy to okrasa Niemiec (T. 1. str. 85 86, i 2gi str. 17). Rudawski jest tak wynarodowiony, że fałszuje nawet stosunki Rplitéj, wprowadza do nas rzeczy i pojęcia nigdy niebywałe. Każdy pan polski jest grafem u niego i tak ich zowie: nie zapomni nigdy o kanclerzu Ossolińskim, o Radziwille, i o którymkolwiek z utytułowanych Polaków, dodać, że to książę świętego cesarstwa; i ten tytuł nawet więcéj u niego znaczy, jak wszystkie dostojności i zaszczyty. Na Polaków więc patrzy jak na poddanych i urzędników austryackich, jak na sztandesherów; nie rozumié praw naszych, tojest patrzy na nie ze stanowiska zbyt cudzego. Kto za prawem obstaje, u niego nazywa się gwałtowny (1. 180). Wreszcie nawet wojsko polskie zaciągu niemieckiego jest niezwyciężone: przymiotnik, jaki się hussarzom i pancernym naszym nigdy nie dostał (1. 31). Byłobyto wszystko śmieszne, gdyby nie było bolesne, gdyby Rudawskiego nie przychodziło nam uważać za przeniewiercę.

Jakiż będzie kunszt jego historyczny, który tak wysoko cenić się zdaje Gołębiowski? Podług naszego widzenia rzeczy, kunszt ten wcale niewielki. Rudawski głównie żyje materyałami, które in crudo wciąga do swojego dzieła. Są w nim wszystkie mowy, a przynajmniéj wiele z nich, które posłowie miewali na sejmach konwokacyjnym i elekcyjnym po śmierci Władysława IV. Jest nawet przysięga Jana Kazimierza przy koronacyi z akt wypisana, a raczéj z księgi praw; przysięga, która naturalnie nic nowego w sobie nie zawiera do historyi swojego czasu, bo była zwyczajną aryngą, rotą (1. 62). Cała obrzędowość koronacyi i sejmów tutaj wpisana. Są całe krom tego akta. Z początku to jeszcze dosyć Rudawski opowiada, ale widać się zmęczył pod koniec: bez żadnego skrupułu wpisuje do swojéj historyi wszystkie urzędowe akta, układy w Welawie, w Lubece, albo w Oliwie, tak że cały tom 2-gi w wydaniu Wolffa, przepełniony temi rzeczami, jest więcéj kodexem dyplomatycznym w rodzaju Dogiela, jak prawdziwą historyą. Mało sympatyczna jest dla nas ta jego praca. Rudawski pisał téż głównie dla Niemców, nie dla Polaków: ztąd te częste w nim objaśnienia, te ustępy, np. co to znaczy sejm (1. 45); co to są starostwa? (1. 106). i. t. d. Nie podobają się mu sejmiki polskie i sejmikowanie w ogóle. Sejmu wcale niepochlebny skreślił obraz. Czasem przez drażliwość, któréj się w nim dziwimy, nie rozwija szerzej swoich pomysłów; instrukcyj sejmikowych nie przytacza w całości, gdyż się boi obudzić śmiech w cudzoziemcach (1. 171). Stawi się zatém na ogromnéj względem rodaków swoich wysokości,

pojadł wszystkie rozumy; wolno mu cenzurować, łajać, sprawdzian sądu ma w samym sobie. W innem miejscu wyraził się więcéj stanowczo: nie przytacza tych a tych postanowień, aby nie sądzono, że spisuje głupstwa (1. 198). Takie docinki większém jeszcze złem były jak może naga prawda, która tylko w oczach uprzedzonego człowieka, tak strasznie głupio i śmiesznie wyglądała. Zresztą jako nowy dowód braku historycznego kunsztu w Rudawskim i to zapiszem, że raz wraz przechodzi dziejopis nasz od rzeczy do rzeczy, nie troszczy się o związek, o logikę; opowiada tak jak mu wypada, jak ma zebrane wiadomości, jak bogate są jego materyały. Od wojny przejdzie nagle do spraw domowych, z Krakowa jednym razem przeskoczy do Torunia. Dla cudzoziemców też bawi się w częste ustępy, które mają na celu opisywanie miast polskich. Tak opisał np. Lwów, Łowicz, Halicz, Poznań, Warszawę i t. d. W opisie Warszawy zastanowiła nas jedna rzecz. Historyk opowiada, że przed wojną szwedzką liczyła 200,000 mieszkańców: a więc kiedy nam się zdaje, że stolica królestwa dzisiaj najświetniejsze chwile swojego życia liczy, że dzisiaj jest tak ludną jak nigdy, świadectwo Rudawskiego jawnie pokazuje, że Warszawa miała kiedyś przed wieki czasy swoje od dzisiejszych jeszcze świetniejsze (1. 307).

Erudycyą ma Rudawski wielką: lubi porównania faktów historycznych polskich z historyą i literaturą grecką i łacińską. Persy, Macedony, Pyrrus, Antygon, nawet Olimp, wychodzą na scenę w jego dziele. Jużto rzeczywiście człowiek uczony. Nie żałuje epitetów ludowi polskiemu; każdemu z większych osób, głośniejszych życiem lub wpływem, coś się zawsze z tych okruch erudycyi dostało. Każdy otrzymał tytuł i nazwisko jakiego sławnego bohatera. Są i tacy, co po dwa nazwiska podostawali: np. książę Hieremi. Nie idzie Rudawskiemu o trafne porównanie, ale o styl, o powagę; lepiéj się mu wydaje bohater w togę przybrany, napuszony z rzymska. Do tego ma i ten zwyczaj fatalny nasz Rudawski, że nazwiska ludowe bohaterów gminnych, tłumaczy na język łaciński. Tu zasada historyka winna. Może historya podług niego prawić o książętach i hetmanach, którzy grafami, herzogami w cesarstwie świętém byli; ale jak może tknąć się tych stref nizkich, tego błota, co przy ziemi? Dlatego zamiast powiedzieć coś o Połtorakożuchu, watażce kozackim, Rudawski rozprawia o jakimś bohaterze, którego nie zna żadna historya. Pod piórem urodził mu się Sesquipellis, tak jakoś zgrabnie, tak niechcący.

Są to wszystko wady Rudawskiego, ale ma też autor nasz i swoje zalety. Nie mogło być inaczéj. Napisał dwa ogromne tomy (w obecném wydaniu Wolffa) o siedmiu, ośmiu latach politycznego żywota Rplitéj. Był świadkiem wypadków, na które

patrzał: na dworze polskim Jana Kazimierza miał stosunki; przechwala się też swoją rodziną i z wpływami, które naturalnie rozciągał poza kulisami Rplitéj w gabinecie, w intrygach Maryi Ludwiki. Sam cel pisania żeby wypadki i pamięć o nich przechować do odległéj potomności, dowodzą, że Rudawski był zkądinąd człowiekiem dobréj wiary; i że chciał się o ile go na to stać było, wywiązać się z długu, jaki zaciągnął względem swojego społeczeństwa. Głównie mu chodziło o spisanie wypadków wojny kozackiéj, od niéj zaczął; ale opowiadanie swoje dociągnął aż do pokoju Oliwskiego. Starał się widać skrupulatnie o dowody, o akta społeczesne. Obfitość tych aktów jest powodem, że pląta rzeczy obce do historyi polskiéj: prawi np. o stosunkach Danii ze Szwecyą. Wiele jest innych takich wtrętów, ale to dowód, że chciał być dokładnym, lubo przez to wygląda jak naszpikowany zając; prócz tego czerpał wiadomości swoje z listów prywatnych osób (cytuje np. list biskupa krakowskiego o klęsce pod Batowem T. 1 str. 191). A co grunt, dostarczają mu materyału plotki dworskie. Pomimo tego jednak, Rudawski jest prawdomówny: nie oszczędza Maryi Ludwiki; jawnie owszem wyznaje, że małżeństwo Władysława z nią było nieszczęśliwe dla narodu polskiego (1. 61.) W aktach też, które cytuje, mamy dowody, jak królowa spiskowała z elektorem brandeburskim w czasie wojny szwedzkiéj, dlatego, żeby ulubioną sobie elekcyą przyprowadzić do skutku. W ogóle Rudawski, wszędzie gdzie tylko nie wchodzi na plac interes austryacki, broni Rplitéj i ujmuje się dosyć żywo za nią. Nie darował też Rudawski i panom polskim i surowo ich karci: wyrzuca im, że przewaga drobniejszéj miernego urodzenia szlachty i rządy króla cudzoziemca są dla nich nieznośne, złe i podejrzane; że cnota szlachecka, w ich przekonaniu szeląga niewarta; radby nawet widział pod tym względem pewną reformę w Rplitéj: dowodzi, że cnoty obywatelskie powinnyby ludzi wynosić (1. 35). Chce, żeby lepiéj było w kraju polskim pod każdym względem. Oburza się więc na marnowanie starostw, które idą na młokosów, niewiasty, lub najnędzniejszych ludzi. Opisuje bezprawia jakie się dzieją przy wydzieraniu koronie tych starostw (1. 107). Ztąd wyrosła w Polsce rozrzutność. Charakterystyczną jest anegdotka, którą Rudawski z tego powodu przytacza: podskarbi wielki (nie przywodzi nazwiska) na sejmie ubolewał raz za jego czasów, że skarb królewski 300,000 złotych na swoje wydatki zebrać nie potrafi, a tymczasem on sam, pan podskarbi, rocznie kosztował Rplitę 400,000 złotych (1. 108). Widzielibyśmy w tych wszystkich rozumowaniach Rudawskiego dowód odwagi, gdyby już wtedy potrzebował czego od panów polskich, mając utrzymanie w Austryi. Bądź co bądź, zawsze będzie to wszystko dowodem prawdomówności jego i szlachetności serca.

Historya polska Rudawskiego jest więc nietylko zbiorem ciekawych faktów i pełno ma rzeczy nieznanych, ale jest do tego jeszcze niby kursem moralności publicznéj. Zasługuje na czytelników w każdym razie. Historya wojen kozackich nie obejdzie się, gdyby ją kto chciał spisać, bez Rudawskiego. Historya wojny szwedzkiéj także. Rozsypana tam moc w całém dziele spostrzeżeń, zbliżeń, szczegółów. Materyał to bardzo cenny. Z drugiéj strony, notując błędy ówczesnego rządu, wady w urządzeniu społeczeńskiém, ciekawa jest ta historya podwójnie, bo rozbiera i krytykuje; rozważa to raz, a drugi raz pokazuje nam co społecześni o formie rządu polskiego myśleli, i zdradza te myśli reformy, które wtedy po głowach się snuły. Nie miał celu Rudawski pisać traktatów politycznych. Słabości narodowych dotykał mimochodem, a jednak wszystkie te rady, które podaje, zdają nam się daleko praktyczniejsze nad intrygi elekcyjne Maryi Ludwiki, które miały doprowadzić do celu; a jednak jego utyskiwania na bezrząd, pewno prędzéj miały szlachetniejsze pobudki, jak pobudki Maryi Ludwiki. Żeby zreformować rząd, chciał Rudawski podnieść naprzod moralność narodu szlacheckiego, a królowa wielkie zło mnożyła jeszcze siejąc intrygami i psując tego i owego sama; każąc charakter narodowy chciała, by ślepi opatrzyli się a byli mędrsi. Były to marzenia z jednéj i z drugiéj strony: fakta rozwijały tylko życie, które być miało; ale patrząc na pobudki działań ludzkich, oceniajmy téż szlachetne ich strony.

Historyk cywilizacyi wiele znajdzie w Rudawskim. Nie mówim już o faktach zewnętrznego życia narodu, ale wewnętrznego. Fakta te poczerpnięte są z zapatrywania się bezstronnego na ludzi i czasy. Chociaż nie lubi Piaseckiego za Austryą, oddaje mu sprawiedliwość za charakter i za prawdę, jakiemi biskup słynął. Powiada téż, że oskarżony przez panów o potwarz, uległ wspólnéj dla wszystkich prawych historyków w narodzie polskim obeldze (1. 78). Przyznając to, że Polska chorowała na prawa (1. 95.), nastręczał myślącemu zaraz zdanie mówcy rzymskiego, że w zepsutych Rplitych najwięcéj jest praw. Nasze prawa rozlewały się szeroko po świecie. Widział sam Rudawski konstytucye nasze sprzedawane w Paryżu, a podobno sprzedawano je za jego czasów i w Carogrodzie. Polskę nazywał Rplitą magnacką, a króla sługą panów (1. 99). Potocki hetman umawiając się w obozie z Kozakami, bał się na siebie ściągać, chociaż sam panem był, oburzenia magnatów. Panów nic nie obchodziła wojna i klęski Rplitéj, aby im było dobrze. Tajemnica stanu żadna w Polsce utrzymać się nie mogła. (Tu naturalnie Rudawski z zasady nie mógł być zwolennikiem jawności polskiéj). Widział już upadek zupełny Polski i powiadał, że cudem jego ojczyzna egzystuje (1. 100). Nowy stan rzeczy no-

we też wyradzał formy. Opowiada Rudawski jak raz na sejmie opierał się uchwałom pewien możnowładca, bo dbał przedewszystkiém o własne korzyści: ale gorliwi o Rplitę szlachta przeciągnęli umyślnie do nocy posiedzenie, aby snem pokonali przeciwniki i wtedy sejm szczęśliwie doszedł (1. 127). Światłe są też bardzo uwagi Rudawskiego, w których cenzuruje pozory szwedzkie, jakie Karol Gustaw miał do wojny, nareszcie pomysły Oxenstierny względem Prus; jak radził swojemu królowi panować po obudwu brzegach morza Baltyckiego, północnym i południowym, coby Szwecyą na piérwszego rzędu mocarstwo wyniosło. Bardzo to są rzeczy ważne jako fakta do cywilizacyi Rplitéj za czasów Zygmunta Wazy (2. 18). Massy tutaj rzeczy nie dotknęliśmy, które znajdują się li tylko wyłącznie w Rudawskim.

Dotkniemy tylko kilku jeszcze szczegółów:

Radziejowski z Rudawskiego pokazuje się wcale niewinnym: namiętność chwilowa zabardzo oczerniła tego człowieka. Źle robił Radziejowski, że na kraj prowadził Szwedów i że szczerze im służył. Ale są takie charaktery, są takie zaślepiające czasem pewne usposobienia moralne, namiętności. Winien ten, kto dał piérwszy do upadku niewinnym ludziom powód; tutaj król był winien najoczywiściéj: Rudawski spółczesny tym rzeczom, choć na panów się gniewa, na Radziejowskiego nie rzuca piorunów. Do tego wniosku, że podkanclerzy nie tyle był winny, ile sądzono dotąd, przychodzi Stanisław Lisowski, który jego żywot chciał pisać i zebrał ile wiemy obszerne ku temu materyały. Gdzie są? Szkodaby ich było dla nauki, gdyby się rozproszyły znowu gdzie po rękach. Ciekawy mamy szczegół w Rudawskim, że król dawał Radziejowskiemu na niewiele dni przed ową główną sprawą, która podkanclerzego zgubiła, kasztelanią krakowską (1. 178), a więc nie tak źle go widział, kiedy go piérwszém krzesłem senatorskiém chciał ułagodzić. Podkanclerzy odmówił, i to może jedna więcéj przyczyna, która rozdmuchała ogień wojny pomiędzy Radziejowskim a królem. Nie rozwikłany też jest dobrze stosunek Radziejowskiego z kozakami. Wieści były, że do nich ze Sztokolmu pisał; że ich do buntu i do poddania się Szwecyi nakłaniał; wymagał po nich nawet, żeby posłów swoich do Sztokolmu co prędzéj nadesłali. Listy te Radziejowskiego przejęto, kiedy złapano sługę jego Jasińskiego, który wiózł listy do Kozaków. Ale Radziejowski zapierał się tych układów i dowodził w uroczystym manifeście, że to nowa przeciwko niemu intryga stronnictwa dworskiego, żeby go więcéj przed szlachtą ohydzić. Bądź co bądź, nie wiemy jak o tém sądzić. Wprawdzie w Pamiętnikach, które wydała Kommissya archeograficzna kijowska (a o których w Bibliotece Warszawskiéj na czerwiec r. b. pisaliśmy), pomiędzy papierami Swidzińskiego wydrukowano list Radziejowskiego z d. 30 maja

1652 do Kozaków ze Sztokolmu (T. 3. str. 10), ale kto zaręczy że list ten prawdziwy? Swidziński nie miał autentyku i jedynie tylko dwie kopie z biblioteki szczorsowskiéj i krzemienieckiéj: list ten kursował pewnie w licznych odpisach po ówczesnéj Polsce, więc niedziw, że znaleźć się tu i owdzie może; ależ czy to dowód że niezmyślony? Oryginał jeden tylko mógłby rzecz podnieść do godności niezaprzeczonego faktu, ale tego dotąd nie znaleziono. W Rudawskim ciekawe rzeczy o tym Jasińskim (2. 212), ale to nie jednakże nie objaśnia rzeczy.

Materyały zebrane przez Lisowskiego do życiorysu sławnego ministra, rozjaśniłyby niezawodnie głąb jego duszy. Nie mówim tego stanowczo, bośmy wyłącznie za nim nie śledzili, ale przecież czytaliśmy o nim dosyć; dlatego mamy też pewne poszlaki, po których o charakterze Radziejowskiego sądzić możem. Król najwięcéj w téj opłakanéj sprawie zawinił: ważne są dla nas świadectwa Rudawskiego, który panią Radziejowską nazywa złośliwą kobiétą, drapieżną tygrysicą; który króla jawnie o intrygę oskarża, nawet wymienia jakiegoś Tyzenhauzena domownika dworskiego, młodego człowieka, a bezczelnego w mowie, który zwykł kłócić stadła małżeńskie w interesie dworu, że tutaj rolę bezecną odgrywał (1. 171). Król oskarżył najniewinniéj człowieka, potém shańbił go i na śmiech wystawił; potém krzywo i nikczemnie potępił. Król popełnił wielką niesprawiedliwość: jakto dziwić się, że Radziejowski stracił cierpliwość? Człowiek do wysokiego stopnia namiętny, w gruncie mógł najlepiéj życzyć ojczyznie. Uniesiony gniewem, chciał się zemścić na królu, a nie mogąc tego dopiąć inaczéj, wojnę szwedzką rozpalił. To był jeden fałszywy krok jego, za którym potém poszły inne. Ale Radziejowski chciał tylko upokorzyć króla i tronu go pozbawić. Kiedy Jan Kaz. ustąpił na Szląsk, Radziejowski pracuje na nowo dla ojczyzny. Należał on także, zdaje się, do rzędu tych ludzi, którzyto o reformach zbawiennych dla Rplitéj marzyli. Nagle myśl mu błysnęła, że Polska może być szczęśliwą w połączeniu ze Szwecyą; że może w sojuszu tym naprawi niejedno zło, które miała w sobie. Otóż wszystkie czyny Radziejowskiego ku temu celowi wyłącznie skierowane. Taka unia dwóch narodów byłaby tylko w osobie monarchy: dla Polski jako zasada, nie byłaby to żadna nowość. Tak się Rplita unią wiązała z Węgrami i Czechami, tak potém splotła się z Litwą, nareszcie Zygmunt III był jakiś czas królem polskim i szwedzkim razem. Co się nie udało Zygmuntowi, mogło się udać Karolowi Gustawowi. Polska nie byłaby przez to wcale prowincyą Szwecyi, jak Szwecya Polski; i byłyby te dwa państwa rządziły się osobno, tylko jednego pana władzęby uznawały nad sobą. Jeżeli nie pojmował dobrze tego nowego położenia, które się wyrabiało na północy Karól Gustaw,

pojmował go dobrze Radziejowski. Zręcznie też napiął sieci. Szlachta wielkopolska uznaje Szweda opiekunem swoim, konfederuje się, opuszcza Jana Kazimierza; nie była to klęska z jednéj strony, a z drugiéj zwycięztwo, ale fakt czysto dobrowolnéj ugody. Tak samo i Litwa z hetmanem Radziwiłłem odszczepia się od jedności i konfederuje się obok Wielkopolski ze Szwecyą. Pobudki Radziwiłła mniéj są czyste, owszem hetman ten wiele winien i musi odpowiadać za to przed potomnością: osobistością oddycha, stroi się w tytuły feldmarszałkowskie, w Polsce nieznane; przywłaszcza sobie dyktaturę w Litwie, ale trudno w samym fakcie ugody jego ze Szwecyą nie widzieć podobieństwa do faktu, jaki miał miejsce pod Ujściem. Litwa w tém jedynie wykracza, że zrywa jawnie jedność Rplitéj, łącząc się ze zwycięzcą szwedzkim i że uważa się już za odrębną całość od Korony; ale warowała sobie jednak w faktach poddania się, że nigdy król szwedzki nie użyje jéj do wojny z Polską. Litwa zmieniała sojusz wieczysty; miała go dotąd z koroną polską, i teraz go ma także z koroną, ale już ze szwedzką. Kiedy Wielkopolska oddała się pod opiekę Szweda, przykład dawała reszcie Rplitéj i pociągała za sobą do naśladowania inne dwa kawały kraju polskiego. Litwa zdzierała historyą, zabijała się sama przez intrygę hetmańską. Myśli Radziejowskiego nie pojął, jak powiedzieliśmy, dumny Szwed, i był uznany za protektora chwilowego Polski (nowa godność w kraju naszym, ale pospolita wtedy, bo i elektor brandeburski ogłaszał się protektorem Prus, z zasady, że w mętnéj wodzie najlepiéj łowić ryby), a jemu się zdawało, że był zdobywcą i zwycięzcą. Szlachta domagała się wolnéj elekcyi króla, a król na palasz wskazał i rzekł szlachcie, że ten go wybrał na tron polski. Więc bardzo naturalnie, Polska, która się jeszcze wtedy czuła na siłach, nie dała sobie w kaszę dmuchać, i Szweda na karkach swoich do Szwecyi wyniosła.

Radziejowskiego gniew po niewczasie minął. Chciał być pośrednikiem pomiędzy Rplitą a Szwedem, nie udało się; więc po długich latach wygnania zatęsknił do ojczyzny. Przywrócony do praw obywatelskich pragnął winę swoję przejścia do wrogów zagładzić, chociaż to na dobre Polsce wyszło, że był czas jakiś razem z jéj wrogami, bo niejedno dobre wpływem swoim sprawił u Karola Gustawa. Wrócił i został, jedni powiadają wojewodą lubelskim, drudzy że inflanckim. Prosił zaraz króla o pracę. Jan Kazimierz wyprawił go posłem do Turcyi. Mamy właśnie przed sobą relacyą jego poselstwa, relacyą, którą już zdawał po jego śmierci Wysocki sekretarz, cześnik sochaczewski (1668). Radziejowski ujmował się z energią i z godnością, która wyraźnie wskazuje na charakter i serce dobrze dla ojczyzny usposobione; upominał się za prawami Rplitéj. A nie taka to łatwa rzecz była wtedy rokować z Turcyą. Porta stała jeszcze na samym szczy-

cie swojéj wielkości, jeszcze groziła Europie; jeszcze nie złamały jéj Chocim, Wiedeń i Karłowice. Było to na lat kilka przed ową pamiętną chwilą, w któréj Porta zwaliła się na Rplitę i zabrała jéj Ukrainę i Podole, a rozpościerała się po Zadnieprzu. Dumą i fanatyzmem rozzłoszczonym świeżo dyszała. Radziejowski umawiał się tedy z barbarzyństwem wśród obozu pod Adryanopolem, pod bokiem sułtana, z ludźmi, którzy żadnych praw ludzkich i boskich szanować nie umieli i nie chcieli. Wiedział czém to pachnie. Grozili mu Turcy. To nic męża wielkiéj duszy nie zachwiało. Szedł śmiało na niebezpieczeństwo, aby ojczyznie usłużył. Pewno za błąd swój chciał odpokutować. Głos jego śmiały, otwarty, szlachetny był. Turcy go uwięzili, ale rozwaga po chwili im wróciła. Już Radziejowski był blizki zwycięztwa, kiedy zdręczony, zbolały przyszłemi klęskami ojczyzny, które przewidywał, po krótkiéj chorobie zakończył życie w obozie tureckim dnia 8 sierpnia 1667. Charakter to zacny i wyższy, co się do błędów przyznaje i z upadku się dźwiga.

Z okoliczności jeszcze Czarnieckiego, którego plany wojenne cenzuruje Rudawski, powiemy słów kilka o taktyce i strategii polskiéj.

Uważaliśmy obronę Krakowa w r. 1655 przeciw Szwedom za czyn wysokiego poświęcenia się i męztwa: listy Desnoyersa w Portofolio Maryi Ludwiki pokazują, że nie tak obronę tę pojmowali spółcześni, kiedy przypisywali Czarnieckiemu zdradę i nieczułość na losy kraju. Domyślano się wtedy, że Szwedzi kochali za coś obrońcę Krakowa, co naturalnie trąci potwarzą. Ztémwszystkiém nie zawadzi jednak wiedzieć, że spółcześni robili zarzuty Czarnieckiemu za boje krakowskie ze Szwedami. W 1656 r. Czarniecki rozwija męztwo i budzi z odrętwienia naród. Rudawski jak pod każdym względem tak i tutaj razi bogactwem faktów: ale nie o tém rzecz. Uważaliśmy w Czarnieckim dotąd dzielnego tylko partyzanta, awanturniczego najezdnika. Wszyscy wielcy wodzowie nasi z epoki królów obieralnych, najazdami tylko walczyli. Taktyka, strategia była to dla nich rzecz obca. Nie tworzyli planów, nie układali z góry wielkich wypraw wojennych. Walczyli z dnia na dzień, na chybił trafił. Męztwo ich zadziwiało, poświęcenie się nie miało granic. Ale po większéj części, prowadzili dorywcze tylko wojny. Nie dojrzeć w nich wojennego gieniuszu. Inaczéj być i nie mogło prawie: dowodzili szlachtą sobie równą, więc bezkarną. Ale wielki wódz i z tą szlachtą poradziłby sobie i ją do zwycięztwa umiałby poprowadzić. Cóż? kiedy nasza metoda wojowania była czysto polska, i jakeśmy się wyrazili, z dnia na dzień służyła. Takiemi byli hetmani nasi. Z ich liczby ledwie kilka imion wyliczyćbyśmy zdołali, co stanowią wyjątek. Winni byli temu i królowie, bo dawali często buławy zasłużonym obywatelom

kraju, ale nie wojownikom. Buława była w Polsce najpiérwszym zaszczytem: hetman piastował po królu może piérwszą godność w narodzie. Desnoyers serdecznie ubolewa nad nizkim stanem sztuki wojennéj u nas. Powiada, że generał francuzki dokazałby tu cudów i prędko skończył ze Szwedami wojnę. Wierzym Desnoyersowi. Szwedzi od siebie całemi morzami kraju poprzedzielani, bez zasobów, bez sprzymierzeńców, jak mogli całe dwa lata burmistrzować w kraju, od Poznania do Witebska, od Gdańska do Krakowa i Chocima? Mogli, ale to dlatego, że Polacy mieli zły sposób wojowania. Żadne zwycięztwo nasze nie miało skutków. Karol Gustaw pobity w jedném miejscu, podnosił się w drugiém, jakby nic. Generał ze szkoły Turenna, Condé, i Vaubana, nie pozwoliłby tak wrogowi rosnąć po zwycięztwie.

Czarnieckiego, powiadamy więc, mieliśmy także za najezdnika, za dzielnego partyzanta; Desnoyers przekonał nas inaczéj. Miał Stefan pomysły swoje, które pokazywały w nim wodza, ale zawsze dorywcze walki, to było jego pole. Ślicznym fortelem zamknął on króla szwedzkiego w cyplu pomiędzy Sanem a Wisłą: przeprawy wszystkie na obudwu rzekach były w ręku polskim, i król się w żaden sposób wyśliznąć nie mógł. A tymczasem od Lublina z Litwinami nadciągał Paweł Sapieha; od strony Mazowsza, kierując się także ku Lublinowi, Alexander Koniecpolski z kwarcianemi, którzy porzucili służbę szwedzką; sam zaś Czarniecki od południa przed czołem Gustawa że strony Rusi nadstawiał pierś, a od zachodu Jerzy Lubomirski, Wojniłowicz, Żegocki i konfederaci wielkopolscy. Szwed był otoczony i głodemby zginął, bo odsieczy spodziewać się nie mógł: nieumiejętność zepsuła wszystko.

Ale te pomysły cechujące wielkiego wodza, raz się tylko objawiły w Czarnieckim nad Sanem. Późniéj plany jego i wyprawy tak były niezręczne, że je, jak powiada Rudawski, surowo ganiła cała Europa (2. 91).

Powiemy jeszcze słów kilka o saméin tłumaczeniu. Tu przyjdzie nam ocenić pracę pana Spasowicza.

Imię młodego uczonego znane nam oddawna, ale spotykamy go dopiéro piérwszy raz pracującego dla nas i na polu historyi polskiéj. Zawód uczonego rozpoczął nawet pan Spasowicz nie w naszéj literaturze. Było to dnia 23 listopada 1851 r. kiedy bronił rozprawy swojéj na stopień magistra prawa narodów, w uniwersytecie petersburskim; 24 grudnia tegoż roku zatwierdzony na tym stopniu przez ministra oświecenia narodowego. Dla tego aktu napisał wtenczas rzecz o prawach pawilonu neutralnego. Wprawdzie każde państwo morskie ma swoje osobne pod tym względem przepisy, które stanowią polityczną stronę przedmiotu, ale dlatego rzeczą jest niemniéj ciekawą i ważną poznać teoryą pawilonu neutralnego. Ztąd naszego

uczonego rozprawa jest dokładném streszczeniem trzydziestu celniejszych dzieł w tym przedmiocie; młody autor studyował poprzedników swoich i rozwijał własne pomysły, dowody i wnioski. Rozprawa ta dzieli się na trzy części: piérwsza mówi o neutralności i zdobyczy wojennéj na morzu; druga przedstawia historyą i rozwój zasady, tojest dzieje swobody pawilonu neutralnego. Ta ostatnia część zawiera trzy poddziały: a) od początku średnich wieków aż do XVII wieku; b) od początku XVII wieku aż do chwili, kiedy piérwszy raz ogłaszano zasadę neutralności zbrojnéj, tojest do roku 1780; c) aż do naszych czasów. Bardzo wielki interes autor potrafił przelać na dzieje neutralności zbrojnéj, na zasadę, któréj w ciągu trzech lat niespełna, zgodziło się ośm morskich państw Europy. Ciekawy też jest przegląd traktatów morskich różnych mocarstw, nawzajem pomiędzy sobą, aż do roku 1843 włącznie. Nakoniec w trzeciéj części mieści się zakończenie, w którém autor z powodu, że traktaty te są rozmaite i niezupełne, i że autorowie bardzo się różnią w zdaniach co do tego przedmiotu, szuka w abstrakcyjnych zasadach nauki rozwiązania dwóch ważnych zagadnień: najprzód, jakiemu losowi winny podlegać rzeczy nieprzyjacielskie, znalezione na okręcie neutralnym? I wyprowadza wniosek, że zajęcie ich tak samo ubliża jak prawom państwa neutralnego, tak i prawom prywatnéj własności neutralnego kapitana. Powtóre, jaki los winien być udziałem neutralnych składów, które znaleziono na okręcie nieprzyjacielskim? Autor dowodzi, że cały skład powinien być wolny i że w żadnym razie nie ulega konfiskacie, chyba że stanowi kontrabandę. Rozprawa pana Spasowicza wyszła niedawno w Petersburgu po rossyjsku pod tytułem: „O prawach nejtralnaho flaga i nejtralnaho gruza. Razsuzdenje na stepeń magistra, Władimira Spasowicza.“ Wyszło z drukarni departamentu handlu wewnętrznego, w 8-ce, zawiera stronnic X i 114. Kosztuje rsr. 1. Dając sprawę o tém dziełku Zbornik morski, który wydaje z urzędu uczony komitet pod prezydencyą admirała Rikorda (Nr. 12 z r. 1851), powiada, że rozprawa pana Spasowicza stanowi zupełny i piękny summaryusz faktów i rzeczy o neutralności na morzach. Pan Spasowicz prócz tego znany jest naszéj publiczności z artykułów pomieszczonych w Pamiętniku Podbereskiego.

Piérwszą tę pracę ojczystéj poświęconą literaturze musim przyjąć ze spółczuciem i zachętą. Chcielibyśmy, żeby pan Spasowicz i daléj na tém polu pracował i zbierał wawrzyny. Dlatego trudno nam wstrzymać się od kilku życzliwych przestróg. Język jego niedosyć czysty: są russycyzmy (chartia, biskup Wałachii i t. d. ale i Syrokomla Wołoszczyznę Wałachią nazywał). Są wyrażenia i słowa całkiem łacińskie, na których oznaczenie mamy swojskie lepsze: np. immunitaty. Ale błędy języka,

to błędy formy: nauce saméj nie szkodzą. Przykrzéj więc nam widzieć błędy tłumaczenia, które widać mają podwójne źródło: raz płyną z samego tłumaczenia, drugi raz z niebardzo starannéj korrekty. Biorąc się do przekładu Rudawskiego winien był p. Spasowicz obeznać się nietylko z autorem, ale i z przedmiotem. Niedosyć umieć po łacinie, żeby kroniki łacińsko-polskie tłumaczyć. Celem wydania Wolffowskiego jest przecie rozpowszechniać historyą, tojest naukę, ale nie rozpowszechniać błędów. Człowiek fachowy łatwo postrzeże błąd w złém zacytowaniu np. jakiego nazwiska; dla niego więc książki te nie stracone, lubo uczony prędzéj się do oryginału ucieknie jeżeli go ma pod ręką: ale kto się ma uczyć np. z Rudawskiego historyi Jana Kazimierza, przez błędne tłumaczenie wiele z niego nauczy się błędów. Clara tumba np. jestto Mogiła pod Krakowem i opat jéj nie będzie, jak to p. Spasowicz tłumaczy opatem jasnogrobskim, jakiego nigdy w Polsce nie bywało, ale opatem mogilskim. Parczewski nie był przełożony nad biskupstwem wileńskiem (co to jest?), ale praepositus tłumaczy się poprostu proboszcz, był więc proboszczem katedralnym wileńskim (1, 78). Ksiądz Starczewski, referendarz nie został wielkim pisarzem, ale wielkim sekretarzem; pisarstwo było urząd mniejszy od referendaryi i secretarius po łacinie nie jest to po polsku pisarz (t. I. — 221). Lubomirski żaden nigdy nie był kanclerzem (1. 183). Myłek w nazwiskach jest ogromnie wiele. Nie wyliczylibyśmy ich nigdy i próżna to byłaby praca i niepożyteczna. Starosta kaliski bierze się tutaj za kałuskiego (1.—73). Za Mszczonów powtarza się Mszanów (1. — 178); przekręconych takich nazwisk wiele. Danielowicze zamiast Daniłowicze, za Dowgiałło jest Borajgało (2.—164). Dziwne wreszcie losy biédnego Jewłaszewskiego kasztelana smoleńskiego, autora traktatów hadziackich; nikt go dobrze wymienić nie potrafi, okropnie wszyscy przekręcają jego nazwisko. W Jerliczu drukowanym są aż cztery waryanty jego nazwiska, w Rudawskim także ten kasztelan jak Prometeusz ciągle się zmienia i t. d.

Za to artykuł wstępny pana Spasowicza o Rudawskim i jego kronice pokazuje, że literatura historyczna może się spodziewać od niego sumiennych prac, pociągających czasem obrazowością, czasem nawet głębszą i poważniejszą myślą, aby tylko dłuższe studya na téj drodze otwarły młodemu, pełnemu zdolności i dobréj chęci autorowi, wejście do świętego przybytku nauki.

Dnia 7 czerwca 1855 r.

Julian Bartoszewicz.

Jan III pod Wiedniem.

.....Jeśli miecz wzniosą ludzie święci,
To nie z dobyczy, nie złéj chęci,
Lecz aby brzmiały świata strony
Niech będzie Chrystus pochwalony.
T. L.

P. Ciemniewski wydał temi czasy poszyt rysunków au trait, litografowanych przez Fajansa, składający się z sześciu podłużnych małego formatu tablic. Wyobrażono na nich wjazd Jana III pod Wiedeń, po sławném zwycięztwie d. 13 września 1683 r. Dwie główne gruppy przedstawił twórca tych rysunków: jedna stanowi poczet niejako tryumfalny—Sobieskiego; druga reprezentuje Wiedeńczyków idących na spotkanie swego zbawcy. Choć nie było przeznaczeniem niniejszego zbiorku, aby doskonałością artystyczną celował, bo i pomysł sam niecałkiem dokładnie zrozumieć się daje, i wydanie też tak skromne, że zaledwo zdobyto się dotąd na zwykłe o niém w „Kurjerze“ doniesienie; to jednak ze względu na sam temat w litografiach tych rozwinięty, winniśmy bliżéj z niemi się zaznajomić.

Ogólną cechą rzeczonych rysunków jest, zdaje się, emblematyzm. Pracę wydawcy możnaby wziąć za jakiś projekt do płaskorzeźb; ale gdyby tak rzeczywiście być miało, pewne zmiany stałyby się tu koniecznemi.—Koło namiotu, którego kawałek widzimy na rysunku, przeciąga konwój Jana III. Zabity Tatar z włosami po chińsku w kosmyk zwiniętemi, odarty z wszelkich szat, leży nieżywy na ziemi. Daléj potoczyła się kula kalibrowa; dokonała ona już przeznaczenia swego: zniszczyła co zniszczyć miała, a teraz leży spokojnie, i przechodnie bez szwanku ją potrącają. Jeździec jakiś, niedającéj się określić narodowości, w czapeczce o wiewającém z cudzoziemska piórku, z szablą w ręku, w kurtce czy we fraku, bo trudno to rozeznać, harcuje na wspinającym się rumaku. Przed nim, idący pieszo kontuszowiec, prowadzi objuczonego wielbłąda. Cztery muły także prowadzone, ciągną wóz z trofeami. A trofeów tych snadź dużo być musiało, skoro na jednéj osadzie pomieszczono trzy armaty, paiże, dziryty, kołczany, łuki, zbroje, topory, sztandary, zakrzywione szable i zawoje, co wszystko osłonięte jest zdobytym na Turku namiotem, a w układzie nie najlżéj wygląda. Przed wozem znów jeździec wyprzedza konia wezyrskiego, ze wszystkim rynsztunkiem, przez giermka prowadzonego. Poczet pieszych pędzi przed sobą Turków w niewolę wziętych. Następnie konno widzimy kopijników, surmaków, chorążego, hussarzy, przyłbicą zakrytego rycerza w zbroi, dwóch widno przedniejszych z drużyny, gdyż blizko króla jadą. Wyprzedza ten cały

zastęp młodzian w czamarce pod szyję spiętéj w rogatywce z piórem, a tuż przed nim sam bohater, Jan III. Pod bok ujął się monarcha; pancerz pierś mu osłania, hełm zakończony skrzydlatém zwierzątkiem, okrywa jego głowę, u boku spada prosty, krótki miecz starożytnego kroju; koń, którego dosiadł, po fantazyi poznajesz że turecki, bogatym czaprakiem, napiersnikiem i uździennicą zdobny.

Przed królem idzie naród oswobodzony: niewiasty, starcy, młódź i pacholęta. Starganc pęta które jeden z téj gruppy w górę unosi, wskazują, że już im nie zagraża jassyr turecki, że zostali „liberi in libera patria“.

Tu się poczyna zastęp stanowiący drugą część rysunków. Duchowieństwo z krzyżem idzie na spotkanie pogromcy muzułmanów; dostojnik jakiś kościoła z pastorałem, toż i mnichy zakonne. Tuż za niemi niemieckie pany z odkrytą głową, chléb a sól niosąc postępują, daléj kilku konno; w znak danku takoż unoszą w górę kapelusze i czapki, więc ludu czereda za ich przykładem podobnie czyni. Baszta jakaś, musi być do wiedeńskich należąca fortyfikacyi, jest ostatnim, niemym téj uroczystéj chwili świadkiem. W końcu, symboliczny anioł, atletycznéj postawy, ma się rozumiéć in naturalibus, podnosi wieniec dębowy prawicą, w lewéj zaś ręce „nobilem palmam“ godło zwycięztwa dzierży; a sława w postaci siedzącéj niewiasty, zapisuje w księdze dziejów przesławne one zwycięztwa, wraz z imieniem jego sprawcy. Aniołek małoletni klęcząc u stóp bogini, podtrzymuje tę wiekopomną księgę.

W rysunkach tego rodzaju, co niniejszy p. Ciemniewskiego zbiorek, dwojakiej, zdaje nam się, należałoby się trzymać drogi: albo wiernie kopiować postaci osób historycznych, stroje, przybory i t. p. słowem przedstawiać na rysunku rzecz daną tak, jak się ona iście według dziejów miała; albo téż wszystko emblematyzując, poubierać rycerstwo w starożytne togi i koturny, zachowując tylko celniejszych figur podobobieństwo twarzy, i wtedy przyzwać w pomoc całą grecką lub rzymską mitologią, dla zupełnego uwieńczenia wyobrażonéj ważnéj jakiéj, pewnego bohatera na rysunku chwili. P. Ciemn. pomieszał z sobą to oboje, przez co mniemamy, praca jego wiele straciła. I tak np. skoro na przyjęcie Jana III występuje duchowieństwo chrześciańskie z godłem zbawienia, dość to już chwały i zaszczytu dla zwycięzcy; obejdzie się więc tém samém bez owéj do kronik imię Sobieskiego zapisującéj bogini. Sam król w liście, (1) z namiotów wezyrskich do najukochańszéj Marysieńki pisanym, wyraża się: „Bóg i pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięz-

(1) *List 9-ty* w zbiorze wydania Edwarda Raczyńskiego. Warszawa, 1824 r.

two i sławę narodowi naszemu, o jaki wieki przeszłe nie słyszały.“ Te słów kilka najlepszym są tłumaczem, jak przodkowie nasi wszystko na chwałę Bożą i w imię Boże przedsiębrali; jak więc tém samém myśl święta, a nie czczego rozgłosu pycha, serca im krzepiła, gdy w boju potykać się mieli z niewiernemi. Skoro tak było w życiu, tak też powinno być i w poezyi i w sztuce. Nasze starodawne poezye ugodziły nieraz w ten sens, dlaczegóż zaś w wizerunkach ma on być z uwagi opuszczonym? Przypomnijmy sobie naprzykład, jakto stary Chodkiewicz w chocimskiéj potrzebie zażywał przemowy do rycerstwa swego (1).

„A ty o wielki Boże! który jedném słowem
Wodzisz wojsk miliony, przeto obozowém
Panem się słusznie zowiesz; . . . . .
. . . . . .
Pokaż swoją moc w naszéj niedołędze lichéj,
Zepchnij nieprzyjacioły swoje dzisiaj z pychy.
Oni liczbie tak wielkiéj, wozom, koniom, a my
W tobie tylko jedyny Boże nasz ufamy.
Racz podrzeć wielkich grzechów naszych katalogi,
Weź im serca, a nam daj; pokrusz im ostrogi;
Niech się im łuki łamią, niech im szabla ztępie,
Daj cześć swemu imieniu, w tym ludzi zastępie!“

Kochowski w dziele: „Commentarius de bello contra Turcas apud Viennam a. 1683“ nadmienia, że w świetnym dniu zwycięztwa dla monarchy i narodu, król nosił kontusz sukienny niebieski, a żupan biały jedwabny, i na dzielnym rumaku płowéj maści jeździł. Poprzedzał króla giermek, puklerz w kształcie herbownéj tarczy (Janiny) noszący, i chorąży, który dla oznaki, gdzie się król znajdował, przymocnił był do proporca swego, pióro sokoła. Królewic Jakób, nieodstępny ojca w krwawéj potrzebie towarzysz, a jak sam Jan III do żony pisał: „Fanfanik brave au dernier point“, miał szyszak na głowie, zbroję na piersiach, szpadę u boku, a pod udem, zwyczajem przodków naszych, szablę krótką i szeroką. W opisywanych zaś rysunkach nie ma nic tego wszystkiego: Sobieski w zbroi, a Fanfanik w czamarce i rogatywce. Zdaje nam się bowiem, iż nim to właśnie ma być ów młodzian zaraz za królem na koniu pędzący. Koń królewski najlepiéj udał się w rysunku; inne są fatalne: nogi, karki, wysokość ich, nieproporcyonalne. Nie zachowano cechy, któraby po pierwszym rzucie oka dała poznać, że karty te wjazd Jana III pod Wiedeń wyobrażają. Odejmijmy tu naczelnego wodza wyprawy, a nikt po reszcie nie zgadnie, co to za ludzie są, co z sobą tureckie trofea wiozą. Choć się tu i owdzie znajdą wąsacze z wylotami; choć niby karabele trzymają w ręku, a skrzydła jeden z jezdnych ma z tyłu przy-

(1) Wojna Chocimska, poemat bohaterski. Lwów, 1850, str. 197.

piętc: to wszystko jednak nie jest wyobrażone tak, żeby się bez komentarza obeszło. Baszta nawet dziwacznie wygląda; ani w niéj blank, ani strzelnic nie ma.

Zbyt surowo sądzimy może telitografie; ależ wypowiedzieć szczerą prawdę za obowiązek sobie poczytaliśmy. Intencya dobra w dokonaniu jakiego przedsięwzięcia pewno wiele znaczy, aleć wszystkiego jeszcze nie stanowi. Nie potrzebujemy obszernie rozwodzić się tu nad tém, coby to za piękne rysunki na tenże sam temat potworzyć można było. przeczytawszy uważnie chociażby same tylko listy Jana III. Najwięksi mistrze sztuki mieliby nad czém z chlubą pracować. Czemuż nie mamy swojego Kaulbacha, któryby nam na podobieństwo sławnéj jego „bitwy Hunnów“ rozprawę pod Wiedniem odmalował. Czemu o tém nie pomyśleli dotąd nasi młodzi artyści?....

I. Z.

Volksliederquellen in der deutschen Litteratur, von Kertbeny. (Halle. Druck und Verlag von H. W. Schmidt. 1851).

Choć upłynęło już lat kilka od czasu wydania broszurki pod powyższym tytułem, gdy atoli takowa przed niedawnym dopiéro czasem w księgarniach się warszawskich ukazała, a do tego w nader szczupłéj liczbie egzemplarzy: ze względu więc na to, jak również i na przedmiot w pisemku tém traktowany, uznaliśmy właściwém, bliżéj z niém badaczy i miłośników poezyi ludowéj zaznajomić.

Z przedsłowia dowiadujemy się, że wieloletnie zajmowanie się pieśniami ludu, dając z jednéj strony poznać dokładnie autorowi tę gałąź piśmiennictwa, ukazało mu zarazem z drugiéj na zupełny brak bibliograficznych spisów, któreby badaczowi poezyi ludowéj całą pełnię téj dziedziny ukazać zdołały, a tém samém stanowiły wskazówkę, czego jeszcze na tém polu nie dokonano. To skłoniło p. Kertbeny do osobistych szperań i poszukiwań, których początkowy owoc dla pożytku literackiego w opisywanéj zgromadził broszurce. Chociaż autor uważa swój wskaźnik za nader niedostateczny, dosyć jednakże znajdujemy w nim spisów dzieł bliżéj piśmiennictwo polskie obchodzących, a zapewne nie wielom znanych. Zbiorek ten na dwa główne rozpada się działy. Pierwszy wymienia pieśni ludu albo oryginalnie niemieckie, albo też na niemiecki tłumaczone; drugi zaś, wydania poetycznych ludowych zbiorów, w kilku obcych narzeczach. Kertbeny w pożytecznéj swéj pracy dotyla jest sumiennym

i ścisłym, że gwiazdkami odróżnia tytuły książek, które mu z napisu tylko są znane; co do innych zaś, tojest takich, które sam miał w ręku, zupełną na siebie przyjmuje odpowiedzialność za niemylność wiadomości, jakie o nich podaje. Główne oddziały tego katalogu są następujące: Giermański, Romański. Słowiański, Magyarski, Nowogrecki, Baskijski, Celtycki, Arabski, Mongolski, Chiński, Czerkaski i Malajski. Wszędzie niemiecki porządek i systematyczność godna naśladowania w naszych niepoprawnie i bezładnie prawie wydawanych dotąd katalogach.

Nie miejsce potemu, abyśmy tu wiele nęcących dzieł zagranicznych literatur, z nadpisów wymieniali; ograniczamy się tylko wyliczeniem słowiańskich i litewskich. Samych wydań Królodworskiego rękopisu aż cztery wymienia Kertbeny: 1) Przekład W. A. Swobody (wyd. w Pradze, 1829); 2) hr. Leon Thun (tamże, 1845); 3) drukowane w r. 1846 w Lipskim zbiorku poezyj Maurycego Hartmana, 4) pragskie z r. 1843 w językach polskim, czeskim, rossyjskim, iliryjskim, krainskim, serbskim, niemieckim i angielskim. Nie oglądaliśmy tego wydania, Kertbeny oznaczył je gwiazdką, a zatém z wieści tylko znać je musi. Jeżeli zaś takowe rzeczywiście istnieje, to przez wzgląd na połączenie tylu pokrewnych sobie narzeczy, i porównawcze przedstawienie różnorodnych tłumaczeń, dla filologów nader byłoby ważnem i ciekawem. Zbiór poezyj czeskich p, t. Blüthen neuböhmischer Poesie" przekładu J. Wenziga, wyszedł w Pradze r. 1833. Narodowe pieśni czeskie przełożono także na jęz. niem. i drukiem ogłoszono w Pradze r. 1845. Znana zaś niemiecka autorka Ida von Dürengsfeld, wydała w r. 1851 w Wrocławiu, narodowe czeskie pieśni: p. n.: Böhmische Rosen."

Z małoruskich i polskich zbiorów wylicza Kertbeny dzieła:

„Die poetische Ukraine" małoruskie pieśni ludu, tłumaczone p. Fr. Bodenstedta. Stuttgard, 1845.

„Balalaika", polnische und kleinrussische Volksweisen, tłum. W. Waldbrühla. Lipsk 1848;

„Volkslieder der Polen". tłum. W. P. Lipsk, 1833.

„Krakowiaken" (Krakauer Tanzliedchen?) F. A. Märkera; przy tym zbiorze Kertbeny odsyła czytelnika do dzieła Dioskuren, wydanego w 2 t. w Berlinie (1836—37) przez Teodora Mund'a.

Serbskie narodowe pieśni, tłumaczyli na niem. i wydawali: P. von Goetze w Petersburgu (1827), Gerhard w Lipsku (1828 t. 2), Teresa v. Jakobs zamężna Robinson, znana pod pseudonymem Talvi, w Halli (1835 t. 2), A. Benedickt. z komentarzami, w Wiedniu (1851), F. Uhl w Lipsku (t. r.). Pieśni p. t. Gusle A. Frankl w Wiedniu (1851); Serbskie sagi bohaterskie p. t. Marko Kraljewitsch, Dr. J. N. Vogl w Wiedniu 1851, wreszcie pieśni weselne. E. E. Wesely, w Peszcie r. 1826.

Do oddziału Słowian, Kertbeny zalicza Litwinów, Letów, Estów. Finnów, Wendów, mieszkańców Krainy i Wasser-Polaków. Podobne pomieszanie z sobą oddzielnych szczepów, najlepiej przekonywa, jak mało dzieje Słowian znane są jeszcze reszcie Europy. Ale mniejsza o te omyłki, idźmy daléj za śladem spisów. Z litewskich zbiorów na niem. tłumaczonych, wspomniane tu są: Dainos, czyli pieś. lud. litewskie. przez Rhesa. Berlin, 1843. Lith. Volks lied. W. Jordana, Berlin 1844; takież Filipa Rhugisa i Michaelisa, piérwsze wyd. w Królewcu w roku 1745 w zbiorze: „Betrachtungen der lithauishen Sprache", a drugie w Giessen r. 1780, pomiędzy: „Michaelis scherzhafte Lieder". Ale znów natrafiamy tu na wątpliwość: Kertbeny bowiem oznacza gwiazdką tytuł: „Lithauen, seine aelteste Geschichte, Einrichtungen, Sitten, Volkslieder. u. s. w. von J. I. Krassewski. Iter. Bd." rok i miejsce wydania nie podane. A tak możem co do tego punktu dwojakie zrobić przypuszczenie: albo Kertbeny słyszał o tłumaczeniu dzieła Kraszewskiego, wydanego w r. 1850 w Warszawie, p. t. „Litwa, Starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania" i t. d. t. 2; albo téż pod niém edycyą polską chce rozumieć.

Pod Lettami wypisano tytuły dwóch pism, w których zamieszczane były poezye ludowe tego plemienia: 1. „Magazin, herausgegeben von der Lettisch-Litterarischen Gesellschaft. (t. 5 Mitawa, 1835) i „Ueber lettische Volkslieder von C. C. Ulmann, w piśmie „Dorpater Jahrbücher tom 2 (Dorpat i Ryga 1834).

„Volkslieder der Wenden" w wyższéj i niższéj Luzacyi, tłumaczyli i wydali wraz z oryginałem L. Haupt i J. E. Schmaler, t. 2 (Grimma 1841—44).

„Volkslieder aus Krain" wydał w przekładzie Anastazy Grün (Lipsk, 1850).

„Wasserpolakische Volks-Lieder" tłum. Max. Waldau, i zamieścił w Deutsches Museum" piśmie wydawaném przez R. Prutza i W. Wolfsohna, poszyt 7 (Lipsk, 1851).

Z ogólnych zbiorów o poezyi ludowéj słowiańskiej, wymieniono tu wreszcie trzy;

„Slavische-Volks-lieder, z rossyjskiego, czeskiego, słowackiego i bułgarskiego przełożył J. Wenzig. Halle, 1830.

„Slavische Melodien" opracowane p. Siegfrieda Kapper, Lipsk 1844. i „Volkslieder aller Slaven" oryginały wraz z przekładem Chelakowsky (Czelakowski) t. 3. Praga, 1821—27.

Okazuje się z szeregu wymienionych powyżej tytułów, że Kertbeny nic a nic prawie nie wié o polskich zbiorach poezyi ludowéj.

W odezwie swéj do miłośników badań ludowych, uprasza on o nadsyłanie sobie wszelkich uwag, poprawek i nowych wska-

zań do tego przedmiotu odnoszących się. Szczególniej obchodzą go zbiory takie, które już w niemieckim jęz. drukiem ogłoszono. Pośrednikiem do podobnych literackich znoszeń, autor katalogu wyznacza nakładową księgarnię F. L. Herbiga w Lipsku. Ciąg dalszy swéj pracy przyrzeka wkrótce znowu wydać; użala się wreszcie nad zbiorami poezyj ludowych, które dotąd w rękopisach pozostają i łatwo przez to zatraceniu uledz mogą. Pomiędzy niemi nadmienia także o zbiorze pieśni słowiańskich z melodyami w posiadaniu Dra Kopetschei w Wiedniu i Wasserpolskich, z których niektóre wyjątki Hauenschildt ogłosił, lecz gdzie, niewiadomo.

Z prac literackich samego Kertbenego o jednéj tylko wiemy; jest nią przekład wyboru pieśni ludowych węgierskich, w Darmstad, r. 1851 drukiem ogłoszony.

Kiedy przy dzisiejszém rozgałęzieniu naszego piśmiennictwa niejednokrotnie pracownicy nasi do obcych źródeł udawać się muszą, bądź to dla poznania literatur cudzoziemskich, bądź téż dla czynienia nam z nich sprawozdań lub porównawczych poglądów: podanie do wiadomości publicznéj o katalogu Kertbenego, może być niejednemu przydatném. Zresztą chociażby nikt nie miał korzystać z rozproszonych po nim wiadomości o obcych poezyi ludowéj zbiorach; to sam wzgląd na to, że tam także mowa o słowiańskich, zniewala nas do niniejszego wspomnienia.

I. Z.

Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie, opisane pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. *Wizerunki kościołów i celniejsze w nich nagrobki, rytował na drzewie* Michał Starkman. *Zeszyt I. Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda.* 1855 *r.*

Tak jak niedawno autor niewiadomy w „Czasie" krakowskim, wyliczając rozmaite źródła do dziejów polskich, słuszne wielce uczynił postrzeżenie: że cudzoziemcy po większéj części piérwszą przykładali rękę do gromadzenia naszych materyałów historycznych; tak téż niemniéj prawdziwém byłoby wyrzeczenie: że każda nieomal zbiorowa publikacya nasza, czy to wyłącznie literacka, czy téż literacko-artystyczna, bal nawet pojedyncze powieści, dramata i inne tym podobne utwory, dokonywają się na normę takich samych wydań zagranicznych niemieckich lub francuzkich. To naśladownictwo w pomysłach, na-

szym edycyom bynajmniéj nie uwłacza, i żadnego wpływu na ich wewnętrzną wartość mieć nie może. Niepodobna jednak mimochodem chociaż, by nie zwrócić uwagi na fakt często się powtarzający, a w zasadzie przynoszący to dwojakie przekonanie: 1) że albo nam własnych nie starczy pomysłów do innowacyi; 2) lub też, że w ucywilizowanym Zachodzie taka już mnogość pism w każdym zakresie wiedzy ludzkiéj i nauki, że gdzie się tylko ruszym, do czego się tylko tchniem, nie sposób, abyśmy w tym rodzaju czegoś podobnego u obcych już nie znaleźli. Nie będę stawiał na to przykładów, każdy łatwo i podostatkiem takowe znajdzie; powiém tylko, że do téj saméj kategoryi zaliczyć się również daje, dzieło obecnie wydawane w Warszawie, „Opis kościołów katolickich“ z drzeworytami. Mamy właśnie pod ręką książkę pod napisem „Les eglises de Paris“ (Paris 1843). Edycya ozdobna z pięknemi rycinami na stali. Tekst składkowy. L'abbé Pascal napisał wstęp do dzieła w duchu religijno-historycznym. Zastanawia się on w nim nad znaczeniem kościoła w społeczeństwie; żywemi barwami skreśla wpływ zbawienny religii na ludzkość; z radością spogląda na przebytą przez naród swój epokę niedowiarstwa i odstępstwa od świętych katolicyzmu przepisów; przechodzi następnie do kształtowania się religijnéj władzy i hierarchii; wykazuje jej stosunek ze świeckiemi; rozbiera znaczenie wyrazów: proboszcz, parafia; dotyka nawet architektury kościelnéj; wykazuje przeważające w niéj te lub inne pierwiastki ducha, i ogólném skreśleniem podziału i atrybucyi probostw i kościołów paryzkich rzecz swoję zakończa. Opisy kościołów są po większéj części przez kapłanów dokonane.

Nie będziem tu wyliczać pojedyńczych nazwisk, które się na to dzieło składały, bo to rzecz dla nas mniejszéj wagi. Chcieliśmy tylko wskazać, jaka znakomita łatwość i prędkość w wydawnictwie dzieł treści zbiorowéj, wtenczas osięgnąć się daje, kiedy nie jeden, lecz kilku lub kilkunastu nawet uczonych nad niemi pracują. U nas Kościoły będą wydawane dłużéj niż przez rok cały; za granicą, kompletne dzieło w jednéj chwili prawie ukończone i w obieg puszczone. Przewlekłe ciągnięcie się wydawnictwa dzieł, korzystnie na ich rozpowszechnienie wpływać nie może. Wié to doskonale każdy, chociażby niewiele tylko z księgarskim ruchem obeznany. Ale u nas inaczéj być nie może: o powodach tego niżéj powiemy. Jeśli tu stawiamy porównanie naszego wydania z dziełem obcém, to nie dlaczego innego, jak tylko dla wskazania, żeśmy właśnie lepiéj a nie gorzéj krzątać się około tego powinni, w czém już mamy pewien wzór, dozwalający nam z łatwością przyswajać sobie pomysły dobre a poprawiać gorsze. Przejęci szczerém współczuciem dla publikacyi zakresem i treścią u nas zupełnie nowéj,

podjętéj i dokonywającéj się za popędem zacnéj i do szlachetnych celów dążącéj myśli, wyrzekniem tu o niéj to, co szczere nakazuje przekonanie. A ponieważ po codziennych pismach naszych zamieszczono już niektóre nad „Kościołami warszawskiemi" uwagi: obowiązkiem więc naszym dotknąć głównie téj strony, która w nich najmniéj rozwiniętą została, A naprzód co do samego tekstu.

Zestawienie w jednę całość rozproszonych Bóg wié gdzie wiadomości, odnoszących się do kościołów naszych, materyałów, stanowiących rudim et indigestam molem, jest już wielką zasługą, godną wdzięczności miłośników rzeczy krajowych. Cóż dopiéro, kiedy do nich przybywa obfity plon poszukiwań własnych, zupełnie nowych, tak jak to właśnie w obecnym razie ma miejsce. Bartoszewicz należy do rzędu tych sumiennych pracowników, co czytelnikowi odrazu wskazują, zkąd jaki fakt wyjęli; gdzie szukać autoryorów do obrabianego przez nich przedmiotu, i czego się po ich dziele czytelnik spodziewać może. Powiedział autor w samym prospekcie, że nie daje zupełnéj historyi kościołów warszawskich, iż więcéj to szkice jak całkowite obrazy, dlatego właśnie, że zakres pisma ograniczony. Rzecz więc naturalna, że tu fakt po fakcie się tłoczy; że nie miejsce na krasomowcze okresy, na sceny opisowe, które wprawdzie mogą bardziéj podnieść opisy, ale im rzeczywistéj, tojest historycznéj wartości nie przydadzą. A tego właśnie zdawało się wymagać po B. jedno z pism warszawskich.

Najprzód uprzątnąć nam się należy z tém, co główniejsze, a dopiéro czas będzie pomyśleć o przystrojeniach. Jednemu trudno podołać w takiém przedsięwzięciu.

Bartoszewicz mógłby postępować w pracy swéj wolniéj, a dwa razy obszerniéj pisać; ale w takim razie kiedyżbyśmy się całego dzieła doczekali? Niewielu dotąd naszych kapłanów odznacza się dbałością o zbieranie historycznych krajowych pamiątek, chociażby tylko z samemi świątyniami Pańskiemi wiążących się; tych zaś, co wyjątek w téj mierze stanowią, na palcachbyś policzył. Do Bartoszewicza zatém słusznie można tym razem przystosować zdanie: bis dat, qui citto dat.

Ponieważ jak najmocniéj jesteśmy przekonani, że autorowi miłym będzie, każdy chociażby najdrobniejszy szczegół z jego przedmiotem wiążący się: dzielimy się przeto z nim kilką drobnemi faktami dotyczącemi kościoła św. Jana, a nigdzie dotąd nie wspomnianemi. Szukając kiedyś potrzebnych nam wiadomości w archiwum wydziału kontrolli przy Kommissyi rządowéj przychodów i skarbu, natrafiliśmy na wolumen, w którym między innemi znajdowały się trzy dyplomata pargaminowe, dobrze zachowane z pieczęciami i podpisami:

1) Obejmował zatwierdzenie bractwa miłosierdzia przez Łukasza Kościeleckiego biskupa poznańskiego. Nastąpiło to na prośbę Jana Kochlera, kustosza; Tomasza Hori kanonika warsz; Baltazara Stanisławskiego kuchmistrza J. król. Mci.; Franciszka Szeligi burmistrza i Klemensa Apotekariusa rajcy warszawskiego. Bractwo tegoż nazwiska ustanowioném było poprzednio w Krakowie przez kardynała Aldobrandiniego, który od Syxtusa V papieża do Zygmunta III w poselstwo przyjechał. W Warszawie bractwo to odbywało nabożeństwo w kaplicy Wniebowzięcia N. M. Panny przy kollegiacie św. Jana. Zatwierdzenie wydane w Warszawie d. 16 sierpnia 1590 r. w przytomności Alberta Obronickiego, Skora de Gaj kanclerza, Łukasza Widziorzewskiego kano. kol. katedr. pozn., Jerzego Osieckiego, Mateusza Jasińskiego i Wawrzyńca Słupskiego. Podpis biskupa kontrasygnował Tomasz Kopiński J. U. D.

2) Drugim przywilejem Andrzej na Szołdrach Szołdrski, także poznański biskup daje feria quinta ante festum ś. Francisci conf. Mensis Octobri r. 1641 jus patronatus praesentandi ad Altare B. V. M. bractwu miłosierdzia. Przywiléj wydany w skutek prośby znanego kanonika warszawskiego Jędrzeja Chawłosz, obojga praw doktora, członka bractwa. Fundatorem ołtarza B. V. M. był Kasper Wilk wójt warszawski, a wspomnione jus praesentandi przywiązane było kiedyś do Marcina Podgórskiego, skarbnika Anny Jagiellonki; ostatnio zaś do Honorata Piotra Doroszewskiego starszego ławnika Starego Miasta Warszawy, „praedictaeque confraternitatis amantissimi confratris et conciliarii". Przywiléj kontrasygnował Michał Hebdowski.

3) Dyplomat króla Jana Kazimierza wystawiony w Warszawie d. 20 grudnia 1649 r. przez króla, i jego sekretarza Tomasza Ujejskiego podpisany, zatwierdzający przywiléj Zygmunta III, którym dom wspomnionego wyżéj bractwa z sąsiedztwa i położenia oznaczony, od ciężarów publicznych uwolnionym zostaje.

Ani wątpić, że przy skrzętném i systematyczném poszukiwaniu, w témże samém archiwum znalazłoby się daleko więcéj ważniejszych dokumentów, mających jakową z kościołami naszego miasta łączność.

Co się tyczy drzeworytów, pociesza nas ta okoliczność, że w czasie w którym jedyny nasz dotąd drzeworytnik Wincenty Smokowski opuścił Warszawę, i przeniósł się w zaniemeńskie okolice, przybywa nam drugi, Warszawiak rodem, za granicą w sztuce kształcony, p. Starkman. Illustrowane Kościoły rozpoczynają szereg prac, któremi nas obdarzyć zamyśla. Illustracye te, o ile pod samym drzeworytniczym względem zadawalniająco są wykonane, o tyle znów pod względem rysunkowym

grzeszą. Szczególniéj w wizerunkach Kościołów brak perspektywy linearnéj widoczny; ten, który kościoły rysował, nie zdołał uchwycić najlepszego ocznego punktu, z którego całość korzystniéj wydawać się może; nagrobki jedne niepokończone, inne znów zbyt małe: te i tamte nie zdolne wyobrazić rzetelną piękność, która je w rzeczywistości odznacza.

Jeśli p. Starkman dba choć cokolwiek o powodzenie swego nakładu, jeśli pragnie żeby jego pożyteczna praca, i jemu i nam obfite przyniosła owoce: niechaj jak najrychléj wyszuka sobie zdolnego rysownika. Nietrzeba bowiem o tém zapominać, że nasza publiczność wcale pobłażliwą nie jest; że sądzi wszystko surowiéj może, aniżeliby należało: szczególniéj zaś, że zwykła wiele wymagać od artystów, co powrócili z za granicy, i ufni w ten rekomendacyjny tytuł a priori uwielbianemi być pragną. Niechno p. St. zechce tylko spojrzeć, choćby na okładkę Biblioteki starożytnéj pisarzy polskich, która z pod ręki Smokowskiego wyszła. Kontury może tam niezbyt delikatne, ale charakter właściwy zachowany wszędzie. Ow zadumany kmiotek z młotem w ręku, u stóp starodawnych zwalisk, jaki malowniczy; stary bandurzysta przygrywający dziatwie, jaki poważny, a dzieci jak pocieszne gapiowate; hussarz, kopijnik i wąsaty szlachcic wyglądają zamaszyście: znać, że rysunek z biegłéj pochodzi ręki. Publikacya p. Starkmana, jako późniejsza, winna znamionować zupełny postęp w krajowém drzeworytnictwie. Pragnęlibyśmy téż z serca, aby go ona w dalszych poszytach okazała.

I. Z.

ROZMAITOŚCI.

Wspomnienie Juliana Korsaka.

Literatura i społeczność nasza poniosły nader dotkliwą stratę w osobie ś. p. *Juliana Korsaka*, zmarłego po kilko-miesięcznéj chorobie, dnia 30 sierpnia w Nowogródku, gdzie czasowie dla kuracyi przebywał. Zasługi jego jako pisarza, poety, znane są i uznane powszechnie; krytyka i czytająca publiczność oddały jednozgodny hołd wysokiemu jego talentowi, wzniosłym polotom myśli, wykształconemu na wzorach starożytnych smakowi, i mistrzowskiemu władaniu formą wiersza i językiem. Ale ktokolwiek znał go osobiście, przyznać musi, że mimo wszelkich artystycznych swych zalet, poezye jego nie odbiły jeszcze w sobie tych wszystkich promieni, jakiemi serce jego i dusza jaśniały. Z najtkliwszą czułością serca połączony, stateczny i niczém niezachwiany charakter, z obszerną i głęboką nauką; ujmująca prostota i skromność, ze szczerą i żywą wiarą, niemniéj szczera i żywa miłość bliźniego, któréj czynem we wszystkich swych rodzinnych i społecznych stosunkach dowodził:—oto są charakterystyczne cechy, znamionujące całe jego życie, które mu ogólny szacunek i przychylność ziomków jednały, a żal po nim w sercach bliższych przyjaciół. czynią zarówno gorącym i stałym, jak była ich przyjaźń za życia. Urodzony w roku 1807, po odbyciu nauk szkolnych w Szczuczynie, a uniwersyteckich w Wilnie, przez kilka lat następnych (1826—1830) przebywał częścią w Warszawie, częścią w St. Petersburgu, gdzie się z niezmordowanym zapałem dalszemu naukowemu kształceniu oddawał. Powołany przez śmierć ojca do zarządu odziedziczonego po nim w powiecie słonimskim majątku, i wkrótce potém zaufaniem współobywateli wyniesiony na urząd prezydenta powiatowego granicznego sądu, spełniał go gorliwie i chlubnie przez oznaczony prawem przeciąg czasu; po upływie którego, wymówiwszy się od dalszych zaszczy-

tów, wrócił do swéj wiejskiéj zaciszy, i zawarłszy szczęśliwe śluby, odtąd już resztę życia poświęcił wyłącznie obowiązkom gospodarza i opiekuna swych włościan, tudzież literackim zajęciom. Dzieła jego ogłoszone drukiem są: *Poezye*, tom jeden, (St. Petersburg, 1830); *Lara, poemat Lorda Byrona*, (Wilno, 1836); i *Nowe poezye* tomów dwa, (Wilno 1840), zawierające: przekład tragedyi Szekspira *Romeo i Julia, Twardowski Czarnoxiężnik*, *Dyalog dramatyczny*, *Kamoens w szpitalu*, i różne poezye ulotne. Najważniejszém atoli jego dziełem, najpiękniejszym pomnikiem życia jego, talentu i sławy, jest przekład *Boskiéj komedyi* Danta, nad którym około lat dziesięciu pracował, i który całkiem przygotowany do druku w rękopiśmie po sobie zostawił. Przejęty i uniesiony duchem wielkiego arcy-mistrza poezyi chrześciańskiéj, nie samą tylko literacką swą chwałę miał za cel w sumiennéj swéj pracy. Oto jest, co w tym przedmiocie sam w przemowie swojéj powiada: „Czytanie *Boskiéj komedyi* Danta z przejęciem się i miłością, rozmyślanie nad jéj zewnętrzną poetyczną pięknością i nad wewnętrznym jéj duchem religijnym, pomimowoli w czytelniku rozwija uczucie piękna, prawdy i dobra; a że te jedne tylko zdolne są uduchownić ziemskie życie człowieka, podnieść go do godności wewnętrznéj doskonałego chrześcianina; téj przeto myśli, temu chrześciańskiemu współczuciu, ażeby te trzy boskie idee: piękna, prawdy i dobra, rozbudzić w sercach czytelników moich, winienem piérwszy bodziec tłumaczenia Boskiéj komedyi i wytrwanie, za łaską Bożą, w tak wielkiéj pracy". Słowa te najwidoczniéj sprawdziły się na nim samym: duch jego, w zetknięciu się z gieniuszem Danta, wyraźnie nową siłę, i jakoby bierzmowanie otrzymał. Wszystkie pojęcia i myśli, wszystkie zgoła potęgi duchowe wzmogły się w nim i rozwinęły na skalę i w kierunku śpiewaka wieczności. Niezbadana wola Opatrzności nie dozwoliła mu stosować ich długo w życiu tego świata; lecz zastosował je w ostatniém przedśmiertném cierpieniu, znosząc je z niezachwianą cierpliwością, słodyczą i pokorą; lecz zastosował je w ostatnich godzinach życia, gdy po przyjęciu świętych Sakramentów, z całą jeszcze przytomnością umysłu patrzał w oblicze nadchodzącéj śmierci, a żalem i skruchą przejęty, z chrześciańską zarazem odwagą i pokojem duszy, gotował się i poszedł stanąć na sąd Miłosierdzia.

A. E. O.

Wspomnienie o Janie Bazylim Tomickim.

W rzędzie ludzi, co już należą do przeszłości, wielu rozgłośniéj i swietniéj odbywało pielgrzymkę żywota, ale mało kto sumienniéj od s. p. Tomickiego wywiązał się z zadania życia

i ściślejszą zachował równowagę pomiędzy zdolnością i siłą do pracy a jéj rezultatem. A nie są słowa nasze czczą formułą nekrologową: bo zaświadczą ci wszyscy, wśród których on żył i umarł, że w tém szlachetném życiu nie było ani chwili daremnie straconéj, zużytéj na bezowocnéj wegetacyi; ani chwili, którąby odrywała myśl nieboszczyka od dobra ogółu, rękę od dobrych uczynków. Zapisał się on niestartemi głoskami w pamięci tych, co z nim jakiekolwiek przyjaźni, czy interesu, bliskie, czy dalekie miewali stosunki; ztémwszystkiém, i dlatego właśnie sądzimy, że im przyjemnie będzie dowiedzieć się niektórych o nim szczegółów, tém bardziéj, że zmarły należał do tych, co radzi milczą o sobie, a jeśli mówią, to tylko czynami.

Urodził się on w r. 1780 na Czerwonéj Rusi, w miejscu gdzie wody Stryju i Oporu zbiegają się razem. Po odbyciu kursu nauk elementarnych udał się do uniwersytetu krakowskiego, gdzie skończywszy wydział lekarski, uzyskał stopień doktora medycyny w roku 1808; o czém zaświadcza wydany mu po ukończeniu patent i duplikat tegoż, wyjęty umyślnie przez Tomickiego wówczas, gdy Kraków należał już do księztwa Warszawskiego, datowany 20 kwietnia 1813 r. W lat dwa po wyjściu z uniwersytetu, tojest w r. 1810, Tomicki zaciągnął się do służby wojskowéj, jako urzędnik zdrowia klassy 1 w wojsku byłego księztwa Warszawskiego, i odtąd po różnych krajach i w różnych kolejach dzielił losy tegoż wojska nieodstępnie, aż do roku 1815, w którymto roku posunięty naprzód na sztabslekarza w pułku 4tym ułanów b. wojska Królestwa Polskiego, otrzymał następnie w dniu 31 maja żądane z powodu słabości zdrowia uwolnienie. Rezultatem więc jego pierwotnego, a obfitego we wrażenia i pełnego poświęceń zawodu, było nadwerężone zdrowie i krzyż złoty wojskowy, otrzymany w czasie najgwałtowniejszych burz r. 1813 w Niemczech. Po opuszczeniu służby wojskowéj i odzyskaniu sił, Tomicki przedsięwziął oddać się wolnéj praktyce, na odbywanie któréj w obrębie Królestwa Polskiego uzyskał pozwolenie od władzy lekarskiéj w r. 1817; i odtąd, stale osiadłszy w Chełmie, oddał się cichéj usłudze współmieszkańców. Jako lekarz z równém poświęceniem biegł i pod strzechę słomianą i do pałacu; jako człowiek, nietylko w preparatach aptecznych szukał sposobów ratunku bliźniego, ale wzmacniał je środkami ze swego uczciwego serca wydobytemi: to też łzy wdzięczności i błogosławieństwa towarzyszyły mu do ostatniéj chwili, a dzień 12 maja 1855 r., w którym odprowadzono zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku, był dniem boleści całéj tamecznéj okolicy, która po blizko 40 latach traciła w nim przyjaciela, opiekuna, anioła pocieszyciela.

Każdemu zarówno nauką swą w pomoc przychodził, każdemu zarówno serca swego uchylał; ale przedewszyst-

kiém troskliwości jego doznawał ubogi. Takiego Tomicki nie pozbywał suchą receptą, ale po napisaniu jéj pytał czy ma środki na jéj sporządzenie; a jeżeli było przeciwnie, to się o nie postarał; i lecząc chorego przyjrzał się jego wszystkim potrzebom, i niespokojnym był póty, póki niedostatek tych potrzeb nie przestał być robakiem toczącym spokój domowy jego pacyenta. To, co tu wspominamy jest dziś zapewne tak rzadkiém, że może zdawać się przesadzoném; ale odwołujemy się jeszcze raz do świadectwa okolicy, czyli było inaczéj. Tomicki jako lekarz nie poprzestawał na saméj praktyce, ale studyując teoryą, szedł za postępem nauki: czytał wiele, i własny pogląd popierając zdobytemi na polu teoretycznych badań wiadomościami, wydał kilka dzieł treści lekarskiéj, które w rozmaitych czasach drukiem ogłaszane były.

Lecz nie tu koniec zasług czcigodnego nieboszczyka.

Wszechstronny umysł jego nie mógł poprzestać na pracy odnoszącéj się do jedynego, i to jeszcze empirycznego przedmiotu. Nie znając innéj rozrywki jak pracę, chwile wolne od głównych, codziennych zajęć poświęcał naukom zupełnie od głównego jego zawodu różnym, a mianowicie badaniom historycznym i literackim. Z prac, które po nim pozostały, wnosić należy, że gdyby się był pierwiastkowo tym tylko przedmiotom, albo jednemu z nich wyłącznie poświęcił, mógłby, jako historyk lub literat znakomite w kraju zająć stanowisko; ale i tak, chociaż Tomicki naukami temi dodatkowo tylko się zajmował, nie powiemy iżby ztąd żadnéj korzyści dla ogółu nie było; i zaraz o tém czytelników będziemy się starali przekonać. Z drukowanych dzieł jego w przedmiocie historyi najbardziéj znajomém jest: Przetor do rozgmatwania plemion osiedzibiających Sarmacyą i Germanią starożytną. Oprócz dzieł osobno wychodzących, umieszczał także jego rozprawy Przegląd naukowy, którego Tomicki był stałym korespondentem.

Ale najważniejszą pracę jego stanowi właśnie dzieło, które dotąd zostaje w rękopiśmie, a tém jest Słownik polski, mający stanowić dodatek, a raczéj uzupełnienie Słownika Lindego. Zamierzył autor, jak się z samego pokazuje dzieła, objąć w niém nietylko te wyrazy, które Linde wcale w swéj pracy pominął, ale nadto i te obszerniéj wyjaśnić, których znaczenie jest niedostatecznie w Lindem określone. Jako badacz dziejów starożytnych Tomicki należał do stronnictwa tych, co pierwiastków narodu i języka słowiańskiego poszukują w sanskrycie; to téż dążność ta i w słowniku jego jest przeprowadzoną. Długi on czas téj pracy poświęcał, bezustanku poprawiał, dodawał, zmieniał, w miarę postępu wyobrażeń; i chcąc właśnie Słownik swój o ile można uczynić dokładnym, tak długo zwlekał z jego wydaniem, mimo zachęty przyjaciół i propozycye czynione mu

przez bibliotekę Ossolińskich: aż oto śmierć przeszkodziła mu ostatecznie wykończyć go, i wydać dla ogólnego pożytku. W Słownik Tomickiego wchodzą wyrazy nietylko używające się w mowie potocznéj, ale nadto wszelkie prowincyonalne, historyczne, geograficzne, wszelkie archaizmy i nazwy specyalne. Słowem jestto dzieło wielkiego użytku, dowodzące rozległéj wiedzy i niezmordowanéj pracy. Aby dać czytelnikom choć cząstkowe o téj pracy wyobrażenie, przytaczamy z niéj kilka wyjątków.

Drzewice. Z drzewa wydłubane i ociosane trzewiki, których w czasie słoty, oszczędzając obuwia, używają do obory: są to sandały. Nasi nowozaciężni żołnierze za czasów księztwa Warszawskiego, dawane im skarbowe obuwie nazywali trzewicami. Zdaje się, że nazwisko trzewiki utarto z nazwy: drzewiki; albo też przeistoczono z wyrazu trzebiki, od słowa trzebić lub trzewić.

Dzielnica. W tych okolicach Polski, w których gromada co drugi rok ogradza caszynę, czyli zasianą część gruntu, wyznacza wójt z radnemi gdzie który gospodarz grodzić ma. Wyznaczona przeto część płotu na jednego kmiecia, jest częścią wydzieloną czyli dzielnicą.

Gajda (biegus, włóczęga): „Nie można mu dawać chałupy i dworskiéj zapomogi, bo to gajda; nie osiedzi się na gruncie, strwoni zapomogę i ruszy daléj". Jak widać, różno-prowincyonalna wymowa z wyrazu: gajda, utworzyła używane przez nas: hajda (idź precz!); ztąd też zapewne zniemczonych Lechitów między Elbą i Odrą wyraz gajen (iść, chodzić), przeszedł na gehen. W sanskryckim języku: ga, gajati, hajati, oznacza iść, chodzić (Majewski. Słownik sanskrycki r. 1816). Do sanskrytem trącącego słowniczka naszych mamek i nianiek należące: hajty (pójdziem hajty) jest oczywiście sanskryckiém hajati.

Gaj. U osadników w Germanii starożytnéj nazwa gau znaczyła obwód, miejsce zjazdu, rozmowy; odpowiadałoby tedy polskiemu gawęda. (Maciejowski t. II, część 1, str. 243). Ale ani gawęda, ani nawet gawor nie są tak zbliżone do znaczenia gau jak nasze gaić i gaj. W starowierstwie osadników Germanii naród był wcieloném bożyszczem. (Tacitus M. G. c. 2), a skład ten sięga odległéj starożytności „vox populi, vox dei". To wcielone w naród bożyszcze rozradzało się w potomstwo, to jest w powiaty; a w skutek tego tak u Egipcyan jak u nadwiślańsko-nadelbiańskich Lechitów, każdy powiat miał swego orędownika (wyobrażał w daném godle czczone główne bożyszcze). Jabłonowski, Dzieje starożytne, rok 1743, str. 115. Helmold str. 584. Dla tejże przyczyny w pelazgicznéj łacinie trącącéj słowianizmami, powiaty zwano

pagi (bagi, bogi), Tomicki, Przetor str. 106. Święty gaj, (bug, gaj), był głównym przybytkiem powiatowego bożyszcza, a tém samém był miejscem skupienia się powiatu, tak na główne uroczystości, jak na sądy i narady odbywane w jego obliczu. Przy takowém skupieniu się wzrastały targi, tworzyły się miasta z gaju, zgodnie ze świadectwem Jornanda roz. 5 „że Antom i Sclavinom gaje za miasta służą“, zgodnie zarazem z niezatartym jeszcze zwyczajem, że w byłéj i obecnéj Słowiańszczyznie główne targi (jarmarki) odbywają się podczas głównego odpustu danego miasta. Że pierwiastkowo sądy głównie odbywały się w gajach, wnosić dozwala od gaju wzięty wyraz gaić sąd, w dochowanéj formule: „Mocą Pana Boga, króla i rady jego..... mocą panów przysiężników i całego pospólstwa gaję wam sąd wielki i przykazuję pokój.“ Nasze: gaić sąd oddają Niemcy przez: Gericcht haegen, któreto haegen czytane ze staropolska hejen przypomina słowackie heg (gaj), serbskie haj (gaj). Tym sposobem nasze gaj, gaić, nietylko odpowiada niemieckiemu gau oraz haegen, lecz nadto wielkość rozkorzenienia wyrazu gaj w naszym języku, na jakiém niemieckiemu gau zbywa, pozwala wnosić, że go oni od zniemczonego prowincyonalizmu lechickiego otrzymali.

W tych kilku szczegółach czytelnik ma zaledwie maleńką próbkę całkowitéj pracy, która jakkolwiek głęboko i sumiennie obrobiona, potrzebuje jednak, jak powiedzieliśmy, umiejętnego przejrzenia, aby mogła być na widok publiczny wydaną; i tém zapewne zajmą się krewni nieboszczyka. Winni oni to jemu, winni ogółowi, iżby tak wielkie i pożyteczne dzieło nie zaległo w zapomnieniu.

Tymczasowo, po pierwszym tylko rzucie oka na tak pożyteczną przeszłość, tych kilka słów poświęcamy pamięci zacnego pracownika; gdy zaś zebranie i systematyczne uszykowanie drukowanych dzieł jego, listów i rękopismów wszelakiego rodzaju wyjaśni nam dostatecznie stanowisko jego na polu naukowéj literatury: wtenczas postaramy się wyświecić to stanowisko, ocenić każdą pracę poszczególe, wskazać związek łączący je w jednéj z góry powziętéj i przez całe życie wiernie dochowywanéj myśli: wtenczas dopiéro z gotowemi w ręku materyałami przystąpimy do wykazania udziału, jaki nieboszczyk przyjmował w ogólnym ruchu piśmiennictwa, i zasług, jakie on dla postępu w rzeczach tak zblizka nas obchodzących, położył.

K.

Madrygał.

Pan Ant. Ed. Odyniec, poeta tak znany w kraju z poezyj tkliwych, napisał obecnie mały wierszyk treści wesołéj (madrygał) do znanego również w literaturze krajowéj pisarza, a jednego ze spółwydawców pisma niniejszego, p. Michała Balińskiego. Wierszyk ten oddychający szczerą przyjaźnią umieszczamy tu cały, jako odznaczony zarazem wyższym a wykończonym talentem wyrażania wesołéj myśli. Tytuł tego wiersza uprzedza o jego charakterze i o powodzie, a brzmi razem z wierszem jak następuje:

Panu a Panu, na tym padole. Na Jaszunach i Ruczaju, Michałowi Balińskiemu, *na parnasie. Na łopacie Szubrawskiéj* Auszlawisowi, *strażnikowi jéj i witajnikowi, sławnemu Madrygaliście*, Madrygał. *Szczery przyjaciel i życzliwy sługa, niżéj na podpisie wyrażony, ułożył i poświęca. Roku 1855, lutego 9, na Popielec, po przebyciu Zapust w Jaszunach.*

Hej! stary Pegazie! raz jeszcze, dopóki
Będziesz skrzydła i nogi podźwigał,
Daj susa z kopyta, a pokaż twe sztuki,
Z Parnasu uszczknijmy Madrygał!

A w tym Madrygale,
Cny Panie *Michale!*
Ku czci twéj a chwale,
Chcę w ziomków chorale
I ja téż głos mój wznieść.

Boć to jest dział pieśni,
Z pomroku a cieśni
Wynosić na dzienne,
Na światło promienne,
Ludzi i zasług cześć.

Lecz gdzieżby, synu Klii!
Był taki nieuk, w czyjéj
Myśliby już nie brzmiała
Imienia twego chwała?

Kto nie wié twéj zasługi,
Żeś, jak Twardowski drugi,
(Tylko że nie przez czary,)
Wskrzesił nam duch Barbary?

Że jako wódz duchowy,
Do świętéj Częstochowy,
Przodkujesz każdéj rzeszy
Pielgrzymów, co tam spieszy?

I że od Macedona,
Aż do Napoleona,
Żaden z bożków zniszczenia
Tyle miast nie rozwalił,
Ileś ty ich ocalił
Z przepaści zapomnienia'.....

O tém wié Polska cała;
Lecz wiész, co mi się zdaje?
Że ci więcéj ta chwała
Odejmuje, niż daje.

Bo któż nie myśli, gdy ciebie czyta,
Że ten pan *Michał*, taki uczony,
Taki antykwarz i erudyta,
Musi być mędrzec zatabaczony,
Co wciąż jak w todze stąpa z partesów,
Co marszcząc czoło, wznosząc powiekę,
Każdy z swych mądrych, górnych frazesów
Zaczyna pewnie od „iż tak rzekę"—...

Dzięki za łaskę! piękna mi sława,
Gwałtem ci biret sadzić na skronie,
Gdy całe Wilno, cała Warszawa,
Zna cię najmilszym gościem w salonie!

Gościem, któremu starzy i młodzi,
Mądrzy i prości, panny i panie,
Z krzykiem radości, gdzie tylko wchodzi,
Serca podają na powitanie.

A w nim, jak z śnieżnym włosem twarz młoda,
Tak z dojrzałością zapał młodzieńczy,
Tak z uczonością myśli pogoda,
Łączą się wzajem, jak barwy w tęczy.

A gdzie ta tęcza błyśnie śród gości,
Wszystkich rozjaśnia blask jéj odbicia:
I jak twém piórem dzieje przeszłości,
Tak słowem żywych budzisz do życia!

Lecz ktoby już myślał, cny panie *Michale!*
Że tu jest twych zalet limita;
To ja mu wręcz mowię, że myli się wcale:
A w czém? niechaj u mnie zapyta.

A ja mu odpowiem:—że jeśli pisarza
Równego mu łacniéj znajdziecie;
Jeżeli gość taki choć czasem się zdarza,
Toć pewnie takiego, jak on gospodarza
Nie było, i nie ma na świecie!

Ale nie ten gospodarz,
Co jak ciwun lub włodarz,
Wciąż po błocie, po słocie,
Z kijem, w szaréj kapocie,
Z kluczykami za pasem,
Z ciągłym fukiem, hałasem,
Z kąta w kąt dybiąc, gdera.

Nie ten gospodarz sknera,
Co przeto że skarb zbiera
I jak gryf na nim siedzi,
Sławią go wprzód sąsiedzi,
Myśląc, że coś w potrzebie
Wypochlebią dla siebie;
Aż w końcu, zawiedzeni,
W affektach do kieszeni,
Zaczną, z kolei swojéj,
Lżyć go na czém świat stoi.

Nie ten gospodarz wreście,
Co i na wsi, jak w mieście,
Sadząc się na przepychy,
Sam istny bałwan pychy,
Chce i dom swój, przez zbytek,
Zmienić jak w jéj przybytek,
By przyjmować—nie gości,
Lecz koło dla swéj wielkości;
Aż się stanie za czasem
Istnym królem Midasem,
Między sprzęty złotemi,
Sam z uszami nie swemi.

Lecz zkąd mi te myśli o szlachtach, ciwunach,
O sknerach, o panach: bałwanach?
Nie taki pan Michał gospodarz w Jaszunach:
Wart słynąć nietylko na lutni méj strunach,

Lecz na całéj Litwy organach!
Boć skarb to jest wspólny, skarb droższy od innych,
Skarb ducha narodu i kraju,
Dom, arka, przybytek cnót starych, rodzinnych,
I uczuć braterskich, i podań gościnnych.
I nowego wzór obyczaju,

Zaprawdę, o ile ku temu niewieści
I rozum i wdzięk się przykłada,
Madrygał mój musi odstąpić od treści,
I u stóp téż pani Jaszuńskiej hołd cześci,
I córom jéj równyż hołd składa.
Lecz pana *Michała* wysławić zalety
Jest cel Madrygału.

O! Febie!
Ty, co sam twym blaskiem malujesz portrety!
Cóż malarz lepszego ma być od poety?
Poetę téż wspomóż w potrzebie!

Dzień jeden daj tylko opisać najprościéj,
Jak stokroć w Jaszunach się darzy.
A wtedy—Cóż wtedy?—tém większy tłum gości
Najeżdżać je zacznie, aż z wielkiéj miłości,
Jak to mówią: zjé gospodarzy.

A nam co?—A prawda!—A zatém, niech na tém
Madrygał mój koniec swój bierze;
A służy świadectwem przed tobą i światem,
Cny panie *Michale!* że sługą i bratem
Twym jestem serdecznie i szczerze.

Antoni Edward Odyniec.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

O *malowaniu krzemionkowém.* P. Fr. Kuhlmann, w drugiéj części swego Pamiętnika o wapnach hydraulicznych, kamieniach sztucznych, i różnych użytkach krzemianów rozpuszczalnych; wskazuje nowe zastosowanie następnego prawa przez niego w 1841 r. podanego. *Jeżeli sól uważana za nierozpuszczalną w wodzie, zmiesza się z roztworem takiéj soli, któréj kwas może tworzyć z zasadą soli nierozpuszczalnéj, sól jeszcze rozpuszczalniejszą; zawsze wtedy uskutecznia się w nich przemiana, lubo najczęściéj tylko cząstkowa: co przypuszczać każe powstanie soli podwójnych.* Przez bezpośrednie zastosowanie tego prawa, doszedł on do nasycenia wpewnym rodzaju krzemionką, cerusy, chromianu ołowiu, chromianu wapna, i wielu węglanów metalowych. Wypadki te naprowadziły go na myśl śledzenia, jak działają krzemiany alkaliczne gdy będą użyte do malowania na kamieniu, drzewie, metalach, szkle, porcelanie, papierze, tkaninach, i wreszcie we wszystkich przypadkach, w których można malować sposobem zwyczajnym: dochodzenia te, miały się powieść. Już przy odbudowaniu teatru w Mnichowie, używano krzemianu potażu i sody, dla utrudzenia palności ciał; p. Kuhlmann sądzi, że malowanie krzemionkowe zasługuje na upowszechnienie, bo krzemianka może przeniknąć każde ciało nieżywotne i żywotne. Wskażemy tutaj wogólności sposoby, za pomocą których uskutecznia on swe rozmaite prace.

Piérwsze próby wykonał p. K. wcelu zastosowania za pomocą pęzla barw, a wszczególności mineralnych, na kamieniu, zastępując oleje i olejki przez roztwory stężone krzemianu potażu. Skoro przy tego rodzaju malowaniu rozciera się cerusę lub niedokwas cynku, z roztworem krzemianu potażu; zmieniają się wte-

dy obadwa powyższe ciała w krzemiany ołowiu lub cynku, i to prawie zaraz po zmieszaniu: dlatego nie pozostaje dosyć czasu do pociągnięcia przedmiotu pęzelkiem, bo barwa stwardnieje. Aby więc można w tym sposobie używać cerusy i niedokwasu cynku, potrzeba dodawać do nich siarkanu baryty sztucznego, na którą to sól roztwór krzemionkowy bardzo słabo działa. Nawet byłoby najkorzystniéj, aby ułatwić malowanie, gruntować czyli używać na podstawę białą, tylko tego ostatniego siarkanu, który dobrze się miesza z roztworem krzemionkowym i zdaje się tworzyć z nim związek chemiczny. Ale tu jest niedogodność, że powstaje z téj soli barwa biała w pół przezroczysta, która stosownie do wyrażenia malarzy, nie dobrze pokrywa; i ztąd należy mieszać niedokwas cynku lub cerusę, z powyższym siarkanem baryty.

Co się zaś tyczy najlepszych tutaj barw mineralnych, za takowe uważa p. K. cynober, ultramarynę błękitną i zieloną, siarczyk kadmu, niedokwasy manganezu, ochrę, niedokwas chromu i t. d. Rożne ztąd powstają związki krzemowe, o czém tu mowy być nie może.

Wszystkie barwy, któremi malować można na kamieniu, drzewie, metalach, szkle, mogą również służyć do drukowania na papierze i tkaninach Krzemian potażu zdaje się, że lepiej i oszczędniéj użyty być może do utwierdzania ultramaryny na tkaninach, niż inne ciała do tegóż celu polecane.

Inne bardzo ważne zastosowanie krzemianów rozpuszczalnych, podane zostało przez p. K. do wyrabiania atramentu, który ma się wcale nie dawać wywabiać środkami chemicznemi. Otrzymuje się ten atrament przez rozcieranie węgla miałkiego, takiego, jaki się używa do robienia tuszu chińskiego, z roztworem krzemianu potażu. Można także otrzymać atrament powyższy, rozkładając skórę przez wyprażanie jéj z potażem (atrament Braconnota), i dodając do ciała czarnego węglistego alkalicznego tym sposobem otrzymanego, galarety krzemionkowéj (krzemionki w postaci galarety), dla nasycenia potażu. Odwar koszenilli zmieszany z roztworem krzemianu potażu, wyda atrament czerwony, opierający się długo działaniu chloru i kwasów. (L'Institut 16 Août 1855 .

W dniu 20 t. m. i r. jak donosi dziennik L'Institut z 22 t. m. p. Kuhlmann przedstawił Akademii umiejętności dalszy ciąg swéj poprzedniéj rozprawy, tyczący się napawania krzemionką kamieni. W części tej swego pisma, zastanawia się nad zastosowaniem malowania krzemionkowego do szkła, robieniem sztucznych kamieni litograficznych przez działanie krzemianów na kamienie dziurkowate.

Toż samo pismo L'Institut z 29 t. m, podaje dodatek do powyższych wiadomości, w następującéj treści:

Zastosowanie krzemianów rozpuszczalnych w budownictwie. W trzeciéj części swego pamiętnika czytanego w Akademii paryzkiéj, P K. okazał, że dla utwierdzenia potażu w malowaniu krze-

mionkowém na kamieniu, najlepszym działaczem jest kwas wodorodno-fluorowo-krzemowy; przez stosowne płókanie tym kwasem, powiększa się znakomicie powinowactwo barw, i osięga wreszcie to, że całkowicie stają się one nierozpuszczalnemi we wszystkich rodzajach malowania krzemionkowego, a wszczególności w malowaniu na szkle; ale potrzeba wtedy uważać, aby kwas powyższy był bardzo roztworzony, stężony bowiem posiada własność rozpuszczania wielu niedokwasów. Lecz chociaż kwas ten sprawia że malowidła na szkle stają się zupełnie nierozpuszczalne, posiada jednak na nieszczęście tę niedogodność, iż zmniejsza nieco ich przezroczystość. Udało się także zastosować powyższy kwas do utwierdzenia potażu w kamieniu nasyconym krzemionką. Po stwardzeniu miękkich i dziurkowatych wapieniów, przez zmienienie ich cząstkowe w krzemian wapna, robi się nierozpuszczalnym potaż jeszcze zatrzymany przez kamień po jego opłókaniu; przez zanurzenie w roztwór w początku bardzo słaby, a potém coraz mocniéjszy, kwasu wodorodno-fluorowo-krzemowego, który to kwas przenika kamień i tworzy z potażem związek nie dający się wypłókać. P. Kuhlmann nazywa *fluo-krzemionkowaniem* wszystkie w ogóle powyżéj opisane czynności.

J. B...a.

FIZYKA.

Przewietrzanie budowli.

Pobyt wielu osób w zamkniętém miejscu po pewnym czasie czyni powietrze prawie niezdatném do oddychania. Jego szkodliwy wpływ na zdrowie nie jest skutkiem braku kwasorodu, bo jak przekonywają doświadczenia z powietrzém czerpaném z teatrów, sal i t. p., stosunek składowych jego części bardzo małéj ulega zmianie; lecz głównie pochodzi od wydzielania się gazów szkodliwych, których źródła trudno usunąć; np. kwas węglany, wodoród węglowy podczas kombustyi, wodoród siarkowy w czasie rozkładu materyi organicznych, a co najważniejsza od wyziewów powstających z nas samych, od cząstek pochodzenia organicznego zwanych miazmatami. Pod tą ogólną nazwą pojmujemy wszelkie wyziewy zatrute, których jednak ani składu, ani natury w żaden sposób chemicznie oznaczyć i ocenić nie zdołano, z przyczyny nadzwyczajnéj ich subtelności.

Głównem ich źródłem w zwykłym stanie naszych pomieszkań są płuca, które wraz z oddechem wyziewają znaczną ilość pary wodnéj, mającéj w rozpuszczeniu materyą zwierzęcą, i nasza skóra z któréj stosownie do temperatury powietrza i stanu jego wilgotności, wydziela się znaczna ilość pary wodnéj, obciążona

materyami zwierzęcemi. O ich bytności świadczy wyraźnie szczególny zapach w takich miejscach, gdzie znaczna liczba osób, nawet zdrowych, stale przebywa. Zresztą łatwo się można przekonać o unoszeniu się w powietrzu tych materyj początku organicznego zawieszając w miejscu zebrania wielu osób, szklany balon lodem napełniony, mający u spodu przytwierdzoną małą miseczkę: wtedy para wodna w powietrzu rozpuszczona skrapla się na jego powierzchni i wydaje wodę, która zebrana i w zamkniętéj flaszeczce trzymana przy temp. + 20° R, szybko przechodzi w fermentacyą zgniłą, tak, że za odetkaniem wydaje odrażający zapach (1).

Do przytoczonych przyczyn psujących powietrze w niektórych szczególnych okolicznościach dodać należy zabójczy wpływ pyłków organicznych przymieszanych w znacznéj ilości do źle odświeżanego powietrza, np. w przędzalniach wełny, jedwabiu (2).

Od szkodliwych zdrowiu wyziewów jedynie tylko przez ciągłe odświeżanie powietrza oswobodzić się możemy. W naszych pomieszkaniach tę funkcyą zwykle wypełniają lufciki, szpary około okien, drzwi i t. p. Lecz odnawianie powietrza za pomocą lufcików przedstawia wiele niedogodności; powietrze przez nie wpada z wielką szybkością, sprawiając cugi, przyczyny wielu przypadłości, a nadto powietrze napojone parami powstałemi z wyziewów płucnych i skórnych, jako gatunkowo tężejsze zajmuje górne warstwy w pomieszkaniach, a więc tym sposobem trudno z tych miejsc usuniętém być może.

Dlatego dziś tak w małych jak i wielkich salach przewietrzanie odbywa się za pomocą osobnych przyrządów odprowadzających na zewnątrz ciepłe i nadpsute powietrze, które czerpią z pod pułapu, a natomiast wprowadzają do pomieszkań w lecie powietrze zimne, a w zimie świeże ale ogrzane przez kaloryfery lub wewnętrzne ściany pieców.

Przy obliczaniu ilości świeżego powietrza dla jednéj osoby na godzinę przyjęto za zasadę ilość pary wodnéj wydzielanéj

(1) Miazmata są poczytywane za przyczynę wielu chorób. Skrofuliczni przyjmowani do szpitala św. Ludwika prawie wszyscy pochodzą z tych cyrkułów Paryża, w których mieszkają robotnicy gromadami w ciasnych stancyjkach. Tyfusy biorą początek, według postrzeżeń Piorry, Andral, Bouillaud, Loris i innych lekarzy, w koszarach, gdzie śpi nieproporcyonalna liczba wojskowych, a nawet w pomieszkaniach oddzielnych lecz małych i nieprzewietrzanych. Naturalną jest rzeczą, że wyziewy z osób słabych, z wrzodów i t. p. muszą być jeszcze więcéj szkodliwe: i tak w szpitalach przepełnionych mają się rozwijać choroby znane pod nazwiskami zgnilizny szpitalnéj (pouriture de l'hopital) gangreny, fièvre nosocomiale i t. d.

(2) Porównanie śmiertelności w różnych okolicznościach, szczególny wskazuje wypadek. Żołnierze w przykopach mniéj są wystawieni na śmierć, aniżeli mieszkańcy niektórych miast fabrycznych: tak np. prawdopodobieństwo śmierci przy oblężeniu Anvers było 1:168, pod Waterloo 1:54, a dla rzemieślników w Liwerpool 1:19, dla tkaczy w Schiefield 1:14.

przez człowieka w ciągu godziny. I tak opierając się na doświadczeniach Seguin i Dumas, wypada, że cała ilość pary wodnéj wyrzucana przez człowieka w ciągu doby wynosi 800 do 1000 gramów, co średnio na godzinę daje 38 gram; a że powietrze zwykle w naszych pomieszkaniach ma 12° R. i wpołowie jest już nasycone parą wodną: przeto objętość powietrza potrzebna do rozpuszczenia wszystkiéj pary wodnéj ulotnionéj z jednéj osoby wynosi 5,84 metrów sześciennych. Przyjmuje się więc najmniéj 6 metrów sześciennych świeżego powietrza dla jednéj osoby na godzinę za podstawę wszelkich obliczeń w wentylacyi, dotyczących średnicy otworów, rur przyprowadzających i oddalających zużyte powietrze.

Liczne sposoby wentyllowania sal rozdzielić można na naturalne i sztuczne; do tych ostatnich należą sposoby za pomocą ognia, za pomocą wody, pary, lub mechanizmu.

Naturalne sposoby oparte są na rozpraszaniu się gazów, rożnicy gęstości i sprężystości między powietrzem zewnętrznem i wewnętrznem ogrzaném promieniami słońca i ciepłem ludzkiém lub przyrządami służącemi do oświetlania i ocieplania pomieszkań. W większych salach prywatnych jako też szkołach, salach ochrony, spalniach, koszarach w grubości muru wybijają się otwory opatrzone siatką metalową, przez które wpada świeże powietrze, a u pułapu w kształcie lejka przewróconego robią otwory kommunikujące z rurą ostrokręgową, wystającą parę stóp nad dachem. Ten jednak sposób nie zupełnie odpowiada swemu celowi.

Ze sztucznych zasługują głównie na uwagę sposoby używane przez Leona Duvoir, Grouvelle, Peclet, Van-Hecke i Arnott.

Piérwszy z nich używa do ogrzewania i wentylacyi wody ciepłéj, (lepiéj nasyconéj solą lub oleju), którą za pomocą rur rozprowadza po gmachu. Wentyllacya odbywa się za pomocą rur kończących się pod dachem w izbie ocieplonéj: z drugiéj strony te rury łączą się z innemi pionowemi dochodzącemi do pomieszkań przewietrzanych w których są dwa otwory jeden dolny przy posadzce przez który w zimie wyciągają chłodne i zużyte powietrze, drugi otwór blisko sufitu czerpiący w lecie powietrze najcieplejsze. Taki sposób usuwania dołem zimnego powietrza przedstawia tę główną zaletę, że zmusza ciepłe powietrze do ciągłego zniżania ku poziomowi naszych organów oddychania. Wyciągając powietrze zimne z pomieszkań, czerpie jednocześnie świeże zewnątrz gmachu przepuszcza go przez powłokę otaczającą wężownią z ciepłą wodą, umieszczoną w każdym pokoju, i dopiéro wpuszcza do pomieszkania.

W lecie przewietrzanie i oziębianie powietrza zewnętrznego wchodzącego do pomieszkań odbywa się przez ogrzewanie kotła górnego, wchodzącego do systematu ogrzewania pomieszkań wodą ciepłą, po poprzedniém zamknięciu rur rozprowadzających wodę do oddzielnych pokojów, jako też otworów, które zimą służyły do usuwania powietrza ciepłego. Natomiast zastana-

wia się kommunikacya między izbą ogrzaną pod dachem a otworami znajdującemi się przy sufitach pomieszkań, przeznaczonemi do wyciągania powietrza zepsutego. Jednocześnie wpuszcza się do mieszkania powietrze zewnętrzne, które jeżeli jest zbyt ciepłe, poprzednio przechodzi przez rury albo raczéj piece napełnione zimną wodą ze studni.

Grouvelle, sposób ogrzewania pomieszkań oparł także na krążeniu wody ciepłéj, którą ogrzewa za pomocą pary wodnéj, powstającéj w kotłach umieszczonych w piwnicach. Wentyllacya urządzoną jest w ten sposób, że powietrze czerpane z zewnątrz, przechodzi przez zamknięte naczynie otoczone rurami, zawierającemi ciepłą wodę i dopiéro ogrzane wpuszcza się do pomieszkań i cel więźni (1); powietrze zaś zużyte wychodzi z pojedynczych izb rurami kończącemi się pod dachem w zamkniętéj przestrzeni, w któréj mocny ciąg wywołanym jest przez cieplik dymu, pochodzącego z ogniska kotłów stojących w piwnicach, i przez ciepło ogniska w którém pali się koks.

Pecleta sposób łatwo dający się zastosować po szkołach, salach schronienia, i w ogóle miejscach gdzie mało jest przyczyn szkodliwie na psucie powietrza działających, polega na użyciu pieców o podwójnéj powłoce. Chcąc zaś otrzymać wentylacyą używa małego przenośnego piecyka glinianego, który wstawia pod strychem w miejscu gdzie się schodzą rury odprowadzające nadpsute powietrze z pomieszkań. W nim pali się albo koks, albo torf, albo drzewo, wtedy tylko, gdy temperatura powietrza zewnętrznego wyrównywa temperaturze powietrza w pomieszkaniach.

Z mechanicznych sposobów przewietrzania, których jest wiele, najwięcéj godne uwagi są dwa następujące: doktora Arnott i Van-Hecka.

Arnott zastosował swój sposób do wentyllacyi szpitala w hrabstwie York, i doprowadził go do wysokiego stopnia doskonałości. Wpędzanie powietrza do izby w któréj się ogrzewa, i zkąd dopiéro płynie po całéj budowli odbywa się za pomocą ciśnienia mechanicznego. Pompa wpychająca powietrze urządzoną jest według systematu gazometrów; walec wydrążony bez dna (rodzaj gazometru) działający jako tłok pompy, ma 6 stóp średnicy, a $4\frac{1}{2}$ wysokości i porusza się w naczyniu walcowém zawierającém wodę, jednocześnie z dwoma szeregami klap przeznaczonych do wpuszczania pod tłok i do wypuszczania powietrza z pod tłoka. Za każdym ruchem wpędza machina 250 stóp □ powietrza do budowli, a ponieważ takich ruchów odbywa 9 na minutę, ilość powietrza świeżego wtłoczonego wynosi stóp 2250 sześciennych. Mechanizm służący do wprawiania w ruch pompy jest nadzwyczaj trafnie pomyślany, na dowód czego to tylko przytoczymy, że pom-

(1) Ten sposób ogrzewania i wentyllacyi urządzonym został w więzieniu Mazas w Paryżu.

pa zasilająca cały szpital w powietrze, poruszana jest siłą wynoszącą zaledwie część siły jednego konia.

Sposoby użyte przez Dr. Arnott dla kierowania temperaturą powietrza wtłaczanego, są zupełnie niezależne od przewietrzania: ciepło może być zwiększane lub zmniejszane dowolnie, wtedy gdy strumień powietrza pędzony po budowli pozostaje niezmiennym.

Co się tyczy kosztów, po obliczeniu wszystkich stałych wydatków, jako też procentu od kapitału zakładowego, wypada że zaopatrzenie 1000 osób w powietrze kosztuje według tego systematu tylko 2 złp. (schiling) dziennie.

Z poprzedniego widzimy, że sposób Dr. Arnott tém się głównie różni od innych, że zamiast wyczerpywania powietrza zużytego, wtłacza zbytnią jego ilość do pomieszkania, przez co unika wpadania zewnętrznego powietrza przez szpary, lub przypadkowe otwory, np. uchylenie drzwi, okien; a nadto nie usuwając z pomieszkań powietrza przez ciągi wywołane ciepłem, sposób ostatni obchodzi tę ważną niedogodność połączoną z poprzedniemi sposobami wentyllacyi, że niepotrzeba w czasie lata używać ciepła sztucznego dla wypędzania zużytego powietrza.

Przejdźmy nakoniec do metody Van-Hecka. Jego przyrządy służą i do wyciągania i do wtłaczania powietrza, stosownie do życzenia; główną ich zasadą jest szybkie obracanie się śruby Archimidesa (170 obrotów na minutę) w rurze do któréj się zbiegają otwory kommunikujące z różnemi częściami budowli. Wprawienie w ruch wentyllatora odbywa się albo siłą ręki, albo za pomocą przeciw wagi, a gdzie jest machina parowa rzemień założony na wał główny machiny, np. w drukarni Monitora Belgickiego, wprawia w ruch wentyllator.

Według tego systematu urządzone przewietrzanie kopalni, i wielkiéj fabryk odlewów w Anglii, pociągnęło za sobą koszta zakładowe około 2,000 fr. utrzymanie zaś w ruchu prawie żadnego stałego nie wymaga nakładu. Dotąd w Belgii w wielu miejscach wprowadzono apparata Van-Hecka, już to wyłącznie do przewietrzania np. na okręcie Louise-Marie, drukarni Monitora, więzienia des Petits-Carmes, już też w połączeniu z ogrzewaniem świeżo napływającego powietrza, jakoto w salach giełdy bruxelskiéj.

Apparat dokładny składa się z kilku części które kombinowane między sobą służą do wyciągania zużytego, do wtłaczania świeżego powietrza, do kontrollowania, mierzenia, miarkowania lub zupełnego wstrzymania przewietrzania. I tak oprócz właściwego wentyllatora znajdują się: rozmaite klapy i otwory umieszczone w różnych wysokościach sali, anemometr pokazujący ilość powietrza wpędzonego, dynammetr wskazujący stopień siły czyli prędkość ruchu wentyllatora i t. p.

Komissya wyznaczona z polecenia rządu belgijskiego dla zbadania i ocenienia użyteczności tego nowego sposobu przewietrzania przekonała się, że przyrząd Van-Hecka ustawiony w wię-

zieniu Petits-Carmes, poruszany za pomocą ciężaru podnoszonego (co 12 godzin) korbą, do czego wystarcza siła jednéj kobiéty, przewiewa wszystkie cele więźni, kuchnię, suszarnię i t. p. dostarczając na godzinę dla każdéj osoby 48 metrów sześcien. powietrza. Ta ilość powietrza przechodząca o wiele maximum ilości potrzebnego powietrza, może być jeszcze znacznie zwiększoną przez przyczepienie dodatkowego ciężaru (150 kilog.); tylko obawa wywoływania szkodliwych bo silnych cugów, nie dozwala przekraczać powyższéj ilości wchodzącego powietrza.

Porównywając między sobą różne sposoby zaopatrywania wielkich budowli w świeże powietrze przekonywamy się, że sposoby mechaniczne mają piérwszeństwo nad sposobami wyciągającemi powietrze za pomocą ciepła: usuwają napływ powietrza przez szpary, łatwiéj się dają regulować, a co także jest rzeczą ważną, wymagają bardzo małych albo prawie żadnych kosztów utrzymania.

S. P.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Księgarz H. Natanson wkrótce rozpocznie druk wszystkich powieści J. I. Kraszewskiego w wielkim formacie, podobnym jak w Paryżu wychodzą pisma znakomitszych autorów francuzkich. Powieści te rozpocznie „Kordecki"; każda osobną całość będzie stanowić. Zbiór ich złoży piękną całość z trzech lub pięciu tomów. W końcu autor da spis tych utworów chronologiczny, z którego czytelnik poweźmie przekonanie, jak się rozwijał i postępował ten potężny talent.

Nie możemy zataić naszego podziwienia, dlaczego p. Zawadzki, który wszystkie utwory tak dramatyczne jak i powieściowe J. Korzeniowskiego ogłasza, nie wpadł na tę myśl wydania razem pism tego pisarza. Przed kilką laty tu w Warszawie poddawano mu to wyraźnie nawet, ale widać nie trafiło do jego przekonania. Tymczasem wiele tak z dramatów jak i powieści Korzeniowskiego zabrakło zupełnie, a p. Zawadzki tak jest nie oględny, że drukując wiele mniejszej wartości dzieł, pomimo licznych żądań nie wydał np. Dramatów i komedyi, seryi pierwszéj, Mnicha i wiele innych. Toż mówić o ślicznych Obrazach litewskich I. Chodźki, które zasłużyły na ozdobne wydanie, w takim formacie, jak to zamierza H. Natanson. Czas już pp. księgarzom i nakładcom pomyśleć szczerze o tego rodzaju wydaniach, któreby z czasem mogły służyć za ozdobę księgozbiorów prywatnych.

— P. Henryk Hirszel litograf i właściciel ozdobnego składu materyałów piśmiennych i rysunkowych, urządził w magazynie swoim wystawę obrazów młodych naszych artystów. Wszystkich uwagę zwrócił obraz Gersona, przedstawiający pogrzeb chłopka, a uderzający prawdą i artystycznem wykończeniem. Żałować potrzeba, że Gerson zapomniał o chorągwi czarnej, która zwykle takim pogrzebom wiejskim towarzyszy: przydałoby to więcéj efektu całéj kompozycyi. Pillatego: wesele krakowskie, pokazuje tylko zdolność tego artysty: brak w niém wszelkiéj prawdy. Krakowiacy i Krakowiaki, to ze sceny zdjęci z Wesela w Ojcowie; konie nawet nie polskie. Takie fantazyowanie już nie uchodzi.

— W liście Alexandra Przezdzieckiego z Kolonii z d. 14 października r. b. wyczytujemy, że ze spostrzeżeń i badań zabytków jakie oglądał, okazuje się, że lewek spiżowy, o którym pismo nasze umieściło wiadomość z rycinę, odkryty w Kruchowie w W. X. Poznańskiém i podany za naczynie religijne z czasów przedchrześciańskich, nie jest tak starożytnym. Naczynia bowiem tego kształtu służyły w pierwszych wiekach chrześciaństwa, jako nalewki do nalewania wody na ręce kapłana, bądź przy ofertoryum na ołtarzu, bądź przy piscinio w zakrystyi.

(Wyjątek z listu A. Tyszyńskiego do K. Wł. W.) „Odyniec ukończył Barbarę Radziwiłłównę, dramat w sześciu aktach. Syrokomla wydał Acerna; Michał Baliński drukuje Studya historyczne; Ignacy Chodźko gotową ma powieść: Trzej Pustelnicy. Zmarły Julian Korsak legował tłumaczenie skończone Danta, Odyńcowi, który ma je do zbycia. Ma on i więcéj ulotnych Korsaka poezyj. Syrokomla jest to miły i młody jeszcze bardzo człowiek; w całéj Litwie jest bardzo admirowany ze swych poezyj: sam Odyniec jest zdania, że „to jest poeta pierwszéj wody." W ogólności ile słyszałem i słyszę, w całéj Litwie od dam (bo też czytają tu tylko prawie wyłącznie damy, a przynajmniéj wszystkie damy czytają) najwięcéj są admirowani dwaj nasi pisarze: z litewskich czyli z poezyj Syrokomla; z warszawskich czyli prozaików T. Tripplin".

— Znany z wielu prac znakomitych Józef Łukaszewicz pracuje obecnie nad ważném dziełem: „Historya antytrynitarzy polskich i litewskich.

— Maurycy Wolff wydaje powieść Tripplina pod napisem „Podróż po księżycu". S. Orgelbrand drukuje tegoż pisarza dalszy ciąg Asmodeusza.—Cztery tomy poezyj Alexandra Grozy zapowiedziano.

(Wyjątek z listu Karola Szajnochy do K. Wł. W.) „Tom drugi Judwigi i Jagiełły oddawna skończony w druku. Teraz czeka mnie kilkotygodniowa praca

około uporządkowania rękopismu ostatnich arkuszy tomu trzeciego, który w obecnéj chwili postąpił już do 10-go arkusza w druku. Po ostatecznem sprawieniu się z Jadwigą, uporządkuję rękopisma do 2-go tomu Szkiców historycznych; w znacznej części były już one drukowane w pismach nadszych czasowych. Wkońcu zabiorę się do napisania kilku wcale nowych szkiców, a pierwszy z tych przesłany będzie Bibliotece Warszawskiéj."

— Nakładem G. Sennewalda w pięknéj i ozdobnéj edycyi wyszła książka do nabożeństwa p. n. „Wianek Najświętszéj Maryi Panny Częstochowskiéj", ozdobiona kartą stalorytową tytułową, i obrazkiem w całéj postaci Matki Boskiéj z Dzieciątkiem Jezus.

— Wyszedł zeszyt drugi dzieła: „Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie", nakładem i z drzeworytami Michała Starkmana. Zawiera dokończenie opisu kościoła Panny Maryi. Kościół parafialny Św. Krzyża (drzeworyt) z opisem. Pomnik Tarły. Pomnik Michała Radziejowskiego kardynała i prymasa. Kościół księży Augustyanów (drzeworyt) z opisem.

— P. Julian Bartoszewicz w Dzienniku Warszawskim z zeszłego miesiąca złożył obszerne sprawozdanie o rękopiśmie A. Magiera p. n. „Estetyka miasta Warszawy". W tém sprawozdaniu podaje, że rękopism jaki miał sobie udzielony w kopii przez F. M. Sobieszczańskiego jest mniéj dokładnym od tego, jaki w swoich zbiorach posiada K. Wł. Wójcicki, pisany ręką siostrzeńcy Magiera, a poprawiany i dopiskami obszernemi zbogacony ręką samego Magiera. Prostujemy to podanie. F. M. Sobieszczański zrobił właśnie dokładną kopią nie z innego, ale z tegoż samego rękopismu, który teraz znajduje się w zbiorze K. Wł. Wójcickiego. Rękopism ten rozpada się na dwie części: na text i przypiski. Posiadacz dzisiejszy zamierza wydać ten rękopism zredagowany w ten sposób, aby i text i przypisy jednę całość stanowiły, z zachowaniem o ile być może stylu i barwy samegoż Magiera.

— We wsi Dębe pod Kaliszem odkryto grób murowany z kamienia i przykryty płaskiemi kamieniami, w którym były dwie małe urny z czarnéj massy, bronzowa czarka i miseczka szklana. Czara bronzowa podobna do łyżki wazowej z krótszą nieco rękojeścią, otoczona jest u wierzchu obrączką z deseniem delikatnéj roboty, a na rękojeści mały Bachusek spoczywa na winogronach: miseczka jest z szkła mieszanego kolorowego; urny z delikatnéj i lekkiéj czarnéj massy, dosyć połyskującéj, z małém uszkiem, w którém przedziurawienie do drutu lub sznurka: zawierały spalone kości i popioły. Całe to wykopalisko obecnie jest w Kaliszu w ręku lubownika starożytności krajowych.

— „Nowomodne Zaloty", komedya w jednym akcie, oryginalnie napisana przez J. K. Gregorowicza, i przedstawiana na Teatrze Rozmaitości w Warszawie, wyszła teraz w Kijowie w tłoczni J. K. Wallnera (w 16-ce str. 63) na dochód restaurującéj się katedry kamienieckiéj.

— Nakładem S. Orgelbranda kończy się w druku IX tom Historyi C. Cantu.

— G. Sennewald rozpoczął druk dzieła Eihoffa: Literatura średnich wieków, przekład Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj. Dodatki i sprostowania przez W. A. Maciejowskiego zrobione, wartość przekładu nad sam oryginał przeniosą.

Kraków. Obraz olejny Jamarego Suchodolskiego: „Obrona Częstochowy", skopiowany przez professora J. Wojnarowskiego, litografowany w Wiedniu, rozdany już został jako premium z r. 1854 akcyonaryuszom towarzystwa sztuk pięknych krakowskiego.—Nakładem księgarni J. Wildt'a wyszedł w Lipsku: „Wykład obrzędów i religijnych zwyczajów S. rzymsko-katolickiego kościoła", przez ks. Lud. Lewartowskiego. Dzieło to napisane dla młodzieży gimnazyalnéj, zyskało pożądaną aprobatę władzy duchownéj i ministeryum oświecenia.—Zmarły niedawno we Lwowie J. N. Kamiński napisał z powieści H. Rzewuskiego dramat romantyczno-historyczny w 5-ciu oddziałach: „Listopad, czyli bracia Strawińscy". Dramat ten był już grany na teatrze krakowskim.—W drukarni Czasu wyszła: „Pielgrzymka missyjna do ziemi świętéj, Syryi i Egiptu; w latach od 1843 do 1849, odbyta przez ks. Felixa Laassnera zakonu Reformatów prowincyi wielko-polskiéj", staraniem i nakładem ks. L. F. Karczewskiego wydana (w 8-ce arkuszy 25 druku).

Wydano tu także: Wstęp na górę Karmelu.—Nowy Ekonom Wiejski, czyli szkółka porządnego wykonywania i t. d. przez Maxym. Żelkowskiego, professora szkoły rolniczéj.—Z drukarni Czasu wyszła oddzielnie rozprawa Henryka Rzewuskiego: „O dawniejszych i teraźniejszych prawach polskich", drukowana w odcinkach Czasu. Okazała ona, że autor najmniejszego wyobrażenia o tych prawach nie ma, o których tak szeroce rozpowiada. Cała rzecz niewarta krytycznego rozbioru.—Wyszły tu kalendarze na r. 1856: Kalendarz dla rodzin katolickich, mieszczący w sobie część literacką i rolniczą, i Kalendarz powszechny J. Wildta księgarza, ozdobiony wielą drzeworytami i zajmującemi artykułami. Jest to już rok trzeci tego kalendarza. —W drukarni Czasu pod prasą są następne dzieła: Terapia ogólna przez Dr. F. K. Skobla professora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Fizyka napisana przez Ludwika Zejsznera prof. uniw. Niewiasty Ewangeliczne. Homilia ks. Ventury de Raulica, tłumaczenia ks. Zygmunta Goliana.—W drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego kończy się druk Statutu Wiślickiego z objaśnieniami przez Zygmunta Helcla.— Dr. prawa Michał Koczyński wydał dzieło p. n. „Versuch einer systematischen Darstellung der Gerichtsverfassung und der Französischen Civilprocess Ordnung in Krakau".—Cypryan Norwid, bawiący w Ameryce, wykonał rysunki do drzeworytów dzieła pod tytułem: Almanach of the Exhibition of all nations, wydanego w New-York, a nadesłanego na wystawę paryzką.—W wydawnictwie dzieł katolickich wyszła książeczka w rodzaju Album pod napisem: Kościoły Krakowskie, wydane w stalorytach z treściwym ich opisem, i wspomnienie o Annie Maryi Taigi.

Lwów. „W drukarni Zakładu imienia Ossolińskich, nakładem Wojciecha Manieckiego, opuściły prasę: Miesiąc Maj, poświęcony Bogarodzicy i Niepokalanéj Dziewicy Maryi.—Droga do szczęścia prawdziwego, książka do nabożeństwa i czytania duchownego. Wyszły tu prócz tego następne dzieła: Geografia L. E. Gauttiera obrobiona przez Hippolita Witowskiego. Gwido i dumki Henryka Jabłońskiego. Krzysztof Kolumb czyli odkrycie Ameryki, skreślone dla ciekawéj młodzi p. H. Witowskiego. Paweł i Wirginia z 10 stalorytami. Bojar Orsza, poemat Lermontowa, przekład Gustawa Czernickiego.—Nakładem księgarni Karola Wildta, wyszedł: „Skorowidz czyli opis porządkiem abecadłowym wszystkich miejscowości położonych w królestwie Galicyi i Lodomeryi, jakoteż w Wielkiém księztwie Krakowskiem i księztwie Bukowińskiém".

Bochnia. Nakładem i drukiem Wawrzyńca Pisza wyszedł „Wykład nauki wiary kościoła katolickiego dla użytku młodzieży szkolnéj, p. ks. Jana Staroniewicza.—Kalendarz podręczny domowy i gospodarski na r. 1856.—Historya o domku Loretańskim Matki Boskiéj i o jego cudownem przeniesieniu (z rękopismu Jana Przybylskiego z początku drugiéj połowy XVIII wieku).

Sanok. W drukarni Karola Pollaka wyszło: „O wzajemném zabezpieczeniu się od szkód przez K. J. T. (urowskiego).

Poznań. „S. p. Jędrzéj Moraczewski, w wigilią śmierci oddał do druku tom 9 swéj pracy: Dzieje Rzplitéj Polskiéj.—Tytus hr. Działyński zamierza wydać: „Historyą Polski w pieczęciach czyli kompletny zbiór pieczęci polskich." Główną podstawą do nowego dzieła o pieczęciach będzie kilkaset rysunków, wykonanych piórem z znaną dokładnością przez ś. p. Kielesińskiego. Hr. Działyński odrytowanie na miedzi pomienionych rysunków powierzył młodemu a zdolnemu artyście. Pieczęcie te podzielone będą na wieki, i zaopatrzone textem polskim i francuzkim.— We wsi Łęgu w W. Ks. Poznańskiém nad jeziorem Gopłem, w pobliżu zielonego kolistego wału, wyorano z pod ziemi kilka garści srebrnych pieniążków. P. Juljusz Kossarski jeden z poznańskich numizmatyków, zawezwany od właściciela Łęgu, odczytał na lepiéj zachowanych następne daty. Pieniążki polskie są z czasów Mieczysława 1-go (960—992). Angielskie Etelreda (978—1016) bardzo czytelne, i Kanuta (1017—1035). Niemieckie Henryka Ptasznika cesarza (918—936). Na kilku stoi imię: Odalrych:—Ułamki popielnic należeć mają zdaniem p. Kossarskiego do dwóch odmiennych naczyń. Zdaje się, że większa część tych monet jeszcze się w ziemi znajduje, i zapewne zabiorą się tam do dalszego kopania. Wał ten kolisty jest może ołtarzem pogańskim, albo też grobowcem jakiego wodza.

† Dnia 31 sierpnia r. b. umarł w Wilnie Stanisław Rosołowski doktor medycyny, członek Cesar. wileńskiego medycznego towarzystwa, znany wierszopis, który licznemi a dobornemi przekładami zasilał wszystkie pisma peryodyczne wileńskie od r. 1819.

† Dnia 7 (19) października r. b. umarł w Petersburgu w 48 roku życia ksiądz Ignacy Hołowiński arcybiskup mohilewski, metropolita wszech rzymsko-katolickich w Cesarstwie kościołów, tłumacz Szekspira, autor Pielgrzymki do Ziemi świętéj, Pism Żegoty Kostrowca i wielu innych.

UWIADOMIENIE

OD

REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie i w roku następnym **1856**.

Cena pozostaje taż sama: tojest w Królestwie rub. sr. **9** rocznie, lub rub. sr. **4** kop. **50** półrocznie, którą przyjmują wszystkie urzędy i stacye pocztowe. W Cesarstwie przedpłata roczna z przesyłką pocztową **w kopertach** wynosi rub. sr. **10**; z tym jednakże warunkiem, aby kwota ta była wprost nadesłaną **franko** albo do: „Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, przy ulicy Senatorskiéj, Nr. 468 i 9", lub téż: „do Expedycyi Gazet w Warszawie."



Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.



Wolno drukować. — Warszawa, d. 5 (17) Listopada 1855 r. — Starszy Cenzor, F. So[illegible]

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Październik, 1855.

Październik 1855. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1		748.55	747.80	746.22	746.30	+ 7°.7	+ 14°.5	+ 19°.3	+ 16°.1	78.0	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
2		745.89	745.51	741.74	740.87	12.3	13.9	16.8	13.3	95.2	pochmurny	mgła	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	—	Pd.	10.0	
3	☾.	743.49	745.09	746.07	747.65	11.3	12.1	16.8	10.0	87.0	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	4.0	
4		748.20	749.47	749.89	750.49	10.8	12.0	13.5	8.7	85.3	pochmurny	pogodny	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	—		
5		750.87	750.88	749.94	750.77	5,4	13.0	15.6	10.1	85.0	pogodny	smugi	pogodny	pogodny	—	PdW.	PdW.	PdW.		
6		750.93	751.07	748.74	747.81	6.4	11.9	17.2	11.7	82.7	smugi	smugi	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
7		745.35	745.33	745.15	745.02	12.4	16.1	19.4	13.7	80.5	pochmurny	pogodny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdZ.	Pd.	2.0	
8		742.78	742.92	742.31	742.47	12.4	15.0	19.2	15.2	89.8	poch. mgła	lek. pochm.	pogodny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Z.		
9		743.41	744.05	742.13	739.96	10.4	12.9	14.9	10.8	85.0	pogodny	pogodny	lek. poch.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Pd.	2.4	
10		734.85	734.51	732.86	733.94	10.9	12.1	11.7	8.0	87.7	dészcz	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	17.8	
11	☽.	731.06	732.64	737.34	738.16	5.5	7.9	7.9	7.8	88.5	dészcz	pochmurny	dészcz	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	13.2	
12		733.69	735.10	733.37	735.13	8.4	9.2	8.2	7.7	91.5	pochmurny	dészcz	pr. pochm.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	13.5	
13		738.62	740.02	740.98	742.76	7.2	8.3	9.5	5.2	85.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	Z.	—	4.0	
14		745.71	747.23	748.47	747.78	6.9	8.6	8.5	7.9	90.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdW.	3.2	
15		743.32	742.63	740.69	740.50	8.9	10.8	15.9	11.6	90.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.	2.2	
16		740.48	742.14	746.30	749.15	12.3	12.2	11.0	7.6	87.3	dészcz	pochmurny	lek. pochm.	pr. pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.	12.4	
17		751.39	753.20	752.41	752.80	5.2	8.8	10.6	7.9	80.5	lek. zamat.	smugi	pogodny	napół pog.	PdZ.	Z.	PdZ.	Pd.		
18	☽.	752.82	753.02	750.42	748.34	1.9	6.2	12.3	10.2	90.5	mg. gruba	pogodny	napół pog.	pochmurny	—	—	PdW.	Pd.		
19		748.40	751.48	752.44	754.08	11.1	12.1	12.1	7.1	85.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	Z	Z.	Z.	Z.	0.8	
20		752.20	751.96	752.38	753.94	7.9	10.1	11.1	9.6	87.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
21		753.40	753.37	752.20	751.12	9.1	10.0	10.6	10.8	93.0	dé. lek. mg.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	13.4	
22		748.99	750.12	752.67	756.79	10.6	11.6	12.2	9.0	85.5	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm.	Z.	Z.	Z.	PnZ.	4.0	
23		758.49	759.44	757.32	755.88	3.4	7.5	9.4	4.3	92.0	pogodny	lek. p. l. m.	smugi	pogodny	Z.	Pd.	Pd.	Pd.		
24		751.51	750.78	748.47	748.49	2.5	9.3	13.8	10.9	88.0	pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.		
25	☺.	749.41	750.94	752.92	753.78	6.9	7.7	8.0	2.7	86.5	pochmurny	smugi	pr. pogod.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	—	4.4	
26		751.05	749.29	746.86	745.65	2.9	7.5	10.3	5.9	84.7	pochmurny	pochmurny	pogodny	smugi	Pd.	Pd.	Pd.	Pd,		
27		746.52	747.00	745.67	746.38	3.6	7.3	13.8	8.5	88.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.		
28		746.53	746.70	745.36	745.67	7.6	12.3	15.8	10.0	83.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
29		744.72	744 84	744.18	744.06	7.5	10.3	14,2	10.4	84.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	PdW.	Pd.	PrW.	PdW.		
30		741.08	741.17	740.43	741.43	11.2	13.7	15.6	11.8	81.2	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
31		740.86	740.25	740.81	741.52	8.7	11.0	11.5	10.9	96.8	pochmurny	dészcz	pochmurny	napół pog.	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.	7.6	
śre.		745.947	746.456	746.024	746.406	+ 8°.04	+ 10°.84	+ 13°.12	+ 9°.53	87.0									114.9	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.208	27	6.791
Najwyżej barometr dochodził d. 23 o g. 10 r.	759.44	28	0.757
Najniżej — — d. 11 o g. 6 r.	731.06	27	0.076
Średnia zmiana dzienna barometru	3.488		1.547
Największa zmiana dzienna barometru d. 16—17 o g. 10 rano	11.06		4.903
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	4.468		1.980
	750.676	27	8.771
Średnia temperatura października wynosi:	+ 10°.38 C.	+	8°.30 R.
i ta jest wyższa o	2.19 „		1.75 „
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	+ 8.19 „	+	6.55 „
Największe ciepło było d. 7 o g. 4 w.	+ 19.4 „	+	15.52 „
Najmniejsze — d. 18 o g. 6 r.	+ 1.9 „	+	1.52 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.451 „		1.961 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 18—19 o g. 6 rano	9.2 „		7.36 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +17.2 R. d. 7 po połud.
Minimum: + 1°.5 „ d. 18 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 87.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8.66 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.02 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 114.9 mil. czyli 50.93 lin. par.; ilość ta wody jest o 26.82 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w październiku spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 7, pochmurnych 18.
— deszczu 16 (d. 2, 3, 7, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 19, 21 22, 25, 31).
— mgły 6 (d. 2, 8, 18, 21, 23, 31).
Błyskawic bez grzmotu 1 (d. 8).
Wichrów było 1 (Z).
Wiatrów mocnych 7 (6 Z. 1 PdZ).

Wiatr panujący: zachodni, częste były także południowo-wschodnie. Październik r. b. przy bardzo niskim stanie barometru w pierwszych dziesięciu dniach był ciepły; w następnych dziesięciu chłodny, niepogodny i słotny, przy końcu dość ciepły i pogodny, w ogóle miesiąc ten pod względem pogody zbliżał się do stanu normalnego, był jednak wilgotny, bardzo w deszcz obfity i o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 7, 8. 9, z pomiędzy tych d. 5, 6, 7, 8, 9, były tak ciepłe i łagodne jak się rzadko u nas zdarza. Dzień 8 odznaczał się szczególnym stanem powietrza, był bowiem nie zwykle ciepły a nawet gorący popołudniu termometr w cieniu pokazywał 17.1 stop. R. ciepła, przytem powietrze było parne; w wieczór między godz. 7 a 10 dały się widzić błyskawice bez grzmotu, poczem nastąpił deszcz ulewny połączony z wichrem. Pod względem ciśnienia atmosfery miesiąc ten znacznie się różnił od lat innych; średnia bowiem wysokość barometru miesięczna jest blisko o 2 linie par. mniejsza od normalnej; co wciągu 29 lat upłynionych dwa razy tylko miało miejsce, tojest w r. 1845 i 1850. W stanie średnim stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5.1:9:16.9; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 5:7:18 co pokazuje że październik r. b. podwzględem stanu nieba zbliżał się do stanu normalnego. Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości 2 cale 2.93 lin. par. o 26.82 lin par. więcej niż zwykle.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1855.

—

Materyały historyczne.

Stron.

Północno-wschodnie wołoskie osady, przez *J. T. L(ubomirskiego)*.. 1

Mozajka złożona z wiadomości starożytniczych, dziejów sztuki, ułamków biograficznych i t. d., przez *Ambrożego Grabowskiego.* 57

Słówko o przyczynach upadku miast w dawnéj Polsce..... 186

Ksiądz Wincenty Santino nuncyusz w Polsce (1722—1728), przez *Juliana Bartoszewicza*..... 389

Ustęp z opisu Piotrkowa. (Dominikanie), przez *Władysława Wieczorkowskiego*..... 466

Biografie.

Wiadomość o życiu i pismach Konstantego Tyzenhauza..... 205

Samuel Korecki, przez *Zygmunta Komarnickiego*..... 258

Jan Lipnicki. (Wspomnienie)..... 375

Wspomnienie Juliana Korsaka, przez *A. E. Odyńca*..... 563

Wspomnienie o Janie Bazylim Tomickim, przez *K*..... 564

Archeologia.

Stron.

Wycieczka archeologiczna po gubernii wileńskiej, przez *Jana ze Śliwina*..... 237

Literatura.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. IV. Wystawa przemysłowa: wyroby wełniane, materye lugduńskie, szale indyjskie.— Wystawa sztuk pięknych: Eugeniusz Delacroix.—Wiadomości literackie.... 144

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. V. Wystawa przemysłowa: rotunda, powozy, zegary.— Produkta Algieryi. Wystawa sztuk pięknych: Ducamps, Couture, Glaize, Gérome, Cogniet, Rodakowski, Müller..... 313

Kronika zagraniczna literacka naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. VI. Wystawa przemysłowa: Wyroby złotnicze. — Kauczuk i gutta-percha. — Wystawa sztuk pięknych: Chassériau, Iwon, Horacy Vernet, Hamon, Chenavard..... 483

Powieści.

Zosia Żytkiewiczówna. Powiastka ukraińska, przez *Tadeusza Padalicę*..... 114, 218

Kłopoty starego komendanta. Pan Marszałkowicz. Opowiadanie (dokończenie)..... 415

Poezye.

Sebastyan Klonowicz..... 81

Pieśni ukraińskie. I. Duma o Piotrze Konaszewiczu Sahajdacznym. 299

Pasterz i rybak (z podań ludowych), przez *T. L.*..... 412

Maj. Poemat Karola Ignacego Machy, przełożony z czeskiego przez *Bronisława Maleckiego*..... 511

Madrygał, przez *Antoniego Edwarda Odyńca*..... 569

Sztuki piękne.

Przegląd muzykalny, przez *M. K.*..... 302

Rozbiory.

Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku, przedstawiony w dzienniku podróży królewicza Władysława, syna Zygmunta IIIgo do Niemiec, Austryi, Belgii, Szwajcaryi i Włoch w r. 1624—1625. Skreślony przez Stefana Paca. Z rękopismu wydał J. K. Plebański. Wrocław. 1854. Przez *Juliana Bartoszewicza*... 173

Stron.

Osann, o fragmentach Troga, wydanych przez Bielowskiego. Przez *D. J. Wagilewicza*..... 349

Słownik języka polskiego przez M. Samuela Bogumiła Linde. Wydanie drugie, poprawne i pomnożone staraniem i nakładem Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Tom I. A. F. Lwów. 1854. Przez *K. Wł. W.*..... 369

Dziejopisowie krajowi. I. Historya polska od śmierci Władysława IV aż do pokoju oliwskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza od 1648 do 1660 roku, przez W. J. Rudawskiego. 2 tomy. Petersburg. 1855. Nakład B. M. Wolffa. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 537

Jan III pod Wiedniem, przez *I. Z.*..... 552

Volksliederquellen in der deutschen Litteratur, von Kertbeny. Przez *I. Z.*..... 555

Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie, opisane pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Wizerunki kościołów i celniejsze w nich nagrobki rytował na drzewie Michał Starkman. Warszawa. 1855. Przez *I. Z.*..... 558

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Chemia, przez *J. B.. g*..... 193, 573

Fizyka. Przewietrzanie budowli, przez *S. P.*..... 575

Korrespondencya.

Odezwa redakcyi Roczników Gospodarstwa Krajowego do obywateli ziemian..... 190

Kronika bibliograficzna..... 196, 382

Doniesienia literackie..... 197, 382, 581

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiem:

za miesiąc sierpień r. b..... 201

— — wrzesień r. b..... 385

— — październik r. b..... 585

Uwiadomienie od redakcyi Biblioteki Warszawskiej..... 584